

PISMA ROZPROSZONE I ZARZUCONE

TOM II

Alina Kowalczykowa

Wobec współczesności.
Tematy poważne i mniej serio



WOBEC WSPÓŁCZESNOŚCI. TEMATY POWAŻNE I MNIEJ SERIO

Pisma rozproszone i zarzucone

Tom II



przelomy
pogranicza
studia literackie

NAUKOWY PROJEKT WYDAWNICZY – SERIA
Przełomy/Pogranicza – Studia Literackie
XXV

RADA NAUKOWEGO PROJEKTU WYDAWNICZEGO
– SERIA „PRZEŁOMY /POGRANICZA”:

Zdzisław Jerzy Adamczyk (UJK, Kielce)
Józef Bachórz (UG, Gdańsk)
Grażyna Borkowska (IBL PAN)
Bogdan Burdziej (UMK, Toruń)
Sławomir Buryła (UWM, Olsztyn)
Agnieszka Czajkowska (AJD, Częstochowa)
Małgorzata Czermińska (UG, Gdańsk) – Przewodnicząca
Michał Głowiński (IBL PAN, Warszawa)
Krystyna Jakowska (UwB, Białystok)
Irena Jokiel (UO, Opole)
Zbigniew Kaźmierczyk (UG, Gdańsk)
Anna Kiezuń (UwB, Białystok)
Alina Kowalczykowska (IBL PAN, Warszawa)
Jan Leończuk (Książnica Podlaska, Białystok)
Ryszard Löw (Tel-Aviv, Izrael)
Natalia Maliutina (Odessa, Ukraina)
Gabriela Matuszek (UJ, Kraków)
Michael J. Mikos (Milwaukee University)
Swietłana Musijenko (Grodno, Białoruś)
Ewa Nawrocka (UG Gdańsk)
Maria Jolanta Olszewska (UW, Warszawa)
Ewa Paczoska (UW, Warszawa)
Jerzy Paszek (UŚ, Katowice)
Magdalena Popiel (UJ, Kraków)
Rościsław Radyszewski (Kijów, Ukraina)
German Ritz (Zürich Universität, Szwajcaria)
Adam Skreczko (AWSO, Białystok)
Jerzy Snopek (IBL PAN, Warszawa)
Magdalena Saganiak (UKSW, Warszawa)
Włodzimierz Szturc (UJ, Kraków)
Zofia Zarebianka (UJ, Kraków)
Igar Wasiliewicz Żuk (Grodno, Białoruś)

ALINA KOWALCZYKOWA

**WOBEC WSPÓŁCZESNOŚCI
TEMATY POWAŻNE I MNIEJ SERIO**

REDAKCJA NAUKOWA TOMU I OPRACOWANIE TEKSTU:

**ANNA JANICKA
GRZEGORZ KOWALSKI**

Białystok 2016

Redakcja Serii:

Jarosław Ławski [Redaktor Naczelny], Barbara Olech, Grzegorz Kowalski, Anna Janicka [Zastępca, Red. Cyklów Tematycznych], Małgorzata Burzka-Janik, Joanna Dziejdz, Maria Kalinowska, Zbigniew Kaźmierczak, Krzysztof Korotkich, Dariusz Kukielko, Dariusz Kulesza, Halina Krukowska, Agnieszka Nietresta-Zatoń, Iwona E. Rusek, Michał Siedlecki, Konrad Szamryk, Maciej Tramer, Anna Wydrycka, Łukasz Zabielski

Recenzent tomu: dr hab. **Maciej Tramer**, prof. UŚ (Katowice)

Korekta: Zespół

Skład: Alter Studio, Hubert Pilicki

Indeks nazwisk: Grażyna Dawidowicz, Ireneusz Dawidowicz

Streszczenie: dr Jacek Partyka (UwB), dr Bazyli Siegień (UwB)

Opracowanie graficzne: Małgorzata Wosnitzka, Grzegorz Kowalski

Na okładce wykorzystano fragment obrazu *Pejzaż z tęczą* Caspara Davida Friedricha (1810)

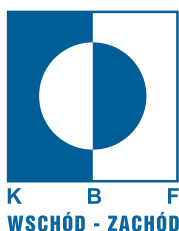
ISBN: 978-83-64081-40-8

Copyright by Uniwersytet w Białymstoku, Białystok 2016

Copyright by Książnica Podlaska im. Ł. Górnickiego w Białymstoku, Białystok 2016

Copyright by Alina Kowalczykowska, Białystok 2016

Publikacja sfinansowana ze środków Książnicy Podlaskiej im. Ł. Górnickiego oraz Wydziału Filologicznego UwB w Białymstoku



KSIĄŻNICA PODLASKA IM. ŁUKASZA GÓRNICZEGO
KATEDRA BADAŃ FILOZOFICZNYCH „WSCHÓD - ZACHÓD”
WYDZIAŁ FILOLOGICZNY UNIWERSYTETU W BIAŁYMSTOKU
STOWARZYSZENIE NAUKOWE „OIKUMENE”

SPIS TREŚCI

Od Redakcji.....	7
------------------	---

I. Z romantyzmu

1. Motto romantyczne. Na marginesie lektur	11
2. Petersburg. Burzliwe losy i koneksje polskich pisarzy w stolicy carów	25
3. Samobójcy romantyczni	39
4. Mecenat literacki i artystyczny (XIX i XX wiek)	47

II. Z wieku XX

1. Stefan Żeromski – lata ostatnie	101
2. Mapa. Głos Stefana Żeromskiego w sprawie polskich granic	113
3. Natura Niepodległa	127
4. Zza kulis „Sowizdrzała”	139
5. Jak Tuwim swój młodzieńczy wizerunek korygował	151
6. Tuwim – poetyckie wizje Łodzi	159
7. O wierszu Julii Hartwig <i>Zabawa z mgłą w Kościelisku</i>	169
8. Wat – Giedroyć	175
9. Gombrowiczowska wersja romantycznego buntownika	185

III. Wspomnienia

1. O Ojcu – wspomnienia domowe	193
2. Album Stanisława Lorentza	227
3. Konserwator Stanisław Lorentz na Wileńszczyźnie – przyczynek	265
4. Wyprawa do Wilna	281
5. Jarosław Maciejewski o romantyzmie	297
6. Wspomnienie o Monice Żeromskiej	305
7. Nieborów. Przejmowanie rezydencji. Drobiazgi, uzupełnienia, wspomnienia ..	311

IV. Marginesy, dopowiedzenia, recenzje

1. <i>Antologia polskiej poezji rewolucyjnej 1918–1939</i> . Recenzja	331
2. Moskale usunięci, Litwa też. Recenzja	341
3. Na marginesie <i>Listów z Rosji Astolphe'a de Custine'a</i>	345
4. Stare wzory wiecznie żywe	351
5. <i>Nasza szkapa</i> i inne nieszczęścia	353
6. Stowarzyszenie Nauczycieli Humanistów „Prowincja”	357
Nota bibliograficzna	381
Summary	383
Резюме	385
Indeks nazwisk	387

SŁOWO OD REDAKCJI

Przedstawiamy Państwu tom drugi *Pism rozproszonych i zarzuconych* Aliny Kowalczykowej, zatytułowany *Wobec współczesności. Tematy poważne i mniej serio*.

Przypatrzmy się najpierw formule, w jaką ujęła Autorka dwa tomy swoich prac. Ileż to razy czytaliśmy o pismach rozproszonych, zebranych, wszystkich, wybranych. A tu, proszę, pisma wprawdzie rozproszone, ale i zarzucone! Tak, tę formułę mogła stworzyć tylko pani profesor Kowalczykowa!

Tom prezentowany odsłania najlepsze cechy Jej pisarstwa. Właśnie pisarstwa. Prace tu zebrane nigdy nie zostały wcześniej opublikowane razem. Dopiero to ich wydanie pokazuje w najwyższym stopniu klasę naukową i świetność pióra Autorki, którą bez wahania nazwę w pełni oryginalną eseistką, obdarzoną talentem stylistycznym i narracyjnym, a nade wszystko wyobraźnią. Pozwolę sobie wskazać te cechy jej pisarstwa, które wywierają na mnie wrażenie największe.

Najprzód więc idzie pomysłowość, rzekłbym, zmyślność jej prac. Autorka zawsze przystępuje do pisania z jakimś zaskakująco oryginalnym, przewrotnym pomysłem. Jest, do czego pewnie by się nie przyznała, czułą ironistką. Podważa pewniki humanistycznej erudycji, ale nie rujnuje obrazu świata, do którego, co przebija z każdego jej słowa, czuje prawdziwą miłość. O literaturze, historii (przecież ile w niej tragizmów!) pisze z pasją, a czasem z nieosiągalną dla innych uczonych piór lekkością. Jest w każdej Jej frazie jakiś ruch, wiew, coś, co sprawia, że wszystko tu – myśli, zdania, słowa – pędzi ku celowi ostatniemu, jakim jest mądre zaskoczenie czytelnika.

A dalej – Alina Kowalczykowa, jako się rzekło, jest wyborną i zaprawioną w bojach eseistką. Często: polemistką, nigdy pamphlecistką. Nawet o upiornych głupotach komunistycznego literaturoznawstwa (patrz recenzję *Antologii polskiej poezji rewolucyjnej 1918–1939*) pisze (w warunkach cenzury!) z mistrzowską ironią, lecz bez satysfakcji kogoś, kto zmiażdżył nieokrzesanego barbarzyńcę. To właśnie porządek eseju łączy w sobie jej pasję porządkowania, odkrywania zakrytego poziomu znaczeń z niezwykłą energią jej osobowości. Czy tworzy stustronicowe studium (patrz tom I: *Czas romantyków. Wydarzenia historii a przemiany kryteriów estetycznych*), czy pisze artykuł naukowy, czy to ma być recenzja, czy filologiczny wstęp – we wszystkich tych formalnych wcieleniach ujawnia się porządek porządków pisarstwa i refleksji Aliny Kowalczykowej: esej, eseistyczność, eseizacja.

I jeszcze jedna obserwacja: uczona pisarka lubi figurę „marginesu”, „dopowiedzenia”, ot, pomyślelibyśmy sobie, takiej tam błahostki (uchyla ją bodaj tylko przy

wspomnieniach rodzinnych, ale to zrozumiałe). Niech nas to nie zwodzi. Na jej monografiach, pracach o pejzażach, szaleńcach i samobójcach romantycznych (sam w sobie „rozkoszny” temat), autoportretach, na jej podręcznikach do romantyzmu wychowały się pokolenia polonistów. Ów tekst-fraszka, tekst-błahostka jest tu właściwie zawsze czymś najpoważniejszym a lekko podanym, odkrywczym i obrazoburczym a szanującym tradycję, której uosobieniem są dzieje Jej rodziny, rodziny Lorentzów, od XVIII wieku.

W gruncie rzeczy – a mocny to grunt i jest w nim oparcie – eseje Aliny Kowalczykowej obalając to i owo, przede wszystkim utwierdzają, podważają, wspierają... Co? Tradycję: interpretacyjną, polonistyczną, a nawet, niech się na mnie zezłości Badaczka, narodową.

Ma pisarstwo Aliny Kowalczykowej tę zasadniczą przewagę nad każdym innym, że nie nudzi. Teksty jej czyta się tak, jak były pisane: z niezwykłą pasją, zacięciem, zdumieniem. Słusznie tytani naukowej powagi mogą (i czynią to) zazdrościć uczonej i pisarce tego talentu żywego opowiadania tak o sprawach błahych, jak o najpoważniejszych.

Pisanie Aliny Kowalczykowej wyrasta z biblioteki, zrodziło się jako część wielkiej Bibliotheca Mundi. Ale wyrasta też z życia, z jego wszystkich barw i odcieni. Dlatego ujmując wiedzę, przekonuje mądrością.

Jarosław Ławski

I.
Z ROMANTYZMU



Jean-Baptiste-Camille Corot (1796–1875), *Ruins of the Château de Pierrefonds*, 1825

MOTTO ROMANTYCZNE. NA MARGINESIE LEKTUR

Czy wiesz, co obce słowa znaczą, położone obok twoich słów?
Wiele lub nic. Lub jeszcze coś, czego sam nie rozumiesz.

Księga Mądrości, I, 17

Według sformułowania Stefanii Skwarczyńskiej, motto, czyli „cytat obcego autora”, pełni przede wszystkim trzy funkcje: podkreśla zasadniczy moment utworu, jest złożeniem hołdu dla autora, z którego twórczości cytat został zaczerpnięty, oraz wskazuje tradycję literacką, „...z którą twórca się wiąże i na tle której chciałby być ujmowany”¹. W *Słowniku terminów literackich* podkreśla się z kolei, że motto oświetla „...zamysł autora, cechy charakterystyczne rozwijanego przezeń tematu lub ideologię dzieła. Poprzez umieszczenie motto pisarz daje często klucz do znaczeń swego utworu, a równocześnie sygnalizuje fakt jego osadzenia w określonej tradycji myślowej i literackiej”². Rudolf Böhm w książce poświęconej mottom w angielskiej literaturze XIX wieku unika definiowania pojęcia, a koncentruje uwagę na źródłach i przede wszystkim funkcjach, jakie motta pełnią³.

Mimo że motto wydaje się charakterystycznym chwytem literackim romantyzmu, nie jest oczywiście wynalazkiem tej dopiero epoki. Można je znaleźć choćby u pisarzy polskiego oświecenia – prawda, że raczej sporadycznie, że dobór mott bywał wtedy dość ubogi – z reguły sięgano do tekstów łacińskich, do ograniczonego kręgu nazwisk i tytułów: głównie Wergiliusz, Horacy, Owidiusz. Łacińskie motta epoki poprzedniej tworzą zbiór nie tylko konwencjonalny, lecz i oparty na tekstach, które – przy ówczesnym typie wykształcenia – mogły uchodzić za powszechnie czytelnikom znane; dokumentowały raczej kulturę ogólną niż osobiste gusta autorów. Charakterystyczne, że nie pojawiają się w mottach oświeceniowych autorzy greccy, że brak Pisma Świętego.

A więc zbiór mott konwencjonalny, nieszczególnie interesujący? Niezupełnie – bo jest tu i wspaniały wyjątek. Trembecki (który *notabene* wprowadzał ich

¹ S. Skwarczyńska, *Wstęp do nauki o literaturze*, Warszawa 1954, s. 455.

² Zob.: M. Głowiński, T. Kostkiewiczowa, A. Okopień-Sławińska, J. Sławiński, *Słownik terminów literackich*, Wrocław 1976.

³ R. Böhm, *Das Motto in der englischen Literatur des 19. Jahrhunderts*, München 1975.

stosunkowo wiele, w pismach jest ich kilkanaście), bodaj czy nie pierwszy u nas znakomicie wykorzystał motto w celach polemicznych. Oto toczy się spór poetycki, celem ataków uczonych autorów stał się słynny grafoman czasów stanisławowskich, Józef Bielawski⁴. Wmieszał się do polemik Trembecki, który udając Bielawskiego, pisze wiersz *Bielawski do nieboszczyków, z których jednego już zabił, a drugi jeszcze trochę ziewa* – i opatruje go mottem zaczerpniętym z autentycznego wiersza Bielawskiego; pod nim kładzie podpis: „Z mych wierszy, które do napastnika pisałem”. Motto wzmacnia zatem mistyfikację – prawdziwie z Bielawskiego, potwierdza, że to on jest autorem wiersza – choć z kolei Trembecki nie stara się wcale pisać stylem Bielawskiego. Powstał, także dzięki mottu, galimatias, zgodnie z wolą autora trudny do rozszyfrowania.

Motta łacińskie, tak lubiane przez pisarzy oświecenia, nie zanikną w polskiej literaturze romantycznej – szczególnie Wergiliusz i Horacy będą często przywoływani. Ale dominują już zupełnie inne inspiracje. Krąg autorów i tekstów cytowanych odpowiada oczywiście tradycjom przez romantyków eksponowanym, jest jakby ich manifestacyjną deklaracją. A więc Biblia (bije wszelkie rekordy!), a z wielkich indywidualności wyraźna jest przewaga czterech nazwisk – Byron, Szekspir, Goethe i Dante, dalej – wielka liczba różnych „pieśni gminnych”, przysłów, i wreszcie – bardzo często sięgano do literatury ojczystej, poczynając od Reja, kończąc na Polu i Norwidzie; Mickiewicz był autorem zdecydowanie najliczniej cytowanym.

Motto – przypomnijmy z definicji – ma przywoływać wybrane tradycje, być wyrazem składanego autorom hołdu. Ale jak mogą się z takiej roli wywiązać motta anonimowe, bądź skrzętnie ukrywające autora? Nie myślę tu oczywiście o tych, które są niepodpisane jako wyrażenia powszechnie znane ówczesnej czytającej publiczności (tak można tłumaczyć czasem brak źródła przy cytatach łacińskich), bądź które z dawna funkcjonują bez autora (jak na przykład wypowiedane przez gladiatorów, a zapisane przez Suetona słowa „Ave Caesar, morituri te salutant”).

A dużo jest takich, które są jakby fragmentami jakiegoś utworu, zupełnie nie wiadomo skąd wziętymi. Z faktu, że z reguły nie są rozwiązywane przez komentatorów można wnosić, że większość z nich to teksty mało znane, albo wręcz swobodne parafrazy. Albo – że są swoistą mistyfikacją, że są wymyślone przez samego twórcę, który z jakichś względów nie chce zdradzić swego autorstwa.

Takie motta to przekleństwo dla sumiennego wydawcy. Jak odnaleźć źródło, które autor kamufluje lub uznaje za na tyle mało ważne, że sam go nie podał, lub które w ogóle nie istnieje? Nie można dowieść, że go nie ma, że drobny fragment tekstu, jakim jest motto, jest dziełem oryginalnym; jakże łatwo o wpadkę, gdy ktoś inny przypadkiem jakieś pokrewieństwo genetyczne odkryje. Unika się przeto

⁴ Zob.: Komentarz Jana Kotta w wydaniu *Pism wszystkich Stanisława Trembeckiego* (Warszawa 1953, t. I, s. 283-288).

stwierdzenia wprost, że podejrzewa się autora o kamuflaż, wprowadza się bardziej bezpieczną formułę, iż „źródła nie udało się ustalić”.

Bo pojawia się i pytanie, w jakim celu autor takie motto wprowadza? Przykład – *Władysław Herman* Krasińskiego. Powieść, w której każdy z 32 rozdziałów jest opatrzony odrębnym mottem. Wśród nich 3 są anonimowe, 4 są sygnowane „Bezimienny”, więc także niby bez autora. Podpis „Bezimienny” pojawia się jednak wielokrotnie i później, między innymi pod pierwszym mottem z *Nie-Boskiej komedii* – poczynając od trzeciego wydania dramatu. Pierwotnie tekst motta („Do błędów, nagromadzonych przez przodków, dodali to, czego nie znali ich przodkowie – wahanie się i bojaźń; i stało się zatem, że zniknęli z powierzchni ziemi i wielkie milczenie jest po nich”) opatrzony był podpisem: *Koran*, ks. 2, vers. 18. To motto jest bardzo ważne, poeta lapidarnie wyklada w nim główną ideę dramatu – można przypuszczać, że nie znalazł w pamięci tekstu dobrze tu pasującego, że sam motto wymyślił i dla dodania mu splendoru lub ze zwykłej przekory wspominał *Koran*. Juliusz Kleiner pisał, iż Krasiński „...albo cytat wziął z drugiej ręki, albo popełnił mistyfikację literacką, układając zdanie w stylu zarzutów *Koranu* przeciw niewiernym. W wydaniu trzecim podpisał te słowa «Bezimienny», tj. podał je jako słowa własne”⁵. Jako własne, ponieważ – hipoteza może nie najmocniej ugruntowana – w listach pisał nieraz o sobie jako o bezimiennym poecie. I inne motta «Bezimiennego» byłyby zatem autorstwa Krasińskiego.

Czy podobnie jest we *Władysławie Hermanie*? Niezupełnie – bo przede wszystkim motta pełnią w tej powieści mniej ważną rolę. Zapowiadają nie tyle główną myśl kolejnych rozdziałów, a raczej „...zwracają uwagę czytelnika na erudycję autora”; miało motto „...zapowiadać dalszy tok akcji i wytwarzało taki lub inny nastrój”⁶. Są bardziej składnikiem kompozycyjnym dzieła niż wskazówką interpretacyjną. Otwierają każdy rozdział – osobliwy to wyraz romantycznej „mottomanii”, powtórzona przez Krasińskiego w *Williamie Wallasie* i w *Grobie rodziny Reichstalów*, przez Słowackiego w *Le Roi de Ladava*, przez Sztjrmera w powieści *Czarne oczy*⁷... Motto stało się elementem kompozycyjnym, musiało się pojawić w zarezerwowanym dla niego miejscu na początku rozdziału – gdy nie udało się znaleźć odpowiedniego fragmentu w cudzej twórczości, młody pisarz sam wypełniał luki. Oczywiście, nie można tego dowieść – zawsze może się okazać, że ten lub ów cytat jest reminiscencją jakiejś zapomnianej lektury. Pojawia się tu nadto jeszcze jedna wątpliwość: dlaczego we *Władysławie Hermanie* jakieś motto jest anonimowe, gdy inne są sygnowane «Bezimienny»?

⁵ Komentarz J. Kleinera do motta, w: Z. Krasiński, *Nie-Boska komedia*, „Biblioteka Narodowa”, Wrocław 1962, s. 2.

⁶ Zob.: *Noty i uwagi* Pawła Hertza, w: Z. Krasiński, *Dzieła literackie*, t. III, Warszawa 1973, s. 640-641.

⁷ Zjawisko to nie tylko polskie, lecz ogólnoeuropejskie; wiele jest mott w ówczesnej literaturze francuskiej, niemieckiej, angielskiej...

Anonimowość mott mogła mieć i zewnętrzne przyczyny. Na przykład w książkach wydawanych w kraju wchodziła w grę obawa przed ingerencją cenzury. Zdarzało się, że z tych względów motto wybrane z utworów Mickiewicza umieszczano po powstaniu listopadowym bez podpisu (licząc też z pewnością, że i tak zostanie przez czytelników rozpoznane) lub sygnowano je tylko imieniem czy pierwszą literą nazwiska poety. Tak było z mottem z IV części *Dziadów*, które do powieści *Czarne oczy* wprowadził Szytmer⁸, prawdopodobnie dlatego także Michał Jeziński jako anonimowe zamieścił w *Duszy* i w *Dumaniu nad brzegiem morza* motta wzięte z *Żeglarza* i z *Sonetów krymskich*.

Swoiście anonimowym mottem jest przysłowie. To jedyny bodaj typ utworu, który występuje w mottach w całości, nie jest wyrwany z własnego kontekstu. Zawarta w nim tradycyjna mądrość służy za maksymę utworu, który dzięki takiemu mottu zostaje umiejscowiony w kręgu dawnej, rodzimej kultury. Czasem podkreśla się dodatkowo, że to przysłowie „stare”, a Mickiewicz określi nawet jako „stare przysłowie polskie już zatracone” zwrot „Musi to być prawda, bo wydrukowano”⁹, który, jeśli był kiedykolwiek przysłowiem, to rzeczywiście w tej roli został „zatracony”, bo nie podaje go nawet *Nowa Księga Przysłów Polskich*. Tu mistyfikacja wydaje się zresztą oczywista: anachronizmem byłoby pojęcie druku w tak niby dawnym, zatraconym już powiedzeniu.

Obok rodzimej dawności drugim walorem przysłowia w roli motta jest powszechna jego znajomość – wystarczy drobne przekształcenie (Norwid: „Czy też mądry Polak po szkodzie?”), by od razu zwrócić uwagę na polemiczną czy ironiczną tonację utworu.

To wszystko drobiazgi. Jeśli jednak warto rozpatrzyć osobno motta-przysłowia, to głównie ze względu na twórczość Aleksandra Fredry – opatrzył nimi prawie wszystkie swoje komedie. Zawsze ze starannym wskazaniem źródła, zawsze (z jednym wyjątkiem) tego samego: zbioru przysłów ułożonego przez Andrzeja Maksymiliana Fredrę¹⁰ (wyd. 1658). Objawiają one – tak pisze Krystyna Poklewska – główną myśl utworu; i tak „Pyszny nądzka, kiedy spanoszeje” to charakterystyka postaci Geldhaba, w *Cudzoziemszczyźnie* motto „odnosiło się do Radosta”, a w *Mężu i żonie* „... nawet motto nie miało [...] charakteru morału, było jedynie dość cenioną prawdą życiową”¹¹.

Zaiste zdumiewającą wierność Fredry wobec tej książeczki przysłów, z której czerpał sentencje na przestrzeni kilkudziesięciu lat, można najprościej tłumaczyć chęcią publicznego pochwalenia się znakomitym przodkiem (którym *notabene* An-

⁸ Na fakt opuszczenia nazwiska autora motta (sygnalizowanego tu: M) ze względów cenzuralnych zwrócił uwagę edytor jego powieści, Lech Sokół.

⁹ O artykule „Trybuny” tudzież o starej taktyce stronnictw, w: A. Mickiewicz, *Dzieła*, t. VI, Warszawa 1955, s. 144.

¹⁰ W *Polskim Słowniku Biograficznym* zwraca się uwagę, że te teksty „...są w części autentycznymi przysłowiami, w części przysłowiami sparafrazowanymi przez autora, częścią zaś są przez niego wymyślone”.

¹¹ Zob.: K. Poklewska, *Aleksander Fredro*, Warszawa 1977.

drzej Maksymilian, kasztelan lwowski, wojewoda podolski, wcale nie był – jego linia wygasła już dawniej). Lecz motto powinno spełniać i inne funkcje – przede wszystkim pozostawać w pewnych dość określonych relacjach z treścią utworu. Jeśli jest tych mott kilkadziesiąt, powstaje pytanie o powiązania między nimi a tekstami głównymi. Czy rzeczywiście eksponują one główną ideę komedii? Przede wszystkim – z reguły są nazbyt ogólnikowe, jak na przykład w *Zemście*¹². Bywa i gorzej – w niektórych komediach sprawiają wrażenie dopasowywanych na siłę; niewiele do *Odludków i poety* wnosi motto „Pająk szuka jadu, ale pszczoła miodu”, raczej zawikła niż ułatwi interpretację *Pana Jowialskiego* sentencja „Głodnego żołądka bajką nie zabawić, racją nie odbyć”. Odpada więc karkołomne przypuszczenie, które z racji tytułu mott można by wysunąć, że sztuki Fredry mogą być przez przysłowia inspirowane, że są jakimś ich rozwinięciem. Te motta dają się wprawdzie do komedii dopasować (choć częściej do charakterystyki którejś z osób, niż do myśli przewodniej utworu, co nie jest przecież tym samym!); gdyby jednak popularne sentencje uznać za zapis „głównej idei” – jakże bardzo byłaby ona zbanalizowana, spłaszczona!

Jako kolejną ewentualną funkcję motta Skwarczyńska wymienia przypisywanie utworu do jakiejś tradycji – i tak jest tu z pewnością, wybór przysłów do roli mott osadza komedie Fredry w kulturze rodzimej (i eksponuje rzekomą tradycję rodzinną, co może było dla niego niemniej ważne). Ale zauważmy znów: gdyby tę z kolei funkcję motta uznać za podstawową – wówczas autor objawi się jako ktoś przekornie i demonstracyjnie lekceważący wszystkie uznane wielkości literackie, wszystkie znakomite i modne tradycje; kilkadziesiąt razy sygnalizuje w komediach swe intelektualne koneksje, ani razu nie wymienia żadnego słynnego dzieła. Zamiast powoływać się na to, co w epoce uchodziło za najwyższe osiągnięcia myśli ludzkiej i talentu, jako własne parantele ukazuje wyłącznie sentencje o prostej proweniencji, przechowywane w zbiorowej pamięci i drukowanym tomiku swego antenata. Tu zatem ważne okazuje się nie tylko to, jakie motta wybrał, lecz przede wszystkim fakt, że wszystkie inne możliwe źródła pominął.

Jaką rolę pełni więc motto u Fredry? To sentencja o nieskomplikowanej formie, która wiążąc się z tekstem utworu, wprowadza w komediowy ton całości; która jest jakąś podniętą interpretacyjną – ale na pewno nie wskazuje „głównej idei”, boć sztuki Fredry zawierają o wiele więcej zabawnej i gorzkiej mądrości o świecie niż cytowane przysłowia. I na pewno do tej roli, jaką pełnią one w komediach Fredry, nie pasują przyjęte definicje motta – jest ono czymś innym, co nie znaczy jednak wcale, by było pozbawione znaczenia lub by należało zaliczać je do kategorii „błędów kompozycyjnych”, jak Skwarczyńska określa motto „...niepełniące przynajmniej jednej z powyższych [wymienionych na wstępie tego artykułu – A. K.] funkcji [zwłaszcza na przykład niedostosowane do treści utworu]”.

¹² Tekst motta: „Nie masz nic tak złego, żeby się na dobre nie przydało/ Bywa z węża dryjakiew, złe często dobremu okazują daję”.

Motto wskazuje na koneksje z tradycją – już na podstawie omawianych tu przykładów widać, że czyni to trochę odmiennie i o wiele bardziej demonstracyjnie niż inne sygnały tych powiązań. Bo nie tylko jest wskazówką, daną przez autora wprost, ale znajduje się w miejscu najbardziej eksponowanym. Nie w żadnej przedmowie czy tekście paraliterackim, lecz wewnątrz utworu, otwiera go; i nie jest tylko deklaracją słowną, jest to najbardziej żywotne i dynamiczne do tradycji nawiązanie, konkretne rozwijanie zaczerpniętej z niej myśli w nowym kontekście. Miejsce motta na początku utworu, zaraz po tytule (czasem na karcie tytułowej tomu), wyodrębnienie graficzne z całości, tak że nad nią jakby dominuje, narzuca sugestię, iż jest ono wobec dzieła w jakiś sposób nadrzędne – obce, a zarazem organicznie z nim związane. Jest zatem nie tylko sygnałem świadomego wyboru tradycji, ale sygnałem dla samookreślenia się autora niezwykle ważnym. Mniej to może istotne, gdy motto czerpie się ze źródeł ogólnie znanych, jak na przykład cytaty łacińskie w literaturze oświecenia – ale, jeśli to tradycja autentycznie żywa, wzbudzająca opinie polemiczne, wówczas motto staje się wyjątkowo mocną deklaracją własnych przekonań.

Tak bywa w romantyzmie często – gdy na przykład wyklinany przez Śniadeckiego Szekspir pojawi się w motcie z *Romantyczności*, gdy najlepszym świadectwem przynależności do obozu romantyków stanie się motto z Byrona (tu zresztą można zauważyć, jak długo po przełomie romantycznym będzie uchodziło za znak odważnej nowości – u epigonów i motta są epigońskie).

Sprawa motta jako znaku stosunku do tradycji jest dość skomplikowana w przypadku mott-przysłów, innego rodzaju komplikacje pojawią się tu przy następnej grupie mott anonimowych – tych, które oznaczano jako „z pieśni gminnej”, z „pieśni kozaczej”, z „dumy serbskiej”, z „nawiedzin Bojana” – i tym podobne, a które sugerują związek utworu z tradycją ludową. Są one częste szczególnie w tak zwanej literaturze krajowej. Taki wybór motta jest manifestacją poglądów nie tylko literackich, ale i społecznych, związku poety z krajem ojczystym, często i sympatii regionalnych – zaznaczeniem, że to pieśń „podolska” (Gosławski), „kozacza” (Gordon), „górska” (*Karpaccy górale* Korzeniowskiego). Bywa, że najważniejszą rolą tego motta jest osobliwa „gminna” nobilitacja utworu literackiego – jeśli bowiem jest stylizowany na twór „ludowy”, to oczywiście wprowadzenie w jego obręb fragmentu autentycznie wziętego z folkloru znakomicie tę iluzję umacnia. Jest tak, na przykład, w twórczości Berwińskiego (motta poprzedzające kolejne części utworu *O dwunastu rozbójnikach*), Wolskiego, Ehrenberga, Zmorskiego. Są tu teksty, których autentyczność jest niepewna, są i niewątpliwe autentyki, jak „Stała się nam nowina / Pani pana zabiła” (Zmorski, *Dziwy*) czy „wieść gminna”, że „Nasz Kościuszko dobry był / Bo Moskala dobrze bił” (Adam Celiński, *Kościuszko*).

Maurycy Gosławski zapisuje nawet motto w ludowym, ukraińskim brzmieniu; jest ich kilka, przy czym jedno spośród nich powtarza dwukrotnie („Dwa hołuby

wodu pyły...”), określając je raz jako wzięte z pieśni gminnej podolskiej, drugi raz – z pieśni gminnej na Rusi; wprowadza też dość istotną zmianę, zwrot „ne skonały” wymieniając na „ne rodyły”. Natomiast oczywistą mistyfikacją jest motto „z nawiedziny Bojana”, otwierające tomik *Wiośniarki i szumki* Bohdana Zaleskiego.

Utwór literacki jest zatem swoiście nobilitowany przez wprowadzenie tekstu ludowego – ale naturalnie to nobilitacja obustronna, bo przede wszystkim szlachectwo literackie zdobywają owe „pieśni gminne”; inna, pełniejsza jakby to nobilitacja niż ludowe stylizacje romantyków.

Nieporozumieniem natomiast wydaje się motto „z pieśni gminnej” w XII rozdziale *Władysława Hermana* Krasińskiego. Ma ono wyraźnie sugerować, że „pieśni gminne” nie były Krasińskiemu obce, że sięgał i do inspiracji folklorystycznej: był przecież poetą romantycznej epoki. Ale zupełnie brak związku stylistycznego między tym mottem („Oj, nie bardzo sobie życzę / Oglądać twoje oblicze: / Gotów w zapale wściekłości / Wszystkie potrzaskać mi kości”) a autentycznym językiem „pieśni gminnych”; pasuje raczej do literackiego stylu powieści historycznej Krasińskiego. Mistyfikacja była więc zbyt łatwa do rozszyfrowania. Toteż to motto ujawnia właśnie fakt przeciwny sugestiom poety: romantyczna ludowość była mu nie tylko obca (co skądinąd znakomicie wiadomo), ale też jej po prostu nie rozumiał. Nie potrafił zgrabnie podrobić. Popęłił wyraźny „błąd kompozycyjny”. Ale najważniejsze, i to nie jest żadnym „błędem”, że wyraził w tym miejscu intencję programowego nawiązania do folkloru.

Nie zawsze jest też motto cytatem z „obcego autora”. Pisarze romantyczni – Słowacki, Norwid, Fredro i inni – sięgają po nie także do własnej twórczości. Mieli tu zresztą wzór znakomity – Goethego, który wielokrotnie wiązał w ten sposób dawne swe utwory z późniejszymi (motta stają się swoistym sygnałem ciągłości pisarstwa).

Czy jest jakaś różnica w roli motta czerpanego z własnej i cudzej twórczości? Można przypuszczać, że istnieje mniejsze prawdopodobieństwo sprzeniewierzenia pierwotnego sensu cytatu; lecz jego rola w nowym kontekście będzie oczywiście dokładnie taka sama, jak cytatu „obcego”. Łatwiej jednak analizować sens takiego motta – można je rozpatrywać na tle całej twórczości autora, ten sam klucz interpretacyjny pasuje do motta i tekstu głównego. Przykład takiej właśnie szczegółowej analizy tekstu motta znajdujemy w książce Mieczysława Inglota o *Kordianie*, w której staranne odczytanie sensu cytatu z *Lambra* pozwala zapowiedzieć kierunek interpretacji dramatu:

Słowacki zapowiadał w *Motcie* pragnienie ocalenia narodu przed marazmem niewoli i przygotowanie do decydującej chwili. W tym celu zamierzał skreślić poetycki list, dramatyczną opowieść o błędach przeszłości i kształcie przyszłości. List pisany językiem zakorzenionym w narodowej tradycji. Czytelnikowi rozwijającemu liść aloesu i patrzącemu na tekst *Kordiana* z perspektywy *Motta*, z perspektywy tych poglądów na

rolę emigracyjnego twórcy, które poeta tam przedstawił – taki właśnie sens »słów zmarłych wstania«, taka idea dramatu miała się zarysować wyraźnie¹³.

Zauważmy: cytat z *Lambra* objaśnia tu *Kordiana* – ale jest przecież i odwrotnie; fakt, że został on do *Kordiana* jako motto wprowadzony, pozwala i w *Lambrze* doszukiwać się nowych znaczeń. Wspomnijmy, że w tej wyciętej dla *Kordiana* formie cytat został przejęty jako motto przez Henryka Merzbacha i figuruje na stronie tytułowej tomiku poetyckiego *Z wiosny*.

U Słowackiego, u Norwida te odwołania do własnej twórczości są bardzo ważne, wskazują na ponowne nawiązywanie do podjętej niegdyś problematyki, przy pomocy własnych słów wydobywają z własnej twórczości idee szczególnie ważne. Nie jest tak zawsze, u wszystkich pisarzy – bo i nie zawsze motta pełnią tak centralną rolę. W wierszu Juliusza Strutyńskiego *Do krzyżackiej zbroi wykopanej nad Niemnem* motto, luźno związane z tekstem, przede wszystkim przypomina jego młodzieńczy wiersz. Fredro, opatrując jeden z ostatnich swoich utworów (*Miejmy nadzieję*) sentencją z *Zapisków starucha* wzmocnił raczej jego ironiczny ton, niż dał wskazówkę interpretacyjną, której utwór specjalnie nie potrzebował.

Dotychczasowe spostrzeżenia dotyczyły właściwie kwestii rozmaitych mott „nietypowych”, wykraczających jakoś poza zwyczajowo przypisywane im funkcje. Ale oczywiście podstawowe pytania, jakie należy tu postawić, muszą wiązać się z kwestią relacji myślowych między mottem a utworem – i także między jego sensem pierwotnym, w obrębie tego utworu, z którego cytat zostaje wyrwany, a tym, jakie uzyskuje patronując nowemu dziełu. Ta druga sprawa, z reguły pomijana przez badaczy, wydaje się osobliwie fascynująca.

Zgromadzony zbiór pięciuset mniej więcej mott romantycznych wydaje się próbą reprezentatywną, można na jej podstawie wyprowadzać pewne wnioski. Przede wszystkim łatwo spostrzec, że motta występują wszędzie, bywały u wszystkich znaczniejszych pisarzy, których dzieła pod tym kątem przeglądałam. Bardzo liczne były na przykład u Lelewela¹⁴ (co tym ważniejsze, że są w jego twórczości od początku, od 1807 roku – więc wiele ich jeszcze przed wybuchem polskiej „mottomanii” romantycznej), częste u Krasińskiego, szczególnie w jego utworach młodzieńczych, u Norwida. Mniej, lecz też sporo, u Słowackiego; pośród wielkich najrzadziej chyba wprowadzał motta Mickiewicz. Znamienne, że występowały one we wszystkich gatunkach literackich, w liryce, dramacie, publicystyce, powieści – tu stosunkowo najwięcej miał ich np. Kaczkowski, zaledwie kilka jest u Kraszewskiego. Nie ma więc żadnych wyraźnych prawidłowości, regulujących występowanie motta; w sprawie źródeł – o czym już wspominałam – jedyną chyba regułą jest zbieżność z tradycjami literackimi romantyzmu.

¹³ M. Ingot, *Myśl historyczna w „Kordianie”*, Wrocław 1973, s. 77-78.

¹⁴ Wszystkie motta z dzieł Lelewela wymienione są w książce: H. Hleb-Koszańska i M. Kotwiczówna, *Bibliografia utworów Joachima Lelewela*, Wrocław 1952.

Uderza jednak obfitość cytatów z literatury polskiej. Obok popularności nazwisk tak powszechnie cenionych, jak Kochanowski, Krasicki czy Niemcewicz, podkreślić trzeba fakt sięgania do źródeł mniej znanych, do utworu na przykład Tymowskiego *Dumanie żołnierza polskiego w Hiszpanii* czy do *Rozmów* Tymoteusza Szczurowskiego. Poza tym jest to przegląd uznanych wielkości polskiej literatury – wśród autorów mott nie brak chyba żadnej, jawi się galeria sławy literatury narodowej.

Ponad połowa mott polskiej proveniencji pochodziła z twórczości najbardziej współczesnej, z dzieł romantyków. Czy chodziło tu o łatwe uzyskanie patentu na nowoczesność? Odmierna zupełnie proporcja wśród mott z literatur obcych, w których przeważają teksty dawne, świadczy, że to hipoteza myląca. Należy to zjawisko tłumaczyć inaczej – chyba poczuciem wspólnoty losu i szczególnie intensywnych doświadczeń ostatniego, najmłodszego pokolenia Polaków. Wiersze własnej generacji, ich fragmenty, stawały się w tej sytuacji odwołaniem najbardziej naturalnym.

Kilkadziesiąt (dokładnie: 37) mott pochodzi z dzieł Mickiewicza¹⁵ (najczęściej – *Grażyna*, IV część *Dziadów*, *Konrad Wallenrod*; *Pan Tadeusz* znalazł się tu tylko raz); nie ma prawie żadnych mott z utworów Słowackiego i Krasińskiego; więcej – bo po kilka – jest z *Marii*, z wierszy Goszczyńskiego, Zaleskiego, Odyńca. To także znamienny przyczynek do zagadnienia recepcji twórczości romantyków.

Motto powinno być kluczem do utworu; analiza jego znaczenia powinna objawić ukryte sensy dzieła (o ile ono je oczywiście posiada), pozwalać na pełniejsze rozumienie tekstu. I jest motto takim kluczem w dziełach najwyższej rangi – w twórczości Mickiewicza, gdzie na przykład staranna lektura poprzedzającego IV część *Dziadów* motta z Jean-Paula stanowi najlepsze wprowadzenie w interpretację tekstu; jest tak i w utworach Norwida. Ten jednak problem mogę najwyżej zasygnalizować, nie sposób omówić go w ramach jednego artykułu. By zbadać stosunek motta do „tematu lub ideologii dzieła”, należałoby przeprowadzić właściwie całościową analizę utworu – to tematy dla osobnych rozpraw.

Spróbujmy natomiast wskazać jeszcze kilka szczegółowych spraw z zakresu funkcji motta w obrębie tekstu, do którego zostało wprowadzone. Przede wszystkim można by postawić pytanie, czy bywa tak, że jako motto występuje jakiś fragment obcego tekstu, który stał się inspiracją dla powstania utworu, czy motto bywa świadectwem takiej inspiracji? Bardzo trudno byłoby tego dowieść. Można natomiast w pewnych przypadkach znaleźć świadectwo negatywne, dowodzące, że motto takiej funkcji nie pełniło: jeśli mianowicie istnieją różne autografy, kolejne wersje utworu, jest szansa ustalenia, w którym momencie motto się w nim pojawiło. Czy było od początku (wtedy można byłoby zastanawiać się nad jego „inspirującą” funkcją), czy zostało dopisane później, jak na przykład w *Romantyczności*, do której motto dodał Mickiewicz dopiero przesyłając ją do druku. Zofia Stefanowska zwraca uwagę,

¹⁵ Dla potrzeb tego artykułu wynotowałam około 500 mott.

że stało się ono w tej sytuacji świadectwem przemiany intencji poety, który w kolejnych wersjach utworu łagodził konflikt poznawczy:

Szekspirowskie »oczy duszy«, wprowadzone w ten sposób do tekstu dopiero w redakcji ostatecznej, dają impuls, już od pierwszego wiersza ballady, do przenośnego rozumienia sytuacji »widzenia«. Rzecz to istotna, ponieważ zmysł wzroku, uprzywilejowany, jak się zdaje, w romantycznej teorii poznania, w tym utworze pełni z pewnością szczególną rolę¹⁶.

A zatem i w taki sposób motto może okazać się ważne; moment jego wprowadzenia do utworu zawsze jest znaczący. Moment wprowadzenia – lub fakt usunięcia; w rękopisie *Nie-Boskiej komedii* znajdowały się, prócz tych dwóch, które pozostały na początku dramatu, jeszcze cztery motta, wykreślone później przez poetę.

Sprawa następną. Motto zostaje do utworu wprowadzone, a wraz z nim – jakaś sygnalizowana przez nie tradycja literacka. Sprawa prosta, gdy utwór ma jedno motto; ale wikła się, gdy jest ich wiele, gdy własne motto ma każda wyodrębniona część dzieła. Nie budzi to niepokoju, jeśli – jak wspomniane motta ludowe w opowieści Berwińskiego *O dwunastu rozbójnikach* – odwołują się one do źródeł jednorodnych. Lub jeśli widomy jest klucz doboru mott: na przykład, gdy Słowacki każdy rozdział swojej francuskiej powieści *Le roi de Ladava* poprzedza mottem francuskim, to choć za każdym razem sięga do innego znakomitego autora, wydaje się jasne, że dobiera je z myślą o czytelniku, że miały one w tym przypadku osadzić utwór w klimacie tamtej kultury, ukazać erudycję autora-obcokrajowca. Ale *Czarne oczy* Szyrmera, czy tylekroć już wspomniany *Władysław Herman* Krasińskiego? Mnóstwo mott: ich różnorodne źródła można by interpretować jako świadectwo synkretycznego stosunku romantyków do tradycji – gdyby odgrywały istotną rolę w rozwijaniu się koncepcji intelektualnej dzieła. Gdyby jednak miały wskazywać rzeczywiście krąg tradycji jednego utworu, jednej powieści – musiałaby ona stać się przedziwnym zlepkiem cząstek, prezentujących najrozmaitsze postawy intelektualne i artystyczne. Jeśli tak nie było ani w jednym, ani w drugim przypadku, to dlatego że, jak sądzę, u Krasińskiego była to tylko gwałtowna deklaracja programowa, nie znajdująca pokrycia w tekście dzieła, a z kolei w stylistyce powieści Szyrmera motta mogły być traktowane nie całkiem serio.

Najczęściej jednak jest w utworze jedno motto, zaś jego autor, a czasem i tytuł dzieła, jest podany. Nie ma wątpliwości, jakie koneksje pisarz pragnął uwypuklić.

Z tą programową funkcją motta nie zawsze z kolei zgadza się jego rola „klucza do znaczeń utworu”. Czy bowiem zawsze taki idealny klucz, gdy szuka się motta, jest do znalezienia? I czy kluczem na przykład z *Hamleta*, choćby był wskazany przez autora, należy otwierać drzwi do utworów także intelektualnie pustych? Po-

¹⁶ Z. Stefanowska, *O „Romantyczności”*, w: *Próba zdrowego rozumu. Studia o Mickiewiczu*, Warszawa 1976, s. 33.

wiązania między mottem a kontekstem, do którego zostało wprowadzone, są czasem minimalne, istnieją raczej w sferze marzeń pisarza niż w rzeczywistości.

Motto to ten fragment utworu, który wyjątkowo dobrze nadaje się do pełnienia roli deklaracji ideowej; toteż jego programowy charakter (to więcej, niż tylko sygnał przynależności do jakiejś tradycji) często bywa o wiele ważniejszy niż powiązania formalne między tekstami literackimi. Gdy Edward Dembowski trzykrotnie wprowadza jako motta słowa z *Ody do młodości*¹⁷ (to zresztą jedyne u niego motta z Mickiewicza), gdy wprowadza je Gordon w *Soldacie* i Garczyński w *Wacława dziejach*, gdy poeci przywołują *Konrada Wallenroda* – motto staje się niezwykle dynamiczną częstką nowego utworu, wprowadzeniem, jakby oznaczeniem tonacji całości, która jego patriotyczny sens aktualizuje. To nie tylko budowanie swego rodowodu, lecz przede wszystkim znak postawy, dlatego tak się eksponuje *Odę do młodości*, dlatego *Hymn do Polski* Lamennais'ego ożywa w *Proroctwie kapitana polskiego* Wincentego Pola.

Kolejny problem – niedokładności w zapisie tekstu cytowanego. Mogą oczywiście być rezultatem czerpania cytatu z drugiej ręki lub z mniej znanego wydania czy tłumaczenia utworu obcego (na przykład różne wersje Biblii). Albo – rezultatem cytowania z pamięci, co z kolei jest dowodem niezwykłego zżycia z cytowanym dziełem.

Obok takich odmienności czy opuszczeń zauważamy jednak zmiany, które pisarze wprowadzają świadomie. Gdy wybrany fragment niezupełnie pasuje do własnego utworu, przeprowadza się drobny retusz – robił tak Krasziński, zamieniając np. słowo „moich” na „jego” w cytacie („Lecz w piersiach moich piekło zawrzało”) ze *Zbrodniarza* Odyńca. Bardziej interesujące są oczywiście takie zmiany, które celowo nadają już samemu motto nowe znaczenie – nie przekreślając przecież dawnego. Tak postąpił Norwid z przysłowiem „Mądry Polak po szkodzie”, o czym już wspominałam. Inna zmiana wprowadzona przez Norwida była jeszcze bardziej znacząca: słowa „Ave Caesar, morituri te salutant” zmienił na „Morituri te salutant, Veritas”, i w tym nowym brzmieniu wprowadził je do swych dzieł aż trzykrotnie (*Scherzo* [III], *Wstęp do Promethidiona*, *Z pamiętnika*). Veritas, Prawdę, już w obrębie motta, umieścił w ten sposób w patetycznym kontekście ostatnich słów gotujących się do śmiertelnego spotkania gladiatorów.

Tu już przechodzimy do kwestii przemian znaczenia, jakim podlega motto w nowym kontekście. Uzupełnienie cytatu, zmiana słów – w wierszach Norwida eksponowane raczej, a nie skrywane przez poetę – to przypadki oczywiste. Wyrwanie cytatu z jego pierwotnego kontekstu, wprowadzenie go w rolę patronowania nowemu zawsze narzuca mu nowy sens. Motto ma być wskazówką interpretacyjną, podsuniętą przez autora; ale też całość nowego tekstu nasuwa potężne sugestie, jak z kolei należy to motto rozumieć; oświetlanie sensu jest tu obustronne (zob. zapisane wcześniej uwagi o *Kordianie* i *Lambro*).

¹⁷ W artykule *Od redakcji „Przeglądu Naukowego”*, w *Ułamkach z badań o umnictwie i w urywkach Prawdy i marzenia*.

Przypadek skrajny – to parodystyczne potraktowanie cytatu, wpisanie go w utwór o tonacji jawnie sprzecznej z macierzystym kontekstem motto. Przykład – cytat z *Irydiona* („Nieszczęście, jak miłość, wiąże ludzi z sobą”) w wierszu Aleksandra Rypińskiego *Liścik do... Żarcik, czyli krotochwilka*; pierwszy już wers (tak jak i tytuł!) „Synogarliczko moja! ptaszku mój iedyny” – nie nasuwa wątpliwości, że rzeczywiście mamy do czynienia z „żarcikiem”, zestawienie z tragicznym tonem słów z *Irydiona* miało pobudzić do śmiechu. Pomysł na miarę talentu Rypińskiego. Tu przeinaczenie sensu słów motto było z góry zamierzone. Ale jest on jakoś przeinaczany zawsze – bo zawsze przytłaczany przez sens nowego utworu, w którego świetle widzimy także motto. Staje się ono łącznikiem między dwoma tekstami, łącznikiem osobliwie ważnym ze względu na swą eksponowaną rolę; może składać się z paru tylko słów lecz, sygnalizując źródło z jakiego zostało wprowadzone, jest jednocześnie odwołaniem do całości tamtego utworu, ukazuje go pamięci czytelnika jako szerokie myślowe tło. Bo ogromna większość mott pochodzi z utworów, które ówczesnej czytającej publiczności powinny być dobrze znane. I tak, gdy Wincenty Pol swój wiersz *Napad* opatruje związłym mottem „A kysz! A kysz!”, podpisuje je „Adam”, by przypadkiem ktoś nie przeoczył, że sięga nie do porzekadeł ludowych, ale nawiązuje do II części *Dziadów*. Tu już wyraźnie nie słowa samego motto są ważne, lecz szansa powiązania poprzez nie swojego utworu z dziełem Mickiewicza.

By motto pełniło właściwie swą rolę, pierwotny sens cytatu powinien zostać mniej więcej zachowany, uszanowany niejako w nowym kontekście. Dzieje się tak zawsze w dziełach Mickiewicza, Norwida, Słowackiego. Lecz niefrasobliwość większości poetów romantycznych jest w tym miejscu ogromna. Zbyt często ważne wydaje się to tylko, by ten maleńki fragment, parę słów dowolnie wyrwanych z kontekstu cudzej wypowiedzi, jakkolwiek pasował do własnego tekstu; problem wierności wobec zawartości myślowej oryginału zdaje się nie istnieć. Ani lęk przed tym, że czytelnik może – wiążąc utwór z całym wskazanym przez motto pierwotnym wzorem – zupełnie mylnie zrozumieć myśl pisarza.

Słowa upiora z dramatycznego zakończenia *Lilii* Mickiewicza „Mnie księżę stulą wiąź!” wziął Odyniec za motto do wiersza *Ofiara przerwana. III. Ślub*, kończącego się *happy endem*: spóźniający się kochanek w ostatniej chwili wbiega do kościoła, odtrąca rywala, poślubia swą wybrankę. Równie iluzoryczne są powiązania między *Konradem Wallenrodem* a XXI wierszem z cyklu *Z podróży* Wincentego Pola, sygnalizowane mottem „Serce i potok ostrzegać daremnie”. Nieporozumieniem zupełnym jest motto „Nieszczęśliwy, kto próżno o wzajemność woła” z sonetu Mickiewicza *Rezygnacja* wprowadzone do II rozdziału *Grobu rodziny Reichstalów* Krasińskiego; tu w dodatku sytuacja jest odmienna niż w pierwowzorze, dziewczyna nie kocha i cierpi nie z braku wzajemności, a oblubieniec nie jest nieszczęśliwy, lecz mściwy i groźny. Podobnie bez sensu wydaje się motto z Szekspira „Są cuda w niebie i na ziemi...” użyte w wierszu Ehrenberga *Łódka na Morskim Oku*, w którym te „cuda”

mają zupełnie realny odpowiednik: piękno przyrody tatrzańskiej. Takich przykładów lekceważenia kontekstu, z jakiego motto zostało wyrwane, można przytoczyć bardzo wiele. O czym to świadczy? O tym naturalnie, że w tych utworach sens motta i nawet powierzchowne powiązania, jakie istniały między nim a treścią tekstu własnego, były znów o wiele mniej ważne niż deklaracja programowa, niż pokazanie wszem i wobec, że oto własne dzieło należy do kręgu inspirowanego przez Mickiewicza, Byrona, Szekspira...

Ale bywa też inaczej. Obcy tekst może zyskać nowy blask, nową świetność dzięki przywołaniu go w utworze romantycznym. W martyrologicznym kontekście prześladowań i nadziei patriotycznych jakże mocno brzmią słowa *Psalmu LXVI* Kochanowskiego („Prawieś nas, o wieczny Boże, / Ogniem spróbował: nie może / Srebra lepiej nikt doznawać / I ognia więcej dodawać”) jako motto wiersza filomaty Feliksa Kułakowskiego *Do Józefa Kowalewskiego gdy z Kazania odjeżdżał na Wschód* (1828)¹⁸. Z utworu o charakterze religijnym wprowadzone do wiersza o zupełnie innej tonacji, patriotycznej i przyjacielskiej zarazem, znakomicie tu pasują; dozwalają wierzyć, że sybirskie rozstanie będzie „ostatnią próbą”, po której „wróci wiek złoty”, wolność ojczyzny. Wiersz, w którym znalazło się to motto, narzuca próbę odmiennego odczytania, aktualizacji utworu Kochanowskiego; interpretacji, która nie mieści się wprawdzie w intencjach poety, ale z pewnością nie jest z nimi sprzeczna.

Ciągłą stałość patriotycznych dążeń Polaków ukazuje wprowadzenie pieśni Konrada ze sceny więziennej III części *Dziadów* jako jednego z mott do *Dziesięciu obrazów z wyprawy do Polski w 1833 r.* Michała Chodźki. Dzieje filomatów zostały przypomniane w ten sposób jako bliska tradycja dla następnego pokolenia, dla emisariuszy. Książka Chodźki aktualizuje podobnie różne utwory – poprzedzony mottem jest każdy *Obraz*. Buduje się w ten sposób jakby rodowód ideowy ruchu emisariuszy. Niektóre z mott, bardzo rozbudowane, jak choćby cytat z Robespierre’a, są dodatkowo małym wykładem poglądów ideowych autora. I oczywiście w każdym tekście odnajduje się coś nowego, jakieś idee, które właśnie w ówczesnej sytuacji politycznej okazują się żywo aktualne. Zwróćmy uwagę, że kryje się tu większa szansa modelowania cudzych poglądów wedle własnych potrzeb niż w innych kształtach literackiego odwołania do tradycji. Motto jest bowiem cytatem krótkim, do którego nie daje się odrębnego komentarza – bo ewentualnym komentarzem, swobodnym, ma być cały utwór. Można więc łatwo z rewolucjonisty Robespierre’a zrobić patrona patriotycznego zrywu młodzieży szlacheckiej.

Nieoczekiwane dość może się wydać motto z Kochanowskiego, użyte w *Marii* Antoniego Malczewskiego. Okazuje się, że słowa z *Pieśni IX* („Wszystko się dziwnie plecie / Na tym tu biednym świecie; / A ktoby chciał wszystkiego rozumem dochodzić, / I zginie a nie będzie umiał w to ugodzić”) doskonale pasują do agno-

¹⁸ Feliks Kułakowski i Józef Kowalewski zostali zesłani po procesie filomatów i filaretów; w 1828 roku Józef Kowalewski przeniósł się do Irkucka na studia językowe.

stycznego pesymizmu *Marii*. Czy Malczewski sprzeniewierzył się myśli Kochanowskiego? Czy też wydobył i uwypuklił walory tekstu, które właśnie w oderwaniu od całości odkrywają się, tym mocniej ujawniając wspaniałą wieloznaczność sentencji?

Można by o mottach pisać bardzo wiele. Ten szkic ma jednak charakter tylko rekonesansu. Zamierzałam przede wszystkim poprzez przyjętą w terminologii naukowej definicję ogólną spojrzeć na motta romantyczne, uchwycić ich cechy szczególne i osobliwości. Pobieżny nawet przegląd problematyki wskazuje, że są to motta chyba o wiele bardziej zróżnicowaną i dynamiczną częścią wielu utworów, niżby to wynikało z przyjętych ustaleń. Kilka uwag od razu się nasuwa.

Motta znajdują się w utworach na szczególnie ważnym miejscu – toteż każde słowo w nich zapisane znaczy więcej, niż gdyby było dalej wtrącone do utworu. To podnosi ich rangę, sprawia, że powinno się traktować je z większą uwagą.

Motto bywa nie tylko złożeniem komuś hołdu, lecz również cennym świadectwem recepcji obcej twórczości (gdy rozpatrujemy większe zbiory mott) lub jej kształtu, gdy analizujemy związek między tym fragmentem a nowym kontekstem; osobliwie interesujące świadectwo stosunku pisarza do obcego dzieła, sposobu lektury.

O dynamicznej i ważnej pozycji motta świadczy nadto fakt ogromnie różnorodnego wykorzystywania go przez pisarzy. Romantycy posługiwali się nim dla bardzo rozmaitych celów; obok zadania podstawowego, jakim było oświetlenie tematu lub ideologii dzieła, pełniło ono także funkcje polemiczne, zabawowe, mistyfikacyjne itp. Przykłady podawałam w niniejszym artykule. Wskazują one, że motto traktowano wyraźnie jako chwyt literacki o wielu zastosowaniach.

Chociaż więc prawdą jest, że – jak piszą badacze – motta wskazują tradycje i główne idee czy myśli utworu – najbardziej istotną ich cechą, w każdym razie w literaturze romantycznej, jest to, że nie tylko „wskazują”, lecz „budują” nastrój, idee, tradycje. Że są twórczą częścią dzieła.

PETERSBURG. BURZLIWE LOSY I KONEKSJE POLSKICH PISARZY W STOLICY CARÓW

Wy, czy mnie wspominać! ja, ilekroć marzę
O mych przyjaciół śmierciach, wygnaniach, więzieniach,
I o was myślę; wasze cudzoziemskie twarze
Mają obywatelstwa prawo w mych marzeniach.

Gdzież wy teraz? Szlachetna szyja Rylejewa,
Którąm jak bratnią ścisnął, carskimi wyroki
Wisi do hańbiącego przywiązana drzewa;
Kłątwa ludom, co swoje mordują proroki!

(Adam Mickiewicz, *Do przyjaciół Moskali*)

Petersburg. Stolica Rosji przez ponad dwa wieki, od 1712 do 1918 roku. Miasto bez przeszłości, powstające na bagnach, imponujące ogromem, rozmachem i tempem budowy, miasto, którego bogactwo i świetność fascynowały ludzi Zachodu.

Petersburg zapisał się wielkimi literami także w polskich dziejach. Przez cały rozbiorowy okres naszej historii to tu zapadały wszelkie decyzje Polski dotyczące, tu jeżdżono, by uzyskać zezwolenia umożliwiające jakiegokolwiek złuzowanie zakazów dławiących rozwój kraju. Ale też tu rozpoczynały się kariery Polaków osiagających wysokie stanowiska w rosyjskiej administracji państwowej i zdobywających fortuny, osiedlających się na stałe – lecz pielęgnujących swe polskie korzenie. Tu wywożono grabione po rozbiorach skarby sztuki i warszawskie biblioteki – Stanisława Augusta, zbiory Załuskich, potem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Uniwersytetu Warszawskiego... Tu dominowały pałace cara i arystokracji, uderzał kontrast przepychu i nędzy, oszałamiający przybyszy z Zachodu, rozkwitała sztuka i instytucje kultury. Tu studiowali i pędzili życie polscy artyści, tu w poszukiwaniu sławy i fortuny przyjeżdżali aktorki z Paryża i Warszawy.

Szansę zadzierzgnięcia lub konieczność zerwania bliższych związków personalnych między polskimi i rosyjskimi artystami i poetami tworzyły zawsze wydarzenia wielkiej historii. Ale także polsko-rosyjskie koneksje rodzinne arystokracji, łączące małżeńskimi więzami najwybitniejsze rody, utrwalane przez wspólny europejski model edukacji towarzyskiej i kulturalnej.

Z wydarzeń wpływających na dalszy przebieg polsko-rosyjskich relacji można wspomnieć głośny romans przysłego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego z żoną cara Piotra III, późniejszą carycą Katarzyną II. Stanisław August przybył do Petersburga w czerwcu 1755 roku, romans ten trwał – z przerwami – dwa lata. „Przebywanie na śliskim gruncie rosyjskiej stolicy było dlań szkołą dyplomacji i przystosowania się do zmiennych a niełatwych sytuacji”, a poznanie środowiska petersburskiego było z tej perspektywy bardzo ważne – pisał Stanisław Michalski¹. Przyszły król wrócił do stolicy carów dopiero w 1797 roku, po rozbiorach Polski i po śmierci Katarzyny, zaproszony przez Pawła I, i tam, w Pałacu Marmurowym nad Newą, dokończył żywota.

Nieco wcześniej, w grudniu 1796 roku, opuścili twierdzę Pietropawłowską czołowi polscy działacze patriotyczni z czasu Sejmu Czteroletniego i insurekcji kościuszkowskiej, między innymi Tadeusz Kościuszko i Julian Ursyn Niemcewicz (uwięzieni po bitwie pod Maciejowicami w grudniu 1794 roku). Zwolniono ich natychmiast po śmierci Katarzyny (mówiono, że z grona żywych została usunięta przez syna obejmującego tron jako Paweł I), by mogli, wraz ze znacześniejszymi Polakami przebywającymi właśnie w rosyjskiej stolicy, złożyć wiernopoddańczy hołd carowi i uczestniczyć w (groteskowych!) uroczystościach żałobnych. Jednak powszechną amnestię, po której wielu Polaków wróciło do domów, dary, jakimi został przez nowego cara hojnie obdarzony Kościuszko (i wyposażony na drogę Niemcewicz), można było odczytać jako zapowiedź łagodniejszych, choć w więzieniu zrodzonych polsko-petersburskich związków, także literackich. Przez około dwa tygodnie Niemcewicz pozostawał jeszcze w Rosji – Polacy, zarówno bawiący w Petersburgu, jak i świeżo wypuszczeni z więzienia, uczestniczyli w uroczystościach pogrzebowych Katarzyny II i wydobytego z grobu (ponoć zamordowanego na jej polecenie) Piotra III. Uczestniczył w tych uroczystościach przebywający właśnie w Petersburgu młody Adam Jerzy Czartoryski, zaprzyjaźniony z następcą tronu, Aleksandrem I (który z kolei ze swej drogi do przejęcia władzy usunął później ojca, Pawła I...). Czartoryski w pamiętnikach opisał, jak w tych okolicznościach wykorzystywał arystokratyczne koligacje i pozyskiwał względy monarszej rodziny, by łatwiej wydobyć z sekwestru majątki ojca: „Mieliśmy po kilku tygodniach bardzo licznych znajomych w arystokracji, a obiadom, balom, koncertom, wieczorom nie mogliśmy czasem wystarczyć”².

I dopiero po burzliwych latach wojen, zakończonych Kongresem Wiedeńskim w 1815 roku, powołane do istnienia Królestwo Polskie z rosyjskim monarchą na tronie na kilkanaście lat odmieniło tę sytuację. Liberalna konstytucja zapewniająca wolność słowa, zniesienie cenzury i dalsze poszerzanie swobód rozbudzały chwilowe nadzieje Polaków. Jakże krótkotrwałe i złudne były te nadzieje, wkrótce się okazało.

¹ S. Michalski, *Stanisław August Poniatowski*, Warszawa 2009, s. 19-20.

² A. J. Czartoryski, *Pamiętniki*, tłum. K. Scipio, oprac. L. Gadon, t. 1, Kraków 1904, s. 36.

Świadczą o tym dzieje rozwoju i upadku przyjaznych relacji polskich i rosyjskich pisarzy. Sprawa księcia Piotra Wiaziemskiego, rosyjskiego intelektualisty i poety rozpoczynającego w Warszawie karierę dyplomatyczną, jest tego znakomitym przykładem. Wiaziemski przybył do Warszawy na polecenie Aleksandra I w marcu 1818 roku, by objąć stanowisko sekretarza w kancelarii Nowosilcowa. Opinię o Polakach miał już wyrobioną, ukształtowaną wedle potocznych wyobrażeń i stereotypów, eksponujących ich pijaństwo, awanturnictwo i prywatę. Ponoć niweczyli wysiłki łaskawego monarchy, który – o czym wtedy był przeświadczony Wiaziemski – mądrze dążył do podniesienia poziomu bytu materialnego i kultury obyczajów podległego mu kraju. Księżę naiwnie ufał w szlachetne intencje monarchy i te mniemania uzupełniały przesyceny pogardą wizerunek Polaków (nie obejmował on oczywiście osób z wyższej sfery). Był przekonany, że utworzenie Królestwa Polskiego jest wyświadczonym Polakom dobrodziejstwem, wierzył w dobre intencje cara, wymagał od Polaków wdzięczności i posłuszeństwa. Jednak jako bystry obserwator szybko korygował poglądy. Po dwunastu miesiącach, 4 sierpnia 1819 roku, zapisał w notatniku:

Często rozmyślałem o losie Polski, lecz jej nieszczęścia przemawiały do mnie językiem politycznej konieczności. Tutaj [w nocy, w Łazienkach – A.K.] po raz pierwszy Polska odezwała się do mnie głosem poezji. Przeraziłem się i byłem gotów krzyknąć: „Cesarzu, wskrześ Polskę!”³.

Dojrzał fałsz kryjący się za słowami monarchy.

Na przemianę jego opinii mogło wpłynąć zamknięcie przez cenzurę nieco niepokornej „Gazety Codziennej Narodowej i Obcej”. Wiaziemski wielokrotnie narażał się bezskutecznymi interwencjami w tej i innych sprawach, aż w styczniu 1821 roku został karnie odwołany do Rosji z zakazem powrotu. Niemcewicz pisał do niego w pożegnalnym liście: „nigdy nie zapomnę szczęśliwych momentów, jakie spędziłem w Pańskim towarzystwie. Żegnaj więc, mój drogi Księżę, bądź tak szczęśliwy, jak na to zasługujesz, życzę tego z głębi serca”⁴.

Czas spędzony w Warszawie zmienił nastawienie księcia Wiaziemskiego do cara i do Polaków. Zachował miasto w czulej pamięci i żegnał je słowami: „Warszawo, Warszawo, serca mojego ojczyzno! Mojego wspomnienia gorycz i trucizno!”⁵.

³ Z notatników i listów księcia Piotra Wiaziemskiego, tłum. A. Kępiński, R. Łużny, wstęp R. Łużny, Kraków 1985, s. 26.

⁴ List z 6 VIII 1821 r.; cyt. za: S. Fiszman, *Piotr Wiaziemski w Warszawie*, w: tegoż, *Archiwalia Mickiewiczowskie*, Kraków 1962, s. 51. Zob. także: A. Kowalczykowska, *Księżę Wiaziemski w Warszawie*, w: tejże, *Wokół romantyzmu. Estetyka – polityka – historia*, red. nauk. i oprac. A. Janicka, G. Kowalski, Białystok 2014, s. 179–188.

⁵ Cyt. za: Z notatników i listów księcia Piotra Wiaziemskiego, il. 17. Pod fotokopią wiersza znajduje się dopisek Wiaziemskiego: „Nowy członek Towarzystwa Przyjaciół (a osobliwie przyjaciółek!) [słowo nieczytelne], miłości, mazurków [słowo nieczytelne], Kawy, ponczków [sic!] i tp.”.

Po powrocie księcia do Rosji utrwaliły się jego nastroje opozycyjne wobec monarchy; przyjaźnił się z dekabrystami, należał do środowiska zbliżającego wtedy na gruncie demokratycznych przekonań politycznych Rosjan i Polaków. Przejawem tych sympatii były tłumaczenia wierszy polskich poetów, przede wszystkim Mickiewicza; przetłumaczył też (prozą) *Sonety krymskie*. Polskie przyjaźnie Wiaziemskiego uległy jednak gwałtownemu zerwaniu po wybuchu powstania listopadowego. Książę mógł nie znosić cara, lecz był Rosjaninem, nie mógł aprobować ani zrozumieć wolnościowych dążeń Polaków będących w konflikcie z interesami imperium rosyjskiego.

Ślady dawnych przyjaźni przetrwały jednak w prywatnej korespondencji, w listach Wiaziemskiego do żony, do Aleksandra Turgieniewa. W odpowiedzi na doniesienie tegoż o jakichś przykrych insynuacjach dotyczących Mickiewicza Wiaziemski prostował: „nie rozumiem również, co mogłeś słyszeć drożnego o poecie? Mam nadzieję i wewnętrznie przekonany jestem, że wszystko to są głupstwa i niemądre plotki”⁶. W tejże korespondencji pojawił się temat ewentualnej publikacji paryskich prelekcji Mickiewicza w Moskwie – lecz upadł z powodu przewidywanych obiekcji cenzury.

W pierwszych dniach listopada 1824 roku Mickiewicz przybył z Wilna do Petersburga, by zgodnie z wyrokiem sądu w sprawie filomatów udać się stąd dalej do „oddalonych od Polski guberni”. Jego przyjazd poprzedziła wzniosła fama o więzionym i skazanym na zesłanie poecie, toteż w Petersburgu od razu został otoczony przez polskich i rosyjskich przyjaciół. Szybko nawiązał znajomość także z kręgiem rewolucjonistów, przyszyłych dekabrystów, którzy do swych radykalnych postulatów wpisali przywrócenie polskiego państwa i planowali nawiązanie współpracy z warszawskim Towarzystwem Patriotycznym. U Aleksandra Bestużewa-Marlińskiego Mickiewicz poznał wtedy Konrada Rylejewa, utalentowanego poetę i przywódcę ruchu dekabrystowskiego, poznał księcia Aleksandra Odojewskiego (który, zesłany, a potem wcielony do wojska, zmarł, służąc w batalionie karnym na Kaukazie) i jego brata Włodzimierza, a wśród innych księcia Eugeniusza Obolenskiego (który, skazany w procesie dekabrystów, ponad trzydzieści lat spędził na Syberii).

Petersburg był miastem, które najmocniej utrwaliło się w pamięci i wyobraźni Mickiewicza, był jakby uosobieniem carskiej Rosji. Kilka lat później poeta odmalował jego obraz w *Ustępie* do III części *Dziadów*:

Tu grunt nie daje owoców ni chleba,
Wiatry przynoszą tylko śnieg i słoty;
Tu zbyt gorące lub zbyt zimne nieba,
Srogie i zmienne jak humor despoty.
Nie chcieli ludzie – błotne okolice

⁶ List z 11 X 1842 r.; cyt. za: W. Lednicki, *Przyjaciele Moskale*, Kraków 1935, s. 348.

Car upodobał – i stawić rozkazał
Nie miasto ludziom – lecz sobie stolicę;
Car tu wszechmocność woli swej pokazał.
(Petersburg)

To wola cara: porażająca, niezwykła potęga ucieleśniona jako „kaskada tyraństwa” w *Pomniku Piotra Wielkiego* i dalej kontrast w *Przeźłądzie wojska*, nasuwający na myśl analogię losu i niewoli nieszczęsnych poddanych despoty, Rosjan i Polaków:

Ach, żal mi ciebie, biedny Słowianinie! –
Biedny narodzie! Żal mi twojej doli,
Jeden znasz tylko heroizm – niewoli.
(Przeźład wojska)

I wreszcie w cytowanym na wstępie wierszu *Do przyjaciół Moskali*.

Nie jest to Petersburg pełen polskich i rosyjskich druhów, w którym Mickiewicz bawił się i zdobywał sławę wielką nadspodziewanie. Tu jest groźny i wrogi, przytłacza ogromem gmachów, pomników i ludzkiego okrucieństwa. Czy tak, jako miasto o dwóch obliczach, widział je już wtedy, gdy był w Rosji, czy też było to spojrzenie uformowane dopiero przez dramatyczne wydarzenia historii, z dalekiego oddalenia, z obcego kraju?

Pod koniec stycznia 1825 roku Mickiewicz opuścił Petersburg, udając się przez Moskwę do Odessy. Powrócił do stolicy 4 grudnia 1827 roku jako poeta o ugruntowanej sławie, autor *Sonetów krymskich* i *Konrada Wallenroda*, poematu, którego cenzuralne perypetie opóźniające publikację były szeroko znane. „Przybycie jego do Petersburga sprawiło niesłychaną sensację. Rosjanie i Polacy prześcigali się w okazywaniu mu poszanowania. Prowadzimy życie prawdziwie karnawałowe, jedne obiady, aż za północ przeciągające się, szybko idą po drugich, a i tak zaprosin wszystkich przyjmować nie może” – notował Mikołaj Malinowski⁷. Znow ten kontrast (i świadomość pewnej niestosowności własnych zachowań) zanotowany wcześniej przez Czartoryskiego: zniechęcony kraj i wspaniale na zabawach spędzany czas. Przez ponad dwa lata Mickiewicz krążył między Petersburgiem i Moskwą (gdzie miał pomagać księciu Golicynowi w pracach biurowych). Tym razem był w Petersburgu niespełna dwa miesiące; przed kolejnym wyjazdem poety do Moskwy Walenty Wańkowicz namalował jego portret „na Judahu skale”, rozpowszechniany w niezliczonych kopiach i replikach.

Mickiewicz witany był entuzjastycznie, rozrywany towarzysko. Wykaz przyjęć, na których bywał, i zawieranych przyjaźni jest imponujący, choć niekompletny; składa się go na podstawie wspomnień i listów. Przed opuszczeniem na zawsze Petersburga przez Mickiewicza Antoni Odyniec zapisał: „Wczoraj Adam zawiózł mnie

⁷ List Mikołaja Malinowskiego do Joachima Lelewela, Petersburg, 28 XII 1827 r. (9 I 1828 r.); cyt. za: L. Gomolicki, *Dziennik pobytu Adama Mickiewicza w Rosji 1824–1829*, Warszawa 1949, s. 219–220.

do poety Kozłowa, któremu, jak wiesz, dedykował swojego *Farysa*. Trzech, których nade wszystko pragnąłbym poznać: Puszkina, Żukowskiego i księcia Wiaziemskiego, w tej chwili na nieszczęście nie ma w Petersburgu. Wszyscy oni należą do najbliższych przyjaciół Adama, którym on też serdeczną wzajemnością odpłaca”⁸.

Ale inny to był już Petersburg i inne przyjaźnie. Krwawe stłumienie buntu dekabrystów tym mocniej odbiło się na życiu intelektualnym miasta, że wielu spiskowców wywodziło się ze znakomitego środowiska: arystokracji (nawet z książęcymi tytułami), ziemiaństwa, inteligentkiej elity. To oni, wykształceni i światli, stanowili trzon wszelkich konspiracji. Po okrutnych represjach, które dotknęły dekabrystów, stolica została uspokojona; umilkły dysputy polityczne, rozwijało się życie towarzyskie i kulturalne.

Polacy pozostawiali swój ślad także w sztuce. Dobrze adaptowali się w środowisku artystycznym malarze – Aleksander Orłowski, Walenty Wańkowicz i liczni studenci: Wincenty Smokowski (który po studiach malarskich w 1829 roku, równocześnie z Wańkowiczem powrócił do kraju), Ksawery Kaniewski. Pierwszą polską damą była Maria Szymanowska, świetna pianistka i kompozytorka; to w jej słynnym salonie stykali się Polacy, Rosjanie i znakomici cudzoziemcy.

Lata dwudzieste XIX wieku to bez wątpienia najbardziej znaczący okres pięknych i bliskich przyjaźni między polskimi i rosyjskimi pisarzami. Łączyło ich wtedy szlachectwo myśli, zbliżone poglądy i postawy polityczne; po powstaniu listopadowym tak bliskie relacje nie były już możliwe. Już w chwili jego wybuchu okazało się, jak iluzoryczne były nadzieje na możliwość podtrzymania polsko-rosyjskich przyjaźni opartych na wspólnych ideałach. Rozbiły się, gdy doszło do realnej konfrontacji poglądów politycznych i interesów narodowych. Dla Rosjan myśl o Polsce jako państwie osobnym, niezależnym i oderwanym od Imperium była nie do zaakceptowania. Powstanie listopadowe zamykało czas polsko-rosyjskiego braterstwa poetów, było oceniane przez rosyjskich przyjaciół jako czyn zdradziecki, prowadzący do uszczuplenia Imperium przez wyrwanie dawnego polskiego terytorium z jego granic.

Aleksander Puszkina zamykał przyjaźń z Mickiewiczem w 1831 roku gorzkim wierszem *Oszczercem Rosji*, a po paru latach (w roku 1834), po ukazaniu się III części *Dziadów*, w innym utworze wspominał polskiego poetę:

Ale gość nasz cichy
 Teraz nam wrogiem stał się, co trucizną
 Przepaja wiersze swoje na uciechę
 Bujnej gawiedzi. Z dala nas dochodzi
 Poety głos, wezbrany nienawiścią,
 Znajomy głos!
 (inc. *Był tu śród nas...*, tłum. Julian Tuwim)

⁸ List Antoniego E. Odyńca do Juliana Korsaka, Sankt Petersburg, 9 (21) V 1829 r., w: *Listy z podróży Antoniego Edwarda Odyńca*, t. I: *Z Warszawy do Rzymu*, Warszawa 1875, s. 53.

Tylko książe Aleksander Odojewski dojrzał w powstaniu listopadowym zryw ku wolności.

W latach trzydziestych nie odnowiły się już tak bliskie relacje osobiste i literackie między Polakami a Petersburgiem. Ujawniony nagle w latach 1830–1831 ostry konflikt polityczny uniemożliwił narodziny nowych więzów przyjaźni, takich choćby, jakie łączyły Mickiewicza z dekabrystami. Rozrastało się natomiast polskie życie naukowe i studenckie – gdy zamknięto uniwersytety w Warszawie i Wilnie, gdy zagrabiono do Rosji największe biblioteki, młodzież ciągnęła po wiedzę głównie do Petersburga.

Zmienił się obraz polskiego środowiska. Zniknęli przyjaciele Moskale. Zmarli ci, którzy nadawali ton życiu towarzyskiemu Polaków: Maria Szymanowska w 1831 roku, Aleksander Orłowski rok później.

Lata trzydzieste były dla literackiego Petersburga czasem posuchy (podobnie, lecz bez porównania trudniej było publikować cokolwiek w Warszawie poddanej popowstaniowym represjom). Ukazujący się w rosyjskiej stolicy od stycznia 1830 roku polski „Tygodnik Petersburski” po dwóch latach został przejęty przez lojalistycznie wobec Rosjan nastawionego Józefa Przeclawskiego i stał się – jak informował podtytuł – „Gazetą Urzędową Królestwa Polskiego”. Miał charakter urzędowo-informacyjny: obok oficjalnych aktów zawierał początkowo tylko skrótowo ujęte wiadomości krajowe (zarówno z Petersburga, jak i z Królestwa Polskiego) i zagraniczne oraz ciekawostki czerpane także z gazet obcych. „Surowe represje, które spadły na Polskę po powstaniu, bardzo zaostrzyły antagonizm polsko-rosyjski. Zasięg oddziaływania orientacji słowianofilsko-rusofilskiej znacznie się skurczył. Przetrwała ona głównie wśród bogatego ziemiaństwa ziem kresowych [...], organem jej był »Tygodnik Petersburski«” – pisał Andrzej Walicki⁹. Pismo dysponowało początkowo osobiście monopolistyczną pozycją – przez kilka polistopadowych lat wszelkie informacje w nielicznych pismach warszawskich podawano dokładnie za „Tygodnikiem”, co wprawdzie minimalizowało możliwość publikacji tekstów własnego pióra, lecz także chroniło przed kosztownymi represjami cenzury.

Wśród aktualności początkowo eksponowano w „Tygodniku Petersburskim” nowiny z życia „naszego” (czyli petersburskiego) dworu cesarskiego. Pojawiały się czasem, za prasą francuską, informacje o losach emigrantów, na przykład o usuwaniu z ziemi francuskiej członków Lelewelowskiego Komitetu Polskiego, a także długie listy osób, które za udział w powstaniu ukarano konfiskatą dóbr ziemskich i kapitałów. Pośród utworów literackich dominowały teksty mało narażające redakcję na ingerencję cenzury: relacje o kataklizmach przyrody oraz opisy podróży. Stopniowo coraz więcej miejsca zajmowały teksty kulturalno-literackie.

W tym najsmutniejszym okresie kilka miesięcy (listopad 1832 – marzec 1833) spędził w Petersburgu Zygmunt Krasieński – zmuszony przez ojca do ubiegania się

⁹ A. Walicki, *Aleksander Hercen, kwestia polska i geneza pewnych stereotypów*, Warszawa 1991, s. 11.

o łaski cara, upokorzony, całkowicie izolujący się od świata, świadomie ograniczający otaczającą go przestrzeń do ścian własnego pokoju. Zapewne autor *Irydiona* nigdy by nie nawiązywał przyjaźni w tak szerokich kręgach, w jakich wcześniej obracał się Mickiewicz, ale jego poglądy mógł poznać już w 1829 roku, gdy wspólnie z Adamem wojażowali po Szwajcarii. Krasieński zapewne wiedział, jaki jest Petersburg, nie musiał nawet wyjeżdżać poza bramy pałacu, by ugruntować swe przekonania. Straszne, ponure miasto – i uwłaczająca rola narzucona mu przez ojca. Tak bardzo był odwrócony od miasta, że ani w listach z Petersburga, ani we wspomnieniach nie zapisał żadnych wrażeń, jakby nigdzie nie był, niczego nie oglądał. Ostra izolacja – i wśród pisarzy żadnych „przyjaciół Moskali”¹⁰. Straszna stolica, straszni Rosjanie – to optyka Krasieńskiego, ustanowiona patetycznie jeszcze przed wyjazdem do Rosji, ale później niekorygowana.

Ale gdy Mickiewicz w lipcu 1834 roku opublikował w Paryżu *Pana Tadeusza*, znalazło się w paru miejscach poematu sentymentalne wspomnienie „Peterburka”, jak czule nazywała carską stolicę Telimena, złączone z osobą malarza Orłowskiego, który z kolei tam tęsknił za Litwą:

Orłowski, który życie strawił w Peterburku.
Sławny malarz (mam jego kilka szkiców w biurku),
Mieszkał tuż przy cesarzu, na dworze, jak w rajku,
A nie uwierzy Hrabia, jak tęsknił po kraju,
Lubił ciągle wspominać swej młodości czasy,
Wysławiał wszystko w Polsce: ziemię, niebo, lasy...
(Księga III, w. 624-629)

Tam też, w Petersburgu, wyrosła i pobierała należną dobrze urodzonej pannie edukację Zosia, o czym przypominała jej Telimena, szykując do wyjścia „w świat”:

Znaleźć się, spodziewam się, że umiesz; w stolicy
Urosłaś. Choć dwa lata mieszkasz w okolicy,
Nie zapomniłaś jeszcze całkiem Petersburka.
(Księga V, w. 139-141)

Pod koniec lat trzydziestych sytuacja na pozór zaczęła się normalizować. Cenzura łagodniała, w Warszawie powstawały nowe czasopisma, a „Tygodnik Petersburski” zasadniczo zmieniał profil, rozbudowując część literacką. Redakcję objęli pisarze o znaczącej pozycji społecznej, obdarzeni talentem – lecz o poglądach zdecydowanie konserwatywnych i prorosyjskich.

¹⁰ Wyjątkowo niewiele zachowało się świadectw dotyczących pobytu Krasieńskiego w Petersburgu. Znakomitą interpretację tych wydarzeń zapisał natomiast Jerzy Fiecko w książce *Rosja Krasieńskiego. Rzecz o nieprzejednaniu*, Poznań 2005.

Kłęska powstania nadała polsko-petersburskim związkom literackim status relacji między zwycięzcą a zwyciężonym, między władcą a poddanymi. W tej sytuacji nie mogło już być mowy o osobistych przyjaźniach, a bliższe kontakty mogły narastać tylko w dwóch przypadkach. W pierwszym – między Polakami a petersburską opozycją polityczną, ludźmi stawiającymi opór władzy i podobnie jak Polacy ryzykującymi skazanie na katorgę, śmierć lub zesłanie do wieloletniej służby wojskowej. Przypadek drugi – to poddanie się rusyfikacji, wrastanie w rosyjskie społeczeństwo, droga do karier w nauce, przemyśle, w administracji państwowej. Wybrali ją na przykład bracia Michał i Mateusz hrabiowie Wielhorscy, muzycy, i niegdysiejszy filomata Józef Sękowski, znakomity orientalista i zdrajca, który za cenę odstąpienia od polskości otrzymał katedrę na uniwersytecie w Petersburgu.

Nie było powrotu do dawnych przyjacielskich relacji, w latach późniejszych można natomiast obserwować frapujący proces aklimatyzacji Polaków w Petersburgu, wrastania w miasto i zarazem podtrzymywania swej narodowej odrębności.

Na przykład – „Tygodnik Petersburski”. Polityczny kierunek pisma wyznaczał kresowy magnat Henryk Rzewuski (autor rozgłośnego tomu gawęd *Opowieści Soplicy* i powieści *Listopad*). Redakcję współtworzyli: znany krytyk literacki i powieściopisarz Michał Grabowski, powieściopisarz Ludwik Szyrmer, ksiądz Ignacy Hołowiński, ksiądz Stanisław Chołoniewski. Przyłgnęła do nich później nazwa „koteria petersburska”, chociaż w Petersburgu mieściła się tylko redakcja „Tygodnika” (Grabowski przebywał na Ukrainie, Hołowiński przybył z Wilna dopiero w 1842 roku, gdy został rektorem Akademii Duchownej, Chołoniewski żył głównie na Podolu, w stolicy dłużej mieszkał tylko Szyrmer).

Wśród autorów publikujących w „Tygodniku” przez parę lat dominował Józef Ignacy Kraszewski; dawał teksty własnego pióra, inicjował ostre polemiki literackie. Włączali się do nich Henryk Rzewuski, August Cieszkowski, Mieczysław Przewdziecki. O wysokim poziomie „Tygodnika” świadczyły także rozprawy obszerniejsze, takie jak omówienie warszawskiego środowiska literackiego ze wzmianką o niepospolitym talencie Cypriana Norwida¹¹, czy poważne spory o sens i wiarygodność odkryć naukowych. Na przykład już w grudniu 1841 roku (w numerze 98) ukazał się obszerny artykuł Rudolfa Żukowskiego *Protestacja przeciw Daguerrotypowi*, w którym autor, posługując się rzeczową argumentacją, przekonuje o szkodliwych konsekwencjach, jakie mogą nastąpić po upowszechnieniu tego wynalazku. W polemice, która wówczas się wywiązała, brał udział Grabowski.

Najbardziej interesujące wydarzenia w dziejach „Tygodnika” przypadły na początek lat czterdziestych, kiedy nowy zespół jeszcze się formował, a pismo tętniło życiem. Pisano o powieściach, o kresowej twórczości Michała Czajkowskiego, spór wywiązał się wokół dzieła Kraszewskiego *Poeta i świat*. Poglębiamąca się wciąż,

¹¹ T., *Rzeczy warszawskie*, „Tygodnik Petersburski” 1841, nr 97, s. 548-550.

wsteczna i prorosyjska orientacja pisma powodowała jednak ostre tarcia wewnątrz zespołu redakcyjnego. Rusofilski ton czasopisma stawał się nie do przyjęcia dla wielu autorów, między innymi dla filarów pisma, Szyrmera i Kraszewskiego, którzy – czasowo – przerwali współpracę. Kraszewski po lekturze wyjątkowo wstecznej apoteozy rodowej arystokracji w recenzji z *Mieszanin obyczajowych* Rzewuskiego odżegnywał się nawet od przypisywania mu bliższych związków z redakcją¹².

Mógłby „Tygodnik” stać się ważnym kulturalno-literackim czasopismem opiniotwórczym, ale zrażał autorów i czytelników drapieżnym i pogłębiającym się rusofilstwem. Rzewuski opowiadał się coraz bardziej zdecydowanie za pełnym i lojalnym wtopieniem się ziemi i narodu polskiego w rosyjskie imperium, tenże zrażający czytelników, lojalistyczny ton uderzał w publicystyce pisma, co oznaczało wolę porzucenia nawet marzeń o wolnej ojczyźnie. Ukazał się w „Tygodniku” *List do hr. J. Strutyńskiego* autorstwa Grabowskiego (przedrukowany, podobno bez wiedzy autora, za paryskim „Demokratą Polskim”), który już wcześniej na znak potępienia powstania listopadowego po jego wybuchu opuścił Warszawę. Gdy Rzewuski w 1850 roku przeniósł się do Warszawy, gdzie powołał do istnienia i redagował na wysokim poziomie „Dziennik Warszawski”, „Tygodnik Petersburski” ostatecznie podupadł i zakończył żywot w 1858 roku.

W okresie międzypowstaniowym polsko-petersburskie relacje literackie zmieniały charakter i styl. Nie wrócił już czas swobodnych dyskusji w salonach czy na spotkaniach towarzyskich, czas aż nazbyt otwartego wyrażania poglądów opozycyjnych (można przypomnieć, że gdy Mickiewicz, mający już za sobą doświadczenie procesu filomatów, pod koniec 1824 roku poznał dekabrystów, ze zdumieniem reagował na praktykę głośnego wznoszenia antycarskich toastów). Polsko-rosyjskie dysputy filozoficzne, spory polityczne i społeczne przenosiły się do środowisk emigracyjnych, do Francji, Londynu czy Szwajcarii. A w Petersburgu w latach czterdziestych narastały nastroje spiskowe prowadzące do fali aresztowań.

W Warszawie prowadzono śledztwa wśród młodzieży ukoronowanej śmiercią Karola Levittoux, który podpalił się w więziennej celi. W Petersburgu starannie tępieno zarodki buntu. Za głoszenie radykalnych idei został usunięty z uniwersytetu między innymi student Wissarion Bieliński, rewolucyjny demokrat, filozof i teoretyk literatury, którego poglądy wywarły duży wpływ na rozwój rosyjskiej filozofii i myśli narodowej.

W petersburskiej szkole artylerii pobierał nauki Michaił Bakunin, filozof, demokrat i rewolucjonista, który od wczesnej młodości głosił prawo Polski do niepodległości i angażował się w sprawy polskie. W 1843 roku opuścił Rosję, w Paryżu zaprzyjaźnił się z Juliuszem Słowackim. Związki z Polakami przyczyniły się do

¹² Warto odnotować tu drobną wpadkę Kraszewskiego: bezpośrednio po ukazaniu się *Mieszanin obyczajowych* z entuzjazmem je powitał („Tygodnik Petersburski” 1841, nr 46), a potem dopiero gwałtownie zmienił zdanie.

oskarżenia go o zdradę. Zatrzymany przez Rosjan, więziony, zesłany na Syberię, uciekł po ośmiu latach i nadal działał na rzecz Polski (organizował ze Szwecji pomoc dla powstania styczniowego). Zmarł w Szwajcarii w 1876 roku. Pozostał – podobnie jak carski oficer Andriej Potiebnia, który zginął, walcząc w powstaniu w oddziale polskiego wojska – symbolem wspólnej walki z despotyzmem, choćby wbrew interesom politycznym własnego kraju.

Od 1845 roku działało w Petersburgu prężne koło dyskusyjne niepokornych młodych literatów i filozofów, skupionych wokół Michaiła Pietraszewskiego; podejmowali oni także temat polski. W 1849 roku doszło do wpadki, pietraszewców aresztowano i skazano na zesłanie. Był wśród nich Fiodor Dostojewski: przeżył cztery lata syberyjskiej katorgi w Omsku, stykał się z polskimi więźniami politycznymi, później na kilka lat został wcielony do wojska. Refleksy obozowych znajomości z Polakami znalazły się, literacko przetworzone, we *Wspomnieniach z domu umarłych*¹³. Jego zapiski są tym bardziej interesujące, że obserwował grupkę polskich więźniów niejako z zewnątrz, okiem chłodnym, pozbawionym emocji. I niechęci. Komentując ich odrębność na tle współwięźniów, dociekał motywacji nietypowych zachowań, wywierających „szczególne wrażenie”. Notował liczne uwagi we *Wspomnieniach...* opublikowanych w 1862 roku, więc tuż przed wybuchem powstania styczniowego:

Oprócz Czerkiesów mieliśmy w koszarach całą gromadkę Polaków, stanowiących zupełnie osobną rodzinę, która się prawie nie komunikowała z resztą więźniów. [...] Niekiedy, w ostatnich latach swego życia w więzieniu, dostawałem od Polaków różne książki. Pierwsza książka, którą przeczytałem, wywarła na mnie silne, dziwne, szczególnie wrażenie. O tych wrażeniach opowiem kiedyś oddzielnie¹⁴.

Polskie opinie o Dostojewskim i o jego stosunku do sprawy polskiej i Polaków bywały bardzo ostre. Utrwały stereotyp postawy pisarza jako zacieklego wroga Polaków, opierający się na jego wypowiedziach z późnej, mistycyzującej i religijnej twórczości; pomijały fakty z okresu przynależności do koła Pietraszewskiego i lat zesłania na Syberię.

Już po pierwszej wojnie Stefan Żeromski, pisarz o ogromnej potędze opinio-twórczej, opierając się tylko na późnych dziełach i działalności autora *Biesów*, pisał w *Snobizmie i postępie* (1922): „Do którego ze współbraci piszących przyrównać Teodora Dostojewskiego, duchowego ojca czarnej sotni, czysto moskiewskiego mistyka, zacieklego proroka”. I dalej: „Dostojewski nie wie, czy też udaje, że nie wie, jak i kiedy Rosja runęła na Polskę, a po rzezi na Pradze rękoma zboczonymi we krwi niewinnej przykuła męczennicę do tronu swego cara. [...] Chłopa rosyjskiego na-

¹³ Autobiograficzną tonację książki potwierdza rzeczywiste istnienie pierwowzorów przedstawionych w niej postaci: wedle ustaleń historyków byli wśród nich: Aleksander Mirecki, Szymon Tokarzewski, Józef Bogusławski, Feliks Józef Żochowski. Znakomite komentarze do postawy Dostojewskiego wobec Polski wpisał Adam Pomorski do dokonanego przez siebie przekładu *Biesów*, Kraków 2010.

¹⁴ F. Dostojewski, *Wspomnienia z domu umarłych*, tłum. Cz. Jastrzębiec-Kozłowski, Warszawa 1977, s. 71.

zywa chrześcijaninem, tego samego chłopca, który stworzył nie tylko samą sprawę okropną, lecz nadał temu potwornemu aktowi nazwę swą w językach wszystkich narodów – «pogrom»¹⁵. Z perspektywy rodzącej się Niepodległej i toczącej się obok bolszewickiej rewolucji tak widziany Dostojewski wydaje się umysłem wrogim i monstualnym.

Wraz z szybkim tempem rozwoju gospodarczego i naukowego wzrastała w Petersburgu liczba Polaków, zarówno tych, którzy pojawiali się na chwilę dla załatwienia spraw urzędowych¹⁶, jak i emigrujących po powstaniu styczniowym, którzy osiadali tu na stałe. Nastąpił czas karier Polaków. Renomą cieszyły się petersburskie uniwersytety, szkoły medyczne i uczelnie artystyczne, do których stosunkowo licznie uczęszczali. Na przykład w roczniku 1882–1883 na uniwersytecie było ogółem 2024 studentów, w tym 242 Polaków. Zwraca uwagę praktycyzm w wyborze kierunków studiów: na filologii zaledwie 16 osób, na prawie 76, a na wydziale matematycznym – 150.

Do zamieszkującej Petersburg „średnio zamożnej polskiej inteligencji” adresowana była ukazująca się w latach 1881–1884 „Gwiazda. Kalendarz petersburski premiowy, ilustrowany, literacki, społeczny i informacyjny”, łącząca swojsko Warszawę z Petersburgiem: przygotowywana w Petersburgu, ale drukowana u Ungra w Warszawie.

„Gwiazda” zawierała imponującą liczbę informacji dotyczących Polaków, a także sporo tekstów literackich. Wśród autorów powtarzają się nazwiska te same, które zasilają pisma warszawskie, przede wszystkim „Niwę” (czyli Kraszewski, Sienkiewicz), jest popularna biografistyka, są i aktualia. Jest też w „Gwieździe” obszerny i ilustrowany *Przewodnik po Petersburgu*, dostosowany do potrzeb i gustów Polaków, są rozmaite spisy i kalendarze – obok katolickiego i prawosławnego także żydowski. Gdy w następnym roku pojawi się na petersburskim forum mocny konkurent – tygodnik „Kraj”, „Gwiazda” utraci pozycję podstawowego organu informacji bieżących. Ale pozostanie świetnym przewodnikiem po życiu miasta: dla Polaków. Szczególnie interesujące mogły być dane dotyczące szkolnictwa, pracy i ambitnego programu szkół wszelkich stopni dla kobiet.

W dziedzinie kultury sztukę wysoką, elitarną zastępowała łatwa rozrywka, literatura popularna, trafiająca do szerszego kręgu odbiorców, w dużej mierze dzięki czasopismom. W latach 1882–1909 ukazywał się tygodnik „Kraj”, rozpowszechniany także na ziemiach dawnego Królestwa Polskiego. W Petersburgu był jedyną polską gazetą wydawaną regularnie przez sporo lat i stosunkowo łagodnie – jako prasa miejscowa – traktowaną przez cenzurę. Zamieszczał dużo informacji z miejscowego życia kulturalnego; prowadzono osobny „Dział Literacki”. Oczywiście „Kraj” miał

¹⁵ S. Żeromski, *Snobizm i postęp*, Warszawa 1926 (wyd. II), s. 18, 49.

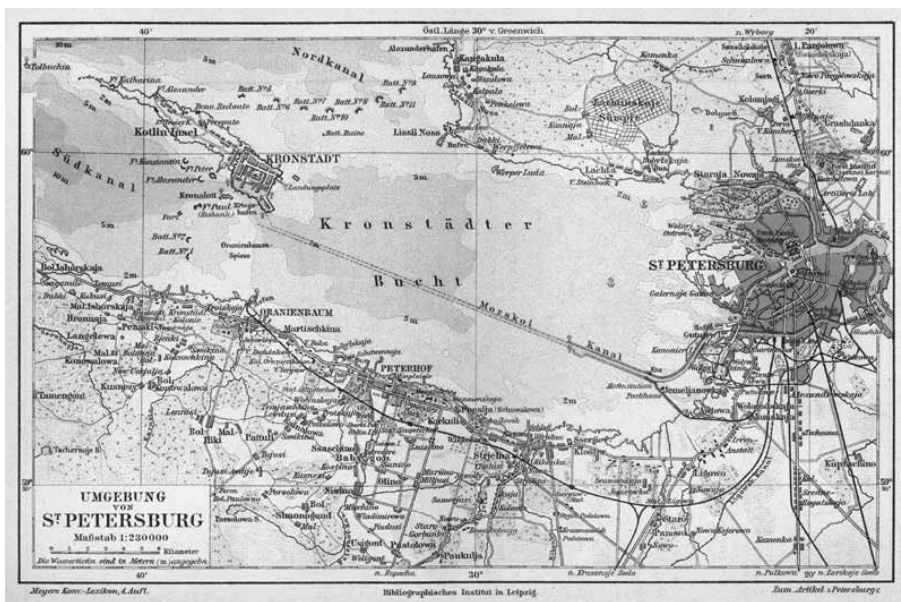
¹⁶ Do Petersburga pielgrzymował także mój dziad, Karol Ludwik Lorentz, w 1900 r., by uzyskać pozwolenie na przedłużenie działalności założonej przez siebie szkoły w Radomiu – bezskutecznie.

charakter (zgodnie zresztą z postawą redaktora, Erazma Piltza) konserwatywny, rusofilski, lojalistyczny – ale był sprawnie redagowany, zamieszczał rzeczową „Kronikę Petersburską” i prezentował teksty najwybitniejszych współczesnych polskich pisarzy. W reklamie pisma zamieszczonej na okładce „Gwiazdy” z roku 1884 wymieniano wśród autorów cały literacki Parnas: Adama Asnyka, Bolesława Prusa, Elizę Orzeszkową, Teodora Tomasza Jeża, Henryka Sienkiewicza, Mariana Zdziechowskiego oraz Józefa Ignacego Kraszewskiego, który „listem obiecał swe współpracownictwo”. W reklamach księgarskich prym wiodły anonse księgarskie, spisy książek dostępnych na miejscu i oferowanych drogą zamówień.

Ponawiały się próby utworzenia stałego teatru polskiego – niestety ze słabymi rezultatami. Józef Teksel, aktor i antreprenier, we wrześniu 1882 roku podpisał koncesję na otwarcie teatru, lecz prowadził go tylko do lutego roku 1883. W artykule *Teatr polski w Petersburgu* wyjaśniano, że zamknięto teatr z powodu nieudolnej działalności dyrektora („Gwiazda” 1884, s. 133). Następne próby nie były jednak wiele szczęśliwsze. Próbował parokrotnie Lucjan Kościelecki ze swą trupą – z powodzeniem w 1890 roku, gdy „przyspieszył otwarcie” z powodu klapy zespołu niemieckiego, próbował znów w 1898 – tym razem bez sukcesu.

Polacy z powodzeniem uczestniczyli w życiu muzycznym Petersburga. Stanisław Moniuszko spotykał się z aplauzem także rosyjskiej publiczności. Trzykrotnie przyjeżdżał do Petersburga. W 1842 roku pozostał przez dwa miesiące – i udało mu się opublikować swój *Śpiewnik domowy*, w Wilnie zatrzymany przez cenzurę. Przybył z nim wtedy do Petersburga kompozytor i dyrygent Wiktor Każyński, który do śmierci dzierżył posadę dyrektora orkiestry w Teatrze Aleksandryjskim. Za drugim razem, w 1849 roku, Moniuszko promował opery *Mildę* i *Halkę*, które przez lata cieszyły się niezmiennym zainteresowaniem publiczności. Gdy przyjechał w 1856 roku, znakiem niezwyklego uszanowania był wspaniały koncert grany w specjalnie na tę okazję otwartej sali księcia Jusupowa. Pod koniec wieku głośne sukcesy odnosił Ignacy Jan Paderewski. Można tu wymienić wiele nazwisk, między innymi dobrze znanego w Warszawie Karola Lipińskiego (grał na koronacji Mikołaja I), Henryka Wieniawskiego, liczną rodzinę Kątskich, osadzoną w Petersburgu od lat dwudziestych, i innych. Angażowano wielu Polaków na gościnne występy w okresie letnim, grali oni na otwieranych na sezon scenach i występowali często w prywatnych salonach. Koncertowali, a także prowadzili działalność edukacyjną – na przykład około 1880 roku Jan Czyż utworzył Petersburską Szkołę Muzyczną.

Odnowienie przyjaznych i płodnych związków pisarzy polskich i rosyjskich w tamtych okolicznościach politycznych było niemożliwe. Byłoby możliwe – paradoksalnie – dopiero w czasie pierwszej wojny światowej, gdy uwierzono w wielką, wzniosłą przemianę świata i sztuki. Awangarda rosyjska, Majakowski, futuryści rosyjscy i polscy...



Niemiecka mapa Sankt Petersburga i okolic, około 1885

SAMOBÓJCY ROMANTYCZNI

Czyn samobójczy stanowi element biografii bodaj większości najsłynniejszych bohaterów polskiej literatury romantycznej. Odbierali sobie życie – lub przynajmniej próbowali je sobie odebrać – Gustaw i Kordian, Konrad Wallenrod, hrabia Henryk, Irydion, wielu innych.

Wyłaniają się w związku z tym pytania nie tylko o literackie motywacje i autorskie oceny zachowań samobójczych, ale także bardziej ogólne – o cechy romantycznej koncepcji człowieka, które można odczytać z tak znaczącego wprowadzania do literatury motywu, ukazującego najbardziej negatywną ingerencję człowieka w swój własny los.

W kulturze europejskiej końca wieku XVIII i romantyzmu istniał nadto osobliwie bliski związek między samobójstwami popełnianymi w życiu realnym i w literaturze. Głośne – i malowniczo dokonane – samobójstwa odbijały się echem w twórczości pisarzy; było tak na przykład w przypadku niemal teatralnie zainscenizowanej śmierci Foldoniego, chorego nieuleczalnie, i jego ukochanej, którzy zastrzelili się pociągając jednocześnie za spusty dwóch związanych wstążką pistoletów (1770); Rousseau uwiecznił ich śmierć w epitafium, ale to od jego *Nowej Heloizy* (1761) samobójstwo uchodziło za najlepszy sposób udowodnienia miłości. Samobójstwo Thomasa Chattertona, popełnione w roku 1770, zostało po latach rozślawione dramatem Alfreda de Vigny (1835). Jeszcze głośniejsze były sytuacje odwrotne: fala prawdziwych samobójstw nastąpiła na przykład po opublikowaniu *Cierpień młodego Wertera* (1774) oraz dramatu o Chattertonie.

W romantyzmie polskim początkowo tych paralel między samobójstwami autentycznymi a literackimi nie było. Nie znalazł w nim odbicia temat tak, wydawałoby się, znakomity, jak masowe samobójstwa polskich oficerów służących w armii księcia Konstantego (doliczono się ich 49 w latach 1815–1819). Może dlatego, że wydarzyły się w Warszawie, a nie w romantycznym Wilnie, może dlatego, że uprzedziły o parę lat narodziny romantyzmu, ale może i dlatego, że motywacje targających się na życie oficerów (samobójstwo jako obrona znieważonego honoru, wobec niemożności pojedynkowania się z Wielkim Księciem Konstantym) były zupełnie inne niż egzaltacje i rozpacz stających u progu romantyzmu bohaterów literatury. Nie mieli z tymi oficerami nic wspólnego bohaterowie poezji tamtych lat – Gustaw, Kordian (gdy strzelał do siebie jako piętnastolatek, musiał to być początek lat dwudziestych),

Edmund z utworu Stefana Witwickiego (1829) czy bohaterowie młodzieńczej prozy Krasińskiego. Nie wspomnieli także romantyczni poeci o samobójczej śmierci Tymona Zaborowskiego (1828).

Później jednak, gdy do romantycznej poezji wkraczają bohaterowie współcześni, pojawiają się między nimi i ci, którzy zginęli rzeczywiście śmiercią samobójczą: przyjaciel Słowackiego, Spitznagel, w *Godzinie myśli*, niezgodnie z prawdą uśmiercony przez Mickiewicza Ordon, Karol Levittoux, którego heroiczne samospalenie upamiętniono w kilku wierszach.

Początkowo polscy samobójcy – Gustaw, nękaný wyrzutami sumienia Litawor, znudzony życiem Edmund, targany rozpaczą On Krasińskiego – byli kreacjami podobnymi do tych, w jakie obfitowała ówczesna literatura europejska: motywacją dla ich samobójstw było zniechęcenie do życia, rozczarowanie, gorycz. Pobudki o charakterze osobistym – choć zawinione przez świat. Interesująco obronne, acz z krytycznym dystansem zapisane, uzasadnienie tych postaw dał Stefan Witwicki w *Przedmowie do Edmunda*; zauważmy, że wydał książkę o kilka lat wcześniej (1829) niż de Vigny *Chattertona* (1835) i Musset *Spowiedź dziecięcia wieku* (1836) – dzieła głośne na całą Europę – z którymi bohater Witwickiego miał najwięcej rysów wspólnych. Witwicki pisał w *Przedmowie* o egzaltacji „zapaleńców”, iż „chwytą się wyłącznie dusz piękniejszych, umysłów głębszych i szlachetnych”, i dodawał:

Oddani na pastwę wybujałym i pożerającym uczuciom, płomieniem rozpasanej: czułości namiętnie trawieni, entuzjaści otaczają się samotnością i czarnym smutkiem, w czczych marzeniach marnując najświetniejsze zdolności: w boleściach myśli wpadają w mizantropię, a niewsparci pociechą i siłą wiary, chociaż niekiedy pełni religijnego uczucia, dochodzą często do zbrodni samobójstwa. Cierpienia tych istot nadzwyczajnych, ile smucą i oburzają surowego moralistę, tyle znów dla wyobraźni poety bogate otwierają pole¹.

Porównajmy tę ogólną charakterystykę typu z zapisanym współcześnie wspomnieniem o realnym człowieku, także samobójcy, o już wzmiankowanym Tymonie Zaborowskim:

Było to serce szlachetne, dusza wzniosła, umysł rozmiłowany w marzeń krainie, a stąd niepohamowane wyłamywanie się z kolei życia zwyczajnych [...], pogarda lub zaniedbanie tej walki, jaką w powszednich stosunkach, czy to z przesądami pospolitych umysłów, czy z upornym nałogiem bezustannie staczać wypada; – najlżejsze poruszenie wewnętrzne, zmieniające się w namiętność gwałtowną – a przy tym zbyteczna drażliwość².

¹ S. Witwicki, *Edmund*, wstęp i opr. tekstu M. Sokołowski, opr. *Aneksu* i wprowadzenia M. Burzka-Janik, red. tomu, przypisy J. Ławski, H. Krukowska, Białystok 2015, s. 57.

² J. Sabiński, *Wytrząski ze starej pamięci*, cyt. za: M. Danilewiczowa, *Tymon Zaborowski. Życie i twórczość*, Warszawa 1933, s. 74.

Analogie są uderzające.

Po powstaniu listopadowym nastąpiła zasadnicza zmiana wzorca bohatera literackiego – podporządkowano go odtąd problematyce patriotycznej, co wpłynęło decydująco także na poetycki portret samobójcy. „Wzór Gustawa”, mówiący w uproszczeniu, był później podejmowany już niemal tylko w utworach naśladowczych i epigońskich, zawsze zresztą nieudolnie spływany. Było kilka co najmniej dziewcząt zabijających się z miłości i garstka tych, którzy z rozpaczy podnosili rękę na swe życie – w wierszach Edmunda Wasilewskiego, Romana Zmorskiego, Gustawa Zielińskiego. Stale jednak samobójstwo przedstawiano jako niegodną słabość, stale traktowano je z politowaniem, jako gest desperacki młodzieńca, który:

Nie spojrzął w piękne niebo, listków nie rozwinął
I zapachu nie wydał – i w wieczności zginął
(G. Zieliński, *Samobójca*³)

– lub gest samotnika, co:

Zabójcze narzędzie pochwyli z rozpaczą;
Nie płacze po nikim i po nim nie płaczą,
I ginie w mniemaniu, że w czczości utonie.
(E. Wasilewski, *Samotność*⁴)

Ten ostatni fragment wyszedł spod pióra poety, który sam wkrótce popełnił samobójstwo. Toteż, chociaż zawsze jest w tych kontekstach łagodna nuta potępienia, jest też w tych utworach i obrona nieszczęśników przed płochym sądem „ludzi nieczułych”, rzucających klątwę na „dzikim grobie” samobójcy (R. Zmorski, *Napis na grób samobójcy*). O jakiejś ambiwalencji uczuć w tej kwestii świadczy najlepiej postawa Lucjana Siemieńskiego: udostępniając polskiej publiczności *Chattertona* w przekładzie Krystyna Ostrowskiego⁵, jednocześnie w przedmowie do tej edycji pisał o „winie i hańbie” samobójstwa.

Jedynym chyba bardziej interesującym bohaterem w tej grupie samobójców był tytułowy Lesław z poematu dramatycznego Zmorskiego (1843), który obszernie (choć dość mętnie) objaśniał przyczyny zniechęcające go do życia na tyle, iż przedłożył piekielne otchłanie nad bytowanie na świecie „nienawiści wiecznej”. Patrząc na „ogniem ziejące” piekło, Lesław deklamuje:

³ Cyt. za: G. Zieliński, *Kirgiz i inne poezje*, oprac. J. Odrowąż-Pieniążek, Warszawa 1956.

⁴ Cyt. za: E. Wasilewski, *Poezje*, oprac. E. Haecker, „Biblioteka Narodowa”, S. I, nr 85, Kraków 1925, s. 53.

⁵ K. Ostrowski, *Dziełka dramatyczne*, wstęp L. Siemieński, Kraków 1861.

Na jego progu bez trwogi ja stoję,
 Dumny przed światem i sobą. –
 Oto w tej chwili, siłą mojej woli,
 Targam ze siebie okowy niewoli.
 Wielki – że jeśli z kłątwy przeznaczenia
 Niezdolnym świata wybawić,
 Sam dłużej nie będę krwawić
 Rąk moich w piersiach stworzenia,
 I szerzyć państwa nie będę zniszczenia!
 A to wysokie przeświadczenie duszy
 Jęk potępienia mocą swoją zgłuszy,
 Czuć nie dopuści piekielnych katuszy...⁶

Ci samobójcy, z osobistych pobudek targający się na życie, po roku 1831 zajmowali w polskiej literaturze pozycję marginalną. Samobójstwo było bowiem już wtedy – za wcześniejszym przykładem Konrada Wallenroda – włączone jako najwyższa ofiara patriotyczna do biografii romantycznego bohatera, do romantycznego wzorca zachowań. I właśnie dzięki temu wplątaniu samobójstwa w kontekst patriotyczny tak wielu mamy samobójców pośród znakomitych bohaterów literatury romantycznej. Są bowiem sytuacje, w których samobójstwo staje się wyjściem jedynym i koniecznym; było nim dla Karola Levittoux i dla Konrada Wallenroda, dla hrabiego Henryka, Irydiona (nieważne, że Masynissa go uratował – Irydion wstępując na płonący stos dokonał czynu samobójczego), a nawet dla nękanego wyrzutami sumienia więźnia z dopisanego przez Mickiewicza fragmentu wiersza Garczyńskiego *Zdrajca*. Zauważmy jednak, że są to wszystko samobójstwa niejako wymuszone przez okoliczności, dokonywane przez bohaterów, przed którymi nie było innego wyjścia. Musieli się zabić.

Ale ci ludzie i bohaterowie literaccy nie prezentowali postaw samobójczych – gdyby nie dramatyczne sytuacje, idea samobójstwa byłaby im prawdopodobnie zupełnie obca. Co więcej, w literaturze były to z reguły samobójstwa jakoś „nie dopełnione”, stanowiły tylko element biografii bohaterów, nie miały być jej zamknięciem. Bohaterowie przekraczali (czy ocierali się oń tylko) próg śmierci jedynie po to, by – jak Kordian, jak Irydion – później tym mocniej podjąć nowe życie, narodzić się od nowa. Czasem wskrzeszani są po latach, jak Gustaw-Konrad czy hrabia Henryk, który miał się odrodzić w planowanej przez Krasińskiego dalszej części *Nie-Boskiej komedii*. Nasuwa się tu oczywista analogia z obrazami Caspara Dawida Friedricha, na których moment śmierci, symbolizowanej przez krzyże, groby, szkielety, musi zostać przekroczony przed zwróceniem się ku rozświetlonej przyszłości⁷. Ta sama

⁶ R. Zmorski, *Lesław*, w: tegoż, *Poezje*, Lipsk 1866, s. 52.

⁷ Por. też uwagi Krasińskiego na temat sensu męczeństwa Polski: „[...] trzeba ponieść śmierć w oczach ludzi, potem zmartwychwstać w ich obecności. Tak, trzeba umrzeć. Wszelkie życie wieczne

myśl o oderwaniu się od dawnego życia i dobrowolnym przejściu przez próg śmierci, którą wskazywały obrazy Friedricha, została zawarta w biografiami polskich bohaterów romantycznych. Gustawa zresztą nie tylko Mickiewicz odrodził po dziewięciu latach, ale pod piórem wielkiego poety już od początku samobójczy gest był wspaniale ujęty w symboliczny znak zapytania: zabił się Gustaw? Czy przedtem już był upiorem? Czy udawał tylko?

Spośród bohaterów najsłynniejszych tylko Konrad Wallenrod, ginąc samobójczą śmiercią patrioty, nie ożył w jakimś następnym wcieleniu, choć i on – metaforycznie i poza Mickiewiczem – przeszedł metamorfozę odrodzenia w czynie *Nocy Listopadowej*, gdy „Wallenrod stał się Belwederem”.

Po roku 1831 samobójstwa motywowane względami osobistymi popełniali tylko bohaterowie trzeciorzędni – otaczano je litością lub pogardą, ponieważ włączano tematykę samobójstwa w obręb patriotyzmu. Gdy bowiem po klęsce powstania wszyscy ważyli szanse przyszłej walki zbrojnej o wolność ojczyzny, z niechęcią musiały się spotykać przejawy egocentryzmu, szczególnie tak skrajne, jak samobójstwo. Gdy życie należeć ma do ojczyzny, jakoś nie wypada zmarnować szansy swojej śmierci dla sfinalizowania spraw tylko prywatnych, naśladować Wertera. Jedynie wtedy zgoda na własną śmierć mogła odtąd spotkać się ze społeczną akceptacją, gdy wynikała z rachub patriotycznych: przykładem, wzorem staje się Ordon (oczywiście nie prawdziwy, żywy Ordon, lecz bohater wiersza Mickiewicza, deklamowanego jeszcze z jakże żywym przejściem przez Bernarda Zygiera w *Szyfowoych pracach*).

Splatają się pojęcia samobójstwa i wielkiego poświęcenia. Bo czyn patriotyczny kojarzy się też – w każdym razie w latach trzydziestych – bardziej z ideą poświęcenia się jednostek niż z myślą „normalnej” walki zbrojnej: walczyć nie było jak, ale od momentu wysyłania do kraju emisariuszy można było składać życie w patriotycznej ofierze. Frazeologia towarzysząca sprawie emisariuszy jasno wskazuje, że myślano i o ich męczeńskiej śmierci. Ryzyko przez nich podejmowane nie było mniejsze niż w ówczesnie znanym berlińskim klubie samobójców, w którym przypadek wskazywał kolejnego wybrańca losu. Oczywiście motywacja była nieporównywalna. O emisariuszach tylko (a po wielu latach o japońskich kamikadze) można by – za Słowackim – powiedzieć, że „kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei, jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec”.

Wtedy też o „gotowych życie poświęcić za ojczyznę” pisał Michał Chodźko: „Dla zbawienia Polski nie żałujmy ofiar, niech się krew leje indywiduów, gdy ta wolność jęczących milionów okupi, przestańmy kwilić nad stratą choćby najmilszych nam osób”⁸. Perspektywa „wolności jęczących milionów” była jednak odległa,

zdobywa się jeno za cenę zmartwychwstania; wszelkie zmartwychwstania za cenę konania, pełnego niewymownych boleści i śmierci prawdziwej, zupełnej, sprowadzającej rozdział duszy i ciała, aż do chwili, gdy dusza, dumająca i wzdychająca w głębi grobu, przyjmie znowu kształt chwalebny, jaśniejszy i czystszy” (*List do hrabiego Montalembert*, w: Z. Krasieński, *Pisma*, wyd. jubileuszowe, Kraków 1912, t. VII, s. 454).

⁸ M. Chodźko, *Wyprawa do Polski w r. 1833*, Paryż 1835, s. 16.

aktualna zaś i bliska – aprobata dla ofiarnego przelewania krwi przez „indywidua”, ludzi, którzy ochotniczo i tłumnie, jak pisał Chodźko, zgłaszali się jako kandydaci na emisariuszy.

Problem samobójstwa ulega tu przeobrażeniu – zainteresowanie przenosi się z samego faktu samobójczej śmierci na decyzję o świadomym „wystawieniu się na śmierć” w imię wielkich celów. Oczywiście była to sytuacja psychicznie całkowicie inna niż walka zbrojna lub działalność spiskowa; w jednym przypadku idzie o walkę i zwycięstwo, w drugim o zgodę na pewną niemal śmierć, służącą dopiero przyszłemu zwycięstwu sprawy.

Nawet w pojęcie patriotycznej ofiary nie wchodził jednak model zamierzonego aktu samobójczego, typu na przykład publicznego samospalenia dla zmanifestowania sprawy światu. Takich czynów patriotyczny wzorzec heroizmu nie przewidywał. Jeśli jednak polski romantyzm i jego literatura nie przyniosły mody na czyny samobójcze typu Wertera czy Chattertona, to z pewnością ich substytutem była frazeologia ofiary.

Powiązania między frazeologią ofiary a samobójstwem nie są proste – także dzięki osobliwej metaforyczności pojęcia „ofiary życia”. Można życie oddać dosłownie, na przykład ginąc jako emisariusz, można jednak także oddać je przenośnie, nadal żyjąc – dla sprawy. Ta ambiwalencja okaże się szczególnie istotna w okresie towianizmu. Nieco wcześniej Słowacki bronił w *Anhellim* przed potępieniem starca, który w rozpacz „brał w ciemności olów zgniły i truciznę tę pożywał”. Szaman pouczał nad jego zwłokami:

A przekłety, kto przed najmniejszym wichrem pada na ziemię i łamie się!... podobny strzaskanej kolumnie.

Lecz przed wichry silnemi i wam padać wolno... będziecie żalowani.

Cóż więc! odmówią wam poświęconego cmentarza? Kto wie, jaki jest sen w niepoświęconej mogile?⁹

Samobójstwo tego starca mieściło się jednak w planie patriotycznym: unaoczniało ogrom cierpień Polaków zsyłanych do kopalń Sybiru. Już we fragmencie, zatytułowanym przez wydawców *Rozmowa II z Dialogu troistego*, znajdują się obok siebie pojęcie samobójstwa jako „prawdziwego grzechu ducha” i pojęcie „ciągłej ofiary” jako najwyższej zasługi. Zamiast pozbawić się życia, należy – wedle Słowackiego – oddać je przenośnie, czyniąc „ciągłą ofiarę”.

Ta koncepcja i ta frazeologia występują stale w kręgu towiańczyków, deklaracja poświęcenia się dla sprawy jest dumnym obnoszeniem rezygnacji – cóż, że tylko psychicznej – z własnego życia, postanowieniem ustawicznego oddawania go dla idei. Wówczas – gdy dodatkowo zostanie to złączone z przeświadczeniem o ko-

⁹ Cyt. za: J. Słowacki, *Dzieła wszystkie*, pod red. J. Kleinera, t. III, Wrocław 1952, s. 28.

nieczności poddania się śmierci, pójścia w bój nie po zwycięstwo, lecz na śmierć (takie przeświadczenie często towarzyszyło powstańcom 1863 roku¹⁰) – powstaje podłoże dla owej tragicznej świadomości, która znalazła wyraz w cytowanych często słowach Mieczysława Romanowskiego: „przekonany jestem, że każda rodzina musi dać w pewnym przeciągu czasu kilka ofiar na ołtarz społeczny. Z rodziny Romanowskich, o ile wiem, dawno takiej ofiary nie było; może mnie wybrał los na taką ofiarę, jeśli tak – niech się spełni jego wola!”¹¹.

Pojęcie ofiary, ujmowane w planie patriotycznym, ma ważną cechę wspólną z wcześniejszymi „niedopełnionymi” kreacjami samobójczymi Gustawa, Kordiana, Irydiona... I tu, i tam przerwanie nici życia służy odrodzeniu, śmierć ma stworzyć podwaliny dla narodzin nowego bohatera, nowej ojczyzny. Z Gustawa powstanie Konrad, Mieczysław Romanowski po to składa swe życie „na ołtarz społeczny”, by podtrzymać ciąg ofiar ginących za Polskę w imię jej zmartwychwstania. Ci, którzy szli do powstania styczniowego jeszcze w przeddzień jego upadku, czy ci, którzy później przedstawiali się jako straceńcy w słowach *Pierwszej Brygady*, postępowali zgodnie z przekonaniem, że ich nieuchronna śmierć, otoczona aureolą szlachetnego, niemal samobójczego gestu, ma sens w odległym planie historii.

Czy jednak rzeczywiście pojęcia samobójstwa i patriotycznej ofiary wywodzą się ze wspólnego pnia? Można by zakwestionować ten wywód przez podkreślenie istotnej różnicy: patrioci godzili się tylko na oddanie życia, nie podnosili na nie własnej ręki. A jednak dobrowolne wystawianie się na niepomiarne wysokie ryzyko śmierci jest jakąś wersją – cóż, że motywowaną wyższymi pobudkami – postawy samobójczej. Świadczy też o geście nieprzywiązywania nadmiernej wagi do własnego życia.

Rozważanie problemu funkcjonowania kategorii samobójstwa w polskiej myśli romantycznej bez powiązania z tematem ofiary musi dać rezultat ułomny. Jeśli bowiem nawet zakwestionuje się skojarzenie straceńczych ruchów wolnościowych z ideowymi motywacjami samobójczymi, to w każdym razie istnieje ważna zależność odwrotna: ten typ gloryfikacji śmierci ofiarniczej, jaki był postulowany, i w ogóle mitologia ofiary uniemożliwiały dodatkowo – niezależnie od tradycji moralności chrześcijańskiej, w jakiej żyjemy – jakiegokolwiek pozytywne zainteresowanie nastrojami samobójczymi.

Wzorzec heroiczny odbierał Polakowi możliwość dysponowania nie tylko swym życiem, lecz także śmiercią. Z jednej strony mamy tu bowiem absolutyzację idei oddania życia za ojczyznę (literatura służyła dobrze upowszechnianiu tych wzorców, skutecznie wpajała je w umysły), z drugiej zaś – imperatyw moralny, na-

¹⁰ Tak też w interpretacji Józefa Piłsudskiego: „Szło się na śmierć swobodnie, szło się w tany ze śmiercią równie wesoło, jak w tany z dziewczyną” (*Rok 1863, w: Józef Piłsudski o powstaniu 1863 roku*, Londyn 1963, s. 145).

¹¹ List do siostry, Józefy Skwarczyńskiej, z dn. 30 listopada 1857. Cyt. za: *W promieniu Lwowa, Żukowa i Medyki. Listy Mieczysława Romanowskiego 1853–1863*, oprac. B. Gawin i Z. Sudolski, Warszawa 1972, s. 146.

kazujący tylko w tym pionie rozgrywać swe życie i śmierć. Dlatego też w polskiej literaturze romantycznej epoki byli z potępieniem, pogardą lub upokarzającą litością traktowani ci bohaterowie, którzy popełniali samobójstwo ze względów egzystencjalnych lub osobistych. Nie było klimatu do dyskusowania serio tego typu wątpliwości i rozterek, do zajmowania się przeżyciami psychicznymi jednostki – jeśli nie były wprzęgnięte w kontekst patriotyczno-społeczny.

Nasuwa się tu przykra refleksja, że monumentalizm wymagań patriotycznych, nadający tak wspaniale romantyczny sens naszemu życiu, grozi nieprzyjemnym zaślepieniem: stosunek romantyków do samobójstwa ukazuje, jak łatwo litością tylko lub wzgardą skwitować przeżycia psychiczne tych, których biografia układa się w planie nieco innym niż powszechnie aprobowany. Nakazy patriotyczne, zobowiązujące do realizowania postaw heroicznych, tyrańskich, ofiarnych (a w każdym razie – do ich deklarowania), kierowały ku monumentalizacji dążeń i myśli; tak też zostali ukształtowani wielcy bohaterowie romantycznej literatury. Widzeni i oceniani na tle historii, Polski, boskości człowieka, rozliczani jak z grzechu ze swych niemocy i słabości – lub rozliczający społeczeństwo.

Umieszczając życie indywiduum w tej skali ogromnej, ogranicza się, czy wręcz uniemożliwia, nie tylko szansę zrozumienia, lecz nawet tolerancję wobec postaw odmiennych. Zuboża się przez to bardzo koncepcję człowieka. Pełne podporządkowanie jednostki, jej dążeń i czynów, najszlachetniej nawet pojmowanemu interesowi narodu i ojczyzny przekreśla możliwość stawiania serio pytań o prywatnego człowieka, o jego życie wewnętrzne; cała ta problematyka, a przede wszystkim kwestia wolności jednostki, musi zostać odsunięta na czas nieokreślony, do chwili, gdy wolność odzyska całość – ojczyzna, wszyscy ludzie. Odpowiedź na pytanie o sens życia zbyt była oczywista i niedopuszczająca wątpliwości, by zachować miejsce na refleksję (a raczej – jeśli nawet by się ona pojawiła, musiałyby ustąpić przed racjami nadrzędnymi).

Wyjaskrawiając nieco, można rzec, że tyrańskie nakazy etyki patriotycznej nie dopuszczają autonomii życia wewnętrznego. Cel życia jest tak jasno i mocno określony, że nie ma miejsca na pytania o sens osobistego istnienia, o to, czy warto żyć, czy nie lepiej samemu odejść ze świata, samemu podjąć tę ostateczną decyzję o dacie swego zgonu. Pokusa w tym planie rozważanego samobójstwa zostaje zlikwidowana. Ale też, mówiąc bardziej serio, może i dlatego nie ma w polskiej literaturze romantycznej takich znakomitych, „dopełnionych” samobójców, autentycznych do końca, czegoś takiego, co rysowało się w *Godzinie myśli*.

MECENAT LITERACKI I ARTYSTYCZNY (XIX I XX WIEK)

I. Wiek XIX

Nowe formy mecenatu u progu nowego wieku

Treści cudne smakiem a ciemne czasy
I ciągle postępu zdobycze
Uczyniły, że są dziś M e c e n a s y ...
Ależ są i M e c e n a s o w i c z e !...
Gdzie na pięćset umie czytać pięciu,
Gdzie na pięciu czterech zapal kłamię,
Dedykować tam konieczna K s i ę c i u ,
K a n c l e r z o w i , lub dowcipnej D a m i e ...
(Norwid, *Dziennik i epos*)

Wiersz Norwida, którego fragment został tu zacytowany, świadczy o zgorzkniałości wielkiego artysty, którego życie znaczyły ciągle kolizje między biedą a poczuciem godności. Ale jest też ten tekst symptomatycznym wyrazem daleko już wtedy posuniętych przemian, jakie w ciągu XIX wieku zachodziły w zakresie zarówno funkcjonowania zjawiska mecenatu, jak i relacji między twórcą a opiekunem sztuki. Wszelkie niemal formy organizacyjne mecenatu, jakie spotykamy w wieku XX, tam miały swój początek.

U progu XIX wieku, a właściwie już z końcem panowania króla Stanisława Augusta, zmienił się sens i zakres pojęcia mecenatu. Spektakularną tego oznaką jest dzisiejszy stan badań nad mecenatem: w ogromnej większości omawiają one zjawiska z okresu od średniowiecza do końca wieku XVIII, zjawisk późniejszych dotyczy nie tylko zdecydowanie mniej studiów, ale też obejmują one z reguły nie całość, lecz kwestie partykularne, działalność wybranej instytucji lub osoby.

W pracach poświęconych kulturze wieku XVIII, jak podsumowuje Andrzej Guzek, kategorią „mecenat” obejmowano działalność króla i „czołowych rodzin magnackich (Zaluskich, Czartoryskich, Potockich, Radziwiłłów), działalność kultu-

ralną zakonów, instytucji państwowych i towarzystw naukowych)". Już wówczas rysowały się sprzeczności „między koncepcją twórcy swobodnego, niezależnego, natchnionego wyraziciela prawd głębokich i niedostępnych poza sztuką a koniecznością podporządkowania serwitora opiekunowi”¹. Ale też już wtedy na zachodzie Europy powstawały nowe formy opieki nad zbiorami – załączek mecenatu państwowego: we Francji Luwr stał się muzeum Republiki, powstawały muzea publiczne, zabiegano o pozyskiwanie kolekcji prywatnych dla zbiorów państwowych².

Genezę przemian, zachodzących w wieku XIX, trzeba wiązać oczywiście z historią epoki, ze zmianami politycznymi oraz gospodarczymi, które wpłynęły na ewolucję układów społecznych. Kształtowała się warstwa inteligencji, rozluźniał związek między protektorem a artystą; relacje bezpośrednie opiekun-podopieczny (z mieszkaniem i utrzymaniem przy magnackim dworze), ustępowały szybko na rzecz nieregularnych finansowych wsparć, stypendiów na studia, wynagradzania za pracę lub dzieło. Szło to w parze z artykulacją potrzeb materialnych inteligencji i artystów oraz formowaniem się etosu twórcy. W konsekwencji szybko narastały tendencje do akcentowania jego duchowej niezależności – czego wyrazem był też gwałtownie się przejawiający romantyczny przełom w świadomości. Kształtowały się i rozwijały nowe formy dotowania artystów i zabytków kultury. Funkcje mecenackie podejmowały stowarzyszenia naukowe i miłośnicze. Zmieniała się też – w całej Europie – mentalność mecenasów-kolekcjonerów, ich styl myślenia o przeznaczeniu dzieł sztuki; niektórzy podejmowali próby udostępniania własnych zbiorów szerszej publiczności.

Na ziemiach polskich przestał istnieć mecenat królewski. Mecenat arystokracji przemieszczał się z miast (których rola podupadała na początku wieku XIX) do ośrodków prowincjonalnych. Mecenat rządowy w czasach pruskich niemal nie istniał; wygospodarowano tylko jedno stypendium na kształcenie za granicą, w Paryżu, otrzymał je w 1809 roku Antoni Brodowski³.

Stefan Kozakiewicz stwierdza, że gdy pisze o pierwszej połowie XIX wieku, pod zakres pojęcia „mecenat” wprowadza „nie tylko opiekę nad sztuką moźnej jednostki, ale zależność artystów, instytucji artystycznych i innych przejawów sztuki od aktywnej roli klas społecznych i państwa. Dla pierwszego piętnastolecia Królestwa Polskiego istotną i nową w dziejach polskiej sztuki rzeczą jest wielka rola mecenatu rządowego, którą przeciwstawić można dawnej roli mecenatu królewskiego; nowy mecenat miał na celu – o ile nie ulegał wypaczeniom – dobro publiczne, dawny – dobro jednostki. Daleko sięgająca ingerencja w sprawy sztuki jest charakterystyczna

¹ A. K. Guzek, *Mecenat*, hasło w: *Słownik literatury polskiego Oświecenia*, red. T. Kostkiewiczowa, wyd. 2, Wrocław 1991.

² Zob. hasło w: *Encyclopaedia Universalis*, Paris 1982.

³ Zob. S. Kozakiewicz, *Malarstwo warszawskie w latach 1815-1850. Podłoże rozwoju*, „Rocznik Muzeum Narodowego” 1962, s. 189-357.

dla stosunków kulturalnych w Królestwie"⁴. Natomiast po upadku powstania listopadowego, w latach 1832–1856, zarówno względy polityczne jak emigracja wielu potencjalnych mecenasów sprawiły, że polityka kulturalna Królestwa znalazła się w rękach Petersburga.

Niezależnie od tego, czy rzeczywiście mecenat rządowy w tamtych latach miał na celu „dobro państwa”, czy w większej mierze względy propagandowe (niezliczona liczba zamówień na portrety cara i dostojników) oraz ścisłą kontrolę nad sztuką, ważne jest spostrzeżenie Kozakiewicza, mecenat rządowy grał wówczas wyraźnie dużą rolę. Oczekiwania – już wtedy – były rozleglejsze: starano się o zakup na koszt rządu obrazów z warszawskich wystaw 1823 i 1826 roku, z myślą o powstaniu galerii narodowej i o wsparciu malarzy. Projekt nie został zrealizowany. (Można już tu wtrącić, że w podobny sposób, jak o wieku XIX i mecenacie ówczesnego Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego pisał Stefan Kozakiewicz, będzie się pisało o mecenacie państwowym, a głównie o działalności ministerstwa o tejże nazwie, w II Rzeczypospolitej.)

Dawne, „arystokratyczno-szlacheckie” formy mecenatu, polegające na bezpośredniej opiece indywidualnego darczyńcy nad artystą musiały tracić na znaczeniu przede wszystkim dlatego, że po prostu by nie starczało miejsc dla tych, których można by było objąć taką opieką, na stałe trzymać „przy dworze”. Toteż ta forma mecenatu przetrwała przez wiek XIX głównie w formach szczątkowych, mieszanym (aż do „guwernerki”, którą paralo się wielu młodych literatów od Odyńca i Gaszyńskiego po Stefana Żeromskiego) lub, czasem, zamówień dla malarzy, wykonywanych w domach magnackich – a także mieszczańskich.

Przemiany mecenatu przed powstaniem listopadowym

Dzieje form mecenatu w wieku XIX były związane z przemianami sytuacji politycznej i ekonomicznej kraju. Rozwojowi mecenatu prywatnego sprzyja stabilizacja i dostatek ewentualnych darczyńców; mecenatowi rządowemu – pokój polityczny. Toteż w latach wojen napoleońskich zjawisko mecenatu podległo niemal całkowitej stagnacji. Potem, w okresie liberalizacji politycznej pierwszych lat Królestwa Polskiego, czyniono plany pewnej instytucjonalizacji opieki nad sztuką, nawiązywania do idei, zrodzonych już w epoce rozbiorów. Zasadniczą rolę odgrywała wtedy motywacja polityczna, świadomość, że w warunkach upadku państwowości należy szczególnie troszczyć się o rozwój polskiej nauki i sztuki. Jan Śniadecki już w 1786 roku domagał się państwowego mecenatu nad nauką – między innymi dla popierania uczonych polskich, dla zapewnienia im „sytuacji” (czyli: zatrudnienia) na uniwersytetach, gdzie większość katedr oddawano cudzoziemcom⁵. Obok dbałości o naukę troszczono się o zachowanie dóbr dawnej polskiej kultury. Starano

⁴ S. Kozakiewicz, *Malarstwo...*, dz. cyt., s. 197.

⁵ J. Śniadecki, *Dyskurs przy otwarciu sesji publicznej Szkoły Głównej*.

się o otoczenie opieką wszelkich pamiątek świadczących o jej świetności, odnawianie ich lub zachowywać w kształcie niezmiennym (kult „piękna ruiny”), gromadzenie.

W Królestwie Polskim podwaliny dla tak pojmowanego mecenatu rządowego położył w Polsce Stanisław Kostka Potocki, kolekcjoner i (w latach 1815–1820) minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego; troszczył się szczególnie „o gromadzenie książek i innych zabytków kultury dla bibliotek publicznych”⁶, pozyskiwał dla nich dary (w Warszawie – między innymi bibliotekę po Feliksie Łubińskim, ofiarował dla niej własny zbiór rycin).

Powstawały zaczątki mecenatu zbiorowego, a rozwój ruchu wydawniczego oraz handlu dziełami sztuki stwarzał nadzieje na uniezależnianie się twórców od darczyńców.

Zwracał uwagę na tę problematykę Ludwik Hass: póki zatem „egzystencja literatów i artystów, czy ogólniej biorąc twórców, była uzależniona od indywidualnego mecenasa, jakim był panujący, możnowładca, póty ludzie owi nie mogli być w pełni swobodni w wyborze swoich postaw życiowych i artystycznych. Szerszą swobodę ruchów uzyskał świat literacki i artystyczny dopiero wówczas, kiedy dawnego typu mecenat ustąpił miejsca mecenatowi anonimowej publiczności nabywającej bilety na imprezy artystyczne, kupującej dzieła sztuki, prenumerującej czasopisma i dzienniki”⁷. Wydaje się, że autor nieco przeceniał, w każdym razie w odniesieniu do sytuacji pierwszej połowy wieku XIX, o której tu pisze, rangę wpływu owej „anonimowej publiczności” – mimo, że się w sposób znaczący pojawiła, to jednak długo jeszcze nie była w stanie zapewnić funduszy niezbędnych dla normalnego funkcjonowania sztuki i literatury.

Bez wątpienia jednak już od początku wieku XIX szybko wzrastała liczba osób, aspirujących do utrzymywania się z pióra i twórczości malarskiej⁸. Mocno odczuwana potrzeba duchowego uniezależnienia była nierealizowalna bez samodzielności finansowej, a oznaczało to przecież konieczność pokrycia wydatków nie tylko na utrzymanie, lecz także związanych z drukiem swych publikacji, z zakupem materiałów, niezbędnych do uprawiania nauki czy malarstwa, a nawet opłaty podróży studyjnych za granicę. Toteż narastały konflikty, mające u źródeł z jednej strony chęć zerwania z praktyką dawania przez artystę (czy pisarza) publicznego wyrazu wdzięczności dla protektorów, a z drugiej – autentyczne i głębokie dążenia do

⁶ J. Rudnicka, *Mecenas Stanisława Kostki Potockiego w świetle jego puścizny rękopiśmiennej*, „Przegląd Humanistyczny” 1958, nr 6, s. 170.

⁷ L. Hass, *Pokolenia inteligencji Królestwa Polskiego*, „Przegląd Historyczny” 1974, t. LXV, z. 2, s. 298.

⁸ Andrzej Guzek zwracał uwagę, że żyjący z pióra literaci działali już w wieku XVIII; do nich „zaliczyć by trzeba licznych dostarczycieli sztuk do teatru narodowego, dziennikarzy i nadawców pisaných gazet” (dz. cyt.). Ryszarda Czepulis-Rastenis oblicza ich liczbę w Warszawie lat dwudziestych na minimum kilkadziesiąt osób, a około 1860 r. na mniej więcej 100 malarzy (>przed powstaniem Szkoły [...] trudno było ustalić ich liczebność, ponieważ mianem „malarzy” określano powszechnie także malarzy pokojowych, rzemieślników») oraz ponad 100 aktywnie działających pisarzy (zob. teje: „*Klasa umysłowa*”. *Inteligencja Królestwa Polskiego 1832-1862*, Warszawa 1973).

odrzućcia nasuwanych przez protektora tematów i wymagań, odczuwanych jako pętające swobodę twórcy kajdany.

I tak jako przykład zmian w postawach twórców wobec mecenasów już u początku wieku XIX można przytoczyć fakt, że przyjęty dawniej szeroko obyczaj dedykowania utworów protektorowi zaczęto uważać za obowiązek tyleż uciążliwy, co niewłaściwy, nie pasujący do godności badacza czy artysty. Zwracał na to uwagę Jan Śniadecki w liście do Samuela Lindego. Mimo to, Linde wszystkie tomy *Słownika* przypisywał najhobnobniejszym darczyńcom, zdając sobie sprawę, że powołanie się na ich protekcję i pomoc jest najpewniejszą drogą zapewnienia możliwości publikacji dalszych tomów. W tomie I wymienił przede wszystkim Józefa i Maksymiliana Ossolińskich oraz Adama Czartoryskiego, którzy razem pokryli połowę kosztów, a także między innymi Aleksandra I, potem króla pruskiego oraz inne osoby, „które nadzwyczajnym wsparciem dzieło to łaskawie zaszczyć raczyły”⁹.

W pierwszej połowie XIX wieku, wraz ze zmniejszaniem się zasięgu owego mecenatu dawnego typu, obejmującego twórcę bezpośrednią opieką protektora, kształtowały się formy działań, które należałoby może nazwać para-mecenackimi, czyli z pogranicza tego, co określa się jako mecenat. Osobliwe listy także uboższych mecenasów, zbiorowo wspomagających wysiłki pisarzy, prezentowały już od początku wieku XIX częste, choć mało eksponowane, bo umieszczane na końcu książki, spisy „prenumeratorów”, zamawiających czasem kilka czy nawet więcej egzemplarzy. Ubieganie się o taką drogę finansowania zalecał Śniadecki Lindemu; drogą prenumeraty – rozprzedawania po parę biletów przez przyjaciół – gromadzono środki na druk pierwszego tomu *Poezji* Adama Mickiewicza¹⁰.

Dalej idącym, spektakularnym – drobnym, ale charakterystycznym i powszechnie stosowanym – świadectwem nowego stylu myślenia o relacjach między patronem a artystą było demonstracyjne wprowadzenie przez romantyków motto w miejsce dedykacji. Eksponowano w ten sposób osoby i myśli tych, którym poeci zawdzięczali nie fundusze, lecz inspirację intelektualną. Znamienną cechą motto romantycznych było czerpanie ich nie tylko z dzieł dawnych mistrzów (Kochanowskiego, Szekspira), lecz i współczesnych (Byrona), szybko znalazły się pośród nich także fragmenty tekstów Mickiewicza¹¹.

Podejmowane przez polskich artystów, podobnie jak w innych państwach europejskich, próby materialnego uniezależnienia się od darczyńców były jednak, ze względu na sytuację polityczną pod zaborami (ostrzy dozór cenzuralny, paraliżujący swobodę słowa i doboru atrakcyjnych, z narodowej historii czerpanych tematów), znacznie mniej skuteczne.

⁹ Zob. „Nauka Polska” 1927, t. VI.

¹⁰ Wiele wzmianek na ten temat rejestruje: M. Dernałowicz, K. Kostenicz, Z. Makowiecka, *Kronika życia i twórczości Mickiewicza. Lata 1798-1824*, Warszawa 1957.

¹¹ Zob. A. Kowalczykówna, *Motto romantyczne*, „Przegląd Humanistyczny” 1981, z.1/2 [tekst opublikowany w nieco zmienionej wersji także w niniejszej książce – Red.].

Wielcy mecenas na rzecz narodu

Coraz bardziej oczywiste okazywało się, że zadanie opieki nad kulturą narodową spoczywa na patriotycznie nastawionych zamożnych mecenasach. O dobrym zrozumieniu tego narodowego obowiązku świadczy zaangażowanie się przedstawicieli wielkich rodów w udostępnianie własnych zbiorów, finansowanie przez nich konkretnych przedsięwzięć z zakresu nauki i kultury a przede wszystkim instytucjonalne zabezpieczanie legatów, czynionych na rzecz społeczeństwa.

Protektorska działalność członków wielkich rodów zmierzała w dwóch głównie kierunkach: opieki nad instytucją (biblioteką, uczelnią) lub zabytkiem sztuki oraz wsparcia dla indywidualnego artysty, zapewnienia mu warunków do pracy (ta forma mecenatu z reguły była niedokumentowana, przechowywana w pamięci i wspomnieniach, znajdowała odbicie w formułach typu „stałe otaczał opieką potrzebujących artystów”).

Ideę założenia publicznego muzeum głosił już M. Mniszech w „Zabawach Przyjemnych i Pożytecznych”, a Adam Czartoryski przedstawiał ją przed Komisją Edukacji Narodowej. Ogromne i konkretne zasługi położył tu Stanisław Kostka Potocki, światły twórca nowych koncepcji mecenatu artystycznego. Od roku 1800 remontował swój Wilanów, część centralną Pałacu przeznaczając na miejsce pamięci Jana Sobieskiego. W części bocznej urządził „muzeum sztuki, dostępne dla zwiedzających. Z erudycją przygotował galerię, na którą złożyły się zbiory obejmujące ok. 100 waz, 5.000 rysunków i 150 obrazów. W roku 1802 wznosił przy północnym skrzydle pałacu »Galerię Gotycką« [...] dla malarstwa europejskiego XVII i XVIII w. Na całość galerii malarstwa złożyło się ponad 480 obrazów”¹².

Nowoczesne formy mecenatu rodziły się i umacniały w efekcie powstawania nowego typu instytucji naukowych i artystycznych. Decydującą rolę odegrały tu fundacje, towarzystwa naukowe (w obręb ich zainteresowań wkraczał marginalnie mecenat literacki czy artystyczny) oraz towarzystwa miłośnicze. Miały one ambicje wspierania nauki, sztuki i literatury (w działalności towarzystw naukowych i fundacji czasem trudno jest rozgraniczyć środki, przeznaczane na poszczególne dziedziny twórczości). W towarzystwach miłośniczych o kierunkach działań informowała nazwa; powstawały licznie, ale z powodu zazwyczaj bardzo ograniczonych finansów, a także ingerencji zaborców, możliwości rozwijania działań miały niewielkie.

W pierwszym ćwierćwieczu patriotyczna działalność mecenacka zmierzała głównie do tworzenia warunków dla nauczania: z myślą o edukacji fundowano szkoły, z darów obywatelskich gromadzono ich zbiory. Dziełem fundacyjnym, założonym przez Czackiego a wspieranym przez ziemian było słynne Liceum w Krzemieńcu; dzięki hojności ofiarodawców zakupiono dla niego między innymi bibliotekę pozostałą po królu Stanisławie Augustcie.

¹² B. Grochulska, *Potocki Stanisław Kostka*, w: *Polski Słownik Biograficzny*, tom XXVIII/1, z. 116, Kraków 1984.

Myśl o ocaleniu zbiorów (i ich udostępnianiu) patronowała fundacjom bibliotecznym. Pierwszą wielką fundację prywatną stworzył tu Józef Maksymilian Ossoliński (1748–1826). Akt fundacyjny, ustanowiony w 1817 roku, a zatwierdzony przez cesarza Franciszka I, zabezpieczał byt biblioteki, przewidywał powstanie towarzystwa naukowego i drukarni. Samuel Linde gromadził dla fundacji Ossolińskiego zbiory, dobierane z myślą o narodzie, o zachowaniu narodowości¹³. Powiększały się one dzięki darom – do najzaciejszych należała biblioteczna dotacja Lubomirskich; szczególne znaczenie miało – w drugiej połowie wieku – przekazanie do Ossolineum rękopisów Juliusza Słowackiego (przez Antoniego Małeckiego).

Wkrótce po Ossolineum ustanowiono statut Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu. Edward Raczyński (którego dziełem życia była Złota Kaplica, na cześć Mieszka I i Bolesława Chrobrego wykonana w Poznaniu), w 1829 roku przedstawił statut ustanowionej przez siebie otwartej dla wszystkich chętnych czytelników, biblioteki publicznej. Zabezpieczył jej byt, przekazując wraz z książkami gmach biblioteczny oraz przeznaczając na utrzymywanie biblioteki dochody z dóbr w Pleszewie¹⁴.

Powstające w wieku XIX biblioteki ordynackie ustanawiały niepodzielność zbiorów, stwarzały zaczątkową możliwość badań naukowych. Pewniejszym niż dar zabezpieczeniem donacji było ustanowienie depozytu wieczystego.

Zaczątki zinstytucjonalizowanego mecenatu zbiorowego można odnaleźć w działalności istniejących wówczas towarzystw naukowych. Najwcześniej i szeroko zasłużyło się Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk (1800–1832). W jego pracach – podobnie jak w dorobku wielu ówczesnych ludzi uczonych – działalność w zakresie nauk ścisłych nie eliminowała zainteresowań sztuką i literaturą; zajmowało się między innymi gromadzeniem zbiorów muzealnych. Na posiedzeniach Towarzystwa dyskutowano tematy i rozprawy z tych zakresów. Pierwszy konkurs literacki, na napisanie tragedii w języku polskim, ogłosiło Towarzystwo Przyjaciół Nauk już w 1803 roku – fundatorem pokażnej nagrody (100 dukatów holenderskich) był „bezimienny rodak”¹⁵. Na konkursy TPN-u nadsyłało jednak niewiele prac, toteż nie wszystkie były rozstrzygane. W tymże 1803 roku zachęcano także do szerszego wspierania artystów: „Franciszek Smuglewicz, który przedsięwziął był ważniejsze czyny Narodu naszego talentem swoim w rysunkach i sztuchu uwiecznić. Godzien zapewne zachęty i wsparcia rodaków”¹⁶.

Powstałe w Krakowie w 1815 roku „Towarzystwo Naukowe, z Uniwersyte-tem Jagiellońskim złączone” gromadziło uczonych, ale w pierwszym okresie jako

¹³ Uwagi o fundacjach – według: A. Biernacki, *Fundacje – ich rola i znaczenie w XIX stuleciu*, w: *Życie naukowe w Polsce w drugiej połowie XIX i w XX wieku. Organizacje i instytucje*, red. B. Jacewski, Wrocław 1987. Zob. także: S. Fita, *Ossolineum*, w: tamże.

¹⁴ Zob. B. Kosmanowa, *Edward Raczyński. Człowiek i dzieło*, Bydgoszcz 1997.

¹⁵ Zob. C. Gajkowska, *Konkursy literackie*, w: *Słownik literatury polskiej wieku XIX*, red. J. Bachórz, A. Kowalczykowska, Wrocław 1991.

¹⁶ Zob. A. Ryszkiewicz, *Sprawy artystyczne w działalności Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk*, „Materiały do Studiów i Dyskusji” 1951, nr 6.

główny cel jego działalności, nawet przed badaniami naukowymi, wymieniano „przede wszystkim pielęgnowanie zabytków historii i piśmiennictwa ojczyzniego”¹⁷.

Wspomaganie artystów

Mecenasowską działalność Stanisława Kostki Potockiego z rozrzewnieniem wspominała synowa, Anna: „Rozmiłowany w studiach, wytchnienie po trudach znajdował w doглядaniu pracy artystów i pisarzy, którym udzielał swej protekcji. Kiełkujący talent, młodzieńcze natchnienie, gdziekolwiek się objawiły, liczyć zawsze mogły na jego pomocną radę i oparcie materialne”¹⁸. Pomoc i „doглядanie” prac prowadziły do uzależnienia twórcy, często oznaczało to również konieczność realizowania narzucanych przez protektora postulatów ideowych, w takich „pomocnych radach” zawieranych.

Z punktu widzenia zamożnego protektora, a i dobra społecznego, była to sytuacja właściwa i godna pochwały – tym bardziej, jeśli wsparcie dla artysty łączyło się z realizacją idei przetrwania narodowej kultury. Sądząc z zachowanych świadectw, mecenas nie widzieli nic zdroźnego w wysuwaniu takich lub innych postulatów czy wymagań wobec podopiecznych; przeciwnie, „kierowanie” ich rozwojem artystycznym i „doглядanie” prac skłonni byli traktować jako przedłużenie mecenackich trudów.

Inaczej były – później – oceniane tego typu zależności przez podopiecznych i osoby postronne. Osobliwym usankcjonowaniem zmiany nastawienia wobec dawnych, związanych z pobytem u dworu, form mecenatu artystycznego jest sformułowanie zapisu hasła *Mecenas* w encyklopedii Orgelbranda (1864). Po eksplikacji znaczenia w sensie: „obrońca prawny” następują część inwektywy:

Mecenasami zowią możnych opiekunów i protektorów sztuk i literatury, a tym samym pisarzy i artystów. W czasach upodlenia i panegiryków, każdy z piszących u nas szukał mecenasa, który by go wsparł hojnym datkiem lub dał wygodne utrzymanie. Panowie nie gardzili takimi pismakami, używając ich do swoich celów, dla rozszerzenia swego imienia i wpływu, a nawet sławy u potomnych.

Autor hasła (Kazimierz Władysław Wóycicki) nie wspominał o żadnych pozytywach zjawiska mecenatu, a uwagi krytyczne podbudował nadto odwołaniem do Jędrzeja Moraczewskiego, który w drugim tomie dzieła *Starożytności polskie* (1852) pisał o „obrzydzeniu” dla takich twórców, przebywających w Puławach czy u dworu Stanisława Augusta. O ile tu potępiano mecenat wiodący do panegiryzmu, to już o wiele wcześniej – na co zwracał uwagę Witold Krasowski – idealizująco a przychylnie rysowano sytuację mecenatu sprawowanego przez zbiorowość; „u Greków był mecenasem lud cały”, pisał Brodziński¹⁹.

¹⁷ Zob. S. Kutrzeba, *Polska Akademia Umiejętności*, Kraków 1939, s. 1.

¹⁸ A. Potocka, *Wspomnienia naocznego świadka*, oprac. B. Grochulska, Warszawa 1965, s. 48.

¹⁹ W. Krassowski, *Mecenas artystyczny czy polityka artystyczna*, w: *Mecenas, kolekcjoner, odbiorca. Materiały Sesji Stowarzyszenia Historyków Sztuki*, red. E. Karwowska, A. Marczak-Krupa, Warszawa 1984.

Słowa potępienia dotyczyły, jak wynika ze wspomnianych wyżej tekstów, mecenatu polegającego na „siedzeniu przy dworze”. Jeszcze przed powstaniem listopadowym zaczęła natomiast wykluwać się inna, potem niezwykle ważna, forma prywatnego mecenatu arystokratów – obyczaj opłacania studiów zdolnym artystom (i wspomaganie ich zagranicznych wyjazdów). Józef Ossoliński wspomagał w tym celu Wincentego Kasprzyckiego (studia na Oddziale Sztuk Pięknych UW), rzeźbiarz Kazimierz Jelski (1782–1867) w 1809 roku odbył 3-miesięczne studia na koszt Izabeli Broel-Platerowej w Petersburgu, Aleksander Chodkiewicz opłacał studia Józefa Oleszkiewicza.

Po upadku powstania listopadowego

Do czasu powstania listopadowego można jeszcze było liczyć na racjonalne wykorzystywanie tych niewielkich środków, jakie przypadały nauce i kulturze z puli rządowej; stypendia, zakupy dzieł sztuki. Po upadku powstania sytuacja zupełnie się zmieniła – przez pierwsze lata zamarło w kraju życie kulturalne, zanikła możliwość rozwoju rynku sztuki, a tym bardziej ruchu wydawniczego, w związku z ogromnym zaostrzeniem cenzury. W zaborze rosyjskim dopiero gdzieś w połowie lat czterdziestych zaczęło odżywać życie literackie i artystyczne, a i to słabo, przede wszystkim ze względu na ogólną sytuację ekonomiczną. Dopiero po powstaniu styczniowym, a zdecydowanie szerzej na przełomie wieków, można w kraju odnotować powszechniejsze i bardziej zorganizowane działania o charakterze mecenackim.

Na obczyźnie

Wyemigrowało na stałe ze względów politycznych lub poza granicami przebywało dłużej i działało wielu potencjalnych mecenasów. Na emigracji wysiłki możliwych skupiały się na dbałości „o tradycję naszą, o pomniki jej pisane”, oraz oczywiście na pomocy indywidualnej dla artystów. Monumentalnym dziełem Wielkiej Emigracji, powstałym z prywatnych donacji, stała się przede wszystkim Biblioteka Polska w Paryżu. Patronował jej utworzeniu książę Adam Czartoryski, wolę wspólnego działania dla dobra Biblioteki wyraziły wspólnie cztery istniejące wtedy w Paryżu zrzeszenia naukowo-literackie Polaków. Biblioteka została otwarta w 1838 roku, w 1843 przeniosła się do gmachu przy Quai d’Orleans, w którym mieści się do dzisiaj. Jej istnienie umożliwiły donacje. Najpierw był to legat po zmarłym hr. Gustawie Małachowskim, znaczne dary w pierwszych latach złożyli księgarz paryski Dufour oraz senator Maciej Wodziński.

Wielką rolę odegrał mecenat Jana Działyńskiego. Po powstaniu styczniowym, przebywając w Paryżu, dotował on działalność naukową i fundował stypendia, głównie dla podejmujących zagraniczne studia młodych krajanów z Poznańskiego²⁰. „Stypendyści sprawiali urzędnikom Działyńskiego niemało kłopotów.

²⁰ Zob. J. Kosman, *Z dziejów Biblioteki Kórnickiej*, Wrocław 1984.

Młodzi ludzie szukali mecenasów, bywali natarczywi, należy jednak pamiętać o ich niezwykle trudnej sytuacji materialnej. Mogli liczyć na pomoc ze strony zamożnych rodaków, a kiedy dostrzegali tu dla siebie perspektywę, wówczas wszelkimi sposobami starali się, by z niej jak najdłużej korzystać²¹. Mecenat Działyńskich (Jana i jego syna Tytusa) obejmował przede wszystkim nauki ścisłe. Ale najważniejszym efektem ich działalności była gromadzona przez lata Biblioteka Kórnicka, ustawą sejmową z 1925 roku przekształcona w fundację.

Pośród różnych działań na rzecz pomocy dla rzesz wtrąconych w biedę „rodaków” (czyli na przykład działalności charytatywnej dam na emigracji, organizowanej przez Annę Czartoryską), można wyodrębnić te, które były adresowane wybiórczo do artystów. Na przykład wspomaganie nieregularnymi choćby datkami poetów, którzy znaleźli się w najtrudniejszej sytuacji – korzystał z takich darowizn po wyjeździe z kraju Cyprian Norwid; na przykład umożliwianie artystom podróży, dostarczających wrażeń, u swego boku, a nie tylko drogą osobnego stypendium. Gdzie stawiać tu granicę między przyjacielską gościną a dotowaniem twórczości? Pojęciem mecenasowania należałoby objąć także krymski wояż Mickiewicza! – podobnie, jak się to czyni w odniesieniu do podróży na Wschód malarza Franciszka Tepy, którego zabrał ze sobą w roku 1852 Adam Potocki, czy do wyprawy Juliusza Kossaka zabranego przez Juliusza Dzieduszyckiego w podróż dla oglądania arabskich koni czystej krwi²².

Zasięg pomocy, świadczonej indywidualnie artystom na emigracji, jest trudny do konkretnego określenia. Nie sposób wymierzyć owych wsparć i „pożyczek”, udzielanych prywatnie zubożałym poetom i malarzom przez Polaków lepiej sytuowanych (jak Adam Czartoryski czy Zygmunt Krasiński). A przecież nie mniej wspólnego, niż ratujące od biedy drobne kwoty, ze zjawiskiem mecenatu miała taka działalność, jak organizowanie przez księcia Czartoryskiego warsztatu pracy dla historyków i pisarzy, wytyczenie zadań, które mogli realizować w oparciu o wydobyte od Rosjan i sprowadzone do Paryża zbiory z Puław²³; podtrzymywał się dzięki temu, nie zanikł, literacko-naukowy potencjał twórczy emigrantów²⁴.

Również wydawcy, działający w Paryżu w latach 1830-tych – Aleksander Jęłowicki i Eustachy Januszkiewicz – w miarę możliwości mecenasowali pisarzom: „nie

²¹ Tamże, s. 36.

²² Zob. J. Garycka, *Formy mecenatu artystycznego w okresie pozytywizmu*, w: *Pozytywizm*, t. II, Warszawa 1951, s. 305-350.

²³ Marceli Handelsman pisał o pisarzach, którzy gromadzili się wokół Czartoryskiego, podkreślając rozbieżności między wielkością mecenackiego zamierzenia a wynikami: „Wszyscy oni [...] byli przeniknięci rzetelnym dążeniem do zbierania i krytycznego ogłaszania dokumentów. [...] Plan w teorii był wielki: zamierzano Bibliografię narodową [...]. W praktyce pracowano bez jednolitego systemu, przez ludzi przypadkowych, nieprzygotowanych, słabo płatnych i często nie rozumiejących tego, co kopiowali, bez wspólnej instrukcji. Ale pracowano wytrwale”. (*Adam Czartoryski*, Warszawa 1948, t. I, s. 233.)

²⁴ Zob. M. Straszewska, *Życie literackie Wielkiej Emigracji we Francji 1831-1840*, Warszawa 1970.

tylko drukowali gotowe, im przyniesione rękopisma, ale ofiarując zdolniejszym a potrzebującym honoraria, na jakie zdobyć się mogli, wywołali niejedną pracę, która stała się ozdobą ówczesnego piśmiennictwa naszego”²⁵.

Na ziemiach polskich. Salony, handlarze, kolekcjonerzy...

Paramecenacki charakter miała instytucja intelektualnie nobilitujących gospodarzy „salonów literackich”, w których spotykano się, nie tylko w zamożnych lecz i uboższych mieszczańskich domach, dla słuchania poetów; często było to pierwsze miejsce, gdzie młodzi mogli publicznie zaprezentować swe utwory, zdobyć publiczne uznanie. Istniały także salony artystyczne: w latach 1850-tych w Warszawie funkcję taką pełniła „Gospoda literacko-artystyczna” i gromadzący młodych malarzy „gościnny dom” Marcina Olszyńskiego.

Paramecenacką działalność prowadziły także redakcje czasopism: „Stanowiły one miejsce stałych spotkań, umożliwiały wymianę poglądów i kształtowanie opinii. Na łamach czasopism łatwiej było publikować niż w formie książkowej. Redakcje nie mogły jednak zapewnić opieki i poparcia wszystkim dziedzinom i gatunkom pisarstwa”²⁶. Podejmowano natomiast wysiłki dla umożliwienia kształcenia się artystów. Gdy na przykład nie było jeszcze w Warszawie możliwości studiowania sztuk pięknych, Cyprian Norwid w 1842 roku wyjechał za granicę na studia rzeźbiarskie dzięki pieniężnej pomocy, otrzymanej od redakcji „Biblioteki Warszawskiej”.

Od połowy wieku pojawia się, i szybko rozwija, profesjonalne uzupełnienie prywatnego mecenatu (najczęściej związanego z zamówieniami portretowymi) – działalność handlarzy sztuką. Nie był to oczywiście mecenat bezinteresowny, przeciwnie, był nastawiony na zysk, i już pierwsze tego typu przedsięwzięcie, podjęte przez warszawskiego kupca Hirszla, który od 1852 roku wystawiał w sklepie przeznaczone na sprzedaż obrazy, padło po paru latach z powodu między innymi sporów o prowizję. Franciszek Kostrzewski wspominał: „Była to pierwsza sposobność występowania publicznie. [...] Można przyznać, że Hirszel był pierwszym, który sporełożył zasługi, dając możność młodym malarzom zbytu swoich obrazów”²⁷. Otwierająca się możliwość normalnej, w sklepie, sprzedaży dzieł sztuki, malowania dla zarobku bez cudzych ingerencji, miała istotne znaczenie dla duchowego uniezależnienia artysty. W tymże czasie w Krakowie działalność podobną, lecz znacznie szerzej rozwiniętą i wiązaną motywami patriotycznymi, rozwijał Walery Wielogłowski – księgarz, wydawca, wkrótce jeden z założycieli Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych.

²⁵ M. Straszewska, dz. cyt., s. 197.

²⁶ R. Czepulis-Rastenis, „Klasa umysłowa”. *Inteligencja Królestwa Polskiego 1832-1862*, Warszawa 1973, s. 289.

²⁷ Cyt. za: A. Ryszkiewicz, *Zarys historyczny, w: tegoż, Malarstwo polskie. Romantyzm. Historyzm. Realizm*, Warszawa 1989.

Mecenasami byli także zamożni kolekcjonerzy, w Warszawie już w połowie wieku na przykład Marcin Olszyński czy w kieleckim Tomasz Zieliński. Także oni potrafili egzekwować prawo własnych wymagań, narzucania własnych opinii, a artysta musiał być powolny, jeśli chciał sprzedać swe płody. Świetny przykład takiej sytuacji, już z końca wieku, opisał Andrzej Ryszkiewicz w szkicu o Ignacym Korwin Milewskim. Badacz z aprobatą przedstawia jego mecenasowskie działania: „zbierał obrazy artystów żyjących; zakupywał je w pracowniach, zamawiał u twórców, inspirował je”, chciał „poprzez hojną pomoc i płacenie wysokich cen dać młodym artystom impuls, szczególnie w kraju, gdzie mało jest mecenasów sztuki”, by „nie musieli się oddawać malarstwu dla chleba, ale żeby mogli skupić się na cechach narodowych”²⁸.

Tenże Ignacy Korwin Milewski (ur. w 1846), magnat kresowy o warcholskich skłonnościach, sam miał ambicje twórcze, studiował malarstwo w Monachium. Zgromadził wielką galerię malarstwa polskiego, głównie współczesnego (jeszcze za jego życia niestety uległa rozproszeniu). Kupował obrazy najczęściej bezpośrednio u artystów, często z góry ustalając tematy, a nawet domagając się wprowadzania zmian w momencie zakupu. Najusilniej gromadził dzieła Aleksandra Gierymskiego: „przez kilka lat wypłacał mu regularnie pieniądze, z których się malarz utrzymywał [...] pozyskane obrazy udostępniał na wystawach. Opiekował się nim”²⁹. To jedna strona medalu, skłaniająca Ryszkiewicza do lekkiego lekceważenia drugiej strony: uderzających uskarżań się Gierymskiego w listach do przyjaciół. Oto Milewski zamówił „nowe świństwo, które ma być z morza. Mówię <świństwo> bo wątpię, żeby motyw morski mógł być w moim talencie, na to trzeba człowieka urodzonego nad morzem. Na poprzednim wiejskim tak się złapałem, że sobie wymówiłem, żeby nigdzie nie wystawiał”³⁰. Kiedy indziej: „Milewski nie wysłał *Trąbek* do Paryża na wystawę, zrobił mi tym straszny zawód. Drań. A jeszcze w dodatku napisał mi w liście, przeprasząc za to, że mi chce wynagrodzić w inny sposób to, a mianowicie obstalując nowy obraz, który bym robił w Paryżu, dobrze nawet miał być zapłacony, ale dał te warunki i wszystko razem w takiej formie, że odmówiłem”³¹. Ostatecznie jednak Gierymski akceptował stawiane warunki; z korzyścią dla potomnych – rezultatem tego pobytu w Paryżu był świetny obraz *Opera paryska w oświetleniu elektrycznym i gazowym*.

Wobec Chełmońskiego, jak pisze Ryszkiewicz, Korwin Milewski „pozwalał sobie na wielkopańskie fupy i wymagania, których by Gierymski nie ścierpiał”³², na jego żądanie malarz na przykład przemałował *Rysaka*. Pankiewicz natomiast nie na wszystko

²⁸ Zob. A. Ryszkiewicz, *Galeria obrazów Ignacego Korwin Milewskiego*, w: tegoż, *Kolekcjonerzy i miłośnicy*, wyd. 2, Warszawa 1981, s. 207. Oceniając intencje protektora, autor powołuje się na jego *List do redaktora* („Kraj” 1893, nr 45, s. 22).

²⁹ Tamże, s. 208.

³⁰ List z 1890 r. do Stanisława Witkiewicza, tamże, s. 209.

³¹ List z 1889 r. do Józefa Dziekońskiego, tamże, s. 209.

³² Tamże, s. 210.

się godził. Gdy Milewski zażądał: „Zrobi mi pan takie płótno [jak *Targ na kwiaty* – A. K.], ale nieba musi być o 40 cm więcej i [...] musi być namalowany zupełnie gładko”³³, artysta zbuntował się, zamówienia nie wykonał³⁴. Zrelacjonowane przez Ryszkiewiczza perypetie z końca wieku są znakomitą ilustracją problemu – mecenas wymaga, twórca, nawet wybitny, nie widząc innych możliwości finansowych, najczęściej ulega.

Świadectwem rozwoju polskiego kolekcjonerstwa na przełomie wieków stało się opublikowane – już w okresie wojny! – przez Chwalewika *Vademecum zbieracza polskiego*.

Teatr

Osobnym, inaczej regulowanym problemem (wspominam ten temat tylko marginalnie), były subwencje dla teatrów. W wieku XIX teatry utrzymywały się zasadniczo ze środków własnych, ale otrzymywały też subwencje od państwa; na przykład w Warszawie w trudnym dla nich okresie wojen napoleońskich rozporządzeniem króla saskiego Fryderyka Augusta w roku 1810 powołano – krótko istniejącą – Dyрекcję Rządową Teatru Narodowego. W latach Królestwa Polskiego Ludwik Osiński otrzymywał stale subwencję rządową dla Teatru Narodowego³⁵. Wyjątkowo wyraziście zarysowuje się z tej okazji zjawisko „mecenatu negatywnego”, czyli egzekwowania przez mecenasów praw, dawanych mu przez fakt sponsorowania: gdy na czele Dyрекcji Teatrów stanął osławiony Aleksander Roźniecki, wzrosły czasowo subwencje przyznawane na teatr ale jednocześnie nasiliła się kontrola cenzuralna, decydująca także o doborze repertuaru. Mariaż subwencji rządowych i zakazów cenzuralnych najpełniej dawał o sobie znać w Warszawie paskiewiczowskiej, nadając baletowo-komediowy charakter repertuarowi nowej sceny teatru Wielkiego. Różnorodne subwencje, dla teatrów lub przedstawień, utrzymywały się stale.

Mecenacka działalność towarzystw naukowych, artystycznych i literackich

W epoce rozbiorów mecenasami, powodowani pobudkami patriotycznymi, szczególnie popierali domenę badań historycznych³⁶. Wspominałam o tym z okazji prac

³³ Tamże, s. 215.

³⁴ Można tu – za *Encyclopaedia Universalis* (Paris 1982) – przytoczyć słynne zdanie Gustave’a Co-urbet: „Je méprise les mécènes”. We Francji przejawem takiej postawy było angażowanie się artystów w bohémę, w polemiki, różnorodne manifestowanie konfliktu z oficjalnością.

³⁵ Zob. K. Wierzbicka-Michalska, *Teatry w Warszawie w latach 1807-1814*, w: *Teatr polski od schyłku XVIII wieku do roku 1863*, cz. I: *Lata 1773-1830*, Warszawa 1993.

³⁶ Domena badań historycznych „zyskała kilku możnych mecenasów i cieszyła się poparciem moralnym całego niemal społeczeństwa. Stała się też przedmiotem zainteresowań badawczych pewnej liczby ludzi pióra, którzy nie bacząc na trudności utrzymania się z jednej tylko specjalności, zajęli się nią.” (R. Czepulis-Rastenis, „*Klasa umysłowa*”..., dz. cyt., s. 291). Wśród tych mecenasów można wymienić Aleksandra Przezdzieckiego i Edwarda Rastawieckiego, wśród historyków – Juliana Bartoszewicza i Wojciecha Grochowskiego.

Mecenasami realizowali katalog cnót inteligenta polskiego, w którym dominował patriotyzm i pożyteczna praca, na każdej miary poletku, wielkim i małym. Pochwalano szczególnie ideę gromadzenia zbiorów naukowych jako wyraz troski o kulturę narodową. Wiązał się z tym powstający wzorzec etosu

na emigracji księcia Adama Czartoryskiego. Jak pisała Ryszarda Czepulis-Rastenis:

Motywy patriotyczne, jakie inspirowały poparcie dla polskiej tematyki badawczej, skłaniały również niektórych przedstawicieli arystokracji do protegowania sztuki polskiej. Znalazło to między innymi wyraz w licznym akcesie ziemian i arystokratów do Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, w poparciu finansowym Instytutu Muzycznego, w fundowaniu indywidualnych stypendiów i innych form wsparcia dla pisarzy, muzyków, malarzy. Rozmaite formy mecenatu kulturowego okazywały się jednak zbyt skromne i, co może równie ważne, uzależnione bywały czasem od pokornej prośby³⁷. Toteż narastają tendencje do zinstytucjonalizowania obrony własnych interesów, do organizowania się w zawodowe „stowarzyszenie muzykalne” czy „stowarzyszenie malarzy”.

W 1872 roku z krakowskiego Towarzystwa Naukowego wykształtowała się Akademia Umiejętności; plany ograniczono do prac naukowych. Obejmowały jednak także finansowanie nowych edycji piśmiennictwa staropolskiego (w 1889 roku powstała „Biblioteka Pisarzy Polskich”), dofinansowywano publikacje wybitnych dzieł z zakresu badań nad literaturą. Akademia otrzymywała subwencje państwowe: w 1872 – roczną od rządu austriackiego, od 1874 także subwencję Sejmu Krajowego Galicji. „Jeśli jednak Akademia mogła przed wojną światową rozwinąć szerszą działalność, jeśli na żadne wydawnictwo nigdy nie zabrakło pieniędzy, zawdzięczała to ogromnej ofiarności na jej cele całego społeczeństwa polskiego, ze wszystkich dzielnic Polski, a także tych Polaków, którzy nieraz całe życie spędzali na obczyźnie”³⁸.

Działalność Akademii Umiejętności – i innych instytucji zaboru austriackiego – wykraczała poza Galicję (to z niej wykiełkowało w 1907 roku Towarzystwo Naukowe Warszawskie), lecz oczywiście również na innych ziemiach polskich powstawały rozmaite odrębne inicjatywy i instytucje wspierające naukę. W ich obrębie także sztukę i literaturę – choć w II połowie wieku XIX stosunkowo mniej i wybiórczo na nie łożono; nie na pisarzy żyjących, lecz niemal wyłącznie subwencjonowano edycje literatury dawnej.

W Warszawie w 1881 roku utworzono Kasę im. Józefa Mianowskiego, „największą polską instytucję wspierającą badania i wydawnictwa naukowe”³⁹. W pierwszym okresie działalności Kasy, pośród ok. 700 książek przez nią dotowanych, zaledwie niewiele ponad 40 wchodziło w zakres nauk o literaturze; kilka nazwisk historyków literatury pojawia się również pośród autorów książek, nagradzanych na konkursach (Piotr Chmielowski, Gabriel Korbut). Sztuk pięknych zakres jej działań nie obejmował.

inteligenta: manifestowana niechęć do kariery, u końca wieku chwalenie się głodem i ubóstwem, bo to szlachetne. (Zob. R. Czepulis-Rastenis, *Ludzie nauki i talentu*, Warszawa 1988, s. 307-308.)

³⁷ R. Czepulis-Rastenis, „Klasa umysłowa” ..., dz. cyt., s. 292.

³⁸ Tamże.

³⁹ Zob. *Kasa im. Józefa Mianowskiego. Fundacja Popierania Nauki 1881-1991*, Warszawa 1992, s. 8.

Działalność stypendialna Kasy szeroko rozwinęła się w Galicji, w Krakowie a potem także we Lwowie. Dawano stypendia oświatowe (szkolne), zwłaszcza młodzieży kształcącej się na uczelniach. Większość przypadła przyszłym rolnikom, lekarzom, reprezentantom nauk technicznych; jednak specjalnie dla młodzieży kształcącej się w zakresie literatury wyznaczono 3 stypendia, fundowane od 1871 roku przez Adolfa Łazowskiego. Prywatnie ustanawiane donacje były jednak często obwarowywane warunkami, dotyczącymi biorców. Na przykład największa donacja, Probusa Barczewskiego, była przeznaczona „dla młodzieży katolickiej”, inne – „dla młodzieży szlacheckiej” (dlatego nie otrzymał stypendium między innymi nie legitymujący się szlacheckim rodowodem Stanisław Pigoń). Z najbardziej cennych stypendiów, przyznawanych na kształcenie zagranicą (także dla tych, którzy mieli objąć stanowiska profesorskie) skorzystali najwybitniejsi historycy literatury⁴⁰.

W wieku XIX, a szczególnie w drugiej jego połowie, rozrastały się zatem – obok dalece niewystarczającego „rządowego” – inne formy sponsoringu przez „zbiorowość”. Jan Stanisław Wojciechowski zwracał uwagę na różnorodność definicyjnych sformułowań i zakresów pojęcia; obok mecenatu „państwa” wymienia się „społeczny”, „publiczny”, „środowiskowy”, nie zawsze rozróżnienia między nimi wydają się oczywiste⁴¹.

Obok instytucji wspierających naukę i sztukę, dużą mecenasowską rolę od początku XIX w. odgrywały „towarzystwa miłośnicze”, które „skupiały ludzi rozmilowanych w szczególnym rodzaju twórczości lub przyjaciół konkretnej instytucji artystycznej. Działalność ich dotyczyła gromadzenia zbiorów z określonego zakresu, podejmowania różnych działań w celu popierania rozwoju sztuki czy instytucji ją popierającej”⁴².

Już w 1817 roku miłośnicy muzyki założyli Towarzystwo Muzyczne w Krakowie, w 1871 roku powstało Warszawskie Towarzystwo Muzyczne, w 1886 roku Poznańskie Towarzystwo Muzyczne.

W 1854 roku powstało Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie (we Lwowie w 1866, w 1886 połączyło się z krakowskim; w Poznaniu analogiczne towarzystwo powstało w 1887). Założycielom TPSP przyświecało przekonanie, iż istnieje konieczna „potrzeba popierania sztuki”. Pierwszym, bardzo zasłużonym prezesem był księgarz i kolekcjoner Walery Wielogłowski.

Działalność Towarzystwa koncentrowała się na urządzaniu corocznych wystaw malarstwa polskiego; przedłużano ich trwanie, wreszcie od 1869 roku pozostawały otwarte dla zwiedzających przez cały rok. Te wystawy, i dokonywane na nich zakupy, miały stanowić załączek (powstałego w 1879 roku) Muzeum Narodowego w Krakowie.

⁴⁰ Zob. J. Dybiec, *Mecenat naukowy i oświatowy w Galicji 1869-1918*, Wrocław 1981.

⁴¹ J. S. Wojciechowski, *Współczesne życie artystyczne. Zagadnienia wybrane*, Warszawa 1987, s. 85.

⁴² D. Ilczuk, *Sektor nonprofit w literaturze. Analiza instytucjonalno-finansowa fundacji i stowarzyszeń*, Warszawa 1995, s. 84.

Po paru pierwszych latach Towarzystwo otrzymało dla urządzania wystaw Sukiennice, a w 1901 roku starania o własny gmach zaowocowały pięknym budynkiem przy Placu Szczepańskim. Hierarchia priorytetów była mocno ustalona: perspektywa utworzenia Muzeum, gromadzenie zbiorów – na dalszym dopiero planie mecenasowanie indywidualnym artystom.

Skutecznie zabiegano o wpłaty i dary. To tu wprowadzono obyczaj, że corocznie nie zalegający ze składkami członkowie Towarzystwa otrzymują specjalnie wykonywane litografie; o skuteczności tego chwytu świadczy nagle (choć krótkotrwałe) zmniejszenie się liczby akcjonariuszy w roku, w którym z reprodukcji zrezygnowano. Fundusze zwiększano także dzięki pośredniczeniu w sprzedaży obrazów z wystaw; reklamowano te sprzedaże jako ważną działalność mecenacką. A dla większej skuteczności wprowadzono nawet zasadę sprzedaży ratalnej. Niektórzy malarze (na przykład Jacek Malczewski) pozostawiali po zamknięciu wystawy któryś obraz na własność Towarzystwa. W efekcie w ciągu pierwszych 50 lat działalności Towarzystwa zakupiono do zbiorów 4 802 obrazy⁴³.

Popierając rodzimą twórczość, Towarzystwo „wyznaczyło w ciągu całego roku pięć nagród konkursowych oraz jedno stałe stypendium dla kształcenia się w jednej z zagranicznych akademii”⁴⁴. Towarzystwo krakowskie było dziełem miłośników sztuki i to oni decydowali o kierunkach działań oraz, co ważniejsze, o profilu zbiorów i o zakupach. Powodowało to konflikty z artystami, pozbawionymi wpływu na mecenackie poczynania.

Inne były początki powstałego w Warszawie w październiku 1860 roku Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Założone zostało przez grono artystów, skupiających się od kilku lat w salonie Marcina Olszyńskiego; gdy po powstaniu styczniowym zamknięto Szkołę Sztuk Pięknych, przetrwało jako najpoważniejsza placówka artystycznego mecenatu. Urządzano wystawy, przyznawano nagrody, ogłaszano konkursy artystyczne. W 1872 roku opublikowano *Ustawę Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskim* (z projektu nowej ustawy, opublikowanego w 1915 roku, usunięto słowa o lokalizacji Towarzystwa); jako cel wskazywano „rozkrzewienie sztuk pięknych w kraju oraz niesienie pomocy i zachęty Artystom; a zwłaszcza młodzieży, wychodzącej ze szkoły Sztuk pięknych w Warszawie” (Art. 1; w poprawionej wersji Ustawy z 1924 roku usunięto zwrot o szczególnym uprzywilejowaniu młodzieży). Metodami wiodącymi do realizacji tych celów miało być zakupywanie – ze składek i darów – dzieł sztuki i gromadzenie ich, by „tworzyć zbiory oryginalne nowych dzieł sztuki, tudzież pism nowożytnych sztuk pięknych dotyczących” (Art. 2d). Pierwszym obrazem, zakupionym przez TZSP, była *Śmierć Barbary Radziwiłłówny Simmlera* (a w roku następnym – Matejki *Otrucie królowej Bonny*). Zachętą do opłacania

⁴³ Zob. E. Swiejkowski, *Pamiętnik Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie 1854-1904*, wyd. II, Kraków 1905.

⁴⁴ Tamże, s. XL.

składek był zapisany w *Ustawie* oyczaj zakupywania dzieł malarskich także z przeznaczeniem na rozłozowanie ich wśród członków Towarzystwa.

Zwraca uwagę w tej ustawie wyraźne zaakcentowanie, że działalność mecenacka ma być skierowana na artystów młodych i sztukę nową; zdecydowane to odejście od ideału nadrzędności ochrony „zabytków przeszłości” – ku popieraniu polskiej sztuki współczesnej. Zakorzeniony wtedy w TZSP kierunek myślenia i podjęta działalność mocno wpłynęła na kształtowanie polityki finansowej w zakresie sztuki po 1918 roku, w niepodległym państwie. Zarazem jednak, wraz z wzrastaniem w Towarzystwie roli „miłośników” i twórców starszego pokolenia instytucja stawała się coraz bardziej konserwatywna.

W książce Janiny Wiercińskiej⁴⁵ znajduje się cenny wykaz stypendiów i stypendystów. Przez pierwsze kilka lat „zasilki stypendialne” przyznawano głównie w celu umożliwienia kontynuacji studiów, w kraju; pierwszy z nich – z daru Alfreda Schuppégo. Od 1867 roku pojawiają się w tym wykazie stypendia na kontynuowanie studiów zagranicą. W latach 1921–1929, w związku z dewaluacją, stypendiów nie przyznawano, w latach następnych były nieliczne.

Opłacano stypendia z funduszy TZSP, z pieniędzy uzyskanych z wystaw (tu brano pod uwagę życzenia malarzy – bezkonkurencyjnym źródłem funduszy okazała się *Jawnogrzesznica* Siemiradzkiego, zaraz po niej – *Kazanie Skargi* Matejki) oraz z darów. W większości były to sumy, pozwalające na wielokrotne przyznawanie stypendiów – jak zapisy J. Simmlera, H. Korwin-Szymanowskiej, z fundacji F. Sobańskiego; potem od 1881 roku także z zapisów K. Przeddzieckiego, I. Ciszewskiego, od 1902 roku z fundacji M. Tyszkiewicza, od 1905 – im. K. Benniego, dalej W. Frąckiewicza, J. Wieniawskiego, okazjonalnie inne jeszcze. W sumie stypendiów i zapomóg (wyraźną granicę między tymi formami trudno wytyczyć) udzielono około 400. Brak w tym wykazie niemal zupełnie kobiet – jeśli się pojawiają, to otrzymują zasiłek nie dla kontynuowania studiów, lecz na wykonanie konkretnej pracy – na przykład malowidła na szkle okna TZSP (!) – M. Łubieńska w 1878, S. Wiśniewska z adnotacją, że to zasiłek (i tak niższy niż przyznane mężczyznom!), „udzielony z uwagi na okazane wybitne zdolności artystyczne”⁴⁶ – przy panach takiego usprawiedliwienia ani razu nie uznano za potrzebne. Dopiero H. Ciechanowska otrzymywała zwykle stypendium (1904–1906, utrzymane na dolnej granicy).

W roku 1886 we Lwowie – dzięki staraniom głównie Józefa Tretiaka oraz Władysława Bełzy – powstało Towarzystwo Literackie imienia Adama Mickiewicza. Początkowo działalność Towarzystwa ograniczała się do szeroko pojmowanej opieki nad spuścizną i pamięcią poety. Od początku zadbano o gromadzenie środków na działalność mecenacką, poprzez wprowadzenie do statutu kategorii „członków wspierających”; byli wśród nich arystokraci (między innymi Karol Lanckoroński,

⁴⁵ J. Wiercińska, *Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie. Zarys działalności*, Wrocław 1968.

⁴⁶ Tamże, s. 187.

Jerzy i Leszek Dunin-Borkowscy), finansiści, wydawcy. Towarzystwo miało charakter elitarny, jego właściwymi członkami byli naukowcy; ale cele działalności ewoluowały, przede wszystkim już ok. 1900 roku znacznie rozszerzono zakres zainteresowań, obejmując nimi także Słowackiego, potem innych pisarzy⁴⁷. Do 1918 roku Towarzystwo działało jedynie na terenie Galicji.

Powstające w wieku XIX towarzystwa literackie, w kraju i na emigracji, stawiały przed sobą zadania ideowe, działalność mecenacka nie wchodziła zasadniczo do ich programu. W kraju towarzystwa literackie na miarę skromnych finansów, którymi dysponowały, próbowały organizować przede wszystkim, raczej bez powodzenia, materialne zabezpieczenie dla starych pisarzy i ich rodzin.

Więszymi funduszami, pozwalającymi realizować tego typu działalność, dysponowała dopiero Warszawska Kasa Przewodności i Pomocy dla Literatów i Dziennikarzy (1899, pierwszym prezesem – Bolesław Prus), której fundusze pochodziły między innymi z darowizn; wydzielono z niej Fundusz im. Elizy Orzeszkowej, służący „na nagrody dla literatów Polaków”⁴⁸.

Na przełomie wieków powstało co najmniej kilka kas wzajemnej pomocy obejmujących środowiska artystyczne i literackie; trudno ustalić, czy i w jakim zakresie zajmowały się działalnością typu mecenackiego. Można wymienić przykładowo wcześniejsze jeszcze Krakowskie Towarzystwo wzajemnej pomocy artystów (1878, wśród założycieli – Jan Matejko i Aleksander Kotsis). A także warszawską „Młodą Sztukę” (Ustawa z 4 grudnia 1911 roku), która głosząc ideę podniesienia kultury artystycznej społeczeństwa w praktyce zakładała, iż „mieć będzie na celu polepszenie warunków materialnych naszych artystów plastyków”.

Konkursy, nagrody, stypendia artystyczne

Ważną formą działań mecenackich (czy: paramecenackich) w II poł. XIX wieku były konkursy literackie i artystyczne.

Po roku 1870 konkursy literackie ogłaszały redakcje gazet i czasopism, a konkursy dramatyczne, najliczniejsze, ogłaszały teatry i organizacje społeczne. „Nagrody konkursowe, relatywnie dość wysokie [...] zwłaszcza wobec niskich honorariów autorskich, stanowiły zachętę dla pisarzy”; wśród fundatorów nagród bywali przedstawiciele arystokracji (na przykład w Krakowie Franciszek Łubieński, Artur Potocki, Jan Zamoyski, Marcei Czartoryski). Nadal (od konkursu TPN w 1803 roku) pojawiali się darczyńcy anonimowi, stanowiący najbardziej bezinteresowną formę mecenatu. Czasem nagrody fundowały towarzystwa miłośnicze (na przykład Koło Miłośników Sztuki Krajowej w konkursie im. Wojciecha Bogusławskiego w 1884 roku), organizacje społeczne i kulturalne (na przykład towarzystwa regionalne); w 1852 roku Kasyno Narodowe ogłosiło konkurs na sztukę osnutą na tle historycznym.

⁴⁷ Zob. S. Fita, *Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza 1886-1986*, Wrocław 1990.

⁴⁸ Zob. tenże, *Towarzystwa literackie*, w: *Słownik literatury polskiej...*, dz. cyt.

Myśl o „pamiętce”, o upamiętnieniu wybitnych Polaków przyświecała konkursom rzeźbiarskim na pomniki. „Pomniki Mickiewicza powstałe na ziemiach polskich wznoszone były na »społeczne zamówienie«, z publicznych składek. Taki typ fundacji wiązał się z wymogiem powszechnej zrozumiałości”⁴⁹, czyli: figuratywnego stylu. (Po 1918 roku wydatki na planowane wcześniej pomniki przejmie mecenat państwowy.)

Po roku 1890 do mecenatu nad konkursami literackimi włączały się instytucje urzędowe (na przykład Galicyjski Wydział Krajowy we Lwowie, Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności, wiele sztuk nadsyłało na konkurs Teatrów Rządowych Warszawskich). „Zgodnie z intencją organizatorów konkursy miały służyć kilku celom, najważniejsze z nich to: wzbogacenie literatury dramatycznej, szczególnie scenicznej, poszerzenie polskiego repertuaru, odkrywanie nowych autorów scenicznych i ich promocja”⁵⁰. W drugiej połowie wieku, wraz z rozwojem prozy, organizowano – także przez czasopisma – licznie konkursy na nowele, opowiadania i powieści oraz na książki dla ludu. Wraz z rozwojem czasopism ilustrowanych pojawiają się w nich (najpierw w „Tygodniku Ilustrowanym”) konkursy dla rysowników⁵¹.

W dziedzinie sztuk pięknych oczywiście o wiele ważniejszą niż czasopisma funkcję popularyzującą nazwisko i dzieła artysty spełniały, szczególnie zagraniczne, konkursy, wystawy i salony malarskie. Zdobywane nagrody i medale obok sławy przynosiły wymierne korzyści finansowe. Ilość nagród, zdobywanych przez polskich malarzy, rzeźbiarzy, grafików od końca wieku do wybuchu wojny 1914 roku wydaje się ogromna, a wśród laureatów znajdowali się zarówno mężczyźni, jak polskie kobiety.

Warto to podkreślić, bowiem zupełnie inaczej układały się proporcje przyznawanych stypendiów i zasiłków na studia artystyczne. Z różnych form pomocy materialnej korzystali artyści-mężczyźni, kobietom nie fundowano ich niemal nigdy. I jeszcze na jeden szczegół, związany ze stypendiami, warto wstępnie zwrócić uwagę – mianowicie na zarysowującą się rozbieżność między życzeniami darczyńców a skłonnościami artystów. Niektórzy donatorzy określali dodatkowe warunki przyznania stypendium. Obok już wspomnianych a dotyczących osoby stypendysty zaznaczano czasem także miejsce, w którym ma przebiegać nauka. Darczyńcy preferowali, co świadczy na przelomie wieków o wyraźnie tradycyjnym charakterze owych nalegań, Włochy – gdy młodzi artyści wybierali Paryż, a przede wszystkim Monachium. (Preferencje twórców można poznać dzięki porównaniu wyjazdów stypendialnych z tymi, które następowały przy wykorzystywaniu innych środków

⁴⁹ P. Szubert, *Pomnik Mickiewicza – ołtarz narodu*, w: *Pomniki w XIX wieku*, red. J. Brendel, Poznań 1993, s. 19.

⁵⁰ Zob. C. Gajkowska, dz. cyt.

⁵¹ Zob. A. Ryszkiewicz, *Zarys historyczny*, dz. cyt.

finansowych.) Niezależnie od Towarzystw i donacji stypendialnych na ich rzecz trzeba zauważyć, że rozwijała się stosunkowo szeroko także prywatna działalność stypendialna. Wspominałam o dotowaniu artystów przez arystokrację – ale równolegle poszukiwano innych możliwości uzyskania funduszy na naukę artystów. W pierwszej połowie wieku, zanim powstały wielkie towarzystwa miłośnicze, były to inicjatywy z najróżnorodniejszych źródeł.

I tak na przykład Marcin Januszewicz (ur. 1780) w roku 1818/19 otrzymywał od loży wolnomularskiej Gorliwy Litwin zasilek jako „ubogi uczeń przykładający się do nauki sztuk pięknych w Uniwersytecie”. Rafał Hadzewicz (1803–1886) dzięki staraniom Staszica i Bentkowskiego otrzymał w 1825 roku stypendium na Oddziale Sztuk Pięknych UW. Karol Balicki studiując w Szkole Rysunku i Malarstwa... w Krakowie, otrzymywał wsparcie finansowe od Jana N. Głowackiego, a w 1847 – „przebywał na studiach w Dreźnie dzięki funduszowi zebranemu przez przyjaciół”. Z podobnie zbiorczych funduszy otrzymał stypendium Bolesław Biegas, rzeźbiarz i malarz; w 1896 roku Aleksander Świętochowski przeprowadził na łamach „Prawdy” akcję składkową, dzięki której zebrano fundusze na jego studia w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Później, w 1901 roku, zdobył stypendium im. Ciszewskiego (TZSP).

Stanisław Bartus w 1841 roku dzięki pomocy marszałka powiatowego (lwowskiego) Wasilewskiego miał opłacony rok studiów w akademii wiedeńskiej. Feliks Hanusz (zm. 1876) dzięki pomocy Tarnowskich z Dzikowa studiował w Monachium i we Włoszech (przed 1850 roku). Czasem stypendia były pomocą nie tylko dla studiów, ale i na przeżycie – tak chyba w przypadku Kazimierza Szolca, który jako „uzdolniony sierota” otrzymał fundusz od zakonu Filipinów z Gostynia na studia w Krakowie, potem od „osoby życzliwe” umożliwiły mu dwuletnie studia w Dreźnie, a dzięki Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu rok jeszcze studiował we Florencji. Tam, jak pisze monografista, „stało się to, co tak często ostateczną przyprawia zgubę najzdolniejszych artystów. Popadł w szpony handlarzów dzieł sztuki”, i po kilkunastu latach z nędzy popełnił samobójstwo⁵². Zwracam uwagę na ów motyw wyzysku przez handlarzy – będzie powracał szczególnie w deklaracjach artystów o mniejszym wzięciu⁵³. Bronisław Bałzukiewicz, rzeźbiarz wileński, otrzymał stypendium od Józefa Montwiłła (założyciela szkoły rzemiosł w Wilnie) na kontynuację studiów w ASP w Krakowie, a następnie w Paryżu.

⁵² Zob. E. Swieykowski..., przypis 43, s. 285.

⁵³ Na przykład już w latach 1930-tych lewicowi malarze „Grupy Krakowskiej” – Leopold Lewicki pisał do przyjaciela: „Malowaliśmy dużo, aby następnie prace sprzedać jak najszybciej i za bezcen. Żał nam było rozstawać się z nimi tym bardziej, że wiedzieliśmy, iż nasz mecenas Salomon (Solomon?) w Szwecji zbywa je z solidnym zarobkiem” (M. Sobieraj, *Deklaracje polityczne „Grupy Krakowskiej”*, w: *Sztuka lat trzydziestych. Materiały*, Warszawa 1991, s. 154). Pojęcie „mecenas” zyskuje tu sens skrajnie ironiczny, staje się zaprzeczeniem dawnego rozumienia mecenatu. A nie tylko Lewicki używa go w tym sensie – również inny członek grupy, Stanisław Osostowicz.

To wybrane tylko przykłady, jest zarejestrowanych wiele innych⁵⁴.

We wszystkich zaborach – okazjonalnie – polscy artyści otrzymywali stypendia rządowe. Na przykład austriackie „stypendium cesarskie na kształcenie się w Rzymie” otrzymał w 1852 roku Henryk Stattler, podobnie w 1869 roku Iwan Trusz, a jeszcze później – Franciszek Żmurko. Rządowe stypendia rosyjskie na studia zagraniczne otrzymali między innymi Marcin Zaleski, Leonard Straszyński w 1856 roku, a Ludwik Szermentowski w 1858 – obaj do Paryża.

W zakres działalności Towarzystw naukowych zasadniczo nie wchodziło subwencjonowanie prac artystycznych – skupiano się na oświacie i nauce.

Opieka nad zabytkami przeszłości

W wieku XIX w Europie ścierały się poglądy i kształtowały koncepcje dotyczące opieki nad zabytkami przeszłości – okazało się to palącą potrzebą po zniszczeniach czasu wojen napoleońskich, szczególnie we Włoszech, we Francji, w Niemczech. W środowisku literackim do zainteresowania zabytkami skłaniała dodatkowo pre- i romantyczna fascynacja średniowieczem; we Francji dyskusje na te tematy (prowadzące do postulatu zabezpieczania ruiny w stanie, w jakim przetrwała) ogniskowały się wokół osoby Charlesa Nodiera.

Polskie zabytki znalazły się w jurysdykcji państw zaborczych; żadne z nich nie miało aż do wybuchu I wojny światowej jednolitej ustawy o ochronie zabytków, ukazywały się w tych kwestiach jedynie odrębne rozporządzenia. Z reguły (jeśli nawet, jak w zaborze pruskim, podejmowano administracyjne działania w celu inwentaryzacji czy zabezpieczenia zabytku) obiekty polskie pomijano, lekceważono⁵⁵. W tej sytuacji również w dziedzinie opieki nad zabytkami nieruchomymi inicjatywę podejmowały zrzeszenia społeczne oraz osoby prywatne.

W 1906 roku powstało w Warszawie „Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Przeszłości w Warszawie”, które niezwykle prężnie działało aż do II wojny światowej.

Prace Towarzystwa, bardzo ważne ze względu na ówczesne, przedwojenne jeszcze dokonania, mają jednak niezwykle znaczenie przede wszystkim dlatego, że to tam sformułowano obowiązujące do dziś podstawowe zasady oraz hierarchię preferencji w zakresie opieki nad zabytkami. A uczyniono to w warunkach, gdy możliwości działania były nader ograniczone – nie tylko ze względów finansowych, ale politycznych przede wszystkim. Władze zaborcze bez entuzjazmu patrzyły na tego typu prace, których ukrytym założeniem było pielęgnowanie uczuć narodowych. Mimo, że oczywiście ze względów cenzuralnych tych zamiarów nie formu-

⁵⁴ Nieocenioną pomocą są tu wydawany przez zespół Instytutu Sztuki PAN od 1971 r. *Słownik artystów polskich i obcych w Polsce działających*, a także wydawnictwa monograficzne, poświęcone dziejom towarzystw naukowych i artystycznych.

⁵⁵ Zob. J. Wojciechowski, *Historia powstania i rozwoju organizacji opieki państwowej nad zabytkami sztuki w Polsce*, „Ochrona Zabytków” 1930/31, t. 1, s. 3-28.

lowano wprost, uciekając się do określonych sformułowań o „krzewieniu idei poznawania pamiątek i zabytków”⁵⁶.

Ustawa Towarzystwa została zatwierdzona 28 czerwca 1906 roku (zarejestrowana 29 czerwca 1907)⁵⁷. Zapisano w niej między innymi, iż Towarzystwo „ma za zadanie zabezpieczać od uszkodzeń i zagłady, oraz opracowywać naukowo wszelkiego rodzaju zabytki przeszłości, ze szczególnym uwzględnieniem znajdujących się w granicach Królestwa Polskiego”, a jako metody działania wymieniano: inwentaryzację i fotografowanie, gromadzenie zbiorów dla przyszłego Muzeum, opiekę i odnawianie zabytków, umieszczanie tablic pamiątkowych, mianowanie „gdziekolwiek potrzeba” pełnomocników.

Prezesem Towarzystwa obrano Adama hr. Krasieńskiego (w 1909 roku zastąpił go na tym miejscu Zygmunt Gloger, w 1910 znów objął prezesurę Krasieński), a w pierwszym składzie zarządu znaleźli się: Kazimierz Broniewski, Józef Dziekoński, Zygmunt Gloger, ks. Adam Jełowicki, Tadeusz Korzon, Aleksander Kraushar, Erazm Majewski, Władysław Marconi, Włodzimierz Powichrowski, Franciszek Pułaski, Andrzej Rotwand, Antoni Strzałecki, Pius Weloński, Konstanty Wojciechowski.

Od początku Towarzystwo wytyczyło przed sobą szeroki plan prac, mimo, że zasięg jego działań był ograniczony zasadniczo do terenu dawnego Królestwa Kongresowego. Zabytki nieruchome inwentaryzowano i zabezpieczano w miarę możliwości; rozpoczęto od zabezpieczenia ruin zamku w Nowogródku (przeznaczając na ten cel w 1907 roku 530 rubli), w tym samym czasie łożono na zamki w Czersku i w Czerwińsku. Zwraca uwagę przemyślany tryb postępowania, dbałość o sensowność ponoszonych wydatków: każdorazowo powoływano społeczne komitety złożone z osób miejscowych, doglądające prac. W Warszawie mianowano także tzw. „kustoszy”, obejmujących z ramienia Towarzystwa stały nadzór nad stanem zabytków w poszczególnych rejonach Starej Warszawy. Gdzie było trzeba i można, łączono wysiłki z analogicznymi stowarzyszeniami; na przykład podejmując kosztowną renowację kościoła św. Jakuba w Sandomierzu, porozumiano się z krakowskim „Towarzystwem Opieki nad Polskimi Zabytkami Sztuki i Kultury”. Niewątpliwym utrudnieniem był obowiązek każdorazowego uzyskiwania zgody od Cesarskiej Komisji Archeologicznej w Petersburgu. Niewątpliwie pomocą mogło tu służyć uformowane w Piotrogradzie Koło tegoż Towarzystwa, które, jak deklarowano, „dąży ku powrótowi Polsce utraconego dorobku ruchomego historyczno-kulturalnego znaczenia”. Apelowano do tych, którzy są, jak to określano, „oderwani od kraju” by zbierano wszystko, co polskie. A konkretnie gromadzono

⁵⁶ Zob. *Sprawozdanie Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przeszłości w Warszawie za lata 1906/7 i 1908*, bm., br. [1908 lub 1909].

⁵⁷ Według druku: *Dwudziestopięćciolecie Działalności Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przeszłości w Warszawie 1906-1933*, Warszawa 1933.

wszelkie informacje o obiektach wywiezionych, zaginionych, spisywano wykazy strat, apelowano o „opisy i fotografie zabytków polskich ruchomych i nieruchomych, istniejących i niszczonych”⁵⁸.

Bardzo ważną – z punktu widzenia bliskiej przyszłości, Polski niepodległej – formą prac Towarzystwa Opieki... były zebrania, na których dyskutowano o metodach opieki nad zabytkami. Spierano się o założenia metod konserwacji, o zakres dopuszczalnych przeróbek, o hierarchię spraw i wydatków. W sprawozdaniach pojawiają się informacje o przeprowadzonych przez członków Towarzystwa interwencjach w sprawie ratowania zabytków przed niszczeniem, o wydawaniu opinii w tych sprawach, i o gromadzeniu dokumentacji. Obok opisów składały się na nią fotografie (tu nieocenione zasługi położył Jan Bułhak; w 1909 roku utworzono przy Towarzystwie archiwum fotograficzne) oraz rysunki; prace wówczas wykonane stanowiły często podstawę przy odbudowie po zniszczeniach wojennych. Większość interwencji dotyczyła zabytków architektury; na przykład w 1909 roku było ich 50, gdy w wydziale malarstwa i rzeźby Towarzystwa wydano zaledwie 9 opinii (lecz i tu osiągnięcia były niebagatelne – między innymi uchroniono przed zniszczeniem freski kościoła w Słonimie)⁵⁹.

Gdy czyta się doroczne sprawozdania z prac Towarzystwa, uderza rozmach włączania się zamożniejszej części społeczeństwa w działalność mecenacką. W pierwszym roku Towarzystwo liczyło 654, a w 1912 – już 2 891 członków. Składki oraz ofiarność członków, wyrażająca się wspomaganiem Towarzystwa zasiłkami, umożliwiały stałe rozszerzanie działalności.

Zbierano dary; obok funduszy także dzieła sztuki. Wśród pierwszych donatorów znaleźli się członkowie zarządu Towarzystwa: Erazm Majewski (15 000 rubli i własne zbiory), Pułaski, Rotwand. Dzięki darom pieniężnym można było zakupić zbiory warszawianów od Wiktora Gomulickiego, a przede wszystkim – myśleć o rozpoczęciu budowy gmachu dla przyszłego muzeum. Po paru latach starania o gmach, który mógłby służyć jako „Muzeum starożytności”, w 1911 roku zostały uwieńczone powodzeniem. Zebrano z darów 12 579 rubli na ten cel, co pozwoliło kupić kamienicę Baryczków na Starym Mieście. Leopold Kronenberg wyrobił w Banku Handlowym kredyt w wysokości 6 000 rubli, dzięki czemu niezwłocznie przystąpiono do remontu.

Z założeniami mecenatu łączono w Towarzystwie od początku zasadę krzewienia idei patriotycznych. Realizowano ją najbardziej bezpośrednio przez upamiętnianie wybitnych Polaków tablicami, umieszczanymi na murach; o znacznej randze, im przypisywanej, świadczy ilość miejsca poświęcanego tym sprawom w sprawozdaniach. I tak już w pierwszych latach umieszczono tablice: w Warsza-

⁵⁸ Statut..., dz. cyt., s. 4.

⁵⁹ Zob. *Sprawozdanie... za rok 1909*; kolejne informacje – według analogicznych sprawozdań za lata następne.

wie – Stanisława Staszica (Kanonja 8), Antoniego Malczewskiego (Elektoralna 5), Juliusza Słowackiego (Elektoralna 20) oraz w Lublinie – Wincentego Pola i Sebastiana Klonowica.

Wśród darów znalazły się ruiny zamku w Iłży (1910, od razu wyasygnowano fundusze na ich konserwację) i wieży w Wojciechowie; konserwowano ruiny w Chęcinach, nabyto za symboliczną kwotę 150 rubli ruiny zamku w Raciążku.

Sprawozdanie Towarzystwa obejmujące lata 1913/1914 ukazało się w czasie wojny. Teraz mecenacka działalność miała zostać ukierunkowana jeszcze mocniej na utrwalenie stanu zabytków oraz śladów wojennej dewastacji. Zwracano się do społeczeństwa z apelem o wykonywanie dokumentacji:

Niechaj na szeroką skalę zorganizowana akcja obejmie wszystko, co na ziemiach naszych posiada wartość historyczną. Dokładne zdjęcia fotograficzne kościołów i kaplic przydrożnych, figur i pomników, pałaców i dworów, wszelkie dane, tyżące się obecnego ich wyglądu w ruinie, zarówno jak i przed ich zniszczeniem, wytworzą pomocnicze archiwum, niesłychanie ułatwiające pracę.⁶⁰

Społeczny mecenat nad zabytkami był na czas wojny planowo organizowany. Towarzystwo powołało na przykład Komitet Konserwatorski, wysyłało delegacje do miejsc nawiedzonych wojną; uruchomione były również przy Towarzystwie pracownie dla naprawy dzieł uszkodzonych i wykonywania odlewów, pracownie fotograficzna i konserwacyjna, korzystające z zapomóg Kasy im. Mianowskiego. Dla opieki nad poszczególnymi budowlami stworzono instytucję kuratorów. Podjęto również ważną akcję zbierania wykazów pamiątek, rzeczy i archiwów wywiezionych przez Rosjan⁶¹.

Podobne zamiary zapisano w *Ustawach Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Poznaniu* (Poznań 1909). Jego celem miało być „budzenie i szerzenie zamiłowania do sztuk pięknych i kultury artystycznej”, a wśród środków, pozwalających te zadania realizować, wymieniano zakupy sztuki, wystawy, odczyty, oraz przysparzające funduszy „rozłosowywanie między swych członków zakupionych dzieł sztuki pięknej”.

Towarzystwo Miłośników Historii i Zabytków Krakowa (powstałe w 1896 roku) jako swe statutowe zadania wyznaczało „obudzenie poszanowania dla pamiątek i zabytków Krakowa wśród ogółu jego mieszkańców”; jako drogi działań wymieniano w *Statucie* zebrania, odczyty oraz „gromadzenie zabytków pamiątkowych (sztuki, fragmentów architektonicznych i rycin) do muzeum historycznego miejskiego”.

Dość niezwykłą inicjatywą prywatną o podobnym zamiśle było utworzone w 1907 roku w Łowiczu Muzeum Starożytności i pamiątek historycznych. Jego wła-

⁶⁰ *Sprawozdanie...*, Warszawa 1916, s. 23.

⁶¹ Zob. *Dwudziestopięciolecie Działalności Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przeszłości w Warszawie 1906-1933*, Warszawa 1933, s. 6.

ścicielem był Władysław Tarczyński, a gromadził owe „pamiętki” w zapisanym celu przekazania ich w przeszłości narodowi.

Opieka nad dziełami sztuki znajdowała wyraz także przy różnych innych okazjach – na przykład w opublikowanym w 1914 roku w Krakowie *Statucie Zjednoczenia Rodowego Lubomirskich*. Wśród obowiązków rodzinnych wymieniano także to, by „czuwać nad zabytkami rodowymi, w szczególności nad kaplicą rodową w kościele OO Dominikanów w Krakowie, nad zamkiem rodowym w Wiśniczu i nad Muzeum Lubomirskich we Lwowie” (art. 6 p. 5).

Rozrost inicjatyw społecznych, mających na celu chronienie zabytków przeszłości (było ich oczywiście więcej, niż tu wymienione), i wielkie zaangażowanie społeczeństwa w te akcje było (podobnie jak uprzywilejowanie pośród nauk badań historycznych) świadectwem żywych w okresie zaborów postaw patriotycznych, docenienia rangi narodowej tradycji.

W wieku XIX dominującym rysem zjawiska mecenatu stał się fakt deklaratywnego (ale i faktycznego) podporządkowania go potrzebom patriotycznym. Widać to zarówno z ukierunkowania mecenatu społecznego głównie na kwestie oświaty oraz nauki – gdyż to wydawało się najważniejsze z punktu widzenia podtrzymania bytu intelektualnego narodu; stąd tak wiele stypendiów, fundowanych zarówno przez mecenasów prywatnych jak zbiorowych, przyznawano na kształcenie młodego pokolenia na wszelkich szczeblach. O ówczesnej organizacji polityki kulturalnej pisał Stefan Żółkiewski, iż „swoistą tradycją XIX w. był niekomercyjalny stosunek tych instytucji do kultury”⁶².

W sferze kultury zaznaczały się te tendencje wyraźnie przez na przykład uprzywilejowanie badań z historii narodu oraz gromadzenie i ochronę jej śladów materialnych, poczynając od budowli, ruin, po zachowania tak dziś zdumiewające, jak pieczołowite przeniesienie do Puław i otoczenie należną troską czaszki Jana Kochanowskiego, wyjętej w Zwoleniu z jego trumny przez Tadeusza Czackiego. Oczywiście, istniały też rozmaite inne, nie motywowane patriotyzmem, formy mecenatu nad sztuką, związane z działalnością kolekcjonerską czy handlową, ale dominowała nad całością aura patriotycznej szlachetności. Stąd i związek z pojęciem bezinteresowności i z etosem inteligenta.

Nie należy oczywiście ani generalizować ani nadmiernie idealizująco oceniać tej sytuacji. Niezależnie bowiem od naprawdę ogromnej ofiarności społecznej z biegiem lat i rozwoju form mecenatu pojawiały się zdrażnienia, konflikty interesów i poglądów. W miarę umacniania się rangi towarzystw artystycznych narastało niezadowolenie z profilu polityki opiekuńczej. Rozdźwięki ogarniały nie tylko kwestie rozdziału stypendiów (uprzywilejowanie niektórych grup, pomijanie potrzeb innych), ale były również skutkiem zmian, zachodzących we

⁶² S. Żółkiewski, *Kultura literacka 1918-1939*, Wrocław 1973, s. 64.

władzach stowarzyszeń: zwiększała się dominacja zamożnych „miłośników”, malało znaczenie opinii profesjonalnych znawców i twórców. Gwałtownie narastały konflikty między artystami a sprzedawcami dzieł sztuki oraz kolekcjonerami.

Mimo tych mankamentów, wydaje się, że pozycję społecznego mecenatu przed I wojną światową można ocenić bardzo wysoko.

Inne, pozapaństwowe (choć dofinansowywane z budżetu państwa) formy mecenatu zbiorowego – głównie towarzystwa i fundacje – trwały wprawdzie przez całe dwudziestolecie, ale zmniejszała się ich ranga a poza tym, jako że reguły dysponowania funduszami były w tych instytucjach wyraźnie ustanowione i nienaruszalne, budziły mniejsze zainteresowanie publiczne.

Zasadniczo zmienił się natomiast charakter mecenatu prywatnego. Funkcjonował nadal i rozwijał się w tych formach, jakie – przynosząc korzyści mecenasom – tworzą handel sztuką i kolekcjonerstwo. Raptownie kurczyły się natomiast tendencje do bezpośredniego i bezinteresownego wspierania artystów. Zanikła bowiem motywacja ideologiczna, nakazująca wspierać, kosztem nawet osobistych wyrzeczeń, wszelką działalność na rzecz zachowania i rozwoju rodzimej tradycji i kultury. I od razu, wraz z przeświadczeniem, iż w niepodległym państwie te zadania przejmą agendy rządowe, przestano opłacać indywidualnie studia artystyczne. Nie oznaczało to oczywiście ani zaniku uczuć patriotycznych ani wrażliwości na sprawy kultury. Zmieniły się po prostu zapatrywania, jak należy je realizować – w wolnym państwie. Prywatni darczyńcy, jeśli przekazywali donacje na cele naukowe, literackie czy artystyczne, czynili to teraz z reguły nie bezpośrednio na rzecz artysty, lecz poprzez instytucje – towarzystwa naukowe i artystyczne lub Kasę im. Mianowskiego.

Próba definiowania, zakreślania granic czy wyrazistego wyodrębnienia poszczególnych form mecenatu w latach 1918–1939 nie wydaje się tu celowa. Kwestie teoretyczne w tym zakresie rozwikłuje Krzysztof Dmitruk w rozprawie, otwierającej niniejszy tom studiów. W moim natomiast szkicu obejmuję tym pojęciem wszelkie istotne (ale z pewnością nie wszystkie w ogóle, gdyż nie sposób zebrać ich i zaprezentować w tym obrębie) formy finansowej i ustawodawczej dbałości o dziedzictwo narodowe, o rozwój kultury współczesnej (tam, gdzie taka opieka była potrzebna) oraz o zapewnienie twórcom warunków do pracy a także o ich byt materialny. Pomijam natomiast – jako sprawy z zakresu już nie mecenatu, lecz rutynowe finansowanie z budżetu – dotowanie instytucji takich, jak muzea, biblioteki.

Ogólnie mówiąc – sędzę, że przy ogromnej i wciąż narastającej różnorodności zjawisk, które można wiązać z pojęciem XIX i XX-wiecznego mecenatu, zamiast rygorystycznego definiowania zjawiska bardziej sensowne jest informowanie, co jest nim obejmowane, a jaki zakres się pomija.

II. U zarania Polski Niepodległej

Wielkie nadzieje i złudzenia

A jednak! jednak i ten czas, w którym żyjemy, normalny nie jest. Przewaliły się w nim ogromne wartości przez siebie ginąc i ustępując miejsca nikłym zaczątkom innych wartości, zapowiadających dopiero przyszłość, zmaciły się ustalone pojęcia i otwały szeroko drzwi, prowadzące z jasnego pokoju w ciemną jeszcze i pełną zagadek głębię.

Józef Mehoffer⁶³

Po roku 1918 ulegały zmianie zarówno struktury i formy finansowego zasilania sztuki i literatury, jak wiązane z nimi oczekiwania. Naturalną konsekwencją odzyskania niepodległości było przejmowanie przez państwo podstawowych zadań opieki nad dziedzictwem narodowej kultury i jej rozwojem oraz działalności mecenackiej wobec twórców. Podejmowaniu tych zadań na szerszą skalę stał jednak na przeszkodzie brak odpowiednio wysokich funduszy. A także – póki nie zostały uchwalone przez sejm, co wymagało wielu lat – brak odpowiednich ustaw i rozporządzeń w tych zakresach, niedomogi struktury organizacyjnej oraz nienajlepsza sprawność pierwszych osób kierujących Ministerstwem Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, któremu podlegały sprawy sztuki i literatury. Wedle definicji, sformułowanej przez Marcina Czerwińskiego: mecenat państwowy charakteryzuje się tym, że jest „ściśle zinstytucjonalizowany, [...] stawia sobie cele takie, jak ochrona dziedzictwa, jak jego eksponowanie, jak pomoc organizacyjna i materialna środowiska, jak wreszcie zapewnienie publiczności dostępu do dzieł, w założeniu zapewnienie tego dostępu wszystkim, którzy tego pragną”⁶⁴. Tak też stawało się w odrodzonej Polsce.

Warto jednak już u wstępu zwrócić uwagę na jakość wiążące się z problematyką mecenatu nowe zjawiska. Po pierwsze, z fenomenem powszechnego entuzjazmu społecznego, związanego z powstawaniem niepodległego państwa, szła w parze powszechnie rozwinięta świadomość potrzeby ratowania ocalałych skarbów narodowej kultury. Pustoszące miejsce wielkich mecenasów było osobiście wypełniane przez społeczników, podejmujących trud doglądania i pieczołowitej ochrony tego, co pozostało po zniszczeniach wojennych. Ożywienie tego typu społecznego mecenasowania można, jak się zdaje, wiązać z tymi tendencjami patriotycznymi, które patronowały rozwojowi ruchu regionalistycznego. Licznie dawano wyraz chęci osobistego uczestniczenia w tym dziele, wiązano z tym także osobiste aspi-

⁶³ J. Mehoffer – w artykule polemizującym z priorytetami ustanawianymi przez WRiOP: *Sztuka w Polsce wczoraj i dzisiaj*, „Sztuki Piękne” 1924, nr 1, s. 1.

⁶⁴ M. Czerwiński, *Samotność sztuki*, Warszawa 1978.

racje (nobiletacja moralna) i oczekiwano na zdecydowane posunięcia ze strony państwa. I sprawa druga – wraz z dumą z odzyskania wolności ojczyzny pojawiały się myśli o nowym etosie inteligenta; w skład tego etosu miała wchodzić osobliwa hardość, pełna niezależność duchowa (kontrowersyjna przecież wobec każdego mecenasowania), wyrażająca się między innymi w konieczności samodzielnego zadbania o niezależność finansową.

Tym postawom patronował Stefan Żeromski, zarysował je w opublikowanym w 1919 roku szkicu *Organizacja inteligencji zawodowej*. Zwracał w nim uwagę na degradację położenia materialnego inteligencji wskutek wojny; jako środek zaradczy propagował kielkującą już w wieku XIX ideę „zrzeszenia się inteligencji”. Rozwijał ten temat, z myślą konkretnie o literaturze i położeniu pisarzy, w *Projekcie Akademii Literatury Polskiej*. Zdecydowanie odrzucał ideę opieki prywatnych możnych protektorów; to Akademia, ciało zbiorowe, powinna dbać o literaturę, o jej rozwój i tłumaczenia, o piękno języka oraz o rozpowszechnianie książki – a także troszczyć się o byt materialny pisarzy. Stałaby się „instancją dla obrony samotnego pracownika literackiego w rozległej dziedzinie materialnego życia [...]. Czy ktokolwiek pomyślał kiedy w Polsce o tym, że literat musi prowadzić samodzielnie do swych prac studia, równie jak <uczony>, przesiadywać w bibliotekach, szperać w starych i nowych rękopisach, odbywać niezbędne podróże, poznawać stare i nowe kultury świata, oglądać własnymi oczyma lądy i morze, zwiedzać obce miasta i zgromadzone w nich skarby sztuki, skoro współpracownikiem tej właśnie dziedziny jest w swej ojczyźnie?”⁶⁵. Opieka ogółu nad pisarzami miałyby polegać także na ich obronie w momentach takich, jak sprawa Stanisława Brzozowskiego; oraz na wszelkiej obronie ich godności, także twórców zmarłych.

Dawne instytucje w nowym państwie

Przetrwały wojnę i istniały po rok 1939 wszystkie ważniejsze instytucje opieki nad nauką – Ossolineum, Kórnik, Akademia Umiejętności, Kasa im. Mianowskiego. Jednak wszystkie przechodziły mniej lub bardziej głębokie kryzysy finansowe, wynikające ze skutków zniszczeń wojennych, podupadania magnackich fortun, z dewaluacji pieniądza.

Zdewaluowaniu uległy fundusze stypendialne krakowskiej Akademii Umiejętności. W 1919 roku zmieniono jej statut i nazwę na: Polska Akademia Umiejętności, co podkreślało ogólnopaństwową rangę instytucji. PAU dysponował ponad 20 funduszami na nagrody i stypendia (ze wszystkich dziedzin, łącznie: najliczniejsze naukowe, lecz także literackie oraz na działalność filantropijną). Najważniejsze nagrody literackie, z funduszu Erazma i Anny Jerzmanowskich, otrzymali Henryk Sienkiewicz w 1916 roku oraz Jan Kasprówicz w 1926. Sytuacja PAU po wojnie szybko

⁶⁵ S. Żeromski, *Projekt Akademii Literatury Polskiej*, [b. m.] 1925, s. 41.

się poprawiła dzięki nowym wielkim donacjom. Największą złożył w 1924 roku osiadły w Polsce arcyksiążę Karol Stefan Habsburg; wtedy Rząd czasowo cofnął państwową subwencję dla PAU⁶⁶.

Powołana przez nowy statut z 1920 roku Rada Naukowa Kasy im. Mianowskiego reprezentowała towarzystwa naukowe i uczelnie z terenu całej Polski. Działalność mecenacka Kasy nadal obejmowała nie kulturę, lecz naukę (i oświatę), ale w tym także naukę o literaturze oraz subsydia dla wydawnictw z tego zakresu. Sytuacja materialna Kasy bardzo się pogorszyła w związku z utratą terenów naftowych na wschodzie, które były główną podstawą jej finansów. Poważnie je zasilili w latach dwudziestych ofiarności społeczeństwa, pobudzona szeroką akcją propagandową – głównym jej motorem stała się, parokrotnie wznawiana, rozprawka Stefana Żeromskiego *Sprawa Kasy Mianowskiego* (1924). Uderza w tym tekście niezwykle idealizacja nauki i jej miejsca w wolnej ojczyźnie; Żeromski z jej rozwojem wiąże nie tylko przyszłość narodu ale i rozkwit idei moralnych; to nauka, metaforycznie, stanowi „to przeczyste, wysokie jezioro w górach, niebiosa nieskończoności odbijające”. I z żalem notuje Żeromski z tej okazji spostrzeżenie o tym, że wraz z odzyskaniem suwerenności narodowej zanika społeczna ofiarność:

Wielka ofiarność publiczna na cele społeczne, oświatowe, naukowe, kulturalne, nie mówiąc ani słowa o artystycznych, prawie ustała. Wszyscy w tym nowym państwie oglądają się na rząd [...], wszystkiego żądają od rządu i wszystką odpowiedzialność za wszystko, co się tylko da pomyśleć, na rząd składają⁶⁷.

Bywało, że na finansowym losie instytucji naukowej negatywnie mogło zawążyć przekonanie o potrzebie duchowej emancypacji twórców, wyrażające się w manifestowaniu niezależności od datków. O ile dawniej nie budziło moralnych przeciwników zabieganie o wszelkie prywatne donacje na rzecz nauki czy sztuki, to gdy teraz Towarzystwo Naukowe Warszawskie zamieściło w prasie apele o darowizny, odezwały się głośno protesty twórców, traktujących tę akcję jako uchybiającą powadze sztuki w wolnym państwie; gromiono, „że uprawia [się] żebranię na rzecz TNW i obniża w ten sposób jego poziom”. W rezultacie w 1924 roku apele ustały; nie zaprzestano jednak przyjmować darów⁶⁸.

Nadal działały wszystkie wyższe uczelnie w Galicji. Podstawowe znaczenie dla rozwoju także humanistyki i sztuki miało powstawanie – przy współpracy towarzystw naukowych – nowych uniwersytetów. W 1915 roku powołano Uniwersytet Warszawski, w 1918 – Katolicki Uniwersytet Lubelski; w 1919 roku Uniwersytet w Poznaniu, którego organizację powierzono Poznańskiemu Towarzystwu Przy-

⁶⁶ Zob. S. Kutrzeba, *Polska Akademia Umiejętności*, Kraków 1939.

⁶⁷ Cyt. za przedrukiem w tomie: S. Żeromski, *Elegie i inne pisma literackie i społeczne*, oprac. W. Borowy, Warszawa 1928, s. 222-223, 217.

⁶⁸ B. Jaczewski, *Organizacja i finansowanie nauki polskiej w okresie międzywojennym*, Wrocław 1971, s. 87.

jaciół Nauk; w tymże roku – Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie. W rezultacie w roku akademickim 1924/25 – funkcjonowało 17 szkół wyższych, w tym 4 prywatne. W ustawie o szkołach wyższych z 1920 roku znalazło się sformułowanie, że mogą one przyjmować zapisy oraz darowizny i samodzielnie nimi zarządzać. Licznie powstawały na terenie całej Polski rozmaite towarzystwa naukowe, w roku 1927 było ich 276, w tym 107 obejmowało nauki społeczne i humanistyczne. Około 1925 roku nastąpiło znaczne ożywienie mecenatu prywatnego na rzecz towarzystw naukowych – zwiększyła się pokaźnie ilość subsydiów⁶⁹.

Kontynuowało działalność Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza. Tworzono nowe oddziały, starano się rozszerzać zakres prac na całą Polskę, zmieniono zasady przyjmowania członków, dzięki czemu poszerzało się ich grono (ich ilość była zmienna, Towarzystwo w latach 1928–1934 liczyło po około 300 osób). Obok „Pamiętnika Literackiego” ukazywał się „Ruch Literacki” oraz „Język Polski”, organizowano odczyty i dyskusje. Jednak, w ocenie Stanisława Fity,

Towarzystwo Literackie nie potrafiło skutecznie pokonywać trudności. [...] zbyt wielką wagę przywiązywało do działalności wydawniczej (główną troską było zawsze możliwie regularne wydawanie „Pamiętnika Literackiego”), nie było zaś zdolne rozwinąć takich form pracy, które byłyby interesujące i pożyteczne dla szerszego ogółu polonistów, przede wszystkim dla nauczycieli⁷⁰.

W pierwszym powojennym okresie aktywnie działało (powstałe w 1906 roku) Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Przeszłości w Warszawie. Natychmiast po ustąpieniu Rosjan zapewniano kuratorską opiekę ważniejszym zabytkom (pałace), działała Komisja Inwentaryzacyjna, broniono wszędzie przed grabieżą, „przed rekwizycją dachów miedzianych, ruchomości, dzwonów, organów”⁷¹. Działacze Towarzystwa obsadzili stanowiska w instytucjach państwowych, Komitet Konserwatorski Towarzystwa zakończył działalność już 24 kwietnia 1919 roku, „licząc na dalszą urzędową opiekę nad zabytkami prawowitych władz polskich”⁷² (ale już w 1920 utworzono Wydział Konserwatorski, na czele którego stanął Marian Lalewicz). Część majątku Towarzystwa przekazano do zbiorów państwowych.

Te zmiany nienajlepiej odbiły się na dalszym istnieniu Towarzystwa. Wyraźnie traciło ono na znaczeniu, upadały koła prowincjonalne, stanowiące jego naturalny rdzeń; „postulat jak najbardziej rozgałęzionej sieci kół prowincjonalnych, tworzącej niezbędną społeczną podstawę dla roztoczenia wszechstronnej opieki nad zabytkami, znalazł później swój wyraz w uchwałach II Zjazdu Konserwatorskiego

⁶⁹ Zob. B. Jaczewski, *Życie naukowe w Polsce odrodzonej*, w: *Życie naukowe w Polsce w drugiej połowie XIX i w XX wieku. Organizacje i instytucje*, red. tenże, Wrocław 1987, s. 206-234.

⁷⁰ S. Fita, *Towarzystwa...*, dz. cyt., s. 59.

⁷¹ *Dwudziestopięciolecie...*, dz. cyt., s. 8.

⁷² Tamże, s. 7.

w Warszawie w 1927 roku”⁷³. Upadały finanse, mocno dotknął Towarzystwo kryzys gospodarczy roku 1929 – już wtedy stało przed groźbą sprzedaży kamienicy Baryczków. Kondycja Towarzystwa poprawiła się po roku 1933, gdy jego prezesurę objął inżynier Zygmunt Słomiński.

Kontynuowały zatem działalność te instytucje i formy pozapaństwowego mecenatu zbiorowego nad sztuką i literaturą, które zrodziły się jeszcze w wieku XIX i dobrze już zapuściły korzenie. Zmiana sytuacji politycznej, powstanie suwerennego państwa spowodowało jednak kolejne a zasadnicze przemiany w pojmowaniu kwestii mecenatu. Tym bardziej stały się istotne, że – o czym wspominałam – sprawy finansowe w czysto polski sposób zazębiały się o kwestie moralne i o etos inteligenta. Niezwykle szeroki oddźwięk wzorca Judyma i Siłaczkii, wywołujący synonimiczne zbliżenie pojęć szlachectwa ducha oraz materialnego ubóstwa – sprawił, że ani upominać się o pieniądze ani głośno mówić o nich nie wypadało. Twórczość artystyczna była bowiem w Polsce nie profesją, lecz posłannictwem. Stąd brały się wzmożone tendencje do utajniania różnego rodzaju zapomóg dla artysty czy subwencji na dzieło.

Domagano się jawności w zakresie rozdziału środków na kulturę oraz równego do nich dostępu – co było oczywistą niemożliwością. Gwarantem zapewnienia artystcie środków na życie miały stać się, organizowane początkowo przez Żeromskiego a później dobrze się rozwijające, stowarzyszenia twórców. Ale dotyczyć to mogło przecież tylko mecenatu państwowego, sprawowanego przez administrację rządową.

III. Mecenat państwowy

Powołanie Ministerstwa

Sprawy literatury i sztuki znalazły się przede wszystkim w gestii Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Struktura tego ministerstwa została zatwierdzona dekretem (jeszcze Rady Regencyjnej) z 3 stycznia 1918 roku. Zasięg jego działania obejmował początkowo tylko kilka województw, stopniowo się powiększał, ale terytorium całej Rzeczypospolitej Polskiej ogarnął dopiero w grudniu 1922 roku; do najpóźniej otoczonych opieką należały ziemie pruskie i województwo wileńskie⁷⁴.

31 października 1918 Rada Regencyjna wydała dekret o opiece nad zabytkami sztuki i kultury. Ustalono w nim zasadę podziału kraju na okręgi konserwatorskie

⁷³ Tamże, s. 9.

⁷⁴ Tylko niewielka część archiwów Ministerstwa WRiOP. została zachowana. Do 1930 roku Ministerstwo nie miało stałej siedziby, a dokumenty, gromadzone w wielu miejscach, ulegały rozproszczeniu. Część została zniszczona w 1939 r., wielkie straty nastąpiły po zajęciu gmachu w Alei Szucha przez Niemców. Niemał wszystkie akta Wydziału Sztuki spłonęły w 1944 roku. Dlatego informacje, czerpane ze zbiorów Archiwum Akt Nowych, mają charakter przypadkowy; mimo to, dają miejscami cenny wgląd w praktykę sprawowania opieki nad sztuką i literaturą przez mecenat państwowy.

i wyznaczono konserwatorów (okręgi, ich ilość i granice, zmieniały się w latach następnych w związku z ustaleniami granic państwowych)⁷⁵. Dekret ten w 1928 roku został zastąpiony przez rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej.

Ministerstwo dzieliło się na departamenty, jednym z nich był Departament Sztuki. 5 grudnia 1918 przekształcono go w odrębne Ministerstwo Sztuki i Kultury. Do zadań nowopowstałego resortu należało „zawiadywanie i opieka nad sztuką, literaturą piękną, zabytkami, muzeami sztuki, teatrami i wykształceniem estetycznym Narodu”⁷⁶. Pierwszym ministrem nowoutworzonego resortu został Zenon Miriam-Przesmycki (wydziałem Literatury, Muzyki i Teatru kierował Eligiusz Niewiadomski⁷⁷), ale zrezygnował w 1921 roku, a odrębne Ministerstwo już w 1922 przestało istnieć. Dyrektorem przywróconego w ministerstwie WRiOP Departamentu Sztuki zostawali artyści: Julian Fałat (po nim w końcu 1922 roku objął go Jan Skotnicki, w 1930 – 1931 roku był dyrektorem Władysław Skoczylas⁷⁸, a po jego rezygnacji, złożonej na znak protestu przeciw redukcji Departamentu do rangi zaledwie Wydziału Sztuki, kierował nim Władysław Zawistowski).

W porównaniu ze środkami, przypadającymi na sprawy wyznań, naukę i oświatę, fundusze przypadające sztuce, wraz z literaturą, były nikłe (na przykład w 1927 roku z ogólnej sumy 295 599 633 złotych, dano na nią tylko 1 657 075 oraz o wiele więcej, bo aż 2 184 342 z przeznaczeniem na konserwację gmachów państwowych, Zamku Królewskiego, Wawelu i Spały)⁷⁹.

Przy przydzielaniu stypendiów do projektu regulaminu z około 1920 roku wprowadzono drakoński warunek: „Państwo ma prawo do najlepszych prac stypendysty, wykonanych w ciągu okresu stypendialnego, przedstawiających wartość równą sumie udzielonej pomocy”. Adnotacja obok wskazuje, że wtedy dostał sty-

⁷⁵ Zob. J. Wojciechowski, *Historia powstania i rozwoju organizacji opieki państwowej nad zabytkami sztuki w Polsce*, „Ochrona Zabytków” 1930/31, t.1, s. 9-10.

⁷⁶ „Nauka Polska” t. IX, s. 310.

⁷⁷ W zakres planowanych wówczas działań wprowadza spis obowiązków kierownika tego Wydziału. W kwestiach literatury obejmował: „Utrzymanie w ewidencji bieżącej twórczości literackiej. Jej inwentaryzacja. Publikacja biuletynów bibliograficznych. Organizacja misji literackich przy ważniejszych ambasadach zagranicznych i nadzór nad ich pracami sprawozdawczymi. Popieranie twórczości literackiej. Organizacja subsydiów na prace zamierzone lub rozpoczęte, nagród za dzieła ogłoszone książkowo lub w czasopismach, subwencji na wydawnictwa wysokiego poziomu, subskrypcji na publikacje wybitne, zasiłków na audycje publiczne dzieł literackich dawnych i współczesnych, zapomóg dla stowarzyszeń szerzących kulturę literacką. Opieka nad artystami. Rozdawnictwo pensji i zapomóg doraźnych zasłużonym literatom. Sprawdzanie i rozdzielanie pomocy doraźnych dla ubogich, chorych, wdów i sierot. Kierownictwo prac organizacyjnych celem stworzenia narodowego instytutu wydawniczego. Wprowadzenie w wykonanie wypracowanych planów i nadzór nad działalnością instytucji”. Planowano także stworzenie „fachowej szkoły literackiej dla przyszłych literatów i nauczycieli literatury”. W zakresie muzyki (tu subwencje zawsze były kilkakrotnie niższe w porównaniu z plastyką i literaturą) planowano opiekę nad zbiorami i ich inwentaryzację, a także prace wydawnicze. Dla teatrów – „nadzór” i subwencje. (Archiwum Akt Nowych, Zespół akt Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, Teczka 6992: Sprawy budżetu 1919-1923, s. 60, dokument z 1921 r.)

⁷⁸ Zob. J. Skotnicki, *Przy stalugach i przy biurku. Wspomnienia*, Warszawa 1957, M. Sterling, *Departament Sztuki pod nową dyrekcją*, „Wiadomości Literackie” 1930, nr 26.

⁷⁹ M. Rogoyska, *Mecenat...*, dz. cyt., s. 139.

pendium między innymi Zygmunt Waliszewski⁸⁰. Z wykazów, zawartych w tychże ministerialnych dokumentach wynika, że w latach 20-tych stypendia rządowe pobierało rocznie przeciętnie około 14 artystów⁸¹.

Działalność Ministerstwa na polu sztuki spotykała się zewsząd z ostrą krytyką. Mieczysław Treter, postać wybitna w zakresie organizacji prac na rzecz kultury⁸², twierdził, że nie docenia się roli sztuki dla niepodległego państwa, że dbano o nią tylko póki Polska była w niewoli; w państwie niepodległym:

Rząd w zakresie szkolnictwa artystycznego, muzealnictwa, zabytków i pałaców czy zamków narodowych, w zakresie racjonalnej gospodarki zbiorami państwowymi, w zakresie popierania bieżącej produkcji artystycznej nie potrafił się dotąd zdobyć na żadne zasadnicze i celowe decyzje, nie umiał przeprowadzić koniecznej specjalizacji odpowiednich organów, nie kierował się dostatecznie względami czysto rzeczowymi [...] Bilans smutny, przygnębiający⁸³.

Ścierały się różne stanowiska, interesy różnych grup. Tradycjoniści z nowatorami, wyznawcy sztuki czyste ze stronnikami stosowanej.

Pozycja sztuki (i wchodzącej administracyjnie w jej zakres literatury) została dodatkowo upodrzędzona przez nowy Statut Organizacyjny Ministerstwa W. R. i O.P., nadany uchwałą Rady Ministrów z 9 listopada 1931 roku. Utworzono wówczas Departament Nauki i Sztuki, któremu podporządkowano samodzielny dotychczas Departament Sztuki, sprowadzony do rangi Wydziału (jego kierownikiem został Władysław Zawistowski). Mocą kolejnej uchwały Rady Ministrów z 2 lipca 1936 tę koślawą strukturę pozostawiono, lecz Wydział Sztuki dowartościowano: nadano mu prawa departamentu⁸⁴.

⁸⁰ Zob. AAN, teczka 6992.

⁸¹ W Dzienniku Urzędowym MWRiOP z dn. 6 stycznia 1930 opublikowano:

„Regulamin udzielania artystom stypendiów rządowych

¹ Celem stypendiów jest ułatwienie rozrostu sztuki i kultury artystycznej. Stypendia mogą być używane bądź na studia w zakresie jakiegś gałęzi sztuki, bądź na przygotowywanie prac artystycznych.

² Stypendia są przyznawane uzdolnionym przedstawicielom sztuk plastycznych, literatury, muzyki i teatru, a także przedstawicielom twórczej krytyki ze wszystkich tych dziedzin.

³ Stypendia są kwartalne, półroczne, trzykwartalne lub roczne.

⁴ W zasadzie okres roczny stypendium jest maksymalny, w wypadkach jednak wyjątkowych (gdy dużej doniosłości zamierzenie albo duży talent łączy się z ciężkim położeniem stypendysty) stypendium może być przedłużone, najwyżej jednak do dwu lat.

⁵ Ten, kto korzystał już ze stypendium, może ponownie ubiegać się o nie nie wcześniej niż w rok po wygaśnięciu stypendium poprzedniego.

⁶ Stypendia z reguły są bezwrotne.

⁷ W razie potrzeby Minister W. R. i O.P. będzie powoływał dla opiniowania o podaniach stypendialnych komisje złożone z 2-3 ekspertów dla każdej gałęzi sztuki (plastyki, literatury, muzyki, teatru).

⁸ Ministerstwo ma prawo określić miejsce pobytu stypendysty w czasie pobierania rat stypendialnych”.

⁸² Między innymi od początku do 1939 roku stał na czele powołanego w 1926 roku Towarzystwa Szerzenia Sztuki Polskiej wśród Obcych (TOSPO).

⁸³ M. Treter, *Sztuka polska w powojennej dobie*, „Sztuki Piękne” 1924/25.

⁸⁴ Zob. część wstępna zestawienia: Zespół akt Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z lat 1917-1939 w Archiwum Akt Nowych.

Mecenacka działalność Ministerstwa WRiOP

Zgodnie z wytyczonymi zadaniami, powstałe w 1919 roku Ministerstwo Sztuki i Kultury planowało szeroko zakrojoną działalność. Nie tylko miała ona realizować cele, wyznaczone w ustanawiającym je dekrete, lecz wyraźnym priorytetem stały się prace, ukierunkowane na ochronę szeroko pojętej kultury narodowej⁸⁵. Uderza w tym zapisie wielka dbałość o podtrzymanie tradycji sztuki ludowej, przyznawanie subwencji na wszelkie przedsięwzięcia z tego zakresu, poczynając od dotacji dla szkół artystycznych, konkursów, po kursy szycia strojów ludowych czy koszykarstwa dla włościan.

Wspomagano szkolnictwo artystyczne. Obok dotacji – rozbudowywano system stypendiów, na przykład w 1922 roku Wydział Malarstwa, Rzeźby i Sztuk Zdobniczych przyznał 25 stypendiów dla adeptów szkół artystycznych (w tym 10 dla Studium Sztuk Pięknych w Warszawie). Odłożono też kwotę „dla artystów plastyków” z zaznaczeniem, że „w chwili obecnej nie do przewidzenia komu”. W roku 1923 obok podobnych subwencji dla szkół artystycznych przyznano „stypendia dla artystów dojrzałych na krótki (3–4 miesiące) pobyt zagranicą”. W obręb „opieki nad artystami” wchodziła także subwencja na budowę mieszkań pracowniczych oraz schronisk dla artystów-plastyków w Tatrach i nad morzem.

Mimo braku pieniędzy, wynikającego z niskiego budżetu Departamentu Sztuki, troszczono się o rozwój sztuki ludowej. Kontynuowano idee Sztuki Stosowanej, związanej z powstałymi już w 1913 roku „Warsztatami Krakowskimi”, mającymi za cel pielęgnowanie rękodzieła (związani z tymi ideami byli między innymi Zofia i Karol Stryjeńscy oraz Wojciech Jastrzębowski). Ministerstwo popierało powstające pracownie produkujące na sprzedaż dzieła, wywodzące się ze sztuki ludowej, włączało się do ich promocji. Miało to służyć szerzeniu kultu dobrego rzemiosła, podnoszeniu wrażliwości estetycznej w życiu codziennym⁸⁶. Popierano także kierunek bardziej elitarny – sztukę dekoracyjną, między innymi grupę związaną z „Ładem” – nastawioną na produkcję tkanin, kilimów. Tu odbiorcami byli raczej ludzie zamożni.

Uzasadnienia tych dotacji wskazują, że przyświecała im idea kształtowania sztuki wyraźnie narodowej; sięgano do archaicznych ludowych źródeł dla cementowania narodu oraz podtrzymywania przekonań o naszej narodowej odrębności.

⁸⁵ Bardzo czynnym i, jak można wnioskować z zachowanych w AAN notatek, rzetelnie załatwiającym napływające sprawy referentem za czasów dyrekcji Miriama był Eligiusz Niewiadomski, późniejszy zabójca prezydenta Narutowicza.

⁸⁶ Groziło tu jednak zepchnięcie w kierunku kiczowatej pseudoludowości, pseudonarodowości; zwracał na to uwagę Mieczysław Treter, z okazji prezentacji sztuki na Powszechnej Wystawie Krajowej: „Powstał szereg warsztatików, produkujących na zapotrzebowanie rynku – portrety, koniki, krajobrazy, sceny z polowania, powstała sztuka płaska, utylitarno-dyletancka, [...] pozbawiona zupełnie pierwiastków narodowych. Bo pierwiastek narodowy nie polega na malowaniu kontuszów i konfederatek!” (M. Treter, *Dział sztuki na P.W.K. w Poznaniu i dziesięciolecie sztuki polskiej 1918-1928*, „Sztuki Piękne” 1929, nr 8-9, s. 316).

1 sierpnia 1919 roku Sejm wypowiedział się w sprawie akcji poparcia sztuk plastycznych; w tymże miesiącu protestowano przeciw przyznaniu zbyt niskich kredytów, które nie pozwalały należycie zadbać o to, by krajobrazowi nadać polski charakter: „Wygląd kraju nie może mieć typu niemieckiego lub rosyjskiego, ani też bezstylowo-międzynarodowego [...]. Polska zdobywając kresy musi dominować nad nimi kulturalnie i mądrze wszczepiać pierwiastki własne, murem odrębności od zaborców owe kresowe połacie odgradzając”⁸⁷.

Drugim – obok pieczy o sztukę narodową – priorytetem była działalność propagandowa, głównie ta, której celem było ukazywanie zagranicą osiągnięć sztuki polskiej; na przykład w 1919 roku planowano wydatki na wystawy malarstwa Józefa Mehoffera, grafiki polskiej, rysunków Noakowskiego, sztuki dekoracyjnej. Wśród zadań, wykonywanych na użytek propagandy „wewnętrznej i zagranicznej” już w 1923 roku znalazła się kinematografia: „filmowanie ziem polskich, życia Polski”⁸⁸. Do tej kategorii subwencji zblizają się również wydatki na pomniki – Mickiewicza w Paryżu i w Wilnie, Pomnik Lotników w Warszawie.

Powołano – 11 czerwca 1930 – Instytut Propagandy Sztuki (w 1939 roku – filię w Łodzi). Było to stowarzyszenie elitarne które, wedle Statutu, „ma za cel wzmożenie kultury artystycznej w kraju przez szerokie udostępnienie społeczeństwu najcenniejszych przejawów sztuki”⁸⁹; w praktyce, jak ocenia Joanna Sosnowska, szło „o pobudzenie mecenatu państwowego, stworzenie nowych możliwości działania, a w sumie o poprawienie sytuacji materialnej artystów”⁹⁰. Założonej przez Ministerstwo „propagandzie” miało służyć organizowanie wystaw wymiennych z zagranicą. Podjęto starania o budowę własnego gmachu, w 1931 roku plastycy uzyskali parcelę przy Królewskiej 13, na której na razie wybudowano pawilon wystawowy. IPS miał charakter konkurencyjny wobec „Zachęty”, której od lat zarzucano konserwatyzm opinii. Pierwszym prezesem IPS-u był Władysław Skoczylas, a po jego śmierci (1934) architekt Bohdan Pniewski. IPS zasilany był przez Ministerstwo oraz Fundusz Kultury Narodowej; w 1938 roku FKN wycofał subwencję.

Czy są to jeszcze zjawiska z zakresu mecenatu? Z jego pogranicza – na pewno tak. Gdyby bowiem samo Ministerstwo nie zaszeregoowało tych wydatków w rubryce budżetu nazwanej „propaganda”, łatwo by można ujrzeć je jako działalność promocyjną, mecenacką, zwiększającą zainteresowanie artystą i dziełem. Wymóg „bezinteresowności” (nigdy zresztą, z wyjątkiem darczyńców anonimowych, do końca nierealizowalny) zanika, ale dzieje się tak w większej lub mniejszej mierze przy wszystkich jawnych formach mecenatu państwowego. Płacenie nie jest dobroczynnością, zawsze czemuś ma służyć.

⁸⁷ Zob. AAN, *Zespół...*, Teczka 6992: Sprawy budżetu 1919-1923, s. 79-80.

⁸⁸ AAN, teczka 6992 – Sprawy budżetu 1919-1923.

⁸⁹ Zob. J. Sosnowska, *Instytut Propagandy Sztuki 1930-1939*, w: *Sztuka lat trzydziestych. Materiały sesji Stowarzyszenia Historyków Sztuki Nidzica 1988*, Warszawa 1991, s. 236.

⁹⁰ Tamże.

Ogromną większość pieniędzy Departamentu pochłaniały ochrona zabytków oraz dopłaty do teatrów. Jan Skotnicki jako zadania szczególnie ważne traktował przeprowadzenie projektu prawa autorskiego (już 12 maja 1921 ukazało się podstawowe dla tych spraw rozporządzenie Rady Ministrów o przystąpieniu, do tzw. Konwencji Berneńskiej z 1886 roku, „dotyczącej ochrony utworów literackich i artystycznych”), poprawek do ustawy o zabytkach, wprowadzenie w życie stypendiów i nagród państwowych, poczynając od literackiej, przystąpienie do ochrony kultury polskiej na kresach zachodnich i wschodnich⁹¹.

Tradycyjnie część funduszy przyznawano na edycje książek i periodyków. W związku z kilkakrotnym w tych latach zwiększeniem sum, przeznaczonych na sztukę, zakupywano obrazy do zbiorów państwowych, restaurowano w szerszej skali zabytki, rewindykowano je z Rosji, Niemiec i Austrii, uruchomiono konkursy szopenowskie, ustanowiono stypendia i nagrody we wszystkich dziedzinach sztuki oraz przyznano około czterdziestu emerytur dla artystów⁹². Szczególną uwagę Skotnicki (zdeklarowany przeciwnik idei „czystej sztuki”, czemu wielokrotnie dawał wyraz we wspomnieniach i co między innymi wpłynęło na gwałtowną krytykę rządów Miriama-Przesmyckiego⁹³) przykładał do popularyzacji sztuki i do jej walorów propagandowych. Toteż cenił teatr, szczególnie „Redutę” Osterwy, „który wywiązywał się z nałożonego nań zadania pierwszorzędnie”⁹⁴. Kontynuował tę politykę i priorytety Wojciech Jastrzębowski, który po Skotnickim objął Departament Sztuki.

„Ówczesnego mecenatu państwowego [nad literaturą – A.K.] doprawdy nie można nazwać nikłym. [...] W stosunku do tego, co było w tym zakresie dotąd kiedykolwiek w Polsce, mecenat publiczny wzbogacił się wyraźnie i miał tendencje wzrastające do początku kryzysu wczesnych lat trzydziestych” – pisał Stefan Żółkiewski⁹⁵. Rzeczywiście, były to złote lata dla państwowego mecenatu – zakończone gwałtownie wraz z wybuchem europejskiego kryzysu gospodarczego.

⁹¹ Dz. cyt., s. 194-195.

⁹² Dz. cyt., s. 196-197.

⁹³ Pisał Skotnicki między innymi: „Ze stanowiska Miriama, hołdowania hasłom czystej i niezależnej sztuki, wynikało nieuznawanie przez niego jakiegokolwiek propagandy kulturalnej wśród mas. Dlatego zrzekł się zwierzchnictwa nad teatrami szerzącymi kulturę polską na kresach zachodnich i wschodnich. [...] teatry w Warszawie, ich majątek i gmachy teatralne, będące własnością państwową za rosyjskich czasów, przeszły na własność miasta.

W tej pogoni za niepokalaną, niezależną doskonałością sztuki skasowano również założoną przez Kierbedziów Szkołę Sztuk Pięknych w Warszawie, po czym lata całe nie można jej było powołać do życia.

Nawet krakowską Akademię Sztuk Pięknych odstąpił Miriam Ministerstwu Oświecenia, a zbiory państwowe znajdujące się w zamkach przekazał Ministerstwu Robót Publicznych. Posunięciami tymi sam parcelował domeny własnego resortu” (dz. cyt., s. 189).

⁹⁴ Dz. cyt., s. 200. Wojciech Jastrzębowski jako minister kultury, według Stefana Żółkiewskiego: „Subwencjonował teatry na kresach wschodnich (na przykład Wilno, Grodno, Łuck) i na Śląsku (Katowice), co wiązało się z ważnym dla państwa popieraniem kultury polskiej na tych terenach, gdzie żyły kulturalnie aktywne grupy mniejszości” (S. Żółkiewski, *Kultura literacka 1918-1932*, Wrocław 1973, s. 77).

⁹⁵ S. Żółkiewski, *Kultura literacka 1918-1932*, s. 181.

Próby ochrony krajobrazu

Troską o trwałość narodowej kultury uzasadniano także wysuwany już w roku 1919 projekt Ustawy o ochronie zabytków przyrody i krajobrazu⁹⁶, który miał doprowadzić do objęcia mecenatem państwowym także przyrody. Działal w tej sprawie bardzo energicznie ówczesny minister, Zenon Przesmycki-Miriam⁹⁷, gromadząc nadchodzące na jego prośby z całej Europy projekty analogicznych ustaw, zbierając materiały z kraju (między innymi od Zarządu Towarzystwa Tatrzańskiego), szkicując kolejne wersje własne. W zachowanej wersji pierwotnej ustawa miała objąć wspólnie zabytki sztuki i przyrody: „Państwo przyjmuje pod opiekę: 1) Zabytki sztuki i kultury, 2) Piękno krajobrazu, 3) Twory przyrody”.

Dalsze prace nad ustawą zostały na długo zaniechane, natomiast Miriam doprowadził do utworzenia, w grudniu tegoż roku, działającej przy Ministerstwie Państwowej Komisji Ochrony Zabytków Przyrody. Przy tej okazji zarysowała się nowa forma mecenatu społecznego, która szybko ogromnie się rozwinie; mianowicie „Ministerstwo przyjęło za podstawę organizacji [ochrony zabytków – A.K.] typ umiarkowanie decentralistyczny, ponieważ ochrona zabytków przyrody wymaga pewnego patriotyzmu lokalnego tudzież zainteresowania tą sprawą większej liczby osób”, a nadto brak było funduszy na inaczej zakrojoną działalność. Przyznano w zamian Komisji spore uprawnienia, niemożliwe jednak do realizowania bez odpowiednio wysokich funduszy: do zakresu jej kompetencji należało między innymi opracowywanie projektów ustaw, określanie sposobów zabezpieczenia zabytków, tworzenie rezerwatów; „Komisja ma prawo wydawać zarządzenia tymczasowe, tudzież zarządzenia i decyzje stanowcze, posiadające moc urzędową [...]. Do Komisji należy orzekanie, czy pewien przedmiot jest zabytkiem przyrody, oraz ustalenie jego wartości i kwalifikacji”, miała też prowadzić inwentarz zabytków i badania naukowe. Ustawę o ochronie przyrody uchwalono ostatecznie dopiero 10 marca 1934 roku⁹⁸. Zapewne konsekwencją tych starań był jednak uchwalony już wtedy, 3 stycznia 1919 roku, dekret o obowiązku zatwierdzania projektów pomników; miało to zapobiec zaśmiecaniu krajobrazu.

Literatura pośród nauk

Gdy w 1929 roku wyznaczano najpilniejsze potrzeby w zakresie polskiej nauki (ankieta wśród uczonych), zabierali w niej głos także humaniści, upominając się o sprawy literatury i sztuki. Gabriel Korbut domagał się „odpowiedniego uposażenia materialnego” historyków literatury, wyznaczając dwa zakresy konieczności najpilniejszych: „a) wydawnictw dzieł pisarzy i b) monografii z za-

⁹⁶ Wszystkie materiały na ten temat – AAN, Akta Min. WRiOP, Teczka 7015: Ochrona zabytków przyrody i krajobrazu 1919–1921–1939.

⁹⁷ Zajmował stanowisko ministra od 16 stycznia do 9 grudnia 1919 roku.

⁹⁸ Zob. Dz. Ustaw 1934 nr 31, poz. 274.

kresu historii literatury. Wydawnictwa te muszą być przedsięwzięte *natychmiast*, na monografie zaś należałoby ogłosić konkursy – zamiast bawić się ogłaszaniem konkursów na nowelę, powieść itp., co prowadzi do rozrostu grafomanii⁹⁹. Znamienna jest zarysowana tu hierarchia – szacownym „dziełom” przeciwstawia się wyłaniane drogą konkursów teksty pisarzy współczesnych, jako z założenia grafomańskie.

Dysproporcje między dbałością o literaturę dawną i o współczesność uderzają także w podziale będących w dyspozycji finansów. Podobne postulaty wysuwali Eugeniusz Kucharski i Julian Krzyżanowski. Historyk sztuki, Jerzy Dobrzycki, podkreślał, iż „o badanie i opiekę historyków sztuki wołają niszczące w oczach zabytki przeszłości, tak bardzo uszczuplone liczebnie w latach niewoli i wojen, a zagrożone w dalszym bycie przez niski poziom kultury i uświadomienia szerokich mas polskich”. Wskazywał pilną potrzebę inwentaryzacji opisowej oraz powołania związku historyków sztuki¹⁰⁰.

Opieka nad dziedzictwem narodowym

7 lutego 1919 roku ukazało się rozporządzenie Rady Ministrów o opiece nad archiwaliami. Wspomniane wyżej postulaty Jerzego Dobrzyckiego dotyczące ochrony zabytków współbrzmiały zaś z postanowieniami, wpisanymi do ogłoszonego 6 marca 1928 roku Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej o opiece nad zabytkami¹⁰¹. Już rozporządzeniem z 19 stycznia 1928 „sprawy sztuki i kultury (ochrona zabytków itd.)” włączono do zakresu działań Urzędów Wojewódzkich. W rozporządzeniu Prezydenta z marca znalazły się sformułowania, dotyczące rozumienia pojęcia „zabytek”. W myśl art. 1 zabytkiem „jest każdy przedmiot tak nieruchomy, jak ruchomy, charakterystyczny dla pewnej epoki, posiadający wartość artystyczną, kulturalną, historyczną, archeologiczną lub paleontologiczną, stwierdzoną orzeczeniem władzy państwowej, i zasługujący wskutek tego na zachowanie”. Szeroko rozwinięto wyliczenia kategorii obiektów, które „za zabytki mogą być w szczególności uznane”, jeśli za takie uzna je reprezentant władzy państwowej.

Konserwatorzy wojewódzcy zostali wyposażeni w szerokie uprawnienia: „Przedmioty otrzymują charakter zabytków [...] na skutek orzeczenia władzy konserwatorskiej pierwszej instancji, stwierdzającego wartość zabytkową przedmiotu a nadto przy zabytkach nieruchomych określającego granice zabytku i granice otoczenia” (art. 3), „orzeczenie władzy konserwatorskiej, stwierdzające wartość zabytkową przedmiotu [...] doręcza się właściwemu oddziałowi Prokuraturii Generalnej” (art. 3), zapowiedziano, iż „władze konserwatorskie pierwszej instancji prowadzą rejestr zabytków” (art. 4).

⁹⁹ G. Korbut, *Uwagi o potrzebach historii literatury w Polsce*, „Nauka Polska” 1929, t. X, s. 363-369.

¹⁰⁰ J. Dobrzycki, *O rozwój badań nad dziejami sztuki*, „Nauka Polska” 1929, t. X.

¹⁰¹ „Dziennik Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej” z 14 marca 1928, nr 26, poz. 265.

Stworzył ten akt prawną podstawę do obejmowania zabytków ochroną konserwatorską. Nie zastąpiło to wprawdzie funduszy, wiecznie brakujących, ale pozwoliło przynajmniej powstrzymać akty świadomej dewastacji, czynione przez właścicieli. „Zabytków nie wolno burzyć, rozkopywać, niszczyć, przerabiać, odnawiać, rekonstruować, zabudowywać, zdobić, uzupełniać, ani przewozić bez uprzedniego zezwolenia władzy konserwatorskiej pierwszej instancji” (art. 14) – stanowiło Rozporządzenie.

O randze, jaką przypisywano sprawie ochrony zabytków, świadczy obdarzenie – w cytowanym rozporządzeniu Prezydenta – konserwatorów wojewódzkich sporym zakresem władzy, a także fakt, że podlegali jedynie i bezpośrednio ministrowi WRiOP. Konserwatorom przyznano szeroki zakres uprawnień – między innymi prawo badania wartości przedmiotu, wydawania zakazu jego zbywania, prawo wstrzymywania wszelkich robót budowlanych czy renowacyjnych; właściciele byli obowiązani informować władze konserwatorskie o wszelkich zmianach własności zabytku i uzyskać ich zgodę na rozpoczęcie prac, konserwator miał prawo wywłaszczać z zabytków – także ruchomych. Niestety, konserwatorów wyznaczano zbyt mało (w 1919 roku w ówczesnych granicach Państwa było ich 9 i również 9 w 1930 roku, gdy obszar im podlegający był ponad dwakroć obszerniejszy; jeden konserwator przypadał najczęściej na 2 województwa, a do pomocy miał zaledwie jedną lub dwie osoby jako „siły pomocnicze”).

Nakazom i zakazom, obejmującym opiekę nad zabytkami, towarzyszył obszerny spis postanowień karnych, które groziły w razie naruszenia przepisów. Rozporządzenie o opiece nad zabytkami podpisali – obok Prezydenta Ignacego Mościckiego i premiera Józefa Jędrzejewicza – wszyscy ministrowie.

Uzupełnieniem tych aktów było kolejne rozporządzenie, Ministra WRiOP z 17 lipca 1928, „o prowadzeniu rejestru zabytków”, w którym precyzowano, że „w każdym urzędzie wojewódzkim prowadzi się rejestr zabytków, który obejmuje wszystkie zabytki, znajdujące się na obszarze danego województwa, z wyjątkiem znajdujących się w katolickich kościołach i lokalach kościelnych”. Urzędy konserwatorskie były włączone do urzędów wojewódzkich; przez to konserwatorom poruczono także sprawy sztuki, musieli zajmować się dodatkowo na przykład sztuką ludową, teatrami włościańskimi, chórami itp.

Po tych prawnych uregulowaniach opieką nad zabytkami energicznie kierował powołany na nowoutworzone stanowisko Generalnego Konserwatora prof. Jerzy Remer, ściągnięty z Wilna. Otrzymywane na ochronę zabytków fundusze były jednak nieproporcjonalnie nikłe w porównaniu z potrzebami w tym zakresie, nie starczało pieniędzy na konieczne remonty i konserwacje oraz opłaty za wywłaszczenie. Gros pieniędzy przeznaczano – o czym wspominałam – na remonty siedzib reprezentacyjnych, powstały akt prawny pozwalał jednak przynajmniej powstrzymać celową destrukcję, nie dopuścić do rozbiórki zabytkowego budynku lub do sprzedaży

mniejszych obiektów zagranicę. Omawiając sprawę mecenatu państwowego, Jarosław Wojciechowski przedstawił inwentarz zniszczeń wojennych i zwracał uwagę, że mimo tych niedostatków już do 1931 roku odbudowano to, co do renowacji się nadawało¹⁰².

Z tym zakresem spraw wiąże się także stałe dotowanie powstałego w 1930 roku czasopisma „Ochrona Zabytków” (pod redakcją Jerzego Remera)¹⁰³; do jego zakresu tematycznego wchodziło także krajoznawstwo. Ważnym posunięciem było też ustanowienie spisu artystów plastyków, uprawnionych do konserwacji zabytków sztuki: 10 listopada 1931 roku rozesłano do wszystkich stowarzyszeń list z prośbą o podanie nazwisk konserwatorów¹⁰⁴. Było to wywołane dochodzącymi z terenu informacjami o powierzaniu konserwacji dzieł sztuki osobom przypadkowym, nieprofesjonalistom.

Uregulowanie prawne, dotyczące zabytków, pod jednym względem pełniło także funkcje zastępcze; pod opiekę konserwatora zabytków wprowadzało, wybiórczo, twory przyrody. Otwierał tę furtkę zapis o możliwości uznania za zabytek „przedmiotów” paleontologicznych (cytowany art. 1). Póki nie było ustawy o ochronie przyrody (a uchwalono ją dopiero 10 marca 1934 roku¹⁰⁵), póty miano „zabytku kultury” mogły na tej podstawie zyskać wymienione dalej w ustawie „otoczenie zabytków architektonicznych” (art. 2), a także „ogrody ozdobne oraz aleje cmentarne i przydrożne, drzewa sędziwe i okazałe i tp.”. Często zatem nie przyrodnicy, lecz historycy sztuki decydowali, które drzewo jest „sędziwe” i jak je konserwować. O sprawę otoczenia zabytków zahaczało też nieco wcześniejsze Rozporządzenie Prezydenta (z 16 lutego 1928) o prawie budowlanym i zabudowaniu osiedli. Stanowiono w nim, iż „w miejscowościach, w których krajobraz zasługuje na ochronę, właściwa władza może odmówić pozwolenia na budowę, przebudowę lub zmianę budynków, o ile by te roboty spowodowały zeszpecenie krajobrazu, a dało by się tego uniknąć przez wybór innego miejsca lub też przez inne ukształtowanie budynku, albo jego części”¹⁰⁶.

Charakterystycznym przykładem – sprawa ochrony jeziora Świteź, tocząca się przez całe dwudziestolecie. Po ukazaniu się Rozporządzenia Prezydenta konserwator wojewódzki wileński i nowogródzki Stanisław Lorentz pisał w liście do Ministerstwa WRiOP: ponieważ „w wyliczeniu szczegółowym grup zabytków art. 2 nie znajduję punktu, który dałoby się zastosować do Świtezi”, zatem „jedynym środkiem, który mógłby zapobiec dewastacji, a równocześnie sprowadzić pertrak-

¹⁰²O fatalnej sytuacji finansowej oraz o osiągnięciach w zakresie państwowego mecenatu nad zabytkami – zob. J. Wojciechowski, *Co zrobiono w Polsce w zakresie odbudowy, restauracji i konserwacji zabytków sztuki w latach 1919-1929*, „Ochrona Zabytków” 1930/1931, t. 2, s. 243-322; tamże wyciąg ze sprawozdań konserwatorów wojewódzkich za rok bieżący.

¹⁰³Ukazały się tylko 2 tomy, datowane 1930/1931.

¹⁰⁴Zob. Archiwum Akt Nowych, zespół cytowany, teczką 7024: Konserwacja zabytków 1924-1939.

¹⁰⁵„Dziennik Ustaw” 1934 nr 31 poz. 274.

¹⁰⁶Cyt. za: J. Wojciechowski: *Historia powstania...*, dz. cyt., s. 12.

tacje o wykup obiektu na rzecz Państwa na właściwą drogę, byłoby uznanie jeziora i otaczających je lasów za zabytek przeszłości". Decyzję zatwierdzono, w rezultacie konserwator sztuki interweniował potem w sprawach połowu ryb, dokształcał się w zakresie grożącej im „zarazy kanadyjskiej”¹⁰⁷.

W późniejszej ustawie o ochronie przyrody znalazł się też passus, uwzględniający jej walory kulturowe: „Ochronie podlegają twory przyrody [...], których zachowanie leży w interesie publicznym ze względów naukowych, estetycznych, historycznych, pamiątkowych, albo też ze względu na swoiste cechy krajobrazu, i które władza państwowa uznawała za podlegające ochronie”¹⁰⁸. Znamienne, że za ochronę przyrody miało odpowiadać nie ministerstwo rolnictwa, lecz WRiOP.

Paternalizm i niechęci

Początkowo w zakres działalności mecenackiej Ministerstwa wchodziły różne czynności, kojarzące się z tradycją „mecenatu bezpośredniego”, czyli troską także o byt materialny twórców. Zachowały się liczne notatki Eligiusza Niewiadomskiego, który nie tylko przyznawał wsparcie na utrzymanie biedujących artystów, ale też osobiście sprawdzał i opisywał warunki ich bytowania. Oczywiście nie było tych wsparć wiele i taka praktyka mogła być stosowana tylko w pierwszych latach powojennych. Szybko nastąpiły zmiany – nie tylko z powodu uregulowań administracyjnych, lecz także dlatego, że sytuacja ta była odbierana jako upokarzająca, sądzono, że nie powinna mieć miejsca w wolnej ojczyźnie.

Sporą część budżetu Departamentu Sztuki przydzielano na stypendia dla studiujących „sztuki piękne”, dla artystów i pisarzy, a także na wyjazdy zagraniczne dla „artystów dojrzałych”. Przy przyznawaniu stypendiów lawirowano stale (widać to już we wczesnych wytycznych regulaminowych¹⁰⁹) między zasadą przyznawania ich tym, „których prace wykazują zdolności pierwszorzędne”, a kryterium „pełnej biedy”. Toteż, według wspomnień Skotnickiego, w programie mecenackich zadań kierowanego przez niego Departamentu Sztuki w latach 1923–1927 do najważniejszych należało między innymi ograniczenie bezpośredniej opieki nad artystami do młodzieży i inwalidów. Jednak jeszcze w *Regulaminie udzielania artystom stypendiów rządowych* z 1930 roku, w którym wyraźnie sformułowano, iż „Celem stypendiów jest ułatwianie rozrostu sztuki i kultury artystycznej” i że są one „przyznawane uzdolnionym przedstawicielom sztuk plastycznych, literatury, muzyki i teatru, a także przedstawicielom twórczej krytyki ze wszystkich tych dziedzin”¹¹⁰, zwraca się uwagę na ewentualne „ciężkie położenie stypendysty”. Dopiero w latach 30

¹⁰⁷ Zespół zbiorów dot. działalności wojewódzkich konserwatorów w latach 1919–1938, obejmujący 260 teczek, archiwum Ministerstwa Kultury Litwy, Wilno.

¹⁰⁸ „Dziennik Ustaw” 1934, dz. cyt., art. 1.

¹⁰⁹ Zob. AAN, zespół akt Ministerstwa WRiOP,teczka 6992, s. 23.

¹¹⁰ Dziennik Urzędowy Ministerstwa W. R. i O.P. z 6 stycznia 1930 roku, AAN,teczka 7012: Stypendia zagraniczne i krajowe.

wyraźnie rozdzielono stypendia twórcze od zapomóg. (A warto przypomnieć, że w latach dwudziestych drastycznie zmalała pula stypendiów, przyznawanych przez towarzystwa artystyczne.)

Tradycyjnie pojmowana instytucja mecenatu jako opieki nad artystami¹¹¹ z biegiem lat była coraz gorzej postrzegana. „Opieką” – twierdzono – należało otaczać zabytki lub starców; twórcy czynni zawodowo optowali wyraźnie za obiektywnym i jawnym dysponowaniem i regulowaniem spraw pieniężnych, za ustanowieniem funduszy na literaturę i sztukę i wyraźnymi kryteriami ich rozdziału. Ku temu zmierzały związki zawodowe artystów.

Już w 1924 roku Związek Zawodowy Literatów walczył o ustanowienie „funduszu narodowego dla literatów”, którego źródłem miały się stać pieniądze tak zwanej dziś „martwej ręki”¹¹². Podobny pomysł podniósł Juliusz Kaden-Bandrowski, występując w 1926 roku z ideą utworzenia (z tychże zasobów) „skarbu narodowego literatury, nauki i sztuki”.

Chęć do samostanowienia, do odrzucania idei mecenatu na rzecz podejmowania przez twórców decyzji także finansowych dotyczących rozdziału funduszy przeznaczanych przez państwo na literaturę i sztukę została sformułowana najklearowniej przez Mieczysława Sterlinga: „Departament Sztuki musi być opiekunem żyjącej, stającej się sztuki. Opieka ta musi zatracić odór filantropii – musi być umiejętnym współtworzeniem sztuki, popieraniem jej najwybitniejszych objawów. Musi być odsunięta przypadkowość i mecenasostwo”¹¹³.

Mimo tych zastrzeżeń, działalność stypendialna Ministerstwa rozwijała się przez całe dwudziestolecie. Decyzje o stypendiach podejmowano co kwartał. Liczba ich była zmienna, na przykład w 1928 roku przyznano w dziale literatury 6 stypendiów, otrzymali je najpierw Zygmunt Kisielewski, Waław Filochowski, Jan Nepomucen Miller, Stanisław Baczyński, Edward Boyé, Julian Wołoszynowski; w następnych kwartałach doszły nazwiska: Eugenia Weinertowa, Stella Olgierd, Józef Wittlin, Tadeusz Szantoch. W dziale muzyki przyznawano w tymże 1928 roku 4 stypendia.

Na liście z roku 1932 są między innymi nazwiska literatów: Furmanik, Adam Galis, Karol Irzykowski, Roman Kołoniecki, Miller, Morawska, Peretiakowiczówna, Jan Emil Skiwski, Janusz Sępowski, Szczutowski, Weiser, Aniela Zagórska,

¹¹¹ Za taką opiekuńczą, lecz wyrażenie dyrygowaną koncepcją mecenatu państwowego, opowiadał się, zaraz po odzyskaniu niepodległości, między innymi Zdzisław Dębicki. Wielką apoteozę polskiej inteligencji łączył w swym szkicu z zajadłym atakiem na sztukę przelomu wieków, modernizm i secesję. To tym tendencjom miałyby się przeciwstawiać objawiona po 1918 roku elita inteligencji, tworząca kulturę narodu; toteż „ułatwiamy ludziom, którzy tę naukę i sztukę kochają, pracę dla nich, dostarczajmy im środków na to, aby badania swoje mogli prowadzić spokojnie, z całkowitym oddaniem się swojej sprawie”. Domagał się sprawnie funkcjonującego mecenatu państwowego, który by otaczał opieką, ustalając zarazem dla podopiecznych wyraźne wytyczne ideowe (Z. Dębicki, *Kryzys inteligencji polskiej*, Warszawa 1919, s. 129).

¹¹² S. Czosnowski, *Fundusz narodowy dla literatów*, „Wiadomości Literackie” 1924, nr 29.

¹¹³ Dz. cyt.

Stefania Zahorska, Ewa Szelburg Zarembina, Roman Zrębowicz, są też Maria Dąbrowska, Michał Choromański, Jan Szczawiej, Jerzy Zawieyski, Emil Zegadłowicz – stypendium wynosiło wówczas 200 złotych miesięcznie. W drugim kwartale 1933 roku, ze znanych nazwisk – Gałczyński, Młodożeniec, Gałuszka; w czwartym kwartale tegoż roku – literaci: P. Hulka-Laskowski, Zofia Kossak-Szczucka, Zofia Nałkowska, Emil Skiwski, Rudolf Weiser, Aniela Zagórska, Stanisław Furmanik, Adam Galis, Pola Gojawiczyńska, Karol Irzykowski, Felicja Kruszewska, Leopold Lewin, Janina Morawska, Artur Prędski, Adolf Rudnicki, Janusz Stępowski, Stanisław Szczytowski, Anna Zahorska, Zarembina, Roman Zrębowicz. Wysokość stypendium miesięcznego została obniżona do 150 złotych. W 1934 roku – znów Dąbrowska i Młodożeniec, a z młodych – Zbigniew Uniłowski¹¹⁴.

Lata trzydzieste

Zmieniły się możliwości działań Wydziału Sztuki w latach kryzysu. Władysław Zawistowski, który nim kierował w latach 1932–1938, zwrócił uwagę na dwa zjawiska¹¹⁵. Po pierwsze, dopiero tuż przed wojną, w ustawie o Funduszu Kultury Narodowej z lipca 1937 roku, został wyraźnie rozdzielony zakres obowiązków między nim a ministerialnym Wydziałem Sztuki. Po wtóre, okres ten był wyjątkowo ciężki ze względu na kryzys gospodarczy – o rozmiarach klęski świadczy różnica przyznanych kwot na działalność Wydziału. W roku 1931/32 na „opiekę nad sztuką” wydano 2 268 000, nadto na konserwację zabytków 620 000; w roku 1932/33 odpowiednio – 545 000 i 169 000 złotych. Spadek czterokrotny! A znikomość sum tym bardziej była rażąca, że niemal całość kwot przyznanych w 1932/33 na „opiekę nad sztuką” pochłonęły stałe wydatki na szkolnictwo artystyczne.

W tej sytuacji Zawistowski czynił usilne starania o przerzucenie zasiłków dla bezrobotnych artystów na Ministerstwo Opieki Społecznej (z dobrym efektem¹¹⁶) oraz o uzyskiwanie pieniędzy z innych źródeł: „należało poszukiwać pośrednich środków działania, niejako zastępczych, ponadto zaś mobilizować środki finansowe bądź poza budżetem Wydziału Sztuki, bądź w ogóle poza budżetem państwowym”¹¹⁷. Pisał w swym sprawozdaniu, że do zadania ratowania zabytków „wciągnięto do akcji samo społeczeństwo”; wydaje się to sformułowanie nieco przesadne, gdyż owym „społeczeństwem” pomagającym przy renowacji „kościółów, pałaców i kamienic” byli prawdopodobnie w ogromnej większości ich właściciele.

¹¹⁴ Archiwum Akt Nowych, zespół cytowany, Teczka 7012.

¹¹⁵ Por. Wł. Zawistowski, *Działalność Wydziału Sztuki Ministerstwa WRiOP w okresie lat 1932-1938*, w: „Rocznik Polskiej Akademii Literatury”, Warszawa 1939, s. 97-113.

¹¹⁶ O tym, że sytuacja nie była dobra, świadczyły między innymi rezultaty ankiety, przeprowadzonej w 1932 r. przez ZZLP, której celem było ustalenie „warunków materialnych i moralnych, w jakich żyje pisarz polski”. Jej wyniki były opublikowane: *Życie i praca pisarza polskiego. Ankieta ZZLP*, org. Ludwik Krzywicki, Warszawa 1932.

¹¹⁷ Tamże, s. 97.

Funduszy ministerialnych w latach najgorszych starczało na niewiele wydawnictw – tylko na subwencje dla dzieł zbiorowych najwybitniejszych zmarłych i żywych poetów, a „ponadto podtrzymywano działalność tygodnika »Pion«”. Sytuacja mecenatu Ministerstwa wydatnie poprawiła się w ostatnich latach ujętych sprawozdaniem Zawistowskiego.

Fundusz Kultury Narodowej

W marcu 1928 roku powstał, z inicjatywy Józefa Piłsudskiego, Fundusz Kultury Narodowej. Zakresem działalności obejmował dwa zakresy: naukę i sztukę (w zakresie „sztuki”, podobnie jak w Ministerstwie WRiOP, wchodziła także literatura). Na czele FKN stanął Stanisław Michalski; postać szeroko znana z wieloletniej sumiennej działalności w Kasie im. Mianowskiego i z publikacji oświatowych¹¹⁸. Wedle zgodnej opinii, Michalskiemu rzeczywiście dobrze znane były potrzeby nauki, nie miał natomiast zupełnie rozeznania w kwestiach dotyczących sztuki i literatury.

Wśród zadań Funduszu dotyczących sztuki były przede wszystkim: udzielanie stypendiów dla początkujących pisarzy i na ważne prace dla pisarzy już uznanych, dla uczonych i artystów, przyznawanie zasiłków na instytucje i towarzystwa naukowe, na wydawnictwa i prace badawcze. Nadto subwencji dla teatrów, filmu, muzyki, plastyki (wystawy, konkursy, zakup dzieł sztuki).

Rozporządzenie o powołaniu Funduszu zostało ujęte w formę ustawy sejmowej dopiero 16 lipca 1937 roku¹¹⁹. Zatwierdzono wcześniejsze ustalenie, przyjęto zmianę nazwy (odtąd był to Fundusz Kultury Narodowej Józefa Piłsudskiego), uregulowano sposób zarządzania Funduszem i zakres działalności: „[...] ma za zadanie: a) popieranie narodowej twórczości naukowej i artystycznej oraz b) wprowadzanie jej wyników do życia kulturalnego, społecznego i gospodarczego Rzeczypospolitej przez współpracę z organami rządowymi, samorządowymi a także z instytucjami społecznymi”.

Wpisano do ustawy punkt o zabezpieczeniu środków na działalność Funduszu w budżecie państwa; wysokość owych środków nie została ustalona.

Początkowo – dzięki poparciu Piłsudskiego – FKN dysponował sporymi pieniędzmi, jednak z roku na rok przyznawane fundusze malały. O ich skali i proporcjach rozdziału świadczy suma globalna za pierwsze 8 lat istnienia FKN: do 31 marca 1936 wydatkowano: na naukę 9 463 726 złotych, na sztukę 3 917 180 złotych, na administrację 208 653 złote¹²⁰.

¹¹⁸ Stanisław Michalski (1865-1949), inżynier mechanik, redaktor „Nauki Polskiej”, dyrektor Funduszu Kultury Narodowej, wybitny działacz oświatowy (za tę działalność kilkakrotnie był więziony przez władze carskie). Od 1918 w Ministerstwie WRiOP, od 1919 kierował Wydziałem Nauki (zob. hasło opracowane przez J. Hulewicza w *Polskim Słowniku Biograficznym*).

¹¹⁹ Dziennik Ustaw 1937 nr 55 poz. 424. Ustawa o Funduszu Kultury Narodowej Józefa Piłsudskiego.

¹²⁰ Podstawowym źródłem informacji na temat dysponowania środkami Funduszu są jego trzy sprawozdania częściowe oraz sprawozdanie sumaryczne, do którego się tu odwołuję: *Fundusz Kultury Narodowej (1928-1936). Zarys działalności*, Warszawa 1937. Cytowana informacja o finansach – na s. 7.

Nominację Stanisława Michalskiego na dyrektora Funduszu powitano z zadowoleniem; wysoko ceniono jego działalność dla nauki w Kasie im. Mianowskiego. Wedle zgodnej opinii, o wiele słabiej Michalski pojmował potrzeby sztuki, toteż szybko doszło do gwałtownych kontrowersji. Pierwsza fala ataków w prasie nastąpiła już w 1930 roku. Wynikała z zupełnego braku rozeznania Michalskiego w zakresie i hierarchii potrzeb sztuki współczesnej. Zarzucano mu (powołując się na dyskutantów z kręgu „Wiadomości Literackich”, prezentujących stanowisko tzw. sanacji, lecz podobne opinie o niedocenianiu literatury terażniejszej wypowiedano wówczas powszechnie) stronniczość, związaną z jego endeckimi przekonaniem politycznymi, tradycjonalizm, obskurantyzm oraz zupełne niezrozumienie literatury i sztuki współczesnej.

Gdy w 1930 roku Michalski powołał jako organ doradczy Instytut Literacki, w którym nie znaleźli się pisarze wybitni, Słonimski atakując zarzucił dyrektora Funduszu inwektywami typu: „zoologiczny antysemityzm”, „samozwańczy kacyk”, nienawidzący literatury za to, że nie chce ona poddać się jego „władzy, siły i nieomyślności”¹²¹. W kolejnych numerach „Wiadomości” ukazały się obszernie artykuły na ten temat Ferdynanda Goetla i Wojciecha Stpiczyńskiego. Obaj autorzy zarzucali Michalskiemu marnotrawienie funduszy przeznaczonych na rozwój sztuki, podejmowanie decyzji błędnych, powodowanych postawą polityczną, ciasnotą horyzontów, poleganiem na opiniach niewłaściwego grona doradców (główną spośród nich postacią był Artur Górski). Goetel stwierdzał, iż Stanisław Michalski „posiadł wszystkie właściwości człowieka predestynowanego do zupełnego rozbratu ze światem sztuki. Nieufny i drobazgowy, zamknięty, pełen uprzedzeń [...] wniósł do swego urzędu, jeżeli chodzi o dziedzinę sztuki, obskurantyzm oparty na ignorancji najbardziej niepoprawnego typu – bo na ignorancji uprzedzonej”¹²²; nadto ma on tajnych doradców, a rozdziałem stypendiów kierują sympatie polityczne. (Przed zarzutami o jednostronność broniono potem Funduszu, wskazując, że stypendia otrzymywali także pisarze lewicy – Adam Kruczkowski, Adam Polewka.)

Podobne jak Goetel opinie zapisał Wojciech Stpiczyński, dodając, że Michalski „rządzi literaturą w sposób uznany za obraźliwy przez wszystkich poważniejszych pisarzy”. Zarzucano mu ciasnotę myśli, dopatrywanie się wszędzie pornografii (fatalnie na poglądach Michalskiego o całej literaturze współczesnej zaciążyła lektura najnowszych książek Witkacego i Piotra Choynowskiego). Zarzucano mu także złe gospodarowanie funduszami, przypadającymi muzyce – wydawanie ich na słabe wydawnictwa, zamiast na podnoszenie poziomu nagrań¹²³. Polemiki te nie wniosły zasadniczych korektur do zarządzania funduszem, świadczą o niezadowoleniu twórców żyjących – nie wywoływała podobnie mocnych sprzeciwów polityka

¹²¹ *Kronika tygodniowa*, „Wiadomości Literackie” 1930, nr 43.

¹²² *W sprawie Funduszu Kultury Narodowej*, „Wiadomości Literackie” 1930, nr 44.

¹²³ Edward Poznański, *List do redakcji*, „Wiadomości Literackie” 1930, nr 48.

Michalskiego w zakresie finansowania innych dziedzin kultury. FKN „programowo starał się przygotowywać jednostki do pracy twórczej, a tym, którzy byli do takiej pracy zdolni, usiłował zapewnić jak najlepsze warunki do jej wykonywania. Łożył przeto na potrzeby instytucji naukowych i artystycznych, na potrzeby inwestycyjne, wyposażenie laboratoriów, bibliotek, na koszty badań i wydawnictw. Subsydiował publikacje, a zwłaszcza czasopisma naukowe i artystyczne. Świadczył bezpośrednią pomoc w postaci zasiłków i stypendiów. [...] starał się zabezpieczyć ciągłość narodowej tradycji artystycznej, starał się wprowadzić klasyczne treści i wartości do bieżącego życia kulturalnego”¹²⁴. Subwencionowano wydania dzieł wybitnych pisarzy oraz wielki repertuar teatrów.

Szczegółowe rozliczenie wydatkowanych kwot za okres pierwszych dziewięciu lat jest zawarte w cytowanym zarysie działalności FKN; za tym źródłem przytaczam garść informacji, dotyczących sztuki, przede wszystkim literatury.

Akcja subwencyjna szła tu w dwóch kierunkach: dofinansowywania wydawnictw oraz przyznawania stypendiów na prace literackie. Lista pisarzy, „których utwory i prace ukazały się w druku przy pomocy zasiłków Funduszu Kultury Narodowej” (czyli: dotowania wydawnictw lub przyznawania stypendiów na określone dzieło) obejmowała nazwiska: Z. Bartkiewicz, H. Boguszevska, W. Borowy, F. Brodowski, St. Brzozowski, A.L. Czerny, M. Dunin-Kozicka, A. Dygasiński, A. Górski, M. Grossek-Korycka, M. Kasprzowiczowa, S. Kołaczkowski, A. Gruszecka, K. Iłakowiczowa, F. Kruszevska, T. Miciński, Wł. Orkan, E. Orzeszkowa, B. Ostrowska, M. Piechal, Z. Reutt-Witkowska, A. Rybicki, Sewer (Ignacy Maciejowski), L. Staff, A. Sygietyński, J. Szaniawski, St. Wyspiański, T. Zieliński¹²⁵. Przejrzenie tego spisu pozwala zauważyć, iż zarzuty o preferowanie pewnych opcji ideowych rzeczywiście były uzasadnione. Podobnie przy dotowaniu prasy literackiej (6 tytułów) wyraźnie były uprzywilejowane tytuły prawicy – były to: „Marchoń”, „Pamiętnik Warszawski”, „Rocznik Literacki”, „Środy Literackie”, „Zaranie Śląskie” oraz „Źródła Mocy”. Stypendia i inne „zasiłki” otrzymało w ciągu tych 9 lat 107 literatów.

W zakresie teatru dofinansowywano głównie repertuar klasyczny (tzw. „wielki”); w latach trzydziestych, w okresie trudnej sytuacji finansowej, teatry były subwencionowane prywatnie¹²⁶. W zakresie muzyki – subsydiowano także zakup instrumentów oraz wydawnictwa książkowe i czasopisma, między innymi „Kwartalnik Muzyczny”. Wyrazem buntu pisarzy przeciw sposobowi prowadzenia Funduszu była w 1930 roku niedoszła do stadium realizacji próba założenia Instytutu Popierania Twórczości Literackiej.

Można wprawdzie założyć, że dbałość o interes ogólnonarodowy przyświecała dotowaniu działalności wydawniczej pism takich, jak „Ochrona Zabytków”.

¹²⁴S. Żółkiewski, dz. cyt., s. 79-80.

¹²⁵Fundusz Kultury Narodowej..., s. 38-39.

¹²⁶Pisze o tym S. Żółkiewski, *Główne tendencje...*, dz. cyt., s. 52-53.

Podobnie w przypadku pism, dotowanych przez fundacje czy stowarzyszenia – jak „Pamiętnik Literacki” czy finansowana przez Kasę im. Mianowskiego aż do 1939 roku „Nauka Polska”, a także dzieł naukowych, ale już stałe i wysokie subwencjonowanie prorządowego tygodnika literackiego „Pion” wydaje się działalnością wprawdzie mecenacką – lecz bardziej jeszcze z zakresu politycznej propagandy.

Był i trzeci mecenas państwowy. Wojciech Stpiczyński w cytowanej wypowiedzi z „Wiadomości Literackich” (1930) zwrócił uwagę na fakt rozdzielenia opieki nad sztuką między trzech mecenasów, obok Ministerstwa WRiOP oraz Funduszu wymieniając ogromne zasługi Ministerstwa Spraw Zagranicznych, propagującego (między innymi przez wystrój placówek dyplomatycznych) polską sztukę współczesną.

Polska Akademia Literatury

Podobne protesty i opory towarzyszyły powołaniu Polskiej Akademii Literatury. Koncepcja rządowa zakładała, że grono 15 członków Akademii (otrzymujących od państwa stałe uposażenia) będzie się składało z 7 osób powołanych przez rząd i 8 przez nich dokooptowanych. Pisarze żądali, by członkowie byli obierani przez ogół literatów. We wrześniu 1933 zatwierdzono projekt rządowy (prezesem został Waclaw Sieroszewski). Przeciwnicy wysuwali projekt stworzenia Polskiej Izby Literackiej (inicjatywa Karola Irzykowskiego), a już po powołaniu PAL głośnym gestem protestu była ankieta „Wiadomości Literackich”, wysuwająca kontrpropozycję – wybraną głosami czytelników Akademii Niezależnych, której skład oczywiście znacznie się różnił od listy PAL. Gestem sprzeciwu indywidualnego było nieprzyjęcie członkostwa przez Andrzeja Struga.

Akademia wedle zamierzeń miała pełnić z ramienia państwa podstawowe funkcje mecenackie:

1. Reprezentowanie polskiego piśmiennictwa artystycznego.
2. Występowanie z inicjatywą poczynań zdążających do podniesienia poziomu literatury polskiej i opieki nad literatami.
3. Współdziałanie z rządem we wszystkich jego poczynaniach z zakresu kultury i sztuki polskiej.
4. Wypowiadanie opinii na życzenie władz państwowych w sprawach dotyczących języka, literatury i kultury polskiej.
5. Przyznawanie nagród literackich, wyróżnień i stypendiów dla literatów.
6. Podejmowanie wydawnictw poświęconych rozwojowi literatury polskiej¹²⁷.

Tak wytyczony zakrój zadań przekraczał możliwości Polskiej Akademii Literatury, nie dysponującej ani odpowiednimi funduszami, ani niezbędnym dla wykonywania takich zadań aparatem administracyjnym. Realnie – PAL pełniła głównie funkcje opiniodawcze, wysuwając kandydatów do nagród literackich i stypendiów. Zamiast pieniędzy rozdzielano chętniej zaszczyty – przede wszystkim Wawrzyn Akademicki, nadawany „osobom zasłużonym dla literatury pol-

¹²⁷ Przytaczam za: *Słownik współczesnych pisarzy polskich*, red. E. Korzeniewska i zespół, t. 1, Warszawa 1963, s. 98-99.

skiej”, twórcom, mecenasom, wydawcom. Pikantny szczegół – uhonorowani Wawrzynem musieli sami pokryć realne koszty wykonania odznaczenia. O skali wydatków na Akademię (i całości na literaturę) świadczy *Plan finansowy Wydziału Sztuki na rok 1935/36*. W rubryce *Literatura* przewidziano następujący podział funduszy (w złotych): Polska Akademia Literatury – 12 000; PAL diety – 45 000; Nagroda Literacka Ministerstwa WRiOP – 7 000; Nagroda Literacka PAL dla Młodych – 3 000; Tygodnik „Pion” – 24 000 złotych¹²⁸.

Sytuacja miała ulec zmianie dzięki ustawie o Polskiej Akademii Literatury z 2 lipca 1937; ogólna finansowa kraju była już dobra, powiększono w ustawie liczbę członków Akademii do 21, ustanowiono Nagrodę Literacką Młodych. Oraz dwa stypendia zagraniczne, po 1500 złotych, ale obwarowane charakterystycznym zastrzeżeniem, że stypendysta musi spędzić zagranicą przynajmniej trzy miesiące „przede wszystkim w jednym z krajów romańskich”.

Nagrody literackie

Tradycyjnie, także w dwudziestoleciu, najbardziej upublicznią formą mecenatu były konkursy i nagrody literackie. Stefan Żółkiewski pisał: „Wśród instytucji mecenatu na pierwszym miejscu należy wymienić nagrody państwowe i miejskie. W kulturze literackiej zyskały one sobie duży autorytet. W poważnej mierze decydowały o prestiżu społecznym nagrodzonego pisarza i o jego sukcesie zawodowym”¹²⁹. Najważniejszą była Państwowa Nagroda Literacka (właściwie: nagroda ministra WRiOP); pierwszym jej laureatem był Stefan Żeromski (1925), później między innymi Wacław Berent, Maria Dąbrowska, Zofia Nałkowska. Wysoką rangę miały nagrody literackie, przyznawane przez duże miasta¹³⁰. Jednorazowo (w 1930 roku) przyznano nagrodę im. Reymonta, od 1934 co drugi rok – nagrodę im. Orzeszkowej. Od 1934 roku wręczano doroczną prestiżową Nagrodę Młodych PAL (dla pisarza, który nie przekroczył 30 lat). Jej laureatami byli kolejno: Michał Choromański, Jalu Kurek, Światopełk Karpiński, Jerzy Łobodowski, Stanisław Piętak i Jerzy Andrzejewski. Od 1935 – nagrodę „Wiadomości Literackich”.

Mecenat państwowy tamtych lat preferował wyraźnie twórców centrum i prawicy; przy konkursach natomiast, organizowanych przez między innymi redakcje czasopism, rozkład szans zależał dość jawnie od profilu fundatora. „Sympatie polityczne jurorów oraz niechęć czytelników do skrajności artystycznych decydują o wyborze dzieł nagrodzonych”, toteż w Łodzi czy Sosnowcu mogą je otrzymać pisarze lewicujący, a w Poznaniu – powieść Dmowskiego” – pisze Żółkiewski¹³¹.

¹²⁸ AAN, Zespół akt Ministerstwa WRiOP, Teczka 6993. Sprawy budżetu.

¹²⁹ Tamże, s. 191.

¹³⁰ Zob. na ten temat: S. Żółkiewski: *Kultura...*, dz. cyt., s. 190-200. Tamże szeroko o konkursach literackich (s. 200-202).

¹³¹ S. Żółkiewski, *Główne tendencje rozwoju polskiej kultury literackiej*, w: *Obraz literatury polskiej XIX i XX wieku, Literatura polska w okresie międzywojennym*, t. 1, Kraków 1979, s. 41.

Inne formy mecenatu. Mecenat prywatny

W wieku XIX ważnymi formami pozapaństwowego mecenatu zbiorowego było na przykład prywatne dotowanie działalności wydawniczej i czasopiśmienniczej. W wolnym państwie, swobodnie dysponującym środkami budżetowymi, te zakresy działań wymykają się z zakresu pojęcia mecenatu, lokują się najwyżej na jego obrzeżu. Z mecenatem – czyli bezinteresowną działalnością na rzecz sztuki lub artysty – tak niewiele miały wspólnego, że wykraczają poza zakres niniejszego szkicu.

W niepodległym państwie prowadzona dawniej wspólna walka o utrzymanie narodowości ustąpiła normalnym grom interesów politycznych i handlowych. Prasa była dofinansowywana bądź przez obóz rządowy, bądź przez partie polityczne; podobnie inne niekomercyjne wydawnictwa. „Związki literatury i polityki nie były nigdy dotąd tak bliskie, tak zorganizowane i często »sformalizowane«, tak nacechowane tzw. zaangażowaniem twórczości, związanym z dobrowolną rezygnacją pisarzy z wielu niezależności” – pisał Żółkiewski¹³².

Te zagadnienia nie wchodzą w zakres niniejszego szkicu. Podobnie, jak finansowanie instytucji: muzeów, bibliotek – dalej jeszcze odbiegające od pojęcia mecenatu jako formy opieki nad sztuką. Instytucjonalizacja, prowadząca do koncentracji uwagi na sprawach, a nie na poszczególnych osobach, niweczyła bezpośrednie kontakty na linii darczyńca–twórca. Instytucjonalizacja – czyli przejście obowiązku opieki nad obiektami sztuki przez organizacje społeczne, a także ustalenie ustawowych reguł tejże opieki – osłabiała też emocjonalność zaangażowania jednostek w działania opiekuńcze. Wygasiała szybko spontaniczność, z jaką garnięto się do tego typu prac po odzyskaniu niepodległości. W miarę normalizacji sytuacji na tym polu, przejmowania opieki przez państwo i instytucje społeczne, malała ranga statusu opiekuna społecznego, malało zainteresowanie; nigdy jednak ono nie zanikło.

W dwudziestolecu przestaje istnieć tradycyjna forma relacji między opiekunem a twórcą, w której mecenas utrzymuje, a artysta się odwdzięcza. Jakieś dalekie odgłosy patronowania artystom przez możną szlachtę (ale już bez wymogu okazywania wdzięczności!) odnajdywano jeszcze z rozrzewnieniem, bijącym ze wspomnień, w organizowanych przez Ludwika Hieronima Morstina dwukrotnie zjazdach pisarzy w jego dworze w Pławowicach; goszczono, karmiono – ale te imprezy należałoby kwalifikować raczej jako wspólne artystyczne biesiady przyjaciół. Podobnie zaproszenia młodych artystów do podwarszawskiego Stawiska Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów – dopiero w latach wojny te gościny nabiorą charakteru zbliżonego do subsydiowania przyjaciół, pozbawionych środków do życia.

Zasadniczo mecenat przetwarza się w handlowe układy relacji między twórcą a odbiorcą lub normalnego zatrudnienia podopiecznego na przykład na stanowisku bibliotekarza. Fatalny wpływ na rozwój i tej formy mecenatu prywatnego miało nałożenie w 1932 roku zwiększonego podatku od nabycia dzieł sztuki.

¹³²S. Żółkiewski, *Główne tendencje...*, dz. cyt., s. 17.

„Handel obrazami stał się tajny. Na wystawach i Salonach ukrywano nazwiska nabywców. Taki stosunek władz musiał wpływać na powolne zamieranie prywatnego mecenasostwa”¹³³.

Tu oczywiście trzeba odróżnić dwie formy zakupów. Po pierwsze, te całkiem prywatne, dokonywane do zbiorów własnych lub, najpowszechniej, zamówienia portretowe (przypomnijmy świetnie się rozwijającą „Firmę Portretową” Stanisława Ignacego Witkiewicza), które były uzgadniane bezpośrednio między artystą a nabywcą. Oraz handel profesjonalny.

Poważniejszy mecenat prywatny przybierał teraz częściej formę donacji na rzecz instytucji – książek dla biblioteki, daru ze zbiorów własnych lub zakupu obrazów dla muzeów. Znakomitym przykładem świetnego mecenasa, który rozpoczął donacje na rzecz sztuki i kultury jeszcze w wieku XIX i kontynuował tę działalność prawie przez całe dwudziestolecie, był Adam Ludwik Czartoryski (1872–1937 – wnuk Adama Jerzego) od 1894 prezes Biblioteki Polskiej w Paryżu. Ugruntował byt Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie, tworząc ordynację sieniawską dla zapewnienia egzystencji muzeum i niepodzielności zbiorów. Opiekował się zbiorami muzeum w Gólułuchowie. Stanowiącą jego własność bibliotekę w Cote de Grace we Francji przekazał w darze Uniwersytetowi Lwowskiemu. Zakupił kamienicę dla Towarzystwa Miłośników Historii w Warszawie. Wykupił w 1919 roku i ofiarował Uniwersytetowi Wileńskiemu archiwum urzędowe kuratorii wileńskiej. Zasiłał finansowo instytucje związane ze sztuką (Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Poznaniu). W 1922 roku stanął na czele Komitetu wzniesienia pomnika Poniatowskiego (prace wstrzymano w 1831 roku)¹³⁴.

Zdarzało się, że motorem mecenasowania były patriotyzmy lokalne: na przykład Stanisław Badeni w latach 1937–1938 wykupił na rzecz Muzeum Narodowego w Krakowie świetną kolekcję obrazów z kościoła augustianów (między innymi polptyk św. Jana Jałmużnika), by nie dostała się do Warszawy¹³⁵.

Słowacki Piłsudskiego

Mecenat ukierunkowany na osobę pisarza zmarłego – ta forma uaktywnia się gwałtownie z okazji wszelkich rocznic i jubileuszy. Na okres dwudziestolecia mało przypadają świetnych rocznic okrągłych – Mickiewicz, Słowacki i Krasiński czczeni byli uroczysto nie tak dawno, kolejno w 1898, 1909 i 1912 roku. Pojawiła się natomiast okazja inna – można było sprowadzić do kraju (co od dawna już planowano) szczątki ukochanego poety Marszałka, Juliusza Słowackiego. Dokonało się to wkrótce po zamachu majowym 1926 roku; w kilka miesięcy z woli Józefa Piłsudskiego, potwierdzonej przez Sejm w marcu 1927, przygotowano niezwykle wystawności

¹³³ Zob. J. Skotnicki, dz. cyt., s. 303.

¹³⁴ Podaję według biogramu pióra Mariana Kukiela w *Polskim Słowniku Biograficznym*.

¹³⁵ Zob. R. Jarocki, *Rozmowy z Lorentzem*, Warszawa 1981, s. 146.

obchody, towarzyszące temu wydarzeniu – już w czerwcu 1927. Parada, tłumy i stopy wieńców od Gdyni po Warszawę i Kraków; okolicznościowe edycje; setki wszędzie publikowanych wierszy, poświęconych poecie; wspaniale majestatyczna celebrowanie powitania tego, co „królom był równy”. Zdawałoby się, że to najlepsza promocja i obiektu, i jego twórczości.

Świetny to przykład nietrafionych działań mecenackich. Uroczystość była wspaniała, ale na stosunku Polaków do dzieł Słowackiego zaważyła nienajlepiej, chyba dlatego właśnie, że obchody były wspaniale nadmiernie. Nadmiernie – mimo że w pierwszych powojennych latach odziedziczone po Młodej Polsce zainteresowanie twórczością poety, trwało nadal; za patrona obrali go na przykład młodzi Zdrojowcy, ukazał się o nim szereg poważnych rozpraw, z monografią Juliusza Kleinera na czele. Jednak data obchodów sprowadzenia szczątków Słowackiego do ojczyzny okazała się graniczna, może obchody zbyt były patetyczne, a może po prostu zbyt natrętnie je eksponowano. W każdym razie po tej dacie nagle zainteresowanie Słowackim ustało, by po kilku kolejnych latach dojść do gombrowiczowskiego „Wielkim poetą był”.

IV. Zamknięcie

Dzieje i formy mecenatu z niezwykłą wiernością odzwierciedlają swe uzależnienie od toku polskiej historii. Po epoce pełnej dominacji mecenatu arystokratycznego, w miarę zmian układu społecznego, u progu wieku XIX podejmuje funkcje mecenasa także mieszczaństwo. W Polsce, właśnie w związku z biegiem historii, miał ten mecenat charakter szczególny, niezwykle mocno nacechowany ideowo, stał się ważnym rysem etosu patrioty. Ocalić dawną kulturę i współczesne talenty, by Polska przetrwała i mogła zmartwychwstać – tak, patetycznie, ale i prawdziwie, można by ująć ówczesną, trwającą aż do 1918 roku, koncepcję mecenackiej działalności.

Gwałtowna zmiana nastąpiła w momencie odzyskania niepodległości. Jakby uznano, że koniec z dobroczynnymi „miłośnikami”, z filantropią, z zależnością artysty od donatora. Mecenat państwowy – oczywiście, jak zawsze, ubogi i ostro krytykowany. Samodzielne organizacje artystów, też zależne od budżetu; wybijanie się na indywidualną samodzielność.

Mecenat prywatny, przez wieki nadający ton i sens pojęciu, praktycznie zanika.



Anton Graff, *Stanisław Kostka Potocki*, 1785

II.
Z WIEKU XX



Stefan Żeromski, *Wiatr od morza*, strona tytułowa

STEFAN ŻEROMSKI – LATA OSTATNIE

W 1918 roku Stefan Żeromski witał odzyskanie niepodległości w Zakopanem. Przez ostatni miesiąc stał na czele utworzonej w październiku Rzeczypospolitej Zakopiańskiej, której celem było przejęcie władzy z rąk Austrii i zorganizowanie na tamtych terenach nowego, polskiego rządu. Na zimę przeniósł się z żoną i córką do Krakowa, wiosnę i lato spędzili znów w Zakopanem, ale już od jesieni 1919 roku mieszkali w Warszawie.

Polska suwerenna była spełnieniem marzeń bohaterów wszystkich książek Stefana Żeromskiego i wszystkich na nich wychowanych Polaków. Toteż Żeromski czuł się zobligowany do szukania odpowiedzi na pytanie: co dalej? Jaka ma być Polska, jak ją tworzyć, jakie przemiany powinny dokonywać się w umysłach i duszach jej obywateli?

Autor *Przedwiośnia* zawsze gorąco angażował się w sprawy publiczne, nie tylko piórem, lecz i osobiście. Teraz jednak skala działań miała być nieporównywalnie szersza – pokolenie, wychowane na *Siłaczce* i na *Ludziach bezdomnych*, od niego oczekiwało wskazania nowych zadań, podporządkowanych kształtowaniu nowego, własnego państwa.

Był Żeromski dla polskiej inteligencji wielkim autorytetem moralnym, ostatnim pisarzem, który pełnił ustanowioną przez romantyków funkcję artysty jako duchowego przywódcy narodu. Całe pokolenie twórczej i pełnej zapału do pracy inteligencji uważało się za wychowanków Żeromskiego; byli wśród nich Jan Stanisław Bystrzeński, Witold Doroszewski, Bolesław Hryniewiecki i Wacław Borowy, a także młodzieńcy wówczas Jan Lechoń; oczywiście i inni skamandryci, a ja dodałabym także gromadę wchodzących w dojrzałe życie młodych pracowników nauki i oświaty (był wśród nich mój Ojciec, Stanisław Lorentz, do ostatnich dni życia uznający Stefana Żeromskiego za najwyższy duchowy autorytet). Był Żeromski pisarzem, który – według słów Tadeusza Boya-Żeleńskiego – „od dawna stał się dla nas w literaturze ucieleśnieniem myśli i serca narodu”. I był wielkim dziedzicem tradycji romantycznej.

Od romantyków przejął wiarę w szczególne posłannictwo pisarza, w jego odpowiedzialność za kształtowanie losu narodu i ojczyzny. „Gdzie jest nowa sztuka polska, sztuka siły, sztuka męstwa, sztuka dźwignia ojczyzny od fundamentu i przyciesi, sztuka wiary mocniejszej nad śmierć?” – pytał już w roku 1907 (*Z od-*

czytem). Po odzyskaniu niepodległości miała to być odpowiedzialność za całość, za przyszłość Polski, za kształt państwa i postawę moralną jego obywateli. Swe idee przekazywał – podobnie jak romantycy – konsekwentnie we wszystkich tekstach literackich, w prozie, w publicystyce, w dramatach, swobodnie przekraczając reguły gatunkowe. Forma miała bowiem służyć przekazaniu idei, miała być jej podporządkowana; raziło to tych krytyków, którzy byli przyzwyczajeni do respektowania ustalonego porządku konwencji gatunkowych, lecz publiczność literacka świetnie wówczas przyjmowała odrębności stylu Żeromskiego. Tę rozbieżność najlepiej, bo wymiernie, ukazuje recepcja teatralna pierwszego powojennego dramatu *Ponad śnieg bielszym się stanę...* (1919, prapremiera była inauguracyjnym przedstawieniem w nowopowstałym teatrze Juliusza Osterwy „Reduta”). Nie myślę tu o recenzentach atakujących stale Żeromskiego z przyczyn politycznych (ci wywodzili się głównie z obozu endecji), lecz o admiratorach jego twórczości – jak na przykład Jan Parandowski. Raził Parandowskiego brak klasycznej wyrazistości, „chaos” kompozycji i długie monologi; publiczności natomiast to zupełnie nie przeszkadzało, o czym świadczy niemal natychmiastowe po warszawskiej prapremierze wprowadzenie utworów na kilkanaście scen polskich teatrów, gorące przyjęcie go przez widzów.

Był Żeromski admiirowany, ale zarazem w środowisku literackim dość samotny, także dlatego, że nie wiązał się z żadnym obozem politycznym, że mówił własnym głosem i to słowa często niepopularne, upominał się o poszanowanie tradycji i wartości moralnych w czasie, gdy mniej o nich myślano, zmierzając entuzjastycznie ku industrialnym postępom nowoczesności. Nie lubił też modnych nowinek artystycznych, traktował wszelkie awangardyzmy jako szkodliwe odwracanie uwagi młodej inteligencji od spraw dla kraju istotnych. System wartości, zawarty w piśmach autora *Ludzi bezdomnych*, szerzej prezentuje w swym szkicu prof. Zdzisław Libera¹; można wspomnieć jeszcze o niektórych podejmowanych przez Żeromskieo problemach i działaniach.

Żeromski po 1918 roku za problem podstawowy uważał, jak wszyscy Polacy, obronę już ustanowionych granic wschodnich, ale jako nie mniej pilne traktował właściwe rozegranie zaniedbywanej przez oficjalne czynniki sprawy spornych ziem północno-zachodnich. Wobec Wschodu zajmował wyraźnie postawę dwoistą; przestrzegał gwałtownie przed możliwą nawałą bolszewizmu i idei komunistycznych, ale – inaczej niż wielu publicystów tamtego okresu – wierzył w możliwość polubownego układania relacji z ludnością z drugiej strony granicy.

Sądy o bolszewikach i o idei bolszewickiej sformułował najbardziej wyraziście w reportażowej refleksji *Na probostwie w Wyszkowie*, powstałej w sierpniu 1920 roku, bezpośrednio po wyprawie w charakterze prasowego sprawozdawcy (w to-

¹ Pierwodruk tego tekstu ukazał się, podobnie jak szkic prof. Zdzisława Libery, w książce pokonferencyjnej (zob. *Nota bibliograficzna – wykaz pierwodruków*).

warzystwie Ferdynanda Ruszczyca i Adama Grzymały-Siedleckiego) na polsko-sowiecki front. Żeromski dotarł do Wyszkowa bezpośrednio po ucieczce Feliksa Dzierżyńskiego, Marchlewskiego i Kona, którzy na probostwie uprzednio popasali. Pisał o nich:

Ci rodacy dla poparcia swej władzy przyprowadzili na nasze pola, na nędzne miasteczka, na dwory i chałupy posiedzicieli, na miasta przywalone brudem i zdruzgotane tyloletnią wojną – obcą armię, masę, złożoną z ludzi ciemnych, zgłodniałych, żądnych obłowienia się i soldackiej rozpusty. W pierwszym dniu wolności, kiedyśmy po tak strasznie długiej niewoli ledwie głowy podnieśli, całą Moskwę na nas zwalili.

Charakterystyczne było rozłożenie w tym szkicu akcentów: uosobieniem zła stała się nie tylko prymitywna armia najeżdźcza, lecz bardziej jeszcze propaganda szerzona przez agitatorów takich, jak Dzierżyński, Marchlewski i Kon, żerująca na ciemnocie idącej za nimi posłusznie zgłodniałej masy. Dlatego nie mogło wystarczyć zwycięstwo zbrojne nad bolszewizmem – Żeromski jako jedyny dalekosiężny oręż ukazywał moc mądrej i pięknej idei: musimy oto przekonać świat, „iż idee, w których imię umierali nasi żołnierze w walkach z armią czerwoną, stały stokroć wyżej od praw ukutych w ciasnym zespole oligarchów Moskwy”. Wywieść na światło te idee, rozpowszechnić je, szczepić tłumom – tylko na tej drodze można odnieść zwycięstwo, tylko wtedy, gdy tłum zechce oprzeć się mamieniu przez bolszewików.

Gdy uwaga Polaków koncentrowała się na odparciu ataku ze wschodu, autor *Międzymorza* ogromną energię i siły własne wkładał w utrwalenie polskiego panowania na północno-zachodniej granicy. „Wdaliśmy się w siepaniny z Moskwą, zaniedbując zachód i morze” – pisał z goryczą. I dodawał:

Gdy na wschodnią ścianę Rzeczypospolitej uderza wróg polskiej wolności i gdy cały zaiste naród w uniesieniu ducha porywa się, ażeby wałem ciał zastąpić drogę najeźdźcom – jednym z najpilniejszych aktów przezorności powinno być ubezpieczenie granic zachodnich, gdzie na zazębieniach narodu o naród ma dopiero stanąć zrąb ściany wskrzeszonego państwa.

Szło mu o dostęp do Bałtyku, o wyszarpięcie z pruskich rąk choćby kawałków Pomorza i Mazur. Marzył o tym od lat; opublikowaną w 1912 roku *Urodę życia* kończył przepięknym obrazem: oto niemiecki okręt wojсковy zbliża się do brzegu, na nim są oficerowie i wyłowiony przez nich rozbitek, Piotr Rozłucki; pada niemieckie słowo „Pommern” i zaraz potem szept Rozłuckiego: „Pomorze”. W odpowiedzi „złowrogo załśniły oczy oficerów”.

Żeromski nie tylko słowem przypominał o konieczności walki o polskość Mazur i Warmii, Pomorza i Śląska. W czasie akcji plebiscytowej 1920 roku przez dwa tygodnie jeździł po Mazurach i Warmii, brał udział w spotkaniach z ludnością, na-

pisał cykl agitacyjnych reportaży. Razem z Janem Kasprowiczem i Władysławem Kozickim ułożył odezwę, w której apelowano:

Brońmy granic zachodnich! Śląsk potrzebny nam jest dla ciała, Pomorze – dla duszy, bez której ciało więdnie i zamiera. Poniechanie tej obrony, choćby najmniejsze uszczuplenie tych granic, oznacza otwarcie bram tak wielkich, tak szerokich jak te granice, bram, którymi nie przesączać, ale przewalać się będzie zalew, mający prędzej czy później pochłonąć nas na zawsze.

Był Żeromski jednym z organizatorów Towarzystwa Przyjaciół Pomorza, swym udziałem i specjalnie napisanym tekstem uświetnił w grudniu 1914 roku *Akademii literacką w sprawie kresów zachodnich* i z myślą o tych ziemiach pisał ostatni swój apel, w maju 1925 r. kierowany do harcerzy. Ostrzegwał, że „walkę na śmierć o istność naszą nakazuje nam miłość ojczyzny”, wzywał do czujnego stania na straży Mazur i Kaszub i kończył słowami: „[...] patrzcie dziś pilnie w Szczytno. Betonowymi rowami łączy tam sąsiad nasz jezioro z jeziorem. Może, kiedy zechce, w każdym z tych rowów ustawić Grubą Bertę i bić dzień dnia i noc w noc w samo serce Warszawy. Czuwaj! Czuwaj! Czuwaj!”. (Świetnie miał wyczucie miejsca – można przypomnieć, że w latach II wojny na tamtych ziemiach, blisko Kętrzyna, mieściła się kwatera Hitlera.)

Jako główne zagrożenie ze strony Rosji traktował Żeromski możliwość dotarcia do Polski rewolucyjnej ideologii, rewolucyjnej zamiast moralnej. Temat ten podjął między innymi w pierwszym powojennym dramacie, w *Ponad śnieg bielszym się stanę...*, w którym etyczny wątek indywidualnej winy i oczyszczenia został związany z jakże wtedy, w 1920 roku, politycznie aktualnym tematem chłopskiego, antypańskiego buntu pod wpływem bolszewickiej agitacji, z obrazami mordu i rabunku dworu dokonywanymi pod opiekuńczymi skrzydłami bolszewickiego wojska. Podobnie jak w reportażu *Na probostwie w Wyszkowie* i w tym dramacie pojawiła się myśl, że przewyciężyć wrogą ideologię można tylko na drodze wyższości moralnej; tu jej wyrazem miało stać się dobrowolne zadośćuczynienie za dawniej wyrządzone krzywdy, wyrzeczenie się przez dziedziców własności ziemi na rzecz chłopów.

Najmocniejszą antyrewolucyjną wymowę miało jednak *Przedwiośnie*. Pisarz ukazał w tej powieści racje polityczne różnych stron, za żadną z nich pozornie się nie opowiadając, jakby chciał skłonić czytelnika do samodzielnej refleksji. Nie potępiał rewolucji bezpośrednio i jednoznacznie; w rezultacie powieść bywała tak myląco i tendencyjnie odczytywana, że Żeromski postanowił publicznie wyłożyć swe poglądy:

[...] oświadczam krótko, iż nigdy nie byłem zwolennikiem rewolucji, czyli mordowania ludzi przez ludzi z racji rzeczy, dóbr i pieniędzy – we wszystkich swych pismach, a w *Przedwiośniu* najdobitniej, potępiałem rzezie i kaźnie bolszewickie. Nikogo nie wzywałem na drogę komunizmu, lecz za pomocą tego utworu literackiego usiłowałem, o ile to jest możliwe, zabiec drogę komunizmowi, ostrzec, przerazić, odstraszyć.

Wstręt wzbudzają w *Przedwiośniu* niesympatyczne postacie komunistów, ale ich argumenty mogły niepokoić inteligentkiego czytelnika. Dlatego najważniejsza wydaje się w tej powieści moralna motywacja potępienia rewolucji. Została rewolucja w *Przedwiośniu* dyskryminowana najmocniej z tego powodu, że prowadzi do moralnej degrengolady ludzi, którzy znaleźli się w polu jej oddziaływania. Są w początkowej partii powieści, rozgrywającej się w Baku, straszne obrazy zdziczenia i deprawacji. Jedni zabijają, inni są ofiarami, jeszcze inni świadkami okrucieństwa. Wszyscy zostają napiętnowani na całe życie, już nigdy nie wrócą do stanu emocjonalnej i moralnej normalności. Wojna, a bardziej jeszcze rewolucja, oznaczała zgodę na pogwałcenie podstawowych praw człowieka, na nie tylko fizyczne, lecz i moralne jego okaleczenie. Blednie w tym kontekście znaczenie prowadzonych w obrębie powieści sporów o niesione przez nią ewentualne korzyści i nieuniknione straty, wszystko to traci sens w konfrontacji z losami głównego bohatera. Okrucieństwo, które Cezary Baryka poznał w młodości, napiętnowało go na zawsze; pancierz tamtych przeżyć nie pozwolił mu ani przystosować się do życia w Polsce wśród zwykłych, życzliwych mu ludzi, ani nawet wzruszyć się śmiercią zapatrzoną w niego dziewczyny. Nigdy już nie pozbędzie się moralnej znieczulicy, nigdy nie będzie mógł prawdziwie zaadaptować się do życia w normalnym społeczeństwie.

W dramacie *Ponad śnieg bielszym się stanę...* zaraza idąca ze wschodu groziła opętaniem umysłów prymitywnych chłopów. Zło nadchodziło z zewnątrz. *Przedwiośnią* natomiast Żeromski uderzył w polskie społeczeństwo, wielu oburzył wskazując, że zło tkwi także w ojczyźnie, a zatem idee, niesione przez komunistów, mogą padać na żyzny grunt rozczarowań do niepodległej Polski.

Jakie były wobec niej oczekiwania Żeromskiego? Nigdzie jasno i wyraźnie ich nie sformułował. Uciekał się do symboli („szklane domy”), pisał częściej o ideałach, jakie winny przyświecać budowaniu ojczyzny, o ludziach i marzeniach. O tym, jak być powinno w kraju idealnym: „Organizatorem nowoczesnego życia mas pracujących w Polsce będzie Rząd Polski, wyłoniony z Sejmu [...]. Rząd Polski, powołany przez Sejm do spełniania wypracowanych i przyjętych ustaw, powinien się składać ze specjalistów, z ludzi najgenialniejszych i najtęższych nie w partiach, lecz w ojczyźnie”. Nasz, polski, proletariatusz też wzniesie się ku doskonałości: „Proletariatusz wytworzy ludzi wolnych. Nie będzie rozlewu krwi dla rozlewu krwi. Nie będzie kara. Ulepszy i uczyni obyczaje”. „Siła entuzjazmu i siła cnoty, zrodzonej w pracy, wytworzą motor, który prowadzić będzie ludzkość po drodze postępu”. „Rzeczywistość postępu polskiego [...] tworzą ludzie prości, niegłośni, można by powiedzieć pospoliccy, gdyby nie to, że owocność i pożyteczność ich pracy wynosi ich na czoło: nauczyciel, inżynier, majster, technik, żołnierz, policjant...”. Po paru pierwszych latach wolności z dumą eksponował osiągnięcia młodej ojczyzny. „W dziale oświaty Polska czyni kroki ogromne”. „Kolejnictwo polskie w przeciągu krótkiego okresu czasu zdołało osiągnąć jedno z pierwszych miejsc na świecie. [...] dążą już pociągi

z precyzją i dokładnością, która zdumiewa cudzoziemca". I wreszcie, uogólniając: „Postęp jest tak widoczny i ogromny, że uprawnia do najdalej posuniętego optymizmu”. Ucieleśnieniem marzeń o otwarciu Polski na morze była rozwijająca się Gdynia: „Port w Gdyni jest jednym z najważniejszych przedsięwzięć nowoczesnej Polski, a jego budowa pierwszorzędną jej potrzebą. Są to drzwi do świata”.

Przedstawiał zatem przyszłą Polskę jako państwo demokratyczne i sprawiedliwe, kierowane przez wybrany sejm i wyłoniony przezeń rząd, zamieszkałe przez skłonnych do poświęceń i mądrych obywateli. Można taką wizję uznać za wyraz naiwnego idealizmu; sceptycyzm był by tu nie całkiem na miejscu, bo ogromna ufność Żeromskiego w przyrodzoną dobroć i jego wiara w skłonność człowieka do poświęceń znajdowała wtedy często potwierdzenie w entuzjazmie i konkretnych czynach ludzi, dokonywanych bezinteresownie, dla wspólnego dobra. Często – w odpowiedzi na publiczne apele Żeromskiego.

Piękne marzenia uzupełniał szkicowaniem nader konkretnych założeń organizowania się „świata pracy” i inteligencji w stowarzyszenia zawodowe, mające na celu zabezpieczenie praw jednostki i grupy społecznej. Prezentowana przez pisarza koncepcja organizacji społeczeństwa zawdzięczała wprawdzie wiele pomysłom Edwarda Abramowskiego, ale była rozwijana z myślą o wolnej już Polsce.

Wylaniały się z pism Żeromskiego koncepcje samorządowe, oparte na przekonaniu o potrzebie rozwijania oddolnych inicjatyw, dzielenia prac i władzy. Jako szczególnie pilne traktował zdania syndykalistyczne.

Bezpośrednio po zakończeniu wojny opublikował pierwszą broszurę z zakresu samoorganizowania się pracowników – *Początek świata pracy* (1918). Dotyczyła konieczności tworzenia wolnych związków zawodowych, a pisarz zwracał w niej uwagę na korzyści, płynące stąd zarówno dla robotników, jak i dla kraju. Oto „jeżeli w każdym fachu pracownicy zwiążą się w zawodowy syndykat, a związek syndykatów utworzy organizację główną [...], która zabezpieczać ich będzie i będzie w stanie pozbawić pracodawców siły roboczej za pomocą strajku, wówczas układniejszym i cnotliwszym stanie się pracodawca”. W opublikowanej w 1919 roku rozprawie *Organizacja inteligencji zawodowej* podkreślał – obok zasad walki o sprawy bytowe, obok wiary w uczciwość i bezinteresowną pomoc wzajemną – znaczenie solidarności między inteligencją a robotnikami: „związek organizacji inteligentkich powinien by iść, jeśli nie ramię w ramię z syndykatami pracy fizycznej, to iść w tę samą stronę – ku wyjarzmienu człowieka i pracownika, sumienia i wolności”.

Od inteligencji zależała przyszłość powstającego państwa, to ona miała wypracować jego kształt, odpowiadała za układ stosunków społecznych, za – przede wszystkim – edukację, za postępy oświaty i kultury. Z takich przekonań wyrastały ogromnie wysokie wymagania Żeromskiego dotyczące etosu inteligencji – opierał go na zasadach uczciwości, rzetelności wewnętrznej, gotowości do poświęcenia własnej korzyści w imię dobra powszechnego.

Spoczywała na inteligencji wielka odpowiedzialność, toteż Żeromski nie ustawał w dążeniach zmierzających do zapewnienia jej przyzwoitego statusu zawodowego, do podniesienia jej autorytetu w społeczeństwie. Starał się o zapewnienie jej godnego miejsca w obrębie społeczeństwa. Był nie tylko autorem wspomnianego już szkicu *Organizacja inteligencji zawodowej*, lecz także założycielem i pierwszym prezesem Związku Zawodowego Literatów Polskich (1920). Opublikował *Projekt Akademii Literatury Polskiej*, po latach dopiero zrealizowany (Polska Akademia Literatury powstała w 1933 roku). Z myślą o wprowadzeniu polskich pisarzy na forum międzynarodowe Żeromski jesienią 1924 roku zakładał polski oddział PEN Clubu; zebranie założycielskie odbyło się w grudniu, towarzyszenie uformowało się ostatecznie w czerwcu 1925 roku. Autor *Wiatru od morza* nadał sprawie bieg, po czym wycofał się; pierwszym prezesem polskiego PEN Clubu został jego przyjaciel, Jan Lorentowicz. Żeromski postąpił w tym przypadku tak, jak przy innych podobnego typu okazjach: rzucił myśl, pobudził ludzi do czynu, a sam podejmował już następne zadania.

Spośród rozlicznych inicjatyw, którym patronował z dużym nakładem czasu, trzeba wymienić przede wszystkim dwie idee szczególnie bliskie jego sercu. Sprawy regionalizmu i organizowanie pomocy nauczycielstwu. Obie łączyła w sobie działalność nauczyciela z Sandomierza, Aleksandra Patkowskiego. Jego postać była urzeczywistnieniem idealnego bohatera książek Żeromskiego: skromny inteligent z prowincji, entuzjasta zarażający wszystkich zapałem, organizujący przez kilka lat przy pomocy grona naukowców badania regionalne i imprezy oświatowe, także wakacyjne kursy doształcania nauczycieli. Do zadań regionalizmu Patkowski włączał prace historyczne i opiekę nad zabytkami, badania folkloru i gwar, współtworzenie miejscowego życia społecznego i gospodarczego. Stefan Żeromski żywo interesował się działalnością Patkowskiego, korespondował z nim, szeroko wspierał piórem jego poczynania.

Z rozwojem regionalizmu Żeromski wiązał nadzieje na intelektualne ożywienie prowincji, ale także na wzbogacenie narodowej kultury przez powrót do źródeł: do legend, baśni, dawnego języka, sztuki ludowej: „Od zjawiska do zjawiska idziemy w głąb dziejów, w dal, dokąd pociąga nas ciekawość nienasycona, do ciemni, zasłanej mgłą pierwotnych mitów, podań i wierzeń” (*Snobizm i postęp*). I może właśnie „od wpatżenia się z pasją i wzruszeniem w dzieje i życie wyjarzmionej ziemi, w życie ludu, w jego obyczaj” powstanie „nareszcie nasza własna polska sztuka, nie przyniesiona zza granicy, nie czerpana z innej narodowej twórczości”. Gdy w *Snobizmie i postępie* Żeromski zachwycał się geniuszem Teofila Lenartowicza, pisał też, że w jego twórczości zbliżenie „do mazowieckiej równiny [...] wydało arcydzieła, jedne z największych w dziejach ludzkiego artystyzmu”.

Snobizm i postęp wytyczał program i drogę działalności na polu regionalizmu, a i o swojej powieści *Wiatr od morza* Żeromski mówił jakby o zaczynie spodziewanych zainteresowań pisarzy tą problematyką: „Liczę na to, że utwór ten zachęci

młodą generację piszących do studiów nad tą częścią Polski i nad tymi częściami, które mi były niedostępne”.

Powracał wielokrotnie do spraw nauczycieli. Stając przed nimi zadania („Otrzymaliśmy w spadku po najeźdźcach 50% analfabetów. Jakież to trzeba podjąć wysiłki, ażeby młody organizm państwowy [...] mógł pokonać tego najgorszego z wrogów!”) przerastały ich możliwości, autor *Siłaczki* apelował o pilną pomoc. Szczególnie dla tych, którzy pracują na odległej prowincji: „Pewne odmiany inteligencji zawodowej powinny być przez zbiorowość otoczone najtroskliwszą opieką – na przykład nauczycielstwo ludowe”.

Zrodziła się – ze współpracy z Aleksandrem Patkowskim – idea kursów wakacyjnych dla nauczycieli, potem powołania uniwersytetów regionalnych. Patronat Żeromskiego był bezcenny – otaczano go szacunkiem i zaufaniem, toteż inicjatywy, które wspierał swoim autorytetem, znajdowały szeroki oddźwięk społeczny. A jego ogromna wiara w drzemiącą w człowieku potęgę bezinteresowności nieraz rzeczywiście wyzwalała w ludziach nieoczekiwane pokłady dobrych chęci, pozwalała przekształcić je w konkretną działalność.

Żeromski nie miał już sił, by jeździć na kursy wakacyjne, ale wziął udział w odbywającym się w listopadzie 1924 roku pierwszym posiedzeniu komitetu organizacyjnego Powszechnych Uniwersytetów Regionalnych. Ważne było to i dla niego osobiście: oto wreszcie ujrzał zakrojoną z szerokim rozmachem realizację swej myśli o twórczym zrzeszeniu się i wspólnej działalności polskiej inteligencji, od profesorów uniwersytetu po nauczycieli z zapadłej prowincji.

Wydaje się, że prężny rozwój ruchu regionalistycznego sprawił Żeromskiemu największą zadowolenia, niósł otuchę w ostatnich latach jego życia. Pisał w liście do Heleny Romer-Ochenkowskiej, że idea regionalizmu nie tylko wzbogaca społeczeństwo, „ale rozstrzyga wiele krwawych wrzodów naszego państwowego istnienia. [...] Kto wie, czy straszliwe spory polsko-czerwonoruskie i polsko-białoruskie nie dadzą się jakoś, jeśli nie zmytygować, to złagodzić pracą regionalistów polskich i ruskich, o ile ich wykopie z band, partii, obozów i dziczy rzezuniów”. I nie były frazesem słowa, które Patkowski w imieniu własnym oraz „grupki przyjaciół” kierował do Żeromskiego: „>my wszyscy z Niego<. Urastaliśmy ze Słowa, Sztuki i wielkiej Idei, na twórczości Czciwego Pana wszelkie najlepsze nasze wzrastały czyny, a dzisiaj są dla nas ożywym tchnieniem w pracy nad ideą Nowej Polski”.

Wizję duchowego przywództwa Żeromskiego utrwała w latach powojennych jego działalność publiczna, ale przede wszystkim oczywiście twórczość literacka. Powieści – *Wiatr od morza*, za którą w 1924 roku otrzymał nagrodę Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego – oraz *Przedwiośnie*, opublikowane w grudniu 1924 roku. Cztery nowe dramaty; ostatni z nich, *Uciekła mi przepióreczka*, miał za temat organizowanie kursów dokształcających dla nauczycieli, a wielu rysów głównemu bohaterowi, Przełęckiemu, użyczył Aleksander Patkowski.

Warszawska inscenizacja *Przezióreczki* w marcu 1925 roku w „Reducie”, z Juliuszem Osterwą w głównej roli, była wielkim sukcesem, wzbudzała entuzjazm widzów. Tłumy oglądały ją potem na scenach innych polskich teatrów, a niepowtarzalnym, przez wielu opisanym wydarzeniem były objazdowe występy teatru Osterwy na wschodnich kresach Polski.

Pisał wiele utworów publicystycznych, a także tekstów okolicznościowych, na prośbę różnych prowincjonalnych działaczy, redaktorów, harcerzy – i osób prywatnych. Wsparcie Żeromskiego miało umożliwić druk ich dzieł, uświetnić okolicznościowe edycje. Stąd na przykład jego wstępy w książkach Franciszka Kurasia, Firlej-Bielańskiej. Pisał, bo autorzy zwracali się doń, „w tej zapewne nadziei, że taka przedmowa będzie w danym wypadku z wielu względów pożądana”, pisał je więc, nie szczędząc czasu, choć miał go dla siebie już niewiele.

Utwory powstające po roku 1918 bardzo były odmienne od wcześniejszej twórczości pisarza. Zwrócone były ku przyszłości, jakby uwolnione od takich charakterystycznych, dawniej stale powracających motywów powstania styczniowego, rozterek ojców, uwięzienia serc i umysłów Polaków w rozpaczliwym ukochaniu ojczyzny, uwolnione od wątków martyrologicznych. (Wyjątkiem – *Turoń*, ale był to dramat raczej o ohydzie rewolucji niż o historii.) Inne były w ojczyźnie niepodległej patriotyczne potrzeby i przemienił się w dziełach Żeromskiego wizerunek bohatera – więcej w nim teraz było entuzjazmu i nadziei, i mocy twórczej. Jak mówił w *Przedwiośniu* Gajowiec, patrząc na portret Edwarda Abramowskiego: „spij spokojnie, jasny duchu! Pracujemy dzień i noc, bez wytchnienia, szerzymy i spełniamy twe marzenia, tylko zgoła inaczej, wprost inaczej, w wolnym państwie polskim”. Takich właśnie „zgoła innych” bohaterów i zgoła inne marzenia Żeromski wprowadzał do ostatnich swych książek.

Przemieniał się także i przede wszystkim sposób pisania o Polsce. W obrazie jej przeszłości obrazy straceńczych walk zostały teraz wyparte przez dzieje odległe, wątki z legend czerpane, jakieś opowieści o dawnych bohaterach, w romantycznym duchu kształtujące polskie dzieje.

Miłość do ojczyzny utożsamiała się coraz częściej z fascynacją jej pięknem, przemiennością pejzażu, życiem przyrody. Dawniej natura przemawiała częściej językiem wpisanych w nią, patriotycznych, rwących duszę pamiątek – spróchniałym krzyżem nad mogiłą powstańca, polskością zbiedniałej pod rządami zaborców wsi. Teraz – była po prostu wcieleniem Polski, jej mocy odwiecznej, urody, siedliskiem wzruszeń. Między morze, Sambor i Mestwin, puszcza jodłowa („w uszach moich trwa szum twój, lesie dzieciństwa i młodości...”), morze, wilga odzywająca się rano w ogrodzie – w tym tkwiła Polska, a przyroda, czy jako ogrom morza lub puszczy jodłowej, czy ograniczona już od przestrzeni własnego ogrodu, zawsze zdawała się najwyższą świętością, cudem z którym jest nam dane obcować. Poranek w Konstancinie: „Wstałem po rannym posilnym dospaniu wcześniej niż wszyscy domowi.

Jeszcze drzewa sosnowe i brzoźowe, akacje i dęby przesycone były obfitą nocną rosą, a słońce dopiero powstawało kędyś daleko w lasach niemych i polnych pustkowiach" (*Wilga*, 1925).

Ile zachwytów, ile miłości do natury jest w książkach ostatnich. I ileż gniewu wobec zakusów, mogących życiu przyrody zagrozić. Krzyk Stefana Żeromskiego w obronie zagrożonej puszczy jodłowej: „Nie pozwalam! Puszcza królewska, książęca, biskupia, świętokrzyska, chłopska ma zostać na wieki wieków, jako las nietykalny!” – został dla nas jako ekologiczne memento, nakaz ochrony nietykalności natury.

Jakie były te lata ostatnie Stefana Żeromskiego, przeżyte w Polsce niepodległej? Niezwykle pracowite – mnóstwo pisał, udzielał się społecznie, pomagał prywatnym, często nieznanym mu osobom (zachowało się wiele listów z podziękowaniami za rozmaite interwencje), prowadził dość ożywione życie towarzyskie, miał wielu młodych, z uwielbieniem w niego wpatrzonych przyjaciół. Wreszcie ustabilizowała się jego sytuacja finansowa: porozumienie wydawnicze z Jakubem Mortkowiczem pozwoliło mu nawet na kupno pięknej willi z ogrodem w podwarszawskim Konstancinie, do której klucze wręczył żonie w podarunku imieninowym 26 lipca 1920 roku. I w Warszawie przestał tułać się po obcych domach, gdy od prezydenta Stanisława Wojciechowskiego otrzymał mieszkanie na Zamku Królewskim. Żył otoczony miłością, ogarniając czułym uczuciem młodą żonę i córkę.

Były też to lata niezwykle gorących sporów światopoglądowych i ataków na pisarza. Nasiliły się szczególnie po opublikowaniu *Przedwiośnia* – zarzucano Żeromskiemu, że „stracił busolę narodową”, że szerzy pornografię, że atakuje polskie państwo. Szło przecież nie tyle o te wydumane zarzuty; były one pretekstem dla uderzenia pisarza, który w imię swego ideału Polski odważył się stanąć przeciw opinii publicznej i przeciw klerykalno-endeckiej ideologii.

Stefan Żeromski zmarł w Warszawie, w mieszkaniu na Zamku, 20 listopada 1925 roku. Został pochowany na cmentarzu ewangelicko-reformowanym przy ulicy Żytniej.

Pośmiertne życie pisarza toczy się kilkoma torami. Trwa, jak wszyscy, w pamięci tych, którzy go znali. Żyje poprzez swe dzieła, póki znajdują one czytelników. I – to tylko najwybitniejsi – w umysłach następnych pokoleń, w postawach i wyborach moralnych późnych wnuków.

Ci, którzy osobiście znali Stefana Żeromskiego, już odeszli. Jego nazwisko i dzieła mają natomiast miejsce w powszechnej pamięci nie tylko dzięki wiernym czytelnikom, lecz przez szkolny obowiązek, przez trwałą pozycję na liście lektur obowiązkowych. To pozycja mocna, lecz niebezpieczna: niedobre jest przywiązanie do (uszczuplanego wciąż) kanonu lektur, pomijanie utworów, które nagle okazują się interesujące nie mniej niż te dawniej wybrane.

Tu dygresja. Myślę na przykład o *Pomyłkach*. Opowiadanie krótkie, nadające się do dokładnego omówienia, a jego urodę dziś dopiero można w pełni docenić.

Opis zwykłego spaceru, u schyłku życia, w okolicach Konstancina. Stefan Żeromski z córką. Idą przez pola, obok bieży domowy kundelek, a wszystko wokół jest przeniknięte Polską: o powikłaniach niedawnej historii mówią kamienie na zbiorowych żołnierskich grobach, a o pięknie ojczyzny – barwny, dźwięczny pejzaż. Barwny i dźwięczny – bo świeżość kąkoli, bławatków i maków mieni kolorami zboże, a owadzie loty, szumy, brzęczenia tworzą muzykę nie mniej wyrazistą niż w konstancińskim ogrodzie śpiew ptaków. Ten pejzaż urzeka wyobraźnię ogromnym bogactwem piękna, dziś już ledwo uchwytnego, malowniczego tła; jakie są bowiem pola naszych spacerów? Kwiatków jak na lekarstwo, za to niebo przecinają masywne przewody sieci energetycznych, a ziemię zdobią niezniszczalne plastikowe śmieci. Jeśli na *Pomyłki* nie znajdzie czasu polonista – świetny to pretekst do dyskusji ekologicznej.

A dygresja powyższa skłaniać ma do dokonywania nowych wyborów pośród dzieł Żeromskiego, kierowanych nie tylko uznaną rangą arcydzieła, lecz i własnym, prywatnym gustem.

Jest przecież i trzecia przestrzeń pośmiertnego istnienia pisarza. To droga poprzez pamięć wszczepionych Polakom przez Żeromskiego idei, poprzez domowe tradycje, poprzez jego duchowy wpływ na następne pokolenia. Wpływ, który trwa wtedy nawet, gdy zapomina się już o jego źródle: ów niknący etos patriotyczny i społecznikowski, ów system wartości jakby już niedzisiejszych, od których się często odzgnujemy, ale które wciąż gdzieś się odradzają.



Anonim, *Portret Stefana Żeromskiego* – niedokończony, 1924–1925

MAPA. GŁOS STEFANA ŻEROMSKIEGO W SPRAWIE POLSKICH GRANIC

9 stycznia 1918 roku w „Nowej Reformie” informowano: „Znakomity powieściopisarz odczyta swój najnowszy, nigdzie dotychczas drukiem nie ogłoszony utwór pod tytułem *Wisła*”. „Znakomity powieściopisarz” – czyli Stefan Żeromski. Wygłosił ów odczyt dwunastego stycznia w Zakopanem, zimą dwukrotnie go powtórzył, a w marcu opublikował w „Myśli Polskiej”. Wydanie osobne *Wisły* ukazało się w maju lub czerwcu 1918, z adnotacją „Warszawa–Kraków”, wydanie drugie w 1920, trzecie w 1925 roku.

Żadnego innego tekstu Żeromski tak intensywnie, osobiście, nie promował, bo-
daj po raz pierwszy tak się starał o szybkie przekazanie go publiczności. I była *Wisła*
gorąco przyjmowana przez czytelników. Z jakiego jednak powodu autor uznał, że
rozpowszechnienie tego właśnie, pejzażowego tekstu wymaga nadzwyczajnych za-
biegów?

Wacław Borowy, uczony wówczas młody i świetny, po paru latach tak określał
walory utworu: pisarz „uprzytomnił nam, jaka jest spuścizna historyczna i nasze
prawa do samodzielnego istnienia, zapragnął wyrazić – w sposób, w jaki to wów-
czas było możliwe – nasze tęsknoty i nasze pragnienia narodowe. Wisła jako oś geo-
graficzno-historycznego życia Polaków stała się osią tematową poematu i nadała mu
tytuł. [...]. Gdy wychodziła po raz pierwszy i drugi, mało o niej pisano. Wiedzieli-
śmy, że to był »odczyt«. Wchłaniało się go wprawdzie jednym tchem, ale miało się
wrażenie, że nie ma o nim co pisać. [...]. Z odległości trzech lat, które nas dzielą od
jego powstania, oceniamy dopiero całą jego piękność, całą świeżość”¹.

Borowy cenił zatem szczególnie rozplamianie patriotycznych emocji oraz
artystyczne mistrzostwo, uderzające w nadwiślańskiej epopei Żeromskiego. Za-
chwyciła go „nowa technika” poetyckiego ujęcia pejzażu, świetność ukazania wiel-
kiego, rozhukanego rozlewiska rzeki, nieustannego ruchu przyrody: „Dawną formę
rodzajową do niepoznaki zmienił świetnie ekspresyjny artyzm rytmu i stylu. [...]

¹ W. Borowy, *O „Wiśle” Żeromskiego*, cytaty za: W. Borowy, *O Żeromskim*, oprac. Z. Stefanowska, Warszawa 1964, s. 5-12.

Nikt jeszcze w literaturze polskiej nie pokusił się o przedstawienie tego tak dziwnie nieujętego zjawiska, jakim jest ciągle tworzące się życie rzeki, [nikt] nie przenikał dotąd tak głęboko tajemnicy życia przyrody i nikt nie miał takiego zasobu artystycznych środków dla przedstawienia jego nieuchwytnych drgnień”.

Gdyby za główny walor poematu uznać – za Borowym – rozniecanie uczuć patriotycznych, przenikliwe przedstawienie życia przyrody i baśniowy styl² – to rzeczywiście wypadaloby zgodzić się ze stwierdzeniem: utwór piękny, ale „nie ma co o nim pisać”³. Można jednak zauważyć, że Wisła (wraz z terenami, przez które przepływa) nie tylko jest tematem poematu, lecz również wyznacza terytorium Polski. Gdyż obszar wskazany w tekście jako przynależny do Wisły daleko przekracza zakreślane zwyczajowo jej dorzecze. Odmienną interpretację narzuca także odczytanie utworu poprzez kontekst ówczesnych realiów politycznych. Oraz żartach dyskusji dotyczących kształtu przyszłej Polski, toczonych przez polityków, naukowców, literatów... Łatwo dostrzec w *Wisła* zestaw tematów i argumentów podobny do tego, jaki wprowadzano wówczas do naukowej i politycznej publicystyki.

Ukazany w poemacie obraz dziejów polskiej przyrody i wyrastającej z niej tradycji różni się zdecydowanie od pejzaży z wcześniejszych dzieł Żeromskiego, został dostosowany do zarysowującej się nowej sytuacji politycznej. Przeszłość i wyrastająca z niej tradycja miała stanowić budulec tego, co będzie – ale oczywiście musiał to być obraz przemieniony. Tam, niegdyś piękno było przesycone tragizmem i smutkiem; tu, teraz – uderza dynamiczna i radosna wizja twórczej siły przyrody, zdominowanej od tysięcy lat przez burzliwą, na przemian niszczycielską i życiodajną rzekę. Dzieje ziemi Żeromski przeplatał ludzką historią, kreatywną, burzliwą; a za „naturalną” (czyli zakreśloną przez przyrodę) przestrzeń Polski uznał dorzecze i rozlewisko Wisły, niezwykle szeroko zarysowane, obejmujące dorzecza wszystkich rzek do Wisły wpadających i rzeczek, będących ich z kolei dopływami. Ponad miarę wyidealizowana została ojczysta ziemia i jej mieszkańcy, a rzeka, oglądana jakby z lotu ptaka, wygląda wspaniale i mocarnie. Radość istnienia, szczęście, beztraska. Wisła od wieków stanowiła w poezji i piosence serce i centrum nieobecnej na mapach ojczyzny. Podobne realne i symboliczne znaczenie przeznaczano jej także na innych powstających wtedy mapach Polski. Dokonywała się jednak znamienna przemiana: panoramę dziejów tworzą w *Wisła* już nie polskie powstania, lecz ojczysta przyroda sprzed wielu wieków, wspaniale panosząca się, dumna, nadająca bieg historii.

Wisła to zatem świetny utwór pejzażowy z wpisaną weń historią pradziejów rzeki i jej ogromnego rozlewiska, utworzonego pośród jej zbiegających się dopływów. Wyraz zarażającej czytelników euforii pisarza wyrażał się także w marze-

² Chociaż można by dodać, że sam Żeromski skłaniał ku nim uwagę czytelnika, parokrotnie nazywając utwór „baśnią” i „legendą”.

³ O okolicznościach towarzyszących powstawaniu poematu oraz o fabule *Wisły* pisałam trochę szerzej w książce *Żeromski w Niepodległej*, Warszawa 2013, s. 13-19.

niach o rozciągnięciu polskiego wybrzeża „od ujścia Wisły po Jezioro Łebskie i Gardzieńskie, dziedzinę Słowińców nad ujściem Łeby i Łupawy”. Przepelniona wiara nie tylko w odrodzenie Polski, lecz także w sprawczą moc niepodległościowego entuzjazmu, doskonalącego Polaków.

Szkic Wacława Borowego pozostał jedynym znaczącym śladem ówczesnej recepcji poematu Żeromskiego o nieistniejącej na mapie ojczyźnie. Parę jeszcze wzmianek świadczących o wielkim wzruszeniu, jakie ogarniało czytelników, znalazło się w innych wspomnieniach. Utwór szybko został jednak zapomniany; nawet nie wspomniał o *Wiśle* Artur Hutnikiewicz w szeroko rozpowszechnianej monografii twórczości pisarza.

Sytuacja wydaje się paradoksalna. *Wiśła* została opublikowana w momencie, gdy spełniły się oczekiwania Polaków na restytucję ojczyzny, ale wielką niewiadomą był obszar terytorium, jaki zostanie jej przyznany po podpisaniu traktatu rozjemczego, i przebieg okalających je granic. Podstawowe decyzje w tym zakresie zapadły dopiero półtora roku później, zostały wpisane do wersalskiego traktatu rozjemczego, podpisanego w Paryżu w czerwcu 1919 roku.

Gdy Żeromski wypuszczał w świat *Wiślę*, sytuacja polityczna była rzeczywiście dziwna: wreszcie spełniały się nadzieje na przywrócenie ojczyzny, ale nie zapadły jeszcze postanowienia, dotyczące nadawanego jej obszaru i kształtu. Jaka dokładnie będzie, jaka część Europy na nią przypadnie, według jak dobranych kryteriów zostanie wyznaczona?

Grzegorz Strauchold, nawiązując do tematu ówczesnego stanowienia granic Polski, pisał:

[...] problemem nurtującym u końca epoki zaborowej środowisko geograficzne, ale i historyczne – z przełożeniem dorobku tych dyscyplin na bezpośrednie działania polityczne [...] była kwestia propozycji i uzasadnień proponowanego kształtu przyszłej Polski. Kwestia odzyskania niepodległości bowiem, mimo że jeszcze wówczas bardzo mglista, zdawała się nie ulegać wątpliwości [...]⁴.

Brak mapy, na której by się znalazły wyraźnie zakreślone granice Polski, zwiększał zagrożenie, że w powojennym traktacie pokojowym zostaną one ustalone w miejscach, zupełnie nieodpowiadających polskim oczekiwaniom. Żeromski, pisząc o ziemi ojczystej, nie mógł odwoływać się do konkretnych, istniejących granic. Mógł natomiast ujrzeć je w wyobraźni, ustalać i przesuwać, samodzielnie tworzyć, wysuwać sugestie i otwierać szerokie horyzonty marzeń przed czytelnikami. Brak mapy stwarzał przed politykami, naukowcami, publicystami, przed wszystkimi,

⁴ G. Strauchold, *Geografowie polscy wobec kształtu granicy zachodniej od końca epoki zaborów do pierwszych lat po II wojnie światowej*, w: Eugeniusz Romer, *Geograf i kartograf trzech epok. Materiały sesji naukowej. Warszawa, 16 kwietnia 2004 rok*, „Studia i Materiały z Historii Kartografii”, 19 (2004), red. J. Ostrowski, J. Pasławski, L. Szaniawska, s. 123–138.

którzy czuli się do tego powołani, epokową szansę na rysowanie nowych polskich granic w obrębie Europy. Głos Polaków, jak przewidywano, mógł mieć w tym zakresie istotny udział; wymagało to jednak sformułowania konkretnego projektu politycznego, postulatów i wyważonych argumentów, skłaniających do ich przyjęcia. W trakcie i pod koniec wojny, kończącej się klęską zaborców, moment dla przedstawiania propozycji i roszczeń był – jak pisał Strauchold – wyjątkowo dogodny.

Nie ulegało zatem wątpliwości, że Polska powróci na mapę Europy. Ale jaka będzie to Polska? Co ma ostatecznie decydować o jej konkretnym kształcie, obszarze i granicach?

W tamtej sytuacji szczególnie ważna rola przypadła mapom. Mapom, wykreślającym p r z y p u s z c z a l n e granice i unaoczniającym ich uzasadnienia, co było konieczne, jeśli miały mieć wpływ na decyzje polityków⁵. Póki brak było ostatecznych ustaleń granicznych, czas był przychylny dla wprowadzania nowych propozycji i utrwalenia ich na mapach; frapujące były pojawiające się możliwości osobistego wpływu na formowanie przyszłej przestrzeni ojczyzny. Powrót do granic historycznych (czyli: sprzed 1772 roku) nie był możliwy; ale nie było też wspólnie wypracowanej koncepcji nowego ukształtowania obszaru przyszłej ojczyzny.

Ujawniały się też nieoczekiwane problemy. Przede wszystkim – konieczność podjęcia decyzji, czy jako punkt wyjścia potraktuje się stan dawniej istniejący, granice historyczne, czy też uzna się za ważniejsze jakieś inne czynniki, na tyle istotne, że zadecydują o ukształtowaniu nowego polskiego państwa. Taką ideę propagował Wacław Nałkowski, na kilka lat przed wojną wprowadzający kwestię granic do politycznych dyskusji. Nie widział sensu w szukaniu wcześniej powszechnie preferowanych uzasadnień historycznych. Twierdził, że zawsze należy rozpoczynać od badań podstawowych, czyli od ustalania specyfiki danego kraju, wyrastającej zarówno z charakteru cech geologicznych i przyrodniczych, jak danych socjologicznych. Pisał: „Nie myślimy mianowicie opierać się a priori na zasadzie historycznego terytorializmu, lecz stawiamy sobie problemat naukowy – geograficzny”. Deklarował:

[...] pragniemy Polskę zdefiniować geograficznie, odpowiedzieć na pytanie: jakie są przede wszystkim naturalne cechy charakterystyczne, zapewniające Polsce indywidualność [czyli: odrębność – A.K.], zapewniające jej stanowisko krainy geograficznej; a następnie – jak czynniki te wpłynęły na losy dziejowe i charakter jej mieszkańców?⁶

Znakomicie wykorzystywał Nałkowski argumentację geograficzną, w oparciu o nią tworząc obraz dawnej Polski jako krainy „prześciowej”. Termin „przej-

⁵ Mapa jest nie tylko rejestracją stanu istniejącego, lecz także projekcją przyszłości – oraz dokumentem pozwalającym obrazowo, bardziej precyzyjnie niż gołe słowo, rozmieścić informacje dodatkowe, na przykład różne dane statystyczne. Rolę map jako dokumentu rozwoju świadomości narodowej oraz wyrazu indywidualnych przekonań badaczy przedstawia przekonująco Dorota Siwicka (D. Siwicka, *Potrzeba mapy. Prace kartograficzne polskich emigrantów*, „Wiek XIX” R. 8 (2015), s. 27-37).

⁶ W. Nałkowski, *Terytorium Polski historycznej jako indywidualność geograficzna*, Warszawa 1912, s. 7.

ściowość” wiąże się w jego rozumieniu z funkcją, jaka Polsce przypada w dziejach kontynentu: stanowi otwarte wrota z Europy zachodniej do wschodniej, jest krajem wędrówek, przemarszów; jest też krajem, na którego obszarze cechy zachodnie i wschodnie spotykają się, ścierają ze sobą, a naturalne wzajemne oddziaływanie na siebie tych różnych cech nadaje właściwe tętno życiu geograficznemu i dziejom.

W końcowej partii książki Nałkowski zajął się kwestią granic. Pisał swobodnie, ponieważ w momencie powstania tekstu były to rozważania teoretyczne, bez realnej perspektywy szybkiego wcielenia ich w życie. Granice południowa i północna:

[...] są ściśle przez przyrodę określone, wyznaczone przez góry i morza; ale wschód i zachód, jako kierunki przejściowości, kierunki „rozprężliwości”, przedstawiają trudność dla wytknięcia granic; spróbujmy wyznaczyć w przybliżeniu geograficzne granice maksymalnej rozprężliwości. Na zachodzie za taką granicę najwłaściwiej jest obrać największe zwężenie niziny, między najbardziej na północ wybiegającym szczytem górskiego dachu Czech, tj. północno-zachodnim rogiem Sudetów, gdzie wypływa Nissa Łużycka, i najbardziej na południe wybiegającym kątem zatoki Pomorskiej Bałtyku, gdzie uchodzi Odra; na linii tego zwężenia płynie rzeka Nissa-Odra, zamykająca bramę. [...] Na wschodzie można obrać linię zatoki Ryskiej lub Pińskiej do Odeskiej; na tej linii płyną też rzeki: Dniepr i Dźwina lub Dniepr i Wielika Narowa z Pejpusem.⁷

Nałkowski wspomniał też argument, przemawiający za polskością ziem nadodrzańskich: ponoć Fryderyk Barbarossa uważał Odrę za mur obrony Polski i do-
tąd jeszcze jej lewy brzeg zowie się polskim.

Przykładem czyhających na kartografów kłopotów – i przemysłnych prób ich wykorzystania dla wzmocnienia własnych tez – może służyć też opublikowana we Lwowie w 1914 r. *Mapa ziem polskich od Odry do Dniepru, od Karpat po Morze Bałtyckie i Dźwinę*⁸. W centrum wielkiego obszaru objętego mapą, sięgającego na zachodzie za Berlin i Drezno, a na wschodzie aż po Kaługę, zaznaczona jest tylko jedna granica, biegnąca między dawnym Królestwem Polskim a Niemcami i Galicją. (Cieńszą linią, ledwie widoczny, jest dodatkowo dział między Królestwem i przestrzenią

⁷ Tamże, s. 32-33.

⁸ Świadomie odwołuję się w tym szkicu do kartograficznych koncepcji i projektów autorów o różnych kwalifikacjach naukowych czy publicystycznych, obok znakomitego Eugeniusza Romera (który potem w Paryżu będzie ekspertem delegacji polskiej w pracach przy traktacie wersalskim), jak na przykład do Czesława Jankowskiego, czy nawet Mieczysława Orłowicza. Z interesującego mnie punktu widzenia interpretacji *Wisły* i poglądów Stefana Żeromskiego ważne są bowiem nie tyle dobrze już opracowane przez historyków realia dziejowe, ile odzwierciedlenie nowej sytuacji w świadomości Polaków, w ich politycznej wyobraźni, w podejmowanych próbach uczestnictwa w przełomowych dla losu ojczyzny wydarzeniach, choćby przez popularyzację takiej lub innej koncepcji – to było ważne, dyskusje o przestrzennym ukształtowaniu przyszłej Polski były przecież zarówno projekcją marzeń autorów, jak deklaracją polityczną, łączyły się z opowiedzeniem na przykład za narodową i prorosyjską koncepcją Romana Dmowskiego lub za myślą PPSowską i federacyjnymi planami bliskiego autorowi *Wisły* Józefa Piłsudskiego. Czy *Wisła* pełniła jakkolwiek rolę w tych rozgrywkach, czy włączanie jej do nich jest tylko nadinterpretacją?

wschodu.) Na rysunku innych granic nie ma – ale pojawiają się przecież, zastępczo, w tytule mapy: od Odry do Dniepru, od Bałtyku po Dźwinę.

Na wschód od Królestwa Polskiego pojawiają się na mapie określenia: Kurlandia, Litwa, niżej Polesie, Wołyń i Podole, za nimi Białoruś i Rosja. Na południu widać Odessę i Morze Czarne. Zaznaczane są wyraźnie ziemie, nie kraje: ziemie, gdyż to nie konkretna mapa Polski, lecz tylko obszar określany mianem „Ziem Polskich”. Granic nie ma, lecz językowy manewr pozwala wytyczać je w wyobraźni wedle wyszukiwanych argumentów – i marzeń.

Rozwiązanie najprostsze, na pozór sprawiedliwe i racjonalne, sprowadzało się do postulatu przywrócenia Polski w dawnych, przedrozbiorowych granicach. Byłaby to ojczyzna na wschód rozległa, sięgająca za Dyneburg, Witebsk, pod Kijów i aż do Czerkas – Polska ostatnia, jaka została utrwalona na mapach. Odwołanie do historii było na pozór logicznie uzasadnione, ale była to koncepcja nierealna; dawne granice pozostały wprawdzie w świadomości Polaków, lecz zacierały się w pamięci innych narodów; nie było sensownego powodu ani szansy, by domagać się ich restytucji. Gdyby jednak nawet chciano opierać się na prostej rekonstrukcji dawnej Rzeczypospolitej, dokąd by sięgano myślą? Do okrojonego obszaru z ostatnich lat przedrozbiorowych, czy może do rozległych ziem czasu unii Litwy z Koroną lub do zapisanej w wyobraźni narodu potężnej Polski szlacheckiej z twórczości Henryka Sienkiewicza?

Niefortunnym przykładem nieprzydatności odwoływania się do racji historycznych była nawiązująca do granic przedrozbiorowych koncepcja poety i polityka Czesława Jankowskiego, który na początku wojny, przewidując finalne zwycięstwo Rosji, uznał za rozsądne nie odrywać od niej dawnych wschodnich ziem polskich. W nowym, powojennym układzie, po rozgromieniu Niemiec cesarskich i Austro-Węgier powinny powstać, głosił, „samodzielne jednostki państwowe w granicach etnograficznych. Polska powinna być wskrzeszona i związana z Rosją unią personalną, a powinien jej być dany dostęp do morza”⁹.

Powoływał się tu Jankowski na Odezwę carskiego brata, wielkiego księcia Michała z sierpnia 1914 roku, wzywającego do połączenia się narodu polskiego „w jedno ciało pod berłem Cesarza Rosyjskiego”. Państwo polskie miałoby stanowić „silną etnograficznie placówkę polską na zachodniej rubieży Słowiańszczyzny” i z tego powodu, jak twierdził poeta-polityk, rozwiązanie to poprą Francja i Anglia. Powoływał się także na Józefa Weyssenhoffa, który uważał¹⁰, że jedynie Rosja może „dokonać arcydzieła pokoju i równowagi europejskiej: odbudować Polskę etnograficznie całą, jako przedmurze Słowiańszczyzny”¹¹.

⁹ C. Jankowski, *Polska etnograficzna*, Warszawa 1914, s. 3.

¹⁰ Zob. „Kurier Warszawski” z 8 września 1914 roku.

¹¹ A nawet już po rewolucji bolszewickiej Józef Jaskólski inaczej oceniał perspektywy relacji polsko-rosyjskich: twierdził, że dogodniejszym dla Polski sąsiadem byłiby bolszewicy niż ewentualna skonsolidowana Rosja, którą by zaakceptowały rządy europejskie – zob. J. Jaskólski, *Granice Polski z mapą trzema tablicami statystycznymi i polsko-niemieckim słowniczkiem geograficznym*, Lwów [lipiec 1919].

Argumentacja historyczna była ułomna, projekty powrotu do przeszłości były nie do przyjęcia w nowych realiach dwudziestowiecznej Europy.

Póki nie okrzyęły rodzące się po 1905 roku nadzieje na rychły upadek starego porządku, trudno było także odwoływać się do aktualnych, nietrwałych racji politycznych. Szukać sojuszy? Wątpliwości nie podlegało i nie wymagało uzasadnień tylko centrum – wyznaczone przez Wisłę i dawne stolice, Kraków i Warszawę. Elementem wspólnym różnych projektów było także przyznanie szczególnie ważnej, choć różnie interpretowanej roli rzekom. Zainteresowanie nimi jako ważnym elementem komponowania przestrzeni i map istniało od dawna, i to w dwójakich, przeciwstawnych wobec siebie uwikłaniach. Można w rzece widzieć przede wszystkim naturalną linię obronną, rozdzielającą terytorium i zamykającą własną przestrzeń; ten aspekt był eksponowany i uzasadniany na przykład przez Eugeniusza Romera, który na mapach projektowanego obszaru Polski wyznaczał granice wzdłuż rzek¹². Zarazem jednak pisał, że rzeka nie stanowi granicy naturalnej – gdyż zagęszcza zaludnienie i ułatwia komunikację, zatem raczej podziały niweluje; na ten aspekt roli rzek wcześniej zwracał uwagę także Wacław Nałkowski. Szczególnie podnosił znaczenie Wisły jako „ośrodka krystalizacyjnego” Polski; pełni ona w tej wizji wyjątkową rolę spoiwa, którą gdzie indziej przypisuje się grupom gór: „Wisła sama jedna łączy w sobie wszystkie gatunki wód naszego obszaru: górskie, leśne, jeziorne, a nawet i stepowe (przez prawe dopływy Sanu)”¹³. Wyjątkowo bliskie wydaje się to późniejszej *Wisł*e Żeromskiego.

Nałkowski powoływał się na wszelkiego typu świadectwa, nie gardził nawet piosenką, zachowaną w pamięci ludu: „Wisła płynąca w etnograficznym ognisku Polski, gdzie życie dziejowe było najżywszym tętnem, jest rzeką polską *par excellence* [...]. Toteż o Wisłe lud nasz śpiewa: »Wisła, nasza Wisła, p o l s k a nasza rzeka«”¹⁴. Te i podobne podnoszone przez Nałkowskiego niuanse, wydawałoby się mało istotne, okazały się ważne, gdy w latach wojny w geografii szukano argumentów wspierających projekty ustanowienia granic Polski. Nałkowski, nie tylko geograf, lecz i socjolog, często wprowadzał i podkreślał rolę czynnika ludzkiego.

Toteż nie bez kozery Żeromski wokół Wisły obudował swój pisany prozą poemat. Włączył się nim – w sposób gwałtowny, choć trochę zakamuflowany, bo nie politykiem był, lecz literatem – do dyskusji o przyszłym terytorium i pożądanym granicach, o mapie przyszłej Polski. Wisłę wyposażał w podobne walory patriotyczne, jakie wcześniej wydobywał Wacław Nałkowski. Z pewnością nie były mu

¹² Romer nawet wyeksponował ten izolujący aspekt w rozprawie *Rola rzek w historii i geografii narodów* (Lwów 1901), którą rozpoczynał cytatem z Mickiewicza o Niemnie jako granicy, oddzielającej „tłumy litewskiej młodzieży” od Niemców: „Niemen rozdziela Litwinów od wrogów / Z tej strony tłumy litewskiej młodzieży / Po drugiej stronie, w szyszaku i zbroi, / Niemiec na koniu nieruchomo stoi” (A. Mickiewicz, *Konrad Wallenrod*, w: tegoż, *Pisma Adama Mickiewicza. Na nowo przejrane, dopełnione i za zezwoleniem jego w t*em siódmym s kolei wydaniu do druku podane, t. III, Paryż 1844, s. 3-4).

¹³ W. Nałkowski, dz. cyt., s. 31.

¹⁴ Tamże, s. 32.

obecne publikacje na te tematy, wysuwające różne koncepcje i uzasadnienia propozycji granicznych¹⁵, szczególnie pisma wybitnych uczonych i autorytetów, biorących udział w tych dyskusjach – Wacława Nałkowskiego i Eugeniusza Romera¹⁶.

Gdy mało przydatna okazała się możliwość sięgnięcia po argumentację historyczną, zwrócono się ku dowodom „naukowym”, mającym być solidnym fundamentem dla rysowania obszaru i mapy odrodzonej Polski. Wspierano się na pracach, prowadzonych przez badaczy dziejów przyrody, kultury, geografii, etnografów¹⁷, statystyków, klimatologów – zewsząd czerpiąc świadectwa, uzasadniające sensowność prezentowanych tez politycznych. Odwołując się do nich budowano teorie, wedle których naturalne, przez przyrodę uformowane granice wyznaczały rolę, jaką Polska pełniła w dziejach, walnie przyczyniając się do harmonijnego rozwoju Europy.

Szukając argumentów w naturalnym ukształtowaniu ziem polskich, wysuwano związane z tym koncepcje „przejściowego”, między Wschodem a Zachodem (koncepcja narzucana przez Wacława Nałkowskiego), lub „pomostowego” (koncepcja Eugeniusza Romera) ich charakteru, który miał wspomagać wytyczone granice.

Po argumenty odwołujące się do naturalnego ukształtowania ziem polskich sięgał również Eugeniusz Romer. Ten wybitny geograf i autorytet w dziedzinie kartografii w 1916 roku wydał *Geograficzno-statystyczny atlas Polski*¹⁸, w którym punktem wyjścia dla granic kraju był wprawdzie stan ostatnio ustalony, czyli sprzed 1772 roku, ale w kierunku wschodnim połacie kraju rozciągał o wiele dalej, jednak linii granicznej nie wyznaczał. Początkowo Romer zapisał przy Rosji części terytorium sprzed 1772 roku. Wielekroć wznawiając atlas, w kolejnych edycjach nanosił uzupełnienia wynikające ze swych naukowych ustaleń. Romer, naukowiec niezależny, nie podporządkowywał ideologii żadnej partii politycznej; pracował z myślą o przygotowaniu materiałów, które będą niezbędne przy ustalaniu wprowadzanych do traktatu pokojowego przyszłych granic ojczyzny. Pisał: „Przecież wcześniej czy później wojna się skończy, a zwycięskie państwa zwołają kongres, konferencję pokojową, na której będą urządzać powojenną Europę, będą również decydować o losach Polski. Co świat wie o Polsce?”¹⁹. Później jako podstawę podziału teryto-

¹⁵ Miał do nich ułatwiony dostęp odkąd, usunięty w 1908 roku poza granice cesarstwa rosyjskiego, przebywał w Galicji, gdzie większość tych druków się ukazywała.

¹⁶ Można nawet wysunąć kuszącą hipotezę, że Żeromski znał osobiście Romera – mogli spotkać się w Zakopanem, gdy Romer wyruszał ze Lwowa na odpoczynek w ulubione Tatry. Mogli się spotkać – lecz nie znalazłam potwierdzenia.

¹⁷ W rozważania etnograficzne Żeromski wdawał się szczególnie chętnie. Ślązacy, kultura Łemków, a przede wszystkim Kaszubi, mówiący polskim językiem, są, jak twierdził, „polskim szczepem”. Szerokie zainteresowanie Kaszubami poświadczają jego z trudem zdobywane lektury, i późniejsze starania (po plebiscycie 1920 roku) o godne przyjęcie ich w ojczyźnie.

¹⁸ E. Romer, *Geograficzno-statystyczny atlas Polski*, oprac. przez Eugeniusza Romera ze współudziałem licznych współpracowników”, przedmowa datowana: Wiedeń, 23 grudnia 1915, wyd. Warszawa – Kraków 1916.

¹⁹ Cyt. za: W. Pawlak, *Eugeniusz Romer jako geograf i kartograf*, w: *Eugeniusz Romer. Geograf i kartograf trzech epok. Materiały sesji naukowej*, dz. cyt., s. 42.

rium eksponował ukształtowanie geograficzne, cechy lokalnej przyrody oraz zasadę narodowości i języka zamieszkującej teren ludności²⁰.

Grzegorz Strauchold stwierdza:

E[ugeniusz] Romer opublikował w 1916 r. mapę Polski, na której wskazał obszary zamieszkałe – według jego obliczeń – w ponad 50% przez Polaków. Patrząc na ziemię dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej, ale i na inne tereny etnograficzne polskie znajdujące się w granicach Niemiec, Romer zaznaczył przewagę etnograficzną Polaków w Wielkopolsce, w Prusach Zachodnich, w południowej części Prus Wschodnich oraz niemal na całym Górnym Śląsku i Śląsku Cieszyńskim.²¹

Lokując w obrębie wspólnej mapy terytoria, które można było przypisywać do „ziem polskich” w różnych epokach i nie wprowadzając zarysu dawnych granic, podsuwał wyobraźni odbiorców obraz Polski rozległej, bezkresnej. Kwestie etnograficzne Romer ujmował szeroko, dołączał do nich uwarunkowania historyczne i polityczne. Odwoływał się do granic, wskazanych „przez przyrodę ziemi”, podkreślał „zwłaszcza znaczenie dla Polski jej granicy wschodniej, która wiąże się według autora z przebiegiem Dźwiny i Dniepru”²².

Jak pisze tamże Strauchold, w fundamentalnym dla polskich planów rewindykacyjnych atlasie Polski z 1916 r. Eugeniusz Romer „dokonał świadomego nadużycia, zaznaczając na jednej z map najdalszy zasięg terytorialny granic polskich w różnych okresach dziejowych. Jednakże, poprzez pokazanie ich na jednej płaszczyźnie, autor mapy uzyskiwał efekt ogromnego zasięgu terytorialnego dawnej Polski”²³. To oczywisty przykład manipulacji szlachetnej, wcale nie odosobniony.

Na przykład Mieczysław Orłowicz, autor najpopularniejszych i kompetentnych przewodników po kraju, w 1914 roku wydał przewodnik²⁴ *Ziemie dawnej Polski, Litwy i Rusi*, którego poczesną część stanowiły „Prusy Królewskie i Książęce oraz Śląsk”, „Śląsk Pruski”, Śląsk Wschodni i Zachodni. Zaliczył do „dawnej Polski” Prusy i Śląsk, przekraczając tym samym dyskutowane wtedy granice przedrozbiorowe (i tym samym podsuwając myśl o ich rewindykacji). Czyli równoległe z rozprawami naukowymi także w wydawnictwach przeznaczonych dla zwykłych odbiorców starano się o narzucenie wizji Polski szeroko rozprzestrzenionej na wszelkich ziemiach, na jakie kiedykolwiek dotarła.

²⁰ Zob. W. Wilk, *Geneza i znaczenie „Geograficzno-statystycznego obrazu Polski”*, w: D. Jędrzejczyk, *Eugeniusz Romer jako geograf społeczno-gospodarczy*, Warszawa 1999. Wilk podkreślał znaczny wpływ, jaki mapa układana przez Romera wywarła na twórców traktatu wersalskiego.

²¹ G. Strauchold, *Geografowie polscy...*, w: *Eugeniusz Romer. Geograf i kartograf trzech epok*, dz. cyt., s. 127.

²² P. Eberhardt, *Koncepcja pomostowego położenia Polski według Eugeniusza Romera*, w: *Eugeniusz Romer. Geograf i kartograf trzech epok*, dz. cyt., s.121. Chociaż zadomowił się zwrot „Polska od morza do morza”, czyli od Bałtyku po Morze Czarne, na publikowanych przez Romera mapach tak daleko nie sięgała. Na południu granica docierała nieco poniżej Jekaterynburga, na południu zamykała obszar między Dnieprem od wschodu a Dniestrem na zachodzie (E. Romer, *Geograficzno-statystyczny atlas Polski*, dz. cyt., tablica VI).

²³ G. Strauchold, dz. cyt., s. 127.

²⁴ M. Orłowicz, *Ziemie dawnej Polski, Litwy i Rusi*, Lwów 1914, wyd. 3, zmienione.

O dość powszechnym i gorącym zainteresowaniu kwestią naszych przyszłych granic świadczy nie tylko przewodnik Orłowicza. Przed 1916 rokiem dyskusje na temat powojennego podziału Europy, próby publikowania map nie respektujących dawnych granic państwowych czy wręcz sugerujące możliwość kreowania nowego państwa – takie spory i publikacje jeśli były możliwe, to ze względów cenzuralnych jedynie poza rosyjskim zaborem, w Wiedniu, Krakowie lub Lwowie. Gdy w 1916 roku tchnienie wolności dotarło do Warszawy, natychmiast ukazała się broszurka relacjonująca toczące się gwałtowne dyskusje, niepokoje, spory i pytania zagorzałych wyznawców różnych politycznych idei, niezdolnych do ich uzgodnienia. Anonimowy autor pisał, traktując sprawę z dozą sarkazmu: „Ten program wspólny ma zresztą indywidualne przypiski: *) niech żyje armia polska, **) niech żyje niepodległy zabór rosyjski, ***) niech żyje niepodległa Litwa w unii z Koroną, ****) po Dźwinę z Rygą, *****) po Bałtyk z Gdańskiem, *****) nie zrzekamy się Poznańskiego, *****) ani Śląska²⁵”.

Ludzie ewoluowali równoległe z ziemią, wykształcali w sobie podobne rysy charakteru, jak te, którymi – animizując – Żeromski obdarzał także przyrodę. Niezwykle daleko posunięta idealizacja zarówno pejzażu ojczyzny, jak charakteru i kultury jej mieszkańców towarzyszyła entuzjazmowi z jakim Żeromski pisał o ojczyźnie. W *Wiśle* idealizacja szczepów, rodów, plemion, współtworzących „polski lud” sąsiaduje z kilkakrotnym powtarzaniem, że *Wisła* jest legendą i baśnią – lecz wiarygodną, bo wspieraną „pamięcią wyobraźni”, która urealnia fikcyjny charakter utworu, zbliża do prawdy przedstawiane dzieje. Skrajna idealizacja wspaiałym blaskiem zdobi ludzi i tworzone przez nich dzieje, ma wzmacniać entuzjazm i wspierać wizję przyszłości, wpisaną do *Wisły* i po niej następujących pism publicystycznych Żeromskiego. Wszystko to zmierzało do ukazania, jaką pełniła i powinna nadal pełnić Polska w obrębie Europy, co miało z kolei znaleźć odzwierciedlenie w zasięgu jej przyszłych granic.

Zdumiewającej przemianie uległ w poemacie mocno utrwalony we wcześniejszej twórczości Żeromskiego katalog cnót patriotycznych. Zostały dopasowane do nowego oblicza ojczyzny i nowych funkcji, jakie w niej bohaterowie mieli pełnić. Miejsce męczeńskiego heroizmu, nakazów bezgranicznego poświęcenia w imię ojczyzny i podobnych temu cnót zajęły w *Wiśle* cechy wręcz przeciwstawne: nasi legendarni praprzodkowie – to bohaterowie ponadnarodowej miary, śmiali podróżnicy, żeglarze, odkrywcy, realizujący nowy ład świata; Kopernik, Jan z Kolna. U „ludu polskiego” pisarz odkrył teraz umiłowanie pokoju, całkowite wyzbycie się agresywności, talenty intelektualne i poznawczą ciekawość odkrywców. Te ważne, a raczej nieoczekiwane przemiany wzorca osobowego wprowadzał wyraźnie już z myślą o powojennej przyszłości.

²⁵ Dyskusja w kawiarni „Pod błędnym kotłem”, Warszawa 1916, s. 4.

Był to etap uzasadniania kształtu – czyli wyznaczania granic, rysowanie mapy, która dokładnie wskaże nowe miejsce ojczyzny w Europie. Gdy Żeromski pisał *Wisłę*, takiej mapy nie było i nie było przede wszystkim porozumienia polityków w kwestii ustalenia parametrów granicznych i ustrojowych dla odrodzonej Polski. Jedno we wszystkich propozycjach było wspólne: centralna pozycja Wisły i ziem wokół niej leżących. Było to *novum* – jeszcze przed kilkoma laty, przed wybuchem wojny sformułowano przede wszystkim zasady, które miały być podstawą wyznaczania polskiego terytorium. Mapa jest również projekcją marzeń, która jednak wymaga dostosowania ich do realnych możliwości, czyli opartej na naukowych podstawach rzeczowej i klarownej argumentacji.

Przed dokonaniem nowego podziału Europy te kwestie powinny być przedstawione na europejskim forum i wsparte rzeczową argumentacją. Proces ostatecznego ustalania granic rozpoczęty jeszcze przed zakończeniem wojny, zamykał się w latach 1918–1923. (W grudniu 1918 roku rozpoczęto przygotowania do ustaleń, które zapisano w traktacie wersalskim – ważną rolę spełniał tam Eugeniusz Romer – autor map ziem polskich, współpracujący z ramienia Polaków z George’em Clemenceau.) Daty powstania i pierwszych edycji *Wisły* bezpośrednio ów proces poprzedzały.

Im bliżej było końca wojny, tym bardziej zaogniały się spory o terytorium i granice, które miały wyznaczać obszar przyszłej Niepodległej. Wcześniej, póki myślano o wskrzeszeniu ojczyzny, była to perspektywa na tyle odległa, że konkretny jej obszar i kształt były na razie odsunięte na plan dalszy.

Szło przede wszystkim o obszar i granice ojczyzny – lecz również o kwestie ustrojowe i strukturę narodowościową państwa. Polski nie było na mapie Europy – i na razie powstawały rozmaite mapy cząstkowe lub „przypuszczalne”, lub „podkładowe”, niektóre publikowane, inne tylko szkicowane na potrzeby działań wojennych.

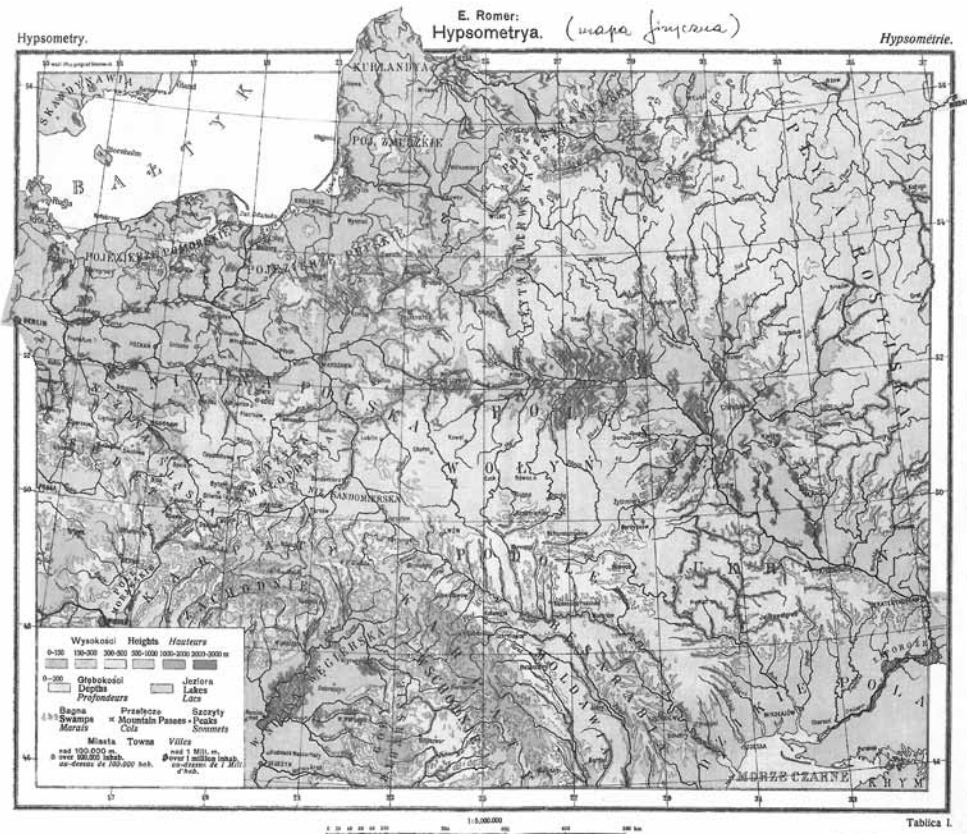
W czerwcu 1919 roku został podpisany traktat wersalski, który wyznaczał terytorium przyznane odrodzonej Polsce; jego postanowienia weszły w życie w styczniu 1920 roku. W tymże czasie, w lipcu 1919 roku, Józef Jaskólski, znany i płodny publicysta i działacz społeczny, opublikował tekst *Granice Polski. Z mapą, trzema tablicami statystycznymi i polsko-niemieckim słowniczkiem geograficznym*²⁶. Zaprezentował wytyczony przez siebie zarys „przypuszczalnych” granic Polski – ale jakże skromne miał oczekiwania! Długość morskiego wybrzeża – rzecz tak ważna dla Żeromskiego, które w *Wiśle* sięgało za Kołobrzeg – Jaskólski wyliczył (razem z Helem!) na zaledwie 63 kilometry, a dalej na zachód, ku południowi, podtrzymał projekt granic sięgających niewiele za Kalisz i Poznań. Na wschodzie nazywał polskimi ziemie po Zaleszczyki, Krzemieniec, Płoskirów, dalej granicę planował wzdłuż rzeki Horyń, zagarniając Grodno, Wilno i Suwałki. Uderza jednak w zapisach Jaskólskiego umykanie od próby definitywnego zaznaczenia wschodniej granicy ziem polskich

²⁶ J. Jaskólski, *Granice Polski. Z mapą, trzema tablicami statystycznymi i polsko-niemieckim słowniczkiem geograficznym*, Lwów 1919. Przedmowa datowana: „w sierpniu 1919”.

– ponieważ, jak pisał, toczyła się jeszcze wojna polsko-ukraińska; wytyczanie jej pozostawił wojsku: zadedykował wspomnianą wyżej książkę „bohaterskiemu Żołnierzowi Polskiemu, który swym mieczem wykreśli najodpowiedniejsze granice Polski”²⁷. I twierdził, przecież już po rosyjskiej rewolucji, że dogodniejszym sąsiadem dla Polski byłoby wzbudzający lęk Europy bolszewicy niż skonsolidowana Rosja, która by została szybko – i ze szkodą dla Polski – zaakceptowana przez państwa zachodnie.

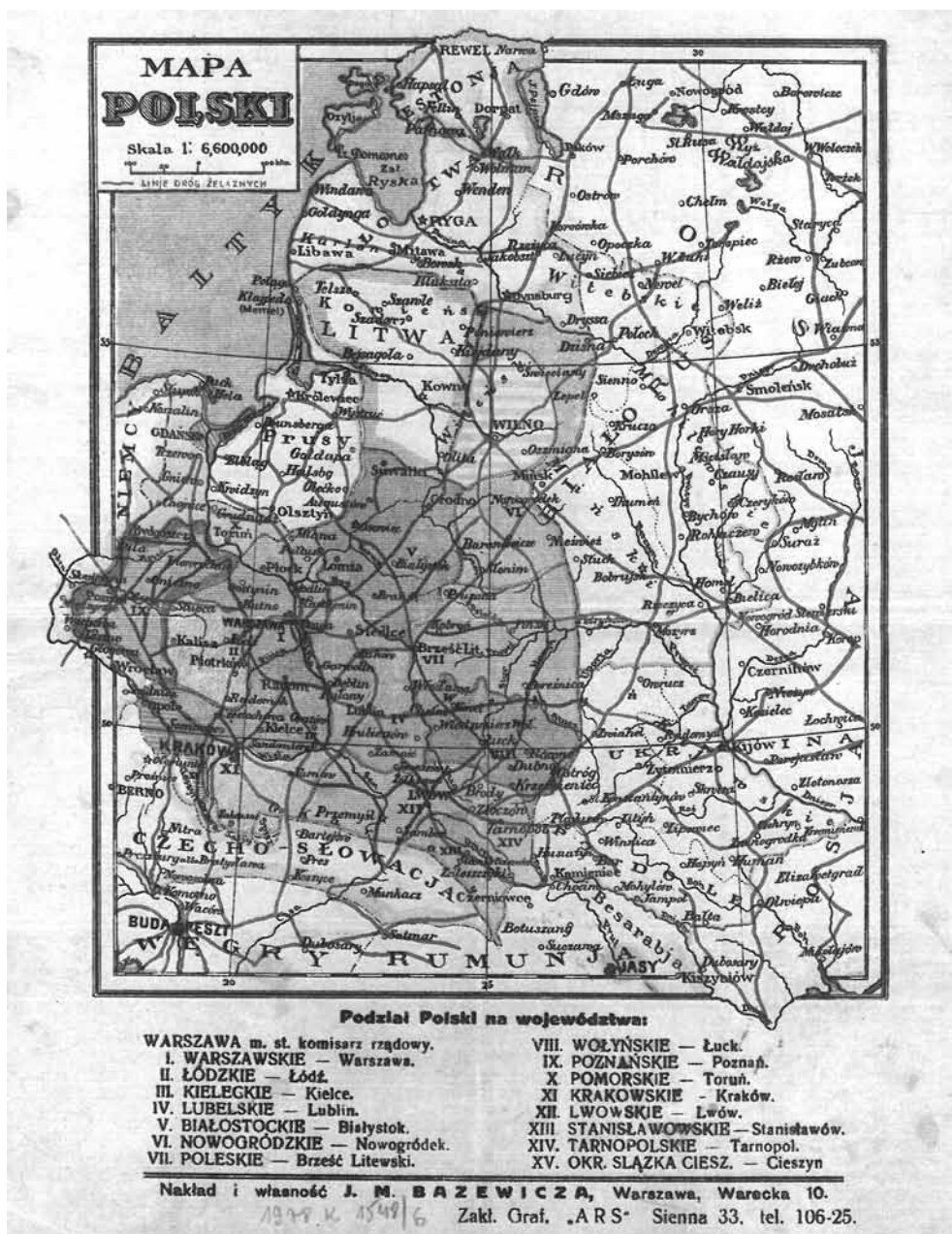
*

Z perspektywy lat bardziej interesujące niż podnoszone przez Wacława Borowego kwestie artystyczne wydaje się miejsce utworu w politycznym kontekście epoki. Sugestię po temu można odnaleźć także w tekście Borowego: nazwał Wisłę „osią geograficzno-historycznego życia Polaków”.

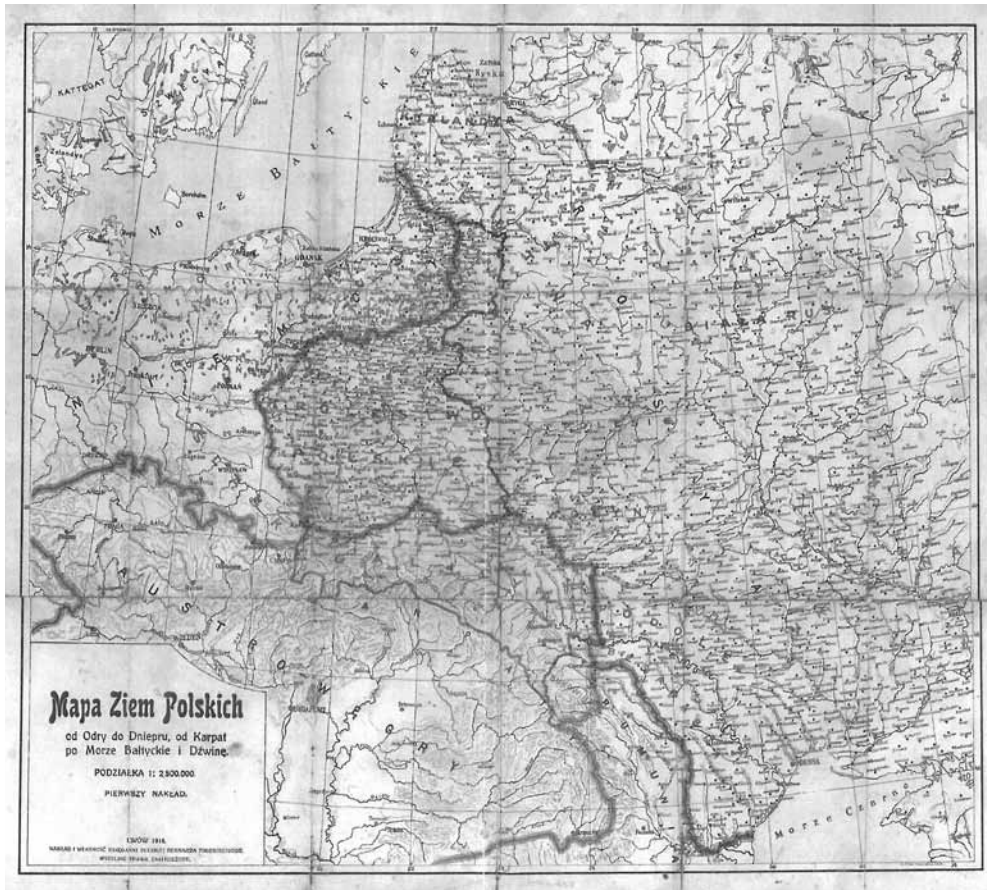


Mapa hipsometryczna (fizyczna) ziem polskich Eugeniusza Romera

²⁷ Tamże, strona tytułowa.



Kolejowa mapa Polski z podziałem na województwa, nakł. J. M. Bazewicza, Warszawa 1921



Mapa Ziem Polskich od Odry do Dniepru, od Karpat po Morze Bałtyckie i Dźwinę,
nakł. Bernarda Połonieckiego, Lwów 1914

NATURA NIEPODLEGŁA

Natura odgrywała zawsze szczególnie ważną rolę w twórczości Stefana Żeromskiego. Nie tylko jako element opisu świata; była przede wszystkim skarbcem historycznej pamięci i utrwalonych w niej wartości. To natura od najwcześniejszych utworów autora *Pomyłek* odkrywała przed bohaterami dramatyczne i krwawe wydarzenia polskich dziejów, heroizm Polaków walczących o wolność ojczyzny, rozogniała patriotyczne uczucia. „Wychowałem się przecież na Żeromskim” – deklarował wielokrotnie Jerzy Giedroyc, a przed nim, i po nim, powtarzali je Polacy paru pokoleń.

W twórczości Żeromskiego naturze przypadała rola szczególnie ważna, była źródłem emocji estetycznych, ale przede wszystkim ucieleśnieniem prawdy i współpartnerem człowieka w drodze życia. Splotały się losy człowieka i przyrody, jednakowo poddanych władzy Moskali, spojonych niewolą, cierpieniem i śmiercią z rąk zaborcy. Była też źródłem patriotycznej otuchy – pojmowanej jednak inaczej, niż czynili to romantycy, upatrujący w złożonych w ziemi kościach i „zardzałych zbrojach” bohaterów kielkującego ziarna wolności. U Żeromskiego nadzieja tkwiła w samej istocie natury, w jej uporczywym trwaniu, i niezniszczalnej, odrodzeńczej mocy. Bywała natura azylem, miejscem odpoczynku, spokojnej refleksji – i uchylając rąbek historii prowadziła bohaterów do gwałtownej, romantycznej przemiany.

Scenerię takich przemian tworzył na przykład powtarzający się motyw, nawiązujący do powstania styczniowego, który pojawił się w *Syzyfowych pracach* (1898)¹. Odsłania się oto skryta w lesie mogiła powstańca: „czarny, spróchniały krzyż czerniał wysoko na drzewie. [...] Borowicz zamknął oczy. Znalazł już wszystko. To ten sam żołnierz, o którym mówił mu przed laty strzelec Noga na pagórku pod lasem. Ten sam, zabity nahajami, leżący w skrwawionej mogile pod świerkiem”.

Milczenie towarzyszące w *Echach leśnych* (1905) dramatycznej opowieści o egzekucji powstańca było zakłócanie tylko odgłosami egzekucji lasu, umierającego pod ciosami: „Z lasu leciał po rosie wieczornej łoskot siekier. Łoskot uderzał w lasy, w ogromne świętokrzyskie bory jodłowe, w puszcę wilgotną, senną, niemą, głuchą. Echa ciosów mknęły od góry do góry, od kniei do kniei, w dal czarną, w noc,

¹ Wcześniej Żeromski wykorzystał podobny motyw opuszczonej pamiętki przeszłości w opowiadaniu *Mogiła* (1894). Tam jednak narrator przystanął na miejscu kłęski i ran, odniesionych przez Tadeusza Kościuszkę, na ziemi przesiąkniętej krwią i cierpieniem bohatera, i ją ucałował: „krew Tadeusza Kościuszki, którą na tym miejscu przelał, zawołała na mnie z ziemi. Z ostrym bólem w sercu i z płaczem dotknąłem ustami piasku mogiły”.

we mgłę. [...] Wszystek las łamał się i rozpadał, huczał wszystkimi drzewami świadectwo niezapomniane...”.

Symbolika łącząca motywy drzewa, krzyża i mogiły powraca w *Urodzie życia* (1912), jeszcze bardziej wyraziście wyakcentowana: „rosła brzoza, nachylona, wyniosła, zaiste płacząca. Długie jej różańce sięgały niemal do ziemi, odziemek u wydmy piasku czarny, [...] biegł wyżej białym, potężnym i polotnym pniem i rozwił się w liczne i grube konary, rozpadał wysoko w gibkie gałęzie i wici. Na tej brzozie wisiał krzyż ów w dziwny sposób o nią zaczepiony. Jego podstawa, niegdyś w ziemię wkopana, ugniła zupełnie i spróchniała bardzo wysoko, że został z niej nad ziemią jeno kolec ku dołowi zwrócony [...]. Krzyż ów runął był dawno, lecz ręce ludzkie podniosły go [...] w drzewo się wtulił, z jego pniem i gałęziami zjednoczył”.

Oficer rosyjskiego wojska, Piotr Rozłucki, syn powstańca rozstrzelanego w *Echach leśnych*, w *Urodzie życia* przy mogile ojca szarpany rozpaczą rozdrapuje ziemię gołymi rękami, wydobywa z grobu relikwię – podziurawioną kulami czaszkę. I kryje ją w ziemi z powrotem. Przeobraża się; z wzorowego oficera carskiej armii w świadomego swej patriotycznej misji Polaka.

W pamięć czytelnika wbijały się najmocniej te i podobne fragmenty, przesycone emocjami patriotycznymi i wprowadzające ideową symbolikę – jak słynna rozdarta sosna z *Ludzi bezdomnych*, kształtująca scenerię rozstania Judyma z Joasią.

Dominowały w utworach Żeromskiego pejzaże posępne i szarpiące serce. Umierające drzewa, profanowana ziemia, zarośnięta droga, wiodąca na bagna lub na pobojuwisko, nad którym krążą czarne ptaki, „kruki i wrony”. W czarnym błocie nurza się na ziemi głowa zamordowanego przez żołdatów Winrycha; stygmatyzują pejzaż kalekie, powykręcane konary; powstańcze mogiły i nad nimi usychające, umierające drzewa; drzewo rozdarte, połamane. Ranny powstaniec dogorywa pośród ptaszysk, rozszarpujących ciała jego i konia. Bagno i błoto², stanowiące tło dla obrazów śmierci, wprowadzają dodatkowo element pohańbienia, profanacji zwłok.

Uderza równoległość, jednakość bólu natury i ludzi. Nie łączy ich łagodne współodczuwanie, znane z literatury sentymentalnej i litościwego tonu poezji pozytywizmu: przyroda u Żeromskiego nie dostosowuje się do nastrojów człowieka, nie koi jego bólu – przeciwnie, jest jego osobliwym współtowarzyszem; tak jak on, cierpi i umiera.

Nieco inny ma charakter patriotyczny pejzaż z *Wiernej rzeki* – mniej sentymentalny, mocniej przepełniony grozą; śmierć powstańca staje się symbolicznym znakiem końca walk i końca Rządu Narodowego. Wierna, lojalna rzeka dopełnia to,

² Unurzanie w błocie jest też radosnym symbolem pohańbienia znenawidzonego belfra w *Szyfowych pracach*. A potem, niestety, w zakończeniu *Przedwiośnia* pierwszy dzień wiosny „w płynne błoto zamienił stopy śniegu” – nie słończko, lecz symboliczne błoto wyparło w ojczystym pejzażu czystą jego biel.

czego ranny człowiek dokonać sam nie zdołał: nie dopuszcza do przejęcia dokumentów powstańczego rządu przez moskali, porywa je, na zawsze nikną w toni.

Pejzaże Żeromskiego są zawsze przesycone czymś niedookreślonym, dramatyzującą, niepokojącą symboliką, narzucającą się człowiekowi. Powtarzalność motywów pejzażowych sprawia, że odnoszone wrażenia podlegają uogólnieniu – zapomniane powstańcze mogiły, a nad nimi krzyże, stają się nieodłączną częścią lasu i wpisanej weń przeszłości. Kształtują emocjonalny ton krajobrazu, stają się dominantą układu. To już nie zwykły las i w nim krzyż, lecz połąć ziemi, koncentrująca się wokół krzyża; zarośnięta droga – wiodąca na bagna lub na pobojuwisko; dochodzące z daleka odgłosy będące znakiem wyrąbywania, dewastacji lasu.

* * *

Autor *Wiernej rzeki* znał – nie tylko z nazwy, ale rozpoznawał – nieprawdopodobną ilość roślin (podobno 400), kwiatów (podobno ponad 150), drzew, pnączy, a także szczegółów i właściwości ich anatomii: korzeni, konarów, odrośli... Ogromną, wyniesioną z domu wiedzę przyrodniczą (a także z zakresu wiejskiej kultury i obyczajów) pisarz wykorzystywał w opisach różnych okolic, dworzków, obyczajów ludowych. Odłamki tego bogactwa kraszają ukazujące się w jego książkach widoki, i pełnią dwojakie role: indywidualizują elementy opisu oraz poszerzają bogactwo języka przywracając słowa zapomniane. O tym, jak wielką wagę przywiązywał do tych zabiegów, świadczą słowniczki, umieszczane na końcu historyczno pejzażowych utworów, wyjaśniające sens takich słów jak *charszcz*, czy *gładysa*³.

Wiedzę botaniczną Stefana Żeromskiego gruntownie i szczegółowo scharakteryzował Stanisław Cygan w książce *Świat roślin*⁴. Badacz podkreśla, że autor *Ech leśnych* „motywy florystyczne znał z własnego doświadczenia i obserwacji”⁵, a kreacja świata roślin jest w jego utworach nacechowana wielką, poetycką wrażliwością. Odwołując się także do prac innych naukowców, Cygan rejestruje i klasyfikuje przykłady, świadczące o emocjonalnym i pełnym zachwyty stosunku do natury. Warto też – znów za Cyganem – wspomnieć o częstym odwoływaniu się Żeromskiego do świata wierzeń ludowych, do wyobrażeń związanych z roślinnością.

Wydawało by się, że to bogactwo powinno się przekładać w twórczości Żeromskiego na wspaniałą różnorodność obrazów natury. Jest nieco inaczej. Zdarzają się, owszem, widoki rozbudowane, radosne i barwne – jak okolice Ciekot czy tereny

³ Po słownikowych poszukiwaniach wspomniany „charszcz” okazuje się wydmuszycą, sadzoną dla utrwalania piasków nad morzem, a „gładysa” – to stornia gładka, bez kolców. Niewiele więcej mi to mówi.

Niehamowany pęd Żeromskiego do wzbogacania języka, do odświeżania zapomnianych słów, jak się zdaje, niewiele z nich przywrócił mowie codziennej; efekty jego wysiłków były mizerne. Wydaje się że zamiast rozbudzić ciekawość czytelników, wbrew woli i nadziejom pisarza mnożenie bogactwa nazw odstręczało raczej niż przyciągało odbiorców.

⁴ Kraków 2007. Książka Cygana stanowi dziewiąty tom serii *Słownictwo pism Stefana Żeromskiego*.

⁵ Tamże, s. 8.

młodzieńczych polowań. To jednak wyjątki, gdyż obraz natury jest podporządkowany rozbudzaniu emocji patriotycznych, lub – w późnych utworach – dopasowywany do wizji Polski pradawnej i mocarnej. Czasem tę ojczystą całość spajają dość powierzchowne analogie (na przykład między pokraczną tatrzańską kosodrzewiną i nadmorskimi karłowatymi sosenkami). A gdy szło o wizję przyszłej ojczyzny, autor *Wisły* wyobraźnię miał ogromną. Obejmowała nawet godowe wędrówki łososi, przemierzających w górę i w dół jej dorzecza – łączyły w całość przestrzeń ojczystych wód i słowiańskich plemion. Gdy powojenne granice Polski nie były jeszcze wytyczone, również takie wyczarowane imaginacją drobiazgi zdawały się spajać polskie terytorium.

* * *

Osobliwości ukazywania i funkcji natury w twórczości Żeromskiego uwidaczniają się dobrze na tle dzieł romantyków, czyli tradycji, z którą jest trwale łączony. W twórczości Mickiewicza i Słowackiego uderza bogactwo przyrody; to ona otwiera życie ziemskie ku wszechświatowi, a rzecz by można, że robi to „ku pokrzepieniu serc”, podobnie jak później powieści Sienkiewicza – gdyby nie to, iż nie tylko krzepi, lecz olśniewa potęgą i pięknem natury.

Przestrzeń romantyków jest szeroko otwarta na świat człowieczy i na nieskończoność, przestrzeni i czasu, ograniczana dalekim błękitem niebios i kopułami gwiazd, jak u Mickiewicza: „gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą”. Dynamiczna, i przekazująca ludziom ten dynamizm. Świetnie widać to w najczęściej cytowanym obrazie – pędzących po niebie chmur w *Panu Tadeuszu*: ich transformacje tworzą kanwę wspinałej opowieści, o zjawiskach, które cudownie pojawiają się i znikają.

To przestrzeń otwarta na rozległą perspektywę, przyszłości i nadziei. U romantyków wypełniają ją aniołowie i szatani, wszystko jest dynamiczne, zmienne, w stadium transformacji. Dostrzegalny ogrom wszechświata nas minimalizuje (ale, zauważmy, minimalizacji podlegają i nasze nieszczęścia, tragizm żywota), jesteśmy jako drobina – ale w obrębie nieskończoności.

W utworach Żeromskiego fragmenty pejzażowe mają charakter opisowy, ale ważniejsze jest podporządkowane ich, najczęściej patriotycznej, symbolice. Ich wygląd jest „prawdziwy”, ale oko pisarza wybiera miejsca i momenty, które najbardziej wyraziście eksponują te emocje. Powroty do tych samych motywów (nie tylko drzewo nad mogiłą, ale i na przykład droga, na której w błocie nurza się głowa Winrycha) utrwała, wbija w pamięć odbiorcy takie zauważone cechy pejzażu kieleckiego, czy później – helskiego.

Istnieją – w romantycznym malarstwie – przykłady podobnego przywiązania twórcy do wybranych punktów natury. Na przykład na obrazach angielskiego malarza Johna Constable’a również wielokrotnie powtarzają się te same motywy: katedra pośród pola, błotnisty staw, stara łódka i biednie ubrani wieśniacy; aż do znudzenia

takie same, ale właśnie przez to podobieństwo mocniej rzucające się w oczy niż łagodne zmiany widoku, ukazawanego. Pejzaż osobliwie „stabilny”, a przecież głęboko zmienny, przez osadzanie go w różnych kontekstach światła, pogody, pory dnia; ileż rozmaitych wersji w nim tkwi. Pejzaże ukazywane na obrazach romantyków były wspaniałym źródłem emocji estetycznych – ukazywały wciąż nowe aspekty piękna, gier światła, niebios przeblaskujących zza chmur. Jak na słynnym obrazie Caspara Davida Friedricha *Krzyż w górach*: w padających na ziemię promieniach światła można ujrzeć Boga, stanowiąc odbłask romantycznej historiozofii.

U romantyków pejzaż rozpościera się na wszechświat, prowadzi ku Bogu. Bohater istnieje między ziemią a rozgwieżdżonym niebem – jak Kordian na Mont Blanc (stanie na jej szczycie także Piotr Rozłucki w *Urodzie życia*), jak maleńkie postacie pośród ogromu natury na obrazach Friedricha, jak Konrad, kładący ręce „na szklanych harmoniki kręgach”, chociaż realnie znajduje się w więziennej celi. Wszystkie zjawiska niebiańskie, komety, słońce złocące pola i nawet chmury, zdające się w *Panu Tadeuszu* żywymi obrazami walczących wojsk, wyznaczają kosmiczną przestrzeń pejzażu. Człowiek romantyczny patrzy ku niebu, sięga ku gwiazdom – lub głęboko pod ziemię, w poszukiwaniu „rodzajnego ziarna” dla przyszłości.

W pejzażu Żeromskiego inaczej są rozłożone akcenty. Nie „ziarno rodzajne” znajduje się gdzieś w jej głębi, lecz zmurszałe kości tuż pod jej powierzchnią. Juliusz Słowacki stojąc na skale nad oceanem, poprzez odtwarzane wyobraźnią dzieje natury w *Genezis z Ducha* docierał do prahistorii. Odnajdywał prawdę i uwiarygodniał swe historiozoficzne odkrycia przez osobliwy dialog z milczącym (czyli: potakującym) Bogiem.

Stefan Żeromski szukał potwierdzenia inaczej. O zmierzchu, zacierającym kształty świata, siedł po helskiej plaży, oddalającej od miejskiego gwaru. Nie jako spokojny obserwator, na którego splywa natchnienie, lecz rozglądający się, poszukujący, nieśpieszny wędrowiec. Idąc, obserwował, wywodził – nie na drodze objawienia, lecz przez bystrość spojrzenia i „pamięć wyobraźni”. Wędrując przez przestrzeń, pogrążał się w czasie. Odwoływał się do „dowodów”, do starych kronik, do klechd uczonych, do legend i ludowych opowieści – lub zaznaczał: „Nie ma dowodów, ale ...”, i snuł dopełniającą, własną opowieść.

Niebiańskie zjawiska oczywiście u Żeromskiego też istnieją, jest blask księżyca i widać obłoki na niebie, a mogły zwracać myśl ku tym, których kryją. Ale fascynacji owymi gwiazdami ani spojrzenia wertykalnego, ku nim w górę, bodaj nie ma wcale. Chmury u Żeromskiego zamykają pułap przestrzeni, lecz chyba właśnie jako zamknięcie niewielkie w obrębie widoku mają znaczenie: to obłok, chmurka na tle nieba. Podobnie księżyc – wyłania się, lśni, lecz jego blask jest jakby bezosobowy: „Odblask pełni księżyca pada na powierzchnię rzeki i ukazuje ją całą na dalekiej przestrzeni” (*Itawa – Kwidzyn – Malbork*). A nieboskłon – zazwyczaj jest, jak w *Urodzie życia* – „bezgwiezdny”, zauważany, gdy pędzą po nim groźne, czarne chmury.

Znamienne, że księżyc i słońce nie ukazują się w porządku wertykalnym, w zenicie, lecz niżej, bliżej ziemi, czerwieniejące⁶. Oko człowieka zwraca się nie ku nieboskładowi, lecz ku ziemi i jej głębiom. Bardziej ku ojczyźnie, niż ku kosmosowi.

Uwaga marginalna: po odzyskaniu niepodległości inne niż dawniej drzewa pełnią rolę dominującą. Już nie urokliwa brzoza, lecz drzewa sakryfikowane z racji swej trwałości, wspierające potęgę ojczyzny: święte lipy i święte dęby, i odwieczne buki. Zmienia się nadawana im rola w pejzażu historii, ale także ich, niejako prywatny, charakter. W ich szumie, „w ich pieśni zawiera się wszystko. Tęskna pochwała piękności letniego nieba, gdy na wysokościach cicho się niosą wielobarwne obłoki ponad niską ziemią, co łanami dostatego zboża chwieje się za wiatrami – i powieść ponura o morskiej głębi, gdzie się wiatrem nieskończonym słońce i słodkie wody zwierają. [...] Przeszłość i przyszłość zawiera się w szumie tym”⁷.

* * *

Obraz zaklętych w pejzażu nieodległych dziejów i unicestwianych wartości ukazywał Żeromski w utworach powstałych przed wojną. I nagle, niespodziewanie, w momencie odzyskania przez Polskę niepodległości te tematy niemal zniknęły, wszystko się zmieniło.

Miejsce heroizmu, walk z zaborcą, glorii powstania styczniowego i bezprzykładnych poświęceń zastąpiło już w czasie wojny marzenie o skupieniu wszystkich sił, całej twórczej energii narodu na budowaniu wspaniałego państwa, przewyższającego inne miarą ideałów i dobrobytem; osiąganym dzięki powszechnemu entuzjazmowi i nowoczesnym zdobyczom techniki. Tu Żeromski o wiele lat wyprzedził wyobraźnię osiągnięcia współczesnej mu cywilizacji. Pejzaż z przeszklonymi domami z piasku? Ogrzewanie energią słoneczną? Promienie, unicestwiające na odległość? Ośmieszano długo te pomysły (dzisiaj będące znamionami nowoczesności), w parze z którymi szła u Żeromskiego nowa funkcjonalizacja pejzażu natury. Ze szczęściem istnienia w wolnym kraju szło w parze postrzeganie świata w feerii barw, światła, w radosnym uniesieniu życia.

Pojawia się kult zdrowia i siły, i piękna ukrytego w nagim, swobodnym, opalonym ciele. W powstającym podczas wakacji na Helu *Międzymorzu* (1923) powtarzają się te słoneczne motywy: rozlega się „śmiech nieskończonej radości”, dzieci bawią się na plaży w promieniach słońca, biegnie lekko nagi młodzieniec, a odrażającemu rozleniwieniu jest przeciwstawiane piękno czystej mocy, danej przez naturę: także kobiety „mają tu nie tylko sadło pokryte białą skórą i bezwładne

⁶ „Z pomocą obrazów przyrody wyzwalał Żeromski z samego dna podświadomości i ukazywał w formie konkretnej, dostępnej dla wyobraźni, stany duszy niepodległe logice, leżące poza sferą czujności intelektu, poddane swoim prawom skojarzeń nastrojowych” – pisał Stefan Kołaczkowski (*Kierunki epoki w twórczości Stefana Żeromskiego*, (1925), cyt. za: Żeromski. *Z dziejów recepcji twórczości*, oprac. Z. J. Adamczyk, 1975, s. 201).

⁷ *Sambor i Mestwin*.

kształty, godne pościeli i rozkoszy, lecz silne ścięgna, mięśnie sprężyste i kości, pełne mocy”.

Znika z pejzażu dramatyzm, śmierć, rozpacz, beznadzieja. Nawet starość staje się w obrębie natury świadectwem nie – jak dawniej – dramatyzmu śmierci i zapomnienia, lecz dowodem trwałości, nieprzemijalności duchowego dziedzictwa.

Zdumiewa nie tylko diametralna zmiana wizji i funkcji przyrody w twórczości Żeromskiego po roku 1918, lecz przede wszystkim głębia i niezwykle tempo tej przemiany. Z jego tekstów emanował entuzjazm i chęć czynu, i nadzieja, że – ponieważ buduje się Polskę całkiem od nowa – można stworzyć państwo idealne.

Żeromski, wierny kontynuator romantycznej tradycji, przewartościował teraz także pojęcie patriotycznych powinności: w wolnej i suwerennej ojczyźnie nie ma miejsca na upowszechnianie ideałów tyrtejskich. Edukację należy oprzeć na kulcie uczciwej, wytężonej pracy; nie darmo pisarz chwalił trud inżynierów i budowniczych, zachwycał się powstającym portem w Gdyni. Mimo wszystkich rozczarowań i gorzkiego zawodu, z jakim Żeromski obserwował polityczne spory, na długo zachował radosną euforię, kształtującą jego wizję świata.

Przemieniła się diametralnie także Żeromskiego wizja natury: stała się przeciwstawna wobec wcześniej odczytywanego w niej przesłania ideowego. Taka była konsekwencja nowego rozumienia patriotyzmu – pod patronującym mu ideałem pełnej entuzjazmu pracy dla Polski.

O czym innym niż dawniej opowiadają więc wichry i stare drzewa⁸. Już nie o polskich powstaniach, lecz o tym, co teraz, po odzyskaniu niepodległości, dla Żeromskiego jest najważniejsze. Rewaloryzując sposób pejzażowego ukazywania dziejów, włączył się czynnie do pracy plebiscytowej na rzecz przyłączenia do Polski Warmii i Mazur, agitował; jeździł na spotkania, przekonywał...

Najważniejsze argumenty, mające przemawiać za odwieczną polskością spornych ziem, czerpał z dziejów zapisanych w naturze, utrwał świadomość, że to nasze odwieczne dziedzictwo. O polskości tych ziem świadczą – pod piórem Żeromskiego – zarówno fakty historii (Wartosław zbudował pierwsze „słowiańskie grodziszcze”, a Krzyżacy zniszczyli je, zacierając ślady panowania pierwszych władców), jak tworzona konsekwentnie wizja jedności polskiego pejzażu, łączone-

⁸ Inspiracją dla nadmorskich pejzaży stawały się spędzane nad morzem wakacje. W 1920 r. – pierwsze spotkanie z polskim morzem, od maja do lipca w Orłowie. W 1921 – w Gdyni; pierwsze wrażenia, jakie odnosił, nie były zachwycające: „jestem tutaj w tej Gdyni, gdzie są wielkie wiatry i piaski, ale za to mało mleka i zupełny brak masła. [...] Chodzę po lasach okolicznych i trochę jeżdżę po ślicznej Kaszubii [...]” (List do K. Czarnockiego, 18 lipca 1921, w: *Listy*, t. 39, s. 150), „Owa Gdynia jest dziurą bardzo mizerną i dość brudną. [...] Jest to coś w rodzaju Zakopanego, tylko stokroć brudniej i obmierzlej zabudowane i, równie jak tam, bez jakiegokolwiek planu i sensu” (10 sierpnia do tegoż, tamże, s. 155). Ale wtedy odczuwał boleśnie niedogodności życia codziennego, a jeszcze nie wyobrażał sobie Gdyni jako miejsca przyszłego portu. Szybko się to zmieni i Gdynia przekształci się w jego twórczości w symbol Polski nowoczesnej, cudownej. I pozostanie siedliskiem nadziei Żeromskiego wtedy nawet, gdy inne marzenia przygasną. Pozostanie rozbudowa Gdyni – i spokojne piękno natury. W roku 1922 państwo Żeromscy spędzali wakacje na Helu, podobnie jak w latach 1923 i 1924.

go przez Wisłę, płynącą od tatrzańskich regli po helską mierzeję. „Tak samo wielką rzekę przeszłości [...] widzę oczyma wyobraźni”, pisał. „Jak za dni naszych – ongi tak samo” – powtarza się ten zwrot, ujednociający terażniejszość z przeszłością.

Spędzał wtedy kilkakrotnie wakacje nad morzem: w Orłowie⁹, w Gdyni¹⁰, trzykrotnie na Helu. I opowiadał to, co własną wyobraźnią z pejzażu wyczarował – na przykład, w dedykowanej Janowi Lechoniowi gawędzie *Sambor i Mestwin*, umieścił piękną opowieść o zaklętych w dwa stare buki księżętach pomorskich:

„Samotne olbrzymy stoją na stromej górze [...]. Korzenie ich uszły w głąb [...]. Pnie jakby ze stali ukute okryły się pancerzami, które osnuła rdza, śniedź i suchy mech, a zbruździły chyże płomienie piorunów [...]. Konary potężniejszego z dwu buków rozwidlają się wysoko w istny las, rozpadają w samoswoją puszczy, a najwyższe gałęzie, pędy, pręty i witki trwają splot w splot z gałęzmi młodszego brata pod pospólnym bezmiarom liści. Strażują tam wśród gór i dolin, ponad sosnowymi i świerkowymi lasami, dwaj zapomniani przez świat księżęta kaszubskiej polskiej ziemi. Któż to wie – może jednemu z nich na imię Sambor, drugiemu – Mestwin...”. Zauważmy: „kaszubskiej polskiej ziemi”...

Nowe akcenty zdominowały także pejzaż. Natura, urzekająco piękna, pełni w latach powojennych funkcję, którą niegdyś Mickiewicz przypisywał ludowej tradycji – pamięta, staje się osobliwą „arką przymierza między dawnymi i nowymi laty”. W jej przeszłość zostały wpisane wydarzenia z ojczystych dziejów.

Lecz miejsce tragicznych wydarzeń z niedawnej historii zastąpiły próby tworzenia legendowej panoramy przeszłości; jakby jej ogrom i wspaniałość, od prapoczątków po wydarzenia najnowsze, miał zaspokajać dumę Polaków i podtrzymać ich wiarę w równie chwalebny przyszłość.

Przyrodę Żeromski osobiście sakryfikował. To, co wiekowe, szlachetne, co udało się ocalić przed niszczącą ingerencją człowieka, nabywa cechy świętości. Stąd pod koniec życia wybuchy rozpacz i gniewu, gdy zagłada zagroziła temu, co najświętsze – puszczy jodłowej. Jakże znamienne, że argumenty wyeksponowane

⁹ By dopełnić pejzażowe obrazy natury, wśród której przebywał Żeromski w ostatnich latach życia, warto przytoczyć fragment tekstu Bernarda Chrzanowskiego o okolicy, w której pisarz spędzał wakacje w 1920 i 1921 roku, a której sam tak dokładnie nie opisał. Ścieżką „na polanę, na górze zasadzonej młodą sośniną; wśród niej pełno leśnych i polnych kwiatów. Ciągłe tą samą ścieżeczką ku morzu a dalej ponad urwiskami nadbrzeża; widok na morze, kwiecistą polanę i pustkowią radłowskich wzgórz; za chwilę w bukowy las i lasem śmiało w dół – choćby i bez ścieżki – trzymając się ciągle niedaleko wybrzeża, do wąskiej, trawiastej dolinki; w niej ścieżeczką ledwo wydeptaną w lewo, a gdy las ustaje, jego brzegiem w prawo do ścieżki, wchodzącej między olbrzymie krzaki janowca, jeżyn i malin; chwilę tą ścieżką, potem w lewo w górę po łagodnym zboczach, niby ulicą przez olbrzymie pole janowca, jak gdyby w kosodrzewinie; poza naszymi plecami wychyla się, czym się wyżej pniemy, z pomiędzy drzew morze” (B. Chrzanowski *Na kaszubskim brzegu, zwięzły przewodnik z sześciu krajobrazami i mapą*, wyd. II, 1920, s. 99).

¹⁰ Obrazy natury w utworach Stefana Żeromskiego zawsze mają oparcie w realiach okolic, w których aktualnie przebywał. Zmieniają się zatem wprowadzane motywy. Na przykład – gatunki drzew. Prastare buki wypierają „święte lipy” i „święte dęby”, ważne miejsca przypadają karłowatym sosienkom i czystemu piaskowi.

w szkicu, przemawiające za jej obroną, były podtrzymywane przez własne wspomnienia, sięgające wydarzeń z wczesnej młodości¹¹.

Ostro interweniował, gdy pojawiły się projekty, by okaleczyć, „ściąć do korzenia macierz jodłową na podstawie nowego prawa, w interesie jakiegoś handlu, lub czyjegoś niezbędnego zysku. Jakie bądź byłoby prawo, czyjekolwiek by było, do tych przyszłych barbarzyńców, poprzez wszystkie czasy wołam z krzykiem: – nie pozwalam!”.

* * *

Pejzaż „prywatny” ostatnich lat nasycony był szczęściem...

W roku 1920 Żeromski otrzymał od Jakuba Mortkowicza zaliczkę finansową *a conto* wydania dzieł wszystkich. Kupił w podwarszawskim Konstancinie willę „Świt”, która stała się domem jego rodziny do końca życia.

Konstancin – własny dom, ogród, szczęście rodzinne, Anna i Monika – ta emocjonalna stabilizacja Żeromskiego wiązała się z optymistyczną przemianą wizji świata. Jej wyrazem stał się w ostatnich latach życia konstanciński ogród, pogrążony w słońcu, w śpiewie ptaków, figle psa. Szczęście o poranku – gdy natura roztacza wszystkie wdzięki, opisane w *Wildze*: „Wstałem (...). Jeszcze drzewa sosnowe i brzoźowe, akacje i dęby przesycone były obfitą nocną rosą, a słońce dopiero powstawało kędyś daleko w lasach niemych i polnych pustkowiach. (...) Patrzyłem z upojeniem przez okno rozwarte w zagmatwaną pustkę ogrodu i widziałem na jawie nieistniejący jego uśmiech, którym się dla mnie miłosiernie na tę jedną chwilę przyodział”.

W *Wildze* pisarz ukazał ogród o poranku; w opowiadaniu *Pomyłki* ulubioną trasę spacerową, w dół przez Obory ku Wiśle i ku Słomczynowi, gdzie chodził z Moniką i pieskiem. Tu przyroda była barwna, wielokolorowa, tętniła radością życia.

Szczęście istnienia: „Skręcamy z gościńca na ścieżkę, biegnącą poprzez ugór [...] Dosięgamy wreszcie brzegu płaskowzgórza i urwistych jego odkosów, porośniętych gęstwiną zarośli, dzunglą nadwiślańską, pełną dębiny, głógów, tarek, jeżyny, leszczyn i rokicin, oplątanych lianami dzikiego chmielu. Wabi nas w głąb tych pachnących gajów melodyjny przyspiew trznadla, który słowika od biedy udaje. [...] Dołem wahają się za wiatrem, tam i sam seledynowe źdźbła, a wśród nich tulą i chyłkiem pędzą żywot podjadki, pasożyty i wysysacze soków – ognicha, mak, kąkol, zbiedniała koniczynka – istna babina wiejska, małojadek i mężowski poszturchaniec – niedbały rumian, lekkomyślny chaber, jasioniec, mietlica i stokłosa, udająca zboże. [...]. Nasyćmy się jeszcze przez małą chwilę szczęściem istnienia, rozkoszą życia, pięknnością trwania.”

¹¹ Ale na rok przed śmiercią, gospodarząc w swym konstancińskim ogrodzie, prosił o przysłanie mu pięknie kwitnącego krzewu, i dodawał: „Marzę o jednej albo dwu jodłach, które by mi przypominały Góry Świętokrzyskie”. (List z 28 października, 1924, w: *Listy*, t. 39, s. 427.)

To – Konstancin, w stronę Obór. Miejsce, w którym Żeromski odnalazł harmonię, spokój i radość życia. Spokój i radość życia – to ton Niepodległej; a dawniej pejzaż znaczyła błotnista droga, spróchniałe kości i usychające drzewa? Taki właśnie był znak wielkiej przemiany. Nie krzyże ani mogiły – lecz kwiaty – chabry, maki, kąkole jakie dziś już, skutecznie trzebione, rzadko można napotkać. Zapachy. I głosy ptaków, szum owadów. A przeszłość, która w tym nowym pejzażu jest zawarta, to nie jedynie tragizm narodowych dziejów, lecz i, przede wszystkim, pamięć domowych okolic, sprzęgająca polską historię i dzieje bohaterów z osobistymi, rodzinnymi wspomnieniami.

Czy podobnie można dzisiaj ujrzeć ten las i to pole? Nie, oczywiście, to niemożliwe. Ale dlatego tym ciekawszy będzie dziś spacer tamtą trasą, z *Pomyłkami* w rękę jako przewodnikiem. Wyobraźmy sobie barwne życie owadów i kwiatów, dziś skutecznie wytępione (za to plony są wyższe), gdy zapachy i szумы pochodzą nie z pól, lecz z asfaltowej szosy, i najsmutniejsze – rozciągnięte na słupach przewody wysokiego napięcia i jakieś inne druty przecinające panoramę, gdy wzrok się uniesie. Fatalny to obraz przemiany, przemijania, postępującej zatury kwiatków i owadów.

W ostatnich latach życia Żeromskiego patriotyczna wizja historii, utrwalona w przyrodzie pełni inne funkcje, o czym innym niż dawniej opowiadają wichry i stare drzewa. Już nie o polskich powstaniach, lecz o tym, co teraz, po odzyskaniu niepodległości, dla Żeromskiego jest najważniejsze. W odmienionej roli występują nawet najbardziej dramatycznie niegdyś nacechowane: mogiły.

Niegdyś rozniecały patriotyzm, podtrzymywały nieugiętość ducha wobec rusyfikacyjnych i germanizacyjnych zakusów zaborców; teraz, napotkane w wolnej Polsce, skłaniały do spokojnej refleksji o polskich losach.

Gdy motyw pogrążającej się w niepamięci mogiły pojawi się u Żeromskiego po wojnie, w *Pomyłkach*, opowiadaniu konstancińskim, jakże odmienne wzbudzi emocje! Napotkana w nim mogiła z innej jest już epoki: to nie powstańcy styczniowi, lecz Rosjanie i Niemcy, jeśli wierzyć napisowi na zbiorowym grobie. I dopiero polskie nazwiska odkrywają, że to Polacy – nasi żołnierze, walczący w I wojnie światowej. Ukazuje się ów grób wśród kwitnących pól, w słoneczny dzień, podczas spaceru. I wzbudza już nie rozpacz, lecz tylko łagodną zadumę: Rosjanie? Niemcy? Toż większość jest tam polskich nazwisk, i jakież paradoks historii, że na własnej ziemi nasi żołnierze służący przeciw sobie w rosyjskiej i pruskiej armii jedynie w obcej mogile, przedziwnie rozdzieleni między dwa groby („w dwóch wrogich sobie szanckach,/ stoimy twarzą w twarz”, jak pisał poeta Edward Słowski), znaleźli wspólne miejsce ostatniego spoczynku.

* * *

I to właśnie pejzażowe motywy stają się symbolicznym odpowiednikiem wielkiego rozczarowania, jakie po kilku latach istnienia Niepodległej przyniosła kon-

frontacja marzeń o wolnej ojczyźnie z rzeczywistością. W ostatnich utworach Żeromskiego dochodzi do konfrontacji nieskalanej natury z moralną ohydą miasta. Narrator w *Międzymorzu* mówi: „Wyszedłem ze zgnilizny i spośród latających błot miasta, gdzie mię życie trzyma”.

Po zabójstwie prezydenta Narutowicza, po usunięciu się Piłsudskiego do Sulejówka, taki oto pejzaż ojczyzny, tym razem miejski, Żeromski zapisał w finale ostatniej powieści: „Był pierwszy dzień przedwiośnia. Powiał wiatr południowy i w płynne błoto zamienił stopy śniegu”. Oto tytułowe przedwiośnie. Ten piękny lecz błotnisty dzień przynosi początek dramatycznego konfliktu w ojczyźnie.

CENA 20 GROSZY

N^o 47. Warszawa 17 Listopada 1912 r.

SOWIZDRZAŁ

PATRZ! JAK WARSZAWIANKA GŁOCHA ROZPOCZYNA FLIRT DO KWIATKA.



Rozmizdrzona, rozśmiana:
„Może kwiatek, proszę pana?”
„Od paniąki jaknajbłędniej!”
— I w staruszku serce tętni:

Krew gdzieś w żyłach się ocyka
U szarego labetyka,
A dziewczeczka z minka pawia
Na staruszku się zaprawia.

Okladka czasopisma satyrycznego „Sowizdrzał” (47) 1912

ZZA KULIS „SOWIZDRZAŁA”

„Sowizdrzał”, satyryczny tygodnik ilustrowany, ukazywał się w Warszawie w latach 1911–1919. Początkowo redaktorem i wydawcą pisma był Bolesław Poświszt, lecz już od 25 numeru wydawcą zostaje Jakub Rytewski, a redaktorką Izabella Gliszczyńska. Kierownictwo literackie obejmuje Samuel Hirszhorn.

Ten pierwszy rocznik „Sowizdrzała” poziomem literackim nie wyróżniał się wśród innych pism satyrycznych. Zawartość numeru składała się głównie z anegdot i wierszyków satyrycznych, najczęściej anonimowych¹. Pod utworami sygnowanymi spotykało się nazwiska J. Rytewskiego, Al. Pękowskiego, J. Bema, Wacława Wolskiego (Wac. Wol.), najczęściej zaś Samuela Hirszhorna, pisującego pod pseudonimem Sat. Hum.² Może tylko ciekawsza niż w innych pismach była w „Sowizdrzale” oprawa graficzna, przede wszystkim dzięki zamieszczeniu dużych, barwnych linorytów.

W tym okresie Leopold Blumental tak oceniał pismo:

„Nie przeczę, jeśli namozolić się dobrze, można niekiedy znaleźć w „Sowizdrzale” bezpretensjonalny żarcik, który zabawić może niewinność duchową. Czasem będzie to trafnie dobrana kopia zagranicznego dowcipu lub rysunku... z naciągniętym doń nieraz swojskim tekstem.

I dalej:

„Sowizdrzał” nie ma pojęcia o tym, co jest prawda życia w oświeceniu dowcipu. Dla niego dowcip tkwi w głupim zmyśleniu³.

Momentem przełomowym dla rozwoju pisma staje się objęcie go przez Władysława Nawrockiego, który od numeru 17 (1912) zostaje wydawcą, a wkrótce potem kierownikiem literackim i następnie redaktorem. Nawrocki usiłuje ściągnąć do redakcji jak najwięcej znanych już lub dobrze zapowiadających się pisarzy, a od początku 1913 roku reklamuje pismo przez ogłaszanie spisów nazwisk współpra-

¹ Przy rozwiązywaniu pseudonimów najczęściej dopomogli mi pp. Jerzy Szaniawski, Antoni Słonimski, Edward Kozikowski i Gabriel Karski.

² Rozwiązanie pseudonimu: Leo Belmont, *Moje ultimatum. Do „Szanownego” Pana Samuela Hirszhorna* (pseud. „Sat. Hum.”), „Wolne Słowo” 1911, nr 143, s. 24.

³ L. Belmont, *Dlaczego zabitem człowieka*, „Wolne Słowo” 1911, nr 139-140.

cujących z nim autorów. Na pierwszej takiej liście widnieją nazwiska Leona Chorońskiego, Zdzisława Dębickiego, Juliana Ejsmonda, Grzegorza Glassa, Wacława Grubińskiego, Zygmunta Kaweckiego, Antoniego Lange, Jana Lemańskiego, Władysława Nawrockiego, Adolfa Nowaczyńskiego, Artura Oppmana, Włodzimierza Perzyńskiego i Stanisława Sierosławskiego. Nowy redaktor wciąż powiększa grono współpracowników, niemal w każdym numerze następują jakieś zmiany, często jakaś postać pojawia się, aby zniknąć po kilku tygodniach. Gdy po raz ostatni wymienia autorów pisujących do „Sowizdrzała” (połowa 1914 roku), brak jest co prawda w porównaniu z poprzednią listą Z. Dębickiego, W. Grubińskiego, Z. Kaweckiego i St. Sierosławskiego, lecz dochodzi aż 17 nowych pisarzy, z których większość utrzymywała kontakt z tygodnikiem także po rocznej przerwie spowodowanej wybuchem pierwszej wojny światowej. Są to: L. Gołembiewski, J. A. Hertz, M. Karski, Z. Kleszczyński, T. Kończyc, J. Krzewiński (Maszyński), K. Olchowicz (junior), M. Poznański, Br. Puliński, W. Rapacki (syn), Fr. Reinstein, Wł. Rogowski, J. Statkowski, K. Tetmajer, St. Walicki i Wł. Zalewski. Niestety, przeważająca część utworów, szczególnie wierszy satyrycznych, była drukowana anonimowo i nie sposób ustalić ich autorstwa. Trudno też rozwiązać część pseudonimów. Dlatego bez pomocy cytowanych wyżej spisów autorów byłoby niepodobieństwem ustalenie grona współpracowników pisma; wiele z przytoczonych nazwisk nie figuruje pod drukowanymi w „Sowizdrzale” materiałami. Gdy w czasie wojny następują pewne zmiany, można ustalić z pewnością część nowych nazwisk, pojawiających się w redakcji, lecz o wiele trudniej jest autorytatywnie stwierdzić, kto już z Nawrockim nie współpracuje. Spotykamy wtedy wśród nowych nazwisk Alfonsa Dzieciołowskiego, Stefana Godlewskiego, Edwarda Kozikowskiego, Jana Lechonia, Antoniego Słonimskiego (który pojawił się w redakcji już na początku 1913 roku, lecz początkowo tylko w dziale graficznym), Jerzego Szaniawskiego, Brunona Winawera, Kazimierza Wroczyńskiego.

Obok starań o dobór wartościowych piór Władysław Nawrocki dużą wagę przywiązywał do poziomu graficznego pisma. Związał z redakcją wielu artystów-grafików, a o rozumieniu ich roli świadczy fakt publikowania ich nazwisk obok wspomnianych list pisarzy. Wśród kilkunastu artystów spotykamy między innymi Antoniego Romanowicza, Aleksandra Świdwińskiego i Jerzego Zarubę.

Współpraca szerokiego i dobranego grona pisarzy i malarzy uczyniła z „Sowizdrzała” najciekawsze pismo satyryczne tego okresu. Była to zasługa Władysława Nawrockiego, redaktora i wydawcy do 1919 roku, gdy tygodnik przestał się ukazywać.

Nawrocki zmienił układ pisma i rozszerzył znacznie zakres zamieszczanych w nim materiałów. Obok anegdot i wierszyków satyrycznych, które dotychczas podobnie, jak w innych pismach humorystycznych zajmowały w „Sowizdrzale” niemal całe miejsce, wprowadził prozę typu felietonowego, drukował stale dobre poezje bądź autorów polskich, bądź też obcych. Wprowadzono też stały dział recenzji

teatralnych. Teksty przeplatane były ciekawymi rysunkami, prócz nich w każdym numerze były zamieszczane 2-3 barwne lineoryty.

Prowadzenie pisma w niespokojnym okresie poprzedzającym I wojnę światową i w czasie jej trwania przysparzało Nawrockiemu wiele trudności. Kilkakrotnie był aresztowany za wydrukowanie rozmaitych satyr politycznych lub skazywany na kary pieniężne. Można o tym znaleźć informacje w „Sowizdrzale”. Na przykład w 1913 roku został skazany na 300 rubli kary przez warszawskiego generał-gubernatora za wydrukowanie wierszy *Gwałtu rety!*, *Historia, jakich wiele* i *Dobry kawał*, wyszydzających urzędników rosyjskich. W kilka tygodni potem znów był wzywany do sędziego śledczego na wytyczoną mu sprawę sądową za wydrukowanie anegdoty politycznej na okładce jednego z numerów. Redaktor borykał się równocześnie z innymi kłopotami – ogólnie znane były sprawy niewypłacania przez niego honorariów współpracownikom, w związku z czym przytaczano wiele zabawnych anegdot o tym, jak uciekał przed wierzycielami, jak, odbierając telefon, starał się naśladować piskliwy głos swej służącej i oznajmiał, że „pana nie ma w domu” itp.

Jerzy Zaruba w *Pamiętnikach bywalca* pisał:

(...) szukałem zarobków w pokrewnym piśmie „Sowizdrzale”, redagowanym przez Władysława Nawrockiego. Dziwna była to redakcja, a najdziwniejszy był sam naczelny – Nawrocki. Wybitny satyryk, tłumacz Szekspira, skąpiec i spryciarz nie gardzący od czasu do czasu małym szantażem. Raz na tydzień urządzał zebrania współpracowników, na których omawiało się przyszły numer. Podejmował nas wtedy bigosem. Sam wcinał befsztyki i pił koniak, twierdząc, że doktor zabronił mu kapusty. Na tych zebraniach zetknąłem się po raz pierwszy z Antonim Słonimskim, który wtedy jeszcze występował jako rysownik-karykaturzysta⁴.

Redaktor Nawrocki bardzo często drukował w „Sowizdrzale” utwory własnego pióra. Ponieważ zasadniczą dziedziną jego twórczości były tłumaczenia z języków obcych, niemal w każdym numerze pisma dużo miejsca poświęcał na zamieszczenie przekładów poezji, najczęściej zachodnioeuropejskiej. Nawrocki celował specjalnie w przekładach poetów niemieckich. Przetłumaczył kilkadziesiąt wierszy Heinego, sporo poezji mniej znanego Rudolfa Baumbacha, a z literatury angielskiej – Byrona. Zastanawiająca jest liczba języków, z których dokonywał tłumaczeń, szczególnie w późniejszych latach; prócz wymienionych przekładał często wiersze francuskie, włoskie, hiszpańskie, rosyjskie, węgierskie i czeskie. Swoje tłumaczenia Nawrocki podpisywał własnym nazwiskiem lub pseudonimem Iwo⁵. Pod tymże pseudonimem drukował wiele wierszy oryginalnych. Kilkakrotnie używał też pseudonimu

⁴ J. Zaruba, *Z pamiętnika bywalca*, Warszawa 1958, s. 63.

⁵ Rozw. pseud.: L. Belmont, dz. cyt., nr 139-140. Cytat: „Przez życzliwość dla pseudonimu rycerza >Iwo< - i z niewygasłą nadzieją, że Iwo-Nawrocki wzbogaci jeszcze nasz skarbiec literacki...”.

Bhagawatra⁶, a bardzo wiele wierszyków lub anegdot swego pióra sygnował po prostu swymi inicjałami (Wł. N., n, W-n.). Prawdopodobnie jego autorstwa była też duża część zjadliwych wierszyków satyrycznych, zamieszczanych anonimowo. Pewne ustalenie ich twórcy jest dziś rzeczą niemal niemożliwą, ponieważ były to rzeczy nigdzie później nie przedrukowywane, podobnie jak w ogóle większość materiałów z „Sowizdrzała”.

Większość przykładów z literatury obcej była dziełem Władysława Nawrockiego, jednak widnieją tam i inne nazwiska. Poezję francuską tłumaczył najczęściej Michał Gabriel Karski. Związał się on z redakcją w końcu 1913 roku, pisząc początkowo kilka opowiadań i wierszyków satyrycznych. Przez następne lata drukował obok dobrych przekładów także poezje oryginalne, podpisując je najczęściej pseudonimem Mikar⁷.

Drugim tłumaczem współpracującym przez kilka lat z „Sowizdrzałem” był Julian Ejsmond. Zajmował się poezją łacińską, przekładając przede wszystkim utwory Jana Kochanowskiego. Jednocześnie, podobnie jak M. G. Karski, drukował własne wiersze satyryczne i fraszki.

Niemal równocześnie z Władysławem Nawrockim zaczął pracować w redakcji „Sowizdrzała” Leon Choromański. Przez kilka lat zamieszczał opowiadania, recenzje teatralne (we wcześniejszych rocznikach) i wiersze. Podpisywał się pełnym imieniem i nazwiskiem lub skrótem L. Chor., często używał pseudonimów Alciphron⁸, Alc., Acs.⁹, Testis¹⁰. Spośród jego wierszy z tego okresu kilka na pewno zasługuje na przypomnienie; na przykład satyra napisana w związku z koncepcjami wprowadzenia w Polsce monarchii i układaniem przez prof. Buzka konstytucji wiążącej się z tym projektem lub wiersz *Politykom – apolityk* z 1917 roku.

W tych latach w satyrze nasilają się utwory na temat wieloletniej walki między pisarzami i wydawcami wyzyskującymi ich z powodu braku jakiejkolwiek ochrony ustawowej. Świadczy o tym duża liczba wierszy, między innymi bajka Jana Le-mańskiego *O autorach i wydawcach*. Temu tematowi poświęcony jest także felieton Franciszka Reinsteina pt. *Poty śmiertelne na czole wydawcy warszawskiego*¹¹, pisany w związku z utworzeniem w Lipsku funduszu dwóch milionów marek na wydawanie dzieł pisarzy polskich. Oto fragment:

Kapitał dwumilionowy dosięgnie kieszeni pisarzy, którzy pomimo równo-uprawnienia w życiu, nie mieli szczęścia przypodobania się spekulantom rodzimym. Przymierali głodem pomimo talentu i wiedzy, gdyż nie potrafili wmydlić się w łaski

⁶ Rozw. pseud.: informacja Edwarda Kozikowskiego.

⁷ Rozwiązanie pseudonimu potwierdzone przez autora.

⁸ Rozw. pseud.: w spisie autorów w nr. 11 z r. 1913 czytamy: „Leon Choromański (Alciphron)...”.

⁹ Rozw. pseud.: pod recenzją teatralną w nr. 34 z 1913 r. jako autor podpisany jest Alciphron, druga część tejże recenzji w nr. 35, bez wątplenia tego samego autora, sygnowana jest Acs.

¹⁰ Rozw. pseud.: informacja Edwarda Kozikowskiego.

¹¹ „Sowizdrzał” 1918, nr 26, s. 2.

przysięgłych krytyków kurierkowych i nie wytrzymali konkurencji uprzywilejowanych bajkarzy narodowych, których produkty kopami rozchodzą się na straganach naszych oficyn.

Franciszek Reinstein, współpracownik wielu pism humorystycznych, używał w „Sowizdrzałe” pseudonimów: Francesco¹², fr.¹³, F. R.¹⁴, Efer¹⁵. Początkowo drukował wiersze i opowiadania, później felietony na tematy aktualne, które w latach 1916–1918 tworzyły rubrykę *Przez zamazany dymnik*. Często zamieszczał bystre uwagi o problemach życia kulturalnego stolicy. W 1917 roku otwarto kabaret literacko-artystyczny „Czarny Kot”. Po rozwiązaniu „Momusa” był to jedyny kabaret o jakichkolwiek ambicjach literackich, lecz te występy odbywały się tylko na marginesie normalnej działalności rozrywkowej i poziom ich nie był wysoki. Część publiczności występowała przeciw współpracy pisarzy z przybytkiem lżejszej muzy, na co Reinstein ostro zareagował w obronie prawa literatów do twórczości wszelkiego typu:

Poeta Jan St. Mar założył kabaret pt. „Czarny Kot”; publicysta, literat całą gębą i rzecznik „wolności słowa” Leo Belmont na estradzie „Czarnego Kota” ważył się występować.

– To szkandał! – woła zgorszony oszust, świeżo wzbogacony na stęchłej kaszy i nadgryzionej przez szczury brukwi. – Jak się to ci literaci polscy nie szanują! Jak to się dyskredytują i szargają swoim nazwiskiem!

Chcesz wiedzieć co owym kundlom, owym pasożytom społecznym, owym hienom podeszwianym, przeszkadzają kabarety, prowadzone przez Marów i reprezentowane przez Belmontów?

Ponieważ tam, gdzie ofiarowują swoje trudy literaci, nie może być pornografii, ponieważ nie ma tam pałacowego blażeństwa, upadającej a idiotycznej arlekinady, nie ma kretynizmu, oprawionego w ordynarną, z kanału wywleconą gwarę ostatnich mętów miejskich. Król wędzonki i cukrów oraz moczarski zgnięty kiełbasa innych efektów kabaretowych nie zrozumie. Jego ciasna analfabetyczna mózgowica, jego istność, wychowana na krańcach okopów i wypadkami kłęski narodów wyniesiona do godności eleganta kawiarnianego, nie są zdolne pojąć, że im wyższa będzie kultura kabaretów, tembardziej on z całą swoją rodziną zacznie się odróżniać od trzody chlewnej¹⁶.

W latach 1914–1916 zamieścił w „Sowizdrzałe” kilkanaście utworów Jerzy Szański, sygnując je pseudonimem ŻAK (jedno z nich podpisane: żk). Nie były nigdzie później przedrukowywane. Ze względu na piękną formę z pewnością zasługują na rychłe przypomnienie ich czytelnikowi.

¹² Rozw. pseud.: A. Bar, *Słownik pseudonimów i kryptonimów*, t. I, s. 125.

¹³ Roz. pseud.: *Spis autorów* w nr. 23 „Sowizdrzała” z 1913 r.

¹⁴ Kryptonimem tym podpisywał się także w innych pismach humorystycznych.

¹⁵ Rozw. pseud.: Franciszek Reinstein używał wielu pseudonimów, zbudowanych na podstawie pierwszych liter swego imienia i nazwiska. Dwa wiersze podpisane „Efer” nie odbiegają stylem od innych utworów pisarza.

¹⁶ fr., Belmont w kabarecie, „Sowizdrzała” 1917, nr 15, s. 4.

Bohaterem późniejszej o sześć lat sztuki J. Szaniawskiego jest pierrot z pantomimy. Postać jego jest bardzo zbliżona do pierrota z opowiadania *Poczucie stylu* i chyba tam szukać można jego prototypu. Oto korespondujący fragment z „Sowizdrzała”:

Nieopodal kamiennej ławki, gdzie można znaleźć czasem zgubione piórko pawie, dziwny widok rozszerzył oczy dziewczynki: na trawie leży pierrot, jak umarły.

Czyś to ty pierrotcie, co umiesz rozśmieszać do łez? Słuchaj... czy naprawdę jesteś blady, czy tak pudrem ubieliłeś twarz ?

Podniósł na dziewczynkę swe przesmutne oczy.

- Tak, to jestem ja, pierrot Artysta Pantominy Francuskiej... oderwałem się od swej trupy, jak zraniony ptak od stada... Głodny-m śmiertelnie... przynieś mi, słiczna, chociaż kromkę chleba... I znów przymknął oczy.

Zbliżała się do białego domku szybko, jak ćma do latarni i po chwili wróciła leciutko na krańce ogrodu. Na wąskiej dłoni podała pierrotowi trzy cukierki, a każdy, zwinięty misternie w leciutką bibułkę przypominał chcącego odlecieć motyla.

W późniejszych rocznikach pisma Jerzy Szaniawski drukował dwa opowiadania pod pseudonimem Jotes¹⁷. Pisarz zarzucił ten pseudonim, gdy dowiedział się, że jest on używany równocześnie przez karykaturzystę Jerzego Szwejcera.

Gdy po rocznej przerwie wznowiono wydawanie „Sowizdrzała” we wrześniu 1915 roku, między jego aktywnymi i długoletnimi współpracownikami znalazł się Kazimierz Wroczyński. Wśród jego pierwszych drukowanych tam utworów były niepodpisywane *Wycieczki na Parnas warszawski i w okolice*, czyli dowcipne charakterystyki luminarzy kultury warszawskiej¹⁸. Pisane wierszem lub prozą, zawsze odznaczały się wielką zjadliwością. Oto przykłady:

Appel Karol. - Pierwszy lingwista w Polsce, - według alfabetu.

Baranowski Wojciech. - głośny działacz o cichym haśle: „narażę się na największe niebezpieczeństwo, ale niech przynajmniej sam wyjdę z tego cało”.

Bełza Stanisław. - literat o pokroju, którego istnienie Słowacki przewidziawszy w *Beniowskim* zarzekał się, pisząc:

...Bóg mój...

...Nie jest on tylko robaków

Bogiem i tego stworzenia, co - b e ł z a !

On lubi huczny lot olbrzymich ptaków...

Drogoszewski Aureli. Tępe narzędzie do rozcinania kartek w książkach.

Hoesick Ferdynand.

Wszystko się w świecie przewala

Acz nic pod słońcem nie znika:

¹⁷ Autor potwierdził rozwiązanie obu pseudonimów. By je uzyskać, pojechałam do Zegrzynka, do zapuszczzonego nieco dworku, w którym mieszkał ze starą gospodynią.

¹⁸ Autor wskazany przez E. Kozikowskiego.

Ongi-śmy mieli Kaftala.

Dziś zasie mamy Hoesicka.

Jeske-Choiński Teodor. Asceta brzydzący się seksualizmem i kobietą do tego stopnia, że na świat przyniósł go bocian w żółtej bibulce.

Ochorowicz Julian. Lekarz na rozdrożu: latającej nerki i wirującego stolika.

Rodziewiczówna Maria. Po *Próchnie* Berenta – najczcigodniejsze próchno w literaturze polskiej.

Zalewski Kazimierz. Z hortensją w klapce całe życie gramoli się tylnymi schodami do Talii. Zresztą typek zabawny do tego stopnia, że gdyby Warszawa nie posiadała „Kazia”, należałoby go stworzyć.

W tym samym roczniku „Sowizdrzała” Wroczyński pisał cotygodniowe felietony o tematyce aktualnej pod pseudonimem Rujwid¹⁹. W późniejszych latach zamieszczał dużo luźnych utworów pisanych prozą. Kilkakrotnie spotyka się też jego nazwisko w dziale recenzji teatralnych, jednak nie jako recenzenta, lecz autora krytykowanej sztuki. Gdy sztuka Wroczyńskiego i Winawera pt. *Miss Mary* została wystawiona w Teatrze Polskim, ówczesny recenzent teatralny „Sowizdrzała”, Antoni Słonimski, pisał:

Wiedząc, że blade sztuki runą,
Dając „Miss Mary” swą, na afisz
(Gdy dobrze strzelasz, wtedy trafisz,
A nim wystrzelisz, dobrze wymierz)
Zawarli sprytny pakt z fortuną:
Tłusty Kazimierz,
Chudy Bruno.
Nie chcę przypuszczać, by burleski
Przyczyna była – pusta kieszeń,
Aby autorzy, kosztem zrzeszeń,
Podreperować chcieli kieski.
– Jedno mnie tylko trapi nieco,
Że chociaż byli obaj świetni,
Wychodząc w „Polskim” z pyszną hecą,
Zbyt temperament mieli „Letni”.
I także wyznać w końcu muszę,
Że szczytem będzie wszelkich przymierz,
Kiedy pan Bruno zajdzie w tuszę,
Albo gdy schudnie pan Kazimierz²⁰.

Drugi współautor *Miss Mary*, Bruno Winawer, należał także do redakcji „Sowizdrzała”. Wszedł tam później od Wroczyńskiego, utwory jego spotyka się najczęściej w rocznikach 1917 i 1918. Nie podpisywał ich nigdy własnym nazwiskiem,

¹⁹ Rozw. pseud.: A. Bar, *Słownik pseudonimów i kryptonimów*, t. II, s. 119.

²⁰ „Sowizdrzała” 1917, nr 18, s. 10.

lecz pseudonimem Chryzostom Pindar lub Chryzpe²¹. Pisywał recenzje teatralne, prowadził rubrykę *Raptularzyk muzyczny*, był autorem wielu opowiadań satyrycznych i anegdot. Do najciekawszych jego utworów należą parodie, na przykład wybranych działów „Kuriera Warszawskiego” lub odczytu o problemach literatury polskiej z okresu wojny.

Wieloletnim współpracownikiem „Sowizdrzała” był Antoni Słonimski. Jak wspomniano, początkowo pracował wyłącznie w dziale grafiki, jego rysunki spotyka się tam od początku roku 1913. I aż do wybuchu wojny red. Nawrocki wymienia go jedynie na liście grafików, mimo że już od drugiej połowy tegoż rocznika drukuje Słonimski pod kryptonimem A. S.²² recenzje teatralne. Jerzy Zaruba wspominał:

Antoni zaczynał wtedy pisać. Stało się to raczej przypadkowo. Nawrocki był chory i prosił Słonimskiego, żeby dorobił za niego dowcipne podpisy pod rysunkami. Słonimski zrobił to tak dobrze, że od tego czasu stale zastępował Nawrockiego. Takie były początki jego kariery literackiej²³.

Rzeczywiście z „Sowizdrzałem” można wiązać pierwsze próby twórczości literackiej Antoniego Słonimskiego, chociaż najwcześniejszy jego utwór, *Wiersz o poecie*, drukowany był w „Złotym Rogu” (w numerze 41, 1913). Przez następne kilka lat nigdzie poza „Sowizdrzałem” nie zamieszcza swych poezji. A tu jego twórczość literacka obejmuje coraz szerszy wachlarz zagadnień. Staje się jego głównym recenzentem teatralnym – ten dział prowadzi aż do roku 1918. W tych samych latach powstaje szereg wierszy Słonimskiego; w każdym z następnych roczników znajduje się po kilka jego utworów satyrycznych, obejmujących łącznie 19 wierszy. O ile wiadomo, 17 z nich nie było dotychczas nigdzie reprodukowanych, podobnie jak trzy tłumaczenia z Alfreda de Musseta, które również ukazały się w „Sowizdrzałe”. Natomiast jego grafiki, zamieszczane początkowo często, pojawiały się coraz rzadziej, w ostatnich rocznikach pisma niemal się ich już nie spotyka. Wyrazem żywych nadal zainteresowań plastycznych pisarza stają się pisane przez niego sprawozdania z wystaw w „Zachęcie”.

W redakcji „Sowizdrzała” Antoni Słonimski poznał Jana Lechonia i odtąd datowała się ich wieloletnia przyjaźń, o czym pisał w poemacie *Popiół i wiatr*:

Było to, Leszku, temu lat dwadzieścia z górą.
Pamiętasz, kiedyś tylko znał mój pseudonim –
„Czy pan Prorok? – spytałeś. – Jestem Pawie Pióro”.
Ale tego wieczora wyszedłeś z Antonim.
I z Prorokiem chodziło już to Pióro Pawie
Dwadzieścia lat szczęśliwych po młodej Warszawie.

²¹ Rozwiązanie pseudonimów podane przez A. Słonimskiego. W *Słowniku* Bara podobnie brzmiący pseudonim, Chryzpin, rozwiązany jest również jako podpis Brunona Winawera.

²² Informacja autora.

²³ J. Zaruba, *Z pamiętników bywalca*, s. 64-65.

Na podstawie tego fragmentu można w przybliżeniu ustalić datę pierwszego spotkania poetów – mianowicie pseudonimu Pawie Pióro Lechoń użył tylko dwukrotnie: w 1917 roku, w numerze 38 z 23 września pod recenzją teatralną i w numerze 39, gdy wydrukowano jego satyryczny dialog między Kornilowem i Kiereńskim *Rywale*. Spotkanie musiało nastąpić mniej więcej w tym czasie, ponieważ kiedy indziej Lechoń przedstawiłby się prawdopodobnie jako Rafał Chochoł²⁴; tego pseudonimu używał znacznie częściej.

„Rafał Chochoł” sugeruje, że wiersz *Bajka o Kilińskim*²⁵, sygnowany pseudonimem „Rafał”, był prawdopodobnie pióra Lechonia. Hipotezę tę zdaje się potwierdzać i styl utworu, niektórymi akcentami bardzo przypominający późniejszy wiersz o Piłsudskim. Oto jego fragment:

Zatrzymaj konie, markizo ty drżąca,
Na pana majstra spójrz ręce czerwone,
Bo to jest ręka mściciela karząca,
Która królowi zdejmuje koronę,
A jako płomień im jutro zaświeci
I matkę z grobu powoła dla dzieci.

Od Bernardynów już wałą we dzwony,
Lud bije czołem na progach świątyni.
Pan Zmartwychwstały do Polski wskrzeszonej
Zstępuje z Hostii i pokój jej czyni.

.....

Od Bernardynów już wałą we dzwony.

W tych samych latach, w których Lechoń był związany z „Sowizdrzałem”, powstały jego satyry polityczne, zebrane później w tomie *Królewsko-polski kabaret*. Podobne wiersze, powstające najczęściej pod wpływem wydarzeń politycznych, natychmiast po napisaniu drukowane były przez autorów w prasie. Jak wynika ze wstępu do wydanego w 1920 roku tomiku, w którym mówi o „wierszach i piosenkach, rozrzuconych dotąd po czasopismach i broszurach”, taka sama była droga satyr Lechonia. Jednak w „Sowizdrzałe”, tygodniku satyrycznym, z którym poeta był silnie związany, udało mi się odnaleźć pierwodruki tylko dwóch z nich. Jednym jest zamieszczona w formie niemal identycznej satyra *Jak to na Mazowszu*, figurująca w tomiku pod zmienionym tytułem *Wiersz napisany z abominacji*. Autor w tygodniku ukrywa się pod pseudonimem Nils. Różnice między obu utworami sprowadzają się do odmiennego brzmienia drugiej zwrotki. W pierwodruku czytamy:

²⁴ Rozwiązanie pseudonimu – A. Słonimski.

²⁵ „Sowizdrzał” 1917, nr 14.

Bo choć animusz rycerski w nas mieszka
 Nie to słuchamy, co Mars nam opowie,
 Jeno, co byle opowie nam weszka,
 I tako żyjem, jak zechcą bogowie.

W *Wierszu napisanym z abominacji*, wydrukowanym w 1920 roku, a więc zmienianym już na pewno po powrocie Piłsudskiego w listopadzie 1918, ta sama strofa przybrała brzmienie:

Bo choć w nas żywie animusz rycerski,
 Nie to słuchamy, co Mawors nam powie,
 Jeno, co powie On... Belwederski,
 I tak żyjemy – jak zechcą bogowie.

W trzecim wierszu jest mowa o generał-gubernatorze warszawskim, Hansie Beselerze, urzędującym w Belwederze.

W roku 1917 wydrukowano w „Sowizdrzale” dwa anonimowe cykle satyr, poświęconych w całości popularnym dostojnikom warszawskim. Były one zatytułowane *Figuranci Księgi Tęczowej* i *Kandydaci do Nowej Wymownej Księgi Tęczowej*. Nasuwa się tu hipoteza autorstwa Lechonia. Przemawia za nią kilka względów. Najważniejszym argumentem jest identyczność zamieszczonego w „Sowizdrzale” w ramach jednego z tych utworu *J. Mikułowski-Pomorski* z wydrukowanym w *Królewsko-polskim kabarecie* wierszem *Pan Pomorski*.

Interesująca jest niemal zupełna zbieżność doboru postaci w satyrach, ukazujących się w tygodniku z bohaterami *Królewsko-polskiego kabaretu*. Podobne jest ustosunkowanie autorów do tych postaci, wyśmiewają te same cechy ich charakterów i te same ich poczynania. Lechoń tak pisze o Dziewulskim w wierszu *Tymczasowej Rady Stanu Polonez*:

Zaś pan Dziewulski, choć ekonomista,
 By się pokazać, z okazji korzysta,
 Brylanty na nim lśnią na wszystkie strony,
 Tak się to w Polsce kocha – za miliony.

Zawarta tu aluzja do posagu żony Stefana Dziewulskiego, a córki Kazimierza Natansona, w „Sowizdrzale” była pozbawiona wszelkiej subtelności:

Iżem Natansonównę
 Za żonę wziął to główne.
 To clou mojego bytu,
 Honorów i rozkwitu²⁶.

²⁶ Stefan Dziewulski, „Sowizdrzał” 1917, nr 34.

Nie są to jedyne zbieżności, łączące oba cykle *Księgi Tęczowej* z satyrami Lechonia. Kilkakrotnie trafia się także na te same wyrażenia i epitety.

Jednak są to przesłanki zbyt słabe, by stwierdzić z pewnością, że autorem jednego lub obu z omawianych cykli był Lechoń. Kontrargumenty, przemawiające za tym, że w ramach wspólnego tytułu pisało kilka osób i że tylko tym sposobem znalazł się tam wiersz Lechonia, łatwo dają się wskazać. Najważniejszym z nich jest duża różnica poziomu artystycznego między wierszami z „Sowizdrzała” a *Królewsko-polskim kaba-rem*. Mimo, że kilka lat dzieli wiersze z tygodnika od daty wydrukowania tomiku, że poeta przeprowadzał prawdopodobnie dużą selekcję zamieszczanych w zbioru utworów, różnice między nimi wydają się zbyt duże, by mogły pochodzić spod pióra jednego autora. A omawiane wyżej zbieżności tematyczne można łatwo wytłumaczyć tym, że bohaterami satyr Lechonia byli najczęściej ludzie, których nazwiska powtarzały się w różnego typu wierszykach i paszkwilach; podobnie niektóre, najbardziej rażące cechy charakterystyczne każdego z nich stanowiły najczęściej podstawę podobnych utworów. A więc u Dziewulskiego było to małżeństwo z Natansonówną; podobnie u drugiego zięcia Natansona, literata Juliusza Germana; pisząc o Franciszku Radziwille, kpiono zawsze z jego pracy w milicji; analogicznie było u innych.

Problem autorstwa omawianych satyr pozostaje otwarty. Może do rozwiązania go dopomogłoby odnalezienie pierwodruków wierszy z *Królewsko-polskiego kabaretu*, gdzie prawdopodobnie można byłoby też znaleźć dużo odstępstw od formy ostatecznej, usankcjonowanej w tomiku.

Wielu innych pisarzy było przez pewien czas związanych z redakcją „Sowizdrzała”, inne jeszcze nazwiska spotyka się tylko kilkakrotnie.

Julian Tuwim nie utrzymywał bliższych kontaktów z redakcją pisma. Jednak w roku 1918 ukazały się tam pierwodruki dwóch jego wierszy. Są to: *Wielka Teodora* (w numerze 14) i *Rewolucja w Niemczech* (w numerze 46).

W tomie z roku 1916 znajduje się kilkanaście wierszy lirycznych Edwarda Kozikowskiego, który jednak rozstał się z pismem już w końcu tegoż roku po burzliwej sprzeczce z redaktorem Nawrockim.

We wcześniejszych rocznikach spotyka się, niezbyt często, wiersze Grzegorza Glassa, podpisane pseudonimem Avanti²⁷. W tychże latach (1913, 1914) ukazywało się wiele opowiadań i felietonów pióra Antoniego Langego, sygnowanych Tactiturnus²⁸. Wtedy też bardzo dużo opowiadań i anegdot pisywał Antoni Nowacki jako A. N.²⁹, an, prawdopodobnie także jako Nowotny³⁰.

²⁷ Rozwiązanie pseudonimów w: *Spis autorów* z roku 1913, nr 5.

²⁸ Także w numerze 9 z 1913.

²⁹ Informacja od Edwarda Kozikowskiego.

³⁰ Pseudonim występuje w tym okresie, gdy Nowacki współpracował z pismem. Widoczne są analogie między nazwiskiem pisarza i pseudonimem. W numerze 2 z roku 1913 podtytuł artykułu sygnowanego „Nawrotny” brzmi: *Tabula varsoviensis... ab Antonio Novo-Tny narrata*, co pozwala się domyślać, że autor, ukryty pod pseudonimem, nosi imię Antoni, podobnie jak Nowacki.

Do pisarzy mniejszej miary drukowanych często w „Sowizdrzale” należał Bronisław Puliński, podpisujący się Bropul³¹, B-ski, B. P.³².

W późniejszych rocznikach, gdy zamieszczano w nim dużo poezji wierszy, w dziale tym najczęściej trafia się na nazwiska Zofii Wojnarowskiej, Alfonsa Dzieciółowskiego, Jerzego Rościszewskiego, Stefana Godlewskiego i Stanisława Czornowskiego.

Znaczna część materiałów literackich „Sowizdrzała” pozostaje skryta pod nierozwiązanymi do dziś pseudonimami. Szczególnie w późniejszych latach, gdy dużo miejsca poświęcano felietonom i rozmaitej prozie o tematyce aktualnej, szereg pseudonimów powtarza się w kolejnych numerach pisma.

„Jan Żaba” na przemian z Franciszkiem Reinsteinem prowadzi rubrykę felietonów. „Studniarz” pod tytułami *Listy z ulicy Polnej* i *Listy z Krakowskiego Przedmieścia* omawia problematykę studencką; autor był prawdopodobnie słuchaczem Uniwersytetu Warszawskiego. Poeta „Antropos” zamieszczał między innymi wiersze o tematyce legionowej, jego nieliczne opowiadania świadczą też o pewnych ambicjach satyrycznych. Około dwadzieścia felietonów i opowiadań było sygnowanych przez pisarza, ukrywającego się jako „2x2=5” (a raz, prawdopodobnie omyłkowo, podpisanego „2x2=4”).

Pod kilkudziesięcioma opowiadaniem i felietonami podpisywał się „Ironiusz”. Między poruszonymi przez niego problemami znajduje się szereg felietonów, w których wyszydza ciemnotę i zacofanie Żydów.

Mimo tej ciemnej plamy, „Sowizdrzał” stanowił ważny etap w rozwoju satyry polskiej. Zawierał on utwory niejako prekursorskie w stosunku do satyry dwudziestolecia. Na łamach tego pisma wystąpili pisarze, którzy, jak Lechoń i Słonimski, zajęli wkrótce wybitne miejsce w poezji polskiej.

³¹ Rozwiązanie pseudonimów: *Spis autorów* z roku 1913, nr 40.

³² Informacja od Edwarda Kozikowskiego.

JAK TUWIM SWÓJ MŁODZIENCZY WIZERUNEK KORYGOWAŁ

Tuwim w 1918 roku. Po o rok wcześniej wybuchłym skandalu o *Wiosnę* otoczony rozgłosem; jako apologeta nowego stylu, który skandalizująco i brutalnie rozbijał iluzje, spontanicznie i gwałtownie reagując na świat. Toteż gdy w momencie odzyskania niepodległości wołał o nową poezję dla nadchodzącej Polski, gdy witał ją wierszami, przyjmowano je jako reakcję na dokonujące się wydarzenia, jako niefałszowane odbicie powszechnego entuzjazmu. I manifesty nowej poezji, i radosny witalizm Tuwima wydawały się pierwszym poetyckim wyrazem sztuki Polski odrodzonej. Jego wiersze stały się wzorcem dla setek naśladowców, narzuciły styl poetycki dominujący przez całe dwudziestolecie.

Otworzył – mówiąc patetycznie – nową epokę polskiej poezji. Tyle że – wbrew powszechnemu wówczas mniemaniu, otworzył ją wierszami pisanymi często przed wielu laty, bo one właśnie składały się na tomy *Czyhanie na Boga* (1918) i *Sokrates tańczący* (1920). Niektóre utwory z tych pierwszych tomów Tuwim drukował wcześniej; znano je z „Pro Arte et Studio” z lat wojny, publikował wiersze także – co już wiadomo raczej badaczom niż ówczesnej publiczności literackiej – w dziennikach łódzkich, głównie w 1915 roku. Ale dopiero konfrontacja zawartości tych tomów z rękopisami¹ ukazuje, jak mocno tkwiły one w poprzedniej epoce, pozwala także dostrzec, jak obfita i jak starannie cyzelowana była to twórczość. *Czyhanie na Boga*, *Sokrates tańczący*, znaczna część *Siódmej jesieni* to właściwie rodzaj antologii utworów, pisanych przez Tuwima w latach 1912–1918. Pisanych, przepisywanych na czysto do jedenastu studenckich kajetów, wybieranych od nowa i przepisywanych do mniejszych zeszytów, ofiarowywanych przyszłej żonie, siostrze, przypuszczalnie i innym osobom. Przeglądał kajety, poprawiał, dopisywał na marginesach po roku czy paru latach rozmaite uwagi; śladem tych powrotów do dawnych utworów pozostał także wiersz:

¹ Artykuł powstał w związku z przygotowywaną przeze mnie nową edycją *Wierszy zebranych* Tuwima, w której, w komentarzu edytorskim, zostaną przedstawione wszelkie warianty tekstów, także z zachowanych rękopisów. Zdecydowana większość zachowanych rękopisów poetyckich to juvenilia; korzystałam, dla potrzeb tego artykułu, ze zbiorów Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie oraz Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego. Wiersz inc.: „Jestem dziś sentymentalny...”, fragment wiersza *Pod bodźcem wieków*, wiersz *Tragedia*, fragment *Manifestu* – pochodzą ze zbiorów BUW, nr kat. 237; pozostałe są w Muzeum Literatury.

* * *

Jestem dziś sentymentalny,
 Dziecięco smutny i dziwny,
 Patrzę, na świat tak przetęsknie
 I żał mam w sercu naiwny...
 Listy sprzed laty przerzucam
 I czytam dawne swe wiersze,
 Taka tam szczerłość i smętność,
 Takie to moje – bo pierwsze...
 Dwie fotografie, dwa fiołki,
 Szpilka, trzy listy, kajety –
 Istne muzeum miłosne,
 Ale... muzeum niestety...
 I żał mi, że serce moje
 Też pokrył pył muzealny...
 I czuję, że łzy mam w oczach...
 Jestem dziś sentymentalny.

Nie był więc Tuwim w 1918 roku tylko debiutantem z kilkunastu drukowanymi wierszami w dorobku. Przeciwnie, w chwili debiutu książkowego dysponował ogromną liczbą utworów gotowych; trudem podstawowym przy przygotowywaniu tomu do druku była konieczność dokonania spośród nich wyboru.

Wybierał więc – co nie znaczy przecież, by istniała jakaś jakościowa przepaść między wierszami drukowanymi i tymi, które pozostały w rękopisie; można raczej przypuszczać, że wybrał tyle, ile zmieścił w pierwszych tomach.

Patrzył wtedy na te wiersze już z paroletniego dystansu, wybierając kształtował określony obraz swej twórczości – i osoby. Niektóre cechy eksponował, inne zamazywał. Pozostawił więc w rękopisie na przykład stosunkowo wiele erotyków – proporcjonalnie dużo ich więcej w kajetach juvenalnych niż w druku. Pomiął wiersze najbardziej polemicznie ostre, na przykład ataki skierowane przeciw krytykom literackim. Oto taki charakterystyczny, jeden z pominiętych w druku, fragment wiersza programowego *Poezja*:

[...] wam na kpinki, drwinki,
 Na śmiech bydlęcy, fochy i przekąsy –
 Moje cudaczne poetyckie pląsy:
 I sen dziewczynki, gdzie są mandarynki,
 I pieśń o chuci phallicznie-słonecznej,
 Którą śpiewamy MY, te «gołowasy»,
 Przyszli ojcowie rasy «niebezpiecznej»,

Wam, liliputy, pętaki, kretynki,
 Moi wy śliczni! moi wy serdeczni!
 Wasze to prawo, co prawda, «krytyczne»!
 (We mnie na pewno świat krytyka straci,
 Nie będę, jako wy, «krytykastraci»)
 Bo ja – to zwierzę: dzikie i liryczne,
 Ot – jakby młody jelen z sentymentem,
 Zuchwały samiec wśród potulnej braci,
 Człowiek, co krew swą zmieszał z atramentem
 I pisze Dzieje – dziwne, chaotyczne,
 W smutku, nirwanie lub radości świętej!
 Otóż wy wszyscy, poeci, artyści,
 Krytycy tudzież inni literaci,
 Sztuk mecenas i albo adwokaci,
 Błahych zdolności zręczni onaniści,
 Litepartaccy goście, wierszoczyty,
 Inteligenci, «-iści» rozmaici:
 Idealiści, co «pną się na szczyty»,
 «Nietzscheaniści», «hegliści», «najldziści»,
 – Wam ten poezji obraz znakomity.
 Pardon! Nim zacznę, o jedno was proszę.
 Byście się bardzo i mocno gniewali,
 Byście «pogardą» swoją na mnie «plwali»,
 Toż to jedyne są moje rozkosze,
 Gdy się pienicie w swojej wielkiej racji,
 Gdy się śmiejecie ze słów «PATOS DALI»,
 Z słów «nieprzyjętych» w wierszach, z «egzaltacji»,
 z «skandalów», które w «skarbie ducha» wnoszę
 I z mej pijanej ze siebie libacji!
 [.....]
 O, estetyki, «este-łyki», smyki!
 Lub ty książkowy filozofie-molu,
 Lub ty, harfiany «poeto» – «Eolu»!
 (Z MUZYKI – jakieś czyniący «muzyki»!)
 Nie pojmujący mej strasznej «herezji»!
 Przypominacie mi pannę na polu,
 Co woła słodko: «Ileż tu poezji»!
 O, małpki śmieszne z artystycznej kliki,
 Krzyczące, że jest w «piękna anestezji»!
 [.....]

Gdy Tuwim wybierał z kajetów juvenalnych utwory do druku, brał pod uwagę wyraźnie nie tylko kryteria artystyczne. Bardzo ważne okazały się także zabie-

gi stylizacyjne, modelujące ukazywany poprzez wiersze wizerunek własnej osoby (celowo wprowadzam to określenie, a nie „osoba autora” czy „podmiot liryczny”; dla zmieniania obrazu „podmiotu lirycznego” w oczach czytelników z pewnością nie dokładałby starań). Usunął utwory, w których pisał o swym semickim rodowodzie; korygował prezentację swego zewnętrznego wyglądu; i przede wszystkim – już wtedy bardzo wyraźnie przemieniał obraz stosunku swej twórczości do tradycji literackiej.

Nad wspomnieniami Tuwima z dzieciństwa unosi się obraz pogromu żydowskiego w 1905 roku, kiedy to nawet wywieziono go na kilka tygodni z Łodzi do Wrocławia; przed I wojną nasilały się znów ruchy antysemickie. Jest w młodzieńczych rękopisach poety kilka wierszy, związanych z tymi wydarzeniami – lub wyrosłych z tej atmosfery. Artystycznie z pewnością nie są to utwory najlepsze, ale za to bardzo ostro i interesująco wybijają się w nich zarówno gwałtowne, później ani w druku nigdy tak mocno niepodkreślane, poczucie solidarności z maltretowanymi Żydami, jak bolesna świadomość przynależności do dwóch tradycji. W dedykowanym Witoldowi W[andurskiemu] wierszu *Pod bodźcem wieków* pisał: „Semicka we mnie płynie krew,/ Gorąca krew, namiętna krew” i zaraz uzupełniał: „O, Arje! jakże kocham was!/ O, Polsko-słońce! Kraju mój!”.

Ten swoisty dylemat, którego refleks znajdzie się później w wierszu *Żydek*, stanowił też temat *Tragedii*:

Największa ma tragedia – to, że żydem jestem,
A ukochałem Arjów duszę chrystusową!
Że się coś zrywa czasem jakimś wewnętrznym gestem
I przypomina Rasy dziedziczność wiekową!
Że się coś czasem nagłym, zwierzęcym odruchem
Buntuje we krwi mojej, dziko, nieświadomie,
I walczy krew semicka z jakimś innym Duchem
W wichurze wieków przeszłych i w myśli ogromie!
I dumny jestem wtedy – ja, arystokrata,
Syn ludu najstarszego – mesjanizmu zaród!
I wstyd mi, że się ze mną krwią tą samą brata
Bezdomnych tchórzów podły, niewolniczy naród!

Tych wierszy Tuwim nie wybrał do druku. Inaczej stylizował siebie i swój stosunek do świata, zacierał wyraźnie tego typu dylematy. Wolał eksponować te cechy, które ukazywały go jako tryskającego witalną żądzą życia, zbuntowanego pięknoducha, lekko idącego przez świat. Odpowiedniemu retuszowi poddał również opis swego zewnętrznego wyglądu; z wiersza *Symfonia o sobie* wyleciał w druku fragment:

Jest wysoki i ma ciemne włosy,
Jasne oczy ma i nos semicki,
A na lewym policzku ma plamę,
Plamę ciemno-brązową, okrągłą,
[...]

Wspomniana tu „myszka” na lewym policzku znikła także, jak wiadomo, ze wszystkich zdjęć poety. Ale najciekawsze oczywiście są korektury dotyczące sprawy stosunku Tuwima do tradycji. Szczególnie romantycznej. Gdy był już poetą bardzo dorosłym, w tle swej twórczości ukazywał zawsze Mickiewicza; czasem sugerował, że powiązania te były nader istotne już od dzieciństwa, gdzie indziej wspominał, że Mickiewicza i Puszkina pokochał później dopiero. W każdym razie wyraźnie brak podobnie wyznawczych deklaracji dotyczących stosunku do Słowackiego. Wspomnił raz, że w razie konieczności oddałby Mickiewicza – z rozpaczą, Słowackiego – z żalem², gdzie indziej wyznał: „ziewałem nad Słowackim i Puszkinem”³. Czytelnik wspomnień Tuwima, w których tak wiele jest wzmianek o jego przeżyciach literackich, nie znajduje w nich żadnych podstaw do podejrzeń, iż z romantyków to Słowacki był najważniejszym mistrzem jego twórczości młodzieńczej.

Lektura utworów niepublikowanych ukazuje inny porządek stosunku do tradycji, do lektur, niż ten znany z publikowanych wspomnień. Dominuje wprawdzie i tu Staff, ów wzorzec najbliższy; obok niego Walt Whitman. Ale w obrębie tradycji romantycznej, dla twórczości Tuwima zawsze przecież najbardziej ważnej, rzecz wygląda odmiennie. Mickiewicza brak niemal zupełnie. W jednym z wierszy Tuwim zacytował go wprawdzie: „Kobieto, puchu marny – jak mówi Mickiewicz”, na marginesie któregoś erotyku zanotował „Jeżeliś kiedy był we mnie, o Konradzie, to w tym miejscu umarłeś” i dalej: „Natus est Gustavus!”. To wszystko. A i w kształcie młodzieńczych utworów trudno byłoby odnaleźć wpływy mickiewiczowskie. Słowacki natomiast jawi się w tych wierszach wszędzie, to on stanowi dla młodego Tuwima autentyczny wzorzec romantycznej tradycji. Wspomnijmy od razu, że uzupełnia ją bardzo mocno nazwisko Chopina: są poświęcone mu wiersze, są wiersze pisane jakby do jego melodii. Pojawiają się także – najczęściej przy mottach – nazwiska Heinego, Schillera, raz – Norwida.

W paru utworach Tuwim sam wyznawczo określał swoje miejsce pośród tradycji. Oto początek pominiętej w druku trzeciej części wiersza *Manifest*:

Mówił do mnie piorun – Słowacki,
Mówił do mnie mędrzec smutny – Staff,
Mówił do mnie starzec olbrzymi – Whitman,

² J. Tuwim, *Książki, Chopin i Inowódz*. Cyt. za: tenże, *Dzieła*, t. 5, *Pisma prozą*, Warszawa 1964, s. 68.

³ Tamże, s. 61.

Mówił do mnie ocean szalony – Rimbaud,
 Mówił do mnie najsmutniejszy z smutnych – Chopin,
 Mówił do mnie cyklon, szatan, ogień – Beethoven,
 Mówił do mnie świt różanokrzewy – Chrystus,
 Mówił do mnie Duch przeszły i przyszły – Ów – Bez Imienia.

Fragment (zdefektowany) prozy poetyckiej, zatytułowany *Myśli*, rozpoczyna się wycienieniem ksiązek z własnej biblioteki; na pierwszym miejscu znów – Słowacki:

„Patrzę na rzędy ksiązek, ustawionych [...] Słowacki, Szajnocha, Pismo Święte, Starożytn[ości] słow[iańskie], Marinetti, Helo, Słownik staropo[lski], Heine, Leleweł i setki innych”.

Najbardziej bodaj patetyczną deklaracją uczuć do autora *Beniowskiego* jest prozajiczny fragment *Rzecz o Juliuszu Słowackim* (rękopis zdefektowany), w którym pisze o bezustannie ciężącej nad nami „sile fatalnej”, widzi egzaltowanie poety jako „ogień wżerający się w cmentarzyska” itp.

Potwierdzeniem tych wyznań była ciągła obecność Słowackiego w tekstach poetyckich Tuwima. Czerpał z niego motta. Niektóre pozostały w druku – na przykład to, określone jako pochodzące z VI pieśni *Beniowskiego*, poprzedzające *Dziedzilię*:

Są tajemnicze
 Błyski, szmery krwi, nieznanne szelesty
 W głębi dziewiczych ciał – i te się budzą
 Bóg wie jak...

W żadnym ze znanych mi wydań takiego fragmentu w układzie szóstej pieśni nie znalazłam. Co gorsza, styl wydaje się bardziej Tuwima niż Słowackiego; może to odległa parafraza, jakie Tuwim często uprawiał?

Dobór mott z poszczególnych autorów interesująco wskazuje, z jakimi dziełami przeżyć poetyckich kojarzyły się w świadomości Tuwima poszczególne nazwiska. Patronem erotyków bywał najczęściej – co zrozumiale – Heine; dla mott ze Słowackiego natomiast kontekstem najbardziej charakterystycznym są wiersze w tonie rozrachunku ze współczesnością lub programowym. Stał się dla Tuwima patronem postawy buntowniczej, szyderczej. A więc w wierszu *Źle, psiakrew!* zadekowanym „chamom i kabotynom” jest motto z *Beniowskiego* „Piszę – bom smutny i sam pełen winy”; był Słowacki podpisany pod mottem satyrycznego wiersza *Moi „bliźni”* itp.

Już wtedy Tuwim – co potem stanie się cechą charakterystyczną jego twórczości dojrzałej – lubił wplatać we własne teksty fragmenty utworów innych autorów. Tu też parokrotnie pojawia się Słowacki – i to w wyjątkowo ważnej roli, jak u szermierz tych poglądów, z którymi utożsamiał się młody Tuwim:

A niech wam święte słowa Juliuszowe
 Fanfara grzmią, do Boju zwa.

Do Boju, co jest Przymierzem
Z Jego pacierzem i moim pacierzem!
PACIERZ MÓJ - TRZASKANIEM SKAŁ!
PACIERZ MÓJ - PIORUNEM Z CHMUR!
PACIERZ MÓJ - WULKANEM STAŁ
PŁOMIENIEM STAŁ NA SZCZYCIE GÓR.

Druga z przytoczonych strof z wiersza *Pieśń Silnych* to oczywiście fragment I aktu *Samuela Zborowskiego*. Na marginesie warto dodać, że Tuwim – zgodnie mniej więcej z tradycją młodopolską – sięgał przede wszystkim do twórczości Słowackiego z lat późnych; poza wielokrotnie przywoływanym wierszem *Testament mój* to *Beniowski* i liczne odwołania ogólne do mistyki. Bo też, sądzę, uwielbienie dla Słowackiego Tuwim przejął z dziedzictwem modernistycznym; i dlatego, gdy wyzwała się spod wpływów młodopolskiej poetyki, również ono tak szybko zaniknęło.

Wymieniane powyżej ślady lektur Słowackiego to tylko świadectwo świadomego eksponowania przez młodego Tuwima tych właśnie powiązań. Oczywiście nie jest to żadna odpowiedź na ewentualne pytanie o żywotność, poprzez Słowackiego przejmowanej, tradycji romantycznej. Ogólne wrażenie, odniesione po lekturze wszystkich zachowanych młodzieńczych rękopisów Tuwima lokuje je bliżej jeszcze tradycji młodopolskiej niż wybór zaprezentowany w *Czyhaniu na Boga* i w *Sokratesie tańczącym*.

A jednak był Słowacki dla młodego Tuwima tradycją najbardziej serio. Był autentycznym wzorcem poetyki, stylu. Przede wszystkim jako autor *Beniowskiego*. Sądzę, że już w polemicznym ukształtowaniu cytowanych tu fragmentów *Poezji* można poznać stylizację według *Beniowskiego* w próbie stworzenia owego ironicznego i szyderczego dystansu, z jakim młody autor – za Słowackim – pragnie odnosić się do świata.

Drugi trop wydaje się bez porównania ważniejszy. *Kwiaty polskie* są znane jako jedyny poemat dygresyjny Tuwima; wiadomo (choćby z notatek na tuwimowskim egzemplarzu *Pana Tadeusza*), że pragnął uchwycić styl i technikę pisania Mickiewicza. Nie był to jednak ani jedyny, ani pierwszy poemat dygresyjny w twórczości Tuwima; pierwszym, niewielkim wprawdzie rozmiarami, była pierwotna, rozbudowana wersja *Piotra Płaksina*. Znamienne, że w druku (z korzyścią dla utworu) z tej próby stworzenia poematu dygresyjnego nie pozostało śladu. Wzorcem dla młodzieńczego *Płaksina* był z pewnością *Beniowski*. To z niego ów ironiczny dystans, za którym poeta skrywa swe uczucia, z niego sposób stylizacji osoby autora i charakter przejść od narracji do” dygresji. I owa swobodna lekkość toku wiersza, którą Tuwim naśladował. Oto fragment wariantu, następującego w rękopisie po pierwszej części utworu:

Szaro i szaro i szaro,
pusto i tęskno – lecz za czym?
Tak przecie musi być! Jednak

W sercu coś często lka płaczem...
Lecz rozczuliłem się zbyt, to przecież ja – a to oni,
nie każdy wie co to smutek,
nie każdy wzrokiem dal goni...
Może bohater mój wcale
nie czuł tej pustki na stacji,
ot – żył, wstał rano do pracy,
pracował aż do kolacji...
Lecz te kolacje i klarnet –
– to właśnie... Ale dość tego,
porządku będę się trzymał,
zbyt prędko rymy mi biega...
A więc opowiem rzecz całą
w chronologicznym porządku,
troszkę-m się zagalopował
zaraz z samego początku.

I dalej następuje, przerywana drobnymi dygresjami, bardzo obszerna relacja o losach telegrafisty Piotra Płaksina. Skrócenie utworu wyszło mu na dobre, ale i zatartło pokrewieństwo twórczości Tuwima z poetyką Słowackiego. Staranne usuwanie tych śladów, minimalizowanie roli Słowackiego dokonało się – zauważmy – już w 1918 roku, już z *Czyhania na Boga* ten patronat z trudem tylko, wedle mott, dałoby się odczytać.

Lektura juvenalnych rękopisów Tuwima jest pouczająca i ciekawa dlatego właśnie, że między powstaniem utworów a możliwością opublikowania większej ich liczby w tomie upłynęło parę lat, że było tych wierszy tak wiele, iż poeta mógł (i nawet musiał) poddać je ostrej selekcji, że patrzył na nie już z dystansem – i, wybierając niektóre do druku, świadomie kształtował swój wizerunek według obrazu, jaki wtedy, w 1918 roku, chciał ukazać publiczności.

I jeszcze jedno. Nie był więc Tuwim po 1918 roku tak euforycznie lekko, żywiołowo reagującym na wypadki piewcą nowego czasu. Owszem, całkiem przemyślnie gospodarował swymi obfitymi, gromadzonymi od szkolnej młodości zapasami wierszy. Inna rzecz, że potrafił nimi manipulować tak, iż ów efekt spontanicznego odzewu na chwilę, efekt poetyckiej nadwrażliwości, osiągnął. Uwierzyli mu i czytelnicy, i krytycy, a na koniec i historycy literatury.

TUWIM – POETYCKIE WIZJE ŁODZI

Gdy Tuwim przenosił się w 1916 roku z Łodzi do Warszawy, by rozpocząć studia prawnicze, miał 22 lata. W *Kwiatach polskich* wspominał ten moment, opuszczenie na stałe miasta *snów i zmór*, jakby to była droga na własny pogrzeb, podróż, w której pociąg w wyobraźni przemienia się w karawan. Żal rozstania z miastem łączył z lękiem przed nieznanym:

Nie miałem serca dla Warszawy,
Gdy opuszczałem miasto Łódź,
Polami sunął zmierzch zmurzały,
Pogrzebem w mgłę się pociąg włókł,
Drogę mą w przyszłość zawieszały
Kotary ciężkich, starych dum,
Strach stukał we krwi, przemieszany
Z usypiającym stukiem kół,
A powróż wspomnień mokry, szary,
Taszczył za sobą miasto Łódź
[...]
Kamienie lepiej w Łodzi tłuc,
I po co jechać do Warszawy?

(cz. II, w. 1744-1754,1781-1782)

Czy rzeczywiście z takim żalem wtedy odjeżdżał i „nie miał serca dla Warszawy”? Tak, jeśli wierzyć *Kwiatom polskim*. Dwa bowiem są w poemacie ważne miasta: Łódź i Warszawa. Oba owiane urokiem wspomnień, ale każde inaczej, jak inna była ich rola w biografii Tuwima. Warszawa – miasto młodzięcych (jeszcze) szaleństw, kawiarni poetów „Pod Pikadorem”, potem dorosłości. Łódź – o wiele mocniej okryta mgłą poetyczności. Za sprawą bukietów pana Dziewierskiego, apteki, spowitej aurą tajemniczości, w której rosła Aniela, a także przeistaczającej całość perspektywy dziecięcego (czy młodzięcego) spojrzenia. Szarość Łodzi rozbłyskuje barwami przebogatych bukietów, ich zapach unosi się nad miastem. Z innego kontynentu, z perspektywy kilkudziesięciu lat jakże sielski i malowniczy wyłaniał się obraz: urokliwieje dom rodzinny i ojciec, sentyment pokrywa szkolne kłopoty, do rangi towarzyszącego poetyckim uniesieniom Pegaza wznosi się blaszany koń na dachu kamienicy *vis-à-vis*.

Pamięć i wyobraźnia, spojone we wspomnieniu miasta lat dziecińczych i pierwszej młodości, idealizują. Wszystko w tej Łodzi piękne, nawet ówczesne tragedie błakły, przeinaczały się cudownie. Nad Łodzią unosi się uciecha występów wędrownych aktorów, teatrzyków, karuzelu, szopek kościelnych. Rewolucja, oglądana z balkonu, jak w teatrze, daje początek dziejom bohaterów poematu, Kazka i Anieli. I nawet nędza zdaje się tylko organicznym uzupełnieniem pięknych kolorów miasta: rynsztoki przetwarzają się w barwne kałuże, a papierowe łódki w jachty z marzeń:

Bałuckie limfatyczne dzieci
 Z wyostrzonymi twarzyczkami [...]

Upiorki znad cuchnącej Łódki,
 Z zapadłą piersią, starym wzrokiem,
 Siadając w kucki nad rynsztokiem,
 Puszczają papierowe łódki,
 Na ścieki, taczające tłusto
 I płyną w ślad nędzarskich jachtów
 Marzenia

(cz. I, w. 1122-1123, 1126-1132)

I zdumiewająca może się wydać konkluzja tego fragmentu:

Jeżeli jakiej wody pragnę,
 Tam w Europie, to kałuży,
 Gdzie dziecko schyla się nad bagnem
 I puszcza o zmroklivej chwili
 Statki wątlejsze od motyli...

(cz. I, w. 1141-1145)

Wszystko z oddalenia wygładza się, pięknieje, a Łódź snuje się we wspomnieniach jako kraina szczęśliwego dzieciństwa. I młodości, oczywiście:

Ach, i to także było w Łodzi,
 Pod nocną burzą drzew szumiejących!
 Od wolnych ptaków i od włóczęg
 Radosnej się mądrości uczę,
 Bez celu idę w świat, jak oni,
 Przyszłość wesołym witam krzykiem

(cz. I, w. 973-978)

Mógłby Tuwim – za Słowackim – powiedzieć, że „Oto jest romans życia, nieskładany w niczem” tym bardziej, że ówczesne łódzkie realia też wiernie są zapisane. Czasem tylko jakiś drobiazg się nic zgadza, ale z reguły badacze zwracają uwagę na prawdę każdego szczegółu. Pisał o tym w świetnym szkicu Ryszard Wierzbowski,

podkreślając jednak rangę poetyckiej transformacji faktów; Tadeusza Januszewskiego zachwyca zaś niezwykła pamięć Tuwima, odtwarzająca nawet kolory i trasy linii tramwajowych.

Pora postawić pytanie – czy taki obraz Łodzi zawsze towarzyszył wierszom Tuwima? Czy tak ją widział i kochał wtedy także, gdy w niej mieszkał? Czy może tak mu w sercu rozbłysła w emigranckiej tęsknocie? Czyli: czy tak zawsze było, czy tak jak niegdyś ją widział pamiętał także po latach, czy też tonację utworu dopasowywał do kanonu poetyki wspomnień „kraju lat dziecińczych”?

Co mu w głębi duszy grało, dociekać nie warto; i próżne byłyby to wysiłki. Można natomiast porównać wizję Łodzi z *Kwiatów polskich* nic tylko z ówczesnymi realiami, ale przede wszystkim z wcześniejszymi jej poetyckimi obrazami. Wyłaniają się z młodzieńczych tekstów Tuwima, pisanych w Łodzi, dwie różne ich wersje. Pierwsza – z rękopiśmiennych kajetów, druga – z wierszy publikowanych w *Czyhaniu na Boga* (1918) i w *Sokratesie tańczącym* (1920). Składają się na te książeczki głównie utwory powstałe jeszcze w Łodzi.

Większość wierszy z tych tomów opowiada o miłości, dzieją się w russoidalnym sielskim pejzażu; pełno w nich również wyznań o poetyckiej mocy twórczej; tłem i tematem niektórych jest także miasto, ale Łodzi, konkretnej Łodzi, jakby w nich nic było. W *Kwiatach polskich* Tuwim pisał o Łodzi wprost, jej tożsamość nie podlega żadnym wątpliwościom; zupełnie inaczej jest w debiutanckich tomach.

Wczesnym czytelnikom nic zostały podane wskazówki, które by pozwoliły wyróżnić Łódź i łódzkie wiersze. Fragmenty Warszawy czasem można było zlokalizować, na przykład dzięki tytułowi *W Warszawie* lub, jak w *Ranyjulk*, dzięki dedykacji. Przypisać odpowiednie utwory Łodzi było o wiele trudniej – niektóre miały wprawdzie pierwodruki w łódzkich gazetach (nie tak ważne wiersze, jak *Wiosna!*), ale który czytelnik to pamiętał! – a dzięki usunięciu dat miejsce ich narodzenia zostało skutecznie zakamuflowane. Powstawała wspólna, ogólna wizja miasta, a że od kilku już lat Tuwim mieszkał w Warszawie, że o Warszawie wspominał wyraźniej, więc i skojarzenia całości z Warszawą łatwiej mogły się nasuwać.

Są więc ulice i ulicznice, mury i kamienice i jest MIASTO, od nędzy, deprawacji, smutku i wyuzdania *Wiosny* po radosne upojenie szczęściem życia, życia w mieście:

Powiniem z wiatrami po ulicach się włóczyć,
W tłoku miast, podchmielony, radośnie się chwiać, [...]
Od rynsztoka do ściany zygzakiem się toczyć,
Ranyjulek! swobodny, bezpański, jak pies!

(wiersz *Ranyjulek*)

To akurat fragment wiersza, powstałego już w Warszawie: świadczy o tym dedykacja dla Kazimierza Wierzyńskiego, poznanego w kawiarni „Pod Pikadorem”, i świadczy tonacją utworu, współgrającego z wierszami z *Wiosny i wina*.

Ale to w Łodzi przecież powstała najgłośniejsza *Wiosna*, która w 1918 roku zgrozę i protesty wywołała wśród bogoojczyźnianych warszawskich studentów; i miała już wtedy ten sam kształt, w jakim po trzech latach ukaże się w „Pro Arte et Studio” a potem w *Sokratesie tańczącym*. W druku jednak na łódzką proveniencję utworu nic nie wskazuje. Bo chociaż w rękopisach pod wielu wierszami są postawione daty – Tuwim w druku spod tekstów wszystkie je usunął. Także tę spod *Wiosny* – 21 IV 1915.

Łódź (utajona) i Warszawa składały się zatem wspólnie w dwóch pierwszych tomach Tuwima na obraz miasta. By stwierdzić, w jakiej mierze przez Łódź właśnie był on ukształtowany, trzeba oczywiście sięgnąć do źródła, czyli do wszystkich zachowanych rękopisów młodzieńczych wierszy, w Łodzi napisanych. Od kilku lat zostały publicznie udostępnione dzięki świetnej edycji *Juweniliów*, opracowanej przez Tadeusza Januszewskiego i Alicję Bałakier.

Miłość, poezja, uroda świata. Ten trzeci wątek ukazuje się kontrastowo: sielski, upajający pejzaż wsi (a właściwie letniska) jest przeciwstawiony zaduchowi i mrokom miasta. Po stronic natury zostały zlokalizowane wszelkie bliskie sercu wartości: poczucie swobody, szczęścia, piękno. Miasto, Łódź, staje się ciemnym uosobieniem ZŁA. Przywołuje uczucia smutku rodzinnego domu i nudy: „Szara ulica, szary mur,/ Szare jesienne popołudnie,/ Smutek z wyblakłych płynie chmur...” (*Nuda*).

W tych wierszach nie widać przez okno cudownego konia z *Kwiatów polskich*, jest smutek i szarość ulic, przez które przemykają późni przechodnie. Chorowitym dzieciom nad rynsztokami nie towarzyszą żadne marzenia, które opromieniałyby, jak w *Kwiatach polskich*, ich limfatyczne dzieciństwo. Tu zamiast marzeń jest sentymentalny dramatyzm: „maleństwo,/ Które w rynsztoku szukasz drewnienka kawałka!/ Pewno cię smutek czeka, bolesne męczeństwo,/ Lecz to nic...” [wiersz bez tytułu]; nic go nie czeka, gdyż poeta, bohater wiersza, widzi proroczko w dzieciach znad rynsztoku tylko „załążki miejskich owoców zbutwiałych”.

Gdy Tuwim mieszkał w Łodzi, ukazywał w rozpoczętym cyklu *Miasto* szarych ludzi, sine twarze, ciemne kamienice. „Miasto, dyszące głucho, przytłoczone zmorą Czarnego Strachu, czarnego Milczenia... Zdławiony okrzyk rozpacz, Gród moru. Miasto Trup sinymi na mnie patrzy oczy...”.

Uderza, podobnie jak we wspomnianym przeciwstawianiu bezgrzesznej wsi – miastu, kontrastowość nastrojów: sentymentalne współczucie i ból serca na widok tłumu „ludzi wylęgłych, ludzi małych, szarych, smutnych, życiem miasta potworonym przytłoczonych”, ból, który może ukoić nadejście mistycznego *Chrystusa Miasta*, a z drugiej strony – odraza i pogarda poety, wybrańca: „Wyższy gardzi uciechą tłumu, co wszelkiej nicości/ Z wrzaskiem dłonie wyciąga (*Ad amicum*)”, poety precz odpychającego „tłum – uliczną gawiedź”, bo „nie wam rozumieć gwiazd tęsknotę, tłumy i nie dla czerni święte, czyste boje”.

Pejzaż miasta jest ukazywany z perspektywy zła, wypełzającego na ulice. Miasta chorób i wyzudania. Gamratka wzywa „na płatnej miłości łożo (Gamratka)” w owym mieście wszetecznic, po którym błąka się „stara ulicznica, a *pośród* milczących szarych murów/ Na rogu stoją blade twarze: Skupione, trwożne, tępe, sztywne”.

A na Ciemnej Ulicy
W starej kamienicy
Mieszka wdowiec kulawy
Na dole w piwnicy

(*Pieśń o Kulosie*)

Przytoczone cytaty pochodzą z wierszy, których Tuwim nie opublikował. Wyborem utworów do *Czyhania na Boga* i *Sokratesa tańczącego* kierowały oczywiście głównie względy artystyczne – znalazły się tam wiersze lepsze. Zniknął – z wierszy o mieście – tani sentymentalizm, zniknęło nadmiernie eksponowane młodopolskie „ja”. Weszły do tomików przede wszystkim te wiersze łódzkie, w których miasto-moloch jest nie tylko zdeprawowane, lecz groteskowe w swej ohydzie. Jak w dytyrambie *Wiosna*:

O, ty zbrodniarzu cudowny i prosty,
Elementarny, pierwotnie wspaniały!
Ty gnoju miasta, tytanicznej krosty,
Tłumie, o Tłumie, Tłumie rozszalały! [...]
Wiosna! Hajda! – pęcznijcie! Trujcie się ze sromu
Do szpitalów gromadnie, tłuszczo rozwydrzona
Do kloak swe bastrzęta ciskaj po kryjomu,
I znowu na ulicę, w jej chwytny ramiona

Straszne to, ale łatwo zauważyć, ileż jest zachwytu w fascynacji poety „pierwotną wspaniałością” tego „rozszalałego Tłumu”. Tyle mniej więcej, co gdzie indziej w opisach narodzin poety, Dionizosowego syna, i bachicznych orgii z tej okazji.

Jeśli zwróci się uwagę na bijącą z *Wiosny* moc epatowania mieszczaucha i na datę – kwiecień 1915 – jasne się staje, że Tuwim zasadnie mógł nazwać siebie „pierwszym w Polsce futurystą”. Takiego spostonowania kobiety, przeistoczonej tu w rozpustną „brzuchatą kobyłę”, takiego prowokowania czytelnika wcześniej w polskiej poezji nie było. Ani tak rozpasanego tłumu.

Zapisywane w Łodzi impresje dotyczące miasta jako symbolu zła i upadku dziś wydają się nieco przesadne. Są znakiem epoki przełomu wieków, świadectwem stanu ówczesnej świadomości, takiej, jaką Reymont i Wajda ukazali w *Ziemi obiecanej*. A także literackim pokłosiem modernizmu. Szokowały wtedy powszechnie nie tylko w poezji – uboczne efekty ogromnego rozwoju miast w Królestwie: napływ nowej ludności, jeszcze na dobre w mieście nic osiadłej, rujnującej stąd

skutki moralne (wyrażające się widomie w skokowym wzroście liczby nieślubnych dzieci – pisał o tym nie tylko Tuwim w wierszach, ale i Roman Zimand w *Dekadentyzmie warszawskim*). Wszystko to ewokowało w wyobraźni młodego poety wizję miasta-molocha, zdominowanego przez prymitywny, anonimowy TŁUM. Tłum – w dodatku – rewolucyjny. Przez kilkunastoletniego chłopaka rewolucja inaczej była wspominana niż w *Kwiatach polskich* – nie jako oglądane z balkonu widowisko, lecz tak oto:

Krwi strugi tryskające widziałem spod bicza
 Śmierć, wchodzącą cicho rozwartymi drzwiami.
 Czerwonobure fabryk posępne oblicza
 Patrzyły w me dzieciństwo czarnymi ślepiami.
 Widziałem rzeczy straszne, jak oczy kobiety,
 Żołdackie rozpasanie, krew, wdeptaną w błoto...
 Piorunochrony fabryk jak ostre bagnety
 (Wstęp do *Pieśni miasta*)

Nakładła się na ten obraz tłumu naturalistyczno-modernistyczna konwencja, eksponująca z lubością brzydotę i deprawację. To miasto jest odrażające – ale także dlatego, że oglądane, chwywane przez wyobraźnię poety najchętniej w momencie, gdy tak właśnie, odrażająco lub szaro wygląda.

Więc epigonizm? Nie, gdyż miasto z juveniliów Tuwima tętni dziwnością emocji, demonstrowanych przez mówiącego bohatera. Uderza niesłychanie fascynacja tym zepsutym, odkrywaniem w ciemnych ulicach obliczem miasta, tajemnicą, kryjącą się w uśmiechach i spojrzeniach upadłych dziewczyn, w zzeranym chorobami cielsku tumu. Ale i nagłymi rozbłyskami piękna. To panny nieśmiałe, eteryczne i kwiatami pachnące, nagle jakieś zachwyty, urok wędrówek po Łodzi.

To – Łódź ogólnie. Płynęło w tym mieście życie młodego Tuwima, i także swoje osobiste przeżycia rejestrował na bieżąco. Toteż temat: Łódź a ja, Tuwim – wydaje się szczególnie interesujący. Dlatego, że w młodzieńczych wierszach odbija się szarpanina duchowa młodego łódzkiego inteligenta, dramatyczna kontrastowość nastrojów, wynikająca nie tylko z rozterek miłosnych, lecz i z głębszych o wiele konfliktów, dotyczących własnej tożsamości: Żyda i Polaka, niepewności w momencie dokonywania opcji, w czasie wojny: za Rosją? za Niemcami? za majakiem narodowej suwerenności?

Jest w *Kwiatach polskich* mały fragment o biciu Żydów:

Tak bili, rozjuszeni chwaci,
 Że większy wstyd był za ojczyznę
 Niż litość dla mych miłych braci;
 (cz. I, r. 2, w. 1587-1589)

Dotyczy antysemitycznych wystąpień w międzywojennym dwudziestoleciu. Temu jednak, kto czytał juvenilia, słowa te skojarzą się łatwo z *Pieśnią o biciu*, datowaną 5 listopada 1914. Niezwykły to wiersz, pierwszy z serii utworów, w których pojawia się refleksja o własnym pochodzeniu; data jego nieprzypadkowa – wtedy właśnie, u początku wojny, przez tereny Królestwa przeszła fala antysemityzmu, jakieś zamieszki na tym tle wydarzyły się i w Łodzi.

Żydów biją! Wesolo! Ha-ha-ha!
 Żydów biją! Będą i mnie bili:
 Batogiem w pysk,
 Nahajką w plecy,
 Żelastwem w głowę. [...]
 Będą mnie bić – a mocno bić! [...]
 Hej, staną wszyscy na zew,
 Zakipi słowiańska krew.
 Zobaczą mnie na ulicy.
 Ech – cisną się robotnicy
 (Mój panie – Aryjczycy!)
 [...] krzykną: Żyd!
 Tłuc!!

(*Pieśń o biciu*)

A miał przecież Tuwim w pamięci pogrom żydowski w Łodzi w 1905 roku; nie widział go wprawdzie, bo został wywieziony na kilka tygodni do Wrocławia. Widział natomiast jesienne zamieszki na tym tle w 1914 roku. W juveniliach ten motyw powraca w dedykowanym Witoldowi Wandurskiemu wierszu *Pod bodźcem wieków*, a najmocniej w *Tragedii*:

Największa ma tragedia – to, że Żydem jestem,
 A ukochałem Arjów duszę chrystusową! [...]
 Że się coś czasem nagłym, zwierzęcym odruchem
 Buntuje we krwi mojej, nieświadomie,
 I walczy krew semicka z jakimś innym Duchem

Tych wierszy, w których borykał się z własnym pochodzeniem, Tuwim nie dał do druku. Pojawił się wprawdzie w tomiku wiersz *Żydzi*, lecz zupełnie inną ma wymowę: są oni w nim oglądani z zewnątrz, jak osobliwa jakaś egzotyczna nacja. Usunięcie wierszy, objawiających istotę rozterek, związanych ze swoim polsko-żydowskim pochodzeniem, to pierwszy istotny retusz, jaki Tuwim dokonał wprowadzając łódzkie motywy do publikowanych tomów wierszy.

Nie ma w nich także innych dramatycznych niepokojów z okresu łódzkiej młodości. W Łodzi, położonej blisko granicy Królestwa, a ekonomicznie powiązanej mocno z przemysłem i handlem Rosji, nastroje polityczne u początku wojny były

dość osobliwe; pisał o tym Mieczysław Hertz¹. Gdy po inwazji Niemców powrócili do miasta Rosjanie, byli witani owacyjnymi demonstracjami, jako właściwa i pożądana władza. Wyjaśnia to dodatkowo nieufność, jaką wówczas okazano przybyłemu do miasta emisariuszowi Legionów.

W *Kwiatach polskich* znalazł się obszerny ustęp, wspominający liryczne urzeczenie bohatera postacią legionisty. Na tle wściekłości „pana prezesa z panem fabrykantem”, lękających się o utratę rosyjskich rynków, tym mocniej brzmią słowa osobistego niby wspomnienia Julcia: widzi w nim oto „zjaw rycerski, stworzony przez fantasmagorię: Chrobry en face, Anhelli w profil, Ma coś z Kościuszki i Konrada, A jednocześnie jest Batorym”. I wobec tego wcielenia mitu błędną opory Julcia: „Bo wy z Niemcem... Wy – z Niemcem, a ja nigdy z Niemcem...”.

Piękna, poetycka to stylizacja. Jak dalece jednak idealizująca, jak odbiega od ówczesnego postrzegania sytuacji przez Tuwima, świadczy wiersz wpisany do juveniliów. Stan młodzieńczego ducha zapisany był w nich nieco inaczej, bardziej w stylu ideologii *Grobu Agamemnona*; zdecydowane potępienie legionistów za to, że nie idą – jak powinni – na stracenie w imię „wielkiego boju z obywatelami” wrogami:

Hej na przegraną idźcie!
 Bez Niemca!! Bo wstydem płonę!
 A dziś się wstydzicie, wstydzicie,
 Wy cudne, wy wyśnione!!! [...]
 – O, że też z strasznej rozpaczy
 Nie pękło serce moje!!!!

(*Ambo meliores*)

Do dramatyzmu sytuacji Polaka-Żyda dochodził zatem wyraźnie zarysowany dramatyzm rozterki ideowej: uczeń rosyjskiego gimnazjum, szykowany przez ojca do przyszłej prawniczej kariery w carskim imperium już wtedy, jesienią 1914 r., z trudem radził sobie z tą sytuacją na rozdrożu: między zaborcą, do którego już się przywykło, wrogością do okupanta nowego, Niemca, i niechęcią do polskiej formacji, która walczy z imperium, ale u boku obcego wojska.

Znakomite odbicie znalazły w wierszach Tuwima ówczesne postawy i wahania łodzian, ale w ojczyźnie niepodległej nic należało takich emocji i niepewności ujawniać (szczególnie by raziły w zestawieniu z etosem legionisty!), toteż nic z nich nie weszło do publikowanych wtedy tomów.

Nie pojawiły się w druku także wiersze szczególnie z perspektywy wielu lat ciekawe: relacjonujące nastroje owych kilku listopadowych dni 1914 roku, gdy toczyły się walki Rosjan z Niemcami o Łódź. To przede wszystkim *Kronika* – lapidarny

¹ Zob. M. Hertz, *Łódź w czasie wielkiej wojny*, Łódź 1933.

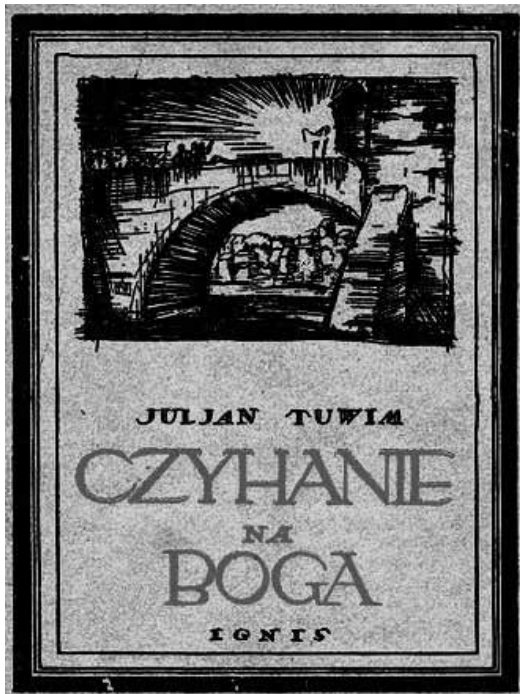
zapis: „Osiemnastego listopada Poczęła ryczeć kanonada. Dziewiętnastego listopada Armatni pocisk w Łodzi pada” – i dalej zabawny i szyderczy obrazek sąsiadów kryjących się przed bombami w piwnicy. I wiersz *Krew*, zapis szoku na widok poległych i rannych w Łodzi oraz zwożonych do miasta z pobojuwisk. „W szpitalu byłem. Widziałem. Leżeli pokrwawieni. I zewsząd płynęła krew, Cuchnąca śmiercią...”. I straszne obrazy rannych. Ale w sąsiedztwie przerażających zapisków można w wierszach znaleźć także rzeczowe, praktyczne informacje z tamtych dni: „Tu w Łodzi nie sprzedają trunków. Przywieź mi likier”.

Łódź Tuwima – to trzy różne obrazy, trzy zupełnie różne wizje miasta, choć oparte na tych samych realiach i przeżyciach. Jakby zapiski na żywo (gromadzone w zeszytach juveniliów), zapisy selekcyonowane do publikacji (zawarte w *Czyhaniu na Boga* i w *Sokratesie tańczącym*), wspomnienia po emigrancu przetwarzane w legendę (w *Kwiatach polskich*). Za każdym razem – ten sam czas, ta sama Łódź. A przecież zupełnie inna.

Nasuwa się na koniec pytanie niedyskretne: czy Tuwim kochał Łódź? Według *Kwiatów polskich* – na pewno, kochał ją z dziką tęsknotą emigranta. Ale dlaczego nie Łódź, lecz Warszawę ujawniał w pierwszych tomach wierszy? Czy tamten wcześniejszy obraz miasta nie jest nacechowany odrazą i niechęcią?

Nie, z pewnością nie takie są kryteria wartościowania w świecie poezji Tuwima. Z jego tekstów i zbierackich poszukiwań przebija przecież mocna fascynacja dziwnością, makabrą, groteską. Jakby w tym właśnie, co pokraczne i złe, tkwiła cudowna prawda dopełniająca świat. Brzydota i piękno, wspaniała kontrastowość miasta Łodzi. Pejzaże Warszawy na tym tle wydadzą się bardziej konwencjonalne, uładzone, bez owej wspaniałej drapieżności.

A w *Kwiatach polskich*? Po prostu – inne spojrzenie, tęsknota i miłość wszystko sentymentalnie idealizująca. „Ile cię cenić trzeba, ten tylko się dowie, kto cię stracił”.



Tom Juliana Tuwima, *Czyhanie na Boga*, Warszawa 1918

O WIERSZU JULII HARTWIG ZABAWA Z MGŁĄ W KOŚCIELISKU

* * *

Zaczyna się od udawania że wokoło nie ma już nic:
Pokaż czy umiesz być zupełnie samotny kiedy znika świat
To jakby na oczach położyło się bielmo
Biało tak biało że trzeba iść z wyciągniętymi w przód rękami
Teraz mgła uchyla rąbka na mgnienie
ukazując nogi drzew na skraju łąki
po czym znów zasłania je prześcieradłem bieli
Znienacka odkrywa stojącą w trawie krowę
a raczej cień jej niewyraźny i nerwowy
Wreszcie ponaglana słońcem unosi pierwszą zasłonę
i widać na powrót zarys kościoła z wieżyczką
a także strzępiastą plamę wiejskiego cmentarza
Następna kurtyna w górę i pojawia się wioska w głębi
jakby wyciągnięta nagle z kapelusza czarodzieja
Całe rozległe tło trwa jednak nadal zapieczętowane białym lakiem
nikt nie odgadłby że za tą oszukaną pustką
wznosi się potężna warownia Tatr
Mgło lekkomyślna jak dziecko zasłaniające chusteczką
czyjąś utęsknioną twarz
Czy po to poganiałiśmy przestrzeli pociągiem i autem
żeby bawić się z tobą w chowanego
i tęsknić – nawet kiedy już jesteśmy u celu?

(z tomu *Czułość*, 1992)

Tytuł zawiera konkretne informacje¹: tematem wiersza będzie zabawa; jednym z jej uczestników ma być zjawisko atmosferyczne, mgła; a rzecz dzieje się w góralskiej wiosce leżącej na łagodnym zboczu Tatr, u wylotu Doliny Kościeliskiej.

Można odtworzyć przebieg opowiedzianej w wierszu przygody: ktoś po przyjeździe w góry niecierpliwie udaje się na spacer, by ujrzeć stęsknionym okiem pano-

¹ Tekst przeznaczony do użytku szkolnego.

ramę Tatr. Gór jednak nie widać, zasłania je mgła; rozczarowany bohater w końcu z irytacją i pół-serio laje tę sprawczynię zniknięcia pejzażu.

Zabawa z mgłą w Kościelisku to wiersz, w którym nie ma tradycyjnego podziału na strofy, nie ma w nim rymów ani stałych wyrazistych cezur. Wersy są różnej długości, a wyznacza je tok wypowiedzi, zbliżony do spokojnego rytmu języka prozy. Kształt formalny utworu nie zawiera akcentów szczególnie zwracających uwagę. Uderza jedynie niemal zupełny brak znaków przestankowych. Tylko dwukropek na zakończenie pierwszego wersu, tylko jeszcze w ostatnim myślnik i pytajnik na zakończenie całości – ujmują tekst jakby w klamrę. Od rozpoczynającego opowieść dwukropka zmierzamy do znaku zapytania, czyli do sygnału, że coś nie zostało rozstrzygnięte.

Uderza w tym utworze dziwna przewrotność, towarzysząca wspomnianym niedostatkom w zakresie interpunkcji – choć nie ma kropek czy wykrzykników, to jednak niektóre słowa stojące u początku wersów zaczynają się dużą literą. Wyraźnie rozpoczynają nowe zdania. Brak sygnałów interpunkcyjnych chyba można zatem wyjaśniać zamiarem zminimalizowania przerwy dzielącej jedno zdanie od drugiego, dyskretnym wyciszaniem zmian intonacji. Tak jakby: mówi się wprawdzie o czymś już innym, lecz i wciąż o tym samym, pozostając nadal pośród tego miejsca, tych emocji, atmosfery. Nie było podziału na strofy, nie ma też podziałów zaznaczanych zwyczajowo przez znaki interpunkcyjne.

Tok kompozycji wiersza jest przejrzysty. Najpierw zostają określone reguły zabawy (wersy 1-4), dalej odbywa się gra pejzażem (wersy 5-15), potem następuje fragment refleksji (wersy 16-17) i wreszcie – apostrofa do mgły (wersy 18-19); wyraźne skrócenie wersu 19 uwydatnia moc następującej po nim puenty finału (wersy 20-22). Idąc za porządkiem kompozycji, można przejść do odczytywania sensu wiersza.

Kto opowiada? Co wiadomo o bohaterze utworu? Z pewnością nie ma w wierszu sugestii, by lekkomyślnie utożsamiać go z autorem: autorką jest Julia Hartwig, kobieta – a bohatera w drugim wersie określa się męskim rodzajem przymiotnika: jest „samotny”. Jeśli więc istnieją tu jakieś nawiązania do osobistego wspomnienia (a wiele w wierszu na to wskazuje), to przybierają one formę uogólnienia: ja, człowiek samotny; czyli coś podobnego może się przytrafić każdemu z nas, ludzi. W finale jest zaś jeszcze inaczej: pojawia się podmiot zbiorowy, my, liczba mnoga. Mówi się w imieniu może nieobecnych tu przyjaciół, a może nas wszystkich?

Tytułową zabawę prowadzi jednak nie człowiek, lecz ożywiona, myśląca i przekorna mgła. To ona zapada, staje się inicjatorką przewrotnej gry, „zupełnie” izolując bohatera. Mgła świetnie się bawi, a człowiek został wtrącony w konwencję zabawy wbrew swej woli, nie miał innego wyjścia. Ale udają przecież oboje: bo by udawanie było udatne, obie strony muszą się na nie zgodzić, niby-wierzyć, „że wokoło nie ma już nic”.

To tylko udawanie, lecz z taką mocą działa ono na wyobraźnię, iż od razu odczuwa się własną bezradność i głębię samotności. Człowiek bowiem wprawdzie porusza się tu niemrawo pośród natury, lecz jego samotność jest „zupełna” – bo rzeczywiście pełniejsza (jeśli podejmiemy konwencję „udawania”), niż zwykła, pośród świata, samotność: tu świat „znika”, a to więcej, niż gdyby był tylko przesłonięty; „znika”, nie ma go. Bohater został go pozbawiony. Jest sam w pustce. I oczy zakrywa mu nie cienka przepaska, jak w dziecięcej zabawie w „ślepą babkę”, lecz bielmo, czyli trwale uszkodzenie ludzkiego ciała; zatem ślepotą jest także bardziej niż w zabawie „zupełna”. Cóż, że się tylko udaje, jeśli w rezultacie zupełnie realnie trzeba zmierzyć się z samotnością, nie poddać się lękowi.

Pojawiające się w drugim wersie wyzwanie „pokaż czy umiesz” pochodzi znów z konwencji dziecięcej zabawy (czy wypowiada je człowiek, czy drażni się, wyzywa go mgła?); ale inny ma to być sprawdzian odwagi. Nie jakiś ryzykowny czyn, lecz opanowanie strachu. Nasuwa się w tym miejscu – dygresyjnie – skojarzenie ze sceną z *Kordiana*, w której bohater, opanowany przez Strach i Imaginację, nie pokonał lęku, padł zemdlony przed sypialnią cara; tu także mierzyć się trzeba ze strachem i wyobraźnią.

Kordiana paraliżował strach, wyimaginowane zjawy; bohatera wiersza Julii Hartwig tylko spowodowany przez mgłę brak widoczności. Jest on unieruchomiony, a mgła drażniąc bawi się, „uchyla rąbka”, ukazując tyle, ile chce, tak i na tyle czasu, jak chce. Zaslania świat, potem coś unosi, sprawia, że coś się zniemacka pojawia – lecz zawsze jest to tylko jakiś mały fragment rzeczywistości, a istotna reszta, to, czego się szuka, pozostaje wciąż w ukryciu. Mgła niby jest jak dziecko, bawi się z człowiekiem (czy raczej: nim się bawi); o niefrasobliwym charakterze tych igraszek (podkreślonym przez określający ją epitet „lekkomyślna”) świadczy to, że przypominają sztuczki magiczne: „z kapelusza czarodzieja” wyskakuje cała wioska, prowadzi się tu z człowiekiem jakieś oszukańcze i dziecinne zabawy z zasłanianiem twarzy chusteczką („Nie ma, nie ma, nie ma, jest!” – któż się w to nie bawił!). Więc wszystko istnieje tak, jak w magicznym świecie dzieciństwa.

W centrum wiersza – i zabawy – znajdują się zatem człowiek i krajobraz, którym igra mgła. Powstaje pejzaż szczególny, momentalny, postrzegany przez człowieka i istniejący tylko wobec niego, wobec punktu, w którym on się znajduje (widziana z innego miejsca konfiguracja byłaby odmienna, ponieważ mgła jest ulotna, przenosi się z miejsca na miejsce, odsłania nie tylko to, lecz i tylko tu właśnie). Świat odsłania się stopniowo: najpierw uchyla się rąbek, potem już prześcieradło, zasłona, i na koniec kurtyna, najcięższa, najwięcej odsłoni. Lecz mimo to reszta pozostaje niewidoczna, odgradzona materią jeszcze trwalszą, czymś, co jest jak „biały lak”.

Wyłania się pejzaż. Spójny, choć składany fragmentami, z kawałków, pojawiających się i niknących z powrotem. Człowiek widzi „na powrót”, a więc już zna okolice i ogólnie wie, jak jest ukształtowana, łatwiej mu scalić luźne fragmenty. Nadto

bielmo na oczach okazało się nieszczęsne, bo widać drzewa, krowę, zarys kościoła z wieżyczką, wiejski cmentarz i wioskę w głębi. Spokojny, niemal sielski widok. Niezupełnie, bo jest przecież przeniknięty niepokojem. Wprawdzie coś się widzi, lecz tylko ułomnie; nic drzewa, lecz ich nogi, nie krowę, lecz jej nerwowy cień, nie kościół, lecz zarys kościoła, nie cmentarz, lecz jego „strzępiastą plamę”...

Wyłaniający się fragmentami świat przede wszystkim rozczarowuje: bowiem nie po to przyjechało się – z trudem – w góry, by oglądać wioskę, łąkę i krowę, lecz by zobaczyć „warownię Tatr”. Łagodna malowniczość nie pasuje do oczekiwań bohatera. A jeśli to nie pejzaż wzbudza irracjonalne uczucie lęku, więc wynika ono z braku pewności, ze świadomości, że jesteśmy ubezwłasnowolnieni, manipulowani, bezradni wobec igraszek natury. Przyjechaliśmy w góry – a gór jakby nie ma (bo czyż jest coś, czego nie widzimy, o czym tylko wiemy, że jest?).

Analogią dla ukazanej tu sytuacji staje się dalej nie tylko dziecinna gra, lecz także teatr. W *Zabawę z mgłą* została bowiem wpisana przestrzeń teatralnego spektaklu. Bohater wbrew swej woli znalazł się w dziwnym teatrze, w którym na przemian odsłania się przed nim i zakrywa nie fikcja sztuki, lecz realny, prawdziwy świat. Nie scena jest pudłem, lecz on znalazł się zamknięty w pudełku kurtyn i zasłon mgieł. I jak widz w teatrze, jest prawie unieruchomiony; wtrącony w pustkę ślepoty, widzi tyle tylko, ile organizator spektaklu, czyli mgła, zechce mu pokazać. Spektakl ukazujący na scenie nie jest jednak taki, jaki on chciałby oglądać; to, co dla niego ważne, jest niewidoczne, nieosiągalne.

Ta mgła niepokojąco trwała, jak twardy, biały lak, dzieli świat na dwoje – z jednej strony pozostaje człowiek, zamknięty w ciasnej przestrzeni, z drugiej – całe jego uniwersum. Wpisana w wiersz przestrzeń wyznaczają teatralne rekwizyty: przesćieradło, zasłona i kurtyna, kolejno zapadające i nagle, w innych miejscach, unoszące się w górę.

Kurtyna mgły, zasłona mgły – to zwroty metaforyczne od dawna znane w literaturze, szczególnie uprzywilejowane w sztuce romantycznej. Świat i człowiek bywa w niej spowity, otulony mgłą, która zaciera granice między nim a naturą, kosmosem, Bogiem. W wierszu Julii Hartwig jest jednak inaczej: kurtyna służy nie odsłanianiu, lecz zasłanianiu świata, nie otula ani nie jednoczy, lecz zamyka, odcina, unaocznia samotność.

Udawanie jest istotą teatru; inaczej jednak niż w teatrze, w wierszu pojawia się przestrzeń prawdziwego lęku, bojaźni. Dokonał się – na czas gry – ważny zwrot w relacjach między człowiekiem a naturą.

Byłby to zwykły, nieco sentymentalny i refleksyjny wiersz, przypominający epizod z pobytu w Tatrach. Byłby – gdyby nie znakomite wykorzystanie przez autorkę niuansów poetyki i stylu.

Cały utwór jest oparty na strukturze paradoksu. Jest paradoksów wiele, mnożą się jeden po drugim. Mgła, która jest traktowana jak istota żywa i myśląca; świat,

który jest, a przecież znika; bielmo, które na moment daje się odsunąć; pustka, która jest „oszukana”, czyli która nie jest pustką; wyobraźnia, przeciwna rozumnej perswazji; paradoks tkwi nawet w metaforze zbliżającej symbole trwania i ulotności: lak i mgłę...

Z ukazywaniem paradoksalnego charakteru świata, podważaniem rozumnej pewności siebie człowieka świetnie współgra konwencja obopólnego udawania, sztuczek magicznych, teatru. A także wspomniana już ciągłość wypowiedzi, nieprzerywanej znakami interpunkcyjnymi. Jeśli wszystko jest nie-serio czy pół-serio, czy tylko grą, to przeciwieństwa mogą zbliżać się, formować całość.

Tym łatwiej, jeśli – jak w *Zabawie z mgłą w Kościelisku* – wypowiedź jest zabarwiona stylem ironii, autoironii, żartu. Jest jej trochę w sytuacji żartobliwego powrotu do konwencji zabaw dziecięcych, trochę w tym niby-udawanym i niby-prawdziwym lęku, w gniewnej apostrofie do mgły – i oczywiście w zakończeniu, rysującym kontrast między ogromem niecierpliwości a niemożnością jej zaspokojenia.

I wreszcie – dwuplanowość znaczeń. Błahemu, zabawnemu wydarzeniu opisanemu w wierszu towarzyszy w podtekście istotna refleksja nad sobą. Jeśli pamiętamy o zmiennej formie podmiotu („ja”, „ja-człowiek”, „my”), to oczywiście się staje, że refleksja ma charakter ogólny.

Tak oto byle figiel, byle „lekkomyślność” natury może zamknąć przed nami świat, unicestwić wysiłek i przekreślić pragnienia. Czy o pejzaż i o zabawę tylko tu idzie, czy wiersz stanowi także metaforę niepewności naszego losu?

Ale można finał utworu odczytać inaczej – tak na przykład: oto świat znów jest uporządkowany, rozumne myślenie wyparło dreszczyk irracjonalnego lęku. Tylko dreszczyk: bo wszystko przecież było „jakby”. I była to tylko zabawa – ale rozbudzone przez nią samotność i tęsknota były przecież prawdziwe...



Henry Wallis, *Śmierć Chattertona*, 1856

WAT – GIEDROYĆ

Relacje Aleksandra Wata z Jerzym Giedroyciem odegrały zasadniczą rolę w ostatnich, spędzonych na emigracji, latach życia poety. Giedroyć był niepodważalnym autorytetem moralnym oraz wybitną, opiniotwórczą indywidualnością; niestrudzona działalność, jaką rozwijał od pierwszych chwil pobytu na obczyźnie sprawiła, że dysponował również stosunkowo szerokimi (w porównaniu z innymi ośrodkami emigracyjnymi) wpływami i możliwościami edytorskimi. Nie zamierzam w tym tekście dokonywać konfrontacji postaw ideowych ani poglądów politycznych Poety i Redaktora. Interesuje mnie jedynie przebieg ich wzajemnych stosunków, od początkowych nadziei na owocną – dla obu stron – współpracę po przyczyny pogłębiania się rozdzźwięków i animozji.

Watowie podjęli decyzję o pozostaniu na emigracji w lipcu 1959 roku¹. Znaleźli się we Francji w położeniu nie do pozazdroszczenia: bez stałego źródła dochodów, bez mieszkania i perspektyw finansowej stabilizacji. Pierwsze miesiące pobytu zagranicą stały się ustawiczną tułaczką: przemieszkiwali u rodziny Aleksandra w Knokke-le-Zoute i w Brukseli, u krewnej w Paryżu, znów w Belgii, w pokojach PEN Clubu, w małych paryskich hotelikach.

Brak wyraźnej informacji, która by określała datę pierwszego powojennego spotkania Poety z Redaktorem. Prawdopodobnie miało miejsce jesienią, w końcu września (po przyjeździe do Paryża z Belgii) lub dopiero w październiku; 27 tegoż

¹ Opuścili Polskę 11 lipca 1959. Decyzja dojrzewała wcześniej, a jej motywacje, według późniejszych słów Wata, były dwójakie: stan zdrowia poety (w 1953 pierwsze ataki nieuleczalnej choroby), oraz niemożność życia i tworzenia w duchowym klimacie PRL-u. Tu parę słów dopełnienia: po powrocie ze związku sowieckiego do kraju (kwiecień 1946) Aleksander Wat podjął ożywioną działalność w Związku Literatów Polskich, w Polskim PEN Clubie, a 25 czerwca 1946 został mianowany dyrektorem nowopowstałego Państwowego Instytutu Wydawniczego. W styczniu 1949, podczas osławionego szczecińskiego Zjazdu Literatów, Wat zdecydowanie określił swoją pozycję: mocno zabrał głos w obronie atakowanej przez czynniki partyjne Zofii Nałkowskiej. W konsekwencji został między innymi pozbawiony posady w PIW-ie; odtąd utrzymywał się głównie z tłumaczeń.

W 1954 r. poeta przeszedł badania medyczne w Sztokholmie; nie udało się ustalić pewnej diagnozy ani metody leczenia. W 1955 r. skierowano go na leczenie do Francji; dwukrotnie przechodził w paryskim szpitalu badania kliniczne, odbył kurację klimatyczną na południu (znakomicie, choć krótkotrwałe, pomogła). Wrócił do Polski w lipcu 1957. W listopadzie tegoż roku wyjechał do Paryża, korzystając z rocznego stypendium Forda.

Przed wyjazdem należało dokonać przygotowań, licząc się z tym, że później może nie być już możliwości realizacji wydawanych dyspozycji. Najważniejsze było oczywiście wyprawienie z kraju syna; wyjechał we wrześniu 1957. Watowie opuszczając kraj mieli zapewnione tylko pieniądze ze stypendium; brakowało jakichkolwiek zabezpieczeń na okres późniejszy.

miesiąca Wat dziękował Giedroyciowi za szczodre zaproszenie do spędzenia kilku miesięcy w Maisons Laffitte². Musieli znać się wcześniej.

Giedroyc jednocześnie z zaproszeniem wysuwał sugestie, dotyczące możliwości bliższej współpracy Wata z „Kulturą”. Widział w nim pisarza o wyraźnym zacięciu polemicznym, cennego znawcę problematyki sowieckiej. Namawiał go do zabierania głosu w sprawach aktualnych (póki poeta nie ogłosił publicznie decyzji o pozostaniu na emigracji, publikował pod pseudonimem), a przede wszystkim spodziewał się, że szybko napisze i odda do druku „To, co naprawdę jest ważne i może mieć karierę światową”³ – czyli dzieło o Rosji, oparte na wiedzy i osobistych doświadczeniach, wyniesionych z więzień i z zesłania. Wat z entuzjazmem odniósł się do tych propozycji, podjął się szybkiego przygotowania książki, którą zapowiadał jako swą *Lebenswerk*: „Podejmę więc tę pracę – tak mi dopomóż Bóg! Potrzebna mi jednak i Wasza pomoc: bo chociaż dobrze zapamiętaliśmy nasze własne przeżycia, to cały *extérieur* jest we mgle”⁴.

Pomoc Giedroycia początkowo była żarliwa i wielostronna. Gorąco podtrzymywał zapał poety, wyszukiwał i przysyłał niezbędne książki oraz dokumenty, udzielał rad w sprawie objęcia posady u Umberto Silvy⁵, uczestniczył w staraniach o stypendia twórcze⁶.

Szybko jednak się okazało, że oczekiwania obu stron były nie do końca zbieżne. Wat także wiązał z dziełem o Sowietach wielkie nadzieje na ugruntowanie swej pisarskiej pozycji; o planowanej książce pisał, że będzie to wypowiedź „bojowa, stosunkowo klarowna, polityczna interpretacja fenomenu komunizmu, od początku aż do dnia dzisiejszego”⁷, stale podkreślał jednak, że jest poetą, że sprawą nadrzędną jest dla niego publikacja wierszy. To z kolei mało interesowało Giedroycia. Z jego punktu widzenia najpoważniejszymi atutami Wata były jego imponująca wiedza o mechanizmach sowieckiej władzy oraz gwałtowny antykomunizm.

Książka o Sowietach powstawała jednak z wielkim trudem. W losie poety zaszła bowiem nieoczekiwana odmiana: został zatrudniony przez włoskiego wy-

² Zaproszenie to zostało wykorzystane później, za to dwukrotnie: od 13 września do połowy listopada 1961, oraz od 14 kwietnia do 12 września 1962 (z przerwą na wyjazd do Oxfordu w lipcu).

³ List Jerzego Giedroycia do Wata z 3 lutego 1960 r.

⁴ List datowany: 27 października 1959.

Korespondencję Wata z Giedroyciem przytaczam za edycją: Aleksander Wat, *Pisma zebrane*, tom 4: *Korespondencja*, cz. 1 i cz. 2, oprac. A. Kowalczykowska, Warszawa 2005 - cz. 1, s.132.

⁵ Włoch Umberto Silva, wydawca, zatrudnił Wata jako redaktora kolekcji polskiej. Giedroyc niepokoił się: „Ciągle nie mogę go rozgryźć, kto to jest i skąd ten nagły zapał do wydawnictwa i poloników” (list z 3 lutego 1960).

Dobrą ilustracją rozwijającej się wtedy znajomości jest rozwój nagłówków w listach Wata. Od „Drogi Panie”, do „Kochany Panie Redaktorze” w liście z 26 maja 1960, formuły parokrotnie jeszcze powtarzanej. I do oficjalnego zwrotu w liście ostatnim: „Wielce Szanowny Panie Redaktorze”.

⁶ Informował na przykład, w momencie pierwszych zadrażnień z Silvą: „Nie pamiętam, czy Panu wspominałem, że jest tam Fundacja Huntington (...) zapewnia roczny pobyt w Kalifornii w warunkach rzeczywiście bardzo komfortowych” (list z 22 lutego 1961, dz. cyt., s. 75-76). Później wspomagał starania o uzyskanie dla Wata amerykańskiego stypendium New Land Foundation.

⁷ List z 6 kwietnia 1962, dz. cyt., s. 205.

dawcę Umberto Silvē jako redaktor kolekcji polskiej, co bardzo go absorbowало, nie pozostawiając czasu na własną twórczość⁸. Był związany z Silvē przez ponad rok; później uniemożliwiały regularną pracę pisarską wielomiesięczne ataki choroby, trapiące go do śmierci.

Zarysowała się zatem rychło wyraźna różnica poglądów w sprawie tego, co najważniejsze – według Redaktora miał to być oczywiście wielki rozrachunek z rzeczywistością sowiecką. Według Poety – publikacja tomu poezji. Na razie godził się z planami wysuwającymi na pierwszy plan jego teksty polityczne; lecz ufał, iż Redaktor dotrzyma niesprecyzowaną do końca obietnicę i będzie drukował w „Kulturze” nadsyłane wiersze.

Początkowe relacje między Watem a Giedroyciem można by określić jako partnerskie: Giedroyć wiele ułatwiał i zapewniał ceną możliwość publikacji, Wat przekazywał „Kulturze” plody swej inteligencji i wiedzy. Taki układ pasował do wyobrażeń Poety, który wyrwanie się z kraju utożsamiał z oswobodzeniem spod wszelkich ograniczeń PRL-u, jako wolność słowa, swobodę twórczą, wolność wyboru własnego losu. Bez tłumaczenia się sprzed nikim – czyli do samodzielnych decyzji i ponoszenia za nie odpowiedzialności.

W praktyce wyglądało to nieco inaczej: zarówno profil twórczości jak możliwości publikacji okazały się uzależnione od podporządkowania własnych ambicji redakcyjnej polityce Giedroycia. Wat, śmiertelnie chory, bez dobrych koneksji na emigracji, bez stałego źródła dochodów, wolność ducha miał mocno skrzepowaną. Szansa nawiązania bliższej współpracy z „Kulturą” dawała nadzieję na jakąś stabilizację – lecz za określoną cenę.

Nadto niemal od początku zarysowywało się pole światopoglądowych konfliktów. Ich zarzewie mogło tkwić jeszcze w latach przedwojennych, w zupełnej odmienności tradycji kulturowych i poglądów politycznych, jakim hołdowali w młodości. Giedroyć, jak mówił w *Autobiografii na cztery ręce*, przed wojną znał Poetę tylko z widzenia; po latach wspominał z domieszką wyniosłości: „Z prozą awangardy – z Watem czy Sternem – stykałem się niewiele, zupełnie to do mnie nie przemawiało. [...] Jak doszło do spotkania z Watem, nie pamiętam. Mój stosunek do niego był dość sceptyczny”⁹.

Zależało mu jednak na ściślejszej współpracy Wata. W dalszych listach, obok dopytywań o szkice sowieckie, proponował różne tematy drobniejsze, jak przesyłanie opinii o tekstach zamieszczanych w „Kulturze”, recenzje wewnętrzne, przyłączanie się do wspólnych wystąpień zespołu. Poeta od początku poczuł się upoważniony do zdecydowanych ingerencji, do ostrego oceniania tego, co mu się w „Kulturze” nie podobało: „skoro mnie Pan zachęca!” – deklarował – i z pasją

⁸ Pisał do Redaktora: „Moje własne plany pisarskie na razie odsunięte, ale nie zapomniane, na odwrót”, (list z 7 lutego 1960).

⁹ *Autobiografia na cztery ręce*, oprac. K. Pomian, Warszawa 1994, s. 167-168.

dyskredytował teksty, które uznał za niewłaściwie naświetlające zagadnienie lub odbiegające od prawdy. Przede wszystkim szkice Juliana Mieroszewskiego, dotyczące tematyki sowieckiej.

Watowie niedawno przybyli z Kraju, mogli nie orientować się, że Redaktor w pełni akceptował poglądy i oceny Mieroszewskiego. Dość fatalne były skutki tej niewiedzy. W maju 1960 „Kultura” wydała specjalny rosyjski numer z artykułem wstępnym Juliana Mieroszewskiego¹⁰, w którym wysuwał on tezę, że najpierw należy podnieść poziom życia Rosjan i ukazywać im dobrodziejstwa ustroju demokratycznego, a dopiero potem popychać ich ku rozwiązaniom rewolucyjnym. Duże nadzieje wiązał przy tym z objęciem władzy przez Nikitę Chruszczowa.

Wat zareagował na ten numer „Kultury” i konkretnie na ten szkic dziesięciostronicową repliką, wysłaną w liście do Giedroycia. Atakował z furją, całkowicie dyskryminując poglądy Mieroszewskiego; popieranie Chruszczowa uznał za fatalną pomyłkę: „w moim przekonaniu nic nad to bardziej szkodliwego”. Polemikę kontynuował z okazji następnych szkiców Mieroszewskiego, dotyczących komunizmu i stosunku Zachodu do Rosji. Poeta nie liczył się z tym (a raczej zapewne nie wiedział), że Mieroszewski z woli Giedroycia wyznaczał profil polityczny „Kultury”, i wbrew własnej woli mocno naraził na szwank swoje relacje z Redaktorem. W tym momencie, już po kilku miesiącach od nawiązania bliższej znajomości, zarysowały się pierwsze istotne różnice w zakresie poglądów i strategii politycznej polemistów. Pogłębiały się z czasem, chociaż pozory doskonale przyjaznych relacji zostały zachowane. Nadal często korespondowali, utrzymywali listy w przyjaznym tonie.

Kolejną przyczyną zadrażnień były oczekiwania Giedroycia, że Wat, gdy uwolni się od zajęć w wydawnictwie *Silvy* (współpraca zakończyła się wiosną 1962 r.), skupi się w pełni na zapowiadanej książce. Poeta oczywiście zamierzał wywiązywać się z obietnic, często o tym wspominał, nie zamierzał jednak rezygnować z udziału w życiu naukowym i literackim. Mimo zniechęcających zastrzeżeń Redaktora w lipcu 1962 wziął udział w międzynarodowej konferencji naukowej w Oxfordzie, poświęconej literaturze sowieckiej; wygłosił referat, odniósł spory sukces, potem jeszcze miał wieczór autorski dla londyńskiej Polonii. Giedroyc oxfordzkiego sukcesu nie docenił, kpił, wyjazd Wata do Anglii uznał za stratę czasu i nie krył niezadowolonia. Irytacji dał upust w liście do Konstantego Jeleńskiego: „Nie jest dobrze, że przeważał Pan wahania Wata co do tego seminarium. Żyje od miesiąca tylko tym i dziecinnie obiecuje sobie, że tam spotka kwiat sowietologów, na których zrobi wstrząsające wrażenie, i natychmiast mu dadzą trzyletni grant, tak że będzie mógł wynająć sobie sekretarza etc. Dosyć to mnie martwi. On się rozmienia na drobne

¹⁰ Był to zeszyt specjalny, wydany w języku rosyjskim, ze „wstępnikiem” Mieroszewskiego zatytułowanym *K woprosu o polsko-russkich otnoszenijach*. Dalszy ciąg tych nieporozumień i wyjaśnień Giedroycia – zob. tegoż, *Autobiografia na cztery ręce*, wyd. II, Warszawa 1996, s. 319-321.

i nie chce zrozumieć, że jedyną szansą jest naprawdę sensacyjny debiut dobrą książką¹¹. W parę dni po konferencji ośmieszał zapał poety i jego radość z sukcesu: „Wat jeszcze nie wrócił. Wiem, że siedzi w Londynie i bałamuci się emigracyjnie: jakieś wieczory autorskie etc. Boże, jak ten człowiek jest wyposzczony¹²”.

Bardzo to stronicze spojrzenie. A Wat miał przecież już wcześniej na emigracji osiągnięcia, o których Redaktor nie pamiętał. Na przykład niewątpliwy sukces odniósł na Zjeździe poetów we wrześniu 1959 w Knokke-le-Zoute: potwierdzony był w paryskim dzienniku „Express”, gdzie oceniano najwyższej dwa wystąpienia: „Certaines interventions, surtout celle du Polonais Alexandre Wat et celle de Pierre Emmanuel, furent d’une haute tenue¹³”. Niezły to kontekst.

Z biegiem czasu Poeta coraz dobitniej upominał się o druk wierszy – realizacja tej obietnicy była odkładana przez Redaktora zapewne do czasu ujawnienia nazwiska Wata na łamach „Kultury”. Ta decyzja była jednak poprzedzona kolejnym poważnym zgrzytem na linii Wat – Giedroyć. Marcowy numer „Kultury” w 1963 r. był poświęcony Stalinowi, dla przypomnienia w dziesiątą rocznicę śmierci jego zbrodniczej działalności. Giedroyć namawiał Wata do uczestniczenia w tej manifestacji: „Jeśli Pan nadal nie wyklucza wystąpienia pod własnym nazwiskiem, to wydaje mi się, że byłaby to bardzo dobra okazja. [...] idzie o maksymalny *éclat* nie tylko w sensie sensacji politycznej i reklamowej czy nawet literackiej, ale przede wszystkim w sensie moralnym¹⁴”.

Wat nie wyraził zgody. Miał swoje racje: lada dzień miały ukazać się w Warszawie jego *Wiersze śródziemnomorskie*, mógł lękać się o zatrzymanie publikacji. „Z kraju w tym roku ani listu, ani egzemplarza tomiku!” – pisał do Giedroycia¹⁵. Wciąż wyłaniały się jakieś przeszkody opóźniające edycję. Egzemplarze autorskie – pocięte przez cenzurę, wydane bez ostatecznej akceptacji autora – Wat otrzymał dopiero w marcu 1963 roku. Gdy tomik dotarł do warszawskich księgarni, poeta w Paryżu opublikował w wakacyjnych numerach „Kultury” pod własnym nazwiskiem esej polityczny *Klucz i hak*. W listach do przyjaciół dawał wyraz satysfakcji: ukazała się pierwsza zapowiedź jego antykomunistycznej książki, i jednocześnie Redaktor w dwóch numerach wydrukował cykle jego wierszy. Poeta był przekonany, że łamy „Kultury”, także dla poezji, zostały przed nim szeroko otwarte.

Niezupełnie tak było. Z tekstów, przesłanych do połowy grudnia (do momentu wyjazdu do Berkeley) Redaktor opublikował tylko (już w numerze styczniowym 1964) szkic o Stieklowie, *Śmierć starego bolszewika*. Kilku innych tekstów Wat nie ukończył, wysyłał w zamian kilkakrotnie cykle wierszy. Dopytywał się (18 października), czy zostały przyjęte do druku, 9 listopada powiadał: „Przesyłam

¹¹ List z 19 czerwca 1962, dz. cyt., s. 341.

¹² List z 10 lipca 1962, dz. cyt., s. 347.

¹³ 10 września 1959, numer 430.

¹⁴ List z 12 stycznia 1963, dz. cyt., s. 83.

¹⁵ List z 29 stycznia 1963, dz. cyt., s. 211.

Panu na wszelki wypadek – znowu – wiersze. Trzy pierwsze są polityczne, reszta komponuje mi się z tamtymi w jakąś całość”, 24 listopada wysyłał wiersz na śmierć Kennedy’ego i anonsował projekt edycji zbioru poezji. Żadna z tych propozycji nie została wzięta pod uwagę, Giedroycia wiersze Wata po prostu nie interesowały; twierdził, że na poezji się nie zna i tymi słowami ucinął dyskusję.

Redaktora interesowała nie tylko twórczość, ale także elementy biografii pisarza, szczególnie te wątki, o których nie mieli chęci rozmawiać, które mógłby rozważać jako świadectwo kolaboracji z sowieckim okupantem. Giedroyc, który był traktowany jako wyrocznia moralna, poruszał te sprawy w listach do przyjaciół. Apodyktycznie: „Trzeba docisnąć tę linię podziału w środowisku intelektualnym na tych, co podpisali, i tych, co odmówili [...] Tu trzeba przycisnąć ludzi (nawet skąd inąd sympatycznych) do muru. Muszą wybierać. [...] Trzeba ustalić pewne kryterium moralne”¹⁶.

Opowieści o faktach z okupacyjnego i powojennego życia rodaków przybywających z kraju podlegały zatem starannemu prześwietlaniu. Wydobywano z nich przede wszystkim to, co mogło rozbudzać jakieś moralne zastrzeżenia¹⁷, a na marginesie pozostawały wydarzenia, które mogły świadczyć o zachowaniach szlachetnych, bohaterskich (jak na przykład, w biografii Wata, organizowanie oporu przeciw przyjmowaniu sowieckiego paszportu, co omal nie skończyło się dla niego tragicznie. Sam tych faktów nie rozgłaszał, zostały upublicznione dopiero po jego śmierci).

Podejrzliwe zagłębianie się w sprawy dyskrecjonalne, rozdrapywanie bolesnej przeszłości, w przypadku Giedroycia było jakoś usprawiedliwione: uczestniczył w organizowaniu pomocy dla emigrantów, tego typu wiedza była mu przydatna. Wata próbował dopytywać o lwowski epizod jego życia, czyli głównie o okoliczności towarzyszące powstaniu kilku tekstów (z których jeden był opublikowany w piśmie „radzieckich” pisarzy „Litieraturnaja Gazieta”, pozostałe w lwowskim „Czerwonym Sztandarze”, jesienią 1939) i o pierwsze lata powojenne. Wat uchylał się od rozmów na te tematy; Redaktor traktował milczenie Poety jako chęć zatajenia kwestii niewygodnych.

U źródeł tych zadrażnień leżał – jak można sądzić – bagaż zupełnie odmiennych doświadczeń osobistych Polaków, którzy okrutne lata wojny przeżyli w kraju i tych, którzy zadawali się poza krajem. Różniły się opinie i oceny moralne. Poeta powrócił do tych spraw na rok przed śmiercią, w szkicu „...*jak upiór staję między wami i pytam o źródło złego*”¹⁸. Pisał jasno i bez niedomówień: „W październiku 1939

¹⁶ List do Konstantego Jeleńskiego z 4 kwietnia 1964, w: Jerzy Giedroyc, Konstanty A. Jeleński, *Listy 1950-1987*, oprac. W. Karpiński, Czytelnik 1995, s. 367-368.

¹⁷ Dygresja całkowicie prywatna: pojęcie kolaboracji bywało rozszerzane tak szeroko, że mogło obejmować nawet pracę „na etacie” (czyli za wynagrodzeniem z państwowego budżetu) w PRL-u. Pamiętam te przykre słowa z czasu mojego pierwszego pobytu w Paryżu w 1960 roku; bołały.

¹⁸ Publikacja: „Na Antenie” (dodatek do londyńskich „Wiadomości”) 1966, nr 43.

znalazłem się we Lwowie. Nie zdążyłem do Rumunii. Wiedziałem nieomylnie, co mnie i moją rodzinę czeka. Najgorszy, tchórzliwy to okres mojego życia”¹⁹.

Konflikty z biegiem lat narastały. Uproszczeniem byłoby sprowadzanie ich przyczyn do niezrealizowanych planów i niedopełnionych zobowiązań Wata. Nie można pomijać innych czynników, przede wszystkim roli osobistych uprzedzeń Giedroycia i jego narastającej niecierpliwości w obliczu choroby Poety. W listach do przyjaciół początkowo z zapałem pisał o jego intelektualnych możliwościach; gdy pojawiły się problemy z dotrzymywaniem terminów, Giedroyc dyskryminującym lekceważeniem obejmował jego poglądy, ambicje, poetycki talent. Dyktatorskie zapędy Redaktora mogły Wata przygnębiać tym mocniej, że nasilająca się choroba przekreślała nadzieje, jakie żywił opuszczając kraj. Liczył na polepszenie stanu zdrowia, wierzył w ukończenie zapowiadanej od lat książki o Sowietach; im bardziej te spodziewania okazywały się płonne, tym mocniej narastała rozpaczliwa chęć pozostawienia po sobie przynajmniej tomu poezji zebranych.

Konsekwencją tych rozczarowań stało się, dość nieoczekiwanie, ostateczne zerwanie. Jesienią 1963 roku, przed wyjazdem do Stanów, Wat oczekiwał publikacji kolejnego cyklu wierszy w „Kulturze” oraz realizacji wcześniejszych niejasnych obietnic dotyczących edycji zbioru poezji. Jeszcze w grudniu, gdy Watowie szykowali się do wyjazdu do Berkeley wydawało się, że relacje z Redaktorem były mniej więcej ustabilizowane. Ale był to tylko pozór. W archiwum Wata zachował się obszerny, nieukończony list do Giedroycia z jesieni 1963, w którym wypunktowuje „nieporozumienia z wyrazistością raczej podkreśloną”. Nawijając do wspomnianego mu epizodu lwowskiego, pisał „Już w 1942 w Rosji, a potem w Polsce, wypierałem się marksizmu, komunizmu i tu i tam i drogo za to płaciłem”²⁰. Słowem, jeżeli zaliczyć moje dawne komunizowanie do sfery *culpabilité* to sądzę, że jestem skwitowany”²¹. Listu Wat nie wysłał, ale wskazuje on, że poeta odżegnywał się stanowczo od prób politycznego wykorzystywania go w emigracyjnych polemikach, bronił własnej niezależności: „od tej swoistości i oryginalności (poglądów – A. K.) nie odstąpię”.

Po przybyciu do Berkeley nagle donosił przyjaciołom, że z Giedroyciem „definitywnie się rozchodzę, z różnych powodów”, bo Redaktor pod pretekstem, że „nie zna się na poezji i szczególnie poezji współczesnej nie rozumie” odmówił publikacji wierszy; „dla Giedroycia i dla tego, co zrobił, mam podziw, i człowiek to niewątpliwie ładny, ale mnie dotkliwie zranił: widział we mnie wyłącznie instrument polityczny, do jego politycznej gry tylko przydatny”²². Był to cios nokautujący – Wat

¹⁹ „Na Antenie” 1966 nr 13. Cytuję za: A. Wat, *Pisma zebrane*, t. 5: *Publicystyka*, oprac. P. Pietrych, s. 593-605.

²⁰ Starczy przypomnieć odmowę przyjęcia przez Wata sowieckiego paszportu i dramatyczne tego konsekwencje.

²¹ *Korespondencja*, dz. cyt., t. 1, s. 243.

²² List do Józefa Wittlina, 1 marca 1964, tamże, s. 714.

deklarował zawsze, że chce pozostać w pamięci jako poeta, a nie dzięki politycznej publicystyce.

Klimat San Francisco okazał się zabójczy, coraz rzadsze i krótsze były okresy, w których Poeta mógł myśleć o kontynuacji antykomunistycznego eposu²³. Ustawiały relacje z Redaktorem.

Był rozgoryczony. Warto przypomnieć, że nie tylko on narzekał na trudny charakter Giedroycia, na jego twarde trzymanie się wytyczonej linii. Zygmunt Hertz wykpiwał Księcia w listach, Józef Czapski pisał o Giedroyciu w tonacji pół-żartobliwej: „Co się zaś tyczy kultu jednostki co robić kiedy z miesiąca na miesiąc ta jednostka twardnieje jak stary *gruyère* który zamienia się w granit. Już nawet ja cicha owieczka nie umiem się nie złościć kiedy najmniejsza krytyka wywołuje zawsze sprzeciw k a t e g o r y c z n y . [...] Jaka walka z kultem jednostki? Zespół [„Kulturzy” – A. K.] dawno przestał istnieć, można jedynie zrobić pucz wojskowy i wodza zamordować razem z Zosią-Samosią [Hertz] i przechodząc przez krew naznaczyć kolegialne kierownictwo WAT + KOT [Jeleński] + Z[ygmun] HERTZ, czapsy [sic] zaś, jak zwykle, jako wieżyczki poboczne dla ornamentu”²⁴.

Nawet Maria Czapska, osoba o anielskim sercu, pisała o Giedroyciu: „Jakże jest trudny w stosunkach z ludźmi, jak mało l u d z k i . Zdobyłam się na odwagę i wypowiedziałam wszystko co mamy na sercu przeciwko niemu – ale czy to może go zmienić? Kot uważa że to beznadziejne, ale nic nie jest beznadziejne, tylko nie trzeba opuszczać rąk i nie wolno nigdy odpisać człowieka >na straty<”²⁵.

Im bardziej rozwiewały się nadzieje i marzenia, tym mocniej Wat wierzył w możliwość ich spełnienia. Aby je podtrzymać, chwalił się – sceptycznemu Giedroyciowi! – podnoszącymi go na duchu, zasłyszanyymi z drugich ust pochlebnyymi głosami, które docierały z Warszawy. I przyjmował nowe zobowiązania, nie do wypełnienia przy jego stanie zdrowia. W końcowym efekcie relacje Poety z Redaktorem sprawiają wrażenie ciągu niedopełnionych z obu stron obietnic i wynikających stąd konsekwencji. Wat, zmagający się wciąż z chorobą, wyniszczony cierpieniem, nie ukończył swego *Lebenswerku*, pozostawił tylko kilka szkiców w „Kulturze”. Giedroyc, rzeczywiście ślepy na piękno poezji (jakież miernoty drukował, a dla Wata wciąż brakowało miejsca!), był w swej prawości okrutny.

Ale należy też pamiętać, że Giedroyc wiązał z osobą Wata wielkie nadzieje, włożył w te kontakty wiele starań i trudu, a zamiast sensacyjnej książki i aktualnych komentarzy otrzymał zaledwie kilka szkiców politycznych, propozycję wydania *Mojego wieku* i niechciane przez niego wiersze. Z punktu widzenia Redaktora niewiele zmieniał fakt, że przyczyną niedopełnienia zobowiązań była śmiertelna choroba, uniemożliwiająca systematyczną pracę. Ważny był fakt niespełnienia ocze-

²³ List do Józefa Wittlina, 15 stycznia 1964, *Korespondencja...*, dz. cyt., t. 1, s. 712.

²⁴ List z 2 kwietnia 1963, *Korespondencja...*, dz. cyt., t. 2, s. 46.

²⁵ List do Wata z 23 lipca 1964, znajduje się w zbiorach archiwum Beinecke.

kiwań, denerwujący Giedroycia na tyle, że finałem tych tak świetnie zapowiadających się relacji stało się dwukrotne bezlitosne (i bezsensowne) uderzenie w Wata: najpierw – dyskryminacja poezji, później – *Mojego wieku*:

„Wat (...) zwrócił się do mnie z propozycją wydania *Mojego wieku*. Po przeczytaniu odmówiłem, bo roi się tam od błędów, nie mówiąc już o rzeczach dość obrzydliwych, jak to, co Wat pisał o Drugim Korpusie: >banda faszystów<. Nie miał o tym zielonego pojęcia, a Miłosz nie wiedział o tym wiele więcej. Nie mogłem tego puścić. Było też tam wiele nieścisłości, jeśli chodzi o jego kontakty rosyjskie”²⁶.

Te uwagi odnoszą się oczywiście do przepisywanej na maszynie, wielokrotnie przez Paulinę Watową i Miłosza poprawianej, wersji dzieła (pierwsze wydanie – Londyn 1977); w druku owej „bandy faszystów” już nie było. Giedroyc, choć przeprosił rodzinę Poety za omyłkę (i poprawił błąd oczywisty: rozmawiał nie z Watem, który od dawna nie żył, lecz z jego żoną) podtrzymywał jednak swe przekonanie, iż te lub podobne słowa z ust Wata padły: może nie w edycji, lecz „w prywatnych rozmowach, jakie odbywaliśmy z nim, Zygmunt Hertz i ja. Przypuszczam, że sformułowanie określające Drugi Korpus jako >bandę faszystów< utkwiło mi w pamięci w następstwie tych rozmów, gdyż padało tam wiele sformułowań, które bardzo nas raziły, w tym może takie lub podobne”²⁷.

O ile wiem i pamiętam z rozmów z Olą Watową w Paryżu, nieukrywana niechęć Wata do II Korpusu miała źródło w wydarzeniach, związanych z rekrutacją żołnierzy, wydobywanych z Rosji po podpisaniu paktu Sikorski-Majski. Wat podobno próbował skorzystać z tej szansy, ale na przeszkodzie stanęły bliżej przez Olę nieprecyzowane względy ideologiczne. To by wyjaśniało, jak w maszynopisie *Mojego wieku* mógł znaleźć się zwrot „banda faszystów”, w druku zlikwidowany.

Pozostała natomiast w książce, cytowana później przez Giedroycia nie mniej straszna opowieść (zasłyszana przez Wata) o antysemityzmie Korpusu, o podłym traktowaniu i wyszydzeniu żołnierzy pochodzenia żydowskiego; znamienne, że Giedroyc nie podważał tych relacji, a protestował tylko przeciw plotkom o wyrzucaniu z pociągu ewakuacyjnego żołnierzy-Żydów przez tych, którzy semickich przodków nie mieli.

3 lipca 1965 Watowie wrócili z Berkeley do Francji. Zamieszkali w Antony pod Paryżem, poeta nie rezygnował jednak z uczestniczenia w ważnych wydarzeniach publicznych i kulturalnych: przygotował referat na odbywającą się w marcu 1967 paryską konferencję pisarzy polskich z kraju i z emigracji. Nie mógł już go wygłosić, zaprezentował go uczestnikom syn, Andrzej Wat.

Kontakty z Giedroyciem zamierały. Ostatni list Wata, z kwietnia 1967, był utrzymany w oficjalnym tonie, zatytułowany bez śladu dawnej poufałości: „Sza-

²⁶ J. Giedroyc, *Autobiografia na cztery ręce*, oprac. K. Pomian, cyt. za drugim wydaniem krajowym, Warszawa 1996.

²⁷ Tamże.

nowny Panie Redaktorze”; zawierał prośbę o opublikowanie w „Kulturze” anonsu, zapowiadającego edycję zbiorczego tomu poezji, *Ciemne światło*, w wydawnictwie *Libella* nieocenionego, niezwykle zasłużonego dla polskiej kultury Kazimierza Romanowicza. Giedroyć anons zamieścił, a Wat zdążył jeszcze przed śmiercią przeprowadzić korektę.

Gdyby nie inicjatywa Romanowicza, Wat odchodziłby ze świata przeświadczony, że nie pozostawi po sobie śladu: „dzieła życia” nie napisał, a jego niewielki, rozproszony dorobek poetycki po śmierci będzie zapomniany.

GOMBROWICZOWSKA WERSJA ROMANTYCZNEGO BUNTOWNIKA

Trwałą fascynacją Gombrowicza były umysły nasze polskie zaśnieżone przywiązane do stereotypów, groteskowo zniewolone przez strukturę form. Tkwiące w sieci, zarzucanej przez FORMĘ i przez przeszłość, zdradliwie wyzuwającą z indywidualności; miotamy się w jej murach nie do przekroczenia, nie do rozbicia. W formie trupiej – gdyż, jako rzekł Słowacki, „zrealizowaną już ideę uważam za umarłą”.

Obnazając upiorną moc tradycji, i Gombrowicz został przez nią zauroczony, omotany. Odrzucając, wchłaniał. Na przykład w *Iwonie, księżniczce Burgunda*. Jakież stereotyp ucieleśnia tytułowa bohaterka? Przez inne postaci dramatu i przez krytyków jest widziana zgodnie jako istota niemrawa, niezdarna, pozbawiona wdzięku (choć Jan Błoński dojrzał w niej jakiś przewrotny *sex appeal*), z niedomogą umysłu. Czyli: nieponętą i tępa. Można jednak pod pozorem tępoty odkryć (myśląc przekornie, a nieoczekiwanie coś serio z tego wynika) ucieleśnienie romantycznego heroizmu.

Nie była piękna, ani zadbana? Nie jest to wcale pewne, bo odautorskiego opisu brak, wszelkie o niej opinie pochodzą od innych bohaterów dramatu, czy jednak ich oceny powinniśmy traktować jako wiarygodne? Toż autor prezentuje ich jako żalodne, marionetkowe błazny.

Założyć zatem można równie dobrze, iż Iwona tylko nie przystaje do przyjętej na dworze konwencji, mody i zachowań. Że jej uporczywe milczenie jest może znakiem nie tępoty, lecz ostatecznej odmowy, znakiem, że nie ma najmniejszej ochoty uczestniczyć w dworskim idiotyzmie. Metoda skutecznie broniąca przed gadaniem przysłowiowych ciotek i przed nachalnymi natrętami w parku. Iwona milczy, odmawia uczestnictwa.

A jak inaczej mogłaby wyrazić swą niezgodę na świat, swój bunt, w świecie zidiociałym? Jej rozpaczliwą bierność można odczytać jako błaganie o spokój, o wolność. Nie godzi się upodobniać do innych – chociaż byłoby to o wiele łatwiejsze niż samotne trwanie w tragicznym oporze.

Czy jest tępa? – mówi Iwona rzeczywiście niewiele. Co więcej, gdy w końcu się odzywa, mówi jakby do siebie, gardzi komunikatywnymi możliwościami języka. Ale, właściwie, z kim ma rozmawiać? Znajduje się przecież – gdy spojrzeć na to trzeźwo – wśród idiotów, zakutych w okowy konwencji, dziecięciniały i bezwolnych; jest

jedyną osobą, która się nie poddała, która zachowała własną integralność. Mówi więc niewiele, czyni jeszcze mniej – ale jej zachowania i słowa jakże są znaczące!

Po długich milczeniach – mówi: „Ja wcale nie jestem obrażona. Proszę mnie zostawić”. Na tle kretyńskich zachowań Księcia i jego przyjaciół rozpaczliwa próba ocalenia siebie. „Proszę mnie zostawić”. Próba z góry skazana na niepowodzenie: niczego tu nie można cofnąć, los musi się dopełnić. I nagle kolejna niebywale ważna egzystencjalna refleksja: „W kółko. W kółko”, dopełniona niechętną (jak rzucanie pereł przed wieprze) próbą wyjaśnienia: „„W kółko każdy zawsze. Wszystko zawsze... To tak zawsze”. Zauważmy, jak ogromnieje myśl: od ogólnikowego „w kółko” do poszerzenia kręgu objętych refleksją zjawisk: „w kółko każdy zawsze”, „wszystko zawsze”. Możemy tu już odkryć przejście od myśli formułowanej na poziomie pojedynczego bytu – do dywagacji na skalę przestrzeni kosmosu („wszystko”) i czasu („zawsze”). Zauważmy jeszcze, że w tych rozważaniach, w których można odnaleźć wątek egzystencjalny i historiozoficzny, odbija się znów romantyczny rodowód myśli Gombrowicza; oto przecież tak bliska romantykowi cykliczna koncepcja czasu, przybierająca podobną jak w *Iwonie* formę już w zakończeniu *Zamku kaniowskiego*: „znów tenże pokój i zbrodnie te same”.

Iwona, tak dumnie milcząca, jest pod pozorem spokoju bohaterką pełną wspańnięj pasji, która nagle wybucha: „Precz! Precz! Precz! Won!”, i po tym wielkim wysiłku gaśnie, jak gasnął Adwokat ducha wielkiego w *Samuelu Zborowskim*.

Dalej Iwona znów przerywa milczenie, znów jakże ważną egzystencjalną refleksją: „Włóczka”. Analogia z motywem kółka z aktu poprzedniego oczywiście się narzuca. Włóczka przywodzi na myśl bardziej jeszcze skomplikowaną, zagmatwaną formę cykliczności. Splątanej jak włóczki kłębek. Współczesnym nam kontekstem stał się niechybnie *Żmut* Rymkiewicza.

Oczywiście z punktu widzenia kreacji postaci Iwony najbardziej znaczący jest akt IV, scena wyrafinowanego morderstwa. Ileż tragizmu (to już mówię całkiem poważnie) emanuje z biernego protestu Iwony, gdy zbliża się moment egzekucji. Stara się opóźnić wydarzenia, waha się przed zajęciem miejsca przy stole, „nie rusza się” ku krzesłu, i dopiero brutalnie ponaglona „zaczyna jeść”. Potem dwukrotnie jeszcze przerywa, bo świetnie wie, że każdy kęs może okazać się ostatnim. W i e , bo nic w dramacie nie wskazuje, by była ograniczona umysłowo, a gdyby nawet była nieco tępa, to przejrzyste aluzje współbiesiadników by ją oświeciły. W końcu „zaczyna jeść solo”, „dławi się” ością karaska, „umiera” („czy krzyknął?... //Nie, usta ma blade// I nic nie mówi” – to Kordian, z równą godnością przyjmujący śmierć).

Iwona jest jedyną postacią dramatu, która nie podporządkowała się FORMIE. Dumnie i z godnością wytrwała, nie okazała lęku, nie poddała się, wolała życiem zapłacić za niezłomność ducha. Toteż mój gwałtowny protest wzbudza zgodne, a jakże krzywdzące traktowanie przez badaczy tej świetnej, odważnej dziewczyny jako istoty tak biernej i ograniczonej umysłowo, że nie wie, co czyni, ani na co się naraża.

W *Ferdydurke* FORMA była w dynamicznym procesie stawania się, walk, utrwalania swej władzy. W *Iwonie księżniczce Burgunda* FORMA zwycięsko już opanowała świat, wszyscy bohaterowie dramatu tańczą pod jej milczące dyktando. Radośnie i bezmyślnie, z umysłami sparaliżowanymi przez indoktrynację, marionetkowe postaci pojawiają się w obrębie porządku, antycypującego koszmarnie zdiagnozowane potem przez Tadeusza Borowskiego struktury totalitaryzmu.

Nie budzi wątpliwości funkcja, jaką Iwona pełni w dramacie Gombrowicza: rola katalizatora, burzącego ten pełen wdzięku ład. Iwona zachwiała, choć na chwilę, podstawami porządku wtłoczonego w Formę burgundzkiego dworu. NARUSZENIE FORMY nie może oczywiście pozostać bezkarne; jeśli bowiem naruszy się strukturę doskonałą, to całość albo unicestwi ten element rozkładowy, albo sama ulegnie destrukcji. Przystanie istnieć Forma, konwencje raz przełamane przywrócić się nie dadzą, rozpadnie się dwór, król i królowa.

Można zatem, nie na przekór tekstowi lecz zgodnie z nim, choć nieco prowokacyjnie (czyli zgodnie z poetyką uprawianą przez Gombrowicza), ujrzyć Iwonę nie jako istotę bezwolną i tępą, lecz jako nową, przystosowaną do rzeczywistości lat trzydziestych, wersję romantycznego buntownika. Bo intencje prezentowała te same, a skutki jej działania były nie mniej efektowne – zachwiała, choć na moment, strukturą znienawidzonego świata.

Gdyby przeciw łagodnemu światu z dobrotliwym królem i sentymentalną królową wystawić romantycznego bohatera, Kordiana – byłoby to niewyobrażalnie śmieszne. Tak śmieszne, jak romantyzm, wykpiony w *Ferdydurke*. Tak śmieszne jak to, że „Słowacki dobrym poetą był”. Nie ta epoka, nie ten świat, nie ten patetyczny gest i język. A przecież gdy w końcu lat trzydziestych romantyczną wizję chaosu świata zastąpiła świetnie zorganizowana Forma totalitarna, zachwycająca, jak w 1936 roku zachwycili poetę, Kazimierza Wierzyńskiego, sportowcy maszerujący na berlińskiej olimpiadzie – to wówczas pod pióro Gombrowicza wpłynął romantyczny bohater. Tyle, że ów bunt, heroizm i dumny indywidualizm musiał przybrać nową Formę.

Okazuje się to w pełni w zakończeniu dramatu. Bohaterska dziewczyna, samotna wśród wrogiego świata, przedkłada śmierć nad zdradę siebie i ideałów. Nie godzi się odstąpić od swych przekonań, i ze smutkiem, z wahaniem, powoli, podnosi do ust kęs karaska w śmietanie. Na oczach zgromadzonych biesiadników popełnia samobójstwo. W warstwie fabuły dramatu zmusza ją do tego presja środowiska (z podobnych pobudek po kilkudziesięciu latach popełni akt samospalenia bohater *Matej apokalipsy*). W warstwie Formy – ze śmiercią Iwony wszystko wraca do normy: przeszkadzający element został ze struktury usunięty, prawidłowość układu przywrócona. Przywrócony został porządek – po zadławieniu (dosłownym) opozycji wszystko natychmiast wraca do normy (czyli: FORMY), i nasz gombrowiczowski świat może znów sprawnie funkcjonować.



Witold Gombrowicz w towarzystwie matki, babki i siostry,
ok. 1913 roku

III.
WSPOMNIENIA



Pałac Czartoryskich w Puławach: Świątynia Sybilli



Stanislaw Lorentz



Irena i Stanisław Lorentzowie w Warszawie, ok. 1927-1928 roku

O OJCU – WSPOMNIENIA DOMOWE

Najdawniejsze moje wspomnienie. Jesteśmy tylko we dwoje na łódce, na jakiejś wielkiej wodzie, Ojciec wiosłuje. Świadomość niezwyklej, intymnej więzi, która aż domaga się utrwalenia na zawsze. Pytam: „jakie kwiatki lubisz najbardziej?” – „Niezapominajki”. Czar tajemnicy, zwierzenia tylko dla mnie, zapamiętanego na całe życie. Jakaż uluda! Po wielu latach zbieraliśmy razem w lesie kwiatki dla Mamy – znów: „Jakie lubisz najbardziej?” – „Różne. Dzwoneczki, konwalie...” – „Jak to? Przecież niezapominajki?” – „Niezapominajki też...”. A przypomniane jezioro okazało się bajorkiem w Parku Skaryszewskim.

Fatalne rozczarowanie, ale wspomnienie ważne: jedyne sprzed wojny, z sierpnia 1939, kiedy Ojciec wrócił z Anglii i jeszcze był z nami na spacerze. Miałam trzy lata.

Potem nagle – dom pełen pudeł z jajkami, po nich przybywają galony z oliwą, tłumy obcych ludzi, którym w kuchni naszego mieszkania na Kredytowej przelewało się tę oliwę do butelek, i Mama, nagle energiczna, dominująca, w gąszczu dziwnych spraw. To rezultat wolty Ojca: gdy wybuchła wojna powiadomił Mamę, że od tego momentu ona ma dbać o dom, bo jego miejsce jest przy Muzeum i zabytkach. I tak oto piękna i ukochana Mama, na rozruch interesów pozbywszy się futer itd., znakomicie dała wszystkiemu radę – utrzymała nie tylko nas, ale i wiele osób w potrzebie.

O działalności Ojca w latach wojny wiedziałam tyle, ile odbijało się na moim życiu. Kiedy miałam pięć lat, folksdojcz krawiec Korański (po wojnie miał piękny zakład na Nowym Świecie) przyszedł z Niemcami i zajął nasze mieszkanie. Natychmiastowa ewakuacja do kamienicy Baryczków na Rynku Starego Miasta, w piwnicach były tam wielkie składy broni, na wszelki wypadek mnie (a potem i siostrę) usunięto z Warszawy, rodzice dojeżdżali na niedziele (straszne rozstania, zawsze się bałam, że to ostatni raz, że ich zabiją) – i tyle Ojca widywałam.

Gdy myślę, co kierowało Ojcem, wiem: namiętna, zaborcza miłość. Do wszystkiego, co stanowiło o tradycji polskiej kultury (zabytki!), a także do żony, Ireny z Nasfeterów (razem z przyległościami, czyli córkami, wnukami i całą rodziną). I oczywiście, że w domu to było najważniejsze. Boje Ojca, radość zwycięstw, przelotne gorycze porażek. Z myślą o kłesce niemal nigdy się nie godził – pamiętam tylko dwa takie przypadki: zwrot do Krakowa arrasów wawelskich i, też do Krakowa, *Damy z łasiczką* Leonarda da Vinci (potem satyrycy ze „Szpilek” ozdobili

kawiarnię „Lajkonik” reprodukcją tejże *Damy*, która zamiast łaściczki tuliła do piersi Ojca). Tryskająca energia, promienne oczy, szczęście – taki był, kiedy coś się udało, coś odzyskano, ocalono, odbudowano, jakieś pieniądze, jakieś dary, zabiegi o to wszystko – oto wspaniały sens życia, euforia, udzielająca się nam wszystkim. A Mamą niechętnie dzielił się nawet z nami: Mama była do kochania, a nie do tego, by nas obsługiwać.

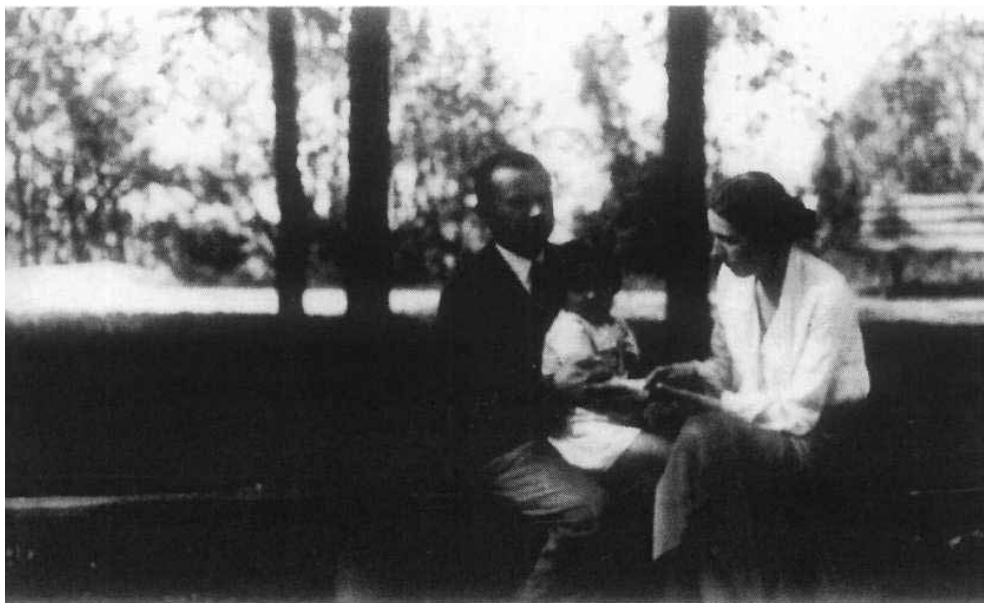


Irena i Stanisław Lorentzowie z córką Aliną w Nieborowie, 1950 rok

Wilno było miejscem najbliższym sercu rodziców. Decyzja porzucenia dobrze zapowiadającej się kariery naukowo-nauczycielskiej w Warszawie, przeniesienia się gdzieś daleko, ryzyko objęcia odpowiedzialnego stanowiska konserwatora wojewódzkiego na Wileńskie i Nowogródzkie – Ojciec decyzję zdał na żonę, a Mama się nie wahała. (Ale już dwa lata wcześniej najpiękniejsze Wilno Ojciec wybrał na miejsce ślubu – tam się pobrali, w kalwińskim kościele.) Owe lata, opisane w *Ojca Album wileńskim*, wciąż ożywały w naszym domu. Najmilsi przyjaciele i goście – wilnianie, najpierw pojawiający się po exodusie, potem, rozproszeni po Polsce, odwiedzali nas, rodziców i moją siostrę, której dzieciństwo upłynęło w Wilnie (a ja jestem wileńsko-warszawska, bo urodziłam się w Warszawie w parę miesięcy po ich powrocie, więc coś z ich wileńskiego szczęścia we mnie tkwi).



Irena Lorentzowa z córką Ireną, ok. 1928 roku



Irena i Stanisław Lorentzowie z córką Ireną w ogrodzie bernardyńskim w Wilnie, ok. 1931 roku

Grono wileńskich przyjaciół przerzedziła wojna. Nie było już Witolda Hulewicza ani młodziutkiego we wspomnieniach „złotego Dorka” – Teodora Bujnickiego. Najczęściej odwiedzali nas w powojennych latach: Jagienka Feillowa, córka zakatowanego w gestapo Witolda Hulewicza (chrzestnego ojca mojej siostry), pani Pelczarowa z córkami Zosią i Makusianą, Roma i Tadeusz Łopalewscy, powieściopisarka Wanda Dobaczewska z synem Tadeuszem (osiadła w Żninie), architekt Janeczek Borowski z żoną Haliną (po wojnie z Gdańska), malarz Ludomir Ślodziński z żoną (Kraków) i córką Julittą, malarz Kazimierz Kwiatkowski, osiadły w Toruniu profesor Konrad Górski z żoną, Tadeusz Makowiecki z żoną Hanką i dziećmi (Ojciec został chrzestnym ich syna).

Odbyły się w naszym mieszkaniu w Muzeum dwa towarzyskie zjazdy wilnian, upamiętnione w rodzinnych albumach: w 1964 roku z okazji otwarcia w Muzeum wystawy malarstwa Ferdynanda Ruszczyca i drugi w kilka lat później, zdaje się, że z okazji otwarcia kolejnej wileńskiej wystawy, Ludomira Ślodzińskiego. Przyjeżdżali wtedy także ci wszyscy, którzy, o pokolenie starsi od „żagarystów”, tworzyli intelektualną atmosferę międzywojennego Wilna. I którzy przetrwali. Warto przypomnieć nazwiska – według podpisów, składanych w rodzinnym naszym albumie. Prócz wcześniej wymienionych – także: Ada Węśławska, Helena Okuliczowa, Halina Zawadzka z córką, Maria Patkowska, Stefania Chomińska (jej mąż, Luk, zmarł wkrótce po wojnie), Maria Prufferowa, Janina i Barbara Ruszczycówny, Marysia Kopeć, Irena Kołoszyńska, Lena Morełowska (Marian już nie żył), Jerzy Hoppen, Stefan Narębski, Jerzy Remer, Krystyna Wróblewska, Michałostwo Reicherowie,



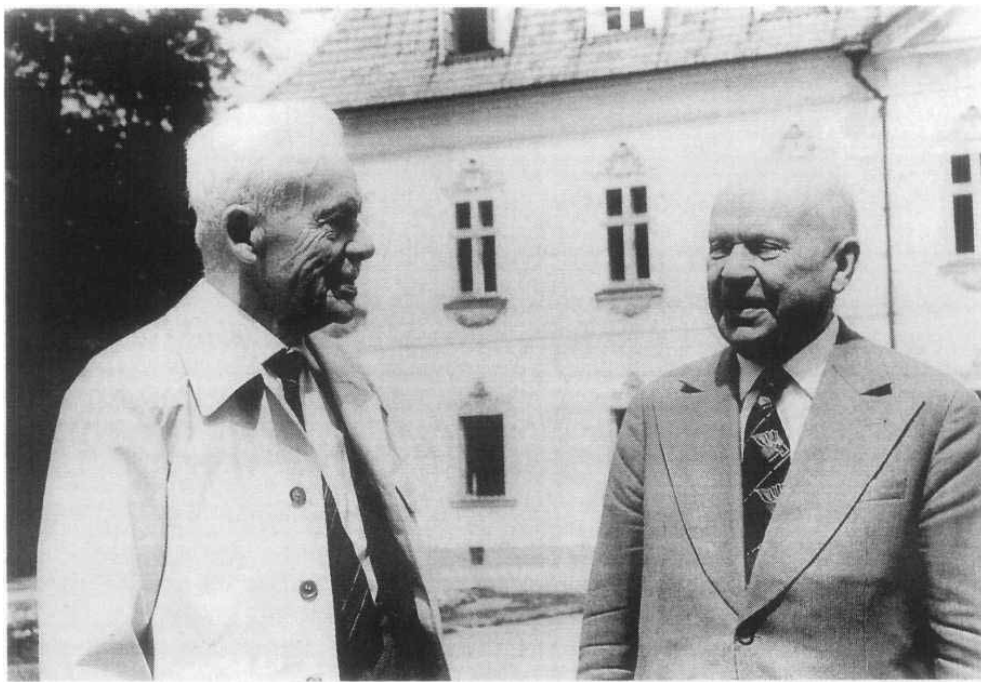
Wieczór pożegnalny w Związku Literatów w Wilnie przed wyjazdem Stanisława Lorentza i Witolda Hulewicza do Warszawy, 1934 rok. Na pierwszym planie od lewej: Stanisław Lorentz, Irena Lorentzowa, Witold Hulewicz. W głębi widoczni m.in.: Tadeusz Łopalewski (stoi pierwszy z lewej), Roma Łopalewska (stoi trzecia z lewej), Krystyna Wróblewska (siedzi pierwsza z lewej), Dzitka Pelczarowa (siedzi druga z prawej, za Ireną Lorentzową)

Wojciechostwo Umiastowscy, Cywińscy, Zakrzewscy, panie Siengalewiczowa i Staniewiczowa, dawny wojewoda nowogródzki Zygmunt Beczkowicz, Olgierd Bielski, i trochę innych osób, bardziej przygodnie z Wilnem związanych. Ileż wzruszeń i wspomnień! A mnie jako polonistce szczególnie mocno utkwiło w pamięci – jedno-głośne, gwałtowne potępienie Józefa Mackiewicza za jego niegodną postawę w latach wojny.

Przed kilku laty, już po śmierci Ojca, dowiedziałam się, że w archiwach litewskiego Ministerstwa Kultury i Sztuki odnaleziono ponad 200 teczek zawierających dokumenty, związane z jego pracą jako konserwatora. Zajmuje się tymi materiałami pani Maria Dakszewicz, która ułożyła je i skatalogowała.

Mogłam je obejrzeć, trochę dokumentów skserować, zrobić notatki. Niezwykle to uczucie, nieoczekiwanie mieć przed oczyma wszystkie te teki, szczegółowe świadectwa jego pracy, wszędzie z mnóstwem odręcznych notat, szkiców, listów, decyzji. Miał wtedy około 30 lat – a jakby nic się od tego czasu nie zmienił, był to ktoś dokładnie ten sam, jakiego pamiętam z lat ostatnich. Ten sam charakter pisma – równe rzędkie drobniutek, czytelnych liter, kategoryczność sformułowań, żadnych wahań, natychmiastowe decyzje, egzekwowanie ich wykonania. I ta sama pewność, jaką miał do końca, że w walce o słuszną sprawę nie należy nadmiernie

zważać na przestrzeganie przeszkadzających praw czy przepisów, bo obrona dziedzictwa kulturowego jest od nich stokroć ważniejsza. Podejmował równoległe wiele działań, z równą zachłannością walczył o konserwację ruin zamku w Trokach, jak o pojedyncze drzewa, którym groziło wycięcie.



Stanisław Lorentz i Zygmunt Beczkowicz, dawny wojewoda nowogródzki i wileński, na tle pałacu w Nieborowie, czerwiec 1978 rok

Szukał sojuszników i uciekał się do przemysłowych wybiegów. Utrzymywał stałe kontakty z miłośnikami pamiątek i pejzażu – są listy od nauczycieli, leśników, właścicieli ziemskich. Ale i od profesora Waława Szafera, który prosił o pomoc w chronieniu przyrody, gdy jeszcze nie było odpowiednich urzędowych dekrétów. I oto w pismach Ojca monumenty przyrody, lasy, piękne zakątki przemieniały się w zabytki polskiej kultury, a czasem, gdy było to niezbędne, zyskiwały potrzebny rodowód: kapliczka, która w kolejnych papierach coraz bardziej prawdopodobnie okazywała się związana z II częścią *Dziadów* (niebawem konsystorz w Grodnie w liście do Urzędu Wojewódzkiego argumentuje: „z cerkwią tą tradycja istotnie wiąże II część *Dziadów* Mickiewicza, jak to stwierdza konserwator p. Lorentz”). Drzewa przy krzyżu, które mogły być – więc zapewne były – świadectwem toczących się walk... jakże to przypomina różne jego powojenne pomysły, wspomagające starania o ocalenie zabytków polskiej prowincji.



Karol Ludwik Lorentz,
ojciec Stanisława Lorentza, w wieku 28 lat



Członkowie Komitetu Ratowania Bazyliki Wileńskiej przy odkrytych grobach królewskich, jesień 1931 roku.

Stoją od lewej m.in.: 5. prof. Marian Morelowski (w białym płaszczu), 6. prof. Juliusz Kłos, 7. biskup Kazimierz Michałkiewicz, 8. Stanisław Lorentz, 9. Witold Staniewicz, 10. wojewoda Zygmunt Beczkowicz, 11. arcybiskup Romuald Jałbrzykowski, 12. biskup Władysław Bandurski, 13. Ferdynand Ruszczyc (za biskupem w drugim rzędzie), 14. ksiądz Kraujalis, 15. ksiądz prałat Adam Sawicki, 16. architekt Jan Peksza (w głębi, nieco wyżej), pierwszy odkrywca grobów.

Ważną inspiracją dla tych działań Ojca było jego żywe już w latach uniwersyteckich przeświadczenie, że fundamentem polskości jest język i tradycja. Tu trzeba sięgnąć głębiej w rodzinne rodowody – do zdumiewającego szaleństwa mojego Dziadka, Karola Ludwika Lorentza, w którym można odkryć zapowiedź fantazji mojego Ojca.

Odwoluję się do fragmentów z tekstu Ojca o jego Ojcu:

Ojciec mój pierwszy zerwał z kapeluszniczą tradycją rodziny, trwającą przeszło sto lat – mój prapradziadek był w roku 1770 pierwszym starszym cechu kapeluszników w Warszawie. Ojciec wybrał sobie karierę nauczycielską – nauczyciela języka niemieckiego, a był bardzo przedsiębiorczy i posiadał duży zmysł organizacyjny. [...]

W Radomiu [...] rozpoczął budowę gmachu szkolnego (czy może rozpoczął budowę w r. 1898?), by uzyskać możliwość zorganizowania 7-klasowej szkoły handlowej z internatem. Dwupiętrowy budynek o 13 oknach frontu stanął przy ulicy Długiej. Tu mieściła się szkoła, a widoczne na pierwszym piętrze z lewej strony 6 okien – to frontowe pokoje naszego sześciopokojowego (3 od ulicy, 3 od dziedzińca, łazienka, kuchnia)

mieszkania. [...]

W głębi za dziedzińcem stał, równoległe do domu frontowego – dom też dwupiętrowy, w którym mieścił się internat. Otwarcie szkoły 7-klasowej nastąpiło w pierwszych dniach września 1900 r.

Zaproszenie na inaugurację szkoły w nowym gmachu w dniu 9 września, w języku francuskim, brzmiało jak następuje:

«M. M.

J'ai l'honneur de vous prier de bien vouloir assister a la cérémonie d'inauguration de la nouvelle Ecole de Commerce de Radom, fondé par moi et installée dans la maison expressément construite rue Długa.

La cérémonie aura lieu le 27 Août/ 9 septembre à 2 heures très précise.

C. L. Lorentz

Radom, Septembre 1900»

Budowa specjalnych gmachów szkolnych i ranga Szkoły sprawiły, że jej otwarcie było ważnym wydarzeniem w życiu miasta. Wybrani goście zaproszeni zostali na obiad w restauracji St. Wierzbickiego, a menu w języku francuskim z małą fotografią gmachu szkolnego brzmiało: [...]

Jak to się stało, że Ojciec pozwolił sobie zaproszenie oficjalne wydrukować po francusku, nie po rosyjsku (bo już ostatecznie menu mogłoby być w języku międzynarodowym) – nie bardzo mogę zrozumieć. Ale myślę, że stosunki z miejscowymi władzami rosyjskimi musiały być ułożone w praktykowane wówczas finansowe porozumienie, czyli łapówki w różnej formie.

Już w szkole [Lorentza] 6-klasowej przy ulicy Lubelskiej był internat i czytelnia polskich książek, dla której prenumerowano m.in. „Przyjaciela Dzieci”, „Wędrowca” i „Biesiadę Literacką”. Oczywiście i w nowych budynkach była wydzielona czytelnia z książkami polskimi, francuskimi i niemieckimi. W internacie był guwerner Francuz i guwerner Niemiec, którzy prowadzili konwersację w tych językach z uczniami w godzinach pozalekcyjnych.

[...] W internacie umieszczali dzieci głównie ziemianie z majątków, położonych w rejonie Radomia, i przedsiębiorcy przemysłowi.

Idylla trwała półtora roku. Niewątpliwie skutek jakiegoś czy jakichś donosów skierowanych do władz w Petersburgu w styczniu roku 1901 przybyła niespodziewanie wizytacja ministerialna z Petersburga, która stwierdziła, że w czytelnicy nie ma pism ani książek rosyjskich, i nie ma też rosyjskiego guwenera. Komisja zażądała natychmiastowego uzupełnienia tych braków i – o ile pamiętam opowiadanie mej Matki – też zaangażowania rosyjskiego dyrektora szkoły.

Ojciec odmówił wykonania tych zarządzeń i w końcu marca 1901 r. pojechał do Petersburga, aby w Ministerstwie Finansów, któremu Szkoła podlegała, uzyskać skasowanie zarządzenia Komisji. Spędził wtedy w Petersburgu około 2 tygodni – ale nic nie uzyskał. Wobec tego Ojciec ogłosił *List otwarty* w „Kurierze Warszawskim” z dnia 17 czerwca 1901 r. następującej treści:

«Zwinięcie szkoły.

Szanowny Redaktorze! Uprzejmie proszę o pomieszczenie wyjaśnienia następującego. Szkoła moja została otwarta we wrześniu r. 1900 na zasadzie ustawy, za-



Stanisław Lorentz ma Rynku w Krakowie,
11 listopada 1918 rok

twierdzonej przez P. ministra finansów w Nr 55 'Zbioru Praw'. W styczniu r.b., za Nr 29, zaproponowano mi zmianę kilku punktów tej ustawy. Ponieważ na żądanych warunkach nie mógłbym szkoły prowadzić, zmuszony byłem zawiadomić ministerstwo, że na zmianę Ustawy zgodzić się nie mogę, skutkiem czego szkoła istnieć przestała.

Proszę przyjąć itd.
Radom, K. Lorentz"

Jestem dumna z Dziadka – były to przecież niemal te same lata, które znamy z *Szyzyfowych prac*, i okolice niemal te same – tam Kielce, tu Radom – a przecież Dziadek całą fortunę po kapelusznikach wydał na ufundowanie szkoły, by następnie całkowicie w niej zlekceważyć miejsce języka rosyjskiego – i gdy łapówki nie starczyły, wolał zamknąć szkołę niż wprowadzić rosyjskiego gubernera. Był potem inspektorem u Górskiego, a w wolnej Polsce dorobił się znów własnego gimnazjum – w Warszawie.

Ojciec rozpoczął działalność publiczną od podobnych idei. Dzięki przetrwaniu kilkudziesięciu albumów, do których wklejano wszelkiego rodzaju pamiątki rodzinne, zachowała się także unikalna ulotka, opatrzona przez niego uwagą: „pisałem tekst tej ulotki”. Odbito ją drukiem na zielonkawym papierze; 16-letni Ojciec nawołuje młodzież: „Koledzy! [...] Nie zapisujemy się na lekcje jęz. rosyjskiego, a żądajmy powiększenia ilości wykładów jęz. polskiego! Warszawa, w sierpniu 1915 r.”



Anna i Monika Żeromska (żona i córka pisarza) na tle ruin Zamku Królewskiego w Warszawie, 17 czerwca 1970 roku



Stanisław Lorentz z córkami, Ireną i Aliną, w Kazimierzu nad Wisłą, latem 1942 roku

Dalej w tymże albumie – trochę druków, związanych z działalnością Ojca u boku regionalisty Aleksandra Patkowskiego; pamiętam opowiadania o Patkowskim, a przede wszystkim o Żeromskim, który tej działalności patronował swym nazwiskiem i pod którego patronatem tworzono wówczas wakacyjne kursy dla nauczycieli; pod jednym z dokumentów figuruje podpis Ojca (był już asystentem na Uniwersytecie Warszawskim) jako sekretarza tychże kursów. Wtedy – jedyny raz – zetknął się osobiście ze Stefanem Żeromskim. Po latach – kult Żeromskiego znajdował odbicie w przyjaźni z żoną pisarza i nas wszystkich z córką, Moniką.

Jeśli ochrona dóbr kultury była pasją jego życia, to oczywiste, że ojczysta tradycja narzucała kierunek naszym domowym zainteresowaniom i rozrywkom. Lektury Ojca, a za nimi szły i nasze: o wiele więcej książek polskich autorów niż obcych, i wybór tych przede wszystkim, w których tkwiły bliskie sercu idee i emocje. Najważniejszy – Żeromski, wielokrotnie powracające *Popioły*, *Szyfrowe prace*, *Echa leśne*, *Uroda życia*, *Sen o szpadzie*, *Wierna rzeka*, *Przedwiośnie...* Słowacki – bo przepiękny, a teraz podejrzewam, że i z powodu pasji, jaką są przepełnione jego dzieła – dramaty, *Beniowski* – i emocjonalność liryków (Ojciec chętnie też się wzruszał). Za Słowackim – oczywiście czerpiący zeń pełną garścią motywy i bohaterów, krzepiący serca Henryk Sienkiewicz. Po wielokrotnie czytowane pamiętniki, od Paska po współczesne. I wiersze. Ale, szczególnie w ostatnich latach, gdy czasu było więcej, wypełniały go także Rodziewiczówna, Agata Christie, Simenon...

Naszą duchową edukację uzupełniało rodzinne śpiewanie. Obok pianina na stoliku sterta śpiewników: Barańskiego *Jeszcze Polska nie zginęła*, zeszyty pieśni legionowych, *Czerwone maki* i tłum innych; Ojciec gra, moja siostra Irena śpiewa pięknym głosem, a reszta nas okropnie fałszuje, ale ileż uczucia w tych *Za Niemen tam precz!*

Takie kształtowanie edukacji rodzinnej wydaje mi się wspaniałe, bo patronowały jej miłość i wzajemne zaufanie, a wynikały – mocno wpojone wartości, które pozostają na całe życie. Wiadomo, co jest ważne, a co nie, i jak żyć, by w starości patrząc wstecz nie uznać własnego życia za brzydkie ani zmarnowane.

Ale bezkompromisowość miewała, przykro wyznać, i nienajlepsze strony. Na przykład – moja Babcia była nauczycielką geografii i języków (rozpoczęła pracę na pensji dla panienek, gdy miała 17 lat, potem uczyła w szkołach Górskiego i Lorentza – jej uczniem był krótko między innymi prymas Stefan Wyszyński), a prywatnych lekcji udzielała jeszcze w dojrzałym wieku 91 lat; uczyła niemieckiego, francuskiego i rosyjskiego. Niestety, mnie Babcia mogła uczyć tylko francuskiego – gdy Ojciec zauważył, że zaczęłyśmy niemiecki, powiedział ze smutkiem, że nigdy by nie chciał słyszeć z moich ust niemieckich słów. I tak się skończyło, pozostałam wtedy na poziomie czytanki *Kai aus der Kiste*. O rosyjskim oczywiście w ogóle nie było mowy – odkąd Ojciec, przechodząc obok jakiegoś przedszkola, usłyszał, jak dzieci śpiewają czastuszkę „Kalinka, Kalinka, Kalinka maja...”, miał do rosyjskiego absolutną awersję.



Stanisław Lorentz w towarzystwie m.in. architektów Jana Borowskiego i Juliusza Kłosa (z laską) podczas prac nad zabezpieczaniem ruin zamku w Trokach, 1929 rok

Zaufanie i lojalność wobec naszych poczynań bywały nieco nadmierne. Wierzył, że nie potrzebuje wtrącać się do naszej nauki; interweniował wtedy tylko, gdy któraś z nas dostała dwóję – natychmiast wypłacał kilka złotych na pociechę (bo z piątki i tak już się cieszyłyśmy). Praktykowałam to potem na moim synu – dobrze się sprawdzało. Strasznie łatwo było Ojca nabrać, lojalnie wierzył we wszystko, co mu się mówiło. Kiedy miałam 17 lat, byłam przez kilka dni przewodnikiem grupy belgijskiej młodzieży; Rodzice wyjechali do Kazimierza. Pisałam do nich list, Belgowie coś dopisali, jeden że właśnie wziął ze mną ślub, inni że byli tego świadkami. Mama przeczytała, zaśmiała się i poszła spokojnie na spacer; Ojciec był w łazience, natychmiast z niej wyskoczył (umył tylko jedną nogę, co mi długo wypominał), zatelefonował do profesora Kazimierza Michałowskiego (wrócić z Kazimierza nad Wisłą nie było łatwo, komunikacja fatalna); profesor Michałowski na prośbę Taty przez dwa dni sprawdzał, czy na pewno był to żart; a Ojciec lojalnie snuł od razu plany, w jaki sposób w tej Belgii będą mi pomagali finansowo.



Uroczyste spotkanie w Starej Pomarańczarni w Łazienkach z okazji opublikowania „Autobiografii naukowej” Stanisława Lorentza w „Kwartalniku Historii Nauki i Techniki”, 23 lutego 1980 roku. Widoczni od lewej: Krystyna Sroczyńska, Kazimierz Michałowski, Jan Zachwatowicz, Irena i Stanisław Lorentzowie

Życie miał pełne wydarzeń, na przemian wspaniałych, wzruszających – i okropnych. Chyba początkiem zdecydowanych interwencji Ojca była podjęta wbrew decyzji władz, na własną rękę i za własne pieniądze, konserwacja ruin

zamku w Trokach; zapożyczył się na ogromną na tamte czasy kwotę 10 000 zł (chyba pod hipotekę szkoły?) – i odzyskał pieniądze, gdy oszołomione tą bezczelnością ministerstwo zmieniło decyzję na słuszną, czyli zgodną z jego myślą. Potem, jeszcze w Wilnie, słynna walka o arrasy wileńskie, które arcybiskup Jałbrzykowski próbował sprzedać za granicę; Ojca zdymisjonowano, ale arrasy pozostały, a i jemu po protestach wielu osób przywrócono stanowisko. To sprawy opisane w znakomitej książce Roberta Jarockiego i w Ojca książce wileńskich wspomnień.

Powojenne zwycięstwa i porażki pamiętam, bo zawsze wszystko natychmiast i dokładnie relacjonował Matce, wpadał do domu, przynosił wieści, i wracał do pracy; przez to byłyśmy i my wciągane w tok jego walk. Mieszkaliśmy w gmachu Muzeum, toteż przez nasz dom przewijali się stale Ojca współpracownicy. Oficjalnie przychodzili do niego, a z prywatnymi kłopotami także do Mamy; żyliśmy sprawami Muzeum.

Przyjaźnie zawodowe przekształcały się w prywatne, były nieoddzielne. Po wojnie, przy dziele odbudowy – architekt Jan Zachwatowicz i konserwator Piotr Biegański, a w Muzeum najściślejsza współpraca od lat przedwojennych z Kazimierzem Michałowskim (chyba nigdy się nie starli!). Spośród dziesiątków „muzealnych” przyjaciół – wymienię tylko kilku, tych, którzy do końca pojawiali się najczęściej, których pamiętam z ostatniego czasu.

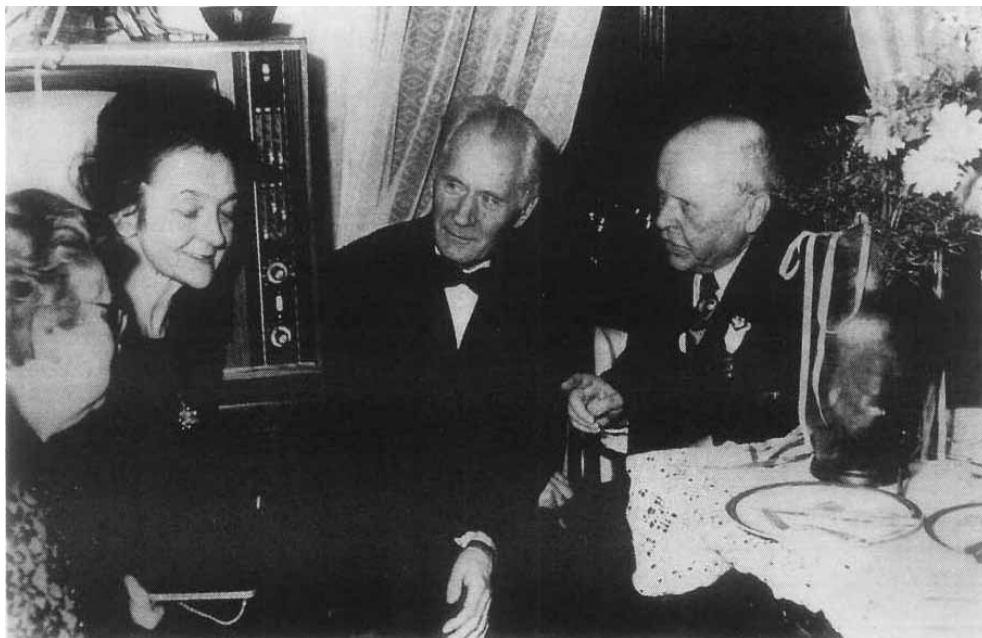


W Pałacu Dożów w Wenecji, 1964 rok. Stoją od lewej: Alfred Majewski, Stanisław Lorentz, Irena Lorentzowa, Piotr Biegański



Stanisław Lorentz w towarzystwie sekretarek, Danuty Karwowskiej (pierwsza z lewej) i Teresy Wiśniewskiej, w swoim gabinecie w Muzeum Narodowym

Świetnie radziły sobie przez wiele lat nie tylko z kierowaniem sekretariatem Muzeum, ale i z burzliwym charakterem jego dyrektora, panie Teresa Wiśniewska i Danusia Karwowska (wcześniej była Małgorzata Płomińska). Nigdy nie sprawiły mu przykrości, zawsze lojalne, uśmiechnięte, urocze, mądre, dbające. Mąż Danusi, znakomity i przyjacielski lekarz, zaglądał do Rodziców w ostatnich latach, był ostoją spokoju, podporą. Pani Aleksandra Pliszczyńska wpadała, by omawiać biblioteczne nowości – i pogadać. Ojciec bardzo cenił sobie wizyty „młodzieży” – Elżbiety Charazińskiej, Elżuni Makowieckiej, Justyny Guze; i pomoc najmłodszego z nich wszystkich, Andrzeja Dzieciółowskiego, który po drodze do pracy podrzucił Ojcu codziennie „Gazetę Wyborczą” i „Życie Warszawy”. Szczególną rangę miały spotkania z Jerzym Baranowskim – byłym wicedyrektorem Muzeum, razem z Ojcem wyrzuconym, a także potem niestrudzonym w działaniach wiceprzewodniczącym Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych. Przychodził, opowiadał, zasięgał porad – był prawdziwym przyjacielem. I oczywiście profesor Kazimierz Secomski – odkąd pamiętam (chyba od początku walk o Zamek?) zawsze przy Ojcu mocno trwał, wspomagał wszystkie jego inicjatywy, co więcej, nie kwestionował żadnych decyzji ani postulatów – okazywał bezwzględne zaufanie i poparcie, bez którego wielu spraw nie udałoby się przeprowadzić, (gdy był potrzebny, gdy cokolwiek nowego kulturze lub osobiście Ojcu zagrażało – przyjeżdżał, przystojny i uśmiechnięty, na górę lub do mieszkania, i było wiadomo, że zrobi wszystko, co możliwe.



Spotkanie towarzyskie w mieszkaniu Ireny i Stanisława Loretzów z okazji ich „złoty godów”, 26 lutego 1977 roku. Siedzą od lewej: Helena Nielubowiczowa, Nika Secomska, Kazimierz Secomski i Stanisław Lorentz

Dzięki tym przyjaźniom, tym kontaktom, Ojciec wiedział nadal, co w Muzeum i poza nim się dzieje, denerwował się potwornie, ale był „na bieżąco” ważnych i błahych wydarzeń – bez tego nie mógłby przecież żyć.

Inny krąg ludzi bliskich sercu był związany z miłością Ojca do Warszawy. Do śmierci był prezesem Towarzystwa Przyjaciół Warszawy, niezwykle cenił i szanował tych, którzy Warszawie oddają nie tylko swój czas, ale i nieugięcie walczą o przywrócenie i zachowanie jej dawnego kształtu. Więc Prezesi oddziałów dzielnicowych (z niestrudzoną Ojca równolatką, panią Zofią Wójcicką, która dotąd działa). Co kilka dni wpadała do nas długoletnia sekretarz Towarzystwa, p. Aleksandra Więcek, z informacjami i po podpisy. Z najwyższym uznaniem traktował świetnych warsawianistów i bibliofilów, panów Juliusza Wiktora Gomulickiego i Konrada Zawadzkiego. Szczególnym uczuciem darzył jednak grono przewodników warszawskich, uważał, że są to ludzie wielkiego poświęcenia, wciąż niedoceniani; bywali u nas na kawie, pojedynczo i grupami, Ojciec bardzo lubił te wizyty, napełniały go otuchą, że tak świetni ludzie jeszcze istnieją.

Zawsze znajdował też czas dla działaczy kultury z mniejszych miejscowości – kierowników muzeów, nauczycieli. Gdziekolwiek jeździliśmy po Polsce, wszędzie ktoś z radością go witał, pokazywał, zgłaszał postulaty. Łowicz; z jakichś powodów bliskie kontakty utrzymywał z Lidzbarkiem (zdaje się, że został nawet honorowym obywatelem miasta). Pamiętam wzruszające powitanie w Żarnowcu, u zakonnice

przybyłych z Litwy, którym Ojciec pomagał urządzić się na nowym miejscu (a warszawskie siostry sakramentki, za coś wdzięczne, przez długie lata przysyłały pomidory z własnego ogródka i zawsze – opłatek na Wigilię).



Uroczystość z okazji osiemdziesiątych urodzin Stanisława Lorentza w Towarzystwie Przyjaciół Warszawy, 1979 rok

Wśród not, jakimi Ojciec opatrywał niektóre materiały wklejane do albumu, znalazł się i do tego komentarz: „Oczywiście nie uczestniczyłem w żadnych uroczystościach zamkowych 30 i 31 sierpnia. Na poufne zapytania wcześniejsze odpowiedziałem, że odmawiam uczestnictwa. Włączenie do uroczystości ZBoWiD-u i przemówienie polityczne Henryka Jabłońskiego uważam za skandale”.

Nadzieje na odbudowę Zamku, na długo zahamowane, potem nagle rozkwitły, i przez wiele lat sprawy odbudowy, kłopotów, pieniędzy – to był stały temat. I wielkie, życiowe zwycięstwo. Opisał te boje w książce *Walka o Zamek*. A potem nadeszła bolesna porażka: resztę pieniędzy Komitet Odbudowy Zamku przeznaczył na odbudowę Zamku Ujazdowskiego, w którym miało się pomieścić Muzeum Polskiego Rzemiosła Artystycznego, tak bardzo potrzebne – bo brak magazynów w gmachu głównym, bo koniecznie trzeba ukazać piękno dawnej polskiej kultury, a właśnie stwarzające atmosferę dawności mury Zamku najlepiej się do tego nadają; ale Ministerstwo Kultury uległo presji plastyków, oddano ten Zamek dla sztuki współczesnej. To był spory cios.



Stanisław Lorentz w towarzystwie jednego z przedstawicieli Polonii amerykańskiej na wystawie „Zamek Królewski”, maj 1971 roku

Otwarcie Zamku Królewskiego odbyło się 31 sierpnia 1984 roku. Bez Ojca. Główną postacią był generał Jaruzelski, przemówienie wygłaszał Henryk Jabłoński.

Nie wziął udziału, tę uroczystość uważał za zbezczeszczenie finału. Ale dla kogoś o jego charakterze ważniejszy był oczywiście akcent triumfu: Zamek został ocalony, nie na darmo poszedł trud tych wszystkich, którzy ratowali jego fragmenty w czasie pożaru 1939 roku (to często wspominał – jakby spłatę długu). Podobny stosunek miał przecież do Wilna – najważniejsze, żeby to cudowne piękno istniało.



Stanisław Lorentz z wnukiem, Michałem Kowalczykiem, na wakacjach w Krynicy Morskiej



Stanisław Lorentz z wnukiem, Andrzejem Nowakiem

Uwielbiał dzieci. Nie tolerował myśli, że można by dziecko (czyli: kogoś słabszego) uderzyć czy przestraszyć krzykiem; respektował godność małego tak jak dorosłych, umiał się bawić i był przez dzieci akceptowany. Prywatnie nie bał się śmieśzości, był więc wobec dzieci ponad miarę ustępliwy. Podczas wakacji otaczała go w ośrodku stale czereda, oczekująca na codzienny rytuał: wszystkie młode damy całował na powitanie w rączkę. Pękali ze śmiechu, gdy im się udało oszukać, gdy niby nie zauważył, że podsunęła się rączka chłopca. Bardzo kochał wnuki, Andrzeja i Michała (przeznaczył dla nich jedyne meble, jakie Rodzice mieli własne: Andrzej dostał po śmierci Dziadka jego biurko, a Michał – pianino), i ich żony, Kasię i Renatkę; a prawnuki (miał więcej czasu) okropnie rozpuszczał. Ulubioną zabawą starszego, Karola (naturalnie, gdy był malutki), była jazda do Konstancina: Karol prowadził parowóz, a Pradziadek siedział zamknięty w szafie z ubraniami, pełniąc funkcję wagonu. Kiedy ktoś przychodził, Ojciec gramolił się z szafy, a na mnie spadało odium – jak tak można! Co gorsza, pozwalał mu oszukiwać przy grze w karty lub warcaby – i trudno było potem dziecku wyper-swadować, że to tylko z Pradziadkiem, a z rodzicami ani babką oszukiwać nie wolno. Młodsze go prawnuka – Krzysia – znał niestety krótko, ale gdy go widział, zabawiał go na wszelkie sposoby, i zawsze potrafił rozśmieszyć. Gdy urodził się Krzys – jego mama dostała od Rodziców ich obraz Nikifora; a Karola i jego rodziców sam oprowadzał jeszcze po wnętrzach Zamku; Karol otrzymał od Pradziadka jego niechciany order Polonia Restituta, z odpowiednią adnotacją na legitymacji.



Stanisław Lorentz w otoczeniu rodziny (córki, wnuka z żoną i prawnuka). Stoją od lewej: Karol Kowalczyk, Alina Kowalczyk, Renata i Michał Kowalczykowie

Orderów Ojciec miał mnóstwo, niektóre bardzo sobie cenił, najbardziej oba *Viruti Militari*, w różnych czasach otrzymane. Były i takie, których nie znosił, bo dawali je nie ci, od których chciałby orderzy otrzymywać. Tak było z *Polonia Restituta*, jeszcze gorzej – z *Budowniczym Polski Ludowej*. Dostał go za Gomułki, w drugiej edycji tego orderu, przyznawanego co rok na 22 lipca. Naraził się wtedy, nie pamiętam już czym, członkom KC, dymisja wisiała na włosku; i nagle w przeddzień nieoczekiwanie podobno sam Gomułka dopisał jego nazwisko, Ojciec dostał *Budowniczego* (nie można było nie przyjąć, jeśli chciało się nadal działać, być w Muzeum), skończyły się kłopoty. Jeszcze w tamtym roku orderzy były wykonane ze szczerego złota; kiedy wrócił po tym wręczeniu, miał głupią minę, a na nasze nagabywania powiedział, że po śmierci krążek ma być zwrócony, bo złoto musi wrócić do skarbu państwa. Czy bezpośrednio z poduszki za trumną? Byłyśmy rozbawione i wściekle; Ojciec napisał polecenie, by natychmiast po jego śmierci order sprzedać, a pieniądze podzielić między córki. Sprzedałam, podzieliłam – zbyt wiele nie było.



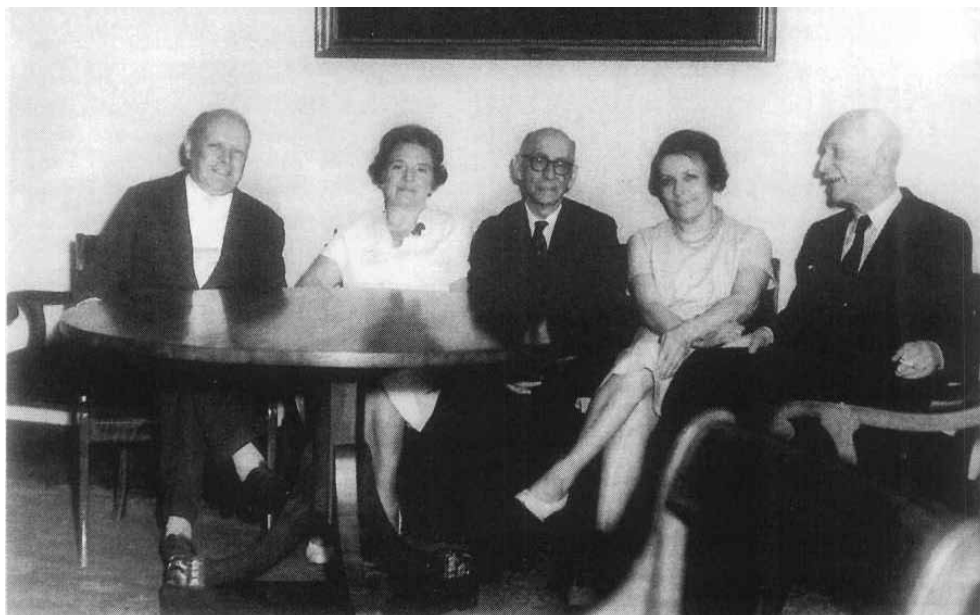
Dyplom komandorii francuskiej Legii Honorowej, nadanej Stanisławowi Lorentzowi w 1961 roku

Był wobec współpracowników trochę (może więcej niż trochę) apodyktyczny. Szybkość podejmowania decyzji i przekonanie, że są słuszne, sprawiały, iż zawsze walkę o ich szybką realizację przedkładał nad dyskutowanie i wyjaśnianie swych racji; chyba nie uważał tego za konieczne. Parł do przodu – a od współpracowników wymagał trwania za nim murem, bez wątpliwości ani dyskusji, które by ową

solidarność nadkruszały. Przejawiał skłonności dyktatorskie, nie wybaczał zaniedbań ani zachowań, które uznał za niełojalne. Z punktu widzenia dobra Sprawy – Muzeum przede wszystkim – niewątpliwie miał rację, ale chyba nie spostrzegął, że jego byli uczniowie dorosłają, siwieją, że nie zawsze chcą w pełni podporządkowywać się jego koncepcjom i woli, że chcieliby realizować własne pomysły, że ów jego wspinały despotyzm może denerwować, być trudny do zniesienia.

Toteż z bólem spostrzegął, jak wyłamują się, odchodzą ludzie niegdyś najbliżsi. Wymagał nadmiernie wiele, szczególnie w latach ostatnich. Nie przyjmował do wiadomości, że wolna Polska zaczyna się od ruiny dzieła ochrony zabytków, od pauperyzacji kultury, rozpaczliwie wymagał od innych rejtanowskich postaw. Trudno było temu sprostać, trudno z nim o tym rozmawiać.

Zabawową materialną pozostałością owej jego apodyktyczności jest zachowany u mnie „NASTROJOMETR ze wskazówką do wielokrotnego użycia – chroni przed niepożądanym zaskoczeniem”, zawieszony przez dawnych uczniów w dniu jego 70 urodzin. Szare koło o półmetrowej średnicy, na nim rozmieszczone 19 fotografii Ojca, w całości lub główki. Opatrzone podpisami, informującymi o nastroju: „trawi”, „potępia niektóre posunięcia”, „wita osobistość”, „wyrzuca za drzwi w atmosferze wzajemnego zrozumienia”, „frasobliwy”, „rozkoszny”, „wojujący”, „czujny”, „en colere” – i tym podobne. Tata – z prawą ręką i wskazującym palcem uniesionymi prosto w górę – służy jako obrotowa wskazówka, nastawiana w odpowiednim kierunku jako informacja od tych, którzy już weszli, dla kolejnych odwiedzających. Wisiał zawsze na ścianie przy wejściu, ostrzegał i rozbawiał.



Spotkanie z Antonim Słonimskim w Muzeum Narodowym w Warszawie, ok. 1960 roku. Widoczni od lewej: Stanisław Lorentz, Irena Lorentz, Antoni Słonimski, Janina Konarska-Słonimska i Kazimierz Michałowski



Stanisław Lorentz w otoczeniu pracowników Muzeum Narodowego w Warszawie. Stoją od lewej:

1. Stanisław Lorentz, 2. Aleksandra Kodurowa, 3. Zbigniew Gawęda, 4. Henryk Świątkowski,
5. Małgorzata Płomińska, 6. Aleksandra Krzyżanowska, 7. Krystyna Sroczyńska, 8. ?,
9. Stanisław Gebethner, 10. Bożenna Maszkowska, 11. Janusz Przewoźny, 12. Maria Mrozińska,
13. Stefan Kozakiewicz, 14. Krzysztof Załęski, 15. Jerzy Zanoziński, 16. Jan Białostocki

Był wierny w przyjaźniach, a we wrogości (słusznej, oczywiście – a jeśli kogoś się nie znosiło, to lojalnie, całą rodziną) bywał zaciekle. Gdy nie miał innych szans, uciekał się nawet do Bożej pomocy. I tak oto został kiedyś rektorem Uniwersytetu Warszawskiego straszna szuja, Rybicki. W 1976 roku wybierano go z klucza partyjnego na członka Polskiej Akademii Nauk; w takich sytuacjach (partyjna zdyscyplinowana większość) nie było szansy na utracenie kandydata. Więc Ojciec wyjął z portfela 100 złotych (nigdy nie miał rozeznania, co ile kosztuje) i wręczył Danusi Karwowskiej z zaleceniem by, jeśli cudem Rybicki przypadnie, dała te pieniądze na mszę dziękczynną przed ołtarzem głównym w kościele Świętego Krzyża. Poskutkowało, cud się stał, Rybickiego nie wybrano, pani Danusia zebrała wśród kolegów brakującą kwotę, msza się odbyła, rozpromienieni Rodzice składali Bogu gorące dzięki – a potem opijali zwycięstwo butelką whisky. Nota Ojca na ten temat i kwit z kościoła („msza dziękczynna za otrzymaną łaskę”) są oczywiście w albumie.

Tenże Rybicki był tematem anegdoty (rzeczywiście!), która sprawiła Ojcu wiele radości. Otóż jego stryjem był słynny Biały Kapitan, który po wyjściu na wolność z ubeckich więzień pojawiał się czasem przy stoliku Słonimskiego w Ujazdowskiej. Nadal niepokorny, często bywał wzywany do składania jakichś wyjaśnień, nękaný pogrózkami; w 1968 roku na pytanie, dlaczego tak interesuje go los

Żydów, odpowiedział przesłuchującemu oficerowi ze zdumieniem: „Jak to, to nie wiecie, że my, Rybiccy, dawniej nazywaliśmy się Fischbajn?”. Jak mówiono, rektor nieźle musiał się tłumaczyć.



Stanisław Lorentz i Karol Estreicher na otwarciu wystawy malarstwa Janiny Konarskiej w Muzeum Narodowym w Warszawie, 27 czerwca 1977 roku

Przy Stoliku u Marca, a potem w Ujazdowskiej Rodzice bywali codziennie. Ojciec wrywał się z pracy, brał Mamę na spacer i kawę, a zaspokajano w Ujazdowskiej nie tylko potrzeby towarzyskie. Każdy (a ocierało się o Stolik kilkadziesiąt osób, niektórzy codziennie, inni rzadziej lub przygodnie) przynosił wieści o sprawach mu najbliższych, o polityce i o kulturze, wszelkie informacje, papiery, plotki – w warunkach działania cenzury takie stoliki (a ten był może najświetniejszy?) stanowiły forum wolnej informacji i wolnego obiegu myśli. Nieprzypadkowo „instytucja Stolika” podupadła czy wręcz zanikła w wolnej Polsce. W Ujazdowskiej zawsze bywali: Antoni Słonimski, muzykolog Roman Jasiński z żoną Gusią, Rodzice, a bardzo często także Artur Międzyrzecki, Monika Żeromska, Zygmunt Mycielski, Jerzy Waldorff, czasem wpadał Karol Estreicher z Krakowa, Mira Zimińska... Wspomnienia Ojca o Stoliku zostały opublikowane w książce wspomnień o Antonim Słonimskim.

Gdy Mama już gorzej się czuła, Stolik przeniesiono do mieszkania Rodziców w Muzeum: tu co niedziela, aż do śmierci Ojca, otwierano kawiarnię dla przyjaciół, czynną od 12 do wpół do drugiej. Rozkwit kawiarni przypadł na czas stanu wojennego. Wtedy nagłąco odczuwano potrzebę wymiany informacji, przez pierw-

sze miesiące czasem bywało u nas ponad 20 osób! Pierwsza „wojenna” niedziela grudnia 1981 – obok Muzeum gmach KC, strzeżony przez milicję i wojsko, muzeum nadto przez strażników (którym odebrano wtedy karabiny! – by nie skierowali ich w niewłaściwym kierunku?), a do mieszkania Rodziców sączy się pojedynczo długi strumyczek przyjaciół – w jedną, a po pewnym czasie w odwrotną stronę (wobec zakazu spotkań już w gronie trzyosobowym – wszyscy milcząc szli gęsiego), już wkrótce można było na miejscu zaopatrywać się w nielegalną prasę i książki – podręczny, ulokowany u Rodziców magazyn tych wydawnictw służył też jako sklepik.

Kawa, herbata, świetne a niedrogie ciasta kupowane zawsze w „Cukierni po Schodkach” na Puławskiej i dyskusje przeradzające się nieraz w gwałtowne spory – warto znów przypomnieć nazwiska częstych bywalców. Ci wymienieni już ze Stoliaka w Ujazdowskiej, a także Irena Szymańska, Zosia Kucówna (początkowo jeszcze z Adamem Hanuszkiewiczem), Konrad Zawadzki, Paweł Hertz, Mira i Jerzy Michałowscy, Anka Kurska z Kielc, Jerzy Sito z żoną, parę razy Krysia Zachwatowicz z Andrzejem Wajdą, Ada Jaworska, Robert Jarocki... Jeśli – rzadko! – nie mogłam być w którąś niedzielę, sprawnie obsługiwał kawiarnię mój syn, Michał.



Spotkanie towarzyskie w mieszkaniu Ireny i Stanisława Lorentzów z okazji „złotych godów”, 26 lutego 1977 roku. Stoją od lewej: Stefan Treugutt, Dusia Zawadzka, Monika Żeromska, Artur Międzyrzecki

Czas strajków i powstania Solidarności – tu Muzeum było wspaiałe, bez żadnych wahań od razu, już w końcu sierpnia 1980 roku delegacja nowo powstającego Związku pojechała do Gdańska, do Wałęsy. Powstał w Muzeum prężny zarząd NSZZ „Solidarność”, kierowany wtedy przez p. Marię Skubiszewską. Związek rozwijał się z gorącą aprobatą Ojca i wielką radość sprawiło mu to, że gdy wręczano związkowe

legitymacje, jemu przypadł numer pierwszy. Kiedy przyjechał do Polski Papież z kolejną pielgrzymką i pracownicy Muzeum szli na mszę na Stadion, opowiadano mi, że Ojciec stał w bramie Muzeum i ściskając im ręce, dawał znać, że jest z nimi, solidarnie.



Fotografia z „Albumu” Stanisława Lorentza, podpisana: Kawiarnia Agencyjna „U Lorentzów”, styczeń 1983. Widoczni od lewej: Małgorzata Jasińska, Anna Kurska, Monika Żeromska, Ryszard Matuszewski, Stanisław Kuczborski, Stanisław Lorentz

Na te miesiące przypadło apogeum ohydnej kampanii oszczerczej przeciw Ojcu, rozpętanej przez UB. Rzeczywiście, na wiele sposobów narażał się wtedy władzy – miano mu za złe muzealną Solidarność, która rozwijała się pod jego okiem, ale gorszą jeszcze wściekłość ubeckich notabli wywoływała ostro prowadzona przez Ojca kampania, zmierzająca do ukrócenia nielegalnego wywozu z Polski dóbr narodowej kultury – ubeckie sfery czerpały z tego źródła spore korzyści. Chcieli upokorzyć go, odebrać dobre imię, wykończyć. Żadnych oficjalnych ataków – natomiast dziwnymi kanałami rozpętana lawina plotek, które docierały do nas ze wszystkich stron, z odległych krańców Polski. Dopytywano się, czy to prawda, że Ojciec sprzeniewierzył to lub tamto, gdzie jest luksusowa willa mojej siostry, że ja mam podobno wypełniony wywiezionymi rzeczami antykwariat w Paryżu, a Ojciec zagarnął i chowa w mieszkaniu unikalny zbiór kamei... Ukazał się nawet napisany na wiadome zamówienie „kryminał”, którego bohaterem-przestępcą był dyrektor Muzeum w Warszawie, o figurze i rysach dokładnie na Ojcu wzorowanych; nocą ów przestępca wywoził ciężarówkami skarby z Muzeum do swojej podmiejskiej willi, na handel. Sprawność rozpowszechniania tych oszczerstw, plot był niesamowita.


POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA
 MINISTER KULTURY I SZTUKI

Warszawa, dn. 22.11.1982r.

L. dz. DKS-I-/12NOZ/82

Obywatel
 prof. dr Stanisław LORENTZ
 Dyrektor Muzeum Narodowego
 w Warszawie

Przychylając się do prośby z dnia 15.11.1982 r. -
 z dniem 25 listopada 1982 r. odwołuję Obywatela ze stanowiska
 Dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie.

Rozwiązanie umowy o pracę nastąpi z dniem 28 lutego 1983 r.

Uprzejmię proszę Obywatela Profesora o wykorzystanie
 w tym okresie urlopu wypoczynkowego.

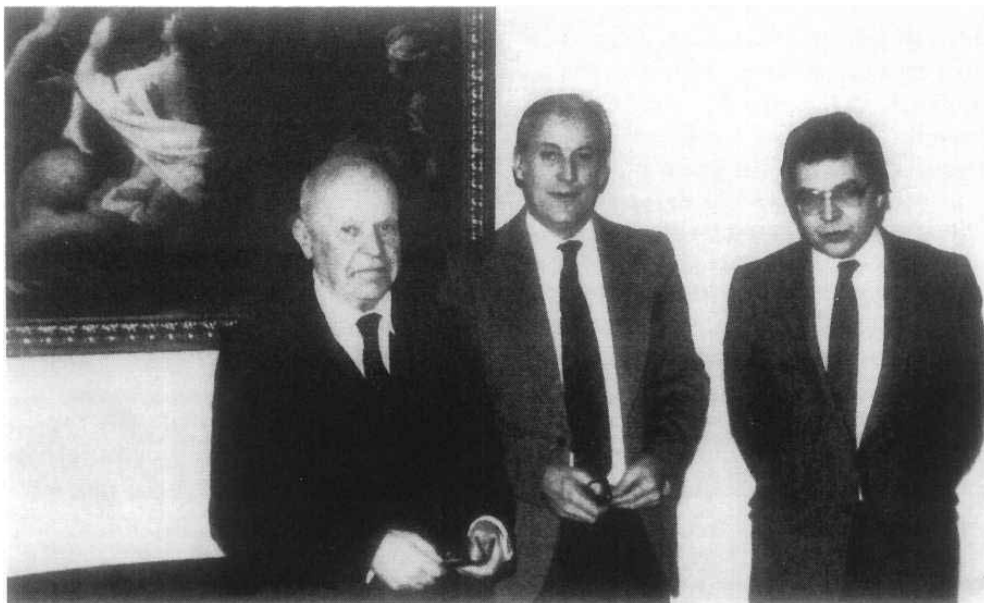


Kazimierz Żygulski

*Łrost długocenny mi został zrobiony w moim gabinecie
 w Muzeum Narodowym przy ul. Krakowskiej 15. Wobec
 mojej prośby z dnia 15.11.1982 r. Obywatela odwołać ze
 stanowiska Dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie.
 Rozwiązanie umowy o pracę nastąpi z dniem 28 lutego 1983 r.
 Uprzejmię proszę Obywatela Profesora o wykorzystanie
 w tym okresie urlopu wypoczynkowego.*

Zespół p. 4 z. 224 n. 10.00

Pismo ministra kultury i sztuki, Kazimierza Żygulskiego, odwołujące Stanisława Lorentza ze stanowiska dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie, z odrębną notatką Profesora



Stanisław Lorentz ze swoimi zastępcami, Jerzym Baranowskim i Andrzejem Rottermundem, podczas uroczystości pożegnalnej w Muzeum Narodowym w Warszawie, 24 listopada 1982 roku

Wielu ludzi kultury usiłowało coś zrobić, bronić Ojca – publikowano nawet listy ze zbiorowymi podpisami, żądające ukrócenia kampanii pomówień. Położyła jej kres dopiero wizyta u Ojca w gabinecie, na górze, Lecha Wałęsy ze sztabem doradców; wracali po podpisaniu porozumień w Ustrzykach, znaleźli czas na długą wizytę nieoficjalną, a potem na Ojca prośbę – na krótkie spotkanie w wielkim holu z pracownikami Muzeum. Wspaniała, wzruszająca to była uroczystość – znam ją tylko z fotografii i z opowiadania Taty, bo nie zgodził się, bym zobaczyła to spotkanie; to pracownicy Muzeum zasłużyli sobie na spotkanie z Wałęsą, nikt poza nimi nie miał do tego prawa. Czekałam w mieszkaniu. Po wizycie ubóstwianego wtedy Lecha Wałęsy, pokwitowanej w gazetach, skończyły się te głupoty – rzucane na Ojca oszczerstwa.

Tak się złożyło, że Ojciec pracował na stanowisku dyrektora Muzeum nieprzerwanie od 1935 do 1982 roku. Parokroć myślał o przejściu na emeryturę, był, bądź co bądź, urodzony w 1899 roku, w poprzednim wieku, co z dumą podkreślał! – ale zawsze szybko tę myśl zarzucał, bo po pierwsze nadal zachował siły i bystrość umysłu, a po wtóre – miał nazwisko szeroko znane także za granicą, co tworzyło za tamtej władzy osobliwy parasol ochronny nad instytucjami, które firmował. I tak trwał i wojował, broniąc zgromadzonych skarbów kultury; wszelkimi metodami, a gdy innego ratunku nie było, składał dymisje; to zazwyczaj pomagało. Do czasu, dotąd póki nie miało się do czynienia ze zbydlęconymi dygnitarzami czasu stanu wojennego. 23 listopada 1982 roku wszedł do gabinetu Ojca mianowany ministrem kultury Kazimierz Żygulski w towarzystwie umundurowanego pułkownika (!) i stojąc przy drzwiach

wyrecytował formułę, usuwając Stanisława Lorentza ze stanowiska dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie, ze skutkiem natychmiastowym i z zaleceniem, że w ciągu 24 godzin ma usunąć swoje rzeczy z gabinetu. Na drugi dzień podobne wypowiedzenia otrzymali obaj wicedyrektorzy – Jerzy Baranowski i Andrzej Rottermund.

Wolny od oficjalnych obowiązków, w latach osiemdziesiątych z satysfakcją nadrabiał te lata, gdy ze względu na dobro Muzeum wyciszał swe reakcje. Teraz podpisywał i sam pisał wiele protestów w sprawach ludzi i kultury. Bywały to także sprawy, które prywatnie go szczególnie drażniły. Na przykład w „Tygodniku Mazowsze” 28 września 1988 roku ukazał się jego list otwarty, adresowany do prezydenta Warszawy, Jerzego Bolesławskiego: „W Warszawie przywrócić należy nazwę <Plac Bankowy>, a pomnik Feliksa Dzierżyńskiego należy usunąć. Przedstawiam Panu Prezydentowi ten wniosek z prośbą o decyzję”. Gdy po paru latach pomnik rzeczywiście demontowano, Ojciec pojechał na Plac, stanął i patrzył – znów wielka radość.

Wielekroć w latach osiemdziesiątych próbowano skusić go zaszczytami, tak jakby łudzili się, że dojrzały wiek przyćmił mu umysł i że zechce jeszcze publicznie zabłysnąć – szło oczywiście o propagandowe wykorzystanie jego nazwiska. To można zrozumieć, trudniej pojąć, że zdarzały się próby zastraszania go; z jakiejś okazji, bodaj wtedy, gdy nie przyjął zaszczytu zostania wiceprzewodniczącym PRON usłyszał, że może zostać usunięty z mieszkania, bo przecież to lokal służbowy. Było to obrzydliwe, bo żadnego własnego mieszkania nie miał, a jego żona leżała od roku sparaliżowana. Ojca jednak nie lęk, lecz wściekłość ogarniała: „dobrze, to sam będę pchał po ulicy łóżko Ireny”.



Irena i Stanisław Lorentzowie, 1977 rok

Postawa pracowników Muzeum, szacunek i sympatia, jakie mu okazywano, zawsze podtrzymywały go na duchu. Piękna uroczystość na 90-lecie urodzin, potem jeszcze wręczenie dyplomu Dyrektora honorowego. Wyjął wtedy zachowane jeszcze blankiety z nadrukiem „Dyrektor Muzeum Narodowego”, na kilku dopisał: „honorowy” i wykorzystał je do listów.

Niech zakończą te fragmenty wspomnień słowa z listu Stefana Treugutta na 90-lecie, pięknie określające charakter i sens życia mojego Ojca:

(...) przychodzi Pan do nas, metrykalnie z końca wieku ubiegłego: przykładowe to w Pana biografii papiery genealogiczne; gdyż to z tradycji tamtego czasu odziedziczył Pan dwa równoczesne dla kraju, dla współczesności imperatywy: twardej pracy i entuzjazmu, skutecznego działania i ofiarnego męstwa, wiary w naród i mądrości dla narodu. Taki Pan był w codziennej robocie i godzinach próby. Taki Pan jest.

27 września 1998



Stanisław Lorentz i Kazimierz Michałowski w rikszy, 1945 r.



Stanisław Lorentz z córką Aliną



Simeon Marcus Larson (1825–1864), *Waterfall in Smaland*, 1856

ALBUM STANISŁAWA LORENTZA

Ojciec mój, Stanisław Lorentz¹, zawsze miał potężną skłonność do gromadzenia dokumentacji, związanej ze swoją działalnością w zakresie nauki i kultury oraz z naszym życiem prywatnym. Zbierał rozmaite świadectwa oficjalne i osobiste i pracowicie, chociaż nieco chaotycznie, wklejał je (z pomocą Mamy) do wielkich albumów. Pierwszy z nich zaczynał się w wieku XIX (zabawne zdjęcia malutkiego ojca w sukience, potem w kapeluszu z ogromnym rondem). Drugi obejmuje lata spędzone przez Rodziców w Wilnie, 1929–1935. Dalsze ilustrują wydarzenia publiczne i rodzinne po lata osiemdziesiąte. Równolegle powstawała osobna, przeznaczona dla Zamku Królewskiego i w nim złożona, seria albumów sumiennie rejestrujących dzieje jego zniszczenia i odbudowy.

Od śmierci Stanisława Lorentza upłynęło 25 lat. Z tej czasowej perspektywy widać, jak wiele daje dopełnianie obrazu dziejów ojczystych prywatną dokumentacją, barwnym szczegółem i wspomnieniami. Nie kwestionując wiarygodności wcześniejszych relacji czy naukowych opracowań ukazują emocje, uwydatniające się w momentach radosnych i tragicznych, eksponują również „ludzką twarz” przeszłości, tak ważną przy poznawaniu dziejów kultury.

Są w tych papierach dokumenty urzędowe, fotografie, dyplomy, wizytówki i kenkarty, wiele listów, i nawet wierszyków okolicznościowych. Wszystko to kształtuje wyłaniający się z materiałów Ojca obraz wydarzeń z lat okupacji i PRLu (tu publikowane teksty zostały wybrane z tego okresu). Mocne było patriotyczne zaangażowanie i wiara uczestników tych wydarzeń, że musi przetrwać przeszłość utrwalona w zabytkach i dziełach sztuki, która pomagała prowadzić z wymiarów grozy i absurdu do życiodajnej pasji przechodzenia od grozy wojny do nowej pełni życia.

Upłynęło 25 lat od Jego śmierci i niemal sto lat od wielu wydarzeń, skrupulatnie przez niego odnotowywanych, a potem, w wolniejszych chwilach, wlepianych do albumów. Długo zawarte w nich materiały musiały być traktowane jako „wrażliwe”, nawet nie ze względów urzędowych czy politycznych, lecz osobistych; wydobywanie na jaw wszystkiego, co się zdarzyło i o czym plotkowano,

¹ Profesor Stanisław Lorentz (1899-1991) – historyk sztuki, muzeolog. Dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie w latach 1936-1982 (przez niemal 47 lat!). Dyrektor – równoległe – Naczelnej Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków od lutego 1945 do marca 1951. Zmarł 15 marca 1991 roku.

mogłoby sprawić przykrość żyjącym. Mało tu jednak takich materiałów, no i upłynęło tyle już lat...

Pieczołowicie gromadzone materiały Ojciec złożył tam, gdzie wiedział, że będą otoczone najlepszą i czułą opieką – w Muzeum Narodowym w Warszawie. Prawa własności do złożonych albumów, a także prawa autorskie w całości zastrzegł i przekazał córce, Alinie Kowalczykowej. Nie poinformował mnie jednak o tym.

„Albumowa” spuścizna po Ojcu przed publicznym udostępnieniem wymaga opatrzenia jej wielu komentarzami: ustalenia autorstwa listów, okoliczności, objaśnienia przyczyn i powiązań między ludźmi i wydarzeniami. Zaczyna brakować osób, które by jeszcze miały je w pamięci. A ja jeszcze żyję i mogę komentować te akta, posługując się nie tylko dostępnymi dokumentami, lecz i własną pamięcią. Zdaję sobie oczywiście sprawę z tego, że bywa zawodna; nie należy w pełni na niej polegać, warto natomiast udostępniać informacje, wzbogacające wiedzę z dziejów kultury tamtych lat.

Zawartość i układ zamieszczonych tu dokumentów wymaga paru słów wyjaśnienia. Sfery życia prywatnego i działalności profesjonalnej mojego Ojca były nierozłącznie związane, uzupełniają się, nie sposób ich rozdzielać. W albumach nie tworzą jednak spójnej tematycznie ani chronologicznie opowieści o wydarzeniach z dawnych lat, lecz są zbiorem rozmaitych fascynujących przyczynków, czasem wzajemnie się uzupełniających. Nieznane aspekty wielkich wydarzeń, świadectwa tragedii i urzędowe pisma obok fragmentów notatek, prywatne listy, żarciki, fotografie...

Dokumenty, zawarte w tym szkicu, występują w osobliwej roli – zapowiedzi przygotowywanego do wydania tomu pism Stanisława Lorentza. Obszerniejszy ich wybór ukaże się w przygotowywanej w Białymstoku przez Uniwersytet i Książnicę Podlaską na rok 2018 edycji wyboru jego prac, rozrzuconych w rozmaitych publikacjach; znajdzie się w nim również miejsce na trochę dokumentów z albumów.

Przyczynkowy charakter ma prezentowany poniżej wybór. Zaczyna się od wzmianek rodzinnych z okresu okupacji i powstania; później sprawy ochrony i rewindykacji zabytków tuż po wojnie; losy rozproszonych przyjaciół – cudowny powrót Luka Chomińskiego z zesłania; radość sukcesów i nowe problemy; przyczynek do spraw Białegostoku – książdz Piotr Śledziewski, Jan Glinka. I „fala wspomnień” Zygmunta Beczkowicza, przedwojennego wileńskiego wojewody, który, jak wielu innych Wilnian, musiał opuścić swoje miasto. Dalej – kontrastujący z tą piękną zadumą tekst pełen zagadek. A zamyka całość muzealny „epizod” białostocki.

Alina (z Lorentzów) Kowalczykowa

Stanisław Lorentz – List do żony, Ireny Lorentzowej

Warszawa, dn. 1 sierpnia 1944

Kochana moja Iruško!

Noc znów była spokojna i bez sublokatorów². Czuję się b. dobrze. Miechowski³ przyniósł mi wczoraj obiady ze Starego Miasta. Tak się wydaje, że od Anina uspokoiło się na razie i czekać będziemy na to, co od strony Gałkowa i Grójca. Tak więc przewiduję, że wszystko jeszcze potrwa z tydzień, 10 dni.

W mieście coraz to gdzieś rabują bandyci sklepy lub sklepy i oczywiście jest strzelanina. Wobec tego nie kręcę się po mieście⁴ i zresztą nie mam czasu, bo teraz przy deszczach znów masę roboty, bo nam zalewa.

Cieszę się bardzo, że u Was wszystko spokojnie i dobrze.

Całuję Cię bardzo, bardzo mocno, ściskam i całuję córeczki też b. b. mocno

[podpis odręczny]

[Rękopis]

[Komentarz Stanisława Lorentza⁵.] „W lecie 1944 r. żona często dojeżdżała do córek do Podkowy Leśnej. Postanowiła, że w czasie Powstania będzie ze mną, a ja sobie postanowiłem, że będzie z dziećmi. Rano 1 sierpnia żona nagle zjawiła się w Muzeum, gdzie już od kilku dni mieszkalem, bo data wybuchu powstania ciągle się wahała. Oświadczyła mi, że to już i wobec tego wróciła do Warszawy. Zdementowałem oświadczając, że data przesunięta na 2 sierpnia. Żeby zaraz wracała do córek i przyjechała dopiero przed godziną policyjną. Wiedziałem, że już nie będzie mogła dojechać. Z wielkimi oporami doprowadziłem żonę na Nowogrodzką do kolejki EKD⁶ na godzinę 2 pp. Wra-

² *Bez sublokatorów* – czyli Niemców, zakładających wojskową kwaterę w Muzeum Narodowym. Ten list do żony jest częściowo kodowany: „od Anina” czyli z drugiej strony Wisły zblizali się sowioci, a „od Gałkowa i Grójca” czyli od zachodu zblizali się Niemcy. „Bandyci” i rozpoczęta „strzelanina” to informacja o rozpoczynającym się Powstaniu. Kamuflujący język czasu okupacji, stosowany stale w rozmowach telefonicznych, wszystkim był znany, mimo to przydatny, bo pozostawiając luki na domysły, podsłuchującym nie zdradzał szczegółów.

³ Zygmunt Miechowski, historyk sztuki, najbliższy mojemu Ojcu z młodego pokolenia. Urodzony w Zawichoście, tam skończył szkołę, potem Wyższe Seminarium Duchowne w Lublinie. Podczas wojny mieszkał w Warszawie, w tym samym domu przy ulicy Krzywe Koło 7, w którym moi rodzice od 1941 r. zajmowali mieszkanie na pierwszym piętrze – on nad nami, na drugim, co także sprzyjało zacieśnieniu serdecznych relacji. W przeddzień wybuchu powstania zdał egzamin magisterski z historii sztuki, pracę na temat pałacu w Koźnienicach pisał pod kierunkiem prof. Zygmunta Batowskiego. Do pobytu w Koźnienicach nawiązuje publikowany tu rysunek, na którym opierającego się niedźwiedzia-Niechowskiego dziarsko do Warszawy ciągnie Lorentz. Zygmunt Miechowski odważnie i rozważnie rozwijał działalność konspiracyjną.

24 września 1944 Zygmunt Miechowski został ciężko ranny, zmarł w szpitalu powstańczym przy ulicy Lwowskiej 25 września. Zobacz dokument ?????? (s. 230 i 256) – wierszyk i uroczy rysunek (Miechowski był bardzo utalentowany plastycznie). Jego akta personalne znajdują się w archiwum Muzeum Narodowego w Warszawie.

⁴ Ta informacja należy do mających uspokajać obawy Mamy: tam jest niebezpiecznie i strzelają, ale ja jestem i pozostanę tu, w muzeum.

⁵ Fragment wspomnień Stanisława Lorentza, opublikowanych w księdze zbiorowej *Walka o dobrą kulturę*, red. S. Lorentz, Warszawa 1971, t. I, s. 51.

⁶ EKD – Elektryczna Kolejka Dojazdowa, jeździła z Warszawy do Milanówka i do Grodziska.

cając na chwilę przysiadłem w Alejach Jerozolimskich napić się kawy. Było około 2½ . W pewnej chwili usłyszałem pojedyncze strzały i pobiegłem do Muzeum.

[Uzupełnienie – A.K.] W czasie Powstania i przez kilka miesięcy po jego upadku Irena Lorentzowa przebywała z córkami u Janiny (swojej siostry) i Władysława Mieszkowskich (Podkowa Leśna Wschodnia, willa przy ulicy Jaworowej 6).

Zygmunt Miechowski – Życzenia wigilijne 1943 dla Stanisława Lorentza Laurka, wierszyk opatrzony rysunkiem:

Motto:

„C’était cette économie dont les forêts...
servait de repaire aux ours et aux sangliers,
objets de chasses que le roi y faisait...”⁷

*Mémoires du roi Stanislas Auguste
Poniatowski, Tome II, p. 515.*

Głupi niedźwiedziu !
Gdybyś w Kozienicach siedział
Nigdy by się o losie twoim nie dowiedział
Konservatorium Wielmożne.
Skąd wpływy przemożne
Skąd rozliczne wynikły niedole
Na autora, który jak się biedzi
...By w stolicy przy sławnym Krzywym Kole
Pozlepiać z marnych szczątków
Zezwłok twój niedźwiedziu
Tego nie pojdziesz nigdy!.....

Niniejszy fragment refleksji marginesowych
Pewnej chronicznej rozprawy z dziejów Caprinii
Składa w załączeniu do najlepszych wigilijnych
życzeń – autor

Baryczki⁸, 24.XII.1943 r.

⁷ *Mémoires...* według noty wydawniczej były przygotowywane do publikacji od 1912 r., tom pierwszy ukazał się w St. Petersburg w 1914 r., tom drugi – w Leningradzie w 1924 r. W motto zapis cytatu skrócony; znalazł się przy wierszyku Miechowskiego ponieważ owe lasy pełne niedźwiedzi i dzików pojawiają się w pamiętnikach Króla z okazji jego ośmio (lub dziesięcio) dniowego odpoczynku w należących do niego Kozienicach, ulubionym miejscu wspaniałych lasów i polowań. Stąd i niedźwiedź na rysunku Zygmunta Miechowskiego.

⁸ Baryczki – kamienica Baryczków na Rynku Starego Miasta w Warszawie, której oficynę stanowił dom przy ulicy Krzywe Koło 7.

[Rękopis]

[Komentarz – A.K.] Tekst wiersza nawiązuje do tematu kończącej wtedy, już w Warszawie, rozprawy magisterskiej Zygmunta Miechowskiego poświęconej pałacowi w Kozienicach. Toteż mniemać można, że Autor kryje się pod postacią niedźwiedzia, ciągniętego przez zbrojnego Lorentza z błogich Kozienic do „Baryczek”, czyli powrotu do pracy (i prac konspiracyjnych) w mieszczącym się w kamienicy Baryczków oddziale Muzeum Narodowego.

Stanisław Lorentz – List do matki, Marii Lorentzowej⁹

[Adres:] Kamienica Baryczków Rynek Starego Miasta 32 lub wejście od ulicy Krzywe Koło 7, W Pani Maria Lorentzowa

Kochana Mamusiu! Ja i Małaczewski¹⁰ jesteśmy w Muzeum, żywi i zdrowi, czujemy się dobrze, jedzenie mamy.

Gorące ucałowania Staś

Poniedziałek, 7. VIII. [19]44, godz. 11 rano.

[Rękopis, zapisany na małej, urwanej karteczce.]

[Komentarz – A.K.] Stanisław Lorentz z rodziną mieszkał przed wojną w Warszawie przy ulicy Kredytowej 3 m. 6. W 1941 r. weszli gestapowcy z folksdojczem, krawcem Korańskim, i polecili by w ciągu 24 godzin zwolnić dla niego nasze mieszkanie. Zamieszkaliśmy na Starym Mieście, przy ulicy Krzywe Koło 7, w domu należącym do kompleksu, przygotowywanego na Muzeum Dawnej Warszawy, w tzw. oficynie kamienicy Baryczków. W piwnicach mieścił się skład broni Armii Krajowej, toteż córki Lorentzów zostały zesłane poza miasto, Rodzice dojeżdżali do nich na niedziele; Mama pozostała z nimi w lipcu 1944, Stanisław Lorentz na kilka dni przed wybuchem powstania przeniósł się do Muzeum Narodowego, a jego matka, Maria Lorentzowa, pozostała na Krzywym Kole.

Komunikacja między mieszkańcami stolicy w czasie powstania była sporadyczna, ta kartka była pierwszym sygnałem życia, które dotarło od ojca do jego matki, z Muzeum na Stare Miasto. Kontakty między Warszawą a Podkową Leśną urwały się zupełnie. Ojciec dołączył do nas, po przymusowej ewakuacji z Muzeum, 16 października 1944.

⁹ Maria Lorentzowa z Schoenów (1875 – 1967) – nauczycielka geografii i języków obcych na pensji dla panien w Kaliszu od 1892, później w szkole Wojciecha Górskiego w Warszawie, następnie w szkole Ludwika Lorentza, potem aż do śmierci utrzymywała się dając prywatnie lekcje języków.

¹⁰ Kazimierz Małaczewski – pracownik Muzeum Narodowego; w czasie okupacji mieszkał także w domu przy ulicy Krzywe Koło 7; wiadomość miała dotrzeć również do jego rodziny.

Stanisław Lorentz – List do żony

Lublin, 14.II.1945

Iruśko Najdroższa!

Przed chwilą spotkałem się z kpt. Sigalinem¹¹, który mówił mi, że byłaś w Warszawie. Ja miałem jutro jechać do Warszawy w związku z posiedzeniem Rady Narodowej, ale ponieważ jest odwołane, więc pewnie przyjadę dopiero z Ministerstwem¹², tj. nie wiadomo kiedy, może za kilka dni, może za tydzień – 10 dni, zależy to od przygotowania lokali w Warszawie. Może jeśli będzie okazja uda mi się wpaść do was, Kochane moje, wcześniej. Praca idzie mi tu b. dobrze. Wczoraj Rada Ministrów uchwaliła wszystkie moje postulaty – mam więc już zorganizowaną Naczelną Dyрекcję Muzeów i Ochrony nad Zabytkami¹³.

Co tam u Was i jak sobie dajecie radę? Ja niestety wydaję sporo pieniędzy na razie. Tęsknię bardzo do Was. Całuję z całej siły Ciebie, córeczki i Mamusię, pozdrów wszystkich.

[podpis odręczny]

[Rękopis]

[Komentarz – A.K.]: Po usunięciu Lorentza przez Niemców z Warszawy, 16 października dotarł do podwarszawskiej Podkowy Leśnej i stamtąd organizował akcję ratowania dóbr kultury w płonącej, systematycznie przez Niemców podpalanej stolicy. Te wydarzenia toczyły się do 15 stycznia 1945. Później wkroczyli sowieci, nadszedł czas kolejnej walki o przetrwanie zabytków kultury i sztuki. O ich ochronę przed szabrownikami i sowiecką władzą.

Naczelną Dyрекcję Muzeów i Ochrony Zabytków powołano 7 lutego; ale, jak z tego listu wynika, konkretne ustalenia zapadły dopiero 13 lutego. Przenosiny rządu z Lublina do Warszawy zostały oficjalnie uchwalone 1 lutego; przenosiny Ministerstwa Kultury i Sztuki, którym kierował Wincenty Rzymowski, nastąpiły po paru tygodniach, po przygotowaniu odpowiedniej siedziby. Ojcu udało się wrócić do Warszawy wcześniej, „okazją”, odkrytym willisem przykrytym budą skleconą z dykty, którym kierował minister komunikacji Jan Rabanowski. We wspomnieniu ojca całkiem prywatnym była to podróż wesoła: z powodu mrozu wciąż dogrzewali się wódką – ale dojechali w całości.

Z tamtym wyjazdem do Lublina łączy się list Jana [Karola] Wende, ówczesnego wiceministra Kultury i Sztuki z 22 czerwca 1976, dołączony do odpisu listu do niego od Wincentego Rzymowskiego: „Drogi Stasiu, Zgodnie z przyrzeczeniem zostawiam Ci w Nieborowie u p. kustosa Piwkowskiego¹⁴ odpis listu Wincentego Rzymowskiego

¹¹ Józef Sigalin (1900-1983) – architekt, wojnę spędził w armii sowieckiej w ZSRR w 1945 r., w stopniu majora wrócił z nią do Polski. Związany z BOS-em (Biurem Odbudowy Stolicy), firmował budowę czołowych inwestycji warszawskich, m. in. Mostu Poniatowskiego, Trasę W-Z i Pałac Kultury.

¹² Tj. z Ministerstwem Kultury i Sztuki.

¹³ W późniejszej wersji dokumentu słowa „nad Zabytkami” zmieniono na „Zabytków”.

¹⁴ Od 1970 do 2000 r. kustoszem Pałacu-Muzeum w Nieborowie był dr Włodzimierz Piwkowski, później autor między innymi kilku monografii Pałacu.

[publikujemy go poniżej – A.K.], dotyczy on m. in. Twojej szanownej postaci. List datowany w Lublinie 8 lutego 1945 r. otrzymałem w dzień – dwa dni później w Krakowie, gdzie w styczniu i lutym wspomnianego roku byłem, jako wiceminister kultury, wraz ze Stanisławem Skrzyszewskim – pełnomocnikiem Rządu na Krakowskie. Ściskam Cię serdecznie i dziękuję za możliwość pisania w Nieborowie. Jan Wende”.

W następnych miesiącach prace w Muzeum Narodowym przebiegały należycie, przede wszystkim dzięki powrotom do Warszawy wielu dawnych pracowników, przywracających gmach i zbiory do życia i normalnego funkcjonowania. W lutym wrócił z obozu w Niemczech wicedyrektor Muzeum prof. Kazimierz Michałowski, który przejął sprawy warszawskie, Lorentz mógł skupić się na działalności Naczelnej Dyrekcji; obsadzano placówki, zabezpieczano zbiory. Lorentz jako „Naczelny Dyrektor” w porozumieniu z miejscowymi władzami w pierwszej kolejności mianował kierownictwa placówek muzealnych w Małopolsce, na Śląsku i na Pomorzu (gdzie działalnością rewindykacyjną kierował prof. Michał Walicki). Gdy przegląda się te nominacje, uderza dbałość o naukowców z ziem utraconych na Wschodzie; obejmowali wakaty i nowe stanowiska na Śląsku i w Krakowskiem. W marcu podjęto pierwsze decyzje w sprawie muzeum na Wawelu i wakatów w Małopolsce. Później nadszedł czas na Śląsk. Grupa muzeologów wyjechała z Warszawy w końcu maja. A do Białegostoku napływali Wilnianie, przynoszący się do centrum Polski.

Wincenty Rzymowski¹⁵ – List do Jana Karola Wende

Wincenty Rzymowski
Minister Kultury i Sztuki

Lublin, dnia 8 lutego 1945

Drogi Majorze¹⁶,

Dziękuję Wam bardzo za ciekawe i pocieszające relacje, które znalazły, zresztą, potwierdzenie w słowach [Stanisława] Skrzyszewskiego¹⁷ i Ostrowskiego¹⁸.

Wysunięte przez Was opinie i propozycje w zupełności podzielam. Guzówna¹⁹

¹⁵ Wincenty Rzymowski (1883-1950) – studia ekonomiczne i prawnicze odbywał w Szwajcarii i w Odessie, działał jako publicysta, krytyk literacki i teatralny, Związał się z Józefem Piłsudskim, brał udział w wojnie i wyprawie kijowskiej, angażował się w plebiscycie na Śląsku. Po śmierci Piłsudskiego ewoluował w kierunku lewicy, był współzałożycielem Stronnictwa Demokratycznego (1938, stąd znajomość z Janem Wendem). Od stycznia do 1 czerwca 1945 był ministrem kultury.

¹⁶ Jan Karol Wende (1910-1986), polityk, działacz socjalistyczny. W latach 1919-1946 przebywał we Lwowie i w ZSRR; przybył do Polski z armią, w 1945 był wiceministrem Kultury i Sztuki; poseł, działacz Stronnictwa Demokratycznego.

¹⁷ Stanisław Skrzyszewski (1901-1978) – doktor filozofii, działacz komunistyczny. Wojnę spędził we Lwowie i w Uzbekistanie. Wrócił z armią i w latach 1944-1950 był ministrem oświaty (z przerwą na czas pełnienia funkcji ambasadora we Francji w 1945-47).

¹⁸ Ostrowski – nie udało się ustalić

¹⁹ Joanna Guzówna (1917-2009) – studia z zakresu filozofii i historii sztuki kończyła we Lwowie, w 1944 r. z Armią Polską przeszła do Lublina, później „udała się do Krakowa”, po dwuletnim stypendium we Francji w 1951 przeniosła się do Warszawy. Świetna tłumaczka wielu książek francuskich z historii sztuki.

udaje się do Krakowa. Co do Szyfmana²⁰, to istotnie nie widzę osobistości, którą w sferze teatru można by kandydaturze jego przeciwstawić! Jest to człowiek, który umie być umiejętnym i sprawnym narzędziem. Naszą będzie rzeczą czuć, by to narzędzie nie wyginało się w stronę pokus merkantylnych i służyło celom przez nas stawianym.

Wobec pozyskania dla naszego Ministerstwa arcyennej współpracy Stanisława Lorentza, który zgodził się wziąć na swe barki naczelną dyrekcję Muzeów i Ochrony Zabytków, cofnąłem dra Klusa ze stanowiska p.o. dyrektora departamentu, które przejściowo zajmował, na stanowisko naczelnika Wydziału Ochrony Zab[ytków] w tymże departamencie. Odtąd więc i dr Józef Grabowski²¹ i dr Klus pracować będą na posterunkach równoległych pod dyrekcją naczelną Lorentza. Ten fragment zarządu naszego ministerstwa otrzyma w ten sposób definitywną i godną siebie obsadę.

Dyr. Borowski²², który na swym stanowisku dyrektora polityki teatralnej absolutnie nie rozumie swej roli doniosłej, zgodnie z Waszą opinią z pożytkiem dla sprawy stanie na czele jednego z teatrów Łodzi.

Ważyk²³ podjął 40 tys. zł. zapomogi dla Teatru Wojska. Zofia Nałkowska, na wezwanie Prezydenta²⁴, staje na czele Komitetu Oświećmiamia. Z ramienia naszego ministerstwa wejdzie do Komitetu delegat, którego wybór spośród krakowskich luminarzy przekazuję Waszej decyzji. Ściskam dłoń waszą

W[incenty] Rzymowski

[Maszynopis]

[Komentarz - A.K.] „Arcycenna współpraca” Stanisława Lorentza z Ministerstwem trwała 6 lat. Później, wraz z narastaniem wszechwładzy partii i tendencji dyktatorskich, w ramach reorganizacji Ministerstwa Kultury zlikwidowano Naczelną Dyrekcję Muzeów i Ochrony Zabytków, usunięto Lorentza.

²⁰ Arnold Szyfman (1882-1967) – wybitna postać świata teatralnego Warszawy, reżyser, pisarz, twórca, a także wieloletni dyrektor Teatru Polskiego i Teatru Wielkiego.

²¹ Józef Grabowski kierował działem muzeów w Ministerstwie Kultury i Sztuki; Klus - bliższych informacji brak, archiwa Ministerstwa z wszelkimi danymi są przechowywane tylko przez 50 lat. Później ulegają niszczeniu.

²² Karol Borowski (1986-1968), aktor i reżyser aktywnie działający w latach międzywojennych. Od września do końca grudnia 1944 kierował wydziałem teatralnym Resortu Kultury i Sztuki PKWN, w lutym 1945 wbrew zapowiedziom Rzymowskiego nie przeniesiono go do Łodzi, lecz został dyrektorem Teatru Miejskiego w Lublinie.

²³ Adam Ważyk (1905-1982), poeta, wojnę spędził w ZSRR, był oficerem politycznym w I Dywizji Piechoty, pełnił m.in. funkcję kierownika literackiego żołnierskiego teatru. Sądząc z listu ministra Rzymowskiego, bezpośrednio po powrocie do Polski nadal działał w teatrze wojskowym.

²⁴ Prezydenta – Bolesława Bieruta.

Dymisja Stanisława Lorentza - List sygnowany przez v-ministra [nazwisko nieczytelne:]

[Blankiet:] MINISTERSTWO KULTURY I SZTUKI

Nr K.OS-526 /37

Warszawa, dnia 23 lutego 1951 r.

Obywatel Prof. Dr LORENTZ Stanisław
Dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie
P[pełniący] o[bowiązki] Naczelnego Dyrektora Muzeów
i Ochrony Zabytków.

W związku z zarządzoną przez czynniki miarodajne reorganizacją Naczelnej Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków i przekształceniem jej w dwie nowe jednostki organizacyjne, zwalniam Obywatela z dniem 28 lutego 1951 r. z pełnienia obowiązków Naczelnego Dyrektora Muzeów i Ochrony Zabytków, poruczonych Mu decyzją z dnia 31 stycznia 1946 r. (L. dz. 1678/II-Os/46).

Równocześnie składam Obywatelowi w imieniu służby wyrazy całkowitego uznania za sumienną i ofiarną pracę, jakiej dowody dawał Obywatel Dyrektor przez cały okres pełnienia swych obowiązków służbowych.

Pracą i oddaniem jej wszystkich zasobów Swej wszechstronnej wiedzy dobrze przysłużył się Obywatel Dyrektor sprawie rozwoju muzealnictwa POLSKI LUDOWEJ

MINISTER

[Podpis nieczytelny]

[Maszynopis]

[Komentarz - A.K.] Czyli - z wyrazami „całkowitego uznania” pochwalili - i usunęli. Oraz - co wielokrotnie gorsze - wyrzucono wraz z nim całą dokumentację działalności Naczelnej Dyrekcji, w ministerstwie przechowywaną. Lorentz zanotował w albumie:

„Wybrane przykłady z resztek ocalałych moich materiałów, zbieranych dla <Komisji Olszewskiego> - [] Departamentu Likwidacyjnego Delegatury Rządu. Archiwum było przechowywane w Muzeum Narodowym, w znacznej części ocalało, przekazałem [do] Naczelnej Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków. Po rozwiązaniu Naczelnej Dyrekcji w r. 1951 - w następnych latach gdzieś w Ministerstwie Kultury i Sztuki przepadło. Przykłady: 1. Rejestracji wstępnej strat, 2. Wykazów do odszkodowań”.

Stanisław Lorentz – List do żonyNieborów, czwartek 7. III.46²⁵

Kochana Iruško!

Korzystam z okazji, żeby parę słów przesłać, a postaram się znów w tych dniach zatelefonować.

Czuję się znacznie lepiej, staram się nic nie robić i możliwie o niczym poważnym a denerwującym nie myśleć i nabierać jak największej siły. Rano leżę do 10ej, potem idę na jakieś 1½ godziny na spacer. Chodzę już teraz ok. 5 km. Na dalsze spacer. Wracam na obiad, potem kładę się i śpię, po podwieczorku idę znów na spacer, potem siedzę w Bibliotece i przeglądam „Country Life”, gdzie artykuły dotyczą głównie psów, krów, polowań, a trochę zabytkowych pałaców angielskich. Po kolacji idę do mej wieży²⁶ na górę, ok. 8 i pół kładę się, czytam pamiętniki, i ok. 10ej śpię.

Palę niedużo, staram się ok. 10 papierosów, maximum 15. Dziś, godz. 6½ pp., wypaliłem 7. Takie cnotliwe życie pędzę, aby tylko odbudowywać się jak najlepiej.

Myślę, że te parę dni, co zostaje, jeszcze mi dobrze zrobi. Fizycznie czuję się zupełnie dobrze, zacząłem nawet spacerować w szybkim tempie i – gimnastykę. Czasem jeszcze mam trochę mgły w głowie, ale rzadko – w tym jest zresztą pewnie trochę hysterii. Żadnych lekarstw, tj. tego Perridony nie biorę.

Tyle o mnie. Cieszą się, że Alina już zdrowa i wszystkie dobrze się czujecie. Czy badała Ciebie Kistelska²⁷? Jeśli nie, to bardzo Cię proszę, zrób to zaraz – ciśnienie krwi, skąd uderzenia krwi do głowy, co na to masz robić i brać itd. !!!

Jeśli już ja mam odrestaurować się na młodzieńca, to chcę, żebyś i Ty wyrestaurowała się na hożą dziewicę.

Całuję b. b. mocno Ciebie, Irenkę i Alinkę, ucałuj mocno Mamusię, wszystkim ukłony.

[Podpis odręczny]

Pierniki przywiozę.

[Komentarz – A.K.] Ekspedycje śląskie, a raczej konieczność picia dużych ilości wódki i bimbru z sowieckimi komendantami powiatowymi miała fatalne skutki zdrowotne. Lorentz w końcu grudnia 1945 przeżył atak choroby, zdiagnozowanej jako ciężki zawał serca. Walczył z atakami serca aż do wiosny 1952 roku, daremnie! – bo diagnoza okazała się mylna, chore było nie serce, lecz woreczek żółciowy.

[Rękopis]

²⁵ W Nieborowie odbywał poszpitalną rekonwalescencję.

²⁶ Wieża na drugim piętrze i przechodni przy niej pokój były niemal na stałe przypisane do Lorentzów. W tej samej wieży na parterze zatrzymywał się – później – Leopold Infeld. A Lorentzowie – w pokoju nr 8 Pawilonu.

²⁷ Dr Helena Kistelska, później żona profesora Jana Nielubowicza, współtwórcy polskiej transplantologii – młodsza siostra dwóch braci Kistelskich, którzy uczęszczali do szkoły Ludwika Lorentza, w Warszawie. Helena, zwana Lele, przez lata brała u mojej Babcy lekcje francuskiego i niemieckiego.

Stanisław Lorentz – List do żony

Katowice 11. VI. 1945

Iruško moja kochana!

Mamy wielki sukces! Znaleźliśmy i tymczasowo zabezpieczyliśmy przeszło 500 skrzyń ze zbiorami Muzeum Narodowego – prawdopodobnie wszystko, co wywieźli po powstaniu, a prócz tego numizmatykę z naszego Muzeum i część zbiorów graficznych Stanisława Augusta, wywiezionych w r. 1939. Jan [Zachwatowicz] opowie Ci wszystko dokładnie. Ja zaopatruję się tu w benzynę i wszystko czego trzeba, i pewnie w czwartek jadę znów do Świdnicy sprawdzić inne miejscowości, gdzie mają być zbiory z Polski. Montuję teraz tutaj sprawę przewozu wszystkiego do Krakowa.

Program mój dalszy – pierwszy transport wiozę teraz do Krakowa, potem zostawiam innych, a sam wracam do Warszawy. Myślę, że to nastąpi za jakiś tydzień po powrocie tu Jana, to jest za 10 dni do dwóch tygodni.

Kochanie moje, bardzo do Was tęsknię i bardzo bym już chciał wrócić, ale muszę wszystko sam zrobić, by nasze zbiory wróciły – to wielki punkt w moim życiu. Wtedy najważniejszy obowiązek mój będzie wypełniony.

Nie opisuję wszystkiego dłużej, bo zamiast wczoraj wróciłem dziś i Jan musi biec do aeroplanu.

Całuję Cię i ściskam z całej siły, całuję z całej siły ukochane moje córeczki Irenkę i Alinkę, ucałujcie mocno Mamusię

Stanisław

[Komentarz – A.K.] To już początek epopei śląskiej, czyli rewindykacji zagrabionych przez Niemców polskich dóbr kultury, które wywożone do Niemiec utknęły na Śląsku.

Jan Zachwatowicz – List do Stanisława Lorentza

14 lipca 1945

Kochany Stasiu!

Otrzymałem Twoją karteczkę z Krakowa oraz list z Katowic z wymyślaniami na Hulkę²⁸ *et consortes*²⁹. Posyłam Pawłowskiego³⁰ z listem żeby podać Ci kilka nękających nas spraw a poza tym gdyby był potrzebny jako konwojent do wożenia mógłbyś go do tego włączyć. Gdyby nie był potrzebny niech zaraz wraca.

²⁸ Prawdopodobnie – Paweł Hulka-Laskowski (1881-1946), znakomity samouk, ewangelik, historyk religii, prozaik, laureat nagrody Ministra Kultury i Sztuki za działalność społeczną w 1945 r.

²⁹ *Et consortes* (łac.) – i spółka.

³⁰ Stanisław Pawłowski (ur. 1903) – od 1930 r. do 1944 pracował w Muzeum Narodowym pod kierunkiem konserwatora Bohdana Marconiego; w 1945 zatrudniony przy konserwacji obrazów w pracowni Ministerstwa Kultury i Sztuki, w 1946-1968 pracował ponownie w Muzeum, od 1949 był kierownikiem Pracowni Konserwacji Malarstwa.

Jak zwykle, nieobecność Twoja nie jest korzystna dla spraw tym bardziej że nowa zmiana kierownika nie jest dla nas korzystna. Zabytki i muzea to sprawy zupełnie trzeciorzędne – jeszcze dobrze że nie sprawy kultury w ogóle jak u poprzednika, jako wyraz jego poglądów mam już ciężki pasztet. Zaprasza mnie do siebie żeby zakomunikować że zdecydował (na własną rękę) przekazać gmach Zachęty – Akademii Sztuk Pięknych i to już zaraz³¹. Oczywiście zaprotestowałem ale sprawa idzie trudno bo „twórczość przecież musi mieć pierwszeństwo”. Piszę wobec tego memoriał, a ustnie zapytałem czy mamy wobec tego zupełnie zaniechać restauracji Grunwaldu – więc „nie, oczywiście, ale może to da się pogodzić itd.”. M. in. mamy z nim jechać do Spychalskiego³² o zwolnienie części Muzeum Narodowego z Muzeum Wojska³³. Ja zaproponuję na Muz[eum] Wojska arsenał na Długiej. Poza tym znowu sprawa listy 1000³⁴ – ma być robiona na nowo więc też nie bardzo mi się chce babrać w tym bez ciebie – a nagle. Te dwie rzeczy nie licząc drobniejszych spowodowały wysłanie listu aby zachęcić cię do wcześniejszego powrotu – a może byś nie jechał teraz do Krakowa. Ja zaniechałem starań o samochody bo z listów wynika że transport funkcjonuje wystarczająco. Sobolewski miał zrobić kroki ale jeszcze ich skutku nie znać. Michał [Walicki], Kojdecki³⁵, Frąckiewicz pojechali na Pomorze na zwózkę muzealiów. Michał przywiózł tu dwa Got[tyckie] ołtarze i parę skrzyń. Kredyty jeszcze nie otwarte. Miałem wielką awanturę o &11 na zabytki bo Skarb przeniósł całe 10 milionów do Min[isterstwa] Odbudowy. Odrabiałem to przez [Michała] Kaczorowskiego³⁶. Nudzi mnie ta stała walka tu i w BOSie³⁷, chyba sobie pójdę.

Ściskam cię serdecznie Jan

[Dopisek z boku:] Irena i dzieci i cała rodzina w dobrym zdrowiu. Irena miała jechać ale zdaje się że nie jedzie³⁸.

[Rękopis]

³¹ Od 28 czerwca 1945 do roku 1947 ministrem kultury był Władysław Kowalski. Ocena ministerialnych poglądów nie dotyczyła raczej Kowalskiego, lecz jego poprzednika, Edmunda Zaleskiego, który jeszcze na początku lipca podpisywał dokumenty jako minister. Edmund Zaleski, który pełnił tę funkcję w maju; To raczej o nim pisał Jan Zachwatowicz. Wskazuje na to także wzmianka w liście Witolda Kieszkowskiego z 11. VII do Lorentza, że szef „wrażał chęć poznania ciebie” – Władysław Kowalski znał Lorentza od dawna.

³² Marian Spychalski (1906-1980) – w czasie wojny działacz konspiracyjny (m. in. szef sztabu Gwardii Ludowej), od 1945 generał. W 1945 prezydent Warszawy (sprzeciwił się planom przeniesienia stolicy do Łodzi). Współorganizował Biuro Odbudowy Stolicy.

³³ Gdy budowano Muzeum Narodowe w Warszawie, jedno skrzydło budynku oddano tymczasowo dla Muzeum Wojska, które nie miało swojej siedziby. Do dziś nie udało się go odzyskać.

³⁴ Lista 1000 – układana wówczas lista najważniejszych obiektów polskiej kultury, która miała służyć do ustalania kolejności nakładów i renowacji. Nie została wdrożona.

³⁵ Józef Kojdecki – pracownik Muzeum Narodowego od 1945 do 1970 roku, na stanowiskach inwentaryzatora, kustosa, zastępcy dyrektora ds. administracyjnych..

³⁶ Michał Kaczorowski (1897-1975) – uczestnik powstań śląskich, członek PPS, specjalista planowania przestrzennego, w czasie wojny wykładowca tajnego nauczania, po wojnie profesor Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej, Od maja 1945 do 1949 minister odbudowy kraju, później dyrektor Instytutu Budownictwa Mieszkaniowego. Wieloletni przyjaciel rodziny Lorentzów.

³⁷ BOS – Biuro Odbudowy Stolicy. Zob. przypis 19.

³⁸ „Nie jedzie” – a jednak pojechała, na lokomotywie, w kabinie maszynisty, i odnalazła Ojca. (Zob. R. Jarocki, *Rozmowy z Lorentzem*).

Witold Kieszkowski³⁹ – List do Stanisława Lorentza

Warszawa dn. 14.VII.1945 r.

Kochany Stasiu!

Wracaj jak najprędzej, bo źle się dzieje w państwie duńskim. Zaczynamy bez Ciebie przegrywać. Przypuszczam, że jest to w pewnej mierze wynikiem tego, że nowy szef⁴⁰ nie został przez ciebie urobiony. Rezultat – obcięcie budżetu, wprost katastrofalne, i oddanie Zachęty na Akademię⁴¹. We czwartek Janek [Zachwatowicz] został wezwany przez szefa, który mu zakomunikował, bez żadnych wstępów, że obiecał oddać Zachęty na Akademię. Janek zachował stoicki spokój i w odpowiedzi również zakomunikował, że my wobec tego nie możemy restaurować Grunwaldu. To mocno zaskoczyło szefa, który zaczął się martwić, że zbyt pochopnie obiecał i wysuwał życzenie, by jak najprędzej odrestaurowano Grunwald i zaraz potem oddano Akademii lokal. Janek stwierdził, że restauracji szybko wykonać się nie da, zwłaszcza że roboty remontowe potrważą jeszcze czas dłuższy. Rozstali się więc z niczym, ale niebezpieczeństwo ciągle wisi, zwłaszcza że druga strona zabiega usilnie. Zresztą istnieje obietnica szefa, którą trzeba za wszelką cenę odrobić. Sądzę, że tylko Ty to potrafisz. Zresztą szef parokrotnie dopytywał się o Ciebie i wyraził chęć poznania Ciebie.

Katastrofę budżetową udało mi się na razie zażegnać, nie wiem tylko w jakim stopniu i czy już ostatecznie. Wnioski Min[isterstwa] Skarbu opiewały – subsydia na muzea zamiast 3.900.000 – 2.400.000, czyli mniej niż na maj i czerwiec, chociaż obecnie preliminowano na 3 miesiące. Subsydia na konserwację – zamiast 9.000.000 – 3.750.000, a honoraria za zleczone prace skreślono zupełnie. Bomba wybuchła wczoraj przed samą trzecią, tak że Jan o niczym nie wie, gdyż dziś siedzi w BOSie⁴². Wszystko więc spadło na moją głowę. Od rana siedziałem w Min[isterstwie] Skarbu, odbyłem długą konferencję z dr. Skrzetuskim i nacz[elnikiem] Kosobudzkim – udało mi się ich pozyskać. Zresztą są dla nas b. zyczliwi i trzeba ich wyróżniać przy zapraszaniu na rozmaite imprezy, wernisaże itd. Starczy to, że mam napisać obszerny memoriał zaopatrzone podpisem Ministra, a skierowany do Ministra Skarbu. Referował to Ministrowi naszemu, wyrwałem jego podpis, a od panów z Min[isterstwa]

³⁹ Witold Kieszkowski (1903-1950) – historyk sztuki, autor m. in. prac o zamkach polskich oraz o architekturze i rzeźbie polskiego renesansu. Od 1937 (po Ksawerym Piwockim) kontynuował działalność Lorentza na stanowisku konserwatora zabytków województw wileńskiego i nowogródzkiego. W 1945 został zastępcą Konserwatora Generalnego Zabytków (Jana Zachwatowicza) w Naczelnej Dyrekcji. W 1946 awansował na zastępcę Naczelnego Dyrektora Muzeów i Ochrony Zabytków, świetnie się sprawdził w akcji rewindykacyjnej na Śląsku, później tamże m. in. organizował działalność ośrodka w Paulinum. Znakomity organizator, w Muzeum Narodowym w Warszawie m.in. zreorganizował Galerię Malarstwa.

⁴⁰ Zob. przypis 31.

⁴¹ Tj. przekazanie na potrzeby uczelni – Akademii Sztuk Pięknych – gmachu wystawowego, należącego od 1900 r. do Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, przy Placu Małachowskiego w Warszawie. Bezpośrednio po wojnie mieściła się tam Pracownia Konserwacji Malarstwa, którą kierował prof. Bohdan Marconi.

⁴² BOS – Biuro Odbudowy Stolicy, podporządkowane ministrowi Michałowi Kaczorowskiemu.

Skarbu otrzymałem zapewnienie, że [dadzą?] kwotę 90.000 na honoraria, a pozostałe pozycje będą restytuowane w poprzedniej wysokości. Z radością zgodziłem się na to, zastrzegając tylko możliwość przywrócenia tego paragrafu w następnym preliminarzu. Wygląda więc na razie dość dobrze, ale teraz zaczynam się bać wszystkiego. Najwięcej boję się, aby przy obronie budżetu całego Ministerstwa nie sprawiono nam jakiejś krzywdy. Zrobiłem, co mogłem. Dałem Ministrowi notatkę do obrony budżetu na Prezydium Rady Min[istrów], ale nie wiem, czy to co pomoże, skoro obrońca tak mało się orientuje.

Poza tym dużo spraw bieżących. Jeśli więc możesz, przyjeżdżaj natychmiast.

Pani Irena prosiła zawiadomić Cię, że wszyscy są zdrowi i ściskają Cię. Sama przyjechać do Katowic nie może, uradziliśmy więc wspólnie z Janem zawiadomić Cię o naszych tarapatach przez Pawłowskiego.

Moja rodzina jest już w Podkowie [Leśnej], zachwycona warunkami i Podkową.

Ściskam Cię i pozdrawiam serdecznie

Twój

[sygnatura] Witold Kieszkowski

[Rękopis]

[Komentarz – A.K.] Oto druga wersja tych samych wydarzeń, które relacjonował Jan Zachwatowicz. Por. przypis 31.

Stanisław Lorentz – Widokówka do Aliny Lorentzówny

Katowice, 13. VI. 1945

Alinko, moja kochana córeczko!

Posyłam Ci widok z tego miasta, gdzie teraz byłem i znów jadę – Świdnicy na Śląsku. Bardzo już chcę Ciebie zobaczyć i uściskać, tymczasem całuję Cię

~ [nieskończoność] + 9999999999 razy

Twój Tatuś

[Komentarz – A.K.] Widokówka świadczy, że Ojciec otaczał wprawdzie wielką czułością swoje Muzeum, zabytki, Żonę, ale i dla córek znajdował miejsce w sercu. Niestety, nie można zobaczyć tego widoku – pocztówka od strony obrazka jest wlepiona do albumu.

Krzysztof Radziwiłł⁴³ - List do Stanisława Lorentza

19/VIII [19]45

Kochany Stasiu

Drugi raz już chciałem Cię odwiedzić i nie zastałem. Skomunikuj się jakoś ze mną przez M.S.Z.. (Szucha) i umówmy się na pogawędkę. Mieszkam u [B...era ?] (Radzymińska 67 A) i jestem, jak wiesz, Szefem Protokołu.

Uścisk dłoni

Krzysztof Radziwiłł

[Rękopis]

[Komentarz - A.K.] Krzysztof Radziwiłł był kolegą uniwersyteckim i przyjacielem Stanisława Lorentza od czasu studiów. Bardzo mu pomógł, gdy przed wojną Lorentz został mianowany konserwatorem wojewódzkim na województwa wileńskie i nowogródzkie. Opiniotwórcze, konserwatywne środowisko „żubrów” i „tutejszych” grupujące się wokół dziennika „Słowo” (redagowanego przez Stanisława Mackiewicza), utrzymywało krytyczny dystans wobec przybyszy z innych stron; trudno było o towarzyską akceptację. Krzysztof Radziwiłł znakomicie Lorentza zaprotegował: pojechał z nim do Wilna i przedstawił Stanisławowi Mackiewiczowi jako swego przyjaciela. W efekcie, choć Lorentzowi bliski był atakowany często przez „Słowo” krąg „Kurieria Wileńskiego”, nigdy go w „Słowie” nie krytykowano.

Przyjazne więzi między Krzysztofem Radziwiłłem i Stanisławem Lorentzem utrzymywały się także po wojnie, łączyły też córki - Marysię Radziwiłłówną i Irenkę Lorentzówną.

Ludwik Chomiński⁴⁴ - Telegram do Stanisława Lorentza:

[bez daty; prawdopodobnie: koniec listopada 1945:]

[Adres:] Stanisław Lorentz Muzeum Narodowe Warszawa Al. 3 Maja 13⁴⁵

[Tekst⁴⁶]: ZAWIADOM LUSIE⁴⁷ JADE PRZEMYSŁ POTEM WARSZAWĘ DO WAS CALUJE LUK CHOMINSKI

⁴³ Krzysztof Radziwiłł był Szefem Protokołu - w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

⁴⁴ Ludwik Chomiński - zamożny ziemianin z Wileńszczyzny, właściciel majątku Olszewo. Przed wojną działacz PSL „Wyzwolenie”, konserwatysta i zarazem zwolennik daleko idących reform, filantrop, czołowa postać życia kulturalnego i towarzyskiego Wilna. Był także wydawcą i z zamiłowaniem prowadził własne wydawnictwo „Lux”, promujące ambitną literaturę. Po przejściu Wilna przez Rosjan wywieziony na Wschód.

⁴⁵ Nazwa warszawskiej alei przy której stoi budynek Muzeum Narodowego po wojnie parokrotnie się zmieniała. Przedwojenną, ku czci Konstytucji 3 Maja (nr 13), zastąpiono nazwiskiem bohatera - stała się Aleją Generała Władysława Sikorskiego (nr 13), a gdy on też okazał się niewłaściwy - przekształciła Alejami Jerozolimskimi (nr 3).

⁴⁶ Brak przyimków w tekście telegramu wynika prawdopodobnie stąd, że wysokość opłaty pocztowej była zależna od ilości zawartych w nim słów.

⁴⁷ Lusja - wadliwie zapisane słowo „Mysia”.

[Komentarz Stanisława Lorentza wpisany na blankiecie pod tekstem telegramu:]
Ludwik Chomiński z Wilna (Olszewa) wywieziony do Donbasu depeszuje do nas z repatriacyjnej stacji granicznej. Gdy dojechał do Warszawy i wszedł do nas - Irena nie poznała go, tak był chudy, brudny i zarośnięty. Uwierzyła, że to on, gdy zapytał: „A gdzie jest Szczęście?” - tak mówiliśmy na Irenkę w Wilnie. Najpierw wykapał się, ogolił i ubrał w moją bieliznę i ubranie, jego rzeczy zaraz spaliliśmy. Sprowadziliśmy jego żonę Myszkę vel Mysię z Łodzi, spędzili jakiś czas u nas, potem wyjechali do Łodzi. Minister [Władysław] Kowalski, znajomy z „Wyzwolenia” przed wojną, mianował go później dyrektorem Centralnego Instytutu Kultury.

Ludwik Chomiński - List do Stanisława Lorentza [wierszyk poprzedzony adresem i dedykacją:]

18. XII. 1945

Łódź, Południowa 36 m. 19

Tel. Łopalewskiej⁴⁸ 252-51, Tel. Mar[] 257-08

Do Obywatela Dyrektora/ Muzeum Narodowego w Warszawie / Wielce Miłego i Zasłużonego oraz / Łaskawego dla mnie przyjaciela / Profesora Doktora Stanisława / L o r e n t z a - y / Yego Czarującej Małżonki / I r e n y / takosz [sic!] i udanej Ich córzy / I r e n k i / (vulgo „Szczęściem” zwanej) / oraz Szanownej a dla mnie / tak łaskawej Yego Matki / i A l u s i / (kociej i psiej Mamy). W ogóle do całego ICH tak miłego i kochanego Domu:

Żegnając Wasze gościnne progi
(Dokąd wędrowiec zaszedł ubogi)
Składam raz jeszcze me dziękczynienia
I na cześć Waszą podnoszę pienia:
Za wszystko dobre, co mię spotkało,
Za odkarmione, tuczone ciało -
Dobrych serc Waszych przyjęty dar
I atmosfery domowej czar

Najszczęśliwszych życzeń świątecznych huk

Z serc przepelnionych - Mysia i Luk.

[Rękopis] [Komentarz - A.K.] Lata okupacji i początków PRLu były czasem roz-

⁴⁸ Roma (Romana) Łopalewska - żona pisarza Tadeusza Łopalewskiego; przyjaciele Lorentzów z lat wileńskich. Od 1923 mieszkali w Wilnie, Łopalewski położył wielkie zasługi dla rozwoju życia literackiego i teatralnego. Wojnę spędzili w Wilnie, w 1945 repatriowali się do Łodzi, w 1948 przenieśli się do Warszawy.

kwitu różnych towarzysko-literackich zabaw odnotowanych w albumie; okolicznościowe wierszyki wiodły prym. Pisywali je przyjaciele, studenci, a moja siostra Irenka i Tata układali rodzinne laurki. Tak wyglądały dawne albumy, wcześniejsze, przedwojenne – serio traktowany zapis swobodnie dobieranych wydarzeń, uzupełniany przez wierszowany najczęściej żart, trochę dobroduszej kpiny, obok karykatur i wielu fotografii. Życie prywatne mocno splecione z zawodowym i naukowym – prawdziwa kronika kulturalna.

Ks. Piotr Śledziewski⁴⁹ – List do Stanisława Lorentza

13. IX.[19]45

Białystok, ul Rocha 2 m. 3

Kochany Dyrektorze,

Wybieram się po 27 do Warszawy. Chcę koniecznie złożyć Wam wizytę i prosić o ten cudowny specyfik odcyszczający obrazy.

Co słyszać?

Czytam, że jesteście przewodniczącym „zboru” historyków sztuki. Zgłaszam swą kandydaturę na członka. Prosiłem p. [Witolda] Kieszkowskiego aby Wam podał me nazwisko. Ale nie wiem, czy to uczynił. Mam monografię [4 słowa niecz.], przywiozę Wam jeden egzemplarz – maszynopis. Napisałem też „O trzech kościołach Św. Anny” w Wilnie, lecz tylko w rękopisie. Nadto: „O kulturze artystycznej, o twórczości i kompozycji plastycznej” – też w rękopisie. Prawie dokończoną pracę pt. „ O [] epoki baroku

(tu tekst urwany, reszta po drugiej, przyklejonej do albumu, niewidocznej stronie)

[Komentarz – A.K.] W albumie Lorentza są przypadki, że dwustronnie zapisana kartka listu, jeśli tylko niewielki jej fragment jest zapisany po drugiej stronie, dostępny na niej tekst jest urwany, gdyż całą powierzchnią strony drugiej został wklejony do albumu. Tak i w tym przypadku.

⁴⁹ Ks. Piotr Śledziewski (1884-1950) – historyk sztuki, kapelan wojskowy, major. Studia kończył w Krakowie, później przeniósł się do Wilna. W 1929 wygłosił w Wilnie wykład publiczny w ramach cyklu odczytów pisarzy wileńskich. Należał do grupy „Niedźwiedzi” w wileńskim klubie Smorgonia (od 1933 r.). Z Lorentzem znali się od lat wileńskich; ksiądz Śledziewski żywo uczestniczył w życiu artystycznym miasta, a jego zainteresowania fotografią zaowocowały współpracą ze słynnym atelier Jana Bulhaka. Występował też w wierszu Witolda Hulewicza *Pleonazmy*, wygłaszanym w Smorgonii na pożegnanie opuszczającego Wilno Lorentza. „Tematem najbardziej przez niego umiłowanym, któremu poświęcał się przez wiele lat, była interpretacja wspaniałego zespołu sztukaterii w XVII w. w kościele św. Piotra i Pawła na Antokolu. [...] Zaraz po wojnie zwrócił się do mnie z prośbą, by mógł wygłosić w Muzeum Narodowym odczyt o tych stiukach w kościele św. Piotra i Pawła. Zorganizowałem taki odczyt – przyszło sporo osób. Ale gdy w pierwszym zdaniu wypowiedział słowo <Wilno> – głos mu się załamał i zaczął szlochać. Po chwili uspokoił się i odczyt wygłosił” (S. Lorentz, *Album wileńskie*, 1986, s.174).

Piotr Śledziewski – List do Stanisława Lorentza

Białystok 12/VI 1947 r.

Drogi i bardzo Kochany Panie Stanisławie,
Profesorze Najmilszy i Dyrektorze !

Z radością wyczytałem dziś w gazecie Pańskie nazwisko wśród mianowanych profesorów na Uniwersytecie Warszawskim. Serdecznie winszuję.

Pismo w sprawie Wrocławia otrzymałem⁵⁰. Bardzo dziękuję. Nie mogę jeszcze wyruszać dziś z Białegostoku z powodu nie dokończenia likwidacji Propagandy i Informacji. Sądzę jednak, że po św. Janie uda mi się być w Warszawie przejazdem via [Wrocław?] na urlop zdrowotny, który mam otrzymać.

Załączam najserdeczniejsze pozdrowienia Rodzinie.

Jeszcze raz serdecznie winszuję zasłużonego stanowiska uniwersyteckiego.

Z głębokim poważaniem

Ks. Dr P[iotr] Śledziewski

[Rękopis]

Jan Glinka⁵¹ – List do Stanisława Lorentza

Wilanów, 23 czerwca 1960 r.

Wielce Szanowny Panie Profesorze,

Pisanie artykułu o kształtach architektury białostockiej w XVI i XVII wieku posuwa się naprzód, choć brak rysunków technicznych tamuje pracę. Są one potrzebne do ostatecznego wnioskowania o wielu szczegółach. Rysunki te najłatwiej i najlepiej może wykonać inż. arch. Filipczuk, ponieważ był współprojektantem i wykonawcą planów rekonstrukcji pałacu białostockiego, zna więc dobrze tę budowlę. Gdyby kto inny robił teraz rysunki, musiałbym na stosunkowo długi okres czasu zamieszkać w Białymstoku celem udzielania informacji o historii murów, niełatwej teraz do rozpoznania po zakończeniu rekonstrukcji, pod tynkiem. Byłoby to nierealne, bo gorsze i z pewnością kosztowniejsze załatwienie. Tymczasem inż. Filipczuk po dwugodzinnej rozmowie zrozumiał dokładnie moje „dwie słowie” i jest dostatecznie poinformowany; resztę uzupełni korespondencja. Jego preliminarz na wykonanie dziesięciu rysunków technicznych za wynagrodzeniem ogólnym 5.627 zł dołączyłem Redakcji Biuletynu H[istorii] S[ztuki]. Liczba dziesięciu rysunków jest już zredukowana w stopniu możliwie największym: są to przekroje i rzuty zamku oraz

⁵⁰ Pismo w sprawie Wrocławia – Ks. Piotr Śledziewski opuszczając Wilno osiadł na niemal dwa lata w Białymstoku. Został naczelnikiem Wydziału w Ministerstwie Kultury i Sztuki; a opuścił Białystok, by objąć stanowisko dyrektora Muzeum Archidiecezjalnego we Wrocławiu.

⁵¹ Jan Glinka (1890-1963) – historyk, archiwista, od 1930 r. mieszkał i działał w Białymstoku (m.in. był przewodniczącym Koła Miłośników Historii), wojnę spędził w Rosji, po powrocie pracował w Archiwum Głównym Akt Dawnych (AGAD) w Warszawie.

kościół obronny w różnych czasach. Bez tego niepodobna pisać dziejów budowy. P. Ryszkiewicz⁵² oznajmił, że Biuletynu H[istorii] S[ztuki] nie stać na zapłacie rysunków, ale że istnieje możliwość nabycia ich przez dział dokumentacji PIS (p. Moraczewska). Odbylem więc konferencję z p. Moraczewską, która w zasadzie przyznała tę możliwość, jednak stwierdziła przeszkodę formalną w tym, że nie wolno jej dawać zlecenia wykonania, lecz tylko kupować gotowe, a przecież rysunki inż. Filipczuka trzeba zlecić. Myślę, że z tego błędnego koła, utworzonego z nieporozumień, można znaleźć wyjście i p. Ryszkiewicz, który urzęduje o kilka metrów od p. Moraczewskiej, mógłby to zrobić z łatwością. Z mojej strony przerwałem pisanie pracy o arianach, aby zgodnie z inicjatywą Pańską wydać omawiany artykuł, więc wydaje się niepodobieństwem przerywanie tej nowej pracy z powodu pesymizmu p. Ryszkiewicza, któremu po prostu nie chce się zabrać na dobre do rzeczy.

Przy sposobności nawracam do sprawy wydania źródeł do historii sztuki, o czym w ogóle przestano mówić. Zasłaniając się brakiem pieniędzy. Jednakże w naszej ojczyźnie nie przestano wydawać pozycji, których pożytek dla nauki jest pozorny, a w najlepszym razie bardzo wąski, nie mówiąc już o wydawaniu ton bezwartościowych piśmideł periodycznych. Trudno pogodzić się z faktem zaprzeczania źródeł, zgromadzonych przeze mnie w celach wydawniczych. Odkładanie wydania na lata, przy złym stanie mojego zdrowia, prowadzi oczywiście do zagłady, za którą odpowiedzialność będzie obciążała nasze instytucje wydawnicze i PAN. Fakt korzystania doktorantów z moich źródeł nie wyczerpuje sprawy.

W ubiegłym tygodniu p. Fijałkowski⁵³, któremu Pan Profesor zleca nieraz czynności związane ze sprawą lokatorów wilanowskich, mówił mi, że sprawa przesiedlenia mieszkańców kordegardy stoi bardzo dobrze i krok zrobiony przez Pana Profesora wobec czynników rozporządzających lokalami mógłby spowodować przesiedlenie w ciągu lipca br. Pan Fijałkowski jakoby przed wyjazdem do Drezna złożył projekt listu w tym przedmiocie. Pozwalam sobie gorąco prosić Pana Profesora o uczynienie tego kroku, skłania mnie do tego groźba spędzenia jeszcze jednego roku w nieludzkich warunkach mieszkaniowych w Wilanowie, pod ciekącym dachem, w pomieszczeniu nie do ogrzania, bez centralnego ogrzewania, bez wody, bez kanalizacji. W tych warunkach nie można pracować i życie przy moim stanie zdrowia staje się niepewne. A przecież nikomu nie tajne są moje wysiłki poświęcenia wszystkich sił nauce.

[podpis odręczny] Jan Glinka

[Maszynopis]

⁵² Andrzej Ryszkiewicz (1922-2005) – historyk sztuki, związany z Państwowym Instytutem Sztuki (potem przekształconym w Instytut Sztuki PAN) oraz z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim. Autor wielu prac naukowych, szczególnie z zakresu polskiej i francuskiej historii sztuki. Prywatnie – zapalony zbieracz exlibrisów.

⁵³ Wojciech Fijałkowski (1927-2014) – historyk sztuki, muzeolog, wieloletni dyrektor Muzeum w Wilanowie.

Zygmunt Beczkowicz⁵⁴ – List do Stanisława Lorentza

2 marca 1964 r.

Wielce Szanowni Państwo

Nie miałem wczoraj sposobności wyrazić w ustnej rozmowie lub publicznie mej głębokiej wdzięczności za wyświadczoną przyjemność, więcej radości, przez zorganizowanie przez Szanownych Państwa spotkania Wilnian najpierw w Muzeum, a następnie w nadzwyczaj gościnnym Państwa domu. Fale wspomnień, które opanowały zebranych były, przynajmniej dla mnie, nie tylko miłym westchnieniem do czasów młodości, lecz również podniecią do dania z siebie jeszcze niejednego, pomimo przeszkód obiektywnych, a częściowo i subiektywnych, na schyłku u wielu ich przydługiego życia. Twórcza działalność p. Stanisława nie tylko mi imponuje, lecz i zachęca by w ramach, chociaż bardzo wąskich, dać z siebie jeszcze coś nie coś dla spraw publicznych.

Z wysokim poważaniem dla Obojga Państwa – pozostaje

Z[ygmunt] Beczkowicz

P.S. Załączam adres p. H. Okuliczowej, gdyż podobno notatka zrobiona przez p. Stanisława zaginęła –

Ul. Wilcza 60 tel. 28 08 58 lecz tylko w godzinach do 9ej rano i po 8ej wieczór.
Jest to telefon Zespołu Adwokackiego.

[Rękopis]

Stanisław Lorentz – Notka bez daty i tytułu, na kawałku strony:

[Słowo nieczytelne] 3443 Państw[owe] Zb[iory] Szt[uki]

między Siedlcami i Iganiami,

gdzie stał posąg Prezydenta RzP. i gdzie się przeniosło masę rzeczy rozgrabionych przez okolicznych, marmury, obrazy, kryształy...

Te 2 obrazy, prócz tego kilka Bacciarellego, Lampiego, itd.

w Siedlcach u właściciela pralni, poprzednio głównego elektrotechnika w Zamku.

VIII. [19]41

[Rękopis]

⁵⁴ Zygmunt Beczkowicz (1887-1985) – prawnik, organizator sądownictwa polskiego w dwudziestoleciu, od 1926 wojewoda nowogródzki, potem wojewoda wileński (od tamtych lat zaprzyjaźniony z Lorentzami), poseł i senator do 1939. Po wojnie mieszkał na Pomorzu. Z S. Lorentzem utrzymywał częstą korespondencję, był bodaj najbardziej honorowanym uczestnikiem powojennych „zjazdów Wilnian”.

Stanisław Lorentz – notatka do sprawozdania dla Delegatury

Współdziałanie, nie tylko góra [dalej prawie nieczytelne] – post. Władz Diotowska Teatr 22.V. 1940 Komedia, farsy polskie i t[umaczone] o posmaku erotycznym. Sztuka Perzyńskiego – aktor gł. roli

kabar. - cyrk Lato 1940 dla Niemców [sic.⁵⁵], długo tylko w teatrze w Łaz[ienkach] Sofokles i Calderon

Polaków – cyrk [Buocka??]

Teatr m. Wwy: 2 zespoły – dla n. i pol. – wykładowca okólnika

40 mężów Pani Ilony w niem. Szekspir, wybitny Niem.

Miłość cygańska, Nietoperz Verflachung Und Erotissermag w myśl ok.

V.1940

Muzyka Lardelli – Dołżycki – jubil. 40lecia – bojkot

Zmuszani do konc. w pał. Br. i Konst. Dowody

H[] – konc. w Belwed., Łaz., Br., - zwłaszcza Frank

” XI.41 odmowa sabotaż

Urząd Oświaty i Propagandy – pisemne zawiadomienia, że jeśli odmówi – oddany do Arbeitsamtu i wywieziony do Rzeszy

[] niem., dodatek dla Pol.

Muzea

[Rękopis]

[Komentarz – A.K.] Obie wyżej ukazane notatki dobrze ilustrują problemy, pojawiające się przy redagowaniu tego typu „niepełnych” tekstów. Rozwagi wymaga uzupełnianie słów o brakujące litery (przykład: czy „Br” oznacza „Bruhl”, czy może tu znaczyć coś innego?). Jak należy odczytać i przekazać informację „Muzyka Lardelli – Dołżycki – jubil. 40lecia – bojkot”? Co znaczy „w myśl ok. V.1940”?

Nie wypada może traktować podobnych dramatycznych materiałów jak fascynujących zagadek, ale ileż satysfakcji daje rozwiązanie jej fragmentów! Podobnych karteczek z informacjami, odnoszącymi się głównie do lat wojny, w papierach Ojca jest sporo. Niektóre bardziej, inne – jak te dwie – mniej czytelne i zrozumiałe. Coś można w przybliżeniu ustalić, odwołując się do informacji z tekstów i spoza nich. Trudniej objaśnić okoliczności, ustalić sens. Oczywiście można po prostu rzecz pozostawić domysłowości czytelników.

⁵⁵ Nie jest to błąd ani przeoczenie. Małe „n” to wyraz pogardy, jeszcze sporo lat po wojnie Ojciec między innymi nawet w ten sposób ją okazywał.

Jan Jaskanis⁵⁶ - List do Stanisława Lorentza

(Dep.1119 - 26)

Białystok, dnia 10 czerwca 1979 r.

Wielce Szanowny Panie Profesorze,

W imieniu pracowników i dyrekcji Muzeum Okręgowego W Białymstoku oraz własnym składam tą drogą podziękowanie Panu Profesorowi za zaszczyt jaki sprawił uczestnicząc w „IV Spotkaniu Muzeów Polski Północno-Wschodniej – Białystok 1979” i w uroczystościach XXX-lecia Muzeum w Białymstoku.

Była to wizyta zaszczytna ale także bardzo owocna dla nas. Słowa aprobaty, a nawet uznania wypowiedziane pod adresem Muzeum przynoszą nam najwyższą satysfakcję. Są one też najlepszą zachętą dla obecnej i przyszłej działalności. Byłem zaszczycony pozytywną opinią o mojej pracy.

Jeszcze raz bardzo dziękuję za udział, przewodniczenie obradom, za uwagi i wskazówki udzielone pracownikom Muzeum jak i za decyzję przekazania na własność depozytów z Muzeum Narodowego.

Bardzo proszę o przekazanie słowa podziękowania Małżonce Pana Profesora i serdecznie ją pozdrowić.

Z wyrazami głębokiego szacunku

Dr Jan Jaskanis

Dyrektor Muzeum

PS. Załączam egzemplarz „Gazety Współczesnej” z wywiadem udzielonym przez Pana Profesora⁵⁷.

[Maszynopis, podpis odręczny]

⁵⁶ Jan Jaskanis (1958?-2016) - historyk sztuki, archeolog, dyrektor Muzeum Okręgowego w Białymstoku (1974-1980), twórca ośrodka badań archeologicznych, autor monografii naukowych z zakresu archeologii śródziemnomorskiej i polskiej.

⁵⁷ Dołączony wycinek z 9 - 10 VI. 1979 z tekstem *Muzeum jest nie do zastąpienia*. Fragment wywiadu przeprowadzonego przez Andrzeja Koziarę: został poświęcony białostockiemu muzeum. Lorentz mówił: „Z radością śledzę jego rozwój. Zwłaszcza od kilku lat daje się tu obserwować coś w rodzaju jakościowego skoku. Powiększyły się zbiory - to naturalne, ale również ich opracowanie i formy upowszechniania - mówię to bez okolicznościowej uprzejmości - najwybredniejszego mogą zadowolić. Mogę już zdradzić, że po rozpatrzeniu się w sytuacji, Muzeum Narodowe przekazuje Białemustokowi znaczną część dotychczasowych depozytów na własność. Jesteśmy pewni, że idą w dobre ręce”.

Zdjęcia z domowego archiwum Stanisława i Ireny Lorentzów
(odręczne dopiski pochodzą od Stanisława Lorentza)



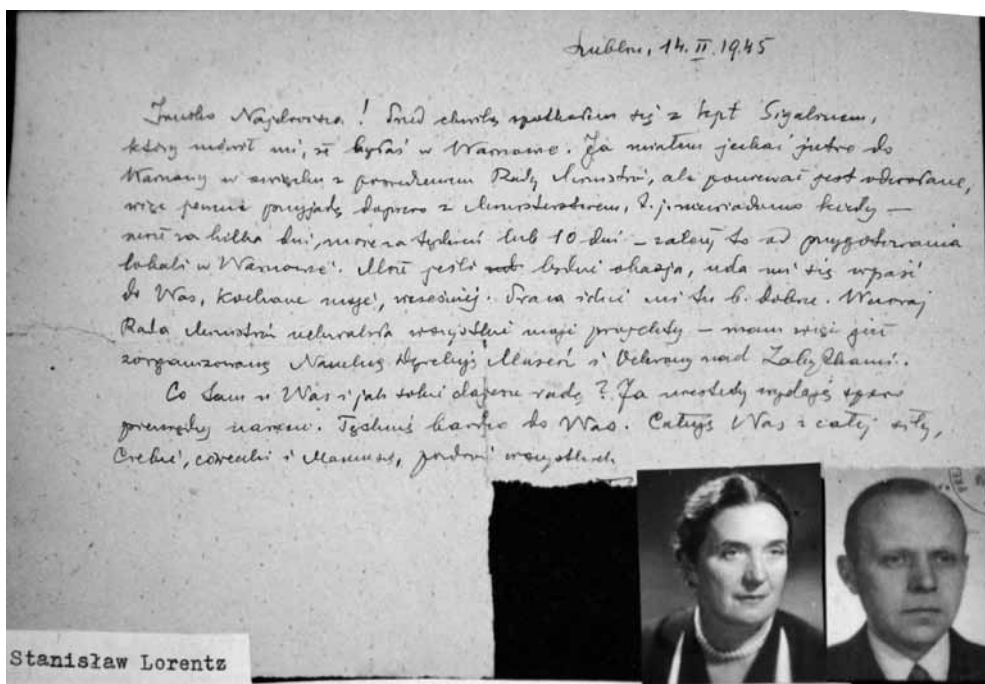
Irena Lorentz z domu Nasfeter



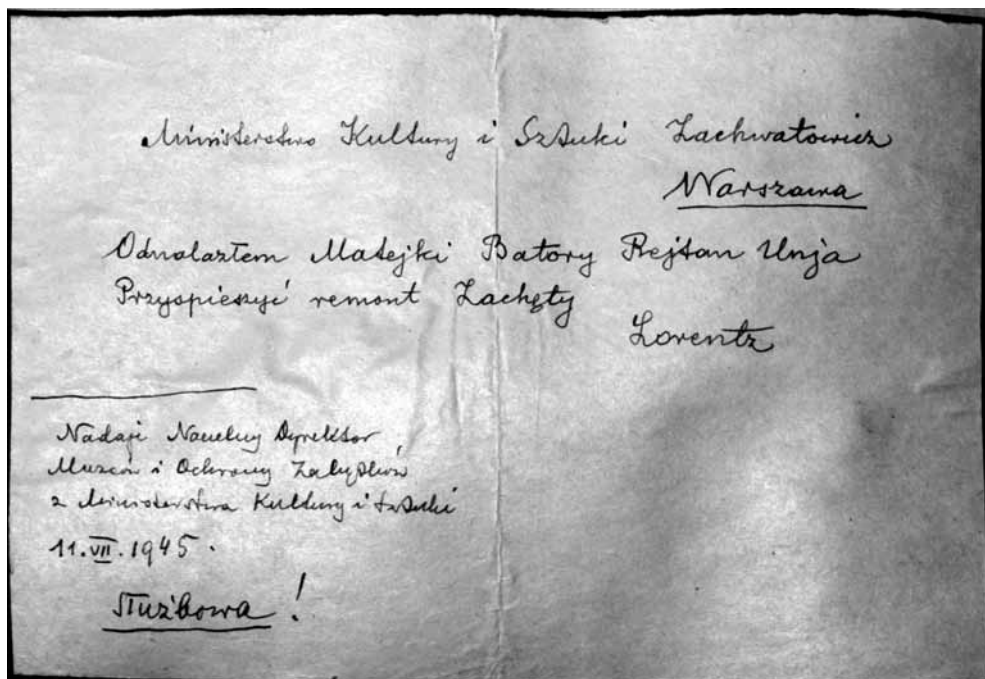
Irena Lorentz z domu Nasfeter

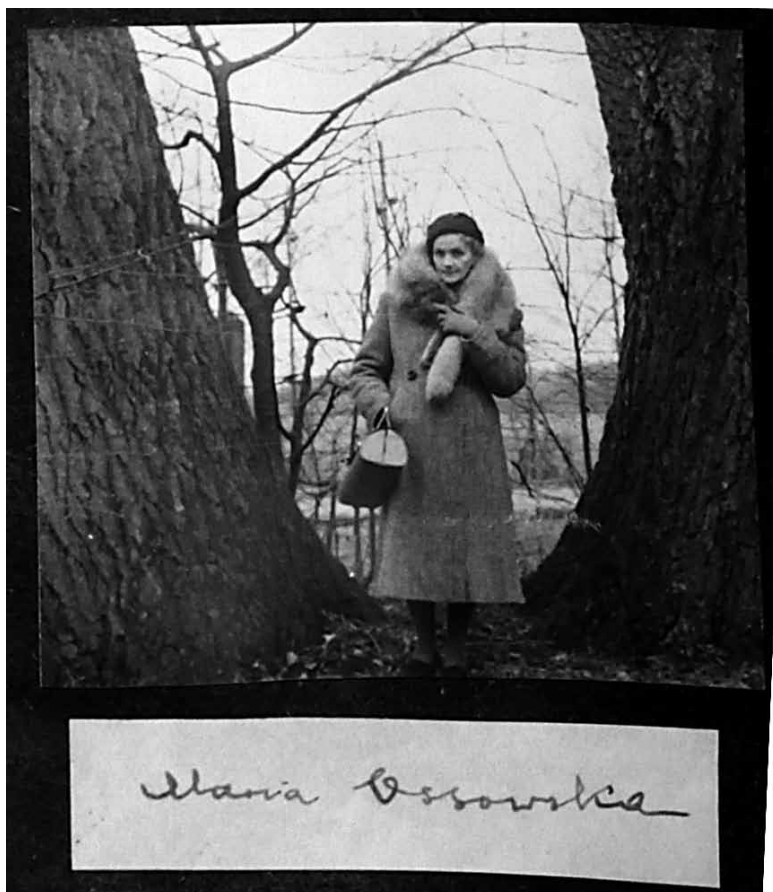


Irena Lorentzówna



List Stanisława Lorentza do Ireny Lorentzowej, pod tekstem zdjęcia małżonków, 1945 r.

List Stanisława Lorentza do Jana Zachwotowicza, informujący od odnalezieniu obrazów Jana Matejki,
11 VII 1945



Maria Ossowska



Od lewej - Witold Kieszkowski, Stanisław oraz Irena Lorentzowie, Alina Lorentzówna



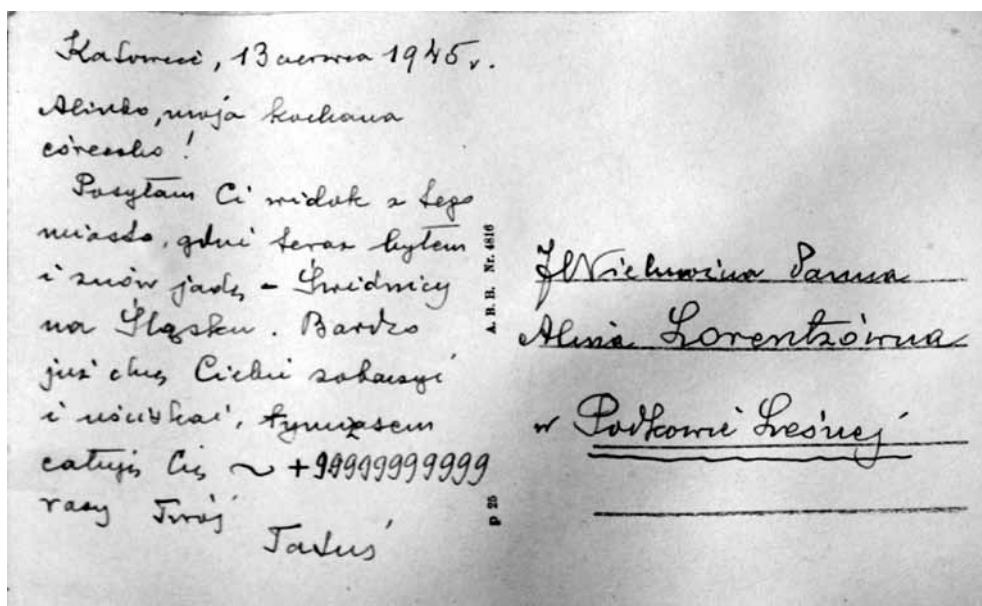
Odzyskiwanie zrabowanych przez Niemców dzieł sztuki po II wojnie światowej.
Na samochodzie napis - „Skradzione przez Niemców Muzeum wraca do Warszawy”



Odzyskiwanie zrabowanych przez Niemców dzieł sztuki po II wojnie światowej - Jelenia Góra



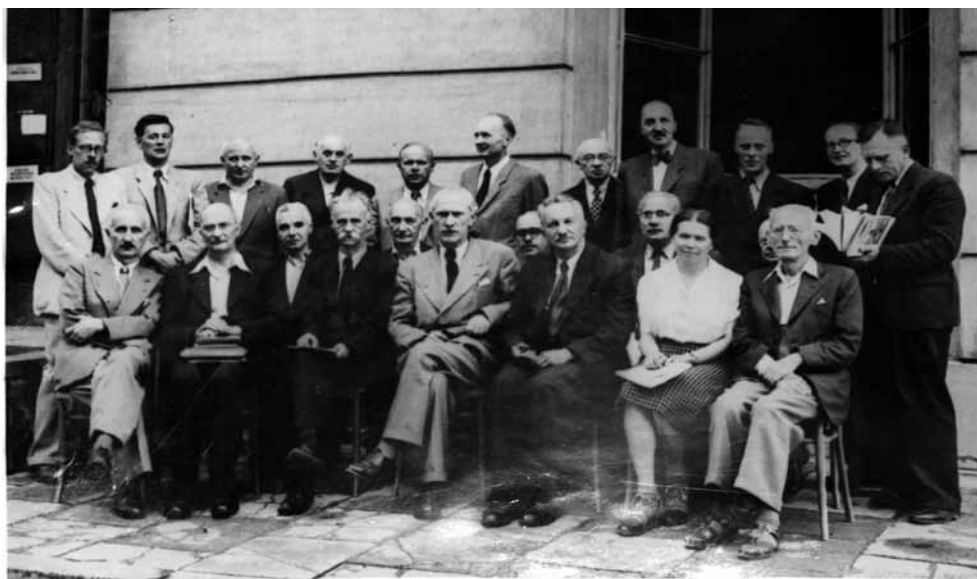
Odzyskiwanie zabrowanych przez Niemców dzieł sztuki po II wojnie światowej
- grupa Stanisława Lorentza



Pocztówka wysłana przez Stanisława Lorentza córce, Alinie, w 1945 roku

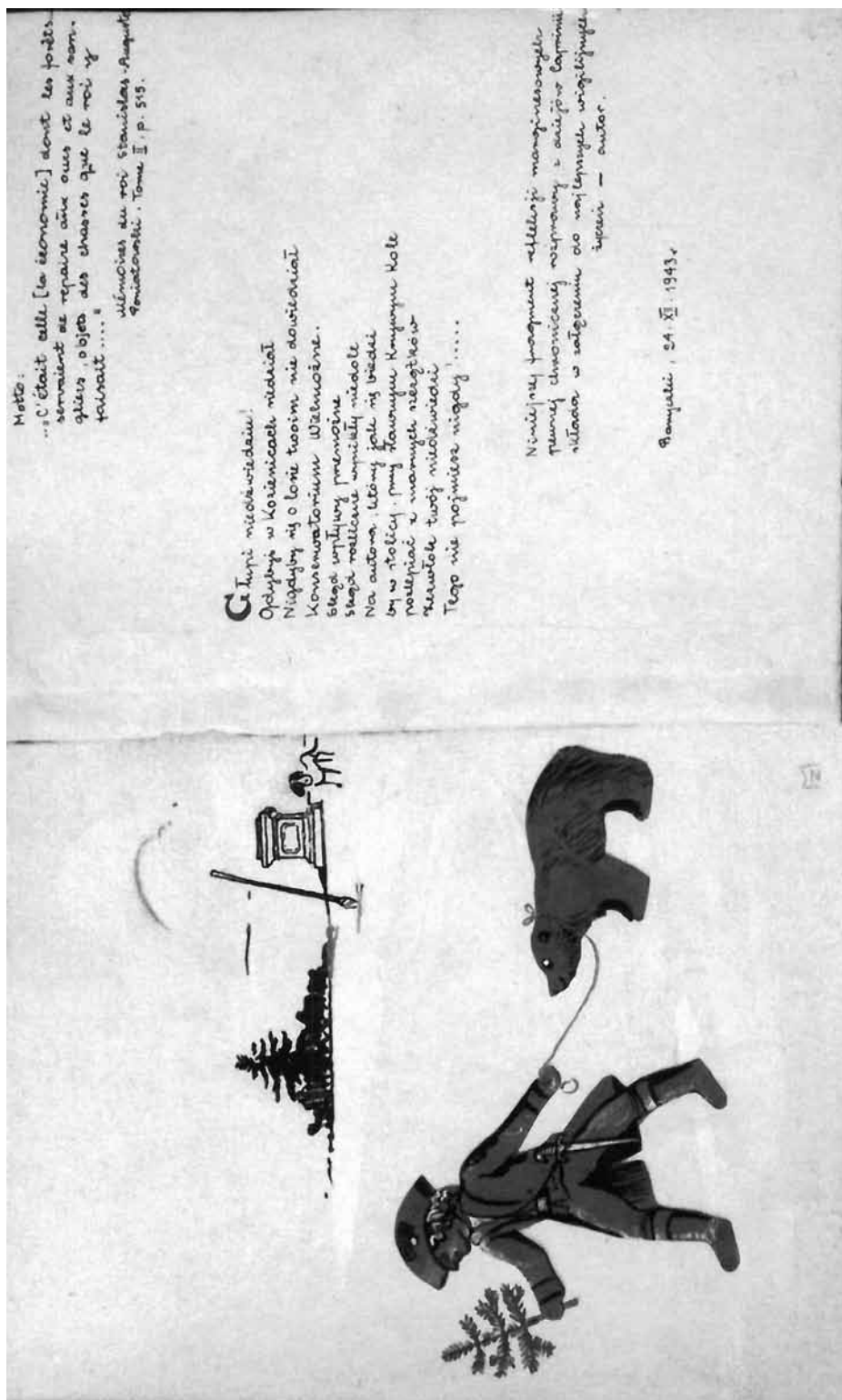


Od prawej - Izabela Stachowicz, pseud. „Czajka”, Stanisław Lorentz - w trakcie akcji odzyskiwania dzieł sztuki po II wojnie światowej



Wydział Filozoficzny U.W. 1945 Siedzą w środku
 Kotarbiński, Michałowski, Antoniewicz, na stojąco
 z lewej strony Tatariewicz, z prawej - Stonicki
 Ja między stojący od lewej, obok mnie Ossowski

Pracownicy Wydziału Filozoficznego UW w 1945 roku, na zdjęciu widoczni m.in. T. Kotarbiński, W. Tatariewicz, K. Michałowski, W. Antoniewicz, S. Ossowski, S. Lorentz



Noto:

...C'était elle [la économie] dont les profits
servaient au repaire aux ours et aux ren-
glés, objet des chasses que le roi y
faisait....
Mémoires du roi Stanislas Auguste
Poniatowski. Tome II, p. 515.

Ci Tytuł nieokreślam!
Opisy w koźmicach nie miał
Nigdyby się o łowę tużim nie dowiedział
Konwentorium Waleczne.
Słoga wpijany pamiółki niedole
Na autors. Ułomy żółci się bracie
by w stolicy. Pomy Kamyjku Kamyjku kole
należniać z mamiych nieogtkow
Kawalek twój nieokreślam!
Tępo nie pojmuje nigdy!....

Niniejszy fragment dotyczy mami-nerwowej
pomy chronionej wzmowy i dziejów Łopimii
Włosa w zakresie owo wpijanych wpijanych
iżewi — autor.

Pomyjaki, SA XI 1943 r.

Rysunek i wiersz Zygmunta Mierchowskiego, historyka sztuki, ucznia Stanisława Lorentza, zmarłego 25 września 1944 wskutek ran odniesionych podczas powstania warszawskiego



Stanisław Lorentz z Krystyną i Kazimierzem Michałowskimi, Wilanów ok. 1946 roku



Stanisław Lorentz z Marią Ossowską



Święty domy z lewej amb. Dominis i żony, obok József z Alinką



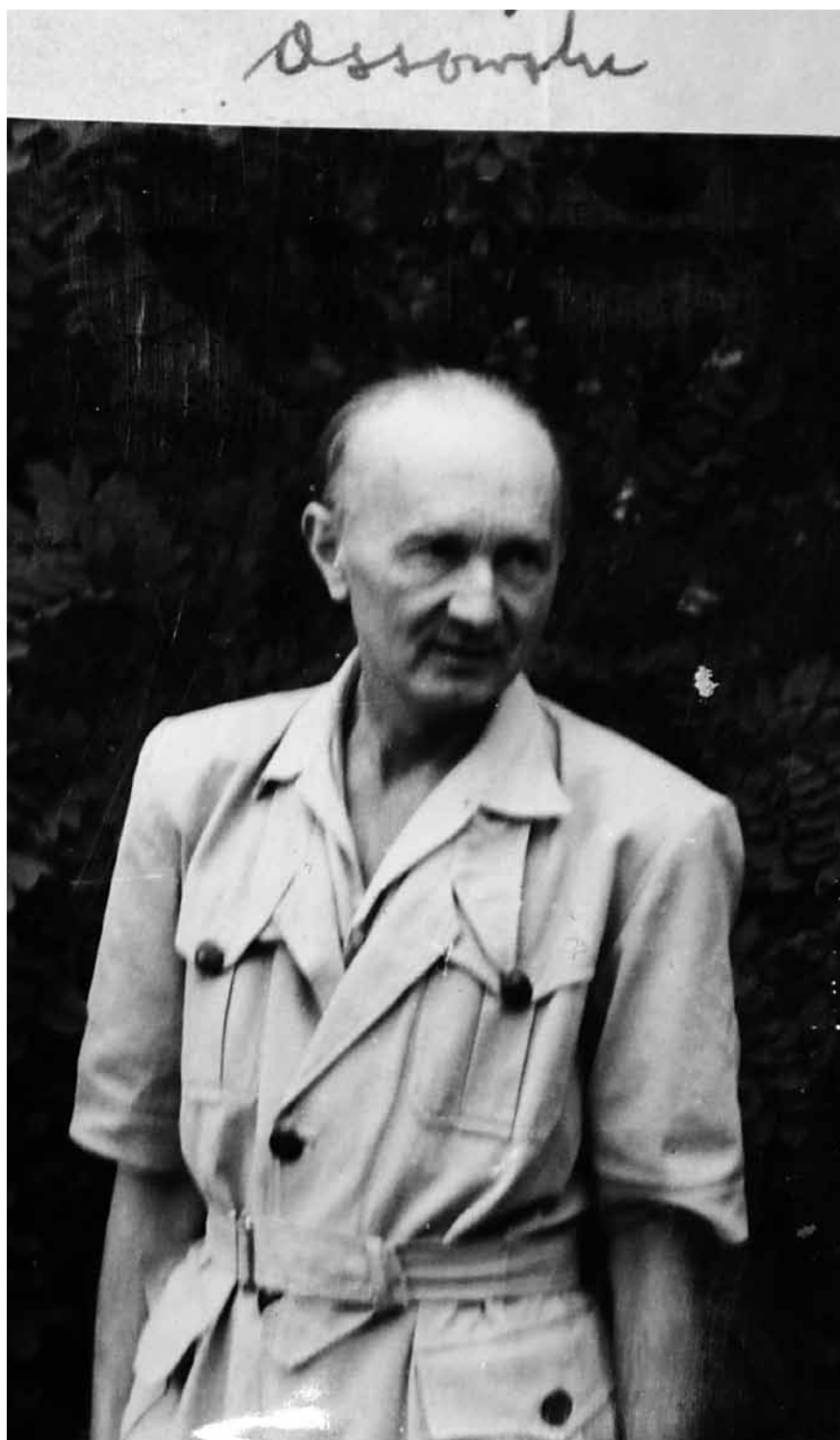
Wjazd z Rudnika na Śląsku
 w maju 1945 - z grupą
 starszy pwr. Belsa Czajka i jego
 fot. Zachwatowicz

Stanisław Lorentz, Jan Zachwatowicz i Izabela Stachowicz, pseud. „Czajka” - wyjazd z Rudnika na Śląsku, 1945 r.



Irena i ja
ja z Ireną
Sopoty, pięć lat
po wojnie

Stanisław Loretnz z córką Ireną w Sopocie, tuż po wojnie



Stanisław Ossowski



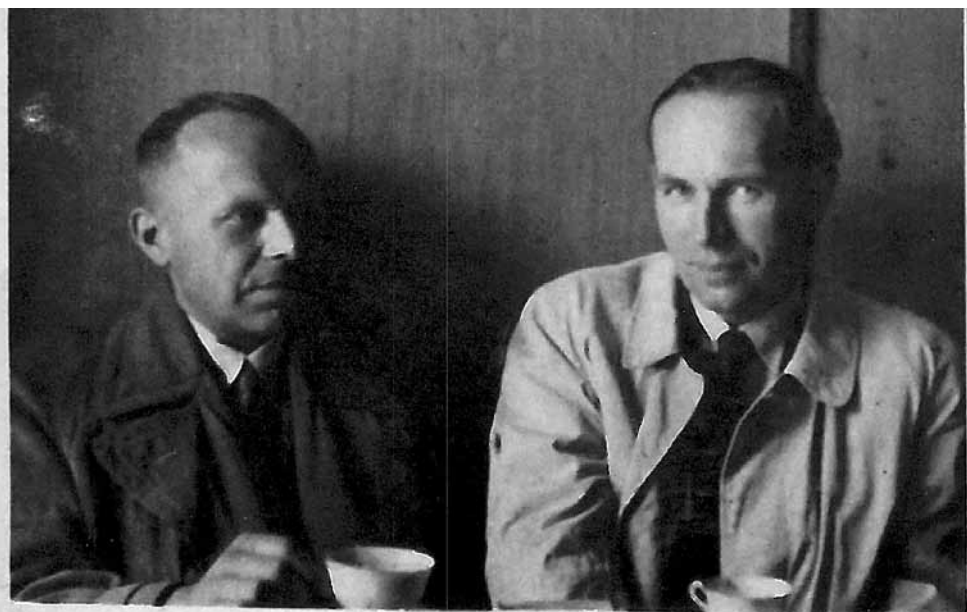
Stanisław i Irena Lorentzowie z córkami - starszą, Ireną, i młodszą, Aliną

Itazy budrys swych synów, tegich jak sam diturnow
 Do murawu przysypion i mrena:
 Weciu auta guchoty, tra sie wiazę do roboty;
 Mchaj jaden mi z was nie reuere.
 Do mowion w Wawrowie, że czas minae sie, rwarow
 Kto chce rbiory odepkaie stracone.
 Jan nich słaske poradę, Michal gdańskie sapiady
 Szawcio z Michim nakadnie Sautony
 Wyciee bracy i rdoma: jednie sturije knjow,
 Murednie powadze was Bogi!
 Ja tym mrem nie jady, bez jadczym dam sadz:
 Lemnyk aut nich nie rniszow, wam wozę.
 Szady pilnie bue musi, nich go liho nie busi.
 Mchaj ruzkie nie patroy na boki;
 Mchaj wylawia obray, nich odchodre rakary
 I do ala kimej swa koki.
 Sata dawny przestroze, blagostawie na drozy;
 Oni wudli, gylt wozich potygl.
 Jdnie jaden i rima, synow niema i niema:
 Jani tra myslal, że w rucie potygl.
 * * *

Jedne porozę r dala
 Jednie pety i rwarę
 Jan maredy in cucha
 Ma minach Wawrowę
 Jednie jaden i drozy
 Wierne rbiow rebrone.
 Jednie wozich ich dazy.
 Drowo wycie kochani!
 Szady rajardroja,
 Wozę tyje rlobowę
 Ze ai muryj petyja!
 I mikt tegor nie rliczy.
 Druś na lawe Wawrowę
 Wyciee rbiow rucyony
 I wspanialej wycyony
 Ma minach Wawrowę
 Ala



Stanisław oraz Irena Lorentzowie, Irena Lorentzówna i Danuta Rdultowska



Z Janem Zachwatowiczem
w Kawiarni „Moja maleńka” około
1941-42

Stanisław Lorentz z Janem Zachwatowiczem w kawiarni „Moja maleńka”, około 1941-1942,
podpisy atramentem pod fotografiami ręką St. Lorentza

KONSERWATOR STANISŁAW LORENTZ NA WILEŃSZCZYŹNIE – PRZYCZYNEK

Zespół dokumentów oznaczonych wspólną sygnaturą F22 w archiwum Ministerstwa Kultury Litwy zawiera 260 teczek, a materiały w nich uporządkowane¹ dotyczą działalności kolejnych wojewódzkich konserwatorów zabytków: historyka sztuki prof. Jerzego Remera (od 1922 roku; w styczniu 1929 roku odszedł z Wilna do Warszawy na stanowisko radcy, a od 1930 roku był Generalnym Konserwatorem w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego), dra Stanisława Lorentza (styczeń 1929 – sierpień 1935), dra Ksawerego Piwockiego i dra Witolda Kieszkowskiego, który stanowisko to piastował do wybuchu wojny. Zakres ich obowiązków łączył obszar dawnych województw wileńskiego i nowogródzkiego.

Każda teczka zawiera od kilku do stu kilkudziesięciu dokumentów dotyczących ochrony konserwatorskiej jednego obiektu (kościół, pałac, zespołu miejskiego) lub wielu interwencji drobnych (kapliczki, bramy parkowe, drzewa „sędziwe”), albo jednego zagadnienia (np. rejestry decyzji o nadaniu obiektom statusu zabytku). Szczególnie interesowały mnie dokumenty związane z działalnością Stanisława Lorentza, mojego Ojca – lecz oczywiście w wielu wypadkach kontynuował on prace zainicjowane jeszcze przez Jerzego Remera, a dalszy ich ciąg trwał czasem do wojny. Materiały z tych teczek nie obejmują wszystkich robót, będących w gestii konserwatorów. Zespół F22 zawiera głównie papiery dotyczące prac interwencyjnych i inwentaryzacyjnych. Zaś dokumentacja działalności z góry zamierzonej i ujmowanej w ramy budżetu może znajduje się jeszcze (o ile akta nie uległy zniszczeniu) gdzieś w innych zespołach, obejmujących plany i sprawozdania Urzędu Konserwatorskiego (na przykład w Litewskim Archiwum Akt Nowych na wileńskim Antokolu, są tam niektóre rachunki prac konserwatorskich, gromadzone w wydziale Robót Publicznych). Istniała owa szersza dokumentacja – świadczą o niej na przykład odwołania w zespole F 22 do składanych wcześniej planów finansowych (gdy na przykład Lorentz starał się o kredyty dla walącej się cerkwi w Nowogródku, wspominał, że nie mógł ująć ich wcześniej w budżecie, gdyż tylko jedną większą pozycję mógł wstawić z Nowogródka – wybrał zamek).

¹ Uporządkowała je, skatalogowała i z wielką życzliwością udostępniła kustosz Archiwum, pani Maria Dakszewicz.

Gdy się sięga po latach do teczek konserwatora, uderza najpierw szeroki zakres spraw, które wtedy znalazły się w jego gestii. Architektura, pamiątki, gaik, drzewa, obrazy, cmentarz, drobne rekwizyty przeszłości... A także niezliczona liczba konfliktów oraz wielka miara przemyślności i nieraz brawury jaką trzeba było wciąż przejawiać, by cokolwiek ocalić. Opieka nad zabytkami była często mało skuteczna z przyczyn prozaicznych: braku pieniędzy i ustaw, które zapewniałyby realną możliwość wzięcia zabytków pod ochronę. Istniało tylko Rozporządzenie Prezydenta RP z 14 marca i 6 kwietnia 1928 roku o opiece nad zabytkami (nie dotyczyło tego, co dziś nazywamy zabytkami przyrody), i było ono wciąż przez Lorentza wykorzystywane, w sposoby wyraźnie rozszerzające jego zakres. Przede wszystkim w obrębie samego pojęcia „zabytek” – w mniemaniu Lorentza obejmowało ono znacznie więcej, niż przyznawały to inne strony zainteresowane. Dochodziło na tym tle do utarczek nawet z zaprzyjaźnionym Konserwatorem Generalnym Jerzym Remerem, przekonującym, że coś co przychodzi z końca wieku XIX jeszcze „nie jest zabytkiem”.

Petycje dotyczące kredytów, kierowane do Ministerstwa, choć trafiały na biurko bardzo życzliwie reagującego Jerzego Remera, spotykały się niemal zawsze z poparciem moralnym i jednoczesną odmową w sprawie przyznania finansów. Wyjątki były nieliczne: to przede wszystkim wymuszenie przez Lorentza dodatkowych kwot na renowację ruin trockiego zamku oraz szerokie otwarcie kasy państwowej w momencie odkrycia grobów królewskich w Katedrze wileńskiej².

W tej sytuacji bardzo wiele zależało od energii i pomysłowości konserwatora wojewódzkiego. Rozpoczął od zdecydowanego ustalenia swej pozycji wobec władz magistrackich. Już 6 kwietnia 1929 roku wyszło z Urzędu Wojewódzkiego pismo podpisane przez Wojewodę do Prezydenta miasta Wilna, którego brudnopis (z podpisem Wojewody) jest napisany ręką Lorentza. Żąda się w nim – obok konkretnej interwencji – „polecenia przestrzegania przepisów”, polegających na nie podejmowaniu jakichkolwiek robót do czasu „uzyskania na nie zezwolenia władzy konserwatorskiej”. Kolejne pismo w tej sprawie zostało wysłane do Magistratu 28 marca 1930 roku i wreszcie (znów – pisane przez Lorentza, sygnowane przez Wojewodę) 15 kwietnia 1930 roku do Prezydenta miasta. Tym razem w tonie o wiele bardziej kategorycznym. Oto na Bakszcie rozpoczęto roboty kanalizacyjne, w trakcie których natrafiono na kanał z XVII w. – nie powiadomiono o tym; a „w ogrodzie na terenie b. zamku dolnego [...] odkryto część fundamentów zamku i rozbito je bez wiedzy i aprobaty konserwatora”. Konkluzja: „W związku z powyższym proszę Pana Prezydenta: 1. O polecenie niezwłocznego nadesłania Urzędowi Wojewódzkiemu programu robót ziemnych (zwłaszcza kanalizacyjnych), które będą prowadzone w roku bieżącym; 2. O polecenie zawiadamiania konserwatora o rozpoczęciu poszczególnych robót; 3. O polecenie pouczenia kierowników, dozorców

² Obie te sprawy zostały opisane w książce Roberta Jarockiego *Rozmowy z Lorentzem* (1981) oraz Stanisława Lorentza *Album Wileńskie* (1976).

robót i robotników, że w razie natrafienia w czasie robót na dawne mury itp. należy niezwłocznie zawiadamiać o tym <...>, wykopaliska zaś i znaleziska przechować do czasu wydania dyspozycji przez konserwatora; 4. O polecenie zawiadamiania przedsiębiorców, prowadzących roboty ziemne dla Magistratu, o obowiązku informowania konserwatora” (teczka 78).

Ustawicznym molestowaniem i gwałtownymi protestami Lorentz doprowadził do tego, że – zanim nawet został ustalony rejestr zabytków – na terenie Wilna nie sposób było rozpocząć żadnych remontów ani prac ziemnych bez zgody i nadzoru konserwatora.

Szukał także innych możliwości dla ratowania zabytków. Apelowal do właścicieli dóbr, w których konieczne były remonty. Wymuszał dbałość o zachowanie tradycyjnej architektury żydowskiej, staczając boje z kupcami; żądał – w zamian za pewne ustępstwa – wyasygnowania kwot na utrzymanie i konserwację przynajmniej elewacji. Z różnym powodzeniem odwoływał się do władz miejscowych, starostów i wójtów. Zdarzało się, że sabotowali oni konserwatorskie zarządzenia, wyraźnie trzymając stronę właścicieli, pragnących pozbyć się uciążliwych „pamiątek”; gubili więc dokumenty i nakazy, odwlekali moment ich wykonania. Byli jednak i tacy właściciele i starostowie, którzy sami domagali się interwencji w obronie miejscowych zabytków. Wśród prac, które Lorentz uznał za priorytetowe, można wymienić przykładowo (przykładowo – gdyż odnaleziona dokumentacja nie jest kompletna) góry zamkowe w Wilnie, Nowogródku i Lidzie oraz zamek na wyspie w Trokach. Z prac przeprowadzanych w tych obiektach, jasno rysuje się ówczesny pogląd Lorentza w kwestii konserwacji ruin: zachować, umocnić i ochronić przed dewastacją stan aktualny – ale nie rekonstruować budowli już nie istniejącej. Ku temu zmierzała jego opieka nad ruinami zamków w Nowogródku, Trokach, Lidzie i na Wileńskiej Górze Zamkowej³. Wyłożył swe opinie na ten temat przy podejmowaniu decyzji, dotyczącej zamku w Krewie (teczka 172). Po otrzymaniu raportu i zbadaniu stanu ruin, pisze Lorentz: stwierdziłem, iż „rekonstrukcja zamku [...] byłaby niewłaściwa z punktu widzenia konserwatorskiego, a nierealna ze względu na znaczne koszty odbudowy”, natomiast „konserwację ruin zamku uważam za sprawę bardzo pilną”, w związku z czym podawał niezbędne, konkretne polecenia. Dla uzyskania funduszy – popiera pomysł starosty, by wykorzystać w tym celu możliwość „uczczenia pobytu Pana Prezydenta Rzeczypospolitej na terenie powiatu oszmiańskiego przez zaopiekowanie się ruinami zamku w Krewie”. Gorącą interwencję wywołało natomiast w 1930 roku zamierzone „rozkopywanie lub rozsadzanie zamku na wyspie w Ikaźni”, zakazano i zobowiązano starostę Braślawskiego powiatu do polecenia posterunkowi policji powiatowej odpowiedzialności za nietykalność ruin (teczka 147). Nieuchronne były tu konflikty z użytkownikami tych terenów, władzami ad-

³ Dokumenty dotyczące ochrony Góry Zamkowej w Wilnie znajdują się w różnych tezkach, między innymi w tezkach 36, 190, 197.

ministracyjnymi lub wojskowymi. Na przykład starosta lidzki nie chciał zgodzić się na zmianę przeznaczenia „dziedzińca zamku Gedymina w Lidzie [który] od dłuższego czasu służy za boisko sportowe [...] wobec powyższego proszę o wyrażenie zgody na pozostawienie strzelnicy na boisku zamkowym” – oczywiście go nie otrzymał (teczka 34).

Priorytetowe miejsce zajmowało budownictwo sakralne. Wobec wielkiej ilości kościołów i z reguły opłakanego ich stanu po czasach zaborów i zniszczeniach wojennych, niesposób było wszystkiemu poddać, tym bardziej, że były to roboty szczególnie kosztowne. Fundusze państwowe, składki parafian na prowincji – wciąż były braki, wciąż niewielu gruntownym remontom towarzyszyło tymczasowe zaradzanie złu, dokonywanie najpilniejszych zabezpieczeń.

Przywracano kościoły dawnym właścicielom, co wiązało się z koniecznością wykonania ekspertyz i remontów. Przytoczmy przykładowo trochę informacji, obrazujących sprawę kościoła Franciszkanów w Wilnie. Po wojnie stał się własnością magistratu, który przeznaczył gmach na pomieszczenie Archiwum Państwowego. Od kwietnia 1929 Urząd Konserwatorski starał się o przeprowadzenie gruntownego remontu oraz o usunięcie z terenu kościoła archiwum.

6 kwietnia 1929 w liście skierowanym do Prezydenta Wilna Lorentz interweniował: „w końcu marca b. r. wybito drzwi w skrzydle b. Klasztoru Franciszkanów przylegającym do kościoła, dn. 5 kwietnia zaś rozpoczęto burzenie muru przed fasadą tegoż kościoła. W związku z tym proszę Pana Prezydenta ze względu na wyjątkową wartość zabytkową b. Kościoła Franciszkanów i kompleksu budynków, z nim związanych – o polecenie niezwłocznego wstrzymania wszelkich prac budowlanych na terenie b. klasztoru i cmentarza do czasu przedstawienia programu robót i uzyskania na nie zezwolenia władzy konserwatorskiej”.

Sprawa przeciągała się, dokumentów przybywało, ale podjęcie ostatecznych decyzji nastąpiło dopiero w 1933 roku. 27 lutego odbyło się w Urzędzie Wojewódzkim zebranie komisji w sprawie oględzin kościoła (uczestnicy: dyr. W. Studnicki, p. Rosiak, inż. Markiewicz i protokołujący konserwator Lorentz). „Komisja rozpoczęła badanie stanu kościoła od sklepienia w lewej nawie bocznej, na którym pojawiły się rysy, powiększające się w szybkim tempie. [...] Przyczyną tego jest wielokrotne zamakanie sklepienia wskutek złego pokrycia dachu. Komisja uznała, że należy niezwłocznie usunąć akta archiwalne, znajdujące się na półkach pod zagrożonym sklepieniem i podstemplować to sklepienie, po czym należy odbić tynki dla zbadania gruntowniejszego rysy i przystąpić do remontu. Następnie Komisja dokonała oględzin całego gmachu i stwierdziła, że stan gmachu uważać należy za bardzo zły, zagrażający bezpieczeństwu. [...] Komisja uważa, że w bieżącym roku należy bezwzględnie albo przeprowadzić gruntowny remont gmachu, albo przenieść Archiwum do innego lokalu. Komisja zaznacza, że remont dotychczasowego gmachu Archiwum wymagać będzie stale wzrastających sum do czasu gruntownej odbudowy.

Zdaniem Komisji byłoby bardziej celowe i ekonomiczniejsze przeniesienie Archiwum z gmachu kościoła, niż wkładanie bardzo poważnych kwot w remont”.

Tym razem jak widać interwencja odniosła skutek, co potwierdza notatka odręczna Lorentza z lipca 1933 r.: „Remont był przeprowadzany w porozumieniu z Wydziałową Komisją Budowlaną: skarpa narożna, dachówka, szczyt fasady, pokrycie dachówką kopuły kaplicy”. Przygotowanie do zwrotu gmachu Franciszkanom poprzedziło jeszcze, dokonane na wniosek Lorentza, zbadanie gmachu „pod względem zabytkowym”, do czego należało uzyskać pomoc saperów, co jak stwierdził Studnicki „nie będzie trudne wobec obywatelskiego stanowiska naszej armii” (teczka 29).

„Karta Służbowa” kierowana przez Lorentza do Komisji Budowlanej 24 sierpnia 1934 roku wskazuje, że przekazanie gmachu Franciszkanom miało mieć miejsce w najbliższych dniach. Kolejne zezwolenie na prace remontowe (z 17 czerwca 1935 roku) wspomina już o nich jako o właścicielach. Tym razem dotyczyło pokrycia spływów blachą miedzianą, naprawy tynków zewnętrznych ścian kościoła i kaplic (z wyłączeniem fasady), remontu pokrycia dachówkowego (z tym, że należy zastosować przy remoncie wyłącznie dachówkę tego typu, jaką kościół jest kryty, tzw. wileńską), zalecenie pokrycia blachą ołowianą lub miedzianą gotyckiej wieżyczki. Jednocześnie Urząd Wojewódzki „zastrzega, że na odnowienie fasady winni OO. Franciszkanie uzyskać dodatkowe zezwolenie”, „nie zatwierdza projektu krzyża na szczycie kościoła, jako skomponowanego w sposób nie wiążący się z zabytkową architekturą kościoła”, wstrzymuje decyzję co do zamurowania okien „do czasu odbicia tynków i zbadania okien przez konserwatora łącznie z architektem miejskim”, „zastrzega, że malowanie ścian kościoła może nastąpić dopiero po przedstawieniu prób kolorów i zatwierdzeniu przez konserwatora”.

Przykład starań o remont kościoła Franciszkanów wskazuje, jak bardzo pomocne były tworzone *ad hoc* komisje konserwatorskie, oceniające potrzebę, zakres i wykonanie planowanych prac. 22 listopada 1933 roku na wniosek Ministerstwa została powołana przez Wojewodę współdziałająca z konserwatorem wojewódzkim stała Okręgowa Komisja Konserwatorska. Jej członkami zostali: Ferdynand Ruszczyc, Ludomir Śledziński, Marian Morelowski, Piotr Śledziwski, Michał Brensztejn, Jerzy Hoppen, Stefan Narębski, Jan Borowski. Wojewoda nowogrodzki delegował do Komisji inż. Józefa Żmigrodzkiego. (Protokoły z zebrań do roku 1939 znajdują się w teczce nr 2.)

Kościół potrzebowały nie tylko remontów, lecz czasem także pomocy nietypowej. Teczka dotycząca kościoła św. Piotra i Pawła na Antokolu obejmuje różne dokumenty z lat 1923–1939. Znajdują się między nimi obok spraw remontowych także informacje o interwencjach doraźnych. Oto proboszcz ks. Zawadzki występuje do magistratu i do konserwatora ze skargą na to, że na placu przed kościołem „zaczęło prawie co dzień odbywać swe ćwiczenia wojsko piesze, artyleria i kawaleria”, a nadto „od tej wiosny przyszły targi co wtorek i piątek, jakby umyślnie posunięte

prawie pod samą bramę kościelną”. Zgodnie z wnioskiem proboszcza 17 listopada 1930 roku Lorentz podjął interwencję w sprawie zaniechania manewrów wojskowych, a także odsunięcia usytuowanego przy nim targowiska – by powstrzymać tumany kurzu, wzbijane przez wojsko i przez handlujących, które „zapylały elewację” oraz przedostawały się do wnętrza kościoła, osiadając na delikatnych stiukach. Interwencja odniosła skutek – zarząd miasta postanowił urządzić na tym miejscu skwery, sprawa wymagała jednak uzgodnień i finansów, tak, że kwestia zatwierdzenia projektów pojawia się jeszcze w pismach z 1933 i z 17 czerwca 1935 roku; konserwator, aprobując projekt skweru, nie wyraził zgody na projektowane „usuwanie części muru wraz z bramą przed kościołem, ze względów konserwatorskich nie mógłby zostać zaaprobowany, gdyż narusza zwarty i jednolicie skomponowany kompleks zabytkowych zabudowań” (teczka 32).

Przez wiele lat prowadzono sprawę odnowienia świątyni Ostrobramskiej. Wciąż brak było pieniędzy. Dla ich zgromadzenia wykonano m.in. 13 800 różnej wielkości reprodukcji cudownego obrazu. Po sporządzeniu kosztorysu zdarzyła się rzecz dość wyjątkowa: gdy Lorentz przesłał go w maju 1929 roku do Ministerstwa z prośbą o zatwierdzenie, gdyż miejscowi rzemieślnicy z zawiści twierdzili, że został zawyżony – w odpowiedzi MWRiOP⁴ z 12 czerwca 1929 roku znalazło się stwierdzenie, że uznano „sumę 150 000 zł, obejmującą całość odnowienia kościoła Św. Teresy, za bardzo przystępną, a nawet przy szczegółowym rozpatrzeniu poszczególnych pozycji za nasuwającą wątpliwości, czy nie jest zbyt niską”. Jedyny to taki przypadek – ale można zauważyć, że Urząd Wojewódzki (czyli konserwator) ogromnie dbał o właściwe wydatkowanie pieniędzy: wszelkie przyznawane fundusze wypłacał niewielkimi ratami, zawsze dopiero po rozliczeniu z poprzednich wydatków.

Cóż jednak z tego, że uznano kosztorys za ekonomiczny, jeśli i tak brakło pieniędzy, remont ciągnął się latami, trzeba było najpierw rozebrać przybudówki, zasłaniające ściany kościoła, potem pod dozorem wielu Komisji odnawiano polichromie i wykonywano inne roboty (teczka 53).

Kilka tylko dokumentów dotyczy kościoła św. Ducha przy ul. Dominikańskiej. Jedna poważniejsza interwencja: notatka Lorentza, że „po zbadaniu przemalowań [w krużgankach kościoła – A. K.] zakomunikowałem ks. Kuleszy, że:

1. malarz, który podjął się restauracji, nie posiada do tego żadnych kwalifikacji i nie może dalej prowadzić robót;
2. należy niezwłocznie odczyścić wykonane przez niego przemalowania olejne (zarekomendowałem M. Słoneckiego);
3. dalsze prace mógłby prowadzić tylko specjalista”.

Gdy w 1935 roku Komisja sprawdziła stan kościoła, oceniono go jako dobry, pomniejsze sprawy uzgodniono z proboszczem.

⁴ MWRiOP – Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Z restauracją ściennych malowideł stale były kłopoty, nie tylko u św. Ducha. Zbyt mało było specjalistów (w Wilnie bodaj najlepiej wykonywali renowacje Kazimierz Kwiatkowski i wspomniany Marian Słonecki).

Obszerna dokumentacja dotycząca remontów przeprowadzanych w bazylice św. Jana znajduje się w Teczce 85. Gruntowny remont dzwonnicy, wyceniony w 1929 roku na 29 000 złotych, z braku funduszy nie został wtedy podjęty; nie pomogły szczegółowe uwagi powołanej we wrześniu 1930 roku Komisji, zapisane w protokołach. Potem „stan zachowania wieży tak się pogorszył, że spadające bloki tynku groziły bezpieczeństwu publicznemu, m. in. jeden taki blok przebił dach przyległego budynku uniwersyteckiego, a drugi omal nie spowodował katastrofy, rozbijając przy upadku wóz, przejeżdżający ul. Świętojańską” – pisał Lorentz do Ministerstwa 4 października 1933 roku. W 1932 roku ks. proboszcz Miłkowski ustawił rusztowania, ale z braku pieniędzy całkowity remont przeprowadził dopiero latem 1933 roku ks. kanonik Makarewicz. „Remont polegał na: pokryciu blachą miedzianą hełmu wieży, pokryciu blachą miedziowaną gzymsów i zmontowaniu na nowo pochylonego krzyża (wysokości 6 m), poprawieniu tynków, odremontowaniu gzymsów i kapiteli i pomalowaniu wieży. Kierownikiem robót był inż. arch. Jan Borowski”. Donosząc o tym Lorentz prosił Ministerstwo o przyznanie dla kościoła subwencji. Przyznano 500 zł. (przy kosztach remontu 15 000 – 20 000), a w 1934 roku dodatkowo 1 000 zł. na remont fasady (proboszcz z własnych środków przeprowadził w tymże roku częściowy remont przeciekających dachów nad kaplicami).

Niektóre remonty ciągnęły się w nieskończoność. Na przykład już Jerzy Remer w 1926 roku załatwił jakieś fundusze na remont kościoła Karmelitów Bosych w Starym Miadziolu, potem korespondencja w sprawie kolejnych dotacji trwała aż do 1939 roku. Szukano środków to na remont dzwonnicy, to przełożony Ignacy Bylica, stara się o subwencję dla przeprowadzenia „remontu tak na zewnątrz jako też wewnątrz” (teczka 86).

Często sytuacje były konfliktowe – gdy miejscowi proboszczowie zamiast kosztownej renowacji wewnątrz woleli je odnawiać bez zachowania dawnego wystroju. W myśl zarządzenia projekt każdej, najdrobniejszej nawet renowacji musiał być zatwierdzony przez konserwatora. Oczywiście, wiązało się to z dodatkowymi kosztami (wykonanie projektu), toteż często starano się ten przepis ominąć, szybko zrobić, co niezbędne. Do tych nielegalnych poczynań dawali się czasem wciągnąć starostowie. Na przykład z wysłanego 19 października 1929 roku telefonogramu Lorentza do starosty oszmiańskiego wiadomo, że to ów starosta wydał po cichu zezwolenie, by w Sućkowie (gmina Smorgonie) przy okazji budowy cerkwi rozebrać były kościół bazylikański – z motywacją, że i tak się sypie, cegłę można wykorzystać na szkołę rolniczą, a gruz na umocnienie drogi.

Zdarzało się, że zbijano stiuki czy pokrywano tynkiem stare malowidła, że najmowano niewłaściwych wykonawców do robót artystycznych lub kupowano

tańsze a niewłaściwe materiały budowlane. Wstrzymanie nielegalnych robót dokonywało się w tempie piorunującym. Na przykład 25 lutego 1931 roku Lorentz nie zatwierdził projektu restauracji cerkwi Borysoglebskiej w Nowogródku – z powodu 12 wyliczonych przezeń usterek projektu (niewłaściwe materiały, złe zabezpieczenia). Dalej toczyło się jak w innych podobnych przypadkach: protest władz cerkwi, Lorentz powołuje komisję, spór rozstrzygnięty na jego korzyść; mimo tego sporu oczywiście zabiega cały czas o subwencje na dalszy remont, który trwał jeszcze za czasów Witolda Kieszkowskiego (teczka 54).

W tamtych latach międzywojennych odkryto malowidła ściennie w kościele Bernardynów w Wilnie, które dopiero obecnie zostały w pełni odsłonięte. Zajmował się nimi już Jerzy Remer w 1925 roku, próbował pomóc w sprawie ich konserwacji Lorentz, a w 1934 roku zdecydował o wstrzymaniu zagrażającego im remontu przedsięwzięcia, który samowolnie rozpoczął ks. Jan Kretowicz (teczka 67).

W czerwcu 1931 roku odkryto piękne malowidła ściennie w kościele w Rykontach (teczka 175). Według sporządzonej przez Lorentza notatki zachowały się malowidła z trzech epok: „1. Z czasów budowy kościoła, jednolita polichromia koloru ceglastego (kościół wybudowany jako zbór kalwiński w połowie XVI wieku w stylu gotyckim), 2. z roku 1668, kiedy wojewoda trocki Marcjan Ogiński Rykonty ofiarował Dominikanom Trockim stację Męki Pańskiej, a w prezbiterium portret fundatora i jego żony, 3. z końca XVIII wieku – malowane ołtarze perspektywistyczne”. Ich odnowienie powierzono Kazimierzowi Kwiatkowskiemu.

Czasem dawała o sobie znać wyraźna nieufność wobec intencji i skutków działań konserwatora. Można ją odnaleźć np. w potrzebie wyjaśniania przez Lorentza, że uznanie kościoła za zabytek nie pociągnie za sobą niepożądanych konsekwencji: „wyjaśniam, że wciągnięcie zabytku do rejestru nie uprawnia nikogo do zwiedzania gmachów klasztoru bez specjalnego zezwolenia przełożenia klasztoru. Uznanie kościoła i klasztoru za zabytek oznacza, że kościół i klasztor posiada wartość artystyczną i historyczną i wskutek tego podlega opiece władz państwowych, poza tym uznanie za zabytek nie wyklucza bynajmniej możliwości dokonywania remontów”, pisał 19 czerwca 1934 roku do PP Benedyktynki. Po tym wyjaśnieniu praktyczne Benedyktynki szybko złożyły prośbę o subwencję (teczka 134). Gdy zaś w celu dokonania konserwacji miano przekazać na ręce Stanisława Lorentza „cudowny obraz” Matki Boskiej z kościoła w Borunach, najpierw upewniono się czy zostanie zwrócony. Według Lorentza obawy te były nieuzasadnione: „Urząd Wojewódzki zaznacza, że nie miał i nie ma zamiaru ani kwestionować tytułu własności obrazu, ani zakupywać go, zwłaszcza wbrew woli W. Księdza Proboszcza”. Wzięto go do konserwacji w listopadzie 1929 roku, zwrócono w grudniu. Tenże kościół miał poważne kłopoty z nieuczciwym malarzem Piotrem Żyngielem, który wziął zaliczkę i uciekł (podobno polecał go Lorentz – i wyegzekwował wykonanie prac); z kolei w 1939 roku restaurator Antoni Ciunowicz procesował się z tymże kościołem o należne mu a niezapłacone 3 900 złotych.

Różne bywały zatargi, ponieważ jednak zmierzające do ochrony zabytku intencje obu stron – Kościoła i konserwatora – zasadniczo były zbieżne, z reguły dochodziło do porozumienia (tym bardziej, że strona kościelna mogła liczyć na finansowe wsparcie, jeśli remont był dokonany legalnie).

Czasem kończyło się to relacjami wręcz serdecznymi, jak z wileńskimi wizytkami. W 1929 roku na wniosek przełożonej klasztoru, po zatwierdzeniu planu robót, otrzymały kilkakrotnie, w miarę posuwania się prac, subwencje na prace konserwacyjne (m. in. malowideł ściennych), łącznie co najmniej 3 000 złotych. Po tej dobrej współpracy wizytki przyzwyczały się zwracać do konserwatora z różnymi doczesnymi troskami; na przykład w listopadzie 1930 roku na ich prośbę interweniowano w urzędzie celnym o zwolnienie z cła 24 metrów jedwabiu do konserwacji zabytkowych kap i ornatów, co również zostało pomyślnie załatwione – o czym donosiła Przełożona klasztoru, tytułując list uroczo: „Łaskawy i Przewacny Panie Konserwatorze” (teczka 27).

Z kolei siostry bernardynki prosiły o interwencję w sprawie uciążliwego sąsiedztwa – oto kuźnia Józefa Mikulskiego, ulokowana w piwnicach klasztoru „niszczy mury i zmienia zewnętrzny wygląd klasztoru oraz niszczy fundamenta tegoż” (teczka 81).

Były jednak i takie sprawy, które mimo formalnego zwycięstwa kończyły się faktyczną porażką. Całkiem niejasna była na przykład sprawa zabytkowego, drewnianego kościoła w Pierszajach na Nowogródzczyźnie. Proboszcz rozpoczął budowę nowego kościoła i w związku z tym przedsięwziął rozbiórkę dawnego, który przeszkadzał i był już niepotrzebny. Konserwator wstrzymał budowę do czasu otrzymania deklaracji, że Komitet „zobowiązuje się do konserwowania drewnianego kościoła”, w myśl przywołanego rozporządzenia z 1928 roku, w którym ustalono, iż „osoby prawne kościoła katolickiego obowiązane są konserwować należące się do nich zabytki na koszt własny”. Po otrzymaniu tego zobowiązania budowa ponownie ruszyła w końcu lutego 1932 roku. Zatem: zwycięstwo? – niezupełnie, bo do teczki dołączono wycinek z gazety z maja 1933 roku, informujący, że z nieznanych przyczyn spalił się doszczętnie „stary drewniany kościół katolicki w Pierszajach”.

Porażką skończyła się też sprawa kapliczki, stojącej w miejscowości Rohotna w powiecie słonimskim. Prośbę o interwencję zgłosiła w 1934 roku była właścicielka tego terenu (który przeszedł na własność włościan), pani W. Rojcewiczowa. Wskutek wydobywania spod kapliczki żwiru przez chłopów, groziło zawalenie; „runęła już część niedawno i gdyby nie legenda, że kto weźmie cegłę z niej – umrze, dawno by jej nie było!”. Po interwencji wójt stwierdził autorytatywnie, że nie stanowi żadnego zabytku historycznego, w piśmie do Lorentza z 30 czerwca 1934 roku dodawał, że „obecnie takowa przedstawia kawał gruzu – część, która runęła z początkiem wiosny b.r. i leży jako gruz w jamie skąd był wybierany piasek – jako żwir dla naprawy dróg”. Cóż z tego, że 31 sierpnia starosta wydał jej resztki (teczka 13).

Podobny konflikt z miejscową władzą trwał przez lata w sprawie kaplicy zamkowej w Holszanach, na terenie należącym do Rosjanina Jagmina. Już za Remera interweniowano, że w kościele zrobił oborę, a w kaplicy skład rupieci; starosta wciąż bronił właścicieli, zaręczał, że kaplica jest pusta i właściwie bez zabytkowej wartości – są w niej tylko resztki fresków. Ale jeszcze w marcu 1933 roku donoszono, że „w b. kaplicy zamkowej w Holszanach p. Jagmin urządził chlew i trzyma świnie. Urząd Wojewódzki prosi p. starostę o polecenie sprawdzenia, czy istotnie informacja ta odpowiada prawdzie i w tym wypadku na zwrócenie właścicielowi uwagi na niewłaściwość profanowania zabytku. Jeśliby właściciel nie zechciał dobrowolnie usunąć chlewu z kaplicy [...] (teczka 30).

Zupełnie inaczej miała się sprawa z zespołami miejskimi – w Wilnie, Nowogródku, Nieświeżu, Dereczynie. Starania konserwatora, zmierzające do zachowania stanu istniejącego w zabytkowych zespołach stały w jaskrawej sprzeczności z interesami mieszkańców, przede wszystkim kupców, pragnących unowocześnić swe lokale. Trudniej niż na wsi było czynić to niepostrzeżenie, toteż stale zapadały wyroki o natychmiastowym wstrzymaniu robót, przypomniano nakaz przedstawienia planów najmniejszych nawet zmian w elewacjach budynków do zatwierdzenia konserwatorowi.

Wśród interwencji konserwatorskich większość dotyczyła subwencji na remonty (tu zasięgano rad u S. Narębskiego, architekta miejskiego), a także opiniowania przeróbek, wprowadzanych z okazji remontów. Wielka 22, Wielka 43, Zawalna 5, Mała Pohulanka 1, Bosackowa 3, Świętojańska 1, Skopówka 4... (teczka 56). Oto parę typowych decyzji: Konserwator „nie wyraża zgody na zamianę starego muru na ogrodzenie ażurowe w podwórku domu miejskiego przy Zaułku Franciszkanów 7” (24 lutego 1930 roku); przy ul. Końskiej 1 „Urząd Wojewódzki” (tak tytułował się konserwator przy decyzjach, które mogły być oprotestowane) nakazywał: „wprowadzenie facjat i wybicie okna w tympanonie [...] jest ze stanowiska konserwatorskiego niedopuszczalne. Ponadto Urząd Wojewódzki uważa za niepożądane daleko idące zmiany charakteru elewacji”; do ks. Sawickiego z Wileńskiej Kurii Metropolitalnej: „przy ul. Zamkowej 14 zabytkowa brama ma być odnowiona ze specjalną starannością, a mianowicie: 1. należy oczyścić i odrestaurować ornamenty fryzu, nie zmieniając ich rysunku; 2. należy odtworzyć pilastry po obu stronach bramy według szablonu, sporządzonego na podstawie zachowanych resztek pilastru; 3. słupki, zabezpieczające bramę, wykonać należy z kamienia”.

Gdy nie słuchano nakazu wstrzymania budowy – wówczas w porozumieniu z konserwatorem na teren wkraczała policja, usuwająca robotników (było tak np. 17 lipca 1934 roku przy ul. Wielkiej 31), lub wstrzymywano je z urzędu – np. roboty gimnazjum przy Ostrobramskiej 8, gdzie według urzędnika Giżyckiego dodatkowo „na dyrektora gimnazjum zostało zapisane doniesienie za prowadzenie remontu bez zezwolenia”.

W latach 1934–1935 przysłała kolej na usuwanie szpecących miasto sztyldów. Do ostrych spięć doszło np. w Nowogródku. Lorentz uznał za zabytek: 1. hale targowe, 2. rynek jako całość, 3. dzielnicę staromiejską. Gdy samowolnie powiększono drzwi w tzw. Pałacu Radziwiłłowskim, musiano przywrócić im poprzednie rozmiary; gdy mimo polecenia właściciele hal nie przystąpili w terminie do remontu – opieczęto je, zdjęto pieczęcie dopiero po wyegzekwowaniu wszystkich zarządzeń.

Czasem doprowadzano do ugody – za cenę prawidłowej konserwacji wyglądu zewnętrznego otrzymywano ustępstwa w sprawach przeróbek wewnątrz. Zakres interwencji obejmować mógł wszystko – od planu całości po ponaglenia w sprawie szpecącego ulice kiosku tytoniowego. Także – zakazu dalszego malowania tylnej ściany domu przy ul. Garbarskiej 4 (telefonogram, z dopiskiem „b. pilne!”), usunięcia szpecącego sztyldu z obrębu „labiryntu ulic Getta”, zakazu wymiany starego muru przy Zaułku Franciszkanów 7, zachowania wymogów staranności przy odnawianiu bramy przy ul. Zamkowej 14.

Z kolei spory z wojskiem dotyczyły głównie niewłaściwego wykorzystywania budynków (jeszcze Remer starał się o wykwaterowanie Wojskowego Więzienia Śledczego z pałacu Słuszków w Wilnie) oraz dewastacji terenów, zajętych na potrzeby armii. Już w 1923 roku Remer protestował w związku z odstąpieniem przez proboszcza katedry, ks. Adama Sawickiego, terenu tzw. Altarii Jasińskiego pod boisko dla żołnierzy, potem pisał do dowódcy Obozu Warownego w Wilnie, że w kompleksie Góry Trzykrzyskiej i Zamkowej kopie się okopy nie dla robót fortyfikacyjnych, jak było mówione, lecz dla ćwiczeń wojskowych, co niszczy Górę; przez kilka lat oprotestowywało sprawę Towarzystwo Miłośników Wilna. Potem ks. Sawicki wynajął teren Góry magistratowi z przeznaczeniem na park, potem w Altarii pan Dłuski postawił szpecącą altankę – wciąż spierano się o te atrakcyjne tereny, położone w centrum miasta. Jednym z ostatnich posunięć Lorentza na stanowisku konserwatora był wniosek o rozebranie wybudowanej przez Melanię Dłuską „z żelaza, betonu i szkła altanki”, która „zszpeciała bardzo poważnie jeden z najwspanialszych krajobrazów Wilna”; w 1936 roku zatwierdzono wniosek o rozbiórcę.

Spory z wojskiem wymagały odrębnej taktyki, jako że armia deklarowała swą dobrą wolę, tyle że dowództwo lekceważyło wszelkie polecenia. Nie sposób było zmusić wojsko do opuszczenia ani wyremontowania zajętego przez armię klasztoru w Berezweczu; dopiero zapowiedź przyjazdu Prezydenta sprawiła, że poproszono pilnie o konsultacje, remontowano, zachował się nawet wypisany przez Korpus Ochrony Pogranicza imienny „rozkaz wyjazdu na przejazd PKP” dla Lorentza.

Sporadyczne przypadki nadawania różnym obiektom statusu zabytku były fragmentem przygotowań wielkiej akcji, rozpoczętej w r. 1930 a ukoronowanej w 1933 roku powstaniem ich rejestru na terenie Wilna. 7 lipca 1930 roku Ministerstwo WRiOP przekazało kwotę 4 500 złotych na utworzenie biura inwentaryzacyjnego, potem pieniądze na ten cel przesyłano regularnie.

Zachowało się wiele szczegółowych rozliczeń (teczka 16). 1 czerwca 1933 roku Jerzy Remer w imieniu Ministerstwa przysłał list z zaleceniem, by tę inwentaryzację przeprowadzili „bezrobotni architekci i inni specjaliści”, co będzie miało znaczenie „nie tylko humanitarne, lecz może sprawie naukowej inwentaryzacji przynieść znaczne korzyści”; prosił w związku z tym o „wykaz bezrobotnych architektów i historyków sztuki, którzy mogliby podjąć się pracy inwentaryzacyjnej za wynagrodzenie 150-200 zł miesięcznie. Studenci i posiadający jakiegokolwiek zajęcie stale nie wchodzi w rachubę”. Kłopot w tym, że kwalifikowanych bezrobotnych nie było; 7 czerwca pisał Lorentz: „historyków sztuki w Wilnie nie ma. Bezrobotnych architektów ukończonych na razie nie mogę wymienić”; na ponaglenia wspominał o jednym, Zdanowiczu, który pracuje jako fotograf – zostanie przeniesiony do inwentaryzowania. Bezrobotnego rzeźbiarza z kwalifikacjami konserwatorskimi mimo ponagleń w Wilnie nie znaleziono.

Obszerny spis zabytków znajduje się w kilku teczkach zespołu F 22 (między innymi w teczkach 56, 162, 188). W latach następnych prace kontynuowano – np. w 1934 roku powstały analogiczne rejestry dla Słonimia i Oszmiańskiego (teczka 128). Decyzje z odpowiednimi pouczeniami, jakie konsekwencje za sobą pociągają, rozsyłane były do właścicieli i wręczane im za pokwitowaniem.

Odtąd spory wybuchały najczęściej w związku z otoczeniem opieką konserwatora także szeroko rozumianego otoczenia zabytku. Przed Najwyższy Trybunał Administracyjny pozwano konserwatora m.in. w związku z wydanym przezeń nakazem, by rozebrano samowolnie wzniesione budowle w otoczeniu uznanego za zabytek tzw. „małego zamku” w Nowogródku; wszyscy właściciele wnieśli odwołania, lecz nie zostały uwzględnione, Ministerstwo również po dokładniejszym zbadaniu sprawy stanęło po stronie konserwatora (teczka 193).

Wcześniej decyzje takie wydawano indywidualnie, z reguły wtedy, gdy trzeba było zapobiec rozpoczętej dewastacji. Czasem rozporządzenia konserwatora antycypowały akty prawne, toteż spotykały się nierzadko z gwałtownymi protestami. Kierowano je do starostów, do Ministerstwa WRiOP, parokrotnie sprawy znalazły rozstrzygnięcie w sądzie.

Wyraźnie priorytetowe miejsce zajmowały w sercu i staraniach konserwatora rozmaite pamiątki mickiewiczowskie – gaik w Bolciennikach, dworek w Nowogródku, pamiątkowe tablice, cęła Konrada, Świtez, kamień filaretów, kapliczka – ale to już temat osobny⁵.

Stosunkowo nieliczne dokumenty w odnalezionych w Wilnie teczkach dotyczą rezydencji wiejskich. Może te akurat zaginęły, prawdopodobniejsze jednak, iż po prostu mieszkańcy sami je remontowali na bieżąco, nie modernizując ich wyglądu. Relacje Urzędu Konserwatorskiego z polskimi właścicielami były z reguły

⁵ Zob. „Blok-Notes Muzeum Mickiewicza”, 1997.

dobrze, pomagano im w załatwianiu spraw urzędowych czy w zdobyciu materiałów budowlanych, na przykład dla dworu pań Szwykowskich w Bienicy; z Emerykiem Czapskim ustalono ewentualny zakres fachowej pomocy potrzebnej przy remoncie kościoła w Synkowiczach.

Jedyny ostry spór miał tu miejsce wiosną 1929 roku w związku ze sprzedażą 6 obiektów ze zbiorów nieświeskich Albrechta Radziwiłła na licytacji w Nowym Jorku (teczka 131). Gdy na prośbę Lorentza o wyjaśnienia noty na ten temat, podanej przez jedną z gazet, otrzymał z Zarządu Głównego Ordynacji Nieświeskiej i Kleckiej wykrętną odpowiedź, że to nieprawda, bo dobra rozgromili bolszewicy, a właściciel je renowuje, Lorentz wkrótce powiadomił, iż „Nie zadowolając się wyjaśnieniem Zarządu Ordynacji przeprowadziłem dochodzenie na własną rękę i otrzymałem poufne informacje, że w 1926 roku czy też w 1927 przybył do Nieświeża jakiś Amerykanin, podający się za dyrektora muzeum w USA. Według moich przypuszczeń był to antykwariusz, prawdopodobnie zamierzał udać się do Rosji w celu dokonania tam zakupów. [...] W Nieświeżu podobno osobnik ten zajmował się bezinteresownie (!) porządkowaniem zbrojowni”. Dalsze wyjaśnienia z Nieświeża składał Emil Wierzbicki, owym Amerykaninem okazał się S. Grancsey z Metropolitan Museum of Art, a dary, które otrzymał, pochodziły ponoć z nieświeskich dubletów i ponoć nie wiadomo, dlaczego tak wysoko zostały w Stanach wycenione. Była to chyba pierwsza z niestety licznych potem spraw Lorentza, dotyczących wyprzedaży za granicę polskich dzieł sztuki.

Od początku swej wileńskiej działalności Lorentz przyjął stały tryb interwencji: gdy nie respektowano jego zaleceń, wyciągał oręż najskuteczniejszy: wydawał decyzje o nadaniu spornemu obiektowi statusu zabytku, po czym zarządzał natychmiastowe wstrzymanie prac. Były wstrzymywane od razu – jeśli starosta lub wójt nie przeciągali rozmyślnie sprawy (zdarzało się, że papiery po drodze tajemniczo „ginęły”). Niedotarciem na czas decyzji o uznaniu obiektu za zabytkowy (a była wysłana 6 maja 1930 roku) tłumaczył starosta rozpoczęcie bez zezwolenie remontu karczmy w Niemenczynie (ostra interwencja Lorentza – 9 lipiec 1930).

Wiernymi sojusznikami konserwatora byli zaś miejscowi działacze, którzy najskuteczniej pilnowali nienaruszalności, nauczyciel, ziemianka, leśniczy... Tacy, jak nauczyciel Wiktor Andrzejewski z Horodnik (m. in. jego uporowi zawdzięczano doprowadzenie do konserwacji pomnika Jędrzeja Śniadeckiego na miejscowym cmentarzu – remont zakończono w sierpniu 1933 roku, t. 101), pani Rojewiczowa ze Słonimia, czy inżynier Józef Żmigrodzki z Nowogródka. Obserwowali okoliczne tereny, opisywali stan miejscowych „pamiątek” i donosili, że ktoś zamierza przerebić stary płot, trzyma świnie w dawnej kaplicy, zaczyna wycinać drzewa... Dzięki tym społecznikom nie tylko uratowano wiele drobniejszych obiektów, ale nawet wprowadzono nowe tematy do rejestru konserwatorskich zainteresowań – przede wszystkim całą dziedzinę ochrony przyrody. Niestety, byli nie wszędzie. Świetnym

sojuszniakiem bywała czasem także policja – jeśli nie wstrzymywano natychmiast kwestionowanych robót, wówczas policjanci wkraczali na teren i bez ceregieli usuwali robotników.

Najtrudniej było otoczyć opieką obiekty małe, które łatwo było zniszczyć. Zabytkowe ogrodzenie, krzyż przydrożny, bramę, kolumnę, tablicę, a przede wszystkim przydrożne kapliczki. Dewastacja dokonywała się po cichu, obiekty znikały niemal niezauważalnie i bez śladu – jeśli nikt ich na miejscu nie strzegł. Wycinano drzewa, kradziono przy rozbiórkach stare kafle (nawet – w kościele św. Jana w Wilnie!) czy inne części wyposażenia, rozgrabiano na cegły stare mury i ruiny – tłumacząc, że czyni się to dla powszechnego pożytku, bo na budowę szkoły lub utwardzenie gminnej drogi (na przykład w Dereczynie). Trzeba było też wprowadzić obyczaj ochrony zwykłych wiejskich zabudowań – zabytkami zostały karczma w Niemen czynie, gołębnik w Hołynkach, cmentarz we wsi Siemiuny koło Oszmiany zwany Wysoki Mohilnik (uzasadnienie: pewnie napoleoński, bo starzy ludzie pamiętają, że rodzice ich straszili wstającym z grobu Francuzem). Lamus i świronek w Horodyszczu, spichlerz, lamus i młyn w Brasławskim...

Ochrona zabytków w rozumieniu Stanisława Lorentza obejmowała nie tylko dbałość o obiekty istniejące, lecz również uchronienie terenu przed zeszpeceniem go przez niewłaściwe zagospodarowanie. By móc i w te sprawy się wtrącać, konserwator, ilekroć nie miał konkretnych argumentów, odwoływał się do pojęcia „ochrony wartości estetycznych krajobrazu”. I tak „trzy głazy narzutowe w Kurzeńcu” zyskały status zabytków ze względu na to, że „z tą grupą głazów związane są miejscowe legendy” (teczka 162). W Ludwinowie (pow. wileńsko-trocki) „głaz cmentarny mahometkański z arabskim napisem [...] jako zabytek charakterystyczny dla osadnictwa tatarskiego”. Podstawowe znaczenie dla ochrony piękna krajobrazu miał jednak śmiały pomysł, na jaki wpadł Stanisław Lorentz na początku swej wileńskiej działalności w związku z koniecznością ochrony jeziora Świteż. Od 1922 roku kierowano do Ministerstwa pisma w związku z wycinaniem lasów nad jeziorem i świadomym obniżaniem stanu wody przez niejakich Puszkarskich, właścicieli najważniejszej części gruntów nad jeziorem – stale bez efektów, mimo interwencji m.in. rektora ASP, prof. Kłosa i prof. Remera, a także Władysława Szafera, delegata Ministerstwa ds. ochrony przyrody, mimo starań dyrekcji lasów w Białowieży. Po nieudanych pertraktacjach w sprawie wykupu ziemi Lorentz w lutym 1930 roku przesłał list do Ministerstwa na ręce Remera, w którym stwierdza, że wskutek braku ustawy o ochronie przyrody on osobiście zamierza „wydać oświadczenie, że jezioro Świteż i otaczające je tereny [...] są zabytkami przeszłości, opierając się na art. 1 Rozporządzenia Prezydenta RP o opiece nad zabytkami. [...] Wprawdzie w wyliczeniu szczegółowym grup zabytków w art. 2 nie znajduje punktu, który dałby się zastosować do Świtezi [...]” – rzecz jednak, za cichą aprobatą władz ministerialnych szybko się potoczyła i mimo protestu właścicieli, że to bezprawie, teren wokół Świtezi został

uznany za zabytek. Śladem tego udanego posunięcia, nieco bezczelnie traktując je jako usankcjonowanie rozciągnięcia spraw na przyrodę, Lorentz brał coraz liczniej pod ochronę stary drzewostan i głązy (teczka 1).

Za nadaniem statusu zabytku mogła przemawiać odtąd po prostu sędziwość. I tak na przykład, w Małej Rusiłowce Lorentz uznał za zabytki „dąb, posiadający 5 m 30 cm obwodu w pierśnicy, a wysokość około 25 m z zawieszonym na niej ułem, oraz dąb, posiadający 4 m 40 cm obwodu a wysokości ok. 20 m., jako drzewa sędziwe (teczka 162)”. W ten sposób zakończył się także wyrąb lasu w parku w Głębokiem w 1933 roku, sprawę parku i dworu konserwator doprowadził do sądowego rozstrzygnięcia (teczka 191), podobnie w marcu 1934 roku uznano za zabytek park w Swojatykach Henryka Platera-Zyberka, co pozwoliło na natychmiastowe wstrzymanie wyrębu lip.

Właściciele namawiano do podpisywania zobowiązań, że będą otaczali opieką stare drzewa. Było tak, gdy na przykład uznano za zabytek kapliczkę w Naczy z 1841 roku – opieką objęto rosnące obok sosny; właściciel, p. Szukiewicz zobowiązanie podpisał, ale i wyjaśnił, że sosna jest tylko jedna, gdyż drugą „w 1930 roku nieznani sprawcy skradli i pomimo mych energicznych poszukiwań winowajców nie odnalazłem”.

Najpoważniejszym działaniem z zakresu ochrony krajobrazu stało się ocalenie przed wycięciem lasu w Kalwarii Wileńskiej. Takie zakusy miejscowe władze miały w 1934 roku. Gdy interwencje na miejscu nie dały rezultatu, Lorentz znów szukał poparcia w Warszawie, stwierdzając, iż „wprowadzenie jakichkolwiek zmian w Lesie Kalwaryjskim ze względu na zabytkowy charakter tego lasu oraz kaplic uważam za niemożliwe”, jego decyzja została zaakceptowana, las wtedy ocalał (teczka 180).

Jak widać, konserwator dążył do zagarnięcia pod opiekę całości – zabytków, przyrody, krajobrazu. Rozszerzał zakres swej władzy i opieki; między innymi dlatego, gdy w 1930 roku wzniesiono samowolnie pomnik na cześć Piłsudskiego w Dereczynie, wydał zaraz okólnik, nakazujący uzyskiwanie w przyszłości w podobnych sytuacjach zgody konserwatora (teczka 123). Po przeniesieniu Lorentza do Warszawy następnymi konserwatorzy kontynuowali rozpoczęte i podejmowali nowe prace we wszystkich zainicjowanych przez niego kierunkach.



Jean-Baptiste-Camille Corot (1796-1875), *Roches dans la forêt de Fontainebleau*, okolo 1860

WYPRAWA DO WILNA

We wrześniu 1967 roku grupa 32 turystów, pracowników Instytutu Badań Literackich PAN, oraz ich przyjaciół z innych placówek naukowych dotarła (jeździło się wtedy przez Grodno) do Wilna na ośmiodniowy pobyt. Było to dla nas wszystkich dość nieoczekiwane spełnienie marzeń o odwiedzeniu stolicy polskiego romantyzmu. Wówczas, wobec ograniczeń paszportowo-wizowych, żadne prywatne eskapady nie były możliwe: jedyną szansą na odwiedzenie Wilna było wykupienie w Warszawie kilkudniowej wycieczki: Warszawa – Wilno – Leningrad – Uljanowsk – Moskwa; na Wilno przypadał jeden nocleg.

U genezy tej dziwnej wileńskiej wyprawy leżało otwarcie jakiejś polsko-litewskiej wystawy w Warszawie. Stronę litewską reprezentował między innymi Rosjanin, wiceminister kultury, jowialny i bardzo życzliwy światu. Mówił o Wilnie, a gdy wtrąciłam, że chętnie bym je zobaczyła, otworzył ramiona: „to przyjeżdżajcie!” – „A wiza?” – „Na moje zaproszenie” – „Ale ja bym chciała z kolegami, nie sama.” – „To z kolegami, weźcie ilu chcecie”. Uznałam, chyba rozsądnie, że można to uznać za zaproszenie i na drugi dzień rano zgłosiłam się (traktując to wszystko oczywiście jako żart: zobaczyć, co z tego wyniknie?) bodaj do PTTK z chęcią zakupu wycieczki. Wizy na jakiej podstawie? Zaproszenie? – Ministra Kultury Litwy. Przyjęto zgłoszenie, więc od razu wpłaciłam zaliczkę. Proponowano trasę Warszawa – Wilno – Leningrad – Uljanowsk – Moskwa. Skorygowałam program, bo „przecież Leningrad i Moskwę wszyscy u nas znają”, ostatecznie pozostało te osiem dni w Wilnie. Nikt oficjalnie tej wycieczki nie afiliował, wizy wydano na podstawie kwitu z PTTK, byliśmy całkowicie nielegalni. (Podejrzewam, że łatwiej było władzom granicznym czy turystycznym niczego podejrzanego nie zauważyć, puścić nas cichcem, niż rozpytywać aferę.)

Pieniądze (wycieczka nie była kosztowna) wszyscy wpłacali bezpośrednio do moich rąk, bez żadnych pokwitowań. Podobnie dostarczano fotografie do wiz. Rekrutacja – szybka (by ktoś jednak wycieczki nie wykreślił) i na zasadzie prywatnego przekazywania informacji. Spotkaliśmy się bodaj dopiero na dworcu.

Ponieważ wycieczka nie miała oficjalnego organizatora, ani dokumentacji finansowej, ani kierownika, więc żadne dokumenty jej dotyczące się nie zachowały – tylko mała notka w „Biuletynie Polonistycznym”. Warto jednak tę eskapadę ocalić od zapomnienia – więc odnajdujemy nazwiska uczestników, zbieramy informacje

i fotografie. Fotografie – prawie wszystkie – pochodzą ze zbiorów Aleksandry Okopień i Janusza Sławińskich¹.

Uczestnikami tej wyprawy byli między innymi (stopnie naukowe podaję wedle ówczesnych danych – mogą być omyłki!):

1. red. Zofia Bachurzevska (PIW);
2. red. Marian Bizan (PIW);
3. dr Jan Błoński (UJ);
4. prof. Wincenty Danek (rektor WSP w Krakowie); .
5. mgr Zbigniew Dokurno (UMK Toruń);
6. dr hab. Michał Głowiński (IBL);
7. mgr Maria Grabowska;
8. prof. Maria Grzędzielska (UMCS);
9. prof. Maria Janion (IBL);
10. dr Władysław Korotaj (IBL);
11. mgr Krystyna Korotajowa, (IBL);
12. dr Alina Kowalczykowa (IBL);
13. dr Marek Kwiatkowski (Muzeum Narodowe);
14. dr Zdzisław Łapiński (IBL);
15. prof. Jarosław Maciejewski (UAM);
16. mgr Marian Maciejewski (KUL);
17. dr Zbigniew Jerzy Nowak (UŚ);
18. mgr Andrzej Paluchowski (KUL);
19. dr Ryszard Przybylski (IBL);
20. mgr Mirosława Puchalska (IBL);
21. dr Aleksandra Okopień-Sławińska (wtedy jeszcze UW);
22. dr Janusz Sławiński (IBL);
23. prof. Irena Sławińska (KUL);
24. prof. Zofia Stefanowska (IBL);
25. dr Stefan Treugutt (IBL);
26. dr Zofia Trojanowiczowa (UAM);
27. prof. Kazimierz Wyka (UJ; dyrektor IBL-u);
28. prof. Czesław Zgorzelski (KUL);
29. prof. Maria Żmigrodzka (IBL).

Samozwającą organizatorką imprezy była Alina Kowalczykowa.

Wiele nazwisk umknęło z pamięci, a bodaj nikt nie robił sprawozdawczych notatek. Powyższa lista także z pamięci jest rekonstruowana, a o tym, że nie jest

¹ Warunkiem każdorazowej publikacji zdjęć jest zamieszczenie informacji, że pochodzą ze zbiorów Aleksandry i Janusza Sławińskich.

pełna, świadczy między innymi notatka, zamieszczona w „Biuletynie Polonistycznym”:

W dniach od 11 do 17 września 1967 r. odbyła się – z inicjatywy Instytutu Badań Literackich PAN – wycieczka naukowa do Wilna. Wzięły w niej udział 32 osoby, ustaliliśmy 29 nazwisk, przede wszystkim historycy literatury polskiej zajmujący się epoką romantyzmu, z ośrodków akademickich Warszawy, Krakowa, Lublina, Poznania, Torunia, Katowic.

Może ktoś jeszcze kogoś sobie przypomni? Była więc wycieczka „plonem inicjatywy” IBL – lecz plonem niepotwierdzonym żadnym dokumentem.

Na szczęście, wiarygodnym świadectwem są nie tylko wspomnienia, lecz i fotografie, robione w Wilnie przez Aleksandrę Okopień i Janusza Sławińskich, zachowane w ich zbiorach. Udostępnili je, pozwolili wykorzystać...²

Wycieczka nie miała żadnego ustalonego programu, żadnych obowiązków, po prostu przyjechaliśmy do Wilna, mieliśmy zarezerwowany hotel ze śniadaniem i przez osiem dni mieliśmy pełną swobodę spędzania czasu. Wiadomo było, że nie należy nadmiernie przyciągać uwagi (szczególnie władz). Przydzielono nam przewodniczkę, lecz nie było chętnych do korzystania z jej usług; wszyscy rozbiegli się po mieście. Jedno ograniczenie wspólnie ustaliliśmy i było przestrzegane: żadnych drażniących zachowań, żadnych rozmów ani nawet prób nawiązania kontaktów z mieszkańcami Wilna, które by mogły prowadzić do najdrobniejszego choćby konfliktu. Nie należało przekreślać szans przyjazdu następnym Polakom. Więc zachowywaliśmy się potulnie, z pokorą stosując się do wszelkich pouczeń, choćby wydawały się dziwaczne. Zdumiewająco się to udało, nikt się nie wyłamał. Tam dopiero zrozumiałam, jak wielka jest różnica między naszym życiem w PRL-u a w Litwie, w państwie, przekształcanym w kolejną sowiecką republikę.

Andrzej Paluchowski, później Dyrektor Biblioteki KUL, przypomina początek podróży. Jechało się pociągiem przez Białystok, Kuźnicę i Grodno. W Grodnie był dwugodzinny postój techniczny, wyszliśmy do miasta, odwiedziliśmy dworek Elizy Orzeszkowej, potem byliśmy we wspaniałym barokowym kościele Jezuitów. W mojej pamięci utkwiły kobiety, które stały na peronie i sprzedawały jabłka z koszyków, nie najpiękniejsze, ale bardzo je zachwalały; smutne to było.

Andrzej Paluchowski, współpracujący w KUL z prof. Czesławem Zgorzelskim relacjonował, że Profesor wahał się przed podjęciem decyzji o dołączeniu do naszej wyprawy. Lękał się. W czasie wojny był za zbrojną działalność w konspiracji aresztowany przez Sowietów i przez dwa lata więziony. Gdy we wrześniu 1945 w Grodnie wypuszczano go na wolność, oficer śledczy na pożegnalnym przesłuchaniu zęgnął go słowami „Iditie damoj! Odnakoż my s wami jeszcze uwidimsia!

² Odbitki znajdują się w zbiorach ikonografii Biblioteki Instytutu Badań Literackich.

Pomni, nawierno uwidimsia!"³. Świadomość zagrożenia i obawy dawały o sobie znać jeszcze do dwudziestu lat.

Mieszkaliśmy tuż przy dworcu, w hotelu „Gintaras”. Miłym zaskoczeniem było tłumne powitanie przez hotelowy personel. U genezy tego powitania leżał jednak wzgląd czysto praktyczny: dopytywano się, cośmy przywieźli – i zainteresowanie przemieniło się w niechęć, gdy okazało się, że nie mamy czym handlować. A potem wciąż huśtawki emocji – oczarowanie Wilnem, radość, że udało się tu dotrzeć – i groteskowe kontakty z przedstawicielami lokalnych władz (a za władzę uważał się każdy, kto pilnował porządku na jakimkolwiek szczeblu, przede wszystkim kelnerki).

Fascynujące, wzruszające spotkania z Polakami. Mimo że nie byliśmy oficjalnie akredytowani, okazało się, że uczestnicy wycieczki jakoś wcześniej porozumieli się z wilnianami i dzięki temu nawiązały się prywatne kontakty, organizowano spotkania... Nie rozmawiano otwarcie o tym, kto i jak te kontakty nawiązywał – zbytńia otwartość mogła okazać się dla wilnian niebezpieczna. Ja w każdym razie nie wiedziałam, jak to było załatwiane⁴.

Zaraz po przyjeździe, wieczorem, chciałam zaczerpnąć wileńskiego powietrza, wyszłam na plac przy hotelu – na szczęście Zdzisław Łapiński wybiegł za mną; coś nas rozśmieszyło. Nagle wyłoniło się dwóch podejrzanych panów: „Paszporty proszę – ??? – dlaczego śmiejecie się z Kapsukasa?” Było ciemno, nie było widać tego Kapsukasa, ja nie wzięłam dokumentów z hotelu, na szczęście Zdzisław jakoś to zagadał.

Pierwszy dzień w Wilnie był wspaniały – wszystko szeroko otwarte, można było wchodzić na podwórka i do kościołów, zobaczyć, co jest w głębi. A zdarzały się sytuacje nieoczekiwane – na przykład widok więzienia dla nieletnich u Wizytek: wbudowano do kościoła dodatkowy strop (czy dwa stropy); od ulicy można było podejść pierwszego dnia pod sam mur ogrodu, zobaczyć druty kolczaste, i na wieżyczkach uzbrojonych strażników. Można było w innym kościele, też w śródmieściu, nieopodal Wilii – zobaczyć metalowe konstrukcje cel więziennych, a u świętej Katarzyny – magazyn zboża, zrzućanego bezpośrednio na podłogę; robocze fufajki rzućano na pozostawione we wnętrzu nieliczne barokowe rzeźby (dr Jerzy Orda mówił, że to zboże korzystnie wpływało na stan zachowania zabytku – wchłaniało wilgoć, dzięki temu mury się konserwowały).

Niestety, już drugiego dnia zamknięto większość budynków sakralnych – i tak pozostało przez cały czas naszego pobytu. Można było oczywiście w czasie mszy

³ Słowa śledczego, przypomniane przez p. Andrzeja Paluchowskiego, cytuję za wspomnieniami Czesława Zgorzelskiego: *Przywołana z pamięci*, „Norbertinum” 1996, s. 319.

⁴ A teraz (27.02.2014) już wiem. Nikt wilnian nie uprzedzał. W dniu poprzedzającym nasz przyjazd Kierownik zespołu „Wilia” (tu gromadziło się główne skupisko Polaków) pan Franciszek Kowalewski, przekazał Wojciechowi Piotrowiczowi, poecie, polecenie, że ma się zająć jakąś grupą Polaków, nie bardzo było wiadomo, kto przyjeżdża. Więć Wojtek zorganizował spacer na Belmont, miejsce filareckich zgromadzeń (odbyło się to tak, jak opisano w Kronice), dalej potoczyło się już samo, Piotrowicz już się tym nie zajmował. Mieli żal, że nic nie wiedzieli, że takie znakomite osoby przyjeżdżają.

przystanąć w nielicznych kościołach, w których msze nadal się odbywały. Nasza obecność zaburzyła nieco porządek w mieście.

Pytałam teraz, po 47 latach, co komu z tej wyprawy najmocniej zostało w pamięci. Pierwsze zaskoczenie – że pozostało mnóstwo emocji i ogólne wrażenie, ale szczegółów niewiele.

Niewielu Polaków się z nami kontaktowało. Uprzedzano, żeby nie iść na cmentarz na Rosse, na mogiły romantyków (między innymi grób Władysława Syrokomli i jego rodziny – Kondratowiczów), leży tam też zmarły w 1940 roku, poeta Świątopelk Karpiński; ale przede wszystkim nie należało pokazywać się przy grobie „Matki i serca Syna”, serca Józefa Piłsudskiego. Cmentarz był bardzo zaniedbany, zarośnięty chwastami i w tym tragicznym upadku bardzo malowniczy.

Niezwykle cenne były dla nas spotkania z dr Jerzym Ordą, historykiem sztuki (nie wiem, kto go umówił), towarzyszył na spacerach, oprowadzał nas po zażytkach, po kościele św. Piotra i Pawła, po Rossie, chyba prowadził nas także po Kalwarii Wileńskiej... Świetnie opowiadał. Wtedy jeszcze w przedsionku Kościoła, w bocznej nawie, stał ogromny skórzany bęben, podobno przywieziony przez Jana Sobieskiego spod Wiednia.

Spora grupa była na spotkaniu w redakcji gazety „Czerwony Sztandar”. Piotrowicz publikował w niej wiersze. Podobno żywo dyskutowano, ale ja tam nie byłam⁵.

Profesor Wyka wygłosił wykład o Reymoncie dla studentów polskiego Instytutu Pedagogicznego. Zachwycił ten wykład słuchaczy i jest do dziś wspominany jako niezwykle wydarzenie.

Bardzo serdecznie odnosili się do nas członkowie Zespołu Pieśni i Tańca „Wilia”. Zorganizowali specjalne, wzruszające spotkanie, podczas którego śpiewano polskie pieśni i piosenki, wycieczkowicze trochę popłakiwali ze wzruszenia, profesorowi Wyce (i nie tylko jemu!) lzy poleciały przy słowach „Ukochany kraj, umiłowany kraj...” – widziałam!

Członkowie „Wilii” prowadzili kronikę Zespołu. Gdy w listopadzie 2013 byłam w Wilnie na konferencji, poświęconej współpracy kulturalnej litewsko-polskiej, na moim wykładzie były między innymi panie, związane z polskim Zespołem Pieśni i Tańca „Wilia”, do dziś działającym. Kronikarzem Zespołu był pan Leonard Gogiel, który później wyemigrował do Stanów. Udostępniono mi do wykorzystania kilka stron *Kroniki*, ukazują one wydarzenia widziane z zewnątrz, oczami zaskoczonych naszym przyjazdem rodaków.

* * *

⁵ I tu przyczynek o utajnianiu informacji. Dr Orda pracował długo w wileńskim archiwum. Gdy władze sowieckie zaczęły niszczyć archiwum, dzieląc je na części i rozsyłając do Ukrainy, Białorusi i dalej, Orda gwałtownie protestował; usunięto go z pracy, przez kilka lat żył dzięki pomocy przyjaciół. Wspominał gdzieś, że najwięcej duchowej pomocy zawdzięczał Piotrowiczowi, który był mu bliski do śmierci.

Kronika Zespołu „Wilia”, zapisywał Leonard Gogiel⁶ (fragmenty):

13 września, środa. Zadzwoił mi Wojtek Piotrowicz. Wrócił dziś z Moskwy. Powiedziałem o zebraniu. Zawiadomiłem też o zebraniu Tuliszewskiego. [...]

Próba chóru, jak zwykle, rozpoczęła się z półgodzinnym opóźnieniem. Dziś nieco więcej jest chłopców. Zenek przekazał mi kilka nowych zdjęć, które zamówiłem. Po próbie chóru poszliśmy na ogólną próbę zespołu, na której przeszliśmy cały program jutrzejszego koncertu – 12 numerów. [...]

Jutro grupa 5-6 ludzi pojedzie na Belmont, gdzie odbędzie się spotkanie z wycieczką literaturoznawców PRL. Ze sobą trzeba mieć 40 prospektów zespołu – to załatwi kol. Gogiel. Po spotkaniu – o godz. 19ej – koncert. Jutro przybywa do Wilna kosmonauta Leonow – na wieczór przyjaźni z Czechosłowacją. Nie wiadomo, czy będzie obecny na naszym koncercie. Będą władze partyjne i państwowe republiki.

[...] W o r o n k ó w n a . Telefonowała jakaś prawnuczka Syrokomli. Prosi, żeby na jutrzejszym koncercie przypomniano jakoś o 195-tej rocznicy śmierci jej pradziadka (15 września).

K o w a l e w s k i . Podczas koncertu tego się nie da zrobić. Proponuję urządzić tematyczny wieczór o Syrokomli. [Propozycję Franka przyjęto].

Przed próbą był w Klubie prof. Orda⁷. Powiedział, że wycieczka na Rossę w niedzielę będzie o drugiej po południu.

Jutro o godz. 17.50 musimy być przy hotelu „Gintaras”. Umówiłem się ze Zdzisławem, że przed czwartą przyjdziemy do Klubu, wybierzemy sobie stroje i poprosimy, żeby ktoś je wzięło do Towarzystwa „Wiedza”.

14 września, czwartek. Dziś piękna słoneczna pogoda, ciepło. W „Czerwonym Sztandarze” przeczytałem wzmiankę o delegacji polskich literaturoznawców, o jej pobycie w Wilnie. Zamieszczono zdjęcia z podwórka domu Mickiewicza. Delegacja liczy 32 osoby. W jej składzie są znani profesorowie. M.in. prof. Czesław Zgorzelski (KUL), Maria Janion. Kierownikiem delegacji jest prof. Kazimierz Wyka, dyrektor Instytutu Badań Literackich PAN.

⁶ Są to fragmenty prowadzonej od początku istnienia zespołu *Kroniki*, przechowywanej w Wilnie, w rękopisie. Kronikarz, p. Leonard Gogiel, wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. Fragment ten udostępniła mi (wyrażając zgodę na publikację) pani Ludmiła Siekacka, wówczas studentka pierwszego roku polonistyki w Instytucie Pedagogicznym w Wilnie. Tekst opatrzyła objaśnieniem: „Spotkanie w Rektoracie z pracownikami katedry polonistyki. Byli obecni: rektor Instytutu [?] Uogintas [?], pracownicy wydziału polonistyki: W. Czczot. G. Rakitski, A. Kaupuż [??]. Niżej podpisana (wówczas studentka 1-go roku polonistyki), recytowała przed Gremium Profesorów Mickiewicza *Imwokację* do P.T. i *Stepy Akermańskie*”. Po słowach „ciche grusze siedzą”, wszyscy zaczęli dalej recytować: „wśród takich pól...”. Profesor Wyka tłumaczył wszystkim, jak wygląda roślinność Krymu (na przykładzie *Stepów Akermańskich*).

⁷ Jerzy Orda (1905-1972) – historyk sztuki, publicysta. Urodzony na Polesiu, ukończył studia historyczne na Uniwersytecie Wileńskim, przebywał w Wilnie do śmierci. Znakomity znawca dziejów i sztuki Wilna, archiwista, ocalił w czasie sowieckiej władzy wiele wileńskich dokumentów przed zmarowaniem. W czasie pobytu naszej wycieczki w Wilnie prof. Jerzy Orda oprowadzał nas po najważniejszych zabytkach – kościół św. Piotra i Pawła na Antokolu, cmentarz na Rossie, opowiadał o Wilnie podczas „filareckiej majówki” na Belmontie, towarzyszył na spacerach.

Z pracy zabiegłem do domu, wziąłem jeden z wierszy Piotrowicza⁸ oraz *Poematy i dramaty* Mickiewicza – mam nadzieję, że otrzymam autograf.

W klubie wybraliśmy sobie stroje i pozostawiliśmy je pod opieką chórzystki Wróblewskiej. Poźniakow mówi, że Reni dał 9 prospektów – więcej nie ma. „Trzeba drukować nowe” – mówi. Znowu zabiegłem do domu, wziąłem 10 prospektów – miałem jeszcze taki zapas. O godzinie 17:50 byliśmy ze Zdzisiem [Tuliszewskim] przy hotelu „Gintaras”. Już tam stał autobus „Inturistu” z delegacją polskich literaturoznawców. Wszyscy siedzieli w autobusie. Z „Wilii” przyszło 5 osób: Wojtek Piotrowicz, Renia Woronkówna, Ludka Siekacka oraz ja z Tuliszewskim. Było także kilka osób z Polskiego Zespołu Teatralnego Pałacu Kolejarzy z panią Rymowicz (?) na czele. Był Jurek Surwiłło z małżonką, a także prof. Orda, który znalazł tu znajomych. Kilka minut czekaliśmy na Kowalewskiego, lecz on z nami nie pojechał, poszedł od razu do Towarzystwa „Wiedza”.

Dojechaliśmy na Belmont. [...] Poszliśmy na malowniczy, sosnami porośnięty pagórek. [...] Szkoda, że nie ma Zenka Mincewicza z aparatem – tak tu pięknie! Zenek później mówił, że spóźnił się o kilka minut.

Na niewielkiej polance przystanęliśmy. Wszyscy ustawili się półkolem, ktoś przykucnął, ktoś oparł się o drzewo. Wojtek Piotrowicz wygłosił przemówienie. Widocznie miał tremę, bo mówił jakimś grobowym głosem. Mówił z pamięci. [...]

Po słowie wstępnym Wojtka Piotrowicza nastąpiła chwila ciszy. Potem wystąpiła Renia Woronkówna [...]. Prof. Kazimierzowi Wyce przekazała prospekty. Jurek Surwiłło opowiedział o swoim zespole – Polskim Zespole Teatralnym przy Pałacu Kultury Kolejarzy. Miał czytać jakiś list Mickiewicza do T. Zana (mówił nam o tym w autobusie), lecz nic nie czytał. Jeszcze powiedział parę słów Zdzisio Tuliszewski. Mówił coś o „Wilii”, dokładnie nie pamiętam.

Wystąpić z odpowiedzią prof. K. Wyka polecił prof. Czesławowi Zgorzelskiemu. To starszy pan, były wilnianin. Powiedział, że podziwia naszą pracę. Ze wzruszeniem mówił o Wilnie. Prof. Wyka wtrącił uwagę o tym, że p. Zgorzelski pochodzi właśnie z tych stron. Takich przyjechało kilku.

Przemawiał jeszcze jeden profesor z Poznania⁹. Podkreślił zasługi polskich zespołów amatorskich w Wilnie – ze względu na trudniejsze warunki niż w Polsce.

Kilka słów powiedział i sam prof. Kazimierz Wyka. Podziękował nam za serdeczne przyjęcie. Przewodniczka z „Inturistu” – Litwinka powiedziała, że czas już ruszyć na malutką [scenę – A. K.], chyba najmniejszą ze wszystkich, na jakich dotychczas „Wilia” występowała, bo nawet wiejskie sceny były większe. Kurtyna znajdowała się w odległości 1 metra od ściany. Jeden rząd schodków. Dziewczęta stoją na podłodze. Wykonano następujące rzeczy: *Warszawianka*, *Polonez warszawski*, *Ukochany kraj*, *Mazur* („Ty ze mnie szydzisz dziewczucho”), *Wilia*, *Pieśń filaretów*, *Chciało się Zosi jagódek*, *Kadryl wileński*, *Już mi się doprawdy, Kasia niezdarą*, *Polka lubelska*, *Świta śląska*.

Zapowiadała dziś Zuzia Klonowska. W końcu powiedziała: „Koncert skończony”, a przecież miała się odbyć część druga. Zespół dziś był niezbyt liczny, lecz wystar-

⁸ Wojciech Piotrowicz – fizyk, poeta, prozaik, tłumacz, publicysta, dziennikarz. Autor zbiorów poezji: *Nec mergitur* (1992), *Nad zgiełk* (1995); zbiorów prozy: *Igła i spowiedź*, *Gawędy wileńskie* (1998), *Podzwonne sośnie* (1998); tłumaczeń, m.in. Jonasa Šeli, *We dwoje* (1999), redaktor pracy zbiorowej Jerzy Orda – wilnianin z wyboru (1999) oraz *W głąb i z bliska* (2005).

⁹ Prof. Jarosław Maciejewski.

czający, przeważnie młodzież. Zresztą na większy zespół to i miejsca na scenie by nie starczyło. Ci z delegacji literaturoznawców byli naprawdę wzruszeni.

Dzisiejsze spotkanie na Belmoncie było takie niecodzienne! Każdy z nas miał sposobność porozmawiać z największymi filarami polskiego literaturoznawstwa. Oni byli obok nas, siedzieli razem z nami na ziemi, po której niegdyś może stąpał Mickiewicz. Oni podziwiali... nas, naszą pracę na polu krzewienia kultury polskiej. I to wszystko wyglądało tak zwyczajnie...

17 września, niedziela, O drugiej po południu miała się odbyć wycieczka z prof. Ordą na cmentarz Rossa. Nieco się spóźniłem, nikogo na cmentarzu nie znalazłem. Chyba nikt nie przyszedł. Wracając spotkałem trzy dziewczęta, idące też na tę wycieczkę. Jedna z nich – znana mi z kółka literatów przy „Czerwonym Sztandarze” poetka Maria Łotocka. Powiedziałem im, że wycieczki nie ma.

Na próbie chóru dziś, jak zwykle, mało zespołowców. Basów prawie nie ma. Ćwiczono *Pieśń o Wilnie*. [...]

Ludka Siekacka pyta mnie, dlaczego nie byłem na Rossie. Jak się okazało, chodzili z p. Ordą, lecz nie dużo. Zwiedzili górkę literatów, jeszcze coś. [...] ¹⁰

Treuguttowie i Michał Głowiński (i pewnie ktoś jeszcze) kupili bilety na zabawę taneczną w Pałacu Namiestnikowskim. Zobaczyli, jak się to odbywa, i szybko wyszli. Druga kilkusobowa grupa (między innymi Jan Błoński, Zdzisław Łapiński, Alina Kowalczykowa) zdobyła zaproszenia na tenże wieczór, odbywający się w scenie Balu u Senatora z III części *Dziadów*. Jan Błoński, słusznego wzrostu, wzbudzał powszechne zainteresowanie swym „amerykańskim” wyglądem – zgodził się ze mną zatańczyć – cóż to było za przeżycie, tańczyć w sali Balu u Senatora! – pośród mówiących po rosyjsku młodych ludzi, Rosjan, o obyczajach tak odmiennych. Już zapraszanie partnerek do tańca sprawiało wstrząsające wrażenie: pod ścianami, wokół sali, stały dziewczęta; pośrodku młodzieńcy, wzmacniający się w przerwach wyjmowanymi zza pazuchy „piersiówkami” i na dźwięk muzyki kiwaniem palca przywołujący partnerki. Twórcą prawdziwego hitu był Zdzisław Łapiński – naprawdę potknął się na górze wiekowych schodów i zleciał na sam dół. Jak pani Rollinsonowa.

Trzecia część *Dziadów* – to jednak przede wszystkim spotkanie w celi Konrada, z pietyzmem rekonstruowanej, podtrzymującej tradycję literackich posiedzeń, odbywanych tu w międzywojennym dwudziestoleciu i potem wznowionych.

Wilnianie urządzili dla nas wieczór poetycki, występowała między innymi Ludka Siekacka. Potem Jan Błoński deklamował *Improwizację*. Cella, z kominkiem, była utworzona z dwóch sąsiadujących pomieszczeń i choć nie było pewne, czy właśnie w tym miejscu przebywał Mickiewicz-Konrad, to jednak dawny nastrój promieniował. Było tak dopóty, dopóki Litwini kilka lat później nie zniszczyli celi, przekształcając klasztorne wnętrza dla wynajęcia jakiejś elektronicznej firmie.

¹⁰ Kronika „Wilii”, zeszyt V.

Ola i Janusz Sławiński na pytanie o najmocniejsze wileńskie wrażenie – wymienili smętny bazar przy głównej ulicy, przedmioty wykładane na papierze, bezpośrednio na bruku, bolesne ubóstwo rzeczy wystawianych na sprzedaż utkwiło w pamięci.

Michał Głowiński jako wrażenie najbardziej wstrząsające wspomniał przekształcony przez Sowietów w koszarne muzeum ateizmu kościół św. Kazimierza. Pozostał mu w pamięci bohomas, przedstawiający katolickiego księdza, stojącego między jasnym dniem po lewej i ciemną nocą po prawej; w lewym ręku trzymał brewiarz, w prawym rewolwer czy pistolet (profesor Głowiński nie odróżniał rodzajów broni palnej). Komentarz objaśniał, że katolicy księży tacy są: na oczach ludzi modlą się z brewiarza, a nocą chodzą na rozboje.

Zosia Trojanowiczowa po powrocie do Poznania opowiadała najwięcej o swojej integracji ze środowiskiem polonistycznym, o nawiązywanych znajomościach i przyjaźniach. Wilno, oczywiście, ale tyle wspaniałych osób...

* * *

Roman Trojanowicz, 5 marca 2014, dopełnił tę relację:

Przypomniałem sobie opowieść Zosi. Dużo mówiła o fascynującej osobowości doktora Ordy, o swoich rozmowach z Renią Woronkówną i Lusią Siekacką. Najgorzej przeżyła zabawę w Pałacu Namiestnikowskim i szczególne „zapraszanie” partnerek do tańca przez pokazywanie wybranej dziewczyny palcem i wyszarpywanie jej spośród koleżanek. Zwróciła uwagę, że we wnękach ściany, pod sklepieniem, gdzie znajdowały się dawniej klasyczne rzeźby, umieszczono gipsowe postaci czerwonooarmiejców, kolchoźników i robotników, takich, jak przed Pałacem Kultury. Jedną znajomość w polskim środowisku Wilna miała dalsze, ważne dla nas obojga konsekwencje. Lusie Siekackiej, o której mowa w *Kronice Zespołu* pod wpływem rozmów (może jednej rozmowy) z Zosią przyjechała z jakąś wycieczką do Polski, odłączyła się od reszty i jeden dzień spędziła u nas. Na początku lat dziewięćdziesiątych przebywając nad Wigrami zauważyliśmy, że bez trudu można z Suwałk pojechać autobusem do Wilna. Byliśmy u niej dwa, czy trzy dni. Przedyskutowaliśmy o Polakach, Litwinach i innych rzeczach wszystko, co możliwe. Nie mogliśmy jej namówić na przyjazd do Polski, bo nie miała z kim zostawić swoich dwu kotów.

Mną wstrząsnął najbardziej los kościoła świętej Katarzyny. Przepiękny barok, podjeżdżające ciężarówki, zboże, wysypywane na podłogę. I robotnicy, z paru metrów rzucający kurtki na piękne, barokowe rzeźby.

Inne kościoły też były jakoś zagospodarowywane. W akademickim kościele świętego Jana ulokowano zbiory biblioteczne, u Wizytek wstawiono dodatkowy strop i przekształcono go w więzienie dla nieletnich; w jednym kościele, niedaleko

Bazylianów, mieściły się przyrządy wydziału fizyki (niestety, nie potrafię bliżej tego zidentyfikować – tyle mi powiedziano, gdy spojrzalam przez uchylone drzwi).

* * *

Pojechaliśmy całą grupą do Trok. Niesamowite wrażenia, długi spacer drogą między dwoma jeziorami, potem przeprawa łodziami na wyspę (mostu jeszcze nie było). Żadnych turystów, cisza i spokój, Janusz Sławiński utrwalił na fotografii moment wsiadania na łodzie i wyruszania na wyspę, pod odrestaurowaną ruinę zamku (wtedy jeszcze nowa monumentalna bryła gmachu nie była ukończona). W dalszej części miejscowości było jeszcze kilkadziesiąt gospodarstw Karaimów, wyróżniały się porządkiem i schludnością. Obecnie już ich w Trokach nie ma.

Kiedy teraz, w 2013 roku, staram się zebrać wspomnienia od uczestników tamtej wycieczki, okazuje się, że nawet listy nazwisk nie można już ustalić, że poza notką w „Biuletynie Polonistycznym” nie udaje się odnaleźć żadnych dokumentów. Nie ma ich w archiwum Instytutu Badań Literackich (nikt z IBL-u nie złożył podpisu jako jej organizator, lub choćby współorganizator – w ówczesnej sytuacji politycznej taka legitymizacja niezbyt legalnego działania nie była pożądana). A jednak się odnalazły – notatki w kronice „Wilii” w Wilnie oraz zbiór fotografii w albumie Aleksandry i Janusza Sławińskich.

Była to pierwsza i jedyna, jak dotąd, wyprawa tak dużej grupy (32 naukowców, poloniści i historyk sztuki) do Wilna. Co po wycieczce tej zostało? Oczarowanie Wilnem, satysfakcja, że byliśmy w mieście młodości Mickiewicza i Słowackiego. I o wiele więcej: odtąd, pisząc o stolicy polskiego romantyzmu, mogliśmy panoramę miasta wypełniać nie tylko oczyma wyobraźni, lecz i własnych wspomnień.

Wyprawa: wrzesień 1967; pisane: Wilno 8-9 listopad 2013; ukończone: Warszawa 28 lutego 2014



Irena Sławińska, Ryszard Przybylski, Jan Błoński



Od lewej stoją: Zofia Trojanowiczowa, Zdzisław Łapiński, Jan Błoński, Alina Kowalczykowa, Ryszard Przybylski, Zofia Stefanowska, Stefan Treugutt



Od prawej stoją między innymi: Irena Sławińska, Janusz Sławiński, Michał Głowiński, Jarosław Maciejewski, Zofia Trojanowiczowa, Zdzisław Łapiński, Jerzy Orda, Zofia Stefanowska



Od lewej stoją: Marek Kwiatkowski, Zofia Bachurzevska, Maria Janion, Aleksandra Okopień-Sławińska, Maria Żmigrodzka, Maria Grabowska, Jerzy Orda;
Od lewej siedzą: Marian Bizan, Mirosława Puchalska, Janusz Sławiński



Od lewej stoją: Maria Janion, Ryszard Przybylski, Maria Grabowska, Mirosława Puchalska



Od lewej siedzą: Janusz Sławiński, Michał Głowiński, Zdzisław Łapiński



Od lewej stoją: Zbigniew Jerzy Nowak, Marek Kwiatkowski, Andrzej Paluchowski, Jerzy Orda, Zdzisław Łapiński, Maria Grabowska, Zofia Trojanowiczowa, Janusz Sławiński, Irena Sławińska, Jarosław Maciejewski



Troki - przeprawa łódkami na wyspę z zamkiem



Wizyta na ruinach zamku w Trokach



Ostra Brama

JAROSŁAW MACIEJEWSKI O ROMANTYZMIE¹

W grudniu 1948 roku artykuły świeżo założonej „Gazety Poznańskiej” kipiały radosnym entuzjazmem po połączeniu partii PPR i PPS w jedną PZPR². Zwyciężyliśmy i wykończymy wroga. I na tym tle, nagle, rzecz z zupełnie innego świata, która nie wiadomo jakim przypadkiem na łamy gazety się zabłąkała. O Mickiewiczu, o tradycji, o pomniku, którym by warto uczcić wieszczą. Kojący w tym strasznym momencie, piękny, zupełnie odideologizowany język, ze świata normalnej kultury wprowadzony do „Gazety...” przez młodocianego autora, Jarosława Maciejewskiego. Potrafił go ocalić w nadchodzących latach ogromnego zachwaszczenia nie tylko metod interpretacji, ale i słowa. W jego rozprawach próżno by szukać śladu opinii czy zwrotów tak skażonych wulgaryzmami jak te, które wówczas wychodziły spod piór prominentnych badaczy.

Rzeczowe uwagi o rozstrzygniętym konkursie (nie wiem, czy ów projekt pomnika został zrealizowany) – sąsiadowały w tymże artykule z dziwnie aktualną wówczas nostalgią za pomnikiem przedwojennym, zniszczonym przez Niemców, pomnikiem, z którym, cytuję: „łączyły się w umysłach poznaniaków hasła wolności. Na niepozornych, [...] kamiennych kształtach poety wykuto świadomość narodową Wielkopolan. Okupant dobrze wiedział, co znaczy dla Polaków taki pomnik – symbol.” Nie znam niestety tych słów, „hasel wolności” wykutych przed wojną, o których pisał Maciejewski, i nie odgadnę, czy moje domysły o języku ezopowym są tylko nadinterpretacją.

Była to jaskółka zainteresowań naukowych przyszłego profesora, koncentrujących się wokół trzech stale i mocno się zązębiających tematów romantycznych: Słowacki, Mickiewicz, Wielkopole.

Badawcze interwencje Jarosława Maciejewskiego mieszczą się zasadniczo w trzech obszarach. Pierwszy – to wypełnianie luk istniejących w literaturze przedmiotu, tu na pierwszym miejscu można postawić informacje z zakresu biografii, odkrywcze i wyjątkowo ważne książki o Mickiewiczu i o Słowackim, o wielkopolskich perypetiach nie tylko ich życia, lecz i twórczości. Drugi – to udanie dokonana re-

¹ Tekst wygłoszony w Poznaniu na sesji w 20. rocznicę śmierci Profesora Jarosława Maciejewskiego.

² Zob. „Gazeta Poznańska” 1948, nr 12, s. 8.

interpretacja, zmiana romantycznych hierarchii. Trzeci – to przede wszystkim rozprawy, zawierające historyczne i polityczne konteksty ówczesnej kultury literackiej.

Literatura romantyzmu stanowiła fundament, na którym profesor oparł twórczość naukową. Tu należą jego najważniejsze prace interpretacyjne, na tym materiale rozwijał swój warsztat i doskonalił wybrane metody badań. Przypomnijmy choćby kilka pozycji. Debiut naukowy – rozprawa *Do autora „Trzech Psalmów”* (1949), książki *Słowacki w Wielkopolsce*, *Florenckie poematy Słowackiego*, dwie książki o *Kordianie*. Habilitacja wprowadzie z Mickiewicza, o jego pobycie w Wielkopolsce, i zaraz potem druga o tym książka. Pamiętam, jak głośny oddźwięk wywołały te studia o związkach wieszczów z Wielkopolską – nie tylko ze względu na odkrycia materiałowe, pozwalające serio wprowadzić do ich biografii nowe poacie geografii i kultury Polski. Używam określenia „serio” dlatego, że wcześniej skupiano uwagę głównie na plotkarskich aspektach pobytu Mickiewicza w Poznańskim, na króciutkiej wizycie Słowackiego w 1848 roku.

Jarosław Maciejewski prowadził z niezwykłą rzetelnością drobiazgowo poszukiwania faktograficzne, ukazujące znaczenie poznańskich powiązań wieszczów dla ich twórczości. Stale wracał do tego tematu, poczynając od książki: *Słowacki w Wielkopolsce* (1955). W *Słowie od autora* precyzował tam stawiane przed sobą zadania badawcze: weryfikacja dotychczasowych ustaleń interpretacyjnych oparta na nowych odkryciach faktograficznych, uzupełnianie wszelkiego rodzaju dokumentacji oraz budowanie logiki wywodu naukowego, by stworzyć rzetelną podstawę dla powstających nowych syntez.

Po latach widać, jak wielka była to naukowa zasługa: Maciejewski wprowadził istotne zmiany do metodologii badań literackich. Nie tylko pozostał wierny zasadom sformułowanym we wspomnianym wstępie, lecz zachował zdrowy rozsądek, nie uległ przejściowym modom, w czasach szalejącego strukturalizmu spokojnie doskonalił własne metody interpretacji opartej na wyszukiwaniu i wszechstronnej analizie wszelkich dokumentów, w myśl podporządkowania pracy zadaniom przyszłych monografistów. Zrezygnował na przykład z respektowania przyjętej powszechnie, wygodnej dla czytelnika zasady chronologicznej ciągłości w obrębie naukowego dzieła. Preferował zdecydowanie podział tomu nie na rozdziały, lecz na autonomiczne rozprawy, nie ograniczające drastycznie objętości tekstu, dające badaczowi większą swobodę prowadzenia wywodu. I, w konsekwencji, przesunął pole poszukiwań: uprzywilejował badania kontekstów, szukanie coraz to głębiej istniejących między nimi powiązań.

Jarosław Maciejewski znakomicie wykorzystał szansę polegającą na tym, że działalność naukową rozpoczął od kilkuletniej pracy w zakresie dokumentacji, w zakładach bibliografii: najpierw w Instytucie Badań Literackich PAN (w 1948 roku), potem równolegle w Uniwersytecie Adama Mickiewicza. Traktowana poważnie (a nie, co często się zdarza, jako rodzaj przymusowego oderwania od zajęć

naukowych), praca ta dała Profesorowi świetne umiejętności, którymi wsparł swój naukowy warsztat, między innymi zdolność uporczywych poszukiwań materiałowych, łączoną z niezwykłą rzetelnością i sumiennością, koniecznymi przy wykonywaniu bibliograficznych obowiązków.

Nadawał wielkie znaczenie rozmaitym szczegółom, drobiazgom – potrafił, od nich wychodząc, dochodzić do zupełnie nowych koncepcji interpretacyjnych; a oparcie tych koncepcji na wiedzy faktograficznej solennie weryfikowało wygłaszane sądy. To, co innym wydawało się godnym jedynie wzmianki, nie tak ważnym przyczynkiem, pod piórem Profesora stawało się punktem wyjścia do rozbudowanych rozpraw. Pociągało to za sobą rozmaite konsekwencje – skupienie uwagi nie na wielkich problemach epoki, lecz na czymś, co pozornie jest tylko drobiazgiem, prowadzi do konsekwencji na przykład w zakresie kompozycji dzieła. Należyte udokumentowanie i objaśnienie funkcji przyczynku wymaga bowiem ilości miejsca znacznie przekraczającej to, które mu przypada w tradycyjnej biomonografii. Rozrośnięty „przyczynek” rozsadza jej ramy, rozdziały przekształcają się w autonomiczne rozprawy.

Profesor odrzucił uznawaną wtedy powszechnie zasadę respektowania ciągłości, realizował zaś ideę „kompozycyjnej luźności”, jak to nazwał. „Kompozycyjna luźność” pozwalała mu wprowadzić do tekstu dowolną ilość zgromadzonego materiału, bez konieczności wtłaczania go w ramy, wyznaczone zwyczajem przez wymogi kompozycji monograficznej, oraz otwierała miejsce dla korygowania pomyłek popełnianych wcześniej przez innych badaczy, do nieoczekiwanego rozbijania interpretacji ówczesnych zdarzeń i sporów, interpretacji uznawanych powszechnie za niemal kanoniczne, choćby ze względu na dostojność osoby badacza; na przykład Juliusza Kleinera.

Skrupulatność badawcza, rozszerzanie „przestrzenne” – jest zauważalne od pierwszych prac Profesora, skupiających się wokół koneksji wielkopolskich. Gdy na przykład Profesor odnotowywał znalezione w poznańskiej prasie noty o Słowackim, z reguły dochodził dłaczego i skąd, z jakiego źródła tam się znalazły; niebotycznie rozrastał się krąg osób i wydarzeń; małe noty wydawnicze okazywały się rewelacyjną podstawą dla daleko sięgających wniosków. I dla polemik z poznańskimi autorami pierwszych recenzji, i – co rzadko spotykane – dla poszukiwania uzasadnień ich opinii. Oraz, gdy uznał to za stosowne (aż ciśnie się sformułowanie: za korzystne dla Słowackiego) do tychże opinii podważania. Nie po to, by wykazać niekompetencje krytyków. W trakcie dyskusji krystalizowały się poglądy, weryfikacji ulegały sądy na temat krajowej recepcji twórczości poety, a komentarze, jakimi Maciejewski je opatrywał, nieraz z kolei dają się zastosować także do sytuacji w innych zaborach. Niesłuchanie to interesujące, a wtedy, przed rozprawami Maciejewskiego, w literaturze przedmiotu były tu niemal białe karty.

Odwołajmy się do konkretnego, romantycznego przykładu. Oto rozprawa z 1972 roku, *Cenzorzy i policjanci*. Początek zdaje się zapowiadać, że rzecz będzie dotyczyła

tylko drobiazgu: *Modlitwy pielgrzyma z Ksiąg narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego* Mickiewicza, zapomnianej czy podłożonej w kościele w Żerkowie. Czyli faktu wzbogacającego dzieje recepcji utworu. Profesor przeprowadził jednak szczegółowe i skrupulatne dochodzenie śledcze, wykorzystując wszelkiego typu poszlaki z kontekstu epoki. Nigdy bowiem nie wystarczyło mu znalezienie poszukiwanej informacji, lecz drążył wokół niej, odkrywając nowe fakty i nieoczekiwane powiązania. Tu – od okoliczności znalezienia wspomnianego druku przez żmudne ustalenia, kto mógł, a kto nie mógł go podrzucić, poprzez przebadanie akt śledczych i procesowych, odwołania do stanu umysłów Wielkopolan i ich patriotycznej działalności; dociekania związane z wielkopolskimi znajomościami Mickiewicza... Pojawiają się w tle również europejskie wydarzenia, które wpływały na dalsze losy odnalezionego konkretnego egzemplarza, oraz wszelkie informacje z gazet i akt tajnych o osobach związanych może ze sprawą. Kontekstem staje się nie tylko wcześniejszy czy dalszy tok wydarzeń, jak to zazwyczaj w pracach historyków literatury bywało, lecz przestrzennie coraz dalej i dalej rozszerzający się krąg sytuacyjny spraw wzajemnie się oświetlających.

Przy okazji trzeba podkreślić z zachwytem, że we wszystkich tekstach Profesora uderza piękna, a w tych formach już zamierająca kultura polemiki. Przede wszystkim – najważniejszym powodem podjęcia sporu nie jest krytyka cudzego tekstu; zawsze poprzedza ją próba zrozumienia obcej argumentacji, wskazanie cudzych zasług (jeśli były!) i szacunek dla cudzych poglądów. Tak samo wobec mało znanych recenzentów, jak wobec tuzów miary Juliusza Kleinera i jego zdecydowanie zanegowanej opinii o „niemiłym wierszu” *Wiwat Poznańczanie!*

Profesor Zbigniew Raszewski podkreślał, że ważnym bodźcem, kreującym profil twórczości naukowej profesora Maciejewskiego, była konsekwentna obrona Słowackiego przed zarzutem intelektualnej wtórności i przed przyznawanym mu drugim, wiecznie drugim miejscem pośród romantyków; prowokacyjnie stawiał go na równi z Mickiewiczem. (A są przesłanki do podejrzeń, że emocjonalnie autor *Kordiana* był mu bliższy.)

Toteż ostatnia książka Profesora, *Powieści poetyckie Słowackiego* (1991), przygotowana do druku już po jego śmierci przez profesora Jerzego Fiećkę, jest, powtórzę nadużywane tu przeze mnie określenie, niezwykle ważna. Gromadzi rozsiane w różnych miejscach, a przez to nie składające się wcześniej w spójną całość, szkice Jarosława Maciejewskiego, który interpretując wczesną twórczość poety, dokonał nader istotnego przesunięcia w obrębie dwóch hierarchii: po pierwsze miejsca twórczości Juliusza Słowackiego w obrębie literatury romantycznej oraz – po drugie – w hierarchii jego utworów, wysoko podnosząc rangę raczej lekceważonej przez badaczy twórczości młodzieńczej.

Sprzyjającą glebą dla wszelkich ocen dyskryminujących stały się słynne ironiczne słowa Mickiewicza o kościele bez Boga – do końca życia Słowackiego zatruwające opinie emigrantów o jego poezjach. Poeta – jak wskazał Profesor – lekkomyślnie

sam się do tego przyczynił: wybrał fatalny moment na prezentację powieści poetyckich, pozbawionych aktualnych tonów patriotycznych. Wystawił je na pogardę Mickiewicza i na uszczypliwe uwagi jego akolitów, co dało początek dyskryminacji dalszych jego dzieł. W literaturze przedmiotu utrwalił się w efekcie podział na to, co „młodzieńcze” (jakby osobliwe wprawki) i to, co dojrzałe.

Szkice Maciejewskiego o powieściach poetyckich Słowackiego mają charakter polemiczny. Zanim autor przejdzie do właściwej interpretacji, rozprawia się z historykami literatury; gdy spostrzega, że w parze ze słowem „młodzieńcze” idzie – naturalny wobec utworów młodego autora – ton lekko dyskryminujący, Jarosław Maciejewski ukazuje nie tyle może bezzasadność, ile pochopność takiej akceptacji opinii, wyrażanych *a priori*.

Historycy literatury podkreślali, owszem, „piękności” tych powieści, ale skupiali uwagę głównie na krytyce podkreślającej ich niedostatki. Maciejewski kolejno deklasował ich dyskryminujące uwagi i oceny. A więc sprawę rzekomego naśladownictwa, zarzuty najbardziej upowszechnione wśród badaczy tropiących „wpływy i zależności”. Profesor przeniósł owe dyskryminujące uwagi o „wpływach”, jakim rzekomo podlegają następcy, na bujną i inspirującą płaszczyznę kontekstów; mocno osadził je na tle historii i ich współczesności; świetnie dowartościował młodzieńczą twórczość Słowackiego, ukazując ją nie jako transpozycję naśladowczą, lecz jako świadome, dyskusyjne i polemiczne podjęcie tematu, poprowadzenie go dalej. Jako charakterystyczny i znakomicie udokumentowany przykład można przypomnieć dokonaną przez Maciejewskiego interpretację związków między *Mnichem* i *Arabem* a powieściami Byrona lub może jeszcze ciekawsze zestawienie *Marii* Antoniego Malczewskiego z *Janem Bieleckim*.

Profesor zlokalizował te polemiki w polu znów nie wpływów, lecz kontekstów. Zamiast rzucać plagiatowy cień, w lekcji badacza świadczą o próbach swoistej kontynuacji i nawiązania dyskusji. Przypomnieć można inne utwory Słowackiego, powstałe gdy był już w wieku dojrzałym, niepublikowane, jeszcze bliżej nawiązujące do arcydzieł: „dalsze ciągi” *Pana Tadeusza*, *Dziadów*, fragment czy daleko przetworzone tłumaczenie fragmentu *Iliady*.

Jarosław Maciejewski, depcząc bezlitośnie opinie Brodzińskiego, Zaleskiego, nawet Mickiewicza, wstawia we właściwe miejsce hierarchii utworów poety jego stale niedoceniane utwory młodzieńcze. I nie tylko Słowackiego, ale także Maciejewskiego zacięcie polemiczne mocno się w takich sytuacjach uwydatnia. Pod znakiem zapytania staje przede wszystkim rozpowszechnione – za Mickiewiczem – przeświadczenie, że autor *Mnicha* był wtedy zapatrzony jedynie w świat wyobraźni; badacz dowodzi, iż „nie był obojętny wobec spraw publicznych”, że opinia Mickiewicza była niewłaściwa i krzywdząca.

Z tych polemik o rangę „młodzieńczej” twórczości Juliusza Słowackiego wystają nowe aspekty spojrzenia na konfrontację Słowackiego z Mickiewiczem.

Zmiana waloryzacji, odrzucenie deminutywnych epitetów typu „młodzieńcza” czy „wczesna” przy określaniu powieści poetyckich Słowackiego pozwala inaczej ująć kwestię relacji między wieszczami. Profesor na przykład dostrzega w *Epilogu do Pana Tadeusza* nie tylko wyraz gorzkiej melancholii poety, lecz również – polemikę z *Kordianem*, a raczej z postawą Juliusza Słowackiego w latach po klęsce listopadowej. Optymizm Słowackiego, chociaż lokowany w odległej może przyszłości, był zaprzeczeniem rezygnacyjnej postawy Mickiewicza. Jarosław Maciejewski sygnalizuje zmianę już w tytule swej rozprawy; poprawia błąd wydawcy: tekst Mickiewicza nie nosi tytułu „epilog”, lecz to jedynie „wiersz n a z y w a n y epilogiem” do *Pana Tadeusza*. Szkic, który wydawał się być interesującym przyczynkiem badacza do jednego z utworów, okazał się nagle rewelacją: świadectwem popowstaniowej przegranej Mickiewicza, który usiłował pobudzić do czynu, do natychmiastowego wznowienia bohaterskich działań i wobec groteskowo tragicznego fiaska zrywów popowstaniowych „usiłował jeszcze zachować twarz, honorowo bronić przegranej sprawy”. Gorzki *Epilog* Mickiewicza został przez Maciejewskiego odczytany jako polemika z optymizmem Słowackiego, z *Kordianem*.

Do tych prawdziwych rewelacji dochodzi badacz drogą żmudnej analizy tekstologicznej różnych wersji komponowania „epilogu” ze szczątków. I tu, marginalnie, zabiera głos w budzącej dawniej ożywione spory kwestii kleinerowskiej edycji dzieł Słowackiego. Czy wydawca ma prawo uzupełniać tekst poety według własnych domysłów, czy takie praktyki są dopuszczalne w obrębie edycji krytycznej? Profesor przeciwstawia się takim praktykom, traktując je jako bezpodstawne uroszczenia, gdyż badacz nigdy nie może wypowiadać się w imieniu autora, nie dociecze jego intencji ani myśli autora; można w podtekście odnaleźć przestrożę: przed pochopnym samozadowoleniem.

Do twórczości i postawy życiowej Słowackiego pasuje określenie romantyków jako ludzi, którzy z dna poniżenia potrafią dojrzeć światło przyszłości i nieustannie próbują przemieniać świat. Pasuje ono znakomicie nie tylko do Słowackiego, ale i do Jarosława Maciejewskiego.

Gdybym miała wymienić najważniejsze, według mnie, cechy jego osoby i twórczości naukowej, wspomniałabym przede wszystkim wytrwałe dążenie do celu, niechęć na spektakularne sukcesy. I tu ogromny żal, że tak wielu spraw nie zdążył ukończyć, ująć w formę syntezy. Był wzorcowym reprezentantem kultury osobistej człowieka nauki, pięknej elegancji nawet w chwilach zagorzałych polemik. Kulturę polemiki łączył ze śmiałością wypowiedzianych opinii, często kontrowersyjnych. Ogromną wiedzę łączył z rzetelnością naukową, talentem szperackim i śledczą dociekliwością. Swą pomocą i zyczliwością hojnie obdarzał innych. Sama nieraz tego doświadczyłam, gdy oczarowała mnie praca dokumentalisty, gdy otrzymywałam pomocne wskazówki – i bardzo łaskawą recenzję mojej książki habilitacyjnej. Bardzo Profesora lubiłam – i ceniłam. Był mędrce i uosobieniem romantycznej posta-

wy wobec życia: zafascynowany nauką twórczością, pisał, tworzył i dokumentował – ale ważniejsze były konkretne działania, opór opłacany niełaską władzy, patriotyczna służba: utrwalanie pamięci poznańskiego czerwca.



Monika Żeromska z mamą, Anną Zawadzką.
Fot. ze zbiorów Moniki Żeromskiej

WSPOMNIENIE O MONICE ŻEROMSKIEJ

Monika Żeromska. Dla tych, którzy jeszcze jej nie znali, był to ktoś, czyją pozycję wyznacza fakt bycia córką: córką Stefana Żeromskiego. Po bliższym jej poznaniu okazywało się, że także wedle niej to właśnie było najważniejsze. Dumna była z Ojca, ale przede wszystkim wiedziała, że jej misją życiową jest piecza nad jego spuścizną. Obowiązki z tym związane spadły na nią natychmiast po wojnie, kiedy trzeba było zająć się ratowaniem rękopisów i pamiątek. Gdy można było już dotrzeć do spalonej piwnicy na warszawskiej Starówce, ze zdobytym do pomocy żołnierzem wydobywała spod gruzów domu przy Brzozowej autografy. Niektóre – jak brulion z *Wierną rzeką* – były zniszczone, nie do uratowania; inne, karta po karcie, konserwowała pod pieczęcią profesora Bonawentury Lenarta.

Obok dbałości o materię stale walczyła o to, by chronić dzieło ojca przed koniunkturalnym wykorzystywaniem, wpisanym w politykę kulturową PRL-u. Ustawiono go oficjalnie na piedestale najwybitniejszego prozaika, i bezlitośnie przykrawano do potrzeb ówczesnej ideologii. Cenzura wykreśliła z jego dzieł pisaną po 1918 roku publicystykę, kilka dramatów, *Snobizm i postęp*; Żeromski tak przemieniony podlegał manipulacjom, czyniącym z niego naiwnego piewcę idei, które na swych sztandarach lansowała PRL-owska propaganda. Monika Żeromska starała się, na ile mogła, przeciwdziałać tym i innym wypaczeniom – odbijającym się w przeróbkach scenicznych, w podręcznikach szkolnych. Nie kryła tego, co o tym myśli. Na rozmaitych spotkaniach, przede wszystkim z młodzieżą, opowiadała o ojcu – przestrzegając jednak zawsze zasady, by nie wkraczać w kompetencje historyków literatury. Mówiła o Ojcu, nie o jego dziełach.

Należała do tych nielicznych wdów i córek wielkich Polaków, które potrafią zyskać przyjaciół i uznanie dzięki własnym osiągnięciom. Dystyngowana i elegancka, była osobą piękną i świetnie utalentowaną. Wysoka (i w młodości smukła), długonoga, o wielkich oczach i burzy ciemnych, falujących włosów, przypominała oboje Rodziców: piękną matkę (podobno miała domieszkę krwi tatarskiej), którą Żeromski portretował między innymi w postaciach Tani z *Urody życia* i Salomei z *Wiernej rzeki*, ale i ojca – mówiono że układem głowy, spojrzeniem.

Panie Żeromskie miały po wojnie dwa domy. Sezon zimowy spędzały w warszawskim mieszkaniu przy ulicy Wspólnej 67 (zaraz po wojnie mieszkały krótko przy Poznańskiej 12), a sezon wiosenno-letni – w willi w Konstancinie, ofiarowanej pani Annie przez męża na imieniny w 1921 roku.

Mieszkanie na Wspólnej składało się początkowo z dwóch pokoików i kuchni, a obiady jadano wtedy w małym holu, w którym jednak mogło się przy stole mieścić (z trudem) nawet 5 osób. Później dołączono sąsiadującą kawalerkę, która służyła odtąd jako jadalnia i pracownia malarska Moniki. Był w domu zawsze kanarek, zawsze nazywany Pupinetti (za opowiadaniem Żeromskiego), i psy, kolejne długowłose jamniki; po ostatnim, Silky'm, przysłała kolej na uroczym mieszańcu z przytułku, Filona i Laure.

Uderzała niezwykła moc więzi między matką i córką. Zaufanie, zrozumienie wzajemne, dbałość – i zawsze wielka dyskrekcja, powściągliwość (w każdym razie przy postronnych), nie dopuszczająca do ujawniania emocji. Bardzo mi się to podobało.

W pracowni główne miejsce było przeznaczone na sztalugi i porozstawiane wokół obrazy, blejtramy, naprzeciw stała staroświecka szafa wypełniona malarskimi przyborami. Monika malowała zawsze stojąc, w szaroniebieskim kitlu, szybkimi ruchami, grubo kładzioną farbą. Pani Anna spoglądała co jakiś czas i z rzadka wtrącała bystre drobne uwagi, natychmiast uwzględniane. Znała się na malowaniu; studiowała w Warszawie i w Paryżu. To chyba po niej (choć i Żeromski trochę w młodości malował) Monika odziedziczyła talent. Monika ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie w 1938 roku, studiując pod kierunkiem profesora Tadeusza Pruszkowskiego. W krótkiej notatce odręcznej zapisała o sobie: „Studiowała malarstwo u prof. Zoriana Beer w Genewie i prof. Riccardi w Rzymie. Odbyla przed i po wojnie podróże do: Anglii, Włoch, Francji, Szwajcarii, Afryki Płn., Grecji, Izraela, Danii, Norwegii itd. Zainteresowania: etruskologia, botanika, bibliofilstwo”.

Malowała martwe natury, kwiaty, portrety. Jej autoportret młodzieńczy, w zielonej luźnej sukni, można oglądać w mieszkaniu Żeromskich na Zamku Królewskim. W trudnych czasach, gdy nie należały się już dywidendy za wydania książek Żeromskiego, sprzedaż obrazów pozwalała podreperować domowy budżet.

Wspomniane wyżej zainteresowania botaniką wyniosła chyba z lat dziecięcych, ze spacerów z Ojcem. Opisuje je we *Wspomnieniach*, a Żeromski – w *Pomyłkach* i w *Wil-dze*. Odróżnianie wszelkich roślinek i ptasich głosów uważała za niezbędny element kulturowej edukacji; i wyraźnie było jej przykro gdy okazywało się, że prawie nikt już tego nie potrafi. I że nawet w Konstancinie ptaki wymierają – kiedy chciała wtajemniczać w te sprawy mojego wnuka, musiała posługiwać się własnymi rysunkami.

W domu pań Żeromskich – a potem, przez ostatnie 18 lat, już tylko u Moniki – panowała urokliwa atmosfera. Spotykało się tam, na obiedzie czy przy kawie, wszelkie znakomitości świata kultury. Bo Monika Żeromska była gwiazdą tego eleganckiego świata – spotykającego się na PENclubowych zebraniach, na przyjęciach w zachodnich ambasadach, przy kawiarnianym stoliku. Tłumnie bywało na Wspólnej i w Konstancinie. Przyjaciółki jeszcze z dzieciństwa – Elżunia Osterwianka, Hanka Szczepkowska-Mickiewiczowa, Basia Lisowska. Rodzina – Magdalena i Olek Zagórowscy z dziećmi, Martą i Mackiem; z mężem Marty, historykiem sztuki

Giovanim Acerbonim, Monika z radością rozmawiała po włosku o Włoszech. Roman Szałas, przyjaciel z lat studiów, na równi z Moniką kochający włoską i etruską sztukę. Irena Kościałkowska. Bywali ludzie z Kielc, związani z Muzeum i piszący o Żeromskim: pani Dobrowolska, pani Zapałowa, profesor Zdzisław Adamczyk; pracownicy warszawskiego Muzeum Niepodległości z p. kustosz Wiórkiewiczową; i wszyscy, których praca dotyczyła Żeromskiego, którzy chcieli o tym opowiedzieć lub potrzebowali jakiejś pomocy.

Konstancin. „Dom Stefana Żeromskiego”, jak głosi napis na kamiennym głazie przy furtce i ogród szczęśliwie wpisano do rejestru zabytków, więc długo pozostaną w tym mnie więcej kształcie, jaki miały za życia pisarza. Na brzozie do dziś są ślady nacięć¹, które wycięła mała Monika, wywołując gwałtowną reprimendę ojca w kwestii bezmyślnego niszczenia drzew. Trawniki, drzewa, kilka ławek, mnóstwo kwiatów, różne gatunki róż i w centralnym miejscu przed oknami krzak rododendronu. Dom jest obszerny; panie Żeromskie mieszkały na piętrze, na parterze przez jakiś czas był stołowy, wielka kuchnia i pracownia Moniki; przez werandę wychodzi się do ogrodu. Potem dół często zajmowały zaprzyjaźnione rodziny. Jest też na parterze mieszkancko opiekunów domu i ogrodu; za mojej pamięci z godnością pełnił tę funkcję pan Józef Sybilski, a od kilkunastu lat – promieniejący życzliwością państwo Anna i Bronisław Ożarkowie.

Na piętrze pokój narożny kiedyś zajmował Stefan Żeromski, obok były pokoje pani Anny (z balkonem) i Moniki; z drugiej strony, obok pokoju Żeromskiego, jest biblioteka. Podczas wojny dom zajęli Niemcy, po ich ewakuacji pozostał z najważniejszych pamiątek stół i fotel pisarza, do śmierci Moniki Żeromskiej była w Konstancinie część jego rękopisów (obecnie są w Bibliotece Narodowej), fotografie, książki... Hall pełnił funkcje mini jadalni i saloniku. Ale życie towarzyskie, jeśli pogoda pozwalała, toczyło się na obszernym tarasie, z którego dawniej roztaczał się rozległy widok na pola i las. Przy wejściu na taras donice z pnącymi fasolami, przy białym drewnianym ogrodzeniu skrzynki z pelargoniami. Przy ścianie drewniana ławka, na której siadały panie Żeromskie i okrągły stół pod parasolem. Elegancko – piękna porcelana (gdy filiżanki się tłukły, były starannie sklepane przez Monikę), kawa, herbata, ciasta od Buchmana.

Goście. Dawniej przeważali miejscowi, ze znanych „konstancińskich” rodów: Maclaidów, Herse’ów, Henischów... Przyjaciele dojeżdżający z Warszawy: Antoni Słonimski, Barbara Skarga, Mieczysław Pruszyński z rodziną, Zosia Kucówna, Stanisław Lorentz z żoną... Z upływem czasu grono się przemieniało, ostatnio dominowali pisarze i artyści, przyjeżdżający na wypoczynek do pobliskich Obór i do konstancińskiego Zaiksu: Międzyrzeccy, Julian Strykowski, Brandysowie, Tadeusz Różewicz, Stanisławostwo Stommowie, Janina i Konrad Zawadzcy, Zofia Szancero-

¹ Już brzozy nie ma – kilka lat temu złamał ją wicher, pozostał spory pniak.

wa, mieszkająca obok doktor Czesława Gasik, doktor Krystyna Pliszkiwiczowa..., a z kolei Monika w niedziele często udawała się na obiad do pani Ali Bliklowej, do Skolimowa. Irena Nowicka a także profesor Goliński z żoną i córką przyjeżdżali pomieszkać w czasie wakacji.

Przy kawie i ciasteczkach rozmawiano o wszystkim; oczywiście o wszystkim, co w tym gronie mogło wydawać się interesujące. Kultura i polityka, trochę plotek, ale niedopuszczalne wydawało się zejście na poziom – przykład z ostatniego roku – Big Brothera; tego po prostu nie wypadało oglądać. Czasem granice tego dobrego smaku na pozór padały; pamiętam jak kiedyś, na użytek snoba (i tacy trafiali się wśród gości) Monika wszczęła ze mną dyskusję na temat Harlequina (ja to znałam!) domagając się wypożyczenia ostatnich nowości. Efekt wywarła znakomity. Chętnie włączała się do literackich zabaw. Pięknym ich świadectwem jest korespondencja z Julianem Tuwimem: zabawne liściki i przesyłki z różnych okazji. Pisał Tuwim na przykład: „19.X.1950. (wpisz sama płomienny list miłosny, bo nie mam czasu na takie głupstwa)”, dalej kartka pusta i podpis: „Twój, Stęskniony”. I domagał się w zamian wielu antydatowanych listów miłosnych, by mógł nimi ubarwić własną biografię. Z okazji imienin przysłał karteczkę: „4.V.1951. Posyłam Ci: a) życzenia Wielkiego Szczęścia b) trzy książki Ojca (pierwsze wydania!) c) „nieco kwiecica” d) przyjaźń. Gdybyś miała jeszcze jakieś życzenie, powiedz mi, a dostaniesz wszystko (mówię o rzeczach tanich). Całuję Cię J.T.”.

Siedziało się w Konstancinie na tarasie wokół stołu, rozmowami kierowała Monika, szczęśliwie miała cudowny dar gawędziarski, dzięki czemu można było z niesłabnącym zaciekawieniem słuchać opowieści, wciąż niknących w niekończących się dygresjach. Śledziliśmy te wszystkie dygresyjne wątki, bo były pięknie opowiedziane, miały nieoczekiwane finały, a że nie zawsze należało wierzyć, że są to historie prawdziwe – cóż to miało za znaczenie... Gwałtowne spory wybuchały chyba tylko przy rozmowach o polityce: Monika miała poglądy bardzo skryształizowane, czytywała codziennie bliską jej „Gazetę Wyborczą” (miała sentyment do Adama Michnika jeszcze z czasów, gdy sekretarzował Słonimskiemu) i nie okazywała cienia tolerancji wobec żadnych ksenofobii.

Z biegiem czasu długie stanie przy sztalugach okazywało się coraz bardziej męczące, Monika coraz rzadziej malowała. Pustki, jaka powstała po śmierci Matki, przyjaciele nie mogli wypełnić. I wtedy, namawiana przez przyjaciół, zaczęła pisać wspomnienia. Z oporami przystała na publikację – a książka, nieoczekiwanie, okazała się wielkim sukcesem; zdobyła nagrody im. Władysława Reymonta (!) i Warszawskiej Premiery Literackiej, ale najważniejsze było powodzenie u czytelników, ten tom wspomnień z dzieciństwa kilkakrotnie był wznawiany. Szybko pojawiły się cztery tomy następne, ukazujące wydarzenia życia w chronologicznym porządku, aż do początku lat 1970-tych. Kontynuować Monika Żeromska nie chciała, to wspomnianie jakby nadmiernie ją znużyło.

Pisała szybko, niemal nie poprawiając tekstu. Na papierze maszynowym, wielkimi literami, cienkim flamastrem; uporządkowany stos rękopisów został w Konstancinie.

Sukcesu nie zawdzięczała sławnemu ojcu, już przy lekturze wspomnień z dzieciństwa uderzał jej oryginalny talent literacki. Sądzę, że przejawiał się na kilka sposobów. Przede wszystkim, te wspomnienia umknęły spod konwencji „pisania dla potomności”, narzucającej hierarchię przedstawianych osób i spraw. Tu wszyscy, osoby ważne i przyjaciele z dzieciństwa, domownicy, i ludzie przypadkowo spotykani, są traktowani równie poważnie i równie niefrasobliwie. Tworzą, po prostu, przyjazny – choć czasem dziwny – świat. Przenika te książki atmosfera autentyczności, zapisu w pełni wiernego wobec własnej pamięci (co nie oznacza oczywiście wiernej rejestracji tak zwanych faktów, dat – i tym podobnych). Opowieść, ciągnąca się przez 5 tomów, jest znakomitą gawędą, z fabułą i mnóstwem dygresji. Monika nie opisywała martyrologii życia w PRLu, to zostało czytelnikom oszczędzone; w zamian coś cieszy, coś zachwyca, coś śmieszy w patosie. Ironicznie i z humorem kwituje wszelkie nagłe, koniunkturalne przemiany poglądów, na przykład kolegów-malarzy, szczerych socrealistów, którzy po 1956 roku „z czwartku na piątek stają się abstrakcjonistami”. Z ironią ukazuje swe spotkania z londyńską emigracją, z dawnymi przyjaciółmi – którzy stali się enklawą ludzi skłóconych i śmiesznych w politycznym zacierzewieniu. Bardzo to wszystko interesujące, podobnie jak zapisana w trzecim tomie euforia wywołana oszałamiającym pięknem przyrody i serdecznością, z jaką spotkała się w Izraelu.

Promieniuje z tych wspomnień radość życia, fascynacja światem. Gra tu z pewnością rolę malarska wyobraźnia autorki, jej wrażliwość na przyrodę; każdy widok ożywa, za książką także w wyobraźni czytelnika, nieoczekiwanymi skojarzeniami, przypomina pejzaż ujęty w kadrze ram obrazu. Czasem pojawiają się też wyznania intymne – ale nie wtedy, gdy mówi się o relacjach z ludźmi; tam emocje bywają dyskretnie ukrywane. Sfera intymności wyraża się w opisach sztuki i natury. Sztuka daje najmocniejsze wzruszenia, zbliża ku przeszłości, a kontakt z przyrodą staje się doświadczeniem czysto zmysłowym: „uczucie niepokoju, dzięki chęci grzebania rękami, rozkopywania pazurami, rozgarnięcia ziemi, zajrzenia pod kwiaty i trawę, pod spokojne fale zatoki”. Jeśli istnieje coś takiego, jak poznawcza zaborczość, to bije ona z tych książek. I udzielają się te emocje czytelnikowi, chciałoby się tak intensywnie przeżywać świat, mieć tak pięknie wzbogacone życie.

I na koniec – o naszej przyjaźni. Jej korzenie sięgają roku 1924 – gdy mój ojciec, Stanisław Lorentz, asystent na Uniwersytecie Warszawskim, wierny wielbiciel Stefana Żeromskiego, został sekretarzem organizowanych przez niego wakacyjnych kursów dla nauczycieli. Naturalną koleją rzeczy po wojnie, gdy trzeba było ratować rękopisy z gruzów, służył paniom Żeromskim pomocą, później wspólnie planowali organizację muzeum pisarza w warszawskim Zamku. Potem także ja, jako że dyspo-

nowałam samochodem, czasem okazywałam się potrzebna; niepostrzeżenie nawiązała się przyjaźń, bywałam na obiadach na Wspólnej, mam malowany przez Monikę piękny portret i drugi portret tajemniczej damy, do którego trochę pozowałam.

Pani Anna Żeromska przed śmiercią (zmarła 14 lipca 1983 roku) kategorycznie zażądała, aby na wakacje do Konstancina zjechała moja rodzina – żeby Monika nie była sama, a mój roczny wnuk miał stanowić gwarancję, że dom będzie tętnił nie smutkiem, lecz życiem. Tak się stało; Renatka, Michał i Karol, i ja czasem, przez sporo lat spędzaliśmy co najmniej miesiąc wakacji w domu Stefana Żeromskiego, u Moniki. Łączyły nas wspólne zainteresowania: twórczość Żeromskiego – Monika chętnie desygnowała mnie do wygłaszania rozmaitych prelekcji i przemówień okolicznościowych. A bardziej jeszcze zbliżały nas rozmowy o tym, co bliskie było jej ojcu: o regionalizmie, o szkole i o nauczycielach. Gdy udało mi się zrealizować w dużej skali pomysł kursów dla nauczycieli z odległych okolic, Monika była pierwszą sponsorką; przeznaczyła na ten cel część honorarium z wydawanych wspomnień. I kiedy w czerwcu tego roku tworzyliśmy listę członków-założycieli Stowarzyszenia Nauczycieli Humanistów „Prowincja”, oczywiście się na niej znalazła. Lubiła słuchać o tym, co się tam dzieje, i ucieszyła się gdy na miesiąc przed jej śmiercią stowarzyszenie zostało oficjalnie zarejestrowane.

Brak Moniki Żeromskiej. Jej obecności, gawęd, zdrowego rozsądku, ironicznego spojrzenia, przykładu niezłomnej wierności ideałom; i smutno, że nie ma już córki Stefana Żeromskiego. Zmarła 5 października 2001 roku.

NIEBORÓW. PRZEJMOWANIE REZYDENCJI. DROBIAZGI, UZUPEŁNIENIA, WSPOMNIENIA

*Panu Janowi Leończukowi,
Dyrektorowi Książnicy Podlaskiej –
z podziękowaniem za troskę o pamiątki po moim Ojcu*

Pałac i park w Nieborowie od 1774 roku należały do rodziny książąt Radziwiłłów. W 1939 roku właścicielem Nieborowa (i parku w Arkadii) był książę Janusz Radziwiłł, przebywał tu z rodziną także w latach wojny. Gdy wojska sowieckie zbliżały się do Warszawy, zwrócił się Stanisława Lorentza, dyrektora Muzeum Narodowego (a mojego ojca), którego znał z pracy konspiracyjnej, z prośbą by z jego upoważnienia po wejściu sowieckiego wojska objął on opiekę nad Nieborowem i Arkadią, by ocalić dobra przed dewastacją i konfiskatą. Nastąpiło to w styczniu 1945 roku.

Powojenne dzieje Nieborowa są opisane w licznych publikacjach, przede wszystkim w monografiach autorstwa znakomitych kustoszy rezydencji, Jana Wegnera (lata 1945–1970) oraz Włodzimierza Piwkowskiego (lata 1970–1995). Może warto jednak dorzucić do uczonych opracowań trochę wspomnień i materiałów, dotyczących tych spraw – zagrożeń przemyślnie usuwanych i perypetii, wydarzeń dramatycznych a czasem zabawnych, wynikających przy zderzaniu dawnych i nowych obyczajów¹.

Janusz Radziwiłł z rodziną (żoną, synem, synową oraz dwojgiem wnuków) opuścił Nieborów 16 stycznia 1945 roku, na kilka godzin przed wejściem wojsk sowieckich – udali się oni do krewnych, do Walewic, tam zostali zatrzymani i wywiezieni do obozu NKWD w Krasnogorsku pod Moskwą. Przed wyjazdem z Nieborowa książę uprzedził personel, że w razie wkroczenia sowietów władzę nad rezydencją

¹ Szczególnie interesujące wydają mi się wydarzenia z roku 1945 – jako świadectwo podejmowania pierwszych konkretnych działań zmierzających do uchronienia Nieborowa przed dewastacją przez wkraczającą armią sowiecką i do ustalenia podstawowych zasad przyszłego funkcjonowania „ośrodka”, do natychmiastowego objęcia rezydencji przez muzeum Narodowe i przystosowania do jej przetrwania w czasach PRL-u. Ocaliła Nieborów decyzja i wola księcia Janusza Radziwiłła, który zaplanował byt rezydencji także po politycznym kataklizmie – i zadbał o stworzenie szansy jego realizacji. Wykorzystuję m. in. albumy i papiery prywatne mojego ojca, darowane Muzeum Narodowemu w Warszawie, oraz pamiątki pozostałe jeszcze w rodzinie. A czasem także mój dziecięcy pamiętnik rozpoczęty w sierpniu 1945 roku w Nieborowie – drobiazgi są wiarygodne.

przejmie z jego upoważnienia dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie, Stanisław Lorentz (co miało kluczowe znaczenie dla późniejszych losów majątku) i że wszystkie polecenia nowego dyrektora mają być w pełni respektowane. Porozumienie w tej sprawie zostało uzgodnione pół roku wcześniej, gdy panowie stykali się w działalności konspiracyjnej.

Pozostało w Nieborowie kilkanaście osób z dawnej służby radziwiłłowskiej. Wiernie trwali przy pamięci dawnych właścicieli, przestrzegali otrzymanych zaleceń, strzegli skarbów sztuki, materialnych – ale i walorów duchowych, jeśli można tak nazwać porządek i dbałość o zachowanie kultury domowego obyczaju. Pozostali w nieborowskim pałacu, przepełnionym wciąż żywą w pamięci obecnością nieobecnych właścicieli, trwając na straży majątku. To dzięki nim nie doszło ani przez moment do decyzyjnego chaosu czy niepewności.

W pierwszych latach po wojnie najważniejszą osobą w tym zespole był małomówny i wzbudzający szacunek pan Konstanty Hassa, dawny kamerdyner księcia (zmarł w 1949 roku). Franciszka Zawadzka, garderobiana i pokojówka księżny Anny, strzegła mieszkalnych drobiazgów. Pani Florentyna Sierlecka kontynuowała swą dawną pracę zarządzającej kuchnią. Obsługą gości zajmowali się głównie panowie Walenty Fiutkowski² (dawny strzelec) i Władysław Nowicki, a okazywali w tej pracy zarówno piękną kulturę życia codziennego (już wraz ze śniadaniem goście tradycyjnie otrzymywali zawsze powitalny uśmiech oraz informację o stanie pogody), jak i fizyczną wytrwałość – przez pierwsze lata nie było na piętrach wody bieżącej, zimną i ciepłą do mycia noszono w dzbankach na górę, podobnie jak drewno do palenia w piecach. Ich uzdolnienia były wielostronne (podobnie jak Franciszka Grzegorego, który dołączył do obsługi stołu po paru latach). Szybko przeszli zawodowe przeszkolenie i legitymowali się zaświadczeniami o zdobyciu odpowiednich kwalifikacji do oprowadzania zwiedzających. Przez pierwsze miesiące pełnił też swe obowiązki, do dnia aresztowania, przedwojenny administrator, pan Feliks Pawiński³.

W pawilonach⁴ przebywało kilkunastu przygarniętych przez Radziwiłłów uchodźców z powstania warszawskiego. Usunęło ich wkraczające sowieckie wojsko, które po paru tygodniach przeniosło się z kolei do dalszych zabudowań. W pa-

² Pan Walenty był bohaterem pięknej scenki. W 1947 r. przyjechał do Nieborowa z pierwszą wizytą minister kultury Stefan Dybowski. Z tej okazji uroczystie ubrano stół, obsadzony gośćmi (i ja tam siedziałam, na młodzieżowym końcu), wyjęto przepiękną porcelanę rosentalowską i srebra stołowe, był biały obrus i białe rękawiczki na rękach obsługi, barszcz z pasztecikami podawanymi z półmiska. Gdy pan Walenty schylił się przy Dybowskim, minister familiarnie, by podkreślić swe osobiste więzy z ludem, spytał: „Po ile na ryło?”. Wszyscy zamarli, ale pan Walenty, niestropiony, spokojnie odrzekł: „Ile pan sobie życzy, panie ministrze”.

³ Osobliwym uhonorowaniem tych najwierniejszych pracowników było nadanie im działek z zachowanej po parcelacji pałacowej części folwarku. Otrzymali je Konstanty Hassa, Władysław Nowicki, Walenty Fiutkowski, Florentyna Sierlecka, Franciszka Zawadzka, Jan Bednarek, Stefan Opala, Stanisław Ebert, Antoni Pakulski, Władysław Kabziński oraz pracownicy Ośrodka Rolnego: Stanisław Panek, Jan Panek i Andrzej Panek – Archiwum Muzeum Narodowego w Warszawie (dalej: MNW), teczka 1292.

⁴ Tę elegancką nazwę nadano oficynom dla podniesienia ich rangi.

łacu pozostali na dłużej matematyk prof. Kazimierz Żórawski oraz sędziwy archiwista i znawca sztuki Alfred Piotuch-Kublicki, który niezwłocznie rozpoczął prace inwentaryzacyjne; zmarł w grudniu 1945 roku.

3 lutego, zgodnie z życzeniem Janusza Radziwiłła, dotarł do Nieborowa wojskową ciężarówką dyrektor Lorentz, natychmiast sprowadził z Łowicza i mianował kustoszem dr Jana Wegnera, historyka, nauczyciela liceum. Dawnych pracowników pałacowych, „służbę osobistą” księcia i zajmujących się ogrodem przemianował ekspresowo na personel warszawskiego Muzeum Narodowego⁵. Żadnych oficjalnych uprawnień, które by pozwalały mu zawładnąć Nieborowem Lorentz nie miał; lecz ogromnie ważne dla skutecznej ochrony majątku było wtedy szybkie nadanie zaufanym ludziom radziwiłłowskiemu statusu pracowników państwowych. (Oficjalnie załatwiono te nominacje dopiero w październiku – nie można było na to czekać.) Lorentz przemyślnie wykorzystał fakt, że był z nim w Łowiczu malarz Aleksander Rafałowski⁶, w mundurze kapitana. Wspominał po paru latach:

W Łowiczu udaliśmy się do starosty [Jana] Kantorka i do rosyjskiego komendanta wojennego mjr Grekowa, komunikując o objęciu Nieborowa i Arkadii przez Muzeum Narodowe w Warszawie i o mianowaniu kustoszem dr. Wegnera. Ja wchodziłem wszędzie pierwszy, za mną w mundurze kapitana Rafałowski, co wywoływało wrażenie, że jest mym adiutantem. Nikomu nie przyszło do głowy zapytać o legitymację lub upoważnienie dostojnika państwowego, którego adiutant był w stopniu kapitana. A ja miałem wtedy tylko własne przekonanie, że postępuję słusznie.⁷

I zaraz w Nieborowie przy pałacowej bramie pojawiła się odstrasząca rabuśków tablica informująca, że wtargnięcie na teren pałacu karane będzie śmiercią, a ludność została powiadomiona, że „ponieważ nie jest to już własność pańska, lecz całego narodu, każdy, kto cokolwiek stąd zabierze, będzie rozstrzelany na dziedzińcu pałacowym”⁸.

Przejmowanie dóbr nieborowskich na własność Muzeum Narodowego wymagało załatwiania skomplikowanych formalności pozostających często na granicy prawa. Towarzyszyły tym działaniom skomplikowane procedury. Rozpoczęto od starań o szybkie oficjalne potwierdzenie praw własności Muzeum, dotyczących także części gospodarstwa rolnego, o zatwierdzenie przyznanych pracownikom etatów oraz od szukania sposobów zapewniania bezpieczeństwa Nieborowowi. (Wyznaczony tymczasowo przez łódzkie władze wojewódzkie administrator nie

⁵ Te wydarzenia są opisane w literaturze przedmiotu, liczne szczegóły z pierwszych lat – w sporządzonych przez dyr. Wegnera comiesięcznych sprawozdaniach.

⁶ Aleksander Rafałowski, malarz, kapitan Ludowego Wojska Polskiego, wówczas dyrektor działu w Ministerstwie Kultury i Sztuki.

⁷ S. Lorentz, *O Nieborowie*, w: *Nieborów 1945 – 1970, Księga pamiątkowa*, Warszawa 1970, s. 98. Ale już 7 lutego został mianowany dyrektorem Naczelnej Dyrekcji Muzeów...

⁸ Relacja Lorentza w: R. Jarocki, *Rozmowy z Lorentzem*, Warszawa 1981, s. 287.

okazywał chęci współpracy ani dzielenia się plonami – przeciwnie, przejawiał zakusy na dobra Muzeum.)

Podobnie zabezpieczono Arkadię – stwierdzając, że „Park w Arkadii podlega opiece prawa. Wycinanie drzew oraz niszczenie budowli zabytkowych będzie karane jako przestępstwo przeciw Państwu i narodowi”⁹. Dokument podpisał kustosz Wegner i starosta Jan Kantorek.

Parku w Arkadii jednak nie sposób było upilnować – wielki teren, częściowo nieogrodzony, i nieadekwatna do potrzeb nikła ilość personelu – zdarzały się siłowe wtargnięcia, na przykład zimą 1945 uszkodzenia parku przez „wojsko sowieckie”, które stacjonowało też przez część lipca, wyrządzając „znaczne szkody”. A nadto w parku nieborowskim 4 listopada żołnierze sowieccy zastrzelili „podejrzanego osobnika”, innego trupa odgrzebanego przez lisy spod liści w parku angielskim, przysypano ziemią i umocniono głazami.

Niechże kilka jeszcze dokumentów z tych pierwszych dni zilustruje styl ówczesnych działań.

Pierwsze sprawozdanie z przejęcia Nieborowa wysłano po dwóch dniach, 5 lutego:¹⁰

Do Obywatela Ministra Kultury i Sztuki¹¹

W związku z zarządzeniem Obywatela Ministra z dn. 30. stycznia r.b. Lp.234/m/45 o objęciu przeze mnie nadzoru i kierownictwa nad Nieborowem i Arkadią, w dniu 3 lutego rb. udałem się łącznie z kpt. Rafałowskim do Łowicza, a następnie Nieborowa i Arkadii. Pełnienie obowiązków kustosza Nieborowa i Arkadii zleciłem dr. Janowi Wegnerowi¹², o czym zakomunikowaliśmy staroście w Łowiczu, prosząc go o udzielenie pomocy kustoszowi w razie potrzeby przy pełnieniu przez niego obowiązków.

Pałac i park w Nieborowie są nieuszkodzone, a park i zabudowania zabytkowe w Arkadii uległy nieznacznym uszkodzeniom.

Natomiast w zbiorach Nieborowskich stwierdziliśmy znaczne braki, które w części tłumaczy wywóz w roku 1940 dwunastu skrzyń z zabytkami najpierw do Muzeum Narodowego w Warszawie, a następnie podobno na Wawel przez dr. Józefa Mühlmana, który nosił tytuł „Sonderbeauftragter für Sicherstellung der Kunstgegenstände”. Drowi Wegnerowi zleciłem wyjaśnienie, gdzie znajdują się inne brakujące obiekty muzealne.

Zespół zabytkowy w Nieborowie i Arkadii: budowle zabytkowe, zbiory, parki, dla kultury artystycznej polskiej posiadają wyjątkowe znaczenie. Podnieść też należy, że pałac w Nieborowie jest jednym z nielicznych na ziemiach naszych pałaców zachowanych całkowicie w stanie mieszkalnym.

⁹ Maszynopis ze starostwa, datowany „Łowicz, dn.7 lutego 1945”, MNW.

¹⁰ Tamże, sygnatura 28/45/Muz., teczka 1288. Przytaczam w całości.

¹¹ Ministrem Kultury i Sztuki był wtedy Wincenty Rzymowski. Wkrótce zastąpił go pisarz i działacz ludowy Władysław Kowalski. Mój ojciec wyrażał się o nim jako o człowieku kulturalnym i dobrej woli.

¹² Dr Jan Wegner, historyk. Pełnił funkcję dyrektora Nieborowa i Arkadii do 1970 r., później przeniósł się do pracy w wyższej uczelni.

W związku z tym zgłaszam następujące wnioski:

1. o przejęcie dóbr nieborowskich na własność Skarbu Państwa,
2. o wyłączenie ich od parcelacji,
3. o utworzenie w Nieborowie i Arkadii Muzeum Narodowego, jako oddziału Muzeum Narodowego w Warszawie,
4. o utworzenie jednocześnie w Nieborowie ośrodka naukowo-artystycznego i wypoczynkowego dla pracowników naukowych i artystów, zarządzanego przez Muzeum Narodowe w Warszawie.

Bogata biblioteka w Nieborowie, zbiory artystyczne i wyjątkowej wartości [?] oraz krajobrazowe uzasadniają mogą wysunięcie tych wniosków.

Aby ośrodek taki był samowystarczalny, to jest z własnych dochodów pozwalał pokryć koszty konserwacji budynków zabytkowych, zbiorów artystycznych i parków, koszty utrzymania ośrodka naukowo-artystycznego, dysponować musi takimi obszarami, wydzielonymi od parcelacji, które te znaczne wydatki będą zaspakajać. Wobec tego zleciłem dr. Wegnerowi, by wspólnie z administracją majątków określił, jakie mianowicie tereny są do tych celów niezbędne¹³.

Wniosek więc o wyłączenie dóbr nieborowskich sformułowany jest na razie jako tymczasowy, a szczegółową propozycję przedstawić postaram się w niedługim czasie.

Dyrektor Muzeum Narodowego
/Stanisław Lorentz/¹⁴

Pierwsza notatka sprawozdawcza dr. Jana Wegnera dotyczyła natychmiastowego zabezpieczenia rezydencji przed dalszą dewastacją. Pisał:¹⁵

Łowicz 25 II 1945 r.

WPan Dr Stanisław Lorentz
Dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie

Prace nad zabezpieczeniem Arkadii i Nieborowa prowadzę według wytyczonego przez siebie planu, a rezultaty są całkowicie zadawalające. Protokoły o stanie Arkadii i Nieborowa opracowuję i za tydzień będą gotowe. Opóźnienie wynika m.in. stąd, że przygotowuję do tych protokołów odpowiednie plany.

W pałacu Nieborowskim zinwentaryzowałem dotąd 275 eksponatów. Jest to praca żmudna, wymagająca dokładności i wiele czasu.

/Jan Wegner/

¹³ O „samowystarczalności” obiektu pałacowego, wymagającego nadto poważnego remontu, trudno było marzyć; lecz był to argument dobrze wspierający starania o przyznanie części terenu dawnej rezydencji.

¹⁴ Odpis, cudzą ręką, w: Archiwum Muzeum Narodowego w Warszawie.

¹⁵ Doktor Wegner systematycznie przysyłał comiesięczne sprawozdania z działalności ośrodka w Nieborowie i osobno z Arkadii – stanowią one podstawowy materiał archiwalny.

Datę 10 października 1945 roku nosi protokół zdawczo-odbiorczy, dopiero teraz oficjalnie przekazujący Nieborów na własność Muzeum Narodowego. Można by go cytować jako wzorcowy przykład języka nowomowy. Deprecjację najcenniejszych materialnych walorów majątku wymusiła, co wydaje się oczywiste, chęć utajenia (czy raczej: nie eksponowania) finansowej wartości obiektów. Określa się zatem dobra jako „resztówkę majątku państwowego Nieborów” (można z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać, że degradujące słowo „resztówka” zostało wprowadzone, by zaniżyć wartość dóbr, przekazywanych na rzecz Muzeum ze skarbu państwa). W obrębie owej „resztówki” znalazł się „pałac murowany, kryty blachą i dachówką, stanowiący budynek centralny, posiadający 57 izb, korytarzy, przedsionków i ubikacji. W pałacu tym zgrupowane i zabezpieczone przez Muzeum Narodowe – urządzenia, meble i niebywałej wartości muzealnej i kulturalnej dzieła sztuki”. Przejornie tych obiektów nie wymieniano – spisano natomiast dokładnie stan inwentarza gospodarczego na dzień 10 października – żenująco nikły, jak na kilkumiesięczne potrzeby Pałacu, personelu i gości. Trochę narzędzi „w złym stanie”, dwa wiadra, jedna bańka do mleka, 1 taczka i 12 kos... Trochę zapasów dla zwierząt i narzędzi. Ocalało 5 sań, ale bryczki – tak potrzebne ze względów komunikacyjnych – zniknęły.

Łatwo spostrzec, jak szybko zakorzeniał się nowy urzędowy styl. Na przykład w mniej urzędowej korespondencji używa się nadal jako określenie adresata „WP.” – tu „Obywatel Minister”; zamiast normalnych formuł wszędzie wprowadza się apodyktyczne słowo „zleciłem”, unika się, o ile można, słowa „pałac” (kojarzącego się teraz z arystokracją i wyzyskiem ludu pracującego) – pojawia się ono dopiero dalej, dla podkreślenia unikalnego charakteru „budowli”, a jeśli wspomina się wartość – to z dookreśleniem „muzealna i kulturalna”. Cytowany list można by uznać za wzorcowy przykład języka, przystosowującego się do nowych czasów – łączącego ezopowość z formującą się socrealistyczną nowomową.

Pierwsze miesiące Nieborowa pod nową władzą upływały pod znakiem nieustannych kłopotów z aprowizacją, z czynionymi z zewnątrz próbami lokowania w Pałacu jakichś znajomków, obcych ludzi, z walką o władzę, toczoną z administracją folwarku – niezwykle istotną, jako że szło o uzyskanie żywności, a także nawet o bryczkę, która by mogła dowozić pana Wegnera z Łowicza oraz gości – ze stacji kolejowej w Bednarach. Innej komunikacji nie było. W grudniu udało się dostać przydziałową bryczkę o dobrym standardzie – „na gumowych kołach”.

Już od wiosny rozpoczął się ruch w Pałacu. Mieszkali w nim wspomniani już Alfred Piottuch i prof. Żurawski i, co najmniej od 1 maja, Mieczysław Smolarski.

Od początku dyrekcja Nieborowa bardzo serio traktowała zobowiązanie do działań na rzecz ludności miejscowej i upowszechniania oświaty. Ta działalność, odpowiadająca poglądom pracowników i nawiązująca do tradycji radziwiłłowskiej,

miała też wielkie znaczenie propagandowe dla okazania przydatności „ośrodka” w zakresie realizacji polityki oświatowej. Już 1 maja 1945 roku urządzono w Białej Sali akademię i koncert dla młodzieży, później odbywały się prowadzone chętnie przez pałacowych gości spotkania z młodzieżą szkolną (bodaj rozpoczęte od wrześniowego wykładu Marii Dąbrowskiej), spotkanie wigilijne (koncert, pieśni religijne, przemówienia, uzyskano 240 tabliczek czekolady na prezenty dla uczniów), a potem z dorosłymi; 7 lutego 1946 roku obchód rocznicy kościuszkowskiej – odczyt Kustosza, deklamacje i śpiewy dzieci, część artystyczna (dostępni byli świetni muzycy), przemówienie ministra Wycecha... Podobnie wysoki poziom oświatowych i muzycznych spotkań starano się utrzymywać stale. I tak to trwało, przerywnikiem była tylko próba dokonania przez ministra Dybowskiego dobrej zmiany, mocniejszego spojenia Pałacu z ludem – we wrześniu odbył się w tejże Białej Sali występ Koła Młodzieży Wiejskiej „Wici” dla młodzieży oraz uczestników konferencji zwołanej przez ministra i z jego finalnym przemówieniem.

W lipcu otrzymano z kontyngentu szkło okienne, oszklono 30 okien. Kłopoty były różnego kalibru, od żywnościowych po kwestię zażegnania fatalnych skutków wysadzania pocisków w miejscowym lesie przez sowieckie wojska: „w gmachu Oranżerii wyleciało około 100 szybek. Uszkodzeniu względnie zniszczeniu uległy szprosy i ramy okienne. Oranżerię zabezpieczono przed mrozami matami słomianymi oraz oknami inspektowymi”¹⁶.

Czy zatem – przy życzliwej aprobacie władz – powoli, lecz spokojnie wszystko po prostu się normowało, wkraczało nowe życie w socrealu? Nie było to takie proste. Dlatego przede wszystkim, że nowa władza potraktowała Nieborów jako majątek ziemski i podporządkowała go początkowo Ministerstwu Rolnictwa i Reform Rolnych; ziemia okazała się ważniejsza niż Pałac przy zaszeregowaniu dóbr i Wojewódzki Urząd Ziemski nie miał zamiaru przekazywać rezydencji do Ministerstwa Kultury i Sztuki. Dlatego aż do września trwał nieustanny konflikt obfitujący w próby zawładnięcia pałacowymi pomieszczeniami przez osobników z administracji gospodarstwa.

Dr Mieczysław Smolarski¹⁷, który od 1 maja objął i przez prawie rok pełnił stanowisko zastępcy kustosa, pozostawił sprawozdanie, z którego fragment cytuję:

Zostałem bardzo kłopotliwe stosunki z administracją, które starała się utrudnić życie pracownikom muzealnym, by w nieobecności ich zapanować w pałacu. Wprawdzie Nieborów dzięki staraniom dyr. Lorentza został przez Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych przekazany Ministerstwu Kultury i Sztuki, lecz zarządzenie to nie pociągnęło za sobą dalszych prawnych skutków ani też oddania gmachów i ośrodka nowemu właścicielowi. Po dawnemu uważał je za swoją własność Wojewódzki Urząd

¹⁶ J. Wegner, *Sprawozdanie za miesiąc grudzień 1945 roku*, MNW.

¹⁷ Dr Mieczysław Smolarski, historyk, pisarz, od początku maja 1945 roku pełnił w Nieborowie obowiązki zastępcy kustosa. Odszedł 30 kwietnia 1946 roku z powodów zdrowotnych.

Ziemski w Łodzi, a z ramienia jego po uwięzieniu p. Pawińskiego administracją zarządzał Staniszewski, inżynier rolnik lub też tytułujący się inżynierem, administrator „kluczowy” [?] w odległej o kilkanaście kilometrów Jasionnej. W Nieborowie utrzymywał kancelarię, złożoną z trzech osób, z buchalterką Boguszewską na czele, prócz tego często tu przebywał, korzystając z pokoju w pałacu, którego dr Wegner nie mógł mu odmówić. Bryczkę radziwiłłowską oraz ostatnią parę dobrych koni zabrał na swój użytek do Jasionny, natomiast bardzo niechętnie udzielał jej kustoszowi, który przybywał raz na tydzień i musiał wtedy najczęściej najmować kosztowną dorożkę albo wręcz iść dziesięć kilometrów piechotą. Był wprawdzie w Nieborowie wóz wyścigowy do podróży słomą oraz konie robocze, ale i tych odmawiała niemal zawsze p. Boguszewska. Z ośrodka Staniszewski nie dawał im żadnych dochodów, twierdząc, że do Muzeum nie należy. Z sadu zabierali jakoby wszystko, nic nie płacąc, żołnierze sowieccy, co wydawało się rzeczą dziwną, bo przy dojrzewaniu czereśni, malin i truskawek jawnie postawili wartę i pilnowali zbiorów, a miejscowa Komenda [milicji – AK], jak udało się stwierdzić, zabierała nieraz jarzyny i płaciła za nie gotówką. [...] Nad kuchnią najwyższą pieczę miała p. Boguszewska, która w dolnej Sali pałacu wraz z mężem siadała przy stole, odgrywając rolę pani domu i usiłując przenieść się z administracyjnego mieszkania do pałacu, czemu jednak dr Wegner stanowczo się sprzeciwił. W Sali tej urządzano nieraz libacje, na które przybywał Staniszewski, sprowadzając gości, po czym przenoszono się do Sali białej, gdzie grano na fortepianie i tańczono¹⁸. [...] Po przybyciu odwiedziłem natychmiast wyższe piętra, by odwiedzić p. Żórawskiego i Piotucha, których do stołowej sali w ogóle nie zapraszano, i dowiedziałem się o fatalnym stanie ich aprowizacji. Od czasu oddalenia się pana Pawińskiego nie otrzymywali w ogóle cukru, mięsa, masła i chleba, karmiono ich przez szereg miesięcy zupką i kawą zbożową. Żyli jak ostatni nędzarze. Prof. Żórawski, który mógł swobodnie się poruszać i umiał mówić po rosyjsku, otrzymywał obiad z mięsem od sowieckich oficerów. Czuł się jednak bardzo źle i wkrótce przeniósł się do Mądralina. Został p. Piotuch, który przechodził do sąsiedniej Sali archiwalnej przy pomocy Bednarka i porządkował tam pozostałe papiery. Zaprosiliśmy go na dół na obiady i kolacje, więc był jego się poprawił.¹⁹

¹⁸ Trzeba podkreślić niebywale trudną sytuację, w jakiej działał personel Pałacu. Nie były ostatecznie uregulowane sprawy własnościowe – wydano wprawdzie decyzję o przekazaniu rezydencji z gestii Ministerstwa Rolnictwa pod władanie Ministerstwa Kultury i Sztuki, lecz jej nie wyegzekwowano, toteż Łódzki Urząd Ziemski wciąż próbował pałacem zawładnąć. Nawet jeszcze w sierpniu 1945 roku, gdy był komplet gości, administracja ośrodka wpuściła grupę pijanych osób na nocleg, z trudem ich usunięto. Zatargom dawali odpór nieustępliwi pracownicy, wspomina się też o pomocy usytuowanej blisko milicji. Ale – Stanisław Lorentz był Naczelnym Dyrektorem Muzeów i Ochrony Zabytków w Polsce, nadto wiosną najważniejsza była dla niego rewindykacja skarbów, wywożonych w końcu wojny przez Niemców. Dr Jan Wegner mieszkał i pracował w Łowiczu, bywał w Nieborowie tylko w soboty i niedziele. Od maja na co dzień kierował wszystkim dr Mieczysław Smolarski, co zdecydowanie poprawiło warunki ochrony. Lecz prawdziwy przełom nastąpił, kiedy dr. Wegnerowi udało się ściągnąć Stanisława Mikołajczyka z wizytą do Arkadii i Nieborowa – odtąd zyskał w nim znakomitego sojusznika, który szybko rzecz uregulował.

¹⁹ Mieczysław Smolarski, *Referat o Nieborowie* (rękopis, 20 stron). Archiwum MNW. Stempel: Muzeum Narodowe w Warszawie. Datownik: Wpłynęło dn. 21-11-45. Nr VII-1510/45.

O stałych kłopotach aprowizacyjnych świadczyła (pozbawiona daty) notatka Stanisława Lorentza do Kazimierza Michałowskiego²⁰:

Kochany Kazimierzu!

Wieczorem rozmawiałem z min. Kowalskim²¹. Min. Kowalski decyduje się pojechać z żoną i dziećmi do Nieborowa na urlop. Podobnie jak min. Kruczkowski²² - przywiezie z sobą suchy prowiant (cukier, mąkę...), które trzeba przeliczyć po cenach wolnego rynku w Łowiczu i odliczyć od kosztów utrzymania.

Prosiłem, żeby do Ciebie zadzwonili na dwa dni przed wyjazdem. Bądź łaskaw Wegnerowi dać znać, żeby tak urządzić, by byli zadowoleni.

Twój Stanisław

Po lekturze pracy dr. Smolarskiego łatwiej zrozumieć przyczyny, dla których ministrowie Kowalski i Kruczkowski przywozili z Warszawy własne prowianty²³. A Smolarski dalej relacjonował nasilające się spory, także finansowe – aż w końcu sierpnia dostał polecenie, by ostatecznie załatwić te sprawy.

W Nieborowie było już sporo gości (wakacje!). Od lipca mieszkał tu dyrektor warszawskiego Archiwum Głównego, Adam Stebelski, pośród przybyłych „na wypoczynek” 11 sierpnia wymienia się Lorentza z rodziną (korzystali „z ośrodka wypoczynkowego” do 27 sierpnia), Kazimierza Michałowskiego, dr. Walawskiego. 19 sierpnia przybyli goście nader ważni: Jan Bułhak i świetna fotografka, „ob. Chomentowska”, którzy przygotowali pierwszą dokumentację fotograficzną Arkadii oraz muzeum i parku nieborowskiego²⁴. 6 września zwiedzał Nieborów i Arkadię wicepremier Stanisław Mikołajczyk (na zaproszenie pana kustosa Wegnera, co później profitowało przy załatwianiu urzędowych spraw²⁵). Cały wrzesień spędziła tu Maria Dąbrowska, przez dwa tygodnie bawił Waław Husarski... A w tym samym czasie odbywały się nadal dyslokacje sowieckiego wojska – 10 sierpnia opuściło budynki gospodarcze, by 30 sierpnia znów zacząć je zajmować.

Gdy na miejscu nie było pana Wegnera, te troski spadały początkowo na barki Adolfa Pawińskiego (aresztowany i uwięziony w marcu). W kwietniu 1945 szczęśliwie osiadł w Nieborowie historyk i pisarz, Mieczysław Smolarski, który zgodził się od 1 maja objąć stanowisko zastępcy kustosa. Mieszkał na miejscu

²⁰ Archiwum MNW,teczka 1292.

²¹ Władysław Kowalski, pisarz, był ministrem Kultury i Sztuki od czerwca 1945 do lutego 1947.

²² Leon Kruczkowski, pisarz lewicowy i działacz komunistyczny, w latach 1945-1948 wiceminister Kultury i Sztuki.

²³ Było to prawdopodobnie latem 1945 – panowie byli wtedy właśnie ministrem i wiceministrem kultury.

²⁴ Nie trafiłam na ślad tych zdjęć, nie wiadomo, czy się zachowały – w zbiorach muzealnych ich nie ma.

²⁵ Stanisław Mikołajczyk, wybitny polityk i działacz ruchu ludowego w II Rzeczypospolitej, później Rządu RP na Uchodźctwie, w czerwcu 1945 powołany w kraju na urząd wicepremiera i Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych w Tymczasowym Rządzie Jedności Narodowej, w 1947 roku wobec groźby procesu i kary śmierci przedostał się za granicę, zmarł w Waszyngtonie w 1966 roku.

i podjął energiczną działalność w wielu kierunkach: dozorował prace remontowe (na miarę skromnych możliwości finansowych), ogrodowe, organizował działalność oświatową. I przede wszystkim pilnował realizacji składanych przez władze obietnic.

Balansowanie na granicy prawa, uruchamianie biegu spraw „sposobem” wzmacniającym drogę urzędową, to zabiegi powszechnie stosowane w tamtych latach. Nie myślę tu o działaniach niezgodnych z prawem, lecz o przemyślnych sztuczkach, służących podejmowaniu przez różne władze decyzji potrzebnych i ważnych dla przyszłości Nieborowa – a potem pilnowaniu, by bez zwłoki były realizowane.

Takimi działaniami były na przykład interwencyjne wyjazdy Smolarskiego do Warszawy, Łowicza i Łodzi w celu oficjalnego zatwierdzenia przyobiecanych przez władzę obietnic. W szczególnie ważnych przypadkach pan kustosz Smolarski podążał ich tropem – było tak na przykład, gdy walczono o przyznanie muzeum części otaczającego je terenu rolnego, by utworzyć pas ochronny dla rezydencji. Wyczerpujące starania zakończyły się sukcesem; część odzysku przydzielono nawet na prywatne działki dla długoletnich pracowników.

*

W trakcie pisania tego szkicu natrafiłam nieoczekiwanie na mój pamiętnik, rozpoczęty właśnie w sierpniu 1945, gdy miałam 9 lat. Bazgroły te zawierają wprawdzie informacje niezbyt istotne – o porannym wstawaniu, o jedzeniu oraz o przyjaźni z Ewą Wegnerówną²⁶.

Ważne miejsce w moich zapiskach zajmowała postać ogrodnika, pana Stefana

²⁶ Pamiętnik, leżący gdzieś wśród papierów, odnalazłam trafem niezwykłym już w trakcie pisania tych notatek. Stukartkowy brulion, na początku data: „Nieborów, 17 sierpnia 1945”. Niestety jako dziewociolatka niezbyt się orientowałam, co warto w pamiętniku zachować. Wpisy rejestrują głównie to, że codziennie rano się budziłam, ubierałam i jadłam śniadanie. Że potem bawiłyśmy się w parku z moją przyjaciółką i równolatką Ewą Wegnerówną. Razem „woziłyśmy się” na bramie, zbierałyśmy witki, przesiadywałyśmy na kamiennych lwach (wtedy jeszcze nie było to uważane za profanowanie zabytku), włożyłyśmy na (łatwe) drzewa, robiłyśmy sztuczki na drągach i suszyłyśmy kwiatki. Pojawiają się także wieści o wielkich wydarzeniach: że 19 sierpnia przyjechał pan starosta z żoną i pozwolił Ewie i mnie bawić się w swoim samochodzie, że pan operujący wielką drabiniastą maszyną do przycinania żywopłotów pozwolił siedzieć na koniach, które ją ciągnęły, że Mama przywiozła z Łowicza owoce, które dała dzieciom (nieborowskie podobno doszczętnie zjedli rosyjscy żołnierze), są i informacje o wyżywieniu, które wyraźnie mnie wtedy fascynowało.

Mimo że najwięcej miejsca zajmowała rejestracja spraw tak przyziemnych, to nawet taki niepozorny tekst pozwala dorzucić trochę drobiazgów. Informacja o przyjeździe do Nieborowa pana starosty sugeruje, że dobre były z nim relacje; stąd też na przykład wiadomo, że goście z pałacu wzięli 25 sierpnia udział w hucznych nieborowskich dożynkach urządzanych w Jasionnie, gdzie obok „zabaw i tańców” były też „różne rzeczy do jedzenia”. Następnego dnia zwiedzaliśmy kościół w Bolimowie, tamże „karmiłyśmy kozy gruszkami” (kozy się pobiły, a świnia ukradła jabłko i uciekła) oraz byliśmy u garncarza. W ciągu kilku następnych lat wizyty u bolimowskich garncarzy i kupowanie pięknie malowanych naczyń, wazonów, lichtarzy i niemaliowanych dzbanków do nastawiania mleka na zsiadłe stałe się powtarzały, póki garncarzy nie zabrakło. A fascynującą częścią tych wypraw było obserwowanie procesu produkcji naczyń, formowania gliny na kręcącym się kole.

Opali, który wprowadzał mnie w świat węży – bardzo rozmnożyły się w parku w latach wojny zaskrońce i padalce; pan Opala kpił, że się ich boję, więc, by zachować twarz, przystałam na puszczenie gadów po moich rękach i ramionach; na dobre mi to wyszło, do dziś węże nie są mi straszne. I był pan Bednarek, gawędziarz, właściciel wspaniałego zwierzyńca – miał 2 krowy, kota, kury, cielaka i jamniczkę Myszkę. I była też staruszka, która na frontowym trawniku zbierała grzybki, podobne do psiaków – nasz kolacyjny przysmak²⁷. Najwspanialszym przeżyciem było jednak siedzenie „wierzchem” na koniach, ciągnących ogromną maszynę do strzyżenia parkowych drzew. Takie to były wtedy rozrywki, z takiego pułapu postrzegałam Nieborów.

Kłopoty z zakupem węgla i z aprowizacją były tematem powracającym, nie ustały po uporządkowaniu sprawy własności ziemi. Kustosze pisali do Starostwa Powiatowego także w następnym roku prośby o przydział żywności do funkcjonującej od kilku miesięcy „stołówki” dla jedenastu „funkcjonariuszy”²⁸. Problemy związane z zaspokajaniem tego typu potrzeb wylaniają się wciąż z zapisu Miecysława Smolarskiego.

Z powodu nieuregulowania statusu prawnego Wojewódzki Urząd Ziemski w Łodzi uważał ośrodek za swoją własność i po uwięzieniu dawnego administratora, p. Pawińskiego, ustanowił urzędnika, który ustawicznie wtrącał się do spraw rezydencji, starał się przejąć rządy również w pałacu i utrudniał życie pracownikom, między innymi nie dawał zaprowiantowania, nie przekazywał żadnych dochodów i odebrał jedyną bryczkę, którą mógł dojeżdżać z Łowicza wciąż zatrudniony w tamtejszej szkole pan kustosz. Wegner. Sprawa bryczki wreszcie została załatwiona pozytywnie w grudniu: „Dzięki staraniom dr. M. Smolarskiego Urząd Ziemski przyznał oddziałowi Muzeum Nar. w Nieborowie bryczkę na kołach gumowych” – donosił kustosz w sprawozdaniu. Rzecz była nader istotna: dzięki tej bryczce również niedysponujący samochodami nieborowscy goście mogli dojeżdżać do Pałacu ze stacji kolejowej w Bednarach.

Konflikt z zarządem folwarku dodatkowo się zaognił, gdy po interwencji w Warszawie urząd ziemski przysłał w środku nocy podpitych znajomków, żądając dla nich noclegu po dożynkach:

[...] stało się to w późnej godzinie nocnej, kustosze Muzeum nie byli o niczym uprzedzeni [...]. A pokoje nie muzealne na drugim piętrze były wtedy zajęte całkowicie przez dyrektora muzeum dra Lorentza, wicedyrektora p. Dziekana Michałowskiego i gości, skierowanych przez Związek Zawodowy Historyków Sztuki.²⁹

²⁷ Tego typu drobiazgi kraszą wspomniany pamiętniczek. Niegłębokie, ale dodają trochę lokalnego kolorytu.

²⁸ M. Smolarski, *Referat o Nieborowie*, dz. cyt.

²⁹ Tamże.

Można uznać, że wszystko to były nie warte wspomnienia drobiazgi – lecz te administracyjne przeszkody bardzo utrudniały zarządzanie Nieborowem.

We wrześniu bawił w Nieborowie przez kilka godzin wicepremier Stanisław Mikołajczyk, zaproszony przez pana Wegnera; wyraził podziw, obiecał pomoc. Ułatwiło to Smolarskiemu sfinalizowanie sporu z urzędem ziemskim: „nauczony doświadczeniem”, że niewygodne dla władz miejscowych zarządzenia giną lub są w nieskończoność odkładane, jeździł za nimi do Łowicza, Łodzi i Warszawy, miał teraz u kogo szukać protekcji – Mikołajczyk służył nią już wcześniej, chętnie pomógł i teraz, jak pisał Smolarski: „Nie inaczej postąpił i p. wicepremier, tym więcej, iż miał wielki szacunek dla zasług dyr. Lorentza i całego personelu Muzeum Narodowego w Warszawie, czemu dał wyraz”³⁰. Nadal nie oznaczało to jednak załatwienia sprawy. Na kilku stronach Smolarski opisuje kolejne przeszkody stawiane przez władze wojewódzkie, mimo iż wicepremier „na prośbie naszej napisał przychylną decyzję”; odsyłanie papierów do kolejnych instytucji, próby przewleknięcia sprawy – okazały się daremne, 26 września położono ostatni podpis, zatwierdzony jeszcze w Łodzi, „by Woj. Urząd Ziemski upoważnił urząd ziemski w Łowiczu do zdania Nieborowa. „Od dnia 10 października Nieborów stanowi oddział muzealny, uposażony ośrodkiem rolnym, a „rektor Wyższej Szkoły Gospodarstwa Rolnego oraz jej pełnomocnik p. Rudziński zgłosili natychmiast na życzenie dyr. Lorentza i p. dziekana Michałowskiego pomoc swą w zagospodarowaniu ponownym ośrodka”. Niebezpieczeństwo obcej ingerencji zostało zażegnane, Nieborów zachował swój pas ochronny.

Rychło ustaliły się zasady formowania szerokiego grona gości korzystających z pokojów gościnnych. Udostępniano je naukowcom, którzy tu znajdowali azyl do pracy i spędzali często po kilka tygodni. Zgodnie z zapowiedziami wpisanymi do wniosku o włączenie Nieborowa jako osobnego oddziału do Muzeum Narodowego, pierwszeństwo w uzyskaniu pokoju przysługiwało historykom sztuki związanym z Muzeum, z Uniwersytetem, szerokiemu gronu ludzi nauki, pióra, artystom. Wszyscy niezwykle sobie cenili Nieborów, w czym duża była zasługa serdecznej atmosfery, którą tworzył kustosz z rodziną – Jan Wegner, jego urodziwa i uśmiechnięta żona Jadwiga (zwano ją „piękną Wenerą”) i dwie córki, Ewa i młodsza Basia.

Niemal od początku Nieborów był oblężony przez cały rok, pokoje zamawiano na długo z góry. Szukano tu spokojnego miejsca do pracy, najchętniej na parę tygodni, miesiąc, luksusu samotności i kultury wypoczynku. Dlatego dzieci przyjmowano rzadko, nie było dla nich miejsca przy stole w jadalni.

Goście bliżej zaprzyjaźnieni bywali często, także w okresie wakacji, Świąt Bożego Narodzenia czy Wielkiejnocy. I gdy pokoje na I piętrze zachowały nazwy „Sypialnia Księżstwa” (Anny i Janusza) i „pokoje Księcia Wojewody” (Edmunda),

³⁰ Referat o Nieborowie, dz. cyt.

to na II piętrze miały przydomki już powojenne: „Dyrektorskie” (od Lorentzów), „Konserwatorskie” (zaraz po wojnie zajmowali je profesorowie Jan Zachwatowicz i Piotr Biegański), „Prezydencki”, „Wieża Gałczyńskiego” (poeta kilkakrotnie bywał w Nieborowie, upamiętnił te wizyty pięknym poematem o słynnej rzeźbie głowy Niobe), „Złociste” (łączone z osobą rektora UW, Stefana Pieńkowskiego, z jego żoną i jamnikiem Cerem, a potem – z Natalią i Zygmuntem Modzelewskimi i ich białym mini pudelkiem Triksą, także z Michałem Kaczorowskim). A w wieży na parterze, tam, gdzie po latach urządzono szatnię (czyż to nie profanacja?), mieszkał zawsze Leopold Infeld, stąd nazwa „wieża Infelda”. Strych był zamknięty – klucze początkowo trzymał chyba pan Konstanty Hassa.

Skład gości nieborowskich bywał zdumiewający. Początkowo przeważali historycy sztuki, pracownicy Muzeum i osoby zaprzyjaźnione; w okresie letnim 1945 roku jeszcze niewiele osób. Uderza łagodne współlistnienie luminarzy nauki i kultury z wysokimi przedstawicielami nowych władz. Przyjazne relacje panowały przy wspólnym stole, w jadalni, w palarni, gdzie oczekiwano na gong wzywający na posiłki. I na spacerach (nie tylko po parku – chodzono też do lasów, z jednej strony, drogą biegnącą obok domków państwa Opalów i Grzegorych, do odległej leśniczówki, z drugiej – biegnącej do Skierniewic, ciągnęły się przez wiele kilometrów lasy mieszane) i wieczorami przy kominku w bibliotece. Układały się bezkonfliktowo, w myśl milczącej, ale nieprzekraczalnej umowy, że żadne drażliwe tematy nie będą poruszane we wspólnych rozmowach. Do niedopuszczalnych były zaliczane tematy polityczne, ale także wszelkie sprawy, które by mogły źle odbić się na aktualnej sytuacji Nieborowa – na przykład pytania związane z powojennymi dziejami rodziny księcia Janusza Radziwiłła³¹.

Grono częstych gości było politycznie bardzo zróżnicowane, od ministra Skrzyszewskiego, Józefa Winiewicza i Jerzego Putramenta po Antoniego Słonimskiego (którego wiele lat później odwiedzał Adam Michnik), kompozytorów Romana Jasińskiego i Zygmunta Mycielskiego. Niełatwo pojąć, jak ludzie o głęboko różniące się orientacji światopoglądowej mogli zgodnie współżyć, spotykać się przy stole

³¹ Temat rodziny Radziwiłłów był szczególnie i długo drażliwy. Wydawać by się mogło, że po kilkunastu latach nie wzbudza już zastrzeżeń: Krzysztof Radziwiłł (z sąsiedniej gałęzi rodu) jako pracownik MSZu w pierwszych latach czasem przywoził zagranicznych gości (co miało świadczyć o pewnej swobodzie), a Izabela, synowa Janusza, mogła odwiedzić Nieborów parokrotnie, towarzysząc osiadłym za granicą wysoko sytuowanym kuzynkom. Niczego to jednak nie zmieniło – o czym świadczą ingerencje cenzury, dokonane jeszcze w 1981 roku, w książce Roberta Jarockiego *Rozmowy z Lorentzem*. Przytacza dłuższy fragment: „[16 stycznia] stary Radziwiłł zwołał spotkanie zaprzyjaźnionych arystokratów... – Owszem. To spotkanie w Walewicach mogło wyglądać podejrzanie. No, ale wszystko po półtora roku jakoś się wyjaśniło i Janusz Radziwiłł, choć już jako wdowiec, wrócił szczęśliwie do kraju...”. Zauważmy: imię księcia, zawsze traktowanego przez mojego ojca z najwyższym szacunkiem, zostało zastąpione lekceważącym słówkiem „stary”, a sprawę wyjazdu do Walewic przedstawiono jako „zwołanie spotkania”. Brak jakiegokolwiek informacji, co „jakoś się wyjaśniło”, ani skąd wrócił do kraju Janusz Radziwiłł. Są jednak wyraźne ślady oporu przeciw ingerencji cenzury: to ów niepoprawiony chaos składniowy i przede wszystkim dwukrotne zaznaczenie wielokropkiem dokonanych w tekście cięć. Wówczas takie znaki dobrze rozumiano.

i na spacerach i nie wszczynać politycznych sporów. Ta niezwykła harmonia była możliwa dzięki odpowiedniemu manewrowaniu listą zaproszonych osób, na przykład eliminowaniu tych, którzy zdecydowanie do tego grona nie pasowali³²; i polubowej zgodzie wszystkich, bo chciano zachować Nieborów w stanie ówczesnym jako enklawę wzajemnej życzliwości, cudowne miejsce pracy i odpoczynku.

Tryb życia: śniadania roznoszono do pokojów, obiad i kolacje spożywano w jadalni, przy dużym owalnym stole³³ (gdy brakło miejsc, dostawiano z boku 8-osobowe stoliki). Był to wspólny stół, przy którym porządek był ustalony: hierarchicznie usadzeni goście, u góry Lorentzowie, jako gospodarze zawsze kierujący toczącą się rozmową, wszystkich obejmującą; mowy nie było o zakłócaniu jej jakimiś bocznymi pogwarkami. Dalej goście najwyżej honorowani, potem miejsca coraz pośledniejsze, na końcu nieliczna młodzież. Góra rozmawiała, dół milczał z uszanowaniem.

Czas trawiono nie tylko na załatwianiu spraw poważnych – wykorzystywano okazje do wspólnej zabawy. Hucznie (jak na tamten czas), w kilkanaście osób, obchodzono pierwszego sylwestra przełomu 1945/46 roku. Do osób, które były już w Nieborowie (m. in. profesor Kazimierz Michałowski z żoną) 31 grudnia dołączyli, według oficjalnej notatki, „profesor UW Władysław Antoniewicz z żoną, prof. UW Władysław Tomkiewicz z żoną, prof. i generalny konserwator zabytków inż. Zachwatowicz z żoną i 2 córkami, mgr Witold Kieszkowki, zast. gen. konserwatora zabytków z żoną, arch. [Władysław] Mieszkowski z żoną, Irena i Alina Lorentzówny”.

Pamiętką po sylwestrowym szaleństwie pozostał nonsensowny i parodystyczny, zapisany ręką mojego Ojca:

³² Pisząc o gościach i obyczajach, mam na myśli tych, których traktowano jako zaprzyjaźnionych, a i spośród nich tylko drobną garstkę. Nie jest to księga wspomnień o personach, lecz jedynie próba przypomnienia **moimi oczyma** percypowanej atmosfery powojennego Nieborowa. Goście chwilowi: zagraniczni, reprezentacyjni, uczestnicy konferencji to inna sfera, bardziej oficjalna, występująca w monografiach Nieborowa.

Goście mniej chciani czasem zapadali w pamięć. Zgrozę mógł budzić przyjazd marszałka Konstantego Rokossowskiego. W otoczeniu kilkunastu żołnierzy (sic!) spacerował główną aleją parku, gości na czas jego pobytu usunięto z pobliza. Ochrona, jeśli ktoś już ją miał, była wówczas zwyczajowo o wiele skromniejsza – pan towarzyszący obok kierowcy w samochodzie, lub siedzący przy wejściu, tak zwany „aniołek”. Nigdy nie towarzyszyli na spacerach! Drugim skrajnym przypadkiem był minister sprawiedliwości, Henryk Świątkowski. Lękał się ogromnie (i zapewne nie bezpodstawnie) o życie, cały czas miał przy sobie funkcjonariusza bezpieczeństwa. Gdy był w pokoju, stróż siedział na krzeselku pod drzwiami; nocą ułożył się na sienniku. Goście nieszlachetnie zabawiali się jego kosztem, kpili proponując mu herbatę, zagadując, denerwując. Więcej do Nieborowa nie przyjechał. Jedynym, któremu zdecydowanie odmówiono noclegu, był Jerzy Urban, w stanie wojennym. Zemścił się: Przyszło polecenie bodaj z Rady Ministrów, by dać mu pokój, określono datę; pamiętam ogólne podniecenie – jak mamy się zachować, czy podać rękę, czy usiąść razem przy stole... Niepokoje okazały się bezzasadne: przyjechał z jakąś panienką, głośno poszedł na drugie piętro, zamknął się na trzy godziny i wyjechał. Okazał pogardę – chyba o to szło.

³³ Rzadko uczestniczyli w tych posiłkach kustosze – jako stali mieszkańcy jadali zazwyczaj z rodziną, we własnym mieszkaniu na parterze pałacu.

Regulamin Sylwestrowo-Noworoczny Muzeum Narodowego w Warszawie, Oddział w Nieborowie

Dyrekcja Muzeum Narodowego w Warszawie zarządza na okres Sylwestrowo-Noworoczny 1945/46 dla Oddziału w Nieborowie co następuje:

I. W sprawach gospodarczych:

& 1. Spożywanie napojów wysokowych dozwolone jest jedynie grupowo w godzinach posiłków, przewidzianych regulaminem ogólnym Oddziału.

& 2. Podbieranie z półmiska porcji sąsiada jest wzbronione, jako sprzeczne z zasadami demokratycznymi.

& 3. Wycieranie zatłuszczonych palców w herbowe obrusy

& 4. Elitarne wydzielanie się jednostek z grupy operacyjnej Sylwestrowo-Noworocznej ze względów konserwatorskich jest wzbronione. Takowe palce po starannym oblizaniu wycierać należy dyskretnie w chusteczki do nosa.

II. W sprawach społecznych

& 4. Elitarne wydzielanie się jednostek z grupy operacyjnej Sylwestrowo-Noworocznej jest wzbronione. Wyjątek stanowią nowożeńcy w ciągu pierwszych dwóch tygodni od zawarcia związku małżeńskiego.

& 5. Udział we wspólnych rozrywkach artystycznych, jako to tańcach, śpiewach chóralnych i tp. jest obowiązkowy.

& 6. Po wszelkich produkcjach artystycznych objawiać należy zadowolenie przez oklaski, okrzyki okolicznościowe i tp.

III. W sprawach między osobami płci odmiennych

& 7. Dozwolone są jedynie czynności legalne i zgodne z prawem.

& 8. W wypadkach wątpliwych orzekają kustosze Oddziału Muzeum w Nieborowie, których decyzja jest ostateczna i nieodwołalna.

& 9. Związki tymczasowe zgłaszać należy do uprzedniego zatwierdzenia przez Dyrekcję Muzeum Narodowego.³⁴

/Doc. Dr Stanisław Lorentz/

Niestety, regulamin dotarł, lecz moi rodzice w tym sylwestrze nie uczestniczyli³⁵. W tej oazie zgody i życzliwości zdarzały się nagłe kąśliwości, przedziwne wydarzenia. Dogryzano sobie w palarni, przy brydżu. Ostre spory toczyli w trakcie licytacji minister Modzelewski i moja matka, oboje zawzięci i nieustępliwi. Kiedyś doszli w ferworze do poziomu szlema – Mama miała longier w pikach i niewiele poza tym, a on – znakomite karty. Piki, bez atu; piki, bez atu – i tak dalej, do szlemika bez atu, szlema w piki, szlema bez atu – oczywiście nie wyszedł. Lecz że grano tzw. zapisem polskim, niewiele to kosztowało, tylko wściekli byli oboje.

³⁴ Rękopis, zbiory prywatne Aliny Kowalczykowej.

³⁵ „Tata i Mama nie pojechali, bo Tata jest chory na serce. Akurat miał atak. Mama bardzo żałowała, że nie może jechać. Nie spałam do pierwszej, ale mi było bardzo smutno, bo to mój pierwszy Sylwester bez Rodziców” – mój *Pamiętnik*, dz. cyt.

Okrutnie, lecz elegancko, załatwił przeciwnika Słonimski. W Anglii w brydżu wykształcony, grał znakomicie, a jego przypadkowy partner Józef Prutkowski, satyryk, grał i zachowywał się fatalnie: wrzasnął do poety: „gra pan jak noga!”. Na co Słonimski, spokojnie: „Ja pana nieco wyżej cenię”.

Grano nie tylko w brydża, przy drugim stoliku, na kanapie i fotelach, toczyła się często gra w kinga, uczestniczyły głównie panie, a czasami królował wśród nich Leopold Infeld.

W parku były dwa stawy, „kanał” przewodził wodę ze strumyka cementową rurą do stawu wielkiego, okrągłego. Między nimi wiedzie dróżka od pałacu do ogrodu angielskiego. Chodziło się nad staw, by podziwiać wysepkę, a przez kilka lat – także łabędzia, zakochanego w gęsi i wiernie jej towarzyszącego. Do tego stawu zimą wpadł Antoni Słonimski, szczęśliwie się nie zaziębił, lecz nie miał garnituru na zmianę chodził po pałacu i siadał przy stole w czerwonym pluszowym szlafroku mojej matki.

Na zakończenie – warto odwołać się do wspomnień gości, najlepiej obrazujących atmosferę tamtych lat i rolę, jaką Nieborów odgrywał w ich życiu osobistym oraz dla chronienia myśli intelektualnej i naukowej pierwszych powojennych lat.

Władysław Tatarkiewicz:

Jak spędzałem tu czas? Przedpołudnia przeważnie pracowicie. Jeśli tylko była pogoda brałem stół i fotel pod platan, papier, notaty, pióro – kilka rozdziałów mej powojennej książki (*Historia estetyki*) powstało właśnie w Nieborowie. I te nieborowskie przedpołudnia należą do mych najlepszych wspomnień. Pod platanem cień, ale dokoła słońce, pachną kwiaty; gdy się podniesie oczy, widzi się piękną fasadę pałacu czy potężny masyw drzew, a nawet wycieczki, przechodzące obok, są przyjemnym urozmaicheniem. – Oczywiście nie samą pracą się żyje, zwłaszcza w lecie. Przed wieczorem chodziliśmy z żoną na spacer, najczęściej do lasu albo, późniejszym latem, na pola zżęte i pod sterty. Wieczorem zwykłą rzeczą w Nieborowie jest brydż i czasami przy stoliku zbierali się bardzo dobrzy partnerzy³⁶.

Stefan Mrożewski³⁷:

Szczęśliwy był wybór wielkopańskiej siedziby w Nieborowie na miejsce pracy czy wypoczynku dla ludzi skolatanych, zmęczonych miejskim zgiełkiem [...]. Gościnność Nieborowa pobija wszelkie rekordy. [...] Przy pierwszym brzasku dnia wyszliśmy cichaczem z domu, by iść po porannej rosie w parku, a potem w położone poza nim pola. Wychodziliśmy tak sobie co dzień, przed wschodem słońca. Przenosiłem na papier przepiękne motywy przyrody, z małą tylko przerwą, gdy Irka udawała się do kuchni

³⁶ W. Tatarkiewicz, *Moje przyjazdy do Nieborowa*, w: *Nieborów 1945–1970. Księga pamiątkowa*, Warszawa 1970, s.154-155.

³⁷ Stefan Mrożewski, artysta polski stale zamieszkały w Kanadzie. Podczas pobytu w Polsce kilkanaście dni spędził w Nieborowie.

po posiłek, który następnie spożywaliśmy gdzieś pod lasem, pod gruszą, pod snopami związanego zboża... Czyż może być coś piękniejszego, coś, czego się nigdy nie zapomni w życiu? Czy życie – gdy się niekiedy o czymś mniej miłym zapomni – może być miłsze, niż w Nieborowie?³⁸

Maria Ossowska wspominała:

(...) zwykliśmy z mężem przyjeżdżać do Nieborowa na święta Bożego Narodzenia, na przerwę międzysemestralną, na Wielkanoc, a czasem jeszcze wczesną jesienią, gdy Nieborów był najpiękniejszy. Przyjeżdżaliśmy zazwyczaj nie po to, żeby ten okres przeprożnować, lecz raczej by go należycie wykorzystać dla jakiegoś teoretycznego skupienia. Z wdzięcznością wypada wspomnieć zawsze życzliwe i gościnne przyjęcie, które zepsuło nas tak, że zaczęliśmy jeździć do Nieborowa jak do rodzinnego domu. Ta atmosfera życzliwości stała się dla mnie jeszcze bardziej cenna, gdy wypadło mi już jeździć do Nieborowa samotnie. Szczególnie dobrze pracowało się w bibliotece.³⁹



Stanisław Lorentz i Walenty Ładosz w Nieborowie

³⁸ S. Mrożewski, *Gościnne progi Nieborowa*, w: *Nieborów 1945–1970*, dz. cyt., s. 213–215.

³⁹ M. Ossowska, *Uroki Nieborowa*, w: *Nieborów 1945–1970*, dz. cyt., s.158.

NIEBORÓW

- 1) Prośba o pismo zabezpieczające unygodnienia zabaw i ogrodów w Arkadii;
- 2) prof. Zachwatowicz { Zaliczka 30.000 na remont zewnętrzny (okna, drzwi itp.) domu z sierż. kłosa Tuka w Arkadii.
Opłata ~~na~~ za ostatni roczn. danek, przyjęta w obecności p. W. Kienkowskiego, obejmując kwotę 50.328,40 zł.
- 3) Prośba o pomoc Kancelaryjną (pisanie na marginesie, nakrótka nad Kuchniem, Książki Kserowa, rachunki wyliczenia i sp.)
- 4) Prośba o przesłanie sekta do oświetlenia i ~~towarów~~ deputatów z pismem polecającym ile dla pracowników i innych i co dla polowych.
- 5) Złota kłosa sztabu M. Koralakiego dla pracowników muzealnych

N. 26/V. 46.

Rękopis Stanisława Lorentza - sprawy bieżące dotyczące Arkadii i Nieborowa

IV.
MARGINESY
DOPOWIEDZENIA
RECENZJE



Julian Tuwim z córką Ewą

ANTOLOGIA POLSKIEJ POEZJI REWOLUCYJNEJ 1918–1939

RECENZJA¹

Tradycje literackie polskiej lewicy lat międzywojennych, temat wzbudzający niegdyś kontrowersje, obecnie, po latach kilkudziesięciu, wart jest z pewnością rzetelnego opracowania. Należałoby wyznaczyć pole penetracji, określić z grubsza zakres tekstów wchodzących do kanonu „poezji rewolucyjnej”, wychwycić charakterystyczne cechy poetyki tego nurtu. W jaki sposób porządkuje i przedstawia te problemy książka Mariana Stępnia?

Już przy pobieżnym przeglądaniu zawartości uderza niekonwencjonalnie szeroki wachlarz autorów, których wiersze zostały włączone do antologii; jest między nimi wielu takich, których dotychczas nie kojarzono wprost z ideologią rewolucyjną – jak na przykład Jalu Kurek, Julian Tuwim, Czesław Miłosz, Marian Piechal. Szukając we *Wstępie* wyjaśnienia przyjętej koncepcji, zasady, wedle której utwory zostały uznane za „rewolucyjne”, znajdujemy je dopiero w *Nocie wydawniczej*: antologia została pomyślana jako przegląd tekstów, „które pobudzały lub utrwalaly nastroje rewolucyjne” (s. XCV). Nie wydaje się to wyjaśnieniem wystarczającym – gdyż za „pobudzający lub utrwalający” określone nastroje, nastroje rewolucyjne, może zostać uznany każdy niemal utwór, który zawiera odrobinę bodaj krytycyzmu wobec sytuacji polityczno-społecznej. O rozszerzeniu pojęcia „poezja rewolucyjna” wspomina Stępień także uzasadniając zasadę wyboru wierszy – wykracza się tu poza „tradycyjnie przyjęte granice”, włączając obok utworów, których rewolucyjność wynika niejako ze społeczno-politycznej postawy twórców, także wiersze, które podejmują „motywy, tematy i emocje charakterystyczne dla rewolucyjnej poezji” (s. XCI), choćby ich autorzy byli „niezwiązani ze społecznym ruchem rewolucyjnym” (s. XCI). Kryteria są zatem ogromnie płynne i w rezultacie często trudno odgadnąć, jaki motyw, temat czy emocja wyrażone w wierszu pozwoliły go uznać za „rewolucyjny”. Zupełną zagadką są pod tym względem na przykład wprowadzone do antologii utwory Jalu Kurka *Whitman* i *Wycieczka robotników*.

¹ Zob. *Antologia polskiej poezji rewolucyjnej 1918-1939*, oprac. Marian Stępień, Wrocław – Warszawa – Kraków – Gdańsk – Łódź 1982, ss. CIV, 484, errata na luźnej kartce. „Biblioteka Narodowa”, seria I, nr 243. (Redakcja „Biblioteki Narodowej”: Jan Błoński i Mieczysław Klimowicz.)

Układ *Wstępu* nie stwarza możliwości dla sformułowania refleksji metodycznej. Pisze się w nim bowiem nie o wybranych tekstach, lecz o dyskusjach i polemikach kształtujących pojęcie poezji proletariackiej czy rewolucyjnej w dwudziestoleciu. Autor ukazując tę problematykę w porządku mniej więcej chronologicznym: rozpoczyna od zwięzłej informacji o polskiej poezji rewolucyjnej sprzed roku 1918. Omawiając zaś późniejsze polemiki wokół tej twórczości przed drugą wojną światową, lokuje je często na szerszym tle sporów o kulturę robotniczą. Pisze także o wybranych twórcach i ich poglądach literackich: w tok wywodu zostały wplecione krótkie omówienia biografii i twórczości najważniejszych poetów tego nurtu.

Koncepcja *Wstępu*, w którym rezygnuje się z bliższego powiązania go z antologią, z próby ogólnej refleksji na temat „poezji rewolucyjnej”, czy analizy historycznoliterackiej tej poezji, nie wydaje się najbardziej słuszna. Więcej: i to, co jest we *Wstępie*, ujęcie i sposób przedstawienia tematu, wzbudza w wielu miejscach poważne wątpliwości.

Na początku *Wstępu* referuje się koncepcje poezji rewolucyjnej powstające w kręgu komunistycznej lewicy. Dalej omówienie przebiega innym torem: rozdział 3 jest zatytułowany *Z poezji futuryzmu* (zupełnie nie wiadomo, dlaczego tu zostały włączone *Trzy salwy* Wandurskiego, Standego i Broniewskiego – żaden z autorów futurystą nie był), w rozdziale 4 jest prezentowany dalszy ciąg dyskusji o poezji proletariackiej, rozdziały następne (5 i 6) mówią o „kręgu zdobyczy i tradycji awangardy”, o „kręgu problematyki chłopskiej”, o Broniewskim i wreszcie – o rozwoju badań nad polską poezją rewolucyjną.

Pisząc o pierwszych latach okresu międzywojennego, Stępień koncentruje słusznie uwagę na poglądach kształtujących się wśród lewicy komunistycznej, na przenoszonych na grunt polski ideach proletkultu i wydawanych w tym kręgu lewicy czasopismach – „Kulturze Robotniczej” i „Nowej Kulturze”. To w tym właśnie środowisku wykluwały się po I wojnie pierwsze idee związane ze sztuką rewolucyjną; sekretarzem redakcji „Nowej Kultury” był Władysław Broniewski (o czym niestety we *Wstępie* nie wspomina), umieścił na jej łamach kilka tekstów. Tu też doszło po raz pierwszy do próby połączenia rewolucyjnych treści z awangardową formą – do krótkotrwałej współpracy z futurystami. Z punktu widzenia Stępnia, w którego szkicu relacje między poezją rewolucyjną a awangardą zajmują wyjątkowo wiele miejsca, sprawa ta wydaje się istotna; niestety, ten ważny moment jest zasygnalizowany tylko enigmatycznie. Dowiadujemy się, iż „próba nawiązania bliższej współpracy nie zakończyła się pomyślnym rezultatem” (s. XVI-XVII), dalej znów zamiast konkretnych informacji poznajemy opinię Stępnia, iż była wówczas podstawa do „nadziei, że wejdzie się na wspólną drogę poszukiwań formuły nowej poezji wyrażającej aspiracje proletariatu. Nadziei, warto od razu dodać, niezupełnie złudnej, skoro drogi wielu twórców idących odmiennymi szlakami miały się przecieżyć w bardziej czy mniej odległej przeszłości spotkać” (s. XVII). Przytoczony

fragment jest pisany stylem charakterystycznym dla wielu miejsc tego tekstu: zamiast faktów przytacza się ogólniki, zwłaszcza wtedy, gdy fakty niezbyt dobrze przylegają do koncepcji autora. Tak na przykład kwituje się ogólnikami autentyczny konflikt, jaki wybuchł w „Nowej Kulturze”, gdy wprowadzono do niej futurystów: były negatywne reakcje czytelników, gwałtowne polemiki zakończone szybko usunięciem futurystów z łam pisma.

Jakie nurty poetyckie, jakie grupy zagadnień wprowadza Stępień w charakterze kontekstu, w którym umieszcza „poezję rewolucyjną”? Wiele miejsca, jak wspominałam, poświęca futuryzmowi i awangardzie – omówieniu wykluwających się w tych kręgach poglądów na „nowe wartości społeczne”, niesione przez własną twórczość awangardystów (Brzękowski) i polemikom wywiązującym się wokół możliwości wykorzystania technik awangardowych w poezji o nastawieniu społecznym. Wiele też pisze o dyskusjach autorów lewicy wokół poezji chłopskiej. Futuryzm, awangarda, autentyci, poezja chłopska – to tło dla polemik; podstawowe pytanie dotyczyć musi jednak tego, jak przedstawia się w tym wywodzie obraz środowisk, w których powstawała „poezja rewolucyjna”, których poetów się tu zalicza, które czasopisma...

Pierwszą wskazówkę stanowią podtytuły, eksponujące wybrane tematy i stanowiska; o kim i o czym się tu pisze? Po rozdziale o proletkulcie pojawiają się Jasiński, Młodożeniec, tomik *Trzy salwy*, „pozycja PPS”, Kruczkowski (lecz z artykułem z r. 1926, gdy był gorącym wyznawcą ideologii „uniwersalizmu”, a daleko mu było jeszcze do komunistycznej lewicy), „Zwrotnica”, Hulka-Laskowski, „Meteor”, „Głos Literacki”, Peiper („Nie podzielał bez reszty poglądów lewicy komunistycznej” – pisze na stronie XXXII Stępień, sugerując, że podzielał je po części), „Kwadryga”, „Nowa Kwadryga”, Dobrowolski, Szymański, Brzękowski, Piwowar, Czuchnowski, Fik, „Nowa Wieś”, Skuza – i na koniec cały rozdział o Broniewskim.

Panoramę tę tworzą zatem postaci związane z szeroko rozumianą tradycją intelektualnej lewicy – KPP, PPS, różnych ugrupowań chłopskich. Zestaw pojawiających się na tym tyle tytułów czasopism wzbudza zażenowanie: są pisma lewicującej inteligencji, nie pojawiają się (i we *Wstępie* nie są nawet ani razu wspomniane!) czasopisma inspirowane przez Komunistyczną Partię Polski, redagowane przez jej działaczy i sympatyków. Na „Nowej Kulturze” (r. 1924) kończy się zainteresowanie Stępnia prasą społeczno-literacką komunistycznej lewicy. Autor, zafrapowany „Zwrotnicą”, „Meteorem”, „Głosem Literackim” i „Kwadrygą”, ominął „Dźwignię”, „Miesięcznik Literacki”, „Lewar”. Przypomnijmy zatem: do redakcji „Dźwigni” wchodził komuniści Hempel i Stawar, na jej łamach wiele miejsca poświęcano problemom kultury proletariackiej, a Broniewski drukował tam m.in. słynne wiersze *Łódź* i *Elegia na śmierć Ludwika Waryńskiego*. „Miesięcznik Literacki” był redagowany przez dwóch członków KPP (Hempla i Stawara) i dwóch poetów bliskich komunizmowi (Wata i Broniewskiego), a przynajmniej wspomnieć by o nim trzeba

i dlatego, że programowa w tym piśmie minimalizacja roli poezji – na rzecz reportażu – jest też ważnym głosem w dyskusji o poezji. I wreszcie „Lewar” – wyjątkowo trwała trybuna rewolucyjnej lewicy (1933–1936), czasopismo komunistów publikujące ożywione dyskusje na temat literatury proletariackiej – o poezji pisał na jego łamach między innymi Lucjan Szenwald.

Dyskryminacja tradycji KPP-owskiej w książce poświęconej rewolucyjnej poezji dwudziestolecia międzywojennego wydaje się zabiegiem wyjątkowo przykrym. A znajduje ona wyraz nie tylko w całkowitym przemilczeniu tytułów KPP-owskiej prasy społeczno-literackiej. Nie pojawia się w antologii żaden utwór poety tak znakomitego i tak mocno ówczesnie związanego z ideologią komunistyczną – Aleksandra Wata (jego nazwisko raz jeden, jako futurysty, wymieniono we *Wstępie*); przypomnijmy tu choćby z tytułu wiersz *Policjant*, utwór wyjątkowo ostro antyreżimowy – i bez wątplenia rewolucyjny. Prawdopodobnie późniejsze, powojenne już, perypetie życiorysowe zdecydowały o zupełnym wykreśleniu twórczości Stanisława Wygodzkiego, który jednak w dwudziestoleciu, a więc w okresie objętym antologią, był poetą bardzo mocno związanym z ruchem komunistycznym: przed maturą usunięty ze szkoły za komunistyczną agitację, dwa lata spędził w więzieniu, debiutancki tom poezji opublikował w Moskwie (*Apel*, 1932), był współpracownikiem radzieckich czasopism „Kultura mas” i „Literatura mirowej riewolucyi”.

Dalszym świadectwem dyskryminacji tradycji KPP-owskiej – z powodów zupełnie już niezrozumiałych – jest w niektórych pomieszczonych w antologii notach biograficznych pomijanie faktów mówiących o powiązaniach pisarzy z ruchem komunistycznym. Przykładem szczególnie jaskrawym jest informacja o Antonim Kasproviczu. Jego działalność w dwudziestoleciu skwitowano dwoma zdaniami: „Jako samouk zdał egzamin do Gimnazjum Handlowego w Łodzi, ale po roku przerwał naukę. Był długie okresy bez pracy, pewne dochody czerpał z udzielania korepetycji” (s. 360). Jeśli już pisze się, że był bez pracy, warto wspomnieć, że pracował w Łodzi w Muzeum Archeologiczno-Etnograficznym od roku 1935, potem w Wojewódzkim Biurze Funduszu Pracy. Przede wszystkim jednak, przedstawiając sylwetkę pisarza w antologii poezji rewolucyjnej, nie można pomijać faktu jego przynależności do KPP ani faktu skazania go w 1939 roku z powodu działalności politycznej na osadzenie w Berezie Kartuskiej (przewożony tam już w pierwszych dniach wojny, uciekł z transportu). To fakty trochę ważniejsze niż czerpanie dochodów z korepetycji.

Sposób prezentowania we *Wstępie* (niezależnie od not biograficznych w antologii) życiorysów wybranych autorów nieraz wzbudza wątpliwości. Czasem zbyt bezkrytycznie ufa się wyznaniom samych pisarzy – czym bowiem innym można by tłumaczyć osadzenie rodowodu Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego akurat w kręgu wartości wyznaczonych „przez tradycję jakobińską XVIII wieku” (s. LI)? Z kolei o Broniewskim dowiadujemy się, iż dzieła Lenina czytał „jako podporucznik

w dziewiętnastym, dwudziestym roku, znajdując je w bolszewickich taborach” i że był to „>pocałunek Almanzora<, za który dziękował po latach radzieckim towarzyszom” (s. LXXX); w takiej zawołowanej formie wspomina się o tym, że poeta brał udział w wojnie polsko-radzieckiej. Można chyba było powiedzieć to wprost, jeśli wprost zostało powiedziane w dalszej części tomu. Zawołowana forma wydaje się tu akurat wyjątkowo niewłaściwa – wiadomo bowiem ze wspomnień poety, że co najmniej równie mocno, jak lektura dzieł Lenina, wpłynęły na ukształtowanie jego rewolucyjnych poglądów dramatyczne przeżycia z frontu wschodniego. W związku z problemem tejże wojny jedna jeszcze uwaga: jakim sposobem w antologii poezji rewolucyjnej mógł znaleźć się wiersz Przybosa *Parada śmierci*, lirycznie wspominający „atak na Krasne” w roku 1920, czyli walkę Polaków przeciw rewolucyjnym właśnie oddziałom Budionnego? Jeśli były podstawy, żeby taki wiersz tu włączyć, należało w komentarzu wyraźnie wskazać ten, ukryty widać, sens utworu.

Styl, jakim jest napisany *Wstęp*, nasuwa wrażenie niestaranności czy może pośpiechu. I tak na przykład w rozdziałku poświęconym programowi „Meteora” podaje się tylko, że była to „Grupa poetów łódzkich związana z >Meteorem<” (s. XXXVIII) – ale brak wyjaśnienia, czym był „Meteor”, dat, nazwisk – informacja bardzo niejasna. Stefan Napierski jest określany jako „Jeden z reprezentatywnych” dla „Wiadomości Literackich” krytyków (s. XXVIII). Po tym wyjaśnieniu jego pozycji dowiadujemy się, że polemizował z nim Jan Hempel w numerze 1. „Nowej Kultury” z 1924 roku, więc wtedy, gdy „Wiadomości Literackie” dopiero powstawały, a Napierski nie był jeszcze ich „reprezentatywnym krytykiem”. Może to drobiazg – ale świadczący o niestaranności, jakiej na ogół nie spotyka się w edycjach „Biblioteki Narodowej”.

I jeszcze jedna uwaga dotycząca *Wstępu*: referując spory literackie, Stępień czyni to nie zawsze lojalnie wobec autorów, których postawy nie pochwała. Czytamy na przykład na s. XXIX: nurt „rozpoczęty wystąpieniami Napierskiego i Słonimskiego, niechętny poezji podejmującej idee komunistyczne i hasła walki o nowy świat społeczny [...]”. Sugeruje się tu, wymieniając jednym tchem niechęć wobec idei komunistycznych i wobec walki o nowy świat społeczny, że do obu tych idei Napierski i Słonimski odnosili się niechętnie. Zdumiewające jest sugerowanie, że ci właśnie autorzy nie walczyli o „nowy świat społeczny” – toż można o taki lepszy świat walczyć, nie będąc szermierzem idei akurat komunistycznych! Przykład drugi – z tejże stronicy: referując krytyczne poglądy Wittlina na Proletkult i jego polskie przedłużenia, Stępień określa je mianem „insynuacji”, mianem z góry deprecjonującym. Co dziwniejsze, z inkryminowanego cytatu z Wittlina wynika, że ocena pozycji polskich proletkultowców dokonana przez Wittlina pokrywała się z tym, co o nich na wcześniejszych stronicach *Wstępu* pisał Stępień. Taki sposób tendencyjnego referowania cudzych poglądów spotyka się czasem w publicystyce – nie wydaje się on na miejscu w rozprawie naukowej.

Niektóre komentarze, jakimi Stępień opatruje cytowane we *Wstępie* teksty, sprawiają wrażenie, jakby nie zauważał ich autentycznego sensu; na przykład zdanie Brzękowskiego: „Poeci istotnie zaangażowani w walce społecznej prawie zawsze przestają pisać, bo rzeczywistość życiowa przytłacza w nich rzeczywistość poetycką” (s. LVII), zostało skwitowane banalnym stwierdzeniem: „Rozumowanie to, rozwinięte konsekwentnie do końca, musiałyby prowadzić do rezygnacji z literatury rewolucyjnej” (s. LVIII) – jakby badacz nigdy nie słyszał o podobnych dylematach, choćby pisarzy romantycznych, jakby lekcewał biografię na przykład Mickiewicza.

Dobór autorów i tekstów w antologii jest oczywiście sprawą subiektywną, zależy od opinii i gustów tego, kto antologię układa. Można by więc najwyżej zastanowić się, czy zamieszczone w niej utwory to rzeczywiście nurt „rewolucyjny”, czy nie nadmiernemu zatarciu uległy granice między wierszem „rewolucyjnym” a tym, w którym pojawia się jakikolwiek tzw. temat społeczny. Chyba tylko pokusą włączenia do antologii nazwiska laureata nagrody Nobla tłumaczyć można pojawienie się w niej wiersza Miłosza *Siena*.

Jeśli jednak jakiś utwór został do antologii zakwalifikowany, nie powinno się go dyskryminować ze względu na nie dość „rewolucyjną” biografię jego autora. A stało się tak w przypadku tekstów Tuwima i Słonimskiego, które zupełnie niezgodnie z chronologią zostały umieszczone daleko, po utworach Flukowskiego, Szemplińskiej, Szenwalda... Stępień motywuje to tym, iż „twórczość autorów tej grupy [tj. Skamandra – A. K.] – ogólnie rzecz ujmując – daleka była od rewolucyjności” (s. XCIII). Dlaczego jednak Tuwim i Słonimski zostali ukarani za „autorów tej grupy”, dlaczego w ogóle wprowadzać odpowiedzialność zbiorową?

W antologii zawierającej utwory z okresu dwudziestolecia międzywojennego noty biograficzne powinny – rzecz oczywista – również eksponować szczególnie ten właśnie etap życia autorów. Niestety w omawianej książce zawarte w notach informacje sprawiają wrażenie zgromadzonych zupełnie przypadkowo. Często – jak we wspomnianym przypadku A. Kasprowicza – dane dotyczące lat 1918–1939 są nikłe w porównaniu z rozbudowaną biografią późniejszą. Na przykład o życiu Szemplińskiej w okresie dwudziestolecia dowiadujemy się tylko, że: „Szkolę średnią ukończyła w Warszawie, potem podjęła studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim” (s. 236) – znacznie więcej o latach późniejszych. Podobnie nadmiernie rozbudowano informacje o dziejach powojennych w notach o Milerze, Dobrowolskim i wielu innych. Za przykre nieporozumienie trzeba uznać skwitowanie rewolucyjnej działalności Mariana Czuchnowskiego dość lekceważącym i mylącym sformułowaniem, że „zbliżył się do rewolucyjnej młodzieży, co spowodowało, że w latach 1930–1939 był kilkakrotnie aresztowany” (s. 184). Za samo „zbliżanie się” wtedy nie aresztowano, a był to przecież bodaj najbardziej rewolucyjny chłopski poeta i działacz w dwudziestoleciu, nie tylko „kilkakrotnie aresztowany”, ale przetrzymywany w więzieniu, co także ze względu na jego stan zdrowia wywoływało głośne prote-

sty pisarzy i publicystów; w 1937 roku postawiono mu nawet zarzut zdrady stanu! O działalności w dwudziestoleciu Juliusza Wita dowiadujemy się tylko, że „jako poeta związał się z Awangardą Krakowską” (s. 331). Z noty biograficznej Stanisława Jerzego Leca wynika, że podczas pobytu na placówce dyplomatycznej w Wiedniu spędził dwa lata w Izraelu – jak to możliwe?

Zastrzeżenia jeszcze poważniejsze wzbudza strona edytorska tomu. W *Nocie wydawniczej* Stępień zapowiedział, iż podaje teksty według ich pierwodruku w czasopiśmie, dodał też: „Często źródłem było pierwsze wydanie książkowe utworu. W uzasadnionych wypadkach przyjmowano za źródło wydanie zbiorowe lub wybór sporządzony pod pieczęą autora. Objasnienia do tekstów podają, z jakich źródeł zostały one zaczerpnięte” (s. XCV). Niestety nie zostało wyjaśnione, co uznaje się za „uzasadnione przypadki” pozwalające jako podstawę przedruku przyjąć edycję powojenną. Ponadto nawet tak swobodnie sformułowana zasada edytorska nie jest przez Stępnia respektowana. Przykłady: wiersze Teodora Bujnickiego są przedrukowywane z wyboru przygotowanego nie „pod pieczęą autora”, lecz – w 19 lat po jego śmierci – przez jego syna. Trudno też przypuścić, by zmarły w czasie wojny Lech Piwowar otaczał swą pieczęą wybór wierszy opublikowany w r. 1978, a Juliusz Wit, zmarły w 1942 r., wybór wierszy wydany w r. 1959 przez Sandauera. Wiersz Wasilewskiej został zaczerpnięty z książki Heleny Zatorskiej, opublikowanej w 1976 roku. Za źródło służą Stępniewi nawet edycje nie wiadomo przez kogo opracowane – jak wydane w 1959 r. *Utwory poetyckie* Szenwalda.

Gdy przedrukowuje się wiersz za wydaniami powojennymi, czytelnicy sięgający do edycji „Biblioteki Narodowej” mają prawo wymagać, by określono datę jego powstania lub pierwodruku, choćby w przybliżeniu. Jest to szczególnie ważne w przypadku poezji społecznie aktywnej, z reguły silnie związanej z konkretną sytuacją; często u źródeł tych wierszy leżą wydarzenia aktualne. W komentarzach Stępnia panuje pod tym względem zupełna dowolność: czasem lokalizuje się pierwodruk, czasem nawet – późniejsze przedruki, bardzo często zaś nie ma żadnej informacji, prócz wskazówki, że źródłem przedruku jest jakaś edycja z lat pięćdziesiątych czy siedemdziesiątych.

Niewiarygodne w ogóle wydaje się – w edycji o takim charakterze! – podjęcie decyzji, że źródłem przedruku mogą być opracowane „pod pieczęą autora” edycje powojenne. „Pieczęć autora” oznacza często, że przerabia on teksty, szczególnie gdy stylizuje nieco swój życiorys i wygodnie jest mu usunąć (lub wymienić na inne) pewne fragmenty tekstu. Przekształcone wiersze stawały się może lepsze, a na pewno bardziej pasowały do powojennych pojęć o „rewolucyjności” tekstu. Ale po takiej modernizacji nie mają prawa znaleźć się w antologii obejmującej twórczość poetycką z lat 1918–1939.

Aby zilustrować, jak bardzo różnią się teksty z edycji Stępnia od wierszy powstałych w latach 1918–1939, warto podać parę przykładów.

Słynna kiedyś była sprawa retuszków wprowadzonych do wierszy w wydaniu powojennym przez Sterna. Stępień przedrukowuje *Anielskiego chama* w nowym układzie, z licznymi zmianami, między innymi z dwuwersem:

Robotnicy bracia was jednych dziś sławię
o parujący ludzie wspanialszy od aniołów!

Pierwotnie było inaczej:

ROBOTNICY śmierzcząca uskrzydłona gawieź
o parujące bydło cudniejsze od aniołów

Różnica dość istotna.

W wersjach prezentowanych przez Stępnia retusze mają różny zakres – od zmiany jednego słowa po dopisywanie całych strof. Wiersze poprawiane przez autorów różnią się od wersji pierwotnych modyfikacjami stylistycznymi (w nowym kształcie na przykład utwory S. Flukowskiego to wiersze dużo bardziej dojrzałe poetycko, lepsze), ale przede wszystkim sensem. Usuwane jest słownictwo kojarzące się z niebem czy Bogiem – widać sądzi się, że takie pojęcia nie powinny pojawiać się w poezji lewicowej. I tak gdy w pierwodruku wiersza *Bezrobotni* Flukowskiego dwukrotnie pojawiała się „niebo”, to w wersji przedrukowanej przez Stępnia raz zastępuje je „przestrzeń”, a raz – „powietrze”. Piechał, przed wojną „stając się poetą”, poczuł w sobie „boży błysk” (*Pomnik*); Stępień przedrukował wersję nową – jest już tylko „nagły błysk”.

Wygląda się nieco stylistykę poezji rewolucyjnej: zamiast „charkotu Żydów” z przedwojennego wiersza Przybosia *Wiosna 1934* znalazło się tu sformułowanie delikatniejsze – acz bardziej ateistyczne: „bełkot bóżnic”. Jak wiele może zmienić jedno słowo, pokazuje drobna modernizacja wiersza Flukowskiego. W *Bezrobotnych* był wers:

Niech świat się wali w dół z potęgą nauki

– a w nowej edycji:

Niech ginie świat z potęgą ich nauki.

Dorzucenie słowa „ich” sprawia, że akcent nihilistyczny przekształca się w atak tylko na naukę wroga klasowego.

Poezja rewolucyjna w tych nowych kształtach jawi się bardziej zdynamizowana, usuwa się z niej momenty nostalgiczne. Porównajmy dwie wersje drugiej strofy

pisanego w więzieniu wiersza Leona Pasternaka *Wspomnienie*:

W tomie *Dzień pochmurny* (Warszawa 1936, s. 9):

Pojedynka. W paru krokach i rozpostarciem rąk
ogarniam samotność. Z kąta wlokę się w kąt.
Płyną obłoki. Z twarzą przy kracie spoglądam stąd
we wspomnienia. Biegnie po sztabach utajonych prąd.

W antologii *Stępnia* (za tomem: *Wybór wierszy*, Warszawa 1969):

Pojedynka. Parę kroków i rozpostarcie rąk.
Bzyknęły klucze w celi sąsiedniej.
Z twarzą przy kracie spoglądam stąd,
po sztabach prąd utajony biegnie.

Znikła „samotność”, znikło tytułowe „wspomnienie”, więc i tytuł mówi teraz o czym innym: to nie wspomnienie w celi, lecz wspomnienie pobytu w więzieniu.

W tej nowej, powojennej wersji wiersze rewolucyjne z dwudziestolecia stają się, jak wspomniałam, bardziej dynamiczne. Osiąga się to na przykład przez dorzucenie – jako osobnego wersu – słowa „Płomienniej” (*Przyboś, Odjazd z wakacji*), można też wymienić w paru miejscach słowa – jak zrobił Flukowski w wierszu *Bezrobotni*. Było w nim: „I kryty w kościecu”, jest: „W nowym kościecu”; było: „Myśl z siebie wyrzuci”, jest: „Myśl błyskawice z siebie wyrzuci!” było: „I w beton wbije”, jest: „W beton przemieni, wbije”. Zmiany niby niewielkie, a całość brzmi już inaczej.

Nie było, niestety, w przedwojennej twórczości Leona Pasternaka wiersza ze wspaniale rewolucyjnymi strofami publikowanymi przez *Stępnia*:

Złowróźbna to noc.
Próżno śpiewem uderzasz w jej tarczę,
kiedy głuchą odzywa się struną.
Nieprędko jeszcze zwycięskie marsze
w bramy niewoli taranami runą.
Nieprędko jeszcze.
Ranek blady jak więźnia twarz
budzi senne judasza oko.
Rdzawa rosa kroplami krwi
ścieka z krat na okienny cokół.

Takie zakończenie ma w antologii wiersz *Nocą*. W wersji przedwojennej (tom *Dzień pochmurny*, s. 16):

Liryczna to noc.
Gdy śpiewem uderzysz w jej tarczę
mandolinową rozdzwięczy się struną. –
– Czy w noc taką echo zawarczy marszem
a niebo zapłonie łuną. –
Tli się na wchodzie. Ranek błądy jak więźnia twarz
popiół świtu osadza wokół
w ptaszęcych srebrząc się głosach –
i tylko chłodem ocieka okienny cokół
krew to – czy rosa. –

Zaniedbaniem skandalicznym jest niepodawanie w komentarzu żadnych informacji na temat zmian dokonywanych w tekstach utworów. Nie dość, że otrzymaliśmy antologię zawierającą wiele wierszy nieistniejących w dwudziestoleciu (bo trudno nowe ich wersje uznać za wiersze z lat 1918–1939), to jeszcze czytelnika świadomie wprowadza się w błąd, każe mu się wierzyć, że takie właśnie „rewolucyjne” wiersze pisali Stern, Przyboś, Pasternak, Flukowski... Podaje się w przypisach nie najbardziej istotne wyjaśnienia (nie zawsze dokładne – na przykład „Ziemiańska” została określona jako „luksusowa kawiarnia”, s. 294), a brak rzeczywiście istotnych danych, dotyczących dat powstania utworów, zmian w tekstach. Brak tego typu informacji i tak nawet, gdzie znajomość pewnych faktów znacznie by pogłębiła nasze przekonanie, że był to wiersz lewicowy, antyreżimowy. Jakże warto było choćby zwrócić uwagę czytelnika na wyraźne ingerencje cenzury w opublikowanym w tomie *Równanie serca* (1938) wierszu Przybosia *Odjazd z wakacji*. Szeregi myślników są tam w miejscach, gdzie w edycji obecnej znajdują się wersy: „obstawione wojskiem”; „Choć przed miastem widnokrąg/ przystanął –”; „zabitych w Rzeszowskiem. / Znów muszę z rozpaczą nienawistniej drzeć”. Te perypetie utworu nie zostały w komentarzu zaznaczone.

MOSKALE USUNIĘCI, LITWA TEŻ

RECENZJA¹

Miłe wzruszenie ogarnia, gdy zajrzy się do spisu piosenek śpiewnika *Bywaj dziewczę zdrowe*, opracowanego przez Janusza Jędrzejczaka, a wydanego przez PWM (1984). Są w tym najszerzej znane pieśni patriotyczne, takie jak *Nie masz to wiary...*, *Patrz Kościuszko*, *Grzmią pod Stoczkiem armaty* i *Walecznych tysięcy*, *Cześć polskiej ziemi*, *cześć* i *Za Niemen tam precz* i wiele innych jeszcze; aż dziw, że tyle antyrosyjskich pieśni bojowych wydano. Jednak po uważnej lekturze przychodzi zdumienie – czy są to te same słowa, które pamiętamy?

W wersji zapisanej w śpiewniku tekst pieśni *Cześć polskiej ziemi...* urywa się po dwóch strofach; dalej wycięto wersy brzmiące:

Nie zawsze obcy lud,
Bój z naszą hańbą wiódł
Wśród naszych ścian,
I Polak w Moskwie był
I on był groźnym z sił
I przed nim czołem bił
Dzisiejszy pan.

Rzeczywiście, bezpieczniej (z punktu widzenia politycznej poprawności) usunąć z pamięci te niewłaściwe polskie triumfy. Podobne względy sprawiły, że z marszu *Nie masz to wiary, jak w polskim znaku* wyrzucono strofę, w której mówi się, iż:

Miechów, Sosnówkę, Chrobrz, Grochowiska,
Dzwoniąc też w zęby, wspomni zbój cara
itd.

Fatalnym nietaktem byłoby wspomnianie, iż za Kościuszki (pieśń *Dalej, chłopcy, dalej żywo*) śpiewano:

¹ „Bywaj, dziewczę, zdrowe”. *Śpiewnik na głos i gitarę*, oprac. J. Jędrzejczak, Kraków 1984, ss. 87. Recenzja podpisana w pierwodruku: A.L.K. – Alina Lorentz-Kowalczykowa.

Bijma wszyscy wraz Moskali,
 Bo nas się dość natyrali.
 Nauczma szoldrę nygusa
 Że i w nas jest polska dusza:
 Jeszcze nasza polska kosa
 Potrafi im utrzyć nosa!

Mniejsza o to, że po usunięciu tych strof przez pana Jędrzejczaka nie wiemy, z kim to nasi przodkowie tak dzielnie walczyli. By nie urazić „Moskwy”, usuwa się bowiem z piosenki *Hej strzelcy wraz* tekst od słów „Hej, Moskwa tu, a nuże tu wisielcy...”, zaś z buńczucznej i popularnej piosenki *Jak to na wojence ładnie* wycina się wersy:

Popamiętają Moskale
 Jak dostali w skórę w Spale (...)

Zaś ze *Stańmy, bracia*, wraz usunięto opowieść o tym, jak:

Pałasz polski bił
 Tłum moskiewskich sił.

W apelu *Patrz, Kościuszko, na nas z nieba* wykreślono oczywiście wersy kwestionujące braterskie uczucia łączące nas z sąsiadami:

Kto powiedział, że Moskale
 Są to bracia nas, Lechitów,
 Temu pierwszy w łeb wypalę
 Pod kościołem Karmelitów

A z lirycznego *Tam, na błoni, błyszczą kwiecie* usunięto nawet żartobliwe słowa ułana, droczącego się z dziewczyną: „Stąd Moskale o pół mili / Pewnie ciebie namówili”; z kolei w pieśni *Walecznych tysięcy...* opuszczono strofę informującą, iż napiętnowana w tekście zdrada była dziełem Moskali.

Wszyscy żołnierze, którzy walczyli z Moskalami, po retuszach dokonanych przez pana Janusza Jędrzejczaka okazują się – dzięki tym zabiegom – bandą idiotów, nie wiadomo przeciw komu wymachujących szabelką, walczących jakoś tak ogólnie, po prostu przeciw komuś.

Służy temu dyskryminującemu zabiegowi także zgrabne ukrywanie tożsamości wroga, przekształcanie go w anonim: w *Grzmią pod Stoczkiem armaty* wystarczy zmienić „Chodźwa, chodźwa, trzepać Moskala” na „Chodźwa, chodźwa na wroga”, a Polakom, zamiast prowadzić „Moskali jak bydło”, nakazać wieźć nie-

określonych bliżej „jeńców” jak bydło – i już tekst można opublikować, cenzura go nie wstrzyma. Proszszego jeszcze zbiegu wymagała piosenka *Za Niemen tam precz* – w wersji pana Jędrzejczaka Polak gna za Niemen, by nie „moskiewską”, lecz „serdeczną łać krew”. „Serdeczną” – czyli braci lub przyjaciół? Tu można jednak panu Jędrzejczakowi (czy to nazwisko, czy kryjący je pseudonim?) zarzucić wyraźne niedbalstwo; toż zamiast „za Niemen” mógłby Polak lecieć „za rzekę, hen, precz” – i byłoby właściwie, poprawnie.

Likwidując nam wroga ze wschodu, dla zachowania równowagi warto zlikwidować i przyjaciół. To też nieskomplikowane. Na przykład pieśń *Bracia, do bitwy naszedł czas* została skrócona o dwie ostatnie strofy zawierające wyjaśnienie, kim są owi „bracia”; to Litwini, których należy wspomóc:

Roty najezdników trzeba znieść,
Litwie odzyskać wolność, cześć
(...)

I już ich nie ma. Łatwiej jeszcze pozbyć się przyjaciela-Litwina z tytułu pieśni *Trzeci Maj Litwina* (inc. „Witaj majowa jutrzeńko”). Zmienić łatwo tytuł po prostu na *Mazurek 3 Maja* – i już Litwina nie ma. Bardziej perfidnie p. Jędrzejczak postąpił z pieśnią *W krwawym polu srebrne ptaszę*. W wersji „obok Orła znak Pogoni” wykazał się pomysłowością: wymienił mające symboliczny sens duże litery na małe, wygląda to tak: „Obok orła znak pogoni”. Niby nic, a jednak zniknął niewygodny związek między symbolami Polski i Litwy, pozostał zwykły orzeł o jakaś pogoń. Za nim?

Dość tych przykładów. Drogie naszym sercom pieśni patriotyczne w tej antologii opublikowanej w 1984 roku zostały okaleczone, a polska historia bezkarnie zafalszowana, podporządkowana potrzebom stanu wojennego. Pieśni pozbawione sensu, ośmieszane. Znalazł się macher skłonny dokonać takich zabiegów, jest i redaktorka, Ligia Pilecka, która je zaaprobowała, i wydawnictwo, które wynik ich pracy upowszechniło w 20 120 egzemplarzach książki. Edycja, jako że jest to *Śpiewnik na głos i gitarę*, jest adresowana przede wszystkim do młodzieży.

Proponuję wstawienie PWM do rejestru wydawnictw obrzydliwych² – obok MON-u i Interpressu.

Uwaga: do pieśni antyniemieckich żadnych łagodzących retuszy nie wprowadzono³ – pozostały bez zmian.

² Dzisiaj, gdy wznawiam ten recenzyjny tekst, gdy ostygły emocje, aż tak ostrych słów wobec bardzo zasłużonego wydawnictwa bym nie użyła – A. K.

³ Pieśni antyniemieckich było zresztą o wiele mniej, a sztandarowa *Rota* ukazuje też ogromną różnicę w werbalizacji stosunku do wroga – tam wzywa się, by „moskiewską łać krew”, tu – by bronić się przed Niemcem, który „pluje nam w twarz” i „germani” dzieci.



Markiz Astolphe de Custine (1790-1857)

NA MARGINESIE LISTÓW Z ROSJI ASTOLPHE'A DE CUSTINE'A

Listy z Rosji markiza Astolphe'a de Custine'a zostały opublikowane niemal równocześnie przez dwa polskie wydawnictwa emigracyjne: Editions Spotkania (Paryż 1988, tłum. Mariana Górskiego) i Aneks (Londyn 1988, tłum. Katarzyny Czermińskiej; edycja firmowana także przez warszawski Krąg, czyli ukazuje się w krajowym obiegu niezależnym). Podstawą obu tych wydań jest tom *Listów z Rosji* wydany przez Gallimarda w 1975 roku, opracowany i opatrzonej przedmową przez Pierre'a Nora¹. Edycja Aneksu przedrukowuje także tę *Przedmowę* oraz notę wydawniczą.

Polskie wydanie wyboru *Listów Custine'a* to znakomita inicjatywa wydawnicza. Jest to dzieło ogromnie dla nas ważne nie tylko ze względu na możliwość tak modnego dziś „sowietologicznego” odczytywania, lecz również dlatego, że w kręgu oddziaływania carskiego despotyzmu znajdowała się także Polska. Czy jednak, wydając *Listy Custine'a*, należało sięgać po edycję Gallimarda?

Była ona robiona z myślą o współczesnym czytelniku francuskim, a więc wykrojona wedle błyskotliwego sformułowania George'a Kennana, iż jest to „doskonała książka, niewątpliwie najlepsza ze wszystkich, o Rosji Stalina i całkiem niezła książka o Rosji Breżniewa i Kosygina”. Wybór Gallimarda szedł wyraźnie po tej linii: ukazania nie tylko aktualności spostrzeżeń Custine'a, lecz i wyeksponowania głównie tych fragmentów tekstu, które świadczą o niezmienności oblicza władzy absolutnej i o moralnej deprawacji, jakiej pod jej wpływem ulega cały naród. Fascynowało Custine'a i niewolenie ducha, i przerażająca uległość Rosjan wobec wymagań despoty.

Te wątki dominują w wydaniu francuskim. Obszernie cytowane są więc fragmenty, relacjonujące rozmowy autora z przedstawicielami światłej arystokracji rosyjskiej i spotkania z carem, a także obraz życia dworu cesarskiego; z opisów obyczajowych przytacza się głównie te, które ukazują mechanizm psychicznej degradacji Rosjan. Dobrze pasują do tego obrazu także refleksje Custine'a snute przy zwiedzaniu Kremla oraz długie wywody o charakterze i panowaniu Iwana IV, waż-

¹ Marquis de Custine, *Letters de Russie. La Russie en 1839*. Edition presentee et etablie par Pierre Nora. Ed. Gallimard 1975 (tekst oparty na edycji paryskiej z 1855 roku).

ne dla zrozumienia idei historiozoficznych markiza. To zatem wybór, konsekwentnie aktualizujący prezentowany tekst.

Zabiegi uwspółcześniające, połączone z niemiłosiernym szatkowaniem tekstu (edytor, skracając go ponad trzykrotnie, z wybranych fragmentów wycinał jeszcze poszczególne zdania, jeśli uznał je „albo za zbyt szczegółowe, albo za zbyt ogólnikowe”), przeinaczają wymowę dzieła. Edycja Gallimarda jest przy tym wyjątkowo niechlujna. Nota wydawcy operuje numerami listów, a w tekście podaje się tylko daty, co jest tym bardziej mylące, że te podziały nie pokrywają się, niektóre listy parokrotnie były przez Custine'a dzielone datami. Nie sposób więc zorientować się, gdzie pomija się całe listy, gdzie wypadło kilka słów lub kilka stron. Temu chaosowi towarzyszy niedokładna informacja dotycząca liczby tekstów pominiętych w całości; prócz tu wymienionych opuszczono także na przykład cały list XVI. Zaś listy XXXV (od połowy) i XXXVI pisane są już nie z wyprawy do Niżnego Nowogrodu (jak podano w nocie), lecz z Moskwy i z powrotnej drogi Custine'a do Francji. Wydanie Aneksu dorzuca do tych nieścisłości błąd tłumacza: listów Custine'a jest w sumie 36, tu podano zaś, że po 36 zawiera każdy z 4 tomów².

Szkoda, że żaden z polskich wydawców nie zajrzał do któregośkolwiek z pełnych wydań dzieła Custine'a. Szkoda tym większa, że Pierre Nora, uzasadniając celowość dokonanych skrótów, bałamutnie relacjonuje zawartość partii pominiętych. Pozbawione podstaw jest twierdzenie, że „Custine nie widział ani prowincji, ani ludu” w czasie wycieczki do Jarosławia i Nowogrodu – rzeczywiście nie odwiedzał chat wieśniaczych, ale jego opisy popasów w obrzeżach, wyglądu i zachowań chłopców czy obyczajów kupieckich są niezwykle barwne – tyle że w tym wyborze zostały pominięte, podobnie zresztą, jak lekceważąco wspomniane przez Nora opisy spotkań z miejscowymi gubernatorami. I, co jeszcze dla nas ważniejsze, *Przedmowa* ta sugeruje fałszywą ocenę postawy Custine'a wobec Polski. Wiele miejsca zajmuje w niej opis stosunków Francuzów do sprawy polskiej w latach 30-tych, tworzący tu historyczne tło dla podróży markiza. Sympatie te Nora ocenia przesadnie wysoko, a nadto opadły one wówczas wśród garstki liberałów (do których Custine akurat należał). Kwestia polska istniała w świadomości Francuzów najwyżej jako przypomnienie dzikości rosyjskiego władcy i czasem melancholijne wspomnienie nieszczęścia narodu, opuszczonego przez Europę. Po przeczytaniu *Przedmowy* Pierre'a Nora skłonni jesteśmy wierzyć, że Custine, ten gwałtowny przeciwnik despotyzmu, bronił także naszych, polskich racji przeciw Rosji. Nic bardziej błędnego. Przejmował się może losem pięknego Ignacego Gurowskiego, ale jeśli pisał ze współczuciem o losach polskiego narodu, to było to współczucie zabarwione pogardą.

² W polskim przekładzie ostatnie zdanie przedmowy: „Baron Charlus skończył jako Solżenicyn” niesłusznie wyrwane zostało z kontekstu, osadzającego je u Pierre'a Nora przy refleksji o *Podróży do kresu nocy*.

W liście XXXVI, pisany już po opuszczeniu Rosji, markiz wyjaśnił motywy, które skłoniły go do zmiany pierwotnego planu drogi powrotnej. Szlachetnie brzmią te wyjaśnienia, ale szlachetność to nieco perfidna:

Miałem wracać z Petersburga do Niemiec przez Wilno i Warszawę. Zmieniłem plany.

Nieszczęścia, takie jak te, które spadają na Polskę, nie mogą być przypisywane jedynie zrządzeniom losu; przewlekające się niedole trzeba uznać tak za wynik błędów, jak zbiegów okoliczności. Narody, podobnie jak indywidualności, w pewnym momencie same sprowadzają los, który im przypada, stają się odpowiedzialne za ciosy, które raz po raz w nie uderzają; oczy uważnego obserwatora w losach ludzi i narodów ujrzą tylko skutki rozwoju ich charakterów. Widząc rezultat błędów narodu, karanego z taką surowością, nie mógłbym wstrzymać się od wypowiedzenia moich spostrzeżeń, co potem miałbym sobie za złe. Bowiem mówienie prawdy ciemieżcom to obowiązek, który podejmuje się z osobliwą przyjemnością, podtrzymywaną przez poczucie własnej odwagi i szlachetności, wiążącej się z wykonaniem niebezpiecznego, a w każdym razie nieprzyjemnego zadania. Ale zasmucanie zwyciężonego, poniżanie uciśnionego nawet przez ukazywanie mu prawd oczywistych to czyn, do jakiego nie poniży się nigdy pisarz, który nie chce pogardzać swym piórem.

Tyle Custine. Jego przekonanie, że cały naród, tak Polska, jak Rosja, jest kowalem własnego losu i że dla Polaków miałby tylko gorzkie słowa prawdy, odległe jest od owej wizji uczuć Francuzów do Polaków z *Przedmowy* Pierre'a Nora i Francji, która „przez długie lata widziała Rosję oczyma polskich uchodźców”. Niby słowa te nie dotyczą Custine'a bezpośrednio (ani te o walce Polaków traktowanej przez Francuzów jako święty symbol), ale brak w *Przedmowie* jakiegokolwiek sugestii pozwalającej podejrzewać, że Custine widział Polskę nieco inaczej.

Do edycji Gallimarda nie weszły niemal żadne wzmianki o Polsce – to zrozumiałe. Ale czytelnika polskiego sądy Custine'a o Polakach, w kontekście jego rozważań o Rosji, interesują szczególnie. Warto więc je przypomnieć.

W przedmowie do brukselskiej edycji *Listów* z roku 1844 (datowanej w listopadzie 1843), broniąc się przed zarzutami Rosjan, twierdzących, że oczernia monarchię, markiz jako koronny argument wysunął to, że nie korzystał nigdzie z relacji polskich; dzięki temu „obraz Rosjan i ich rządu, który się zarysowuje, jest podobny, ale rysy na nim zostały złagodzone; autor posunął swe skrupuły i swą bezstronność do tego stopnia, że odrzucił wszystkie fakty i wszystkie opowieści, które były mu powierzone przez Polaków”. Unikał więc powoływania się na opinie Polaków, ale polskie wątki są wcale liczne. Pojawiają się jednak najczęściej w mało ważnych kontekstach anegdoty historycznej lub przez okoliczności nasuniętego wspomnienia. Może to razić polską dumę, ale Custine nie zauważał szczególnej narodowej odrębności naszego charakteru. Traktował Polaków głównie jako reprezentantów

rasy słowiańskiej, których charakter potwierdza opinię, jaką ma o Rosjanach. Gdy więc pisał o nieznośnej służalczości Rosjan wobec osób stojących wyżej w dworskiej hierarchii, dorzucał zaraz, że to rys słowiański, ponieważ u Polaków obserwował podobne obyczaje. Stanowią te narody wspólną rodzinę, nienawiści mogą je rozdzielać, lecz natura jednoczy je wbrew ich woli. „Polacy to Rosjanie rycerscy i katolicy” – konkludował Custine (list XXIX).

Damy polskie jednak gorzej niż Rosjanki mówią po francusku; wina to podobno guwernantek sprowadzanych z Genewy. Damy rosyjskie Custine potraktował jeszcze okrutniej. Kapitalny jest opis przypadkowego spotkania w oberży z jedną z pierwszych ponoć dam rosyjskich – pełna zdumienia odraza Custine’a na widok pań rozmemłanych, poczochranych, w byle jakim odzieniu: „czyż mają one prawo uskarżać się na brudy w oberży?” – wykrzykuje zgorszony markiz.

Arystokratyczna dusza Custine’a nie pozwoliła mu tylko na krytykowanie carycy (która zresztą bardziej niemiecką niż rosyjską była damą). Był pod urokiem jej „czarującego wdzięku” już na balu w Petersburgu; pogłębiła to wrażenie wizyta w podmiejskim *cottage’u* (list XVI), jej opis zaś zawiera także aktualny polski akcent. Oto dama dworu, Polka, wtrąca do rozmowy okrzyk o swym nieszczęsnym bracie, który po powstaniu listopadowym przeszedł do Niemiec i zamkniętą ma drogę do kraju. „I cóż ten biedny człowiek zawinił” – szeptem wrażliwa caryca.

W skojarzeniach historycznych Custine’a XVII-wieczne triumfy polskiego oręża na Wschodzie, które przywykliśmy traktować jako zwycięstwo cywilizacji nad barbarią, to zwykła okupacja tamtych ziem („*temps de l’occupation de l’Empire par les Polonais*” – list XXXIV), bohaterstwo odparta przez naród rosyjski. Nieoczekiwane spotkanie się o płytę grobową Poniatowskiego w kościele dominikanów w Petersburgu prowokuje Custine’a do paru banalnych uwag o straszliwym losie upokorzonego, poniżonego faworyta.

Custine „nie pisze praktycznie ani słowa o Puszkynie” – stwierdza Nora. Ale to, co markiz o Puszkynie jednak pisał, bardzo nas interesuje – bo, czytając Puszkina, bardzo utwierdził się w opinii, że jest on naśladowcą nowej szkoły Europy zachodniej – „nie widzę w nim więc jeszcze prawdziwego poety moskiewskiego. Polak Mickiewicz wydaje mi się o wiele bardziej słowiański, mimo że podobnie jak Puszkina wchłonął wpływ literatur Zachodu” (list XXVIII). Czy nie jest to późniejszy refleks paryskich wykładów Mickiewicza?

Zdarzają się u Custine’a i przyjemniejsze anegdoty o Polakach: o świetnej Polsce, królującej w salonach Londynu i Paryża, o polskich urazach księcia Konstantego, czy o zrzucaniu na Polaków winy za podpalanie wsi w okolicach Symbirska. Nie warto tych anegdot przypominać – ale wszystko to razem pozwala ujrzeć rangę i ocenę sprawy polskiej w dziele najbystrzejszego historiozofa lat trzydziestych. Marginalnie wprowadzany motyw polski obnaża mielizny jego historiozoficznej refleksji: w zestawieniu z jakże świetną analizą istoty i konse-

kwencji władzy absolutnej, przeprowadzaną na przykładzie monarchii rosyjskiej, te spostrzeżenia o zasłużonym losie polskiego narodu czy Stanisława Augusta wydają się dość trywialne. Takie ot, marginalne właśnie refleksje. Ale ukazują ówczesną – i dzisiejszą, jeśli chcemy aktualizować – pozycję Polski w obrębie francuskich koncepcji politologicznych.

Bardzo brak w tych nowych edycjach *Listów Custine'a* także minimalnego choćby wprowadzenia motywów typowo romantycznych: malowniczych opisów rosyjskiego ludu (z wyjątkiem Kałmuków „*les Russes sont parfaitement beaux*” – twierdził markiz), fascynacji Syberią (jechał nawet kawałek wielką drogą syberyjską) i stepami („gdybym nie marzył o ujrzeniu stepów, czy pojechałbym do Rosji?” – pisał), a i zaznaczenia jego pasji dociekania szczegółów (jak na przykład różnicy między petersburską „drowską” a „briską”, znaną mu z Warszawy). Wszystko to razem składa się na niepowtarzalną atmosferę dzieła Custine'a; znikła ona niestety w wyborze Gallimarda i w edycjach polskich.



Jean-Baptiste-Camille Corot, *L'Etoile du berger* (1864)

STARE WZORY WIECZNIE ŻYWE

Należę do pokolenia, edukowanego w szkole na literaturze socrealizmu, która wpajała nam jakże prostą i krzepiącą wizję świata; wprowadzie czarno-białego, ohydy przeciw szlachetności: tu kułak, tam biedniak, prywaciarz i dobry partyjniak, podejrzany liberał – szlachetna służba bezpieczeństwa; ale w finale prawda zawsze zwyciężała, a bohater wkraczał na właściwą drogę życia.

Z rozrzewnieniem więc przeczytałam powieść Krystyny Jagiełło *Jeszcze jeden mazur dzisiaj*¹. Oto odżył dawny schemat, wiernie dziś powtórzony: czarno-biały świat, oczywistość racji moralnych, dydaktyzm, szlachetność zwycięża. Oczywiście – wszystko *a rebours*. Stronę szlachetnych tworzą opozycyjni liberałowie o konspiracyjnej przeszłości lub tradycji stronę kanalii karierowicze, partyjni, MSW. Szlachetni są przystojni, przyjemni do oglądania, szczupli, ładnie się kochają; kanalie – odrażający, brzydki, język wulgarny, nogi jak słoje, podarte pończochy, rozchełstane koszule. I bohater pośrodku, o niego toczy się gra: z jednej strony kuszą pieniędzmi, karierą, zagranicznym wojażem – z drugiej piękna dziewczyna, ascetyczna uczciwość, urok duchowej niezłomności. I fabuła rozwija się jak trzeba, wedle dawnego schematu: bohater – dziennikarz, złudzony mirażem kariery staje się posłusznym narzędziem w ręku demonicznych partyjniaków, ale propozycja współpracy z MSW uprzytamnia mu, jak dalece się stoczył; odmawia, gwałtownie się nawraca i traci wszelkie apanaże. Nie pojedzie do Anglii, wyrzucają go z posady – ale i nagroda jest natychmiastowa i wspianała: wraca porzucona wcześniej dziewczyna, on odnajduje szczęście u boku prostej rodziny i zaraz staje się bohaterem. Raniony w starciu z milicją, zostaje przyhołubiony przez wzór wszelkich cnót – starego akowca.

Nawrót do dawnych wzorców, do czarno-białego świata i uproszczonych prawd moralnych, może nieco zdumiewać, tym bardziej że wpadła w ten schemat świetna reporterka, która z pewnością zdaje sobie sprawę, że z dydaktycznego punktu widzenia (bo chyba taki cel powstaniu książki przyświecał) nie jest to styl najskuteczniejszy. Ale ślady podobnych uproszczeń, nadmiernej ekstremalizacji w traktowaniu postaci i moralnych racji, często można spotkać w prozie obiegu niezależnego. Bo też wydaje się, że autor podejmujący temat współczesny znajduje się obecnie w szczególnie trudnej sytuacji. Jeśli pominie wątek polityczny – to pojawia

¹ Krystyna Jagiełło, *Jeszcze jeden mazur dzisiaj*, Wyd. „Przedświt”, b.m. 1987.

się pytanie, dlaczego wydaje książkę w obiegu niezależnym; stawiano takie pytania nawet wobec *Żmutu* Rymkiewicza, książki o Mickiewiczu, ale i o nas. Jeśli wprowadzi wątek polityczny – to pierwszym obowiązkiem autora wobec opozycji ma być utrzymanie wysokiego tonu. Czarno-biała wizja świata pojawiająca się w literackiej fikcji jest uproszczonym odbiciem oczekiwań odbiorców, naszych wymagań i poczucia godności.

Nie może chyba dobrze sprostać takim wymaganiom powieść, chyba że będzie zmierzać – jak się coraz częściej dzieje – w stronę literatury faktu, notatek z życia; jak *Okna* Hanny Krall, czy *Stan po zapaści* Jacka Bocheńskiego (ale tu też wyraźnie słabsza jest część końcowa, z wprowadzonym „szlachetnym” wątkiem „Solidarności”!). Prozaik nazbyt bowiem musi uważać, by nie zszargać jakieś świętości; uwielbiamy groteskę i kpinę, lecz jeśli NAS, szlachetnej opozycji, nie dotyczy. Starczy przypomnieć dziwaczne pretensje Jerzego Malewskiego wobec Tadeusza Konwickiego – o to, że szarga opozycję, że w *Rzece podziemnej* szyderczo został pokazany kontrast między odważną determinacją kolportującego książki bohatera a grafomaństwem wierszy, które dostał do rozprowadzenia. Jeśli zakpić sobie nie wolno (a jakże wiele tego grafomaństwa było właśnie wtedy, gdy toczyła się akcja *Rzeki podziemnej*) – to dobra proza nie ma u nas szans, porzućmy nadzieję.

NASZA SZKAPA I INNE NIESZCZĘŚCIA

Utarło i utrzymuje się przekonanie, wygodne i dla władz finansowych, i dla wszystkich, którzy szkołę krytykują, że wybór zawodu nauczyciela łączy się nie tylko z zamiłowaniem do uczenia i wychowywania, ale i z naturalną skłonnością do darmowego wykonywania wielu prac ponad te, które są objęte umową. Taki jest ponoć etos zawodu – od stulecia kojarzony z piękną postacią Siłaczki Żeromskiego. Tyle że Siłaczka nie założyła rodziny, a po kilku latach pracy w szkole umarła z wycieńczenia.

Nadzieje na podniesienie poziomu szkoły można traktować jak czystą utopię, dopóki nie zostaną sprecyzowane i wpisane do umowy o pracę obowiązki nauczyciela, a także zakres podstawowego wyposażenia szkoły, niezbędnego do realizacji programu – czyli do jej ustawowego funkcjonowania. Tym bardziej, jeśli – co uważam za szczególnie nieetyczne – wciąż będzie się dramatycznie powiększał rozdziew między poziomem absolwentów z dużych miast i z rodzin zamożnych a poziomem młodzieży z rodzin uboższych i ze szkół odleglejszych, w których nauczyciele i uczniowie mają utrudniony dostęp do bibliotek, teatrów, muzeów.

Zakres obowiązków nauczyciela nie jest obecnie wyraźnie określony. Niskie stosunkowo pensum (18-23 godziny lekcji tygodniowo), a do tego długie wakacje i zimowe ferie mogą stanowić przedmiot zazdrości, mimo że dochodzi do tego czas na przygotowanie lekcji, rozmaite zebrania itd. Ponadto istnieje rozległa sfera zajęć niezwykle ważnych, które nauczyciel powinien wykonać (choć w umowie o pracę ich nie ma). Powinien – to nie znaczy, że musi.

Pośród tego, co nauczyciel powinien, ale nie musi wykonać, zupełnie niedookreślony jest na przykład zakres indywidualnych zajęć z uczniami najbardziej i najmniej uzdolnionymi. Jednolita szkoła podstawowa obejmuje wszystkie dzieci, a nie wszystkie uczą się w równym tempie. Dawniej szkoły prowadziły tzw. zespoły wyrównawcze, czyli rodzaj opłacanych przez państwo korepetycji. Przed paru laty zlikwidowano je zarządzeniem ministra Stelmachowskiego, wycofując pieniądze. Ze sfery obowiązków szkoły zajęcia wyrównawcze przeszły w sferę etosu nauczyciela.

Nauczyciel może zatem poświęcać swój prywatny czas na darmowe douczanie. Jeśli nie chce, to nie musi i ma wówczas dwie drogi do wyboru. Może zrezygnować z podciągania uczniów opóźnionych (w rezultacie, pozostawieni sami sobie, stają

się apatyczni lub agresywni) i dostosowywać lekcje do poziomu ucznia przeciętnego. Tych niedouczonej zazwyczaj i tak się promuje, aby szybciej się ich pozbyć. Druga możliwość to otoczenie szczególną uwagą uczniów słabszych, czyli równanie w dół. Zdolniejszych skazuje się na nudę, obniża poziom i wyrabia nawyk intelektualnej bierności.

Dobre funkcjonowanie zespołów wyrównawczych leży zatem, paradoksalnie, w interesie przede wszystkim uczniów zdolnych – aby mogli uczyć się w naturalnym tempie.

Anonimowy tłum

O wiele mniej wymierny jest czas potrzebny na pozalekcyjną pracę wychowawczą. I trudniej go ująć w punkty umowy. Z licznych pretensji wysuwanych po adresem nauczycieli – że nie zauważyli, które dziecko wywodzi się ze środowisk kryminogennych, które jest szczególnie agresywne, które bite, a które zagłodzone – wynika jasno, że i te sprawy powinny zostać jakoś sensownie uregulowane. Zbyt są ważne, by pozostawić je w niedookreślonej sferze tego, co powinno się robić.

Czyni się nauczycielom zarzuty, że to z ich winy wkracza do szkół zdziczenie obyczajów, bo gdyby nie rozładowywali na uczniach swoich frustracji, a zachowywali się „partnersko”, to i młodzież wyszlachetniałaby. Oczywiście, tak. Tyle że ciekawa jestem bardzo, jak można realizować ów partnerski model edukacji w liceum ogólnokształcącym, w którym jest po dziesięć klas równoległych (na przykład liceum w Turku), czy w szkole zawodowej liczącej 95 (dziewięćdziesiąt pięć!) przeładowanych klas (na przykład tzw. zespół szkół w jednym budynku, w Koninie). W szkole-molochu, gdzie podczas przerwy tłoczy się w korytarzach tłum młodych, energicznych i całkowicie anonimowych ludzi. Nawet nauczyciele często się nie znają. Gnają korytarzem pełni wigoru ludzie, których nikt nie jest w stanie rozpoznać z imienia czy nazwiska. Anonimowi, więc bezkarni.

Partnerstwo? U jego postaw winna leżeć wzajemna znajomość, sympatia i szacunek. Takie kontakty nawiązuje się najczęściej w czasie wycieczek, wypadów do teatru itd. Gdy razem łązi się po górach czy obcym mieście, można normalnie rozmawiać, rozwiewają się (lub narastają!) uprzedzenia, a potem i na terenie szkoły coś z tego pozostaje. Ale okazji po temu coraz mniej.

W przeładowanej szkole problemem są także dzieci nieprzystosowane do niej ze względów zdrowotnych. Na przykład powypadkowe, znerwicowane, alergiczne – wymagające wzmożonej opieki nauczyciela. Część z nich uczy się w domu przy pomocy nauczycieli wyznaczonych przez szkołę. Niektóre, często kosztem sporych wyrzeczeń rodziny, trafiają do tzw. szkół społecznych, odciążając budżet oświaty. Niestety coraz częściej domowe budżety tych wydatków nie wytrzymują.

O Rozalce, co się spaliła

Z obrzydzeniem komentuje się często zestaw szkolnych lektur. W podstawówce – wciąż sierotki (od Marysi z krasnoludkami po Anielkę), kwieciste opisy śmierci (Rozalka, co żywcem w *Antku* spłonęła, rzewnie umierający Janko Muzykant i Nemecek w *Chłopcach z placu Broni*) i inne nieszczęścia (*Nasza szkapta*). A w szkołach średnich najważniejsze problemy współczesności mają skwitować lektury odnoszące się do II wojny światowej. Odium za tę anachroniczność spada znów na nauczycieli. Tym bardziej, że w księgarniach widać tyle nowych, świetnych książek.

Tyle że nauczyciel może zadawać jako lekturę nie te książki, które są w księgarniach, lecz te, które znajdują się w szkolnej bibliotece. Aby tekst mógł być przerabiany w szkole, biblioteka szkolna powinna mieć go w 30 egzemplarzach. Nie ma na to pieniędzy. I, paradoksalnie, im bogatsza jest oferta wydawców, tym mniej lektur ma szansę trafić do szkół, bo pierwszeństwo mają encyklopedie, atlasy, słowniki itp. Drogie, ale konieczne i kupowane w jednym tylko egzemplarzu.

Gdy kilka lat temu pisałam o kanonie lektur, problemem były książki współczesne. Dziś zaczyna brakować Kochanowskiego i Mickiewicza – przy nikłym odnawianiu zasobów egzemplarze zacytane są z trudem wymieniane na nowe. Lektury to najbardziej podstawowe wyposażenie szkoły – jeśli ich brak, nie mamy prawa wymagać, by nasze dziecko zdobyło wiedzę w zakresie literatury.

Podobnie utopijne są zalecenia, by lekcje polskiego były uzupełniane wiedzą o najwybitniejszych dziełach z innych dziedzin kultury. Jak mówić o sztuce, jeśli szkoła nie dysponuje zestawem slajdów ani kasetami z muzyką z epoki?

Gdy o tym mówię, spotykam się często z denerwującą repliką: jeśli dostaną pieniądze, to kupią te same, nieznośne, przestarzałe pomoce, do których są przyzwyczajeni. Możliwe. Omawianie nowych książek wymaga nieraz innych umiejętności interpretacji niż te, które nauczyciele (z wyjątkiem najmłodszych roczników) zdobyli na studiach.

Czy nauczyciele są niedouczeni?

Ci, którzy nie mają uczelnianych certyfikatów, uzupełniają wykształcenie w kolegiach i na studiach zaocznych. Rzeczywiście przywiązuje się do tego wielką wagę, a uczelnie zaspokajają te potrzeby tym chętniej, że studia zaoczne są płatne. W gorszej paradoksalnie sytuacji, są nauczyciele dobrzy i z pełnym wykształceniem. Z wyjątkiem kilku ostatnich roczników uczyli się według programów nieprzystających do wymagań dzisiejszej szkoły. Poloniści są przyzwyczajeni do wbijania w głowy ogromnej liczby informacji szczegółowych z zakresu wiedzy o języku. Znacznie gorzej są przygotowani do uczenia poprawnego i ładnego mówienia i pisanja.

Z literaturą jest fatalnie. Nie tylko inne niż dawniej idee i wartości ma się wpajać uczniom, ale trzeba także omawiać problemy i lektury, jakich nauczyciele na studiach nie kosztowali. Tematem tabu była do niedawna twórczość Herlinga-Grudzińskiego,

Solżenicyna, Wata – wszystko to, co teraz żarliwie wprowadza się do programów. A i dziejów literatury dawnej należałoby uczyć inaczej – przede wszystkim odideologizować interpretacje.

Nauczyciel, nawet wybitny, z trudem radzi sobie z nowymi wymaganiami. Szczególnie, jeśli mieszka poza dużym miastem, nie ma dostępu do dobrze zaopatrzonych bibliotek, a nie stać go na kupno literatury pięknej ani fachowej. Wielu z nich pragnie sensownie uzupełnić wiedzę. Świadczy o tym zapewnienie organizowanych przy uczelniach i przy Instytucie Badań Literackich płatnych studiów podyplomowych. Ale uczestniczą w nich miejscowi, przepaść między „stolicą” a „prowincją” jeszcze się pogłębia.

Mam – może utopijne – marzenie. By stworzyć na próbę, na rok, zespół świetnych pracowników nauki realizujący wspólny program. Raz w miesiącu odbywaliby sesje wyjazdowe w ośrodkach wojewódzkich. Część pieniędzy przeznaczonych na rozmaite odczyty dla nauczycieli można by wykorzystać sensowniej – na 10-dniowy cykl zajęć dla zapisanych kursantów (jedna sesja w miesiącu, każdorazowo 2-3 konwersatoria, prowadzone przez dwóch specjalistów). Koszty nie byłyby wielkie [podróż i godziwa (!) opłata dla wykładowców], a efekt ważny, bo nauczyciele z mniejszych ośrodków mogliby na miejscu uwspółcześniać swoją wiedzę. Jeden 20-osobowy zespół objąłby swą działalnością w ciągu roku 10 chętnych do takiej współpracy ośrodków.

Na pewno warto takie wyjazdowe studium podyplomowe zorganizować, bo warto nie tylko zadbać, by wszyscy nauczyciele osiągnęli wymagane minimum wykształcenia, lecz również wspomóc już wśród nich istniejącą elitę i kształtować nową. Dlatego bardzo ważne byłoby także wprowadzenie ułatwień (choćby zwrot kosztów podróży za dojazdy na konsultacje i do bibliotek) dla tych nauczycieli, którzy zdobywają stopień doktora. Obecnie ich droga jest bardzo wyboista.

Jeśli szkoła ma być możliwie dobra, trzeba zadbać zarówno o wyraźne sformułowanie zakresu obowiązków nauczyciela, jak i o podstawowe wyposażenie. Nauczyciel musi mieć satysfakcję ze swojej pracy. Inaczej nadal powszechne będą ucieczki od pracy w szkole i nie zmniejszy się niechęć absolwentów uczelni do jej podejmowania.¹

¹ Po opublikowaniu tego artykułu w „Polityce” otrzymałam w marcu 1995 roku propozycję od Zarządu Fundacji im. Stefana Batorego: jeżeli uda mi się zorganizować tak zaplanowane kursy do 1 maja, to Fundacja je sfinansuje. Tak się zaczęła wielka przygoda opisana w następnym szkicu [zob. art. Stowarzyszenie Nauczycieli Humanistów „Prowincja” w niniejszym tomie – red.]. A całą zachowaną dokumentację przejęło w 2016 roku Archiwum Polskiej Akademii Nauk – A.K.

STOWARZYSZENIE NAUCZYCIELI HUMANISTÓW „PROWINCJA”

Okres pionierski: kursy wyjazdowe

Celem tego szkicu jest wskazanie potrzeby utrzymania, nawet w „dobie Internetu”, także tradycyjnych metod podnoszenia kwalifikacji nauczycieli. Tych przede wszystkim, które są oparte na bezpośrednim kontakcie z wybitymi i obdarzonymi wysokim autorytetem naukowcami, które umożliwiają nie tylko poznanie z wykładu lub Internetu ich tekstów, lecz również normalne z nimi obcowanie podczas kursów, dyskusowanie, spędzanie czasu wolnego.

W nowej sytuacji politycznej po 1989 roku konieczna stała się szybka przebudowa programów szkolnych przedmiotów humanistycznych. Szczególnie właśnie humanistycznych, jako najbardziej przesyconych ideologią; wymagały one reinterpretacji tradycji literackiej, nowego odczytania polskiej historii (m.in. sprawa „białych plam”), wprowadzenia do szkoły zasobów literatury emigracyjnej i drugoobiegowej, a także kontekstów z zakresu sztuk i literatury obcej. Nauczyciele nie byli przygotowani do realizacji tych nowych zadań; programy studiów wyższych były do nich niedostosowane i dopiero rozpoczął się proces ich gwałtownych przemian, a inne źródła wiedzy o pomijanych dawniej tematach były, szczególnie na prowincji, bardzo trudno dostępne.

Szkoła borykała się nadto z koniecznością uzupełnienia wymaganych kwalifikacji zawodowych, których brakowało wielu nauczycielom; z punktu widzenia władz oświatowych sprawą najpilniejszą było wypełnienie tych luk. Wszystko to sprawiło, że przy lokalnych ośrodkach metodycznych oraz przy uczelniach zaczęły masowo powstawać rozmaitego rodzaju kursy dokształcające. Ich programy układano przede wszystkim pod kątem potrzeb tych, którzy musieli uzupełnić braki w wykształceniu.

W najtrudniejszej sytuacji znaleźli się, paradoksalnie, pedagodzy najbardziej ambitni. Jeśli mieszkali i pracowali na „prowincji”, daleko od wielkich miast, od centrów kultury i dobrze zaopatrzonych bibliotek, nie mieli szans zdobycia wiedzy na miejscu, masowo zatem dojeżdżali na wszelkiego rodzaju szkolenia. Wymagało to dużego samozaparcia: zamiejscowe sesje bez zapewnionych noclegów, wysokie koszty. Otrzymywano wymagane zaświadczenia, lecz efekty naukowe tych kursów ze względu na ich program oraz przypadkową kadrę często w tych pierwszych

latach były mizerne (por. dalej – omówienie analizy, przygotowanej przez Stowarzyszenie „Prowincja” dla Fundacji Batorego).

Muszę tu wymienić siebie jako organizatorkę tych zamierzeń. Jeździłam wtedy – czy to zapraszana przez moich byłych studentów, czy wysyłana przez Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza, z wykładami do różnych mniejszych miejscowości; podczas rozmów z nauczycielami wykuwał się pomysł wymarzonego (ale realnego) kształtu kursów.

Zrodziła się myśl, by spróbować działać inaczej, by dać szansę nauczycielskiej elicie: stworzyć kursy na wysokim poziomie, dopasowane do wymagań nauczycieli najlepszych, najbardziej aktywnych, autentycznie spragnionych wiedzy. Pod kątem potrzeb i wygody słuchaczy sformułowano główne założenia; zamiast ściągać rzesze nauczycieli do wielkich miast, chcieliśmy organizować kursy blisko nich – przyjeżdżać mogą wykładowcy. Zakładaliśmy, że kursy muszą być bezpłatne, by bariera finansowa nikomu nie uniemożliwiła wzięcia w nich udziału. Beneficjentami mieli być nauczyciele o ukończonych studiach wyższych, mieszkający i pracujący w miejscowościach oddalonych od centrów nauki i kultury 2041 (przede wszystkim z obszarów tzw. ściany wschodniej, od Suwałk przez Bielsko – podlaskie, chełmskie, Zamojszczyznę po Zamość i Przemyśl i Krosno, a także z okolic Piły, Wałcza, Turka i Gorzowa). Opisałam te pomysły; artykuł ukazał się w „Politce” w grudniu 1995r.

W końcu marca spytał mnie p. Prof. Andrzej Ziabicki z Zarządu Fundacji im. Stefana Batorego, jakie są dalsze losy tej inicjatywy. Okazało się, że Fundacja Batorego mogłaby dofinansować jej realizację – pod warunkiem, że do 10 maja zostaną przedstawione założenia i konkretny program zajęć na rok 1996/1997.

Trzeba było zatem pilnie znaleźć dodatkowych sponsorów (wymóg Fundacji) oraz oficjalnego partnera, który by bezinteresownie współfinansował projekt (na moje prywatne konto nie mogły wpływać fundusze), ułożyć program i sposób jego realizacji, ustalić listę miejscowości w których zorganizujemy kursy, pozyskać chętnych współpartnerów na miejscu (którzy także bez żadnego wynagrodzenia załatwią darmowe sale wykładowe oraz przeprowadzą rekrutację), znaleźć wykładowców (nie kryjąc, że przewidywane honoraria są minimalne), przygotować kosztorys całej imprezy (nie był skomplikowane: honoraria wykładowców i koszty ich przyjazdów). Udało się dzięki wielkiej życzliwości wszystkich osób, do których się zwracałam. Społecznikowski entuzjazm był jeszcze żywy i autentyczny.

Dodatkowi sponsorzy nie musieli przekazywać wysokich wpłat. Pierwszym była Monika Żeromska (projekt nawiązywał do inicjatywy Stefana Żeromskiego, który w 1924r. zainaugurował kursy wakacyjne dla nauczycieli), drugim – dział kulturalny Polskiego Radia. Oficjalnym współpartnerem i patronem naukowym stał się Instytut Badań Literackich PAN¹, którego pomoc była (i jest do dzisiaj) nieoceniona:

¹ Później funkcję współpartnera przejęła Fundacja Akademia Humanistyczna, z którą podpisano porozumienie o współpracy.

mogłam prezentować powstające kursy jako tworzone pod patronatem poważnej instytucji naukowej i liczyć stale na wszelkie potrzebne wsparcie naukowe. Współorganizatorami były: Wojewódzkie Ośrodki Metodyczne.

Program obejmował zajęcia o wspomnianej na wstępie tematyce. Miały to być kursy 60-godzinne, odbywające się w ciągu roku szkolnego w 10 (potem w 12) miejscowościach jednocześnie, zawsze w drugą sobotę miesiąca, zawsze po 6 godzin, z udziałem dwóch wykładowców. Ponieważ nie miały oficjalnego statusu (inicjatywa oddolna, mnóstwo dobrej woli organizatorów i życzliwi sponsorzy), wydawane dyplomy nie miały żadnej mocy urzędowej, nie liczyły się jako atut do awansu zawodowego. Okazało się szybko, że miało to także dobre strony – zgłaszali się na kursy nauczyciele, którzy nie bacząc na brak doraźnych korzyści, po prostu chcieli poszerzać swą wiedzę, kosztem wolnych sobót i uciążliwych dojazdów.

Listę miejscowości układałam według własnego rozeznania potrzeb, potem telefonicznie nakłaniałam dyrektorów ośrodków metodycznych do współpracy. Jedyłą trudnością, na jaką wtedy napotykałam było przekonanie moich rozmówców, że te kursy naprawdę będą bezpłatne, że ośrodki nie będą dopłacały, że nie będziemy ściągać haraczy od uczestników itp. Po tych wstępnych ustaleniach wszystko toczyło się już gładko: kierownicy i poloniści z ośrodków metodycznych przejęli i fachowo prowadzili wszystkie sprawy organizacyjne „w terenie”.

Wykładowcy reagowali na moje prośby o włączenie się do tych działań z pewnym zdziwieniem, ale entuzjastycznie: z kilkudziesięciu osób, do których się zwracałam, nikt nie odmówił. Kosztorys i sprawozdawczość nie były skomplikowane, na ówczesnym etapie działalności sama mogłam temu podołać. Lecz tylko dzięki trwałemu entuzjazmowi i wzajemnej życzliwości wszystkich: nauczycieli, wykładowców, współpartnerów ta impreza mogła udać się nad wyraz, rozwijać i trwać do dzisiaj. Szybko utarła się sympatyczna nazwa „cyrk Kowalczykowej”: „nie mogę spotkać się w sobotę, bo jadę z cyrkiem Kowalczykowej”; a słowo „cyrk” nawiązujące do objazdowego charakteru imprezy, zabawnie wyrażało satysfakcję.

Projekt został zaakceptowany przez Fundację Batorego, patronowała jego powstawaniu pani Justyna Blinowska. Aż do końca naszej współpracy z Batorym (jakże tęsknimy do tak świetnego patrona!) kierowała projektem w obrębie Fundacji pani Ewa Chałasińska; sprawdzała nawet na miejscu, jak wygląda sesja wyjazdowa (a później – kurs stacjonarny), szczęśliwie przekonała się, że warto program wspomagać.

Organizacja: za program, koordynację całości, zapraszanie wykładowców i sprawy lokalowe odpowiadała początkowo inicjatorka (nie mieliśmy nigdy funduszy na zatrudnianie osób do pomocy; wszystko od początku robiono społecznie).

Program: lista wykładowców i szczegółowe rozkłady zajęć były przygotowane przed rozpoczęciem kursów. Dwójki wykładowców realizowały ten sam program w kolejnych miejscowościach; niektórzy szczególnie dostojni goście uczestniczyli

raz lub kilka razy (na przykład prof. Zofia Kucówna czy prof. Jan Ciechowicz, który dał się zaangażować tylko dwa razy, lecz za to na te trzy godziny jeździł z Gdańska raz do Zamościa, a drugi raz do Skierniewic). „Zapasowi” wykładowcy mieli wkra-
czać w sytuacjach awaryjnych (prawie się nie zdarzały).

Początkowo kursy były prezentowane pod nieco prowokacyjną nazwą „Chroń-
my elity nauczycielskie”. Prowokacyjna (potwierdzały to pierwsze reakcje), bo gło-
siła, że taka elita istnieje (a otwarte aspirowanie do bycia elitą nie było wtedy mod-
ne) i że jest warta szczególnej uwagi. Później były to kursy naukowe imienia Stefana
Żeromskiego, kolejna zmiana podkreślała zmianę statusu: „Nauczyciel – humanista
poszukujący”. Zamiast potrzeby ochrony wysunęła się kreatywność.

Kursy miały powodzenie. Na pierwszym spotkaniu, we wrześniu 1996 fre-
kwencja wszędzie była zadowalająca; zakładaliśmy, że optymalna liczba słuchaczy
wynosi ok. 40. Na drugim, październikowym, wszędzie było już o wiele więcej słu-
chaczy, granicą okazała się pojemność sal wykładowych. W Chełmie, Białej Podla-
skiej, Zamościu sale były stuosobowe, gdzie indziej donoszono krzesła, wszędzie
jeszcze po zajęciach rozmawiano (najmniej było w Ostrołęce). Wykładowców ten
entuzjazm uskrzydlał²; mówili potem, że po cyklu wyjazdów przemieniało się ich
spojrzenie na nauczycieli i szkoły z mniejszych ośrodków. Niektórzy, na przykład
Adam Karpiński, pozostawali jeszcze po zajęciach, by zwiedzić co ciekawsze miej-
scowe zabytki. Korzyści były zatem obustronne.

Organizacja kursów wyjazdowych (przez pierwsze trzy lata było ich bodaj 36
czy 38) wymagała aktywnego włączenia się nauczycieli, także do ustalania opty-
malnego programu, postulowania pożądaných wykładowców oraz ustalania locali-
zacji krótszych kursów. Wyloniła się nieformalna grupa osób z różnych ośrodków,
współodpowiedzialnych za dalszą działalność. W polu marzeń szybko znalazł się
etap następny – kursy stacjonarne. Organizowane czasem w Warszawie, lecz z re-
guły w pozamiejskich ośrodkach, w których przebywaliby razem profesorowie i słu-
chacze, na równych prawach, dyskutujący przy posiłkach, na spacerach i wszędzie.
Przygotowaliśmy projekt, który został zaakceptowany przez Fundację Batorego.

Współpraca z Fundacją Batorego przez cały czas układała się znakomicie. Żad-
nej niepewności, żadnej zbędnej biurokracji. Jeśli kosztorys był zaplanowany rze-
czowo i oszczędnie, to można było liczyć, że środki, o które występujemy, będą
przyznane w całości. Dzięki temu przy współpracy z Fundacją nigdy nie doszło
do żenującej sytuacji przygotowywania kosztorysu „na wyrost”, by po przewidy-
wanym obciążeniu przez sponsora kwoty o 20-30% wszystko udało się zrealizować.
Fundacja Batorego akceptowała sytuacje, w których pojawiały się pieniądze przez

² Bodźcem chyba najmniej istotnym było honorarium: płacono po 60 (a potem 80) złotych za godzinę, a prowadzenie zajęć wiązało się z koniecznością uciążliwych dojazdów. Przy wyjeździe z Gdańska do Zamościa czy z Warszawy do Piły trzeba było na miejscu nocować, z kolei np. jadących z Warszawy do Elbląga czekała niemiła przesiadka w Malborku, długie oczekiwanie na maleńkiej stacji poza miastem.

nas zaoszczędzone, ale zdarzało się to dopiero z okazji kursów stacjonarnych (jeśli na przykład udało się obniżyć ceny noclegów lub – w Warszawie – zamiast płacić za śniadania i kolacje, kupowano produkty; nauczyciele przyjeżdżali wyposażeni w „niezbędniki” i sami je przygotowywali). Jeśli mieliśmy dobry pomysł, na co można by sensownie wydać pieniądze, z reguły uzyskiwaliśmy zgodę Fundacji.

To był przełom.

Faza druga: kursy stacjonarne i powstanie Stowarzyszenia Nauczycieli Humanistów (SNH) „Prowincja”

Rekrutację przeprowadzano początkowo podobnie jak na kursy „wyjazdowe”. Było jasne, że jeśli chcemy rozwijać „życie kursowe” musimy zminimalizować koszty, czyli prace organizacyjne wykonywać własnymi nauczycielskimi (i bibliotekarskimi) siłami. Minimalizować koszty przy zapewnieniu najwyższego poziomu zajęć, maksymalnego wykorzystania czasu, stworzenia warunków do wcześniejszego przygotowania się uczestników do dyskusji oraz dobrych warunków lokalowych podczas trwania kursu – to były absolutne priorytety.

Wysoki poziom zajęć zależał od zdobycia upatrzonych wykładowców. Za nie mniej ważny niż wiedza i stopień naukowy uważamy talent nawiązywania kontaktu ze słuchaczami, także poza godzinami zajęć; bezlitośnie staraliśmy się wykorzystywać ich czas wolny na prywatne rozmowy, wieczory autorskie (Łuszczkiewicz, Jagiełło, i muzycy Stanisławie), wspólne spacerowanie, zaimprovizowane wycieczki (np. z Czudca do nikomu z nas nieznanego synagogi w nieodległym Niebylcu w czasie przedłużonej przerwy obiadowej prowadziła dr Renata Piątkowska; w takich przypadkach planowane zajęcia są przenoszone na „po kolacji”).

Bardzo ważnym elementem kursów są zapraszani goście. Wybitni artyści i pisarze, którzy w Warszawie są z nami przez 2 godziny, a jeśli dojeżdżają na kursy daleko ulokowane, to pozostają całe popołudnie, czasem i przez noc. Aby dobrze wykorzystać tę szansę, uzgadniamy z góry temat spotkania, wykładu związanego z działalnością zawodową dostojnych gości, tak by można wykorzystać to w szkole; dopiero po wykładzie – dyskusja. Byli u nas w charakterze takich wykładających gości Hanna Krall (dwukrotnie; za drugim razem przyjechała do Czudca z wakacji, w upały: autobusem do stolicy pociągiem do Rzeszowa, stamtąd dopiero do Czudca; był to wspaniały wieczór!), Krzysztof Globisz, Julia Hartwig Ryszard Kapuściński (ostatnio we wrześniu 2006, został z nami jeszcze po wykładzie), Maja Komorowska, Zofia Kucówna, Maciej Englert (po wykładzie oprowadzał 90 osób po Teatrze Współczesnym), Sławomir Pietras (w Wąsoszach zaprosił 60 kursantów na Carmen do Teatru Wielkiego w Poznaniu), Anna Polony, Jerzy Radziwiłłowicz (dwukrotnie, przyjeżdżał do Czartom i do Kosewa), Andrzej Stasiuk, Andrzej Wajda, Jacek Waltoś, Krystyna Zachwatowicz, Janusz Zaorski, Krzysztof Zanussi (dwukrotnie – za drugim razem zaprosił na całe popołudnie 50 nauczycieli do swej podmiejskiej willi).

Świadomość, że tak wybitne osoby godzą się brać udział w SNH „Prowincja”, bardzo ponosiła nasze mniemanie o randze kursów i o godności prowincjonalnego nauczyciela. A to było niezwykle ważne: w wielu środowiskach (głównie wielkomiejskich, pamiętamy idiotyczne dowcipy na temat potknięć prowincjonalnych nauczycieli) byli oni traktowani z góry i lekceważąco. Wielkie nazwiska stawały się znakiem firmowym kursów podnosiły prestiż tych, którzy w nich uczestniczą.

Pierwszy kurs stacjonarny odbył się w lipcu 1999 r., a już po roku zaczęliśmy się zastanawiać, w jaki sposób można zapewnić stabilizację kursów i środowiska wokół nich zgromadzonego. Zawsze grozi nagły brak funduszy, uniemożliwiający nasze spotkania - co czynić, by nadal istnieć, by przetrwać? W efekcie tych obaw na letnich kursach w 2000 r. w Kosewie i Czudcu podjęto decyzję i podpisano (było na nich 150 osób) uchwałę o powołaniu Stowarzyszenia Nauczycieli Humanistów „Prowincja” (ogarniającego również szkolnych i gminnych bibliotekarzy). Wybór nazwy wywołał zagorzałą dyskusję: po co akcentować naszą prowincjonalność³, jeśli słowo uchodzi za pejoratywne? Ostatecznie zgodziliśmy się ze właśnie prowincjonalność ma być naszą dumą i sztandarem: jesteśmy z prowincji, tu kształtuje się przyszłość polskiej kultury, nasza praca jest ważna i szczególnie zobowiązuje.

Załatwianie spraw związanych z rejestracją Stowarzyszenia trwało rok. 21 sierpnia 2001 r. sądownie je zarejestrowano. Siedziba Stowarzyszenia mieści się w Białej Podlaskiej, ul. Kolejowa 8. Lokal został gościnnie udostępniony przez Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli (personalnie: ówczesny dyrektor pan Ryszard Machnio, kontynuuje p. Jadwiga Romaniuk) nieodpłatnie i z życzliwą pomocą w razie potrzeby (np. przyjmowanie telefonów i poczty); jesteśmy wdzięczni!

Zatwierdzono statut Stowarzyszenia. Zapisano w nim, iż jest ono dobrowolnym, samorządnym, trwałym zrzeszeniem o celach nie zarobkowych, że celem Stowarzyszenia jest dbałość o wszechstronny rozwój intelektualny nauczycieli oraz działalność na rzecz edukacji dzieci i młodzieży. Stwierdzono, że Stowarzyszenie samodzielnie określa swoje cele i programy działania oraz struktury organizacyjne, a także uchwała akty wewnętrzne dotyczące jego działalności.

Samodzielność i niezależność są dla nas najważniejsze. Jest to bowiem warunek konieczny dla uchronienia się od jakichkolwiek ingerencji w kształty organizacyjne naszej działalności i przede wszystkim w zakres i programy kursów naukowych. Aby zachować pełną niezależność, Zarząd postanowił nie nawiązywać współpracy z żadnymi innymi związkami nauczycielskimi⁴ ani nie podlegać żadnym oficjalnym organom; zrezygnowaliśmy tym samym z dotacji na działalność statutową. Roczna

³ Mam prawo pisać „naszą”, bo gdy okazało się, że jestem wielkomiejska, gmina Sawin (w której nasz przyszły prezes był wójtem) wybrała mnie na swą honorową obywatelkę; wysoko cenię sobie ten zaszczyt.

⁴ Z wyjątkiem porozumienia o współpracy ze Związkiem Nauczycieli Polskich na Ukrainie prowadzonym przez Julię Sierkową. Mocniej nas to wiąże, mamy podstawę do zapraszania naszych kolegów spoza granicy na kursy, a także podstawę do pomocy przy staraniach o wizę.

składka członkowska wynosi 20 złotych (2007). Z obowiązku płacenia składki są zwolnieni pozakrajowi członkowie Stowarzyszenia, z Ukrainy i Białorusi. Utrzymujemy się zatem niemal wyłącznie dzięki funduszom, uzyskiwanym od sponsorów. Najhojniejszymi byli Fundacja Batorego (dofinansowujący nas program akademicki został niestety zamknięty w 2002) oraz MEN (do 2005). SNH „Prowincja” nie podejmuje działań związanych ze sprawami bytowymi nauczycieli (uważamy, że to jest domena działalności związków zawodowych).

Mocne i niezwykle przydatne wsparcie otrzymujemy od członków Stowarzyszenia „Prowincja”, wywodzących się spośród wykładowców. Nie tylko godzą się na kolejne prowadzenia zajęć, ale pomagają w pozyskiwaniu następnych znakomitych partnerów; część z nich uczestniczy także w bieżącej działalności Stowarzyszenia. Na zebraniu wyborczym w sierpniu 2005 byli i głosowali między innymi Krystyna Zachwatowicz i Andrzej Wajda, Andrzej Paczkowski, Grażyna Borkowska, prof. Andrzej Werner, prof. Zygmunt Ziątek, prof. Józef Olejniczak, Jerzy Snopek, Krzysztof Mrowcewicz, Anna i Adam Hohendorffowie.

Tematyka kursów, początkowo ustawiana pod kątem doraźnych potrzeb nauczycieli i szkoły, szybko zmieniła profil. Ma służyć nie dopełnianiu wiedzy, lecz rozszerzaniu horyzontów intelektualnych (to zasadnicza różnica) w kierunkach, interesujących nauczycieli i jako tako pasujących do postulatów grantodawców. Pokazuje to prezentowany dalej *Spis kursów i konferencji*. Sugestie dotyczące pożądanych wykładowców, tematów zajęć oraz innych kierunków dalszej działalności są dyskutowane na zebraniach SNH „Prowincja”, odbywających się na każdym kursie.

Po wyborach z 2005 roku władze Stowarzyszenia „Prowincja” prezentują się następująco: Prezes Zarządu: Jolanta Kubrak, CEN Suwałki (wcześniej: Bożena Bendig, Augustów; Hubert Wiciński, Sawin). Wiceprezysi: Marek Stanisław Uniwersytet Rzeszowski, Szymon Nowicki ZSO Ostrów Wlkp. (wcześniej: Elżbieta Miłoszewicz). Sekretarz: Wioletta Gątorska Czudec, ZSE Rzeszów (wcześniej: Elżbieta Mojsa). Skarbnik: Ewa Magdziarz LO Krasnystaw. Członkowie: Włodzimierz Kowalczyk ZS Łuków, Mariusz Mazurek ZSO Chełm, Elżbieta Miłoszewicz Gimnazjum Okonek, Hubert Wiciński ZS Sawin. Kierownictwo kursów: Mirosław Skrzypczyk, Lelów (wcześniej równolegle Mirosław Mękarski, Turek). Strona internetowa: Mariusz Mazurek, Chełm.

Do szerokiego zarządu wchodzi także koordynatorzy regionalni: Wioletta Gątorska (Podkarpackie, wcześniej: Ewa Polańska), Aleksandra Bek (Przemyśl, wcześniej: Bożena Feduniewicz), Iлона Lubomska (Augustów), Alicja Majder (Zamość), Anna Hanszke (Chełm, wcześniej: Wiesława Mazurek), Ewa Michońska (Biała Podlaska), (Dorota Dąbrowska (Łomża), Jolanta Górka (Skierniewice), Anna Mękarska (Turek), Lena Dzidziul (Piła-Gorzów Wlkp.).

Zespół naukowy Stowarzyszenia tworzą: Anna Bućko – Łomża, Jolanta Kubrak – Suwałki, Krystyna Pietrych – Uniwersytet Łódzki, Mirosław Skrzypczyk – Lelów, przewodnicząca zespołu: A. Kowalczykowa.

Od 1999 do 2007 r. odbyły się następujące kursy:

1. Region – problematyka samorządności – małe ojczyzny

Kurs odbył się w dniach 1-10 lipca 1999 r. (część I – 1-5 lipca w Warszawie, część II – 5-10 lipca; uczestnicy byli podzieleni na 3 grupy 30-osobowe. Grupa I – Jeziorowice k. Zawiercia, grupa II – Turek, grupa III – Łódź)

Zajęcia prowadzili: Ryszard Kapuściński, Andrzej Wajda, Krzysztof Zanussi, prof. Jerzy Jedlicki, dr Tomasz Kaźmierczak, dr Tadeusz Rutkowski, Krzysztof Braun, red. Teresa Bogucka, Marek Rymśza, Piotr Matywiecki, red. Paweł Łoziński, Marcel Szytencelm, prof. E. Koter, Ewa Ziętarska, Robert Aleksandrak, prof. Jerzy Rzymowski, prof. M. Jaworska, dr Joanna Karpińska, prof. J. Szymański, prof. Wojciech Wielopolski, prof. Jan Skóralewicz, prof. Jerzy Sierociuk, dr Dorota Głazek, Jacek Łęski, Zbigniew Mucha, Marek Kuliński, Marek Jastrzębski, prof. Alina Kowalczykowa.

Celem tego kursu było wprowadzenie nauczycieli jako działaczy kulturalnych w problematykę samorządności oraz prezentacja wybranych tematów: uprawnień i wykorzystywania funduszy samorządowych, ochrony zabytków i innych. Druga część miała ukazać, jak w praktyce realizuje się samorządność: w metropolii, mieście powiatowym i w gminie (5 dni spotkań z działaczami, rozmów, wykorzystania potencjalnych możliwości regionu) – świetnie przygotowali to nasi kierownicy grup: Basia Matusiak, Mirek MękarSKI i Mirek Skrzypczyk. Było to może trochę chaotyczne, ale okazało się, że forma takich kursów może się sprawdzić; szybko się zgrano i w sumie uczestnicy uznali nową formę kursu za udaną.

2. Teatr – film – sztuka – media. Warszawa 3-12 września 1999 r. (prof. Krystyna Zachwatowicz, Adam Hohendorff, Andrzej Strzelecki, Tomasz Man, reż. Krzysztof Zanussi, reż. Maciej Englert, Wojciech Majcherek, dr hab. Elżbieta Charazińska, dr Henryk Rogacki, prof. Adam Karpiński, prof. Andrzej Werner, Julia Hartwig, Hanna Krall, Maciej Wojtyszko, prof. Maria Poprzęcka, reż. Marcel Łoziński, mgr Jerzy Szeja, dr Tomasz Chachulski, mgr Barbara Matusiak, dr Krzysztof Mrowcewicz, A. Kowalczykowa. Goście: Maja Komorowska, Zofia Kucówna).

Ten kurs był skierowany do autorów szkolnych programów autorskich. Obok wykładów było też zwiedzanie (m.in. z dyrektorem Muzeum Teatru, dr Henrykiem Rogackim, także zaplecza Opery Narodowej), Muzeum Narodowego z p. kurator E. Charazińską, oraz wizyty w teatrze i kinie.

3. Integracja przedmiotów humanistycznych. Wąsosza 24 czerwca-4 lipca 2000 r. (dr Karolina Appelt, prof. Anna Brzezińska, dr Piotr Juszkiewicz, dr Zygmunt Machwitz, dr Krystyna Pietrych, prof. Dobrochna Ratajczakowa. Gość: Jerzy Radziwiłłowicz, Sławomir Pietras).

4. Humanista wykorzystuje programy komputerowe. Czudec 8-17 września 2000 r. (prof. Maryla Hopfinger, prof. Zbigniew Mach, dr Jacek Winiarski, dr Zbigniew Walaszewski, dr Marek Stanisław. Gość: Andrzej Stasiuk). *Obok zajęć z informatyki odbywały się wykłady z zakresu kultury medialnej.*

5. Humanista wykorzystuje programy komputerowe. Wąsosza 8-17 września 2000 r. (prof. Małgorzata Hendrykowska, prof. Marek Hendrykowski, dr Piotr Łuszczkiewicz, Janusz Zaorski).

Obok zajęć z zakresu tytułowego odbywały się wykłady z zakresu historii filmu oraz literatury współczesnej.

6. Integracja przedmiotów humanistycznych. Czudec 1-1 lipca 2000 r. (prof. Włodzimierz Bonusiak, prof. Bogdan Wojciszke, dr Bożena Wojciszke, dr Maria Hussakowska-Szysko, dr Marek Stanisław, prof. Marta Wyka, A. Kowalczykowa. Gość: Krzysztof Globisz).

7. Teatr – film – interpretacja literacka. Czartoria 2-10 lutego 2000 r. (prof. Andrzej Werner, Jarosław Kilian, dr K. Pietrych, Adam Hohendorff, A. Kowalczykowa. Gość: Jerzy Radziwiłłowicz).

Z tego kursu (jakże znakomite wyżywienie! ciasta specjalnie dla nas pieczone) obok oczywiście zajęć naukowych zapadły w pamięć uwiecznione sukcesem wysiłki Mirka Skrzypczyka⁵, który postanowił mimo ulewy postanowił rozpalić tradycyjne ognisko. Trwaliśmy i bawiliśmy się obok kotłowni, z której donoszono szufle rozżarzonych węgla; tradycji stało się zadość.

8. Nauczyciel i bibliotekarz regionalnymi działaczami kultury. Warszawa 7-16 września 2001 r. (Wanda Chotomska, prof. Grażyna Borkowska, dr Stanisław Falkowski, dr hab. Ewa Głębińska, mgr Piotr Kasuła, prof. Roman Loth, dr Jacek Leociak, dr Piotr Matywiecki, dr hab. Anna Nasiłowska, dr Marek Pąckiński, dr Barbara Radziejowska, prof. Izabela Rylska, prof. Anna Sobolewska, prof. Elżbieta Sarnowska-Temeriusz, prof. Jan Tomkowski, prof. Maria Wieruszewska, prof. Zygmunt Ziątek, Alina Kowalczykowa. Gość: Julia Hartwig).

9. Literatura – filozofia – sztuka. Czudec 3-11 lutego 2001 r. (dr hab. Robert Piłat, prof. Zbigniew Mach, mgr Anna Mach, dr Piotr Szubert, dr Krzysztof Ruszel, A. Kowalczykowa. Gość: Bogusław Sobczuk).

⁵ Kierownikiem kursów organizowanych „na zachodzie”, czyli w Wąsoczy i Kosewie, był Mirek Męgarski z Turku, który zmienił funkcję na wiceburmistrza miasta; pozostałym kursom i konferencjom szefował Mirek Skrzypczyk z Lelowa i Szczekocin.

10. Literatura – filozofia – sztuka. Kosewo 25 czerwca – 5 lipca 2001 r. (prof. Przemysław Czapliński, prof. Krzysztof Kłosiński, dr hab. Robert Piłat, Elżbieta i Marek Staniszwie, A. Kowalczykowa. Gość: Jerzy Zelnik).

Bardzo udana była wycieczka do Strzelna i Gniezna, połączona z koncertem muzyki dawnej; znakomity wykonawca, p. Jacek Kowalski.

11. Filozofia i Europa. Czudec 1-11 lipca 2001 r. (dr hab. Robert Piłat, prof. Alina Kowalczykowa, prof. Przemysław Czapliński, prof. Krzysztof Kłosiński, dr Krzysztof Mrowcewicz, dr Marek Staniszw, mgr Elżbieta Staniszw. Gość: Anna Polony, Jerzy Zelnik).

12. Kursokonferencja „Przyszłość profesjonalnego doskonalenia nauczycieli–humanistów”. Krasnoblród 31 stycznia – 5 lutego 2002 r. (prof. Anna Brzezińska, prof. Przemysław Czapliński, dr Marek Staniszw).

Dyskutowano nad możliwościami przebudowania kursów dla nauczycieli, by dostosować je do potrzeb. Sprawy przekazu międzypokoleniowego, autorytetu nauczyciela, pojęcia sukcesu, integracji przedmiotów humanistycznych. Był to impuls dla zrealizowanego jesienią projektu badań ankietowych.

13. Kanon tradycji – kanon literatury. Czudec 1 – 11 lipca 2002 r. (dr Julia Tazbirowa, prof. Janusz Tazbir, prof. Adam Karpiński, prof. Jerzy Święch, prof. Ewa Paczoska, dr Krystyna Pietrych, dr Marek Staniszw, A. Kowalczykowa. Gość: Hanna Krall).

14. Kultura europejska w polskiej szkole. Kosewo 14 – 24 sierpnia 2002 r. (prof. Anna Brzezińska, prof. Przemysław Czapliński, Jerzy Fedorowicz, dr Krzysztof Mrowcewicz, Piotr Juszkiewicz, Grzegorz Ziółkowski, Jarosław Jarzewicz).

W Kosewie obserwowaliśmy wyczyny Barbary Wierchowskiej i prof. Przemysława Czaplińskiego, przepływających na drugą stronę jeziora; on któregoś wieczoru wracając wypłynął niechcący o dwa kilometry dalej i w wieczornym chłodzie, mokry, wracał pieszo w kąpielówkach; denerwowaliśmy się, co się z nim stało, a nawet nie dostał kataru!

15. Kanon rodzimej tradycji – kanon rodzimej literatury. Polska w obrębie Unii Europejskiej. Jachranka 1-11 lipca 2003 r. (prof. Adam Karpiński, prof. Ryszard Nycz, prof. Jerzy Święch, prof. Andrzej Paczkowski, dr hab. Jerzy Snoppek, dr Piotr Łuszczkiewicz, A. Kowalczykowa. Gość: Karol Myśliwiec).

W Jachrance wprowadziliśmy nowy obyczaj, dogodny dla nauczycieli. Wszyscy wykładowcy nie tylko wcześniej wskazali lektury, lecz udostępniłi wcześniej konspekty zajęć, by można było lepiej przygotować się do dyskusji. Obyczaj się przyjął – choć nie zawsze był respektowany.

Straszna historia przydarzyła się podczas wykładu prof. Karola Myśliwca. Przywiózł mnóstwo diapozytywów z ostatnich badań w Egipcie; prosił, by bardzo uważać. Hubert, chcąc pomóc, dwukrotnie strącił je na podłogę. Profesor zachował się wspaniale: wszystko pracownicy poukładał (już bez pomocników) i kontynuował świetną opowieść. Tamże Hubert, nasz ówczesny prezes, zasłynął z powitania: „witam naszą nieodżałowaną panią Alinę...” – „nieodżałowaną” pozostałam do dziś.

16. Kultura europejskiego baroku - kultura medialna. Warszawa 25-28 września 2003 r. (prof. Maryla Hopfinger, prof. Krystyna Zachwatowicz, prof. Andrzej Wajda, prof. Michał Głowiński, prof. Aleksander Nawarecki, dr Krzysztof Mrowcewicz, Piotr Garlicki).

Ważnym punktem programu była wystawa sztuki hiszpańskiego baroku w Zamku Królewskim, Muzeum Kultury Współczesnej, 2 wizyty w teatrze.

17. Dialog międzykulturowy. Polska a sąsiedzi z północy i ze wschodu. Czudec 30 czerwca-8 lipca 2004 r. (dr Katarzyna Brzezina, prof. Bohdan Cywiński, prof. Michał Jagiełło, prof. Maria Poprzęcka, prof. Janusz Tazbir, dr Julia Tazbirowa, prof. Zygmunt Ziątek, dr Marek Stanisław, Elżbieta Stanisław. Gość: publicysta ukraiński Andriej Pawlyszyn).

W kursie uczestniczyło dwoje nauczycieli z Białorusi oraz 8 koleżanek z Ukrainy (zostały przyjęci do SNH „Prowincja”). Prof. Maria Poprzęcka prowadziła przez kilka kursów cykl zajęć z historii sztuki.

18. Kultura współczesna. Stereotypy, konflikty, interpretacje. Czudec 2-10 lipca 2005 r. (prof. Grażyna Borkowska, dr Jacek Leociak, dr Piotr Łuszczkiewicz, prof. Maria Poprzęcka, mgr Elżbieta Stanisław, dr Marek Stanisław, prof. Alina Kowalczykowska. Gość: prof. Jacek Waltoś).

19. Ideologia, prawa człowieka i problemy wzajemnej akceptacji. Warszawa 13-17 i 18-21 sierpnia 2005 r. (Waldemar Baraniewski, prof. Grażyna Borkowska, prof. Anna Brzezińska, prof. Michał Jagiełło, dr Jacek Leociak, prof. Zbigniew Mikolejko, prof. Maria Poprzęcka, prof. Tomasz Szarota, prof. Zygmunt Ziątek).

20. Polacy i Żydzi. Między koegzystencją a izolacją, wrogością i fascynacją, stereotyp i otwarcie. Czudec 11-19 sierpnia 2006 r. (dr Sławomir Buryła, prof. Przemysław Czaplinski, dr Jacek Leociak, dr Renata Piątkowska, prof. Eugenia Prokop-Janiec, dr Krzysztof Szwejca, prof. Alina Kowalczykowska. Goście: Witold Dąbrowski [teatr Brama z Lublina], Andrzej Samborski [wieczór poezji i pieśni żydowskich]).

21. Bibliotekarz prowincjonalny a najnowsze metody informacji naukowej. Warszawa 15-19 września 2006 r. (mgr Barbara Budzyńska, dr hab. Ewa Głębińska, prof. Alina Kowalczykowska, Ewa Kobierska-Maciuszko, dr Wojciech Pawlak, mgr Katarzyna Raczkowska, dr Kazimiera Szczuka, prof. Jan Tomkowski, mgr Paweł Ukielski, mgr Aleksandra Bek, mgr Alina Cywińska, mgr Roman Tabisz, dr Mirosława Zygmunt. Gość: Ryszard Kapuściński).

Większość zajęć odbywała się w Bibliotece Narodowej, w Bibliotece Uniwersyteckiej i w Muzeum Powstania Warszawskiego. Reszta – jak zwykle – w Pałacu Staszica, w sali, udostępnianej przez IBL.

Był z nami po raz ostatni Ryszard Kapuściński, członek SNH. Po wykładzie gadał ze wszystkimi, został na obiedzie. Elżbieta Miłoszewicz zapisała tekst jego wykładu, był jeszcze autoryzowany – i ukazał się w gazecie Gimnazjum w Okonku „Szkolny Dzwonek” (nr 42 i 43).

22. Polska polityka zagraniczna; fundusze unijne. Warszawa 23-26 sierpnia 2007 r. (prof. Bronisław Geremek, prof. Witold Orłowski, prof. Jan Dowgiałło, red. Bartłomiej Sienkiewicz, red. Adam Krzemiński, *attache* kulturalny Ambasady Izraela Michał Sobelman, prezes Trybunału Konstytucyjnego Jerzy Stępień, prof. Andrzej Friszke).

23. Wypiański w kulturze. Kraków 6-9 września 2007 r., uczestnicy: 35 nauczycieli. Sponsor: Ministerstwo Kultury i Sztuki. (Wykładowcy: dr Katarzyna Brzezina, prof. Anna Czabanowska-Wróbel, prof. Jan Ostrowski, prof. Dariusz Kosiński, prof. Franciszek Ziejka).

Na kursach pozawarszawskich wyjeżdżający wykładowcy są tłumnie zegnani kwiatami i piosenkami układanymi na ich cześć. Bywają zaskoczeni i wzruszeni, chętnie do nas wracają w kolejnych latach.

Pierwszy kurs z cyklu stacjonarnego był wielkim sprawdzianem umiejętności organizacyjnych i przyjaznego współżycia w zespole prawie 100-osobowym. Toteż starano się o dobre przygotowanie. Każdy kursant otrzymywał szczegółowy rozkład zajęć z podziałem osób na 3 grupy, znał nazwisko grupowej, rozsyłamy kserokopie z materiałami do zajęć, z góry zapisuje się rozlokowanie w pokojach itp.; sprawdzone wtedy obyczaje kontynuujemy.

Wszyscy założyliśmy, że chcemy być elitą, a to oznaczało przyjęcie pewnego sposobu bycia: wzajemną pomoc, uśmiech i życzliwość, aktywne uczestnictwo w zajęciach, i oczywiście wyłączenie alkoholowych biesiad (dopuszczamy piwo przy wieczornych ogniskach). Bardzo ważne – partnerskie relacje z profesorami; wspólnie spędzany czas wolny, spacer, gadanie. Wieczory muzyczno-literackie, organizowane przez Elżbietę (solistka skrzypaczka Filharmonii Rzeszowskiej)

i Marka Staniszków z udziałem ich umuzykalnionych córek, prowadzone przez nich przyogniskowe nauki śpiewu z podziałem na głosy, uczenie się pieśni ukraińskich (Staniszowie i kursantki z Ukrainy), białoruskich, żydowskich (Andrzej Samborski). Jakby z zamierzczej epoki przywracano sens takich pojęć, jak godność i społeczna ranga zawodu nauczyciela (Żeromski był naszym patronem!). A wynikały z takiej postawy i korzyści nie byle jakie: ci, o których pomoc zabiegaliśmy, łatwo dawali się przekonać, że elicie nauczycieli, działającej w trudnych prowincjonalnych warunkach należy się to, co najlepsze: znakomici wykładowcy, szacunek, godziwe warunki na kursach.

Brzmi to trochę jak bajka, ale naprawdę się sprawdziło. Nie wszyscy członkowie Stowarzyszenia się znają (jest nas ponad 400), a na spotkaniach wszyscy traktują się jak starzy przyjaciele. Nie wydarzyły się przez te lata żadne przykre incydenty ani konflikty, których od razu nie udałoby się załagodzić. Sprawdza się stary, niby anachroniczny już model działalności społecznikowskiej, opartej na dobrej woli, entuzjazmie i prywatnych przyjaźniach. I wiele satysfakcji daje świadomość, że można taki model życia realizować.

Wokół kursów – różne formy działalności

Wyjątkowo korzystna była dla SNH kilkuletnia współpraca z Fundacją Akademia Humanistyczna. W dokumencie ją potwierdzającym jako przedmiot wspólnych działań wymieniono organizację kursów i konferencji naukowych dla nauczycieli; ujęto tę „wolę współpracy” w formułę, nienaruszającą niezawisłości SNH, a zapewniającą wszelką pomoc:

Stowarzyszenie „Prowincja” zajmuje się sprawami ustalenia programu studiów i konferencji, składu wykładowców, rekrutacji uczestników na kolejne kursy oraz wszelkimi kwestiami organizacyjnymi.

Fundacja Akademia Humanistyczna będzie służyła poradami w kwestiach programu naukowego, pomaga w załatwianiu spraw finansowych 216 (księgowość).

Obie strony porozumienia zgodnie poszukują środków finansowych, niezbędnych dla funkcjonowania kursów naukowych. Nikt z IBL-u ani z Fundacji Akademii Humanistycznej nie szczędził dla nas czasu. Długi wdzięczności mamy ogromne, szczególnie wobec prof. Jerzego Snopka, który współuczestniczy w załatwianiu wszystkich naszych spraw.

W ten sposób zorganizowaliśmy na przykład konkurs dla nauczycieli na projekt i kosztorys zadania, które – zainspirowani przez tematykę kursów – zechcieliby zrealizować. Plonem konkursu było między innymi powstanie lokalnej gazety „Znad Lepietuchy” (2000 złotych, w Sawinie; redaktor – nauczyciel historii, Hubert Wiciński); zorganizowanie przez młodzież z kółka literackiego przy ZSZ w Białej Podlaskiej spotkania poetyckie, występ w Kozuli, wizyta białoruskiego poety Nikołaja Aleksandrowa (700 złotych, realizator – polonistka, Marysia Pietrzela); kilku-

dniowa wycieczka autokarem dzieci ze Szkoły Podstawowej z Polskim i Litewskim Językiem Nauczania w Nowinikach k. Puńska do Turku (realizator – historyk i etnograf, polonistka, Anastazja Sidor). Najwyższa dotacja przypadła Barbarze Gańczyk, która miała już przygotowaną do druku książeczkę *Dzieci Hioba*, historię Żydów z Kłodawy; dzięki temu dofinansowaniu mogła się ukazać. Później kwoty zaoszczędzone przeznaczaliśmy na nieplanowane wcześniej cykle kursów lokalnych, 18-, 24-, 30-godzinne, uzupełniające program „kursów wyjazdowych” (na sobotnie zajęcia „krótkich kursów” dojeżdżali najczęściej pracownicy naukowcy z najbliższej położonych uczelni – z Gdańska do Suwałk, z KUL-u do Chełma i Przemyśla, m. in. obecny prorektor Józef Fert, z Łodzi do Piotrkowa, Sieradza, Płocka i Włocławka, a z Poznania do Piły).

Ukoronowaniem naszej współpracy z Fundacją Batorego było otrzymanie 10 czteroletnich stypendiów doktorskich dla nauczycieli ze szkół prowincjonalnych. Odpowiedzialnymi za ich wykorzystanie byli promotorzy: podpisywali certyfikat, w którym zobowiązali się do składania corocznych sprawozdań i doprowadzenia swych wybrańców do doktoratu (milcząco założono, że jeśli nawet komuś się nie uda, to wydatek poniesiony na kształcenie nie będzie zmarnowany, zaowocuje podniesieniem poziomu szkolnych zajęć).

Rozwijaliśmy także, obok kursów stacjonarnych, inne formy działalności i inicjatywy:

1. Konferencja z udziałem wykładowców uniwersyteckich (Białystok, KUL, Olsztyń, Katowice); kwiecień 2003 r., Jachranka, 3 dni, 35 uczestników.

Bardzo ważna wydawała się spraw integracji środowisk akademickiego i nauczycielskiego; wspólnie dyskutowali oni na temat: „Perspektywy podyplomowego kształcenia nauczycieli” (punktem wyjścia stały się tezy sformułowane w raporcie ze sfinalizowanego w grudniu 2002 programu). Podsumowaniem konferencji było sformułowanie postulatów dotyczących kształcenia podyplomowego nauczycieli oraz sporządzenie sprawozdania rozesłanego do wyższych uczelni.

2. Konferencja, również z udziałem wykładowców uniwersyteckich, dotycząca możliwości współpracy przy modernizacji szkolnego nauczania pod kątem wymogów uczelni. 3 dni, listopad 2003 r., Warszawa, 40 uczestników. Współsponsorzy: NBP oraz PSL.

3. Wycieczka naukowa do Wilna, program opracowany we współpracy z Uniwersytetem Wileńskim i Polską Ambasadą; sierpień 2004 r., 4 dni, 50 osób (opłacana ze środków własnych uczestników). Ilona Lubomska (Augustów) wzięła na siebie organizację, dzięki jej staraniom wszystko przebiegało miło, sprawnie (i tanio).

Program ułożyliśmy niestandardowo, pod kątem naszych zainteresowań, ekspozując Wilno baroku i Wilno romantyków. Już w autokarze pani prof. Maria Poprzęcka wygłosiła wykład o cudownym obrazie Matki Boskiej Ostrobramskiej. (Zgodnie z tradycją, wchodziliśmy potem do Kaplicy na kolanach – każdy tyle stopni, ile dał radę). Obok stałych punktów zwiedzania (opiekowała się nami znakomicie dr Teresa Dalecka z Zakładu Polonistyki) w programie była m. in. majówka filomacką drogą do Werek (po drodze – kapliczki Kalwarii), zwiedzanie Trok, wykład p. ambasadora Jerzego Bahra w Domu Polskim, wykład w sali Uniwersytetu Wileńskiego (prof. Algis Kaleda i Teresa Dalecka), inscenizacja przed kościołem św. Kazimierza fragmentu opowieści Sobolewskiego z III części „Dziadów”, ustalanie, z którego okna klasztoru Dominikanów wyskoczył Rollinson (co wymagało gromadnego przedostania się na dziedziniec przez dziurę w płocie), wizytę w celi Konrada u Bazyliańców (zamknięta – lecz można było wejść za drobną opłatą na remont, podobnie jak do dawnego pałacu. Aby zobaczyć salę teatru, w którym mogli bywać romantycy (dziś Dom Artystów Litewskich) trzeba było zagadać portierów na tak długo, by cała grupa szybko i milczkiem zdołała przedostać się na pierwsze piętro, obejrzeć i obfotografować (zanim zdołano nas wyprosić). Wykorzystaliśmy każdą minutę wycieczki, a swobodna atmosfera i urozmaicenie programu były jej dodatkowym atutem.

4. Uczestnictwo w Międzynarodowym Zjeździe Polonistów w Krakowie, 4 dni, wrzesień 2004 r.

Prof. Ryszard Nycz, który w lipcu 2003 uczestniczył w kursie SNH w Jachrance, w imieniu organizatorów Zjazdu zaprosił 30 członków SNH „Prowincja” do udziału w nim. Zapewniono noclegi, zwolniono z opłaty wstępnej, wręczono wszelkie materiały. „Prowincjusze” wykorzystali wszystkie miejsca i rzetelnie przysłuchiwali się obradom. Była to szansa bezpośredniego zetknięcia się z licznymi luminarzami nauki.

5. Konferencja Naukowa Nauczycieli Humanistów: Mickiewicz w szkole, 23-25 września 2005 r., organizowana wspólnie przez Stowarzyszenie Nauczycieli Humanistów „Prowincja” i Wydział Polonistyki Uniwersytetu Łódzkiego w Łągiwnikach. 39 uczestników, w tym 21 referentów, wszyscy z ośrodków prowincjonalnych. (Książka pokonferencyjna została sfinansowana i opublikowana przez Wydawnictwo UŁ r.)

Konferencja nawiązywała do dawnych tradycji szkolnictwa, gdy profesorowie wyższych uczelni rozpoczynali pracę zawodową jako nauczyciele, gdy wierzono, że ambicje naukowe szkolnych wykładowców przyczyniają się do podniesienia poziomu oświaty. Konferencja SNH była próbą wznowienia naukowych konferencji nauczycieli (już kilka lat wcześniej z pomysłem wystąpił Mirek Reszewicz). Była w pełni dziełem nauczycieli, spoza ich grona byli goście – dr Krystyna Pietrych, prof. Jacek Brzozowski (UŁ) i A. Kowalczykowa.

6. Konferencja naukowa „Edukacja humanistyczna w nowym stuleciu. Rola humanistyki w kształtowaniu świata wartości młodzieży”, Zamek Królewski w Warszawie, 12 kwietnia 2006 r.

SNH „Prowincja było jej współorganizatorem, uczestniczyło w niej ok. 20 członków Stowarzyszenia z całej Polski (w tym dwoje referentów).

7. Spotkanie pracowników Domu Spotkań z Historią i Ośrodka KARTA z nauczycielami z „Prowincji”, Warszawa, 25 listopada 2006 r.

Nauczyciele zaprezentowali realizowane przez nich projekty, gospodarze określili, w czym mogą pomóc i czego się spodziewają po dalszych kontaktach. Postanowiono, że oba środowiska nawiążą współpracę w temacie prowadzonych z młodzieżą działań dokumentacyjno-edukacyjnych, dotyczących historii XX wieku. Przewidywano regularne spotkania w DSH, dyskusje wokół projektów oraz przyjazdy naukowców do miejscowości, w których działają nauczyciele. Niestety, realizacja projektu przebiega nie tak żywo, jak się spodziewano: nauczyciele są obecnie przeładowani dodatkowymi obowiązkami, związanymi z nowymi pomysłami MEN. Dotychczas odbyła się w DSH projekcja filmu wcześniej opracowanego przez uczniów ZS nr 5 w Suwałkach (wywiad z kobietą, która przeżyła Holokaust); w ZS w Szczekocinach pracownicy DSH przeprowadzili warsztaty dla uczniów (projekt „Historia mówiona”).

8. Spotkanie towarzyskie z okazji 10-lecia kursów naukowych oraz 5-lecia rejestracji SNH „Prowincja”, 10 lutego 2007 r. Odbyło się w Sawinie wspólnym staraniem, a głównym organizatorem był Przewodniczący Rady Gminy, Hubert Wiciński.

W spotkaniu wzięło udział 60 nauczycieli (i bibliotekarzy) oraz kilka osób miejscowych, w tym zaproszone władze i ksiądz proboszcz. Prowincjusze zjechali się na to jedno popołudnie i wieczór z całej Polski (na własny koszt). Muszę tę uroczystość także odnotować, choć czynię to z prawdziwym zażenowaniem: część artystyczna okazała się kilkugodzinną, niezwykłą „akademią ku czci” inicjatorki kursów, Aliny Kowalczykowej. Z czcią usadowiwszy zaskoczoną jubilatkę wykonywano rozmaite pokazy, inscenizacje fragmentów moich ulubionych utworów: „Piasta Dantyszka” i „Balladyny” Słowackiego i nawet odnalezienie mojej pięknej lalki, która od kilkadziesiątu lat (ostatnio w stanie szczątkowym) bawiła u kolejnych dziewczynek; pięknie została odnowiona i wyposażona w Hrubieszowie, (poszta dalej w służbę). Wiersze i pieśni „ku czci”, własnoręcznie wykonywane filmy, obrazki (7), gadżety i nawet zrobiony z drewnienek stateczek „Prowincja”. A także sękacze i mrowisko. I pudło z pseudo-wikliny (zrobionej z „Gazety Wyborczej”) wypełnione gwizdzącymi ptaszkami (bym mogła wzywać „Prowincję” w potrzebie). I różne inne wspaniałe dary, wszystko to było niezwykle i przepiękne. Nie tylko ja się wzruszyłam.

Mocne i niezwykle przydatne wsparcie otrzymujemy od członków Stowarzyszenia „Prowincja”, wywodzących się spośród wykładowców. Nie tylko godzą się na kolejne prowadzenia zajęć, ale pomagają w pozyskiwaniu następnych znakomitych partnerów. Nie tylko formalnie: wspomagają wszelkie działania. Wystawiają pomocne, uwiarygodniające w oczach sponsorów działalność „Prowincji” listy rekomendacyjne; otrzymaliśmy je m.in. od Ryszarda Kapuścińskiego, Adama Karpińskiego, Hanny Krall, Karola Myśliwca, Andrzeja Paczkowskiego, Jerzego Święcha, J. i J. Tazbirów, Krystyny i Andrzeja Wajdów, Krzysztofa Zanussiego i innych; kilkunastu było na zebraniu wyborczym w sierpniu 2005. Niektórzy wykładowcy dają się namówić na spotkania w szkołach. Charakter rekomendacyjny miał też list „pożegnalny” od dyrektora Fundacji Batorego, pani Anny Rozickiej (z 26 marca 2003), adresowany do MEN z poparciem naszych starań o dofinansowanie kolejnych kursów. Zacytujmy fragment: „Obok wzbogacenia wiedzy i pobudzania aktywności nauczycieli” wspomina się „efekty niewymierne kursów, ale wyraźnie widoczne dla osób obserwujących ich przebieg. Podstawową zaletą programu jest bardzo wysoki poziom wykładowców. Kursy zapewniają intensywny, partnerski kontakt między nauczycielami a prowadzącymi zajęcia. Nauczyciele są pod stałą, życzliwą opieką, mają stały kontakt z organizatorami po zakończeniu kursu. [...] Wiele uwagi przywiązuje się do rozbudzenia w nauczycielach poczucia własnej wartości, czemu szczególnie sprzyja przyjazna postawa wykładowców”.

Bardzo ubogie są biblioteki prowincjonalne, jeśli ukazują się jakieś możliwości, staramy się je wykorzystać. Wspaniałym darczyńcą był Władysław Kopaliński, ofiarował egzemplarze autorskie, w sumie już kilkaset słowników powędrowało od niego na prowincję. Bezcenne książki otrzymujemy z Instytutu Sztuki; gdy skutek powodzi we Wrocławiu zdekompletowały się 11-tomowe *Dzieje rezydencji* Romana Aftanazego, otrzymaliśmy dobrze ponad tysiąc tomów, nie licząc innych dzieł. Ale kiedy zaprzyjaźniona szkoła w Wołkowysku potrzebowała podręczników, zebraliśmy i wysłaliśmy ponad 200 nowych egzemplarzy. Członkowie SNH próbują szerzej włączyć się do działań na rzecz szkoły. Zaczęto od tego, co wydawało się najpilniejsze: od analizy wartości podyplomowych kursów dla nauczycieli. Nie najlepiej je oceniano, szczególnie te, które organizowały uczelnie z myślą o pogłębianiu nauczycielskiej wiedzy. Przedyskutowaliśmy wstępnie możliwość ich modernizacji i zgłosiliśmy do Fundacji Batorego pomysł przeprowadzenia i opracowania badań ankietowych. Został zaakceptowany. Realizacją zajęli się zespół: Wiesia i Mariusz Mazurkowie, Anka Hanszke, Jola Kubrak, Anna Męcarska, Aldona Nocna, Mirosław Rzeszewicz, Alina Kowalczykowa. Materiały gromadzono z trzech źródeł: informacje o prowadzonych szkoleniach otrzymano od dziewięciu Ośrodków Doskonalenia Nauczycieli oraz od uczelni wyższych (11 plus Instytut Badań Literackich), nauczycieli prosiliśmy o wypełnienie rozesyłanych ankiet. Były anonimowe, ale zawierały podstawowe informacje dotyczące

respondentów, a pytania dotyczyły oceny szkoleń, w których brali udział, propozycji zmian w systemie prowadzenia szkoleń (możliwych do wprowadzenia bez angażowania dodatkowych funduszy) i na koniec zakreszenia wizji kursów wymarzonych, choćby nawet nierealna wydawała się perspektywa powołania ich do życia. Odzew był znakomity: otrzymaliśmy 245 odpowiedzi od członków Stowarzyszenia i zaprzyjaźnionych z nimi nauczycieli (badania nauczycielskich opinii, prowadzone równoległe przez MEN, opierały się na formularzach, wypisywanych przez ankieterów, uczestniczyło w nich mniej nauczycieli).

Konstruując ankietę, świadomie odstąpiliśmy od wzorców, stosowanych w psychologii i pedagogice. Informacje dotyczące respondenta musiały mieć jednolitą formę, dalej nadaliśmy jednak ankiecie charakter maksymalnie otwarty i anonimowy, by pisano szczerze i swobodnie. W omówieniu rezultatów ankiety (33 strony bez interlinii, dzięki Fundacji Batorego mogliśmy je skserować i rozesłać do wszystkich zainteresowanych) uwagi krytyczne zostały zwięźle zblokowane, rozbudowano część zawierającą propozycje postulatywne oraz zapis projektów i marzeń kształtujących wizję przyszłej uczelni wakacyjnej, w której nauczyciele mogliby stale uzupełniać wiedzę i umiejętności oraz zapoznawać się z aktualnymi osiągnięciami nauki; zgodnie ze statutem SNH, wytyczającym jako cel Stowarzyszenia „rozszerzanie horyzontów intelektualnych”. Ważnym celem Stowarzyszenia było doprowadzenie do nawiązania trwałych kontaktów między uczelnią i nauczycielami, znajdującymi się w jej zasięgu. Omówieniu możliwości w tym zakresie służyły dwie (wymienione już) konferencje. Nauczycielom zależało głównie na dwóch sprawach. Po pierwsze, by byli powiadamiani o planowanych przez uczelnię otwartych sesjach naukowych (i innych imprezach), w których by mogli uczestniczyć. Nie są one wprawdzie tajne, ale samodzielne szukanie informacji i odnajdywanie ich w ostatniej chwili praktycznie uniemożliwia udział chętnym pozamiejscowym, z prowincji. Można by na przykład wśród adresatów zawiadomień umieścić stowarzyszenia nauczycielskie, można podawać te informacje przez Internet, można także podać do nauczycielskiej wiadomości nazwisko pracownika naukowego, który by się podjął podtrzymywania kontaktów z nauczycielami.

Po drugie, nauczyciele chcieliby móc uzyskiwać informacje o wszelkich ustaleniach, dotyczących egzaminów wstępnych na uczelnie oraz działań, ułatwiających młodzieży z mniejszych miejscowości aklimatyzację na studiach. „Miejscowi” są bowiem wyraźnie uprzywilejowani, mogą osobiście o wszystko się dowiadywać, chodzić na zajęcia przygotowujące do egzaminów wstępnych, poznać uczelnię. „Nietutejszym” trudniej.

Obie te konferencje były bardzo interesujące: przede wszystkim przez fakt szybkiego porozumienia się nauczycieli z przedstawicielami uczelni. Istniał bowiem (obecnie kruszony) między nimi twardy mur wzajemnych urazów i niezro-

zumienia. Widać to było dobrze na tych konferencjach: pierwsze dyskusyjne popołudnie przekształcało się we wzajemne wypominanie win (że winą nauczycieli jest złe przygotowanie młodzieży do studiów, że wymagania uczelni są odległe od programu, narzuconego szkołom, a egzaminy są sprawdzianem wykutej wiedzy, a nie umiejętności – na które wtedy kładziono mocny nacisk, itp.). Trzy kolejne czterogodzinne sesje miały już zupełnie inny przebieg: po wyrzuceniu z siebie urazów następowała rzeczowa i pełna zrozumienia dyskusja, prowadząca do konkretnych wniosków, możliwych do realizacji.

Trzeba tu dodać, że warunkiem powodzenia tego typu uczelniano-nauczycielskich konferencji jest partnerskie zaangażowanie dyskutantów; od wykładowców wymaga to uznania nauczycieli za dyskutantów równouprawnionych, a od nauczycieli – przełamania zahamowań, lęków przed ośmieszeniem. W tym przypadku szczęśliwie takich oporów nie było: nauczyciele z „Prowincji” wywodzą się z grona najlepszych (jeżdżą wielokrotnie na te szkolenia, mimo że nie odnoszą żadnych wymiernych korzyści) i obytych z wybitnymi autorytetami. Niełatwo ich onieśmielić – zarzuty ze strony uczelni spotykały się z natychmiastowymi replikami. Aby maksymalnie wykorzystać czas konferencji, wprowadziliśmy twardą i konsekwentnie realizowaną zasadę: nikt w dyskusji nie nawiązuje do minionych sukcesów, nie wysłuchujemy narzekań; każdy poruszany temat powinien prowadzić do jakichś konkretnych propozycji i wniosków.

Konferencje były świetne, pokazały, że można się porozumieć i dojść do wspólnych ustaleń, ale ich praktyczne rezultaty chyba były znikome. Przede wszystkim z powodu ustawicznych przemian w szkole: jej struktury, programów itp. Ale także z powodu naszych zaniechań: nie starczyło czasu, by zadbać o kontynuację.

Perspektywy i wnioski

Główną naszą troską jest poszukiwanie życzliwych sponsorów. Dotychczas wspierali nasze działania najhojniej: Fundacja Batorego (stale do 2002), MEN (wielokrotnie), Ambasada Królestwa Holandii (czterokrotnie); Fundacja „Erinnerung, Verantwortung und Zukunft”; Ministerstwo Kultury (trzykrotnie); Polska Konfederacja Pracodawców Prywatnych; Bank BISE, Fundacja Wspomagania Wsi; Urząd Komitetu Integracji Europejskiej; Narodowy Bank Polski (kilkakrotnie); Polskie Stronictwo Ludowe, ostatnio także Fundacja Konrada Adenauera. Do początku 2006 r. działalność SNH była życzliwie traktowana przez MEN. Pani minister Krystyna Łybacka nie tylko przyznawała dotacje, ale naprawdę interesowała się potrzebami prowincjonalnego szkolnictwa; znalazła czas, by zaprosić 14-osobowe grono członków SNH, gościła nas przy kawie i ciastkach przez ponad godzinę, wypytywała o zdanie na temat potrzeb szkół z prowincji – i serio tych opinii wysłuchiwała. Wiosną 2006 po raz pierwszy „Prowincja” nie otrzymała żadnego wsparcia od MEN – to źródło już wtedy dla nas wyschło.

Co przemawia za potrzebą kontynuacji tej formy nauczania, jaką są kursy organizowane przez SNH „Prowincja”? Przede wszystkim – możliwość bezpośredniego zetknięcia nauczycieli z wybitnymi autorytetami naukowymi oraz fakt, że rozszerzanie perspektyw intelektualnych idzie w parze z autentycznym nawrotem do społecznikowskich form życia zbiorowego, do kształtowania szerokiej koleżeńskiej wspólnoty. Kursy są postrzegane przez ich uczestników jako bodziec i inspiracja; znajduje to potwierdzenie w podejmowanych przez nich działaniach na rzecz szkoły i społeczności lokalnej.



Julia Hartwig i Grzegorz Kociuba. Spotkanie „Prowincji”, kurs lato 1999



Czudec, lipiec 2000



Kosewo 2001 - fot. J. Bort



Jachranka, lipiec 2003 - wyprawa do sklepu po mleko



Czudec 2004 - z prof. Markiem Staniszem - na zdjęciu obok Mirosława Skrzypczyka



Jean-Francois Millet (1814-1875), *Stogi jesienia*, ok. 1874

NOTA BIBLIOGRAFICZNA

Rozdział I. Z romantyzmu

- 1. *Motto romantyczne. Na marginesie lektur*, [w:] „Przegląd Humanistyczny” 1981, nr 1/2, s. 1-13.
- *Petersburg. Burzliwe losy i koneksje polskich pisarzy w stolicy carów*, Międzynarodowe Centrum Kultury w Krakowie, tekst opublikowany po raz pierwszy w zbiorze esejów *Polacy i Petersburg* pod red. D. Konstantynowa, MCK Kraków 2016 w ramach encyklopedii internetowej *Polski Petersburg* www.polskipetersburg.pl/.
- 3. *Samobójcy romantyczni*, [w:] „Ruch Literacki” 1983, z. 6, s. 429-437.
- 4. *Mecenat literacki i artystyczny (XIX i XX wiek)*; oryg. *Mecenat literacki i artystyczny w XIX i XX wieku*, [w:] *Z dziejów mecenatu kulturalnego w Polsce. Studia*, pod red. J. Kosteckiego, Warszawa 1999, s. 171-221.

Rozdział II. Z wieku XX

- 1. *Stefan Żeromski – lata ostatnie*, [w:] *Stefan Żeromski 1864–1925*, red. A. Stawiarz, Warszawa 2003.
- 2. *Mapa. Głos Stefana Żeromskiego w sprawie polskich granic*; pierwodruk. Tekst złożony do druku w księdze pokonferencyjnej (*Żeromski – najszcześniejsze lata życia i twórczości*, Konstancin – 25 września 2014 r.) pod red. J. Snopka.
- 3. *Natura niepodległa*, [w:] *Żeromski. Tradycja i eksperyment, idea i wstęp*. J. Ławski, red. A. Janicka, A. Kowalczykowa, G. Kowalski, Białystok – Rapperswil, Białystok 2013, s. 165-176.
- 4. *Zza kulis „Sowizdrzała”*, [w:] „Przegląd Humanistyczny” 1959, nr 4, s. 133-143 (debiut autorski).
- 5. *Jak Tuwim swój młodzieńczy wizerunek korygował*, [w:] *Skamander*, t. 3: *Studia o poezji Juliana Tuwima*, „Prace Naukowe Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach”, Katowice 1982, nr 502, s. 78-86.
- 6. *Tuwim – poetyckie wizje Łodzi*, [w:] „Prace Polonistyczne” 1996, ser. 51, s. 7-19.
- 7. *O wierszu Julii Hartwig „Zabawa z mgłą w Kościelisku”*; oryg. *Julia Hartwig: „Zabawa z mgłą w Kościelisku”*, [w:] *Poezja współczesna w szkole. Interpretacje. Praca zbiorowa*, red. A. Kowalczykowa, Warszawa 1998, s. 53-60.
- 8. *Wat-Giedroyć*, [w:] *Tak się z Wami zrosło moje życie. Prace dedykowane Romanowi Lothowi*, red. B. Dorosz i P. Kądziała, Warszawa 2011, s. 297-308.
- 9. *Gombrowiczowska wersja romantycznego buntownika*, [w:] „Dekada Literacka” 1996, nr 5 (117), s. 4-5.

Rozdział III. Wspomnienia

- 1. *O ojcu – wspomnienia domowe*; oryg. *O ojcu – wspomnienie domowe*, [w:] *Przeszość, przyszłość. Księga pamiątkowa ku czci prof. Stanisława Lorentza w setną rocznicę urodzin*, red. A. Rottermund, D. Folga-Januszewska, E. Micke-Broniarek, Warszawa 1999, s. 213-245.
- 2. *Album Stanisława Lorentza*, pierwodruk.
- 3. *Konserwator Stanisław Lorentz na Wileńszczyźnie – przyczynek*; oryg. *Konserwator Stanisław Lorentz na Wileńszczyźnie. Przyczynek*, „Acta Academiae Artium Vilnensis = Vilniaus Dailės Akademijos Darbai” 2003, nr 29, red. V. Janauskas 129-137.
- 4. *Wyprawa do Wilna*, [w:] „Bibliotekarz Podlaski. Ogólnopolskie Naukowe Pismo Bibliotekoznawcze i Bibliologiczne” 2014, nr 28, s. 169-178.
- 5. *Jarosław Maciejewski o romantyzmie*; tekst został wygłoszony jako referat wygłoszony w Poznaniu na sesji ku czci Profesora Jarosława Maciejewskiego; pierwodruk [w:] *Jarosław Maciejewski – in memoriam. Wystąpienia z sesji poświęconej Profesorowi w 25. rocznicę śmierci*, red. Jerzy Fiećko, Krzysztof Trybuś, Poznań 2014, s. 37-46.
- 6. *Wspomnienie o Monice Żeromskiej*; oryg. *Monika Żeromska (1913–2001)*, „Zeszyty Literackie” 2002, nr 2, s. 151-156.
- 7. *Nieborów. Przejmowanie rezydencji. Drobiazgi, uzupełnienia, wspomnienia*, [w:] *Bibliotheca mundi. Studia bibliologiczne ofiarowane Janowi Leończukowi*, red. J. Ławski, Ł. Zabielski, Białystok 2016, s. 115-134.

Rozdział IV. Marginesy, dopowiedzenia, recenzje

- 1. *Antologia polskiej poezji rewolucyjnej 1918–1939*. Recenzja; oryg. [Rec. *Antologia polskiej poezji rewolucyjnej 1918–1939*. Oprac.: Marian Stępień, Wrocław 1982], [w:] „Pamiętnik Literacki” 1983, nr 4, s. 367-370.
- 2. *Moskale usunięci, Litwa też*. Recenzja; oryg. *Moskale usunięci, Litwa też*, [w:] „Kultura Niezależna” 1985, nr 6, s. 47-49 [wyd. poza zasięgiem cenzury].
- 3. *Na marginesie „Listów z Rosji” A. de Custine’a*; oryg. *Na marginesie „Listów z Rosji” [Astolphe’a markiza de Custine]*, [w:] „Zeszyty Historyczne” Paryż 1988, nr 86, s. 212-216.
- 4. *Stare wzory wiecznie żywe*, [w:] „Almanach Humanistyczny” 1988, nr 9, s. 137-138.
- 5. *Nasza szkapa i inne nieszczęścia*; oryg. *Nasza szkapa i inne nieszczęścia. (Zarówno uczniów, jak i nauczycieli trzeba kształcić inaczej)*, [w:] „Polityka” 1995, nr 8, s. 16.
- 6. *Stowarzyszenie Nauczycieli Humanistów „Prowincja”*, [w:] *Szkoła w dobie Internetu*, red. nauk. A. Nowak, K. Winkowska-Nowak, L. Rycielska, Warszawa 2009, s. 203-222.

ALINA KOWALCZYKOWA. *ON CONTEMPORARY TIMES: SERIOUS AND NOT SO SERIOUS MATTERS. ABANDONED AND MISCELLANEOUS WORKS. VOL. 2.* EDITED BY ANNA JANICKA AND GRZEGORZ KOWALSKI. BIAŁYSTOK, 2016. SCHOLARLY PUBLISHING PROJECT – SERIES ‘WATERSHEDS/BORDERLANDS’

SUMMARY

The present volume continues the edition of works by Professor Alina Kowalczykowska, a researcher in nineteenth- and twentieth-century literature. The first volume of the project, *On Romanticism. Aesthetics – Politics – History*, edited by Anna Janicka and Grzegorz Kowalski, came out in 2014. It was published by the Łukasz Górnicki Library Książnica Podlaska (Białystok), the Chair in Philological Studies ‘East – West’ (the University of Białystok), and the Learned Society ‘Oikoumene.’

Alina Kowalczykowska (PhD, DLitt) is Professor Emeritus of Polish Literature in the Institute of Literary Studies (Polish Academy of Sciences), a member of the Society for the Development of Sciences, PEN Club, and the Committee of Literary Studies (Polish Academy of Sciences). Her academic research focuses on the literature of Romanticism. She has prepared a number of course books for Polish studies, e.g. *Romanticism. A Course Book for Secondary Schools* (Warsaw 1994). She has also published *Żeromski in Independent Poland. Sketches* (Warsaw 2013) and *Testimonies of Self-Portrait* (2008).

The texts brought together in the present volume are divided into four chapters: “From Romanticism” (Chapter I), “From the Twentieth Century” (Chapter II), “Remembrances” (Chapter III), “Margins” (Chapter IV). Specifically, the reader will find the following:

- “Romantic Epigraph. On the Sides of Pages”
- “Petersburg. The Dramatic History and Connections of Polish Writers in the Czarist Capital”
- “Romantic Suicides”
- “Literary and Artistic Patronage (the 19th and 20th Century)”
- “Stefan Żeromski – His Last Years”
- “A Map. Żeromski on Polish Borders”
- “Independent Nature”
- “The Context of Till Eulenspiegel”
- “How Tuwim Corrected His Youth Image”
- “Tuwim – Poetic Visions of Łódź”
- “On Julia Hartwig’s Poem *Playing with the Fog of Kościelisko*”

- “Wat – Giedroyc”
- “A Romantic Rebel According to Gombrowicz”
- “Father – Home Remembrances”
- “Stanisław Lorenz’s Album”
- “The Curator Stanisław Lorenz in Vilnius Region. A Remark”
- “A Trip to Vilnius”
- “Jarosław Maciejewski on Romanticism”
- “Monika Żeromska. A Remembrance”
- “Nieborów. Taking Over the Estate. Trifles, Addenda, Remembrances”
- “Anthology of Polish Revolutionary Poetry 1918-1939. A Review”
- “Moskals Removed. So Has Been Lithuania. A Review”
- “A Note on A. de Custine’s *Letters from Russia*”
- “Old Patters Are Forever Valid”
- “*Our Nag* and Other Miseries”
- “The Teacher of the Humanities Society *Province*”

In his short “Introduction” to the volume Jarosław Ławski points to the fact that Kowalczykova’s academic writings aptly combine innovativeness with a literary talent. Above all, however, she is an excellent essayist, whose passionate texts highlight unknown aspect of 19th- and 20th-century history and literature. Even if she focuses mainly on Polish and European Romanticism, its influences and metamorphoses are traced in 20th-century literature (see, for example, her studies of Aleksander Wat, Jerzy Giedroyc, as well as her extensive interpretations of Stefan Żeromski’s works). Alina Kowalczykova has the gift of regaining so-far-unexplored dimensions of texts and histories that allegedly have been thoroughly-researched. Her style is engaging, sparkling, and underpinned by a dose of ironic reserve, irresistible to the reader. The volume has been edited by Anna Janicka (PhD, DLitt), the University of Białystok, and Grzegorz Kowalski (MA), the Książnica Podlaska Library, and reviewed by Professor Maciej Tramer, the University of Silesia.

Przełożył Jacek Partyka

АЛИНА КОВАЛЬЧИКОВА, *ВОКРУГ СОВРЕМЕННОСТИ. ТЕМЫ СЕРЬЕЗНЫЕ И НЕ ОЧЕНЬ, РАССЕЯННЫЕ И ЗАБРОШЕННЫЕ ПИСЬМА*, ТОМ II, ПОД РЕДАКЦИЕЙ АННЫ ЯНИЦКОЙ, ГЖЕГОЖА КОВАЛЬСКОГО, БЕЛОСТОК 2016, НАУЧНЫЙ ИЗДАТЕЛЬСКИЙ ПРОЕКТ – СЕРИЯ «РУБЕЖИ/ПОГРАНИЧЬЯ».

РЕЗЮМЕ

Настоящий том является продолжением издания писем профессора Алины Ковальчиковой, исследователя литературы XIX и XX веков. Первый том *Вокруг романтизма. Эстетика – политика – история* появился под редакцией Анны Яницкой и Гжегожа Ковальского в 2014 г. Издателями тома (возможно и настоящего) были: Подляшское книготорговое предприятие в Белостоке им. Лукаша Гурницкого, кафедра филологических исследований «Восток-Запад» Университета в Белостоке и научное товарищество «Oikoumene».

Алина Ковальчикова, доктор наук, вышедший на пенсию профессор, историк польской литературы Института литературных исследований ПАН, член нескольких объединений: Товарищества поддержки и распространения наук, Клуба поэтов, эссеистов, новеллистов (PEN Club), Комитета наук о литературе ПАН. В исследованиях занимается, главным образом, вопросами, связанными с литературой романтизма. Является автором школьных учебников польского языка *Романтизм. Учебник для средних школ* (Варшава 1994). В последнее время профессор издала книги: *Жеромский в независимой. Очерки* (Варшава 2013), а также *Свидетельство автопортрета* (2008).

Материалы, собранные в настоящем томе, были разделены на четыре главы: *Из романтизма* (Раздел I), *Из XX века* (Раздел II), *Воспоминания* (Раздел III), *Второстепенное* (Раздел IV).

В томе собраны следующие исследования, очерки, эссе, рецензии:

- Романтический эпиграф. На втором плане литературы для чтения
- Петербург. Бурные судьбы и связи польских писателей в столице царей
- Романтические самоубийцы
- Литературное и артистическое меценатство.
- Стефан Жеромски – последние годы
- Карта. Голос Стефана Жеромского по вопросу польских границ
- Независимая сущность
- Из кулисами «Вертопраха»
- Как Тувим корректировал свой юношеский портрет

- Тувим – поэтические видения Лодзи
- О стихотворении Юлии Хартвиг *Игра со мглой в Костелуске*
- Ват – Гедройц
- Гомбровичевская версия романтического бунтаря
- Об отце – домашние воспоминания
- Альбом Станислава Лорентца
- Реставратор Станислав Лорентц на Виленщине – дополнительный материал
- Экспедиция в Вильнюс
- Ярослав Мацеевски о романтизме
- Воспоминания о Монике Жеромской
- Неборув. Принятие резиденции. Мелочи, дополнения, воспоминания.
- Антология польской революционной поэзии 1918-1939 гг. Рецензия
- Москали устранены, Литва тоже. Рецензия
- На втором плане *Писем из России* А. де Кустина
- Старые образы всегда живы
- *Наша кляча* и другие несчастья
- Общество учителей-гуманистов «Провинция»

Во вступлении к книге Ярослав Лавски подчеркивает, что исследовательница соединяет в своем научном творчестве самые лучшие черты научных идей и литературного таланта. По мнению критика, Алина Ковальчикова является, прежде всего, известным автором эссе, открывающим в своих написанных со страстью работах, неизвестные страницы литературы и истории XIX и XX веков. Хотя в центре ее исследовательских интересов лежит польский и европейский романтизм, его последствия и метаморфозы она прослеживает также в литературе XX века (исследования о Александре Вате и Ежи Гедройце, обширная интерпретация творчества Стефана Жеромского). Алина Ковальчикова наделена способностью проявления неизвестных масштабов текста и событий, казалось бы хорошо исследованных. Вместе с тем, пишет занимательно, блестяще и с определенным видом иронической дистанции, которая соблазняет читателя. Редакторы книги: доктор наук Анна Яницка, Филологический факультет Университета в Белостоке, и мгр Гжегож Ковальски, Подляшское книготорговое предприятие в Белостоке им. Лукаша Гурницкого (отдел продвижения и рекламы). Рецензент научного исследования профессор Слэнского университета Мацей Трамер.

Przełożył Bazyli Siegien

INDEKS NAZWISK

A

Abramowski Edward – 106, 109
Acerboni Giovanni – 307
Adamczyk Zdzisław Jerzy – 2, 132, 307
Adenauer Konrad – 375
Aleksander I (car Rosji) – 26, 27, 51
Aleksandrzak Robert – 364
Andrzejewski Jerzy – 94
Andrzejewski Wiktor – 277
Antoniewicz Władysław – 324
Antoniewicz Włodzimierz – 255
Appelt Karolina – 364
Asnyk Adam – 37
August Stanisław – 52, 54

B

Bachórz Józef – 2, 53
Bachurzevska Zofia – 282
Baczewski Probus – 61
Baczyński Stanisław – 88
Badeni Stanisław – 96
Bahr Jerzy – 371
Bakunin Michaił – 34
Balicki Karol – 66
Bałakier Alicja – 162
Bałzukiewicz Bronisław – 66
Bandurski Władysław – 200
Bar Adam – 143, 145
Baranowski Jerzy – 209, 222, 223
Baranowski Wojciech – 144
Barański Franciszek – 205
Barbarossa Fryderyk – 117
Bartkiewicz Z. – 92
Bartoszewicz Julian – 59
Bartus Stanisław – 66
Batory Stefan – 76

Batowski Zygmunt – 229
Baumbach Rudolf – 141
Bazewicz Józef Michał – 125
Beczkwicz Zygmunt – 197, 198, 200, 228, 246
Beer Zoriana – 306
Bek Aleksandra – 363, 368
Belmont Leo – 139, 141, 143
Bełza Stanisław – 144
Bełza Władysław – 63
Bem Józef – 139
Bendig Bożena – 363
Benni Karol – 63
Bentkowski S. – 66
Berent Waclaw – 94, 145
Berwiński Ryszard Wincenty – 16, 20
Beseler Hans – 148
Bestuzew-Marliński Aleksander – 28
Białostocki Jan – 217
Biegański Piotr – 206, 323
Biegas Bolesław – 66
Bielawski Józef – 12
Bieliński Wissarion – 34
Bielski Olgierd – 197
Biernacki Andrzej – 53
Bierut Bolesław – 234
Bizan Marian – 282, 292
Blikłowa Ala – 308
Blinowska Justyna – 359
Blumental Leopold – 139
Błoński Jan – 185, 282, 288, 291, 331
Bogucka Teresa – 364
Bogusławski Józef – 35
Bogusławski Wojciech – 64
Boguszewska Helena – 92, 318

- Bohm Rudolf - 11
Bolesławski Jerzy - 223
Borkowska Grażyna - 2, 362, 367
Borowska Halina - 196
Borowski Jan - 196, 206, 269
Borowski Karol - 234
Borowski Tadeusz - 187
Borowy Waclaw - 92,101,113-115,124
Boye Edward - 88
Brandysowie - 307
Braun Krzysztof - 364
Brendel Janos - 65
Brensztejn Michał - 269
Brodowski Antoni - 48
Brodowski Feliks - 92
Brodziński Kazimierz - 54, 301
Broel-Platerowa Izabela - 55
Broniewski Kazimierz - 68
Broniewski Władysław - 332, 333
Brzezina Katarzyna - 367, 368
Brzezińska Anna - 364, 366-7
Brzękowski Jan - 333
Brzozowski Jacek - 370
Brzozowski Stanisław - 74, 92
Bućko Anna - 363
Budzyńska Barbara - 368
Bujnicki Teodor - 196, 337
Bulhak Jan - 69, 319
Bulhakow Jan - 243
Buryła Sławomir - 2, 367
Burzka-Janik Małgorzata - 4, 40
Bylica Ignacy - 271
Byron George Gordon- 12,16, 23, 51
Bystroń Jan Stanisław - 101
- C**
Camille Corot Jean-Baptiste - 10, 280, 360
Celiński Adam - 16
Chachulski Tomasz - 364
Chałasińska Ewa - 359
Charazińska Elżbieta - 209, 364
Chatterton Thomas - 39, 44
Chełmoński - 58
Chmielowski Piotr - 60
Chodkiewicz Aleksander - 55
Chodźko Michał - 23, 43, 44
Chołoniewski Stanisław - 33
Chołoniewski Stanisław - 33, 344
Chomińska Stefania -196
Chomiński Ludwik - 241, 242
Chomiński Luka - 228
Chopin Fryderyk - 155
Choppen Jerzy - 269
Chor L. - 142
Choromański Leon - 89, 94, 140,142
Chotomska Wanda - 365
Choynowski Piotr - 91
Chrobry Bolesław - 53
Chruszczow Nikita - 178
Chrzanowski Bernard - 134
Chwalewik Edward - 59
Ciechanowska Helena - 63
Ciechowicz Jan - 360
Ciszewski I. - 63, 66
Ciszkowski August - 33
Ciunowicz Antoni - 272
Clemenceau George - 123
Constable John - 130
Courbet Gustawe - 59
Custine Astolphe de - 5, 6 , 344-349
Cygan Stanisław - 129
Cywińska Alina - 368
Cywiński Bogdan -197, 367
Czabanowska-Wróbel Anna - 368
Czacki Tadeusz - 52,71
Czajkowska Agnieszka - 2
Czajkowski Michał - 33
Czapliński Przemysław - 366, 367
Czapska Maria - 182

Czapski Emeryk - 277
Czapski Józef - 182
Czarnocki Konrad - 133
Czartoryska Anna - 56
Czartoryski Adam Jerzy - 26, 29, 51, 52, 55, 56, 60
Czartoryski Adam Ludwik - 96
Czartoryski Marcelli - 64
Czczot Włodzimierz - 286
Czepulis-Rastenis Ryszarda - 57, 59, 60
Czerwińska Małgorzata - 2
Czerna Anna Ludwika - 92
Czerwiński Marcin - 73
Czesław Zgorzelski - 282
Czosnowski Stanisław - 88,150
Czuchnowski Marcin - 333
Czyż Jan - 37

D

Dąbrowski Witold - 367
Dakszewicz Maria - 265
Dalecka Teresa - 371
Danek Wincenty - 282
Danilewiczowa Magdalena - 40
Dante Alighieri - 12
Daszkiewicz Maria - 197
Dąbrowska Dorota - 363
Dąbrowska Maria - 89, 94, 319
Dąbrowski Witold - 367
Dembowski Edward - 21
Dernałowicz Maria - 51
Dębicki Zdzisław - 88, 140
Dłuska Melania - 275
Dmitruk Krzysztof - 72
Dmowski Roman - 94, 117
Dobaczewska Wanda - 196
Dobaczewski Tadeusz - 196
Dobrowolska Aleksandra - 307
Dobrowolski Stanisław Ryszard - 333, 334, 336

Dobrzycki Jerzy - 84
Dokurno Zbigniew - 282
Doroszewski Witold - 101
Dostojewski Fiodor - 35, 36
Dowgiałło Jan - 365
Dunin-Borkowski Jerzy - 64
Dunin-Borkowski Leszek - 64
Dunin-Kozicka Maria - 92
Dybiec Julian - 61
Dygasiński Adolf - 92
Działyński Jan - 55, 56
Działyński Tytus - 56
Dzidziul Lena - 363
Dzieduszycki Juliusz - 56
Dziedzic Joanna - 4
Dziekoński Józef - 58, 6
Dzięciołowski Alfons - 140
Dzierżyński Feliks - 103,223
Dziewierski - 159
Dziewulski Stefan - 148,149
Dzięciołowski Alfons - 150
Dzięciołowski Andrzej - 209

E

Eberhardt Piotr - 121
Ebert Stanisław - 312
Ehrenberg Kazimierz - 16,22
Ejsmond Julian - 140,142
Englert Maciej - 361
Estreicher Karol - 218

F

Falkowski Stanisław - 365
Fałat Julian - 78
Fedorowicz Jerzy - 365
Feduniewicz Bożena - 363
Fejllowa Jagienka - 196
Fert Józef - 270
Fiecko Jerzy - 32, 300
Fijałkowski Wojciech - 245

- Fik Ignacy - 333
Filipczuk architekt - 244
Filochowski Waclaw - 88
Firlej-Bieleńska - 109
Fizman Samuel - 27
Fita Stanisław - 53, 64,76
Fiutkowski Walenty - 312
Flukowski Stefan Bronisław - 336, 338-340
Franciszek I, cesarz - 53
Frąckiewicz Waldemar - 63, 238
Fredro Andrzej Maksymilian - 14
Fredro Aleksander - 14, 15, 17, 18
Friedrich Caspar David - 4, 42, 43, 131
Friszke Andrzej - 368
Fryderyk August - 59
Furmanik Stanisław - 88, 89
- G**
- Gadon Lubomir - 26
Gajkowska Cecylia - 53, 65
Galis Adam - 88, 89
Gallimardo Gustaw - 347,348
Gałczyński Konstanty Ildefons - 89
Gałuszka Józef - 89
Gańczyk Barbara - 370
Garczyński Stefan - 21, 42
Garlicki Piotr - 367
Garycka Janina - 56
Gasik Czesława - 308
Gaszyński Konstanty - 49
Gawin Bolesław - 45
Gątorska Wioletta - 363
Gebethner Stanisław - 217
Geremek Bronisław - 368
German Juliusz - 149
Giedroyc Jerzy - 5, 127, 175-183
Gieryski Aleksander - 58
Glass Grzegorz - 140, 149
Glinka Jan - 228, 244
Gliszyńska Izabella - 139
Globisz Krzysztof - 361, 365
Gloger Zygmunt - 68
Głazek Dorota - 364
Głębicka Ewa - 365, 368
Głowacki Jan - 66
Głowiński Michał - 2,11, 282, 288, 289, 292, 293, 367
Godlewski Stefan -140,150
Goetel Ferdynand - 91
Goethe Johann Wolfgang - 12, 17
Gogiel Leonard - 285, 286
Gojawczyńska Pola - 89
Golicyn Piotr (książę) - 29
Gołembiewski L. - 140
Gombrowicz Witold - 185-188
Gomolicki Lew Mikołajewicz - 29
Gomulicki Juliusz Wiktor - 210
Gomulicki Wiktor - 69
Gomułka Władysław - 215
Gawęda Zbigniew - 217
Gordon Jakub - 16, 21
Gosławski Maurycy - 16
Goszczyński Seweryn - 19
Górska Jolanta - 363
Górski Artur - 91, 92
Górski Konrad - 196
Górski Marian - 345
Górski Wojciech - 200, 205, 231
Grabowska Maria - 282, 292, 293, 294
Grabowski Józef - 234
Grabowski Michał - 33, 34
Graff Anton - 98
Grancsey Scott - 277
Grochowski Wojciech - 59
Grochulska Barbara - 52, 54
Grossek-Korycka Maria - 92
Grubiński Waclaw -140
Gruszecka Aniela - 92
Grzędzielska Maria - 282
Grzymała-Siedlecki Adam -103

Guze Joanna -233
Guze Justyna - 209
Guzek Andrzej K. - 47, 48, 50

H

Habsburg Karol Stefan - 75
Hadziewicz Rafał - 66
Haecker Emil - 41
Handelsman Marceli - 56
Hanszke Anna - 363, 373
Hanusz Feliks - 66
Hanuszkiewicz Adam - 219
Hartwig Julia - 5, 170-173, 361, 364, 377
Hass Ludwik - 50
Hassa Konstanty - 312, 323
Heine Henryk - 155,156
Hempel Jan - 333, 335
Herling-Grudziński Gustaw - 355
Hertz J. Aleksander - 140
Hertz Mieczysław - 166
Hertz Paweł - 13, 219
Hertz Zygmunt - 182,183
Hirszel Stanisław - 57
Hirschhorn Samuel - 139
Hleb-Koszańska Helena - 18
Hohendorffowie Anna i Adam - 363-365
Hołowiński Ignacy - 33
Hopfinger Maryla - 365, 367
Hoppen Jerzy - 196
Horacy - 11, 12
Hryniewicki Bolesław - 101
Hulewicz Jerzy - 90
Hulewicz Witold - 196, 197, 243
Hulka-Laskowski Paweł - 89, 237
Husarski Waclaw - 319
Hutnikiewicz Artur - 115

I

Ilczuk Dorota - 61
Iłakowiczówna Kazimiera - 92

Infeld Leopold - 236
Ingłot Mieczysław - 17, 18
Irzykowski Karol - 88, 89, 93
Iwaskiewicz Anna - 95
Iwaskiewicz Jarosław - 95

J

Jabłoński Henryk - 211, 212
Jaczewski Bogdan - 53, 75
Jagiello Krystyna - 351
Jagiello Michał - 367
Jakowska Krystyna - 2
Jałbrzykowski Romuald Abp - 200, 208
Jan z Kolna - 122
Janicka Anna - 3, 4, 27
Janion Maria - 282, 286, 292, 293, 293
Jankowski Czesław - 117,118
Januszewicz Marcin - 66
Januszewski Tadeusz - 161,162
Januskiewicz Eustachy - 56
Jarocki Robert - 96, 208, 219, 238, 266, 313
Jaruzelski Wojciech - 212
Jarzewicz Jarosław - 366
Jasiński Bruno - 333
Jasińska Małgorzata - 220
Jasiński Roman - 218, 323
Jaskanis Jan - 248
Jaskólski Józef - 118, 123
Jastrzębiec-Kozłowski Czesław - 35
Jastrzębski Marek - 364
Jastrzębski Wojciech - 80, 82
Jaworska Adrianna - 219
Jaworska Maria - 364
Jedlicki Jerzy - 364
Jeleński Konstanty -178, 180, 182
Jelski Kazimierz - 55
Jełowicki Adam - 68
Jełowicki Aleksander - 56
Jerzmanowska Anna -74
Jerzmanowski Erazm -74

- Jeske-Choiński Teodor - 145
Jeziernski Michał - 14
Jeż Teodor Tomasz - 37
Jędrzejczyk Dobiesław - 121
Jędrzejewicz Józef - 85, 341
Jokiel Irena - 2
Jusupow Feliks (książę) - 37
Juszkiewicz Piotr - 364, 366
- K**
- Kabziński Władysław - 312
Kaczkowski Zygmunt - 18
Kaczorowski Michał - 238, 239, 323
Kaden-Bandrowski Juliusz - 88
Kalinowska Maria - 4
Kaniewski Ksawery - 30
Kantorek Jan - 314
Kapuściński Ryszard - 361, 364, 368, 373
Karpińska Joanna - 364
Karpiński Adam - 364, 366
Karpiński Światopełk - 94, 285
Karpiński Wojciech - 180
Karski Gabriel - 139
Karski Michał Gabriel - 142
Karski Michał - 140
Karwowska Danuta - 209, 217
Karwowska Elżbieta - 54
Kasprowicz Antoni - 334
Kasprowicz Jan - 74, 104
Kasprowiczowa Maria - 92
Kasprzycki Wincenty - 55
Katarzyna II (caryca) - 26
Kaupuż Anna - 286
Kawecki Zygmunt - 140
Kazimierz Wyka - 282
Kaźmierczak Tomasz - 364
Kaźmierczyk Zbigniew - 2, 4
Każyński Wiktor - 37
Kątskich (rodzina) - 37
Kennan George - 345
- Kępiński Antoni - 27
Kieszkowski Witold - 238, 239, 240, 243, 252, 265, 272, 324
Kiezuń Anna - 2
Kiljan Jarosław - 365
Kisielewski Zygmunt - 88
Kistelska Helena - 23
Kleiner Juliusz - 13, 44, 299, 300
Kleszczyński Z. - 140
Klimowicz Mieczysław - 331
Klonowic Sebastian Fabian - 70
Klonowska Zuzanna - 287
Klus Jerzy - 234
Kłosa Juliusz - 200, 206
Kłosiński Krzysztof - 366
Kobierska-Maciuszko Ewa - 368
Kochanowski Jan - 19, 23, 24, 51, 71, 142, 355
Kociuba Grzegorz - 377
Kodurowa Aleksandra - 217
Kojdecki Józef - 238
Kołaczkowski Stefan - 92, 132
Kołoniecki Roman - 88
Kołoszyńska Irena - 196
Komorowska Maja - 361, 364
Kona Feliks - 103
Konarska-Słonimska Janina - 216, 218
Konstanty (książę) - 39
Konwicki Tadeusz - 351
Kończyc Tadeusz - 140
Kopeć Marysia - 196
Kopernik Mikołaj - 122
Korbut Gabriel - 60, 84
Korotaj Władysław - 282
Korotajowa Krystyna - 282
Korotkich Krzysztof - 4
Korsak Julian - 30
Korwin-Szymanowska K. - 63
Korzeniewska Ewa - 93
Korzeniowski Józef - 16

- Korzon Tadeusz - 68
Kosman Janina - 55
Kosmanowa Bogumiła - 53
Kosobudzki Jan - 239
Kossak Juliusz - 56
Kossak-Szczucka Zofia-89
Kostenicz Ksenia-51
Kostka Potocki Stanisław - 50, 52, 54, 98
Kostkiewiczowa Teresa - 11, 48
Kostrzewski Franciszek - 57
Kościałkowska Irena - 307
Kościelecki Lucjan - 37
Kościuszko Tadeusz - 16, 26, 127, 341
Kotarbiński Tadeusz - 255
Koter Edmund - 364
Kotsis Aleksander - 64
Kotul Jan - 12
Kotwiczówna Maria - 18
Kowalczyk Karol - 214
Kowalczyk Michał - 212,214
Kowalczyk Renata - 214
Kowalczyk Włodzimierz - 363
Kowalczykowa Alina - 2, 4, 7, 8, 27, 51, 53, 176, 214, 228, 282, 288, 291, 325, 341, 363-376,
Kowalewski Franciszek - 284, 286, 287
Kowalewski Józef - 23
Kowalski Grzegorz - 3, 4, 27
Kowalski Jacek - 366
Kowalski Władysław - 238, 242
Kozakiewicz Stefan - 48, 49, 217
Koziana Andrzej - 248
Kozicki Władysław - 104
Kozikowski Edward - 139, 140, 142, 144, 149, 150
Kozłow Iwan - 30
Krall Hanna - 351, 361, 364, 366, 372
Krasicki Ignacy - 19
Kraśniński Adam - 68
Kraśniński Władysław Herman - 13, 17, 20
Kraśniński Zygmunt - 13, 17 18, 19-22, 31, 32, 40, 42, 43, 56, 96
Krasowski Witold - 54
Kraszewski Józef Ignacy - 18, 33, 34, 36, 37, 66
Kraujalis, ksiądz - 200
Kraushar Aleksander - 68
Kretowicz Jan - 272
Kronenberg Leopold - 69
Kruczkowski Adam - 91
Kruczkowski Leon - 319
Krukowska Halina - 4, 40
Kruszewska Felicja - 89,92
Krynicky Nikifor - 214
Krzewiński (Maszyński) Jan - 140
Krzywicky Ludwik - 89
Krzyżanowska Aleksandra - 217
Krzyżanowski Julian - 84
Kubrak Jolanta - 363, 373
Kucharski Eugeniusz - 84
Kucówna Zofia - 36, 219, 307, 364
Kuczborski Stanisław - 220
Kukiel Marian - 96
Kukielko Dariusz - 4
Kulesza Dariusz - 4
Kuliński Marek - 364
Kułakowski Feliks - 23
Kuraś Franciszek - 109
Kurek Jalu - 94, 331
Kurska Anna - 219, 220
Kutrzeba Stanisław - 54, 75
Kwiatkowska - 292
Kwiatkowski Kazimierz - 196, 271, 272
Kwiatkowski Marek - 282, 292, 294
- L**
Lalewicz Marian -76
Lamennais Hugues-Félicité Robert de - 21
Lanckoroński Karol - 63

- Lange Antoni - 49,140
Larson Simeon Marcus - 226
Lechoń Jan - 101, 134, 140, 146, 147, 148, 149
Lednicki Waclaw - 28
Lelewel Joachim - 18, 29
Lemański Jan - 140,142
Lenart Bonawentura - 305
Lenin Włodzimierz - 335
Leociak Jacek - 367
Leończuk Jan - 2, 311
Levittoux Karol - 34, 40, 42
Lewicki Leopold - 66
Lewin Leopold - 89
Libera Zdzisław - 102
Linde Samuel - 51, 53
Lipiński Karol - 37
Lisowska Barbara - 306
Lorentowicz Jan - 107
Lorentz Irena - 192, 194, 195, 196, 197, 204, 205, 207, 208, 210, 216, 219, 223, 229, 230, 236-237, 241, 249-252, 260, 262, 263, 324
Lorentz Karol Ludwik - 36, 199, 200, 202, 231
Lorentz Stanisław - 5, 86, 96, 101, 191, 192, 194, 196, 197, 200, 202, 206-213, 215-224, 227, 229-237, 239-243, 245-249, 251, 252, 254-260, 262-268, 270-279, 309, 311, 313, 315, 319, 322-325, 328-279, 307, 328,
Lorentzowa Maria (ze Schoenów) - 231
Lorentzówna Alina (Kowalczykowa) - 204, 240, 241, 254, 262, 282, 324
Löw Ryszard - 2
Lubomirscy - 53, 71
Lubomska Ilona - 363, 370
- Ł**
Ładosz Walenty - 327
Łapiński Zdzisław - 282, 284, 288, 291, 293
Ławski Jarosław - 7, 8, 40
Łazowski Adolf - 61
Łęski Jacek - 364
Łobodowski Jerzy - 94
Łopalewska Roma(Romana) - 196, 197, 242
Łopalewski Tadeusz - 197, 242
Łotocka Maria - 288
Łoziński Paweł - 364
Łubieńska Maria - 63
Łubieński Feliks - 40
Łubieński Franciszek - 64
Łuszczkiewicz Piotr - 367-368
Łużny Ryszard - 27
- M**
Mach Anna - 365
Mach Zbigniew - 365
Machnio Ryszard - 361
Machwitz Zygmunt - 364
Maciejewski Janusz - 292, 294
Maciejewski Jarosław -5, 282, 287, 297, 298, 299, 300, 301, 302
Maciejowski Ignacy (Sewer) - 92
Mackiewicz Józef - 197
Mackiewicz Stanisław - 241
Magdziarz Ewa - 363
Majakowski Włodzimierz - 37
Majcherek Wojciech - 364
Majder Alicja - 363
Majewski Alfred - 208
Majewski Erazm - 68, 69
Makarewicz Tadeusz - 271
Makowiecka Elżbieta - 209
Makowiecka Hanna - 51, 196
Makowiecki Tadeusz - 196
Maksymilian Andrzej - 14, 15
Malczewski Antoni - 23, 24, 70, 301
Malczewski Jacek - 62
Malewski Jerzy - 351
Malinowski Mikołaj - 29

- Maliutina Natalia - 2
Małachowski Gustaw - 55
Małaczewski Kazimierz - 231
Małecki Antoni - 53
Mann Tomasz - 364
Mar Jan Stanisław - 143
Marchlewski Julian - 103
Marconi Bogdan - 239
Marconi Władysław - 68
Marczak-Krupa Anna - 54
Markiewicz Stanisław - 268
Maszkowska Bożena - 217
Matejko Jan - 62, 63, 64, 251
Matusiak Barbara - 364
Matuszek Gabriela - 2
Matuszewski Ryszard - 220
Matywiecki Piotr - 364
Mazurek Mariusz - 363, 373
Mazurek Wiesława - 363, 363
Mehoffer Józef - 73, 81
Merzbach Henryk - 18
Mękarska Anna - 363, 373
Mękarski Mirosław - 363
Mianowski Józef - 60, 70, 72, 74, 75, 90, 91, 93
Michalski Stanisław - 26, 90, 91, 92
Michałkiewicz Kazimierz - 200
Michałowska Krystyna - 257
Michałowska Mira - 219
Michałowski Jerzy - 219
Michałowski Kazimierz - 207, 208, 216, 224, 233, 255, 257, 319, 322, 324
Michnik Adam - 308, 323
Michońska Ewa - 363
Miciński Tadeusz - 92
Mickiewicz Adam - 12,14,18,19, 20, 21, 22, 23, 25, 28, 29, 30, 31, 32, 34, 42, 43, 51, 56, 63, 65,76, 81, 96, 119, 130, 134, 151,155, 157, 276, 286, 287, 288, 348 , 297, 298, 300, 301, 302, 351, 355, 358
Miechowski Zygmunt - 229, 230, 231, 256
Mieroszewski Julian - 178
Mieszko I, książę - 53
Mieszkowska Janina - 230
Mieszkowski Władysław - 230
Międzyrzeccy - 307
Międzyrzeczki Artur - 218, 219
Mikołaj I (car Rosji) - 37
Mikołajczyk Stanisław - 318, 322
Mikos Michael J. - 2
Mikulski Józef - 273
Milewski Ignacy Korwin - 58, 59
Miller Jan Nepomucen - 88, 336
Millet Jean Francois - 380
Miłkowski Zygmunt - 271
Miłosz Czesław - 183, 336, 331, 366
Miłoszewicz Elżbieta - 363, 368
Mirecki Aleksander - 35
Młodożeniec Stanisław - 89, 333
Mniszech Michał Jerzy - 52
Modzelewski Zygmunt - 323
Moniuszko Stanisław - 37
Montwiłła Józef - 66
Moraczewska Maria - 245
Moraczewski Jędrzej - 54
Morawska Janina - 88, 89
Morełowska Lena - 196
Morełowski Marian - 200, 269
Morstina Ludwik Hieronim-94
Mortkowicz Jakub -110, 135
Mościcki Ignacy - 85
Mrowcewicz Krzysztof - 362, 364, 366, 367
Mrozińska Maria - 217
Mrożewski Stefan - 326
Mucha Zbigniew - 364
Musijenko Swietłana - 2
Muset Alfred de - 40, 146
Mycielski Zygmunt - 218, 323
Myśliwiec Karol - 366, 372

N

Nałkowska Zofia - 89, 94, 175, 234
Nałkowski Waław - 116, 117, 119, 120
Napieriski Stefan - 335
Narebski Stefan - 196, 269, 274
Narutowicz Gabriel - 80, 137
Natanson Kazimierz - 148, 149
Nawarecki Aleksander - 367
Nawrocka Ewa - 2
Nawrocki Władysław - 139, 140, 141, 142, 146, 149
Nielubowiczowa Helena - 210
Niemcewicz Julian Ursyn - 19, 26, 27
Nietresta-Zatroń Agnieszka - 4
Niewiadomski Eligiusz - 78, 80, 87
Nilubowicz Jan - 236
Noakowski Stanisław - 81
Nocna Aldona - 373
Nodier Charles - 67
Nora Pierre - 346, 348
Norwid Cyprian Kamil - 12, 14, 17, 18, 19, 21, 22, 33, 56, 57, 15
Nowacki Antoni - 149
Nowaczyński Adolf - 140
Nowak Andrzej - 213
Nowak Karol - 214
Nowak Katarzyna - 214
Nowak Krzysztof - 214
Nowicka Irena - 308
Nowicki Szymon - 363
Nowicki Władysław - 312
Nowosilcow Nikołaj - 27
Nycz Ryszard - 366, 371

O

Obolenski Eugeniusz - 28
Ochorowicz Julian - 145
Odojewski Aleksander (księżę) - 28, 30
Odojewski Włodzimierz - 28
Odrowąż-Pieniążek Janusz - 41

Odyniec Antoni Edward - 19, 21, 29, 30, 49
Ogiński Marcjjan - 272
Okopień-Sławińska Aleksandra - 11, 280, 282, 283
Okopień-Sławińska Elżbieta - 292
Okuliczowa Helena - 196, 246
Olchowicz Konrad (junior) - 140
Olech Barbara - 4
Olejniczak Józef - 362
Oleszkiewicz Józefa - 55
Olgierd Stella - 88
Olszewska Maria Jolanta - 2
Olszyński Marcin - 57, 62
Oppman Artur - 140
Orda Jerzy - 284, 288, 292, 294
Ordon Konstancy Julian - 40, 43
Orgelbrand Samuel - 54
Orkan Władysław - 92
Orłowicz Mieczysław - 117, 121, 122
Orłowski Aleksander - 30, 31, 32
Orłowski Witold - 368
Orzeszkowa Eliza - 37, 64, 92, 94, 283
Osiński Ludwik - 59
Osostowicz Stanisław - 66
Ossoliński Józef Maksymilian - 51, 53, 55
Ossowska Maria - 252, 258, 327
Ossowski Stanisław - 255, 261
Osterwa Juliusz - 102
Osterwianka Elżbieta - 306
Ostrowska Bronisława - 92
Ostrowski Adam - 233
Ostrowski Jacek - 115
Ostrowski Krystyn - 41
Owidiusz - 11
Ożarkowie Anna i Bronisław - 307

P

Paczkowski Andrzej - 363, 366, 372
Paczoska Ewa - 2, 366

- Paderewski Ignacy Jan - 37
Pąckiński Marek - 365
Pakulski Antoni - 312
Paluchowski Andrzej - 283, 284, 294
Panek Andrzej - 312
Panek Jan - 312
Panek Stanisław - 312
Pankiewicz Julian - 58
Parandowski Jan - 102
Partyka Jacek - 4
Pasławski Jerzy - 115
Pasternak Leon - 339, 340
Paszek Jerzy - 2
Patkowska Maria - 196
Patkowski Aleksander - 107,108,205
Paul Jean - 19
Paweł I (car Rosji) - 26
Pawlak Wojciech - 120
Pawłyszyn Andrzej - 367
Pawłowski Stanisław - 237, 240
Pąckiński Marek - 365
Peiper Tadeusz - 333
Peksza Jan - 200
Pelczar Dwidka - 197
Pelczarowa Makusiana - 196
Pelczarowa Zosia - 196
Peretiakowiczówna - 88
Perzyński Włodzimierz - 140
Pękowski Aleksander - 139
Piątkowska Renata - 361
Piechal Marian - 92, 331, 338
Pietras Sławomir - 361
Pietraszewski Michaił - 35
Pietrych Krystyna - 363, 366, 367, 371
Pietrzela Maria - 369
Piętek Stanisław - 94
Pigoń Stanisław - 61
Pilcicki Hubert - 4
Pilecka Ligia - 343
Piltz Erazm - 37
Piłat Robert - 366
Piłsudski Józef, marszałek - 45, 90, 96, 117, 137, 147, 148, 233, 279, 285
Pińkowski Stefan - 323
Piotr III (car Rosji) - 26
Piotrowicz Wojciech - 284, 285- 287
Piottuch Alfred - 316,318
Piwiński Feliks - 312
Piwkowski Włodzimierz - 232, 311
Piwocki Ksawery - 239, 265
Piwowar Lech - 333
Plater-Zyberka Henryka - 279
Pliszczyńska Aleksandra - 209
Pliszkiewiczowa Krystyna - 308
Płomińska Małgorzata - 209, 217
Pniewski Bohdan - 81
Poklewska Krystyna -14
Pol Wincenty - 12, 21, 22, 70
Polańska Ewa - 363
Polewka Adam - 91
Polony Anna - 361, 366
Połaniecki Bernard - 126
Pomian Konstanty -183
Pomian Krzysztof - 177
Pomorski Ada - 35
Poniatowski Stanisław August, król
Polski - 25, 26, 47, 52
Popiel Magdalena - 2
Poprzedzka Maria - 364, 367
Poświst Bolesław -139
Potiebnia Andriej - 35
Potocka Anna - 54
Potocki Adam - 56
Potocki Artur - 64
Potocki Stanisław Kostka - 54
Powichrowski Włodzimierz - 68
Poznański Edward - 91
Poznański Marian - 140
Prędski Artur - 89
Prokop-Janiec Eugenia - 367

- Prufferowa Maria -196
Prus Bolesław - 37,64
Pruszkowski Tadeusz - 30
Pruszyński Mieczysław - 307
Prutkowski Józef - 326
Przeclawski Józef - 31
Przesmycki Zenon - 78, 80, 82, 83
Przewoźny Janusz - 217
Przeddziecki Aleksander - 59
Przeddziecki Karol - 63
Przeddziecki Mieczysław - 33
Przyboś Julian - 335, 338-339, 340
Przybylski Ryszard - 291, 293
Puchalska Mirosława - 292, 293
Puliński Bronisław -140, 150
Pułaski Franciszek - 68, 69
Puszkarscy - 278
Puszkina Aleksander - 30, 155, 348
Putrament Jerzy - 323
- R**
- Rabanowski Jan - 232
Raczkowska Katarzyna - 368
Raczyński Edward - 53
Radyszewski Rościsław - 2
Radziwiłł Albrecht - 277
Radziwiłł Franciszek - 149
Radziwiłł Janusz - 311, 313, 323
Radziwiłł Krzysztof - 241
Radziwiłłówna Maria - 241
Radziwiłowicz Jerzy - 361, 364, 365
Rafałowski Aleksander - 313
Rakitcki Genadiusz - 286
Rapacki Wincenty (syn) - 140
Rastawiecki Edward - 59
Raszewski Zbigniew - 300
Ratajczakowa Dobrochna - 364
Rdułtowska Danuta - 263
Reicherowie Michałostwo - 196
Reinstein Franciszek -140, 142, 143, 150
Rej Mikołaj - 12
Remer Jerzy - 85, 86, 265, 266, 271, 273, 278
Reszkiewicz Mirosław - 371
Reutt-Witkowska Zofia - 92
Reymont Władysław Stanisław - 94, 308
Riccardi Andrea - 306
Richter Jean-Paul - 19
Ritz German - 2
Robespierre Maximilien de - 23
Rodziewiczówna Maria - 145
Rogacki Henryk - 364
Rogowski Władysław -140
Rogoyska Marta - 78
Rokossowski Konstanty - 324
Romaniuk Jadwiga - 361
Romanowicz Antoni - 140
Romanowicz Kazimierz - 184
Romanowski Mieczysław - 45
Romer Eugeniusz - 117, 119, 120, 121, 123, 124
Romer Ochenkowska Helena -108
Rościszewski Jerzy - 150
Rottermund Andrzej - 222, 223
Rotwand Andrzej - 68, 69
Rousseau Jean-Jacques - 39
Rozicka Anna - 372
Rozłucki Piotr - 103, 128, 131
Roźniecki Aleksander - 59
Różewicz Tadeusz - 307
Rudnicka Jadwiga - 50
Rudnicki Adolf - 89
Rusek Iwona E. - 4
Ruszczyc Ferdynand - 103, 196, 200, 269
Ruszczycówna Barbara - 196
Ruszczycówna Janina - 196
Ruszel Krzysztof - 365
Rutkowski Tadeusz - 364
Rybicki (Fishbajn) - 218
Rybicki Andrzej - 92

- Rylejew Konrad - 25, 28
Rymkiewicz Jarosław - 186,351
Rymowicz Irena - 287
Rymsza Marek - 364
Rypiński Aleksander - 22
Ryszkiewicz Andrzej - 53, 57, 58, 59, 245, 265
Ryszkiewicz Stanisław - 245
Rytewski Jakub - 139
Rzeszewicz Mirosław - 373
Rzewuski Henryk - 33, 34
Rzymowski Jerzy - 364
Rzymowski Wincenty - 232, 234
- S**
- Sabiński Julian - 40
Samborski Andrzej - 367
Sandauer Artur - 337
Sarnowska-Temeriusz Elżbieta - 365
Sawicki Adam - 200, 274
Schiller Fryderyk - 155
Schuppe Alfred - 63
Scypio K. - 26
Secomska Nika - 210
Secomski Kazimierz - 209, 210
Sękowski Józef - 33
Sidor Aleksandra - 370
Siedlecki Michał - 4
Siegień Bazyle - 4
Siekacka Ludmiła - 286-289
Siemieński Lucjan - 41
Siemiradzki Henryk - 63
Siengalewiczowa Natasza - 197
Sienkiewicz Bartłomiej - 368
Sienkiewicz Henryk - 36, 37, 74, 118, 130, 205
Sierlecka Florentyna - 312
Sierociuk Jarzy - 364
Sierosławski Stanisław - 140
Sieroszewski Wacław - 93
Sigalim Józef - 232
Silva Umberto - 176,177
Simmler Julian - 62, 63
Sinielowiczowa - 197
Sito Jerzy Stanisław - 219
Siwicka Dorota - 116
Skarga Barbara - 307
Skiwski Emil - 88, 89
Skoczylas Władysław - 78, 81
Skotnicki Jan - 78, 82, 87, 96
Skóralewicz Jan - 364
Skreczko Adam ks. - 2
Skrzeszewski Stanisław - 233
Skrzetuski dr - 239
Skrzypczyk Mirosław - 363, 379
Skubiszewska Maria - 219
Skwarczyńska Józefa - 45
Skwarczyńska Stefania - 11, 15
Sleńdzińska Julitta - 196
Sleńdziński Ludomir - 196, 269
Sławińska Aleksandra - 290
Sławińska Irena - 292, 294
Sławiński Janusz - 11, 280, 283, 289, 290, 292-294
Słomiński Zygmunt - 77
Słonecki Marian - 270, 271
Słonimski Antoni - 91,139, 140, 141, 145, 146, 147, 216-218, 307, 308, 323, 326, 335, 336
Słoński Edward - 136
Słowacki Juliusz - 13, 17, 18, 19, 20, 22, 34, 40, 43, 44, 53, 64, 70, 96, 97, 130, 144, 155, 156, 157,158, 160, 185, 205, 290, 297, 298, 299, 301, 302
Smokowski Wincenty - 30
Smolarski Mieczysław - 316-322
Smuglewicz Franciszek - 53
Snopek Jerzy - 362, 366, 369
Sobański Franciszek - 63
Sobczuk Bogusław - 365

- Sobelman Michał - 368
Sobieraj Maciej - 66
Sobieski Jan - 52
Sobolewski Jan - 238
Sokołowski Mikołaj - 40
Sokół Lech - 14
Sosnowska Joanna - 81
Spitznagel Ludwik - 40
Spychalski Marian - 238
Sroczyńska Krystyna - 207, 217
Stachowicz Izabella - 255, 259
Staff Leopold - 92, 155, 157
Stande Stanisław Ryszard - 332
Staniewicz Witold - 200
Stanilewiczowa - 197
Stanisz Elżbieta - 366-368
Stanisz Marek - 363, 379, 366-368
Staniszewski - 318
Stasiuk Andrzej - 361
Staszic Stanisław - 66, 70
Statkowski Józef - 140
Stattler Henryk - 67
Stawar Andrzej - 333
Stebelski Adam - 319
Stefan Treugutt - 282
Stefanowska Zofia - 19, 20, 113, 282, 291, 292
Stelmachowski Andrzej - 353
Sterling Mieczysław - 78, 88
Stern Anatol - 177, 338, 340
Stępień Jerzy - 368
Stępień Marian - 331-339
Stępowski Janusz - 88, 89
Stomma Stanisław - 307
Stpiczyński Wojciech - 91, 93
Straszewska Maria - 56
Straszyński Leonard - 67
Strauchold Grzegorz - 115, 116, 121
Strug Andrzej - 93
Strutyński Juliusz - 18, 34
Stryjeńska Zofia - 80
Stryjeński Karol - 80
Strykowski Julian - 307
Strzałecki Antoni - 68
Strzelecki Adam - 364
Studnicki Waclaw - 268, 269
Sudolski Zbigniew - 45
Sueton Gaius - 12
Surwiłło Jerzy - 287
Swieykowski E. - 62, 66
Sybilski Józef - 307
Sygietyński Antoni - 92
Syrokomla Władysław - 285, 286
Szafer Waclaw - 198
Szałas Roman - 307
Szamryk Konrad - 4
Szancerowa Zofia - 307
Szaniawska L. - 115
Szaniawski Jerzy - 92, 139, 140, 143, 144
Szantoch Tadeusz - 88
Szarota Tomasz - 367
Szcawiej Jan - 89
Szczepkowska-Mickiewiczowa Hanna - 306
Szczuka Kazimiera - 368
Szczurowski Tymoteusz - 19
Szczytowski Stanisław - 89
Szeja Jerzy - 364
Szekspir William - 12, 16, 20, 22, 23, 51
Szelburg-Zarębina Ewa - 89
Szenwald Lucjan - 334, 336
Szermentowski Ludwik - 67
Szolc Kazimierz - 66
Sztyrmer Ludwik - 13, 14, 20, 33, 34
Szubert Piotr - 65, 365
Szukiewicz Wojciech - 279
Szwaja Piotr - 367
Szwajcer Jerzy - 144
Szyfman Arnold - 234
Szymanowska Maria - 30, 31

Szymańska Irena - 219
Szymański J. - 333, 364
Szyttenhelm Marcel - 364

Ś

Śledziwski Piotr - 228, 269, 242, 243
Śniadecki Jan - 16, 49, 51
Śniadecki Jędrzej - 277
Świątkowski Henryk - 217
Świdwiński Aleksander - 140
Święch Jerzy - 366, 372
Świętochowski Aleksander - 66

T

Tabisz Roman - 368
Tarczyński Władysław - 71
Tarnowscy z Dzikowa - 66
Tatarkiewicz Władysław - 255, 326
Tazbir Janusz - 366, 372
Tazbirowa Julia - 366, 372
Teksel Józef - 37
Tepa Franciszek - 56
Tetmajer Kazimierz - 140
Tokarzewski Szymon - 35
Tomkiewicz Władysław - 324
Tomkowski Jan - 365, 368
Trembecki Stanisław - 11, 12
Tremer Maciej - 4
Treter Mieczysław - 79, 80
Tretiak Józef - 63
Treugutt Stefan - 219, 223, 282, 291
Trojanowicz Roman - 289
Trojanowiczowa Zofia - 289, 291, 292, 294
Trusz Iwan - 67
Tuliszewski - 286, 287
Turgieniew Aleksander - 28
Tuwim Ewa - 330, 331
Tuwim Julian - 30, 149, 151-156, 158-16, 168, 308, 330, 336

Tymowski Tomasz Kantonberty - 19
Tyszkiewicz M. - 63

U

Ukielski Paweł - 368
Umiastowski Wojciech - 197
Uniłowski Zbigniew - 89

V

Vigny Alfred de - 39, 40
Vinci Leonardo da - 193

W

Wajda Andrzej - 219, 361, 364
Wajda Krystyna - 372
Waldorff Jerzy - 218
Walicki Andrzej - 31
Walicki Michał - 233, 238
Walicki Stanisław - 140
Waliszewski Zygmunt - 79
Wallasie William - 13
Wallis Henryk - 173
Waltoś Jacek - 361
Wałęsa Lech - 219, 222
Wandurski Witold - 165, 332
Wańkiewicz Walenty - 29, 30
Wasilewski Edmund - 41, 66
Wat Aleksander - 5, 175-183, 333, 334
Wat Paulina - 183
Wążyk Adam - 234
Wegner Jan - 315, 317, 319, 321, 322
Wegnerówna Ewa - 320
Weinertowa Eugenia - 88
Weiser Rudolf - 88, 89
Wende Jan Karol - 232, 233
Wergiliusz - 11, 12
Werner Andrzej - 362, 364, 365
Weyssenhoff Józef - 118
Węsławska Ada - 196
Whitman Walt - 155

- Wiaziemski Piotr - 27, 28, 30
Wiciński Hubert - 363
Wielhorski Mateusz - 33
Wielhorski Michał - 33
Wielogłowski Walery - 57,61
Wieloński Pius - 68
Wielopolski Wojciech - 364
Wieniawski Henryk - 37
Wieniawski J. - 63
Wiercińska Janina - 63, 63
Wieruszewska Maria - 365
Wierzbicka, Michalska K. - 59
Wierzbicki Emil - 277
Wierzbowski Ryszard - 160
Wierzyński Kazimierz - 161
Więcek Aleksandra - 210
Wilk W. - 121
Winawer Bruno - 140, 145
Winiarski Jacek - 365
Winiewicz Józef - 323
Wiórkiewiczowa (kustosz) - 307
Wiśniewska S. - 63
Wiśniewska Teresa - 209
Wit Juliusz - 337
Witkiewicz Stanisław Ignacy - 58, 91, 96
Wittlin Józef - 88, 181, 182, 335
Witwicki Stefan - 40
Wodziński Maciej - 55
Wojciechowski Jan Stanisław - 61, 67, 78
Wojciechowski Jarosław - 86
Wojciechowski Konstanty - 68
Wojciechowski Stanisław - 110
Wojnarowska Zofia - 150
Wojtyszko Maciej - 364
Wolski Waław - 16, 139
Wołoszynowski Julian - 88
Woronkówna Regina - 287, 289
Wójcicka Zofia - 210
Wóycicki Kazimierz Władysław - 54
Wroczyński Kazimierz - 140, 144, 145
Wróblewska Krystyna - 196, 197
Wydrycka Anna - 4
Wyka Kazimierz - 285, 286, 287
Wyka Marta - 365
Wyspiański Stanisław - 92
Wyszyński Stefan - 205
- Z**
- Zabielski Łukasz - 4
Zaborowski Tymon - 40
Zachwatowicz Jan - 208, 237-239, 240, 251, 259, 264, 323
Zachwatowicz Krystyna - 219, 361, 363, 364, 367
Zagórska Magdalena - 306
Zagórowski Aleksander - 306
Zagórska Aniela - 88, 89
Zahorska Anna - 89
Zahorska Stefania - 89
Zakrzewscy - 197
Zaleski Edmund - 238
Zaleski Józef Bohdan - 17, 19
Zaleski Marcin - 67
Zaleski Władysław - 140
Zalewski Kazimierz - 145
Załęski Krzysztof - 217
Załużski Andrzej Stanisław - 25
Załużski Józef Andrzej - 25
Zamoyski Jan - 64
Zan Tomasz - 287
Zanoziński Jerzy - 217
Zanussi Krzysztof - 361
Zaorski Janusz - 361
Zaruba Jerzy - 140, 141, 146
Zatorska Helena - 337
Zawadzcy Janina i Konrad - 307
Zawadzka Anna - 304
Zawadzka Danuta - 219
Zawadzka Franciszka - 312
Zawadzka Halina - 196

Zawadzki Konrad - 210, 219
Zawieyski Jerzy - 89
Zawistowski Władysław - 78, 79, 89, 90
Zdziechowski Marian - 37
Zegadłowicz Emil - 89
Zelnik Jerzy - 366
Zgorzelski Czesław - 284, 286, 287
Ziątek Zygmunt - 362, 365, 367
Ziejka Stanisław - 368
Zieliński Gustaw - 41
Zieliński Tomasz - 58, 92
Ziętarska Ewa - 364
Zimand Roman - 164
Zimińska Mira - 218
Zmorski Roman - 16, 41, 42
Zrębowicz Roman - 89
Zygier Bernard - 43
Zygmunt Mirosława - 368

Ż

Żeleński Tadeusz - 101
Żeromska Anna - 135, 202, 309, 310
Żeromska Monika - 5, 135, 202, 205, 218,
219, 220, 304, 305, 306, 308, 310
Żeromski Stefan - 35-36, 49, 74, 75, 77,
94, 100-115, 117, 119, 122, 127-137, 205,
305, 306, 307, 310
Żmigrodzka Maria - 292
Żmigrodzki Józef - 269, 277
Żmurko Franciszek - 67
Żochowski Feliks Józef - 35
Żółkiewski Stefan - 71, 82, 92, 94, 95
Żórawski Kazimierz - 313, 316
Żukowski Rudolf - 33
Żukowski Wasilij - 30
Żygulski Kazimierz - 221, 222
Żyngiel Piotr - 272

NAUKOWY PROJEKT WYDAWNICZY – SERIA „PRZEŁOMY / POGRANICZA”

TOMY WYDANE W NPW- SERII „PRZEŁOMY/POGRANICZA

I. *Piękno Juliusza Słowackiego*, Seria I, *Principia*, red. Jarosław Ławski, Krzysztof Korotkich, Marcin Bajko, Białystok 2012

II. Barbara Olech, *Harmonia, liryzm, trwoga. Studia o twórczości Bronisławy Ostrowskiej*, Białystok 2012

III. Marcin Bajko, *Heroiczna apokalipsa. Wkręgu idei i wyobraźni Tadeusza Micińskiego*, Białystok 2012

IV. *Pogranicza, cezury, zmierzchy Czesława Miłosza*, red. Anna Janicka, Krzysztof Korotkich, Jarosław Ławski, Białystok 2012

V. Anna Janicka, *Sprawa Zapolskiej. Skandale i polemiki*, Białystok 2013 [wydanie II: 2015]

VI. *Żeromski. Tradycja i eksperyment*, wstęp Jarosław Ławski, red. Anna Janicka, Alina Kowalczykowa, Grzegorz Kowalski, Białystok – Rapperswil 2013

VII. *Piękno Juliusza Słowackiego*, tom II: *Universum*, red. Jarosław Ławski, Grzegorz Kowalski, Łukasz Zabielski, Białystok 2013

VIII. Ryszard Löw, *Literackie podsumowania polsko hebrajskie i polsko-izraelskie*, red. Jarosław Ławski, Michał Siedlecki, posłowie Barbara Olech, Białystok 2014

IX. Alina Kowalczykowa, *Wokół romantyzmu. Estetyka – polityka – historia*, T. I: *Pisma rozproszone i zarzucone*, red. Anna Janicka, Grzegorz Kowalski, Białystok 2014

X. *Żeromski. Piękno i wolność*, idea i układ Jarosław Ławski, red. Anna Janicka, Iwona E. Rusek, Grzegorz Czerwiński, Białystok – Rapperswil 2014-2015

XI. Dariusz Kulesza, *W poszukiwaniu istoty rzeczy. Studia i portrety*, Białystok 2015

XII. Jarosław Poliszczuk, *Ukraińskie rozstaje. Studia*, red. i opr. Michał Siedlecki, Jarosław Ławski, 2015

XIII. *Kraszewski i wiek XIX*, idea i wstęp Jarosław Ławski, red. Anna Janicka, Krzysztof Czajkowski, Paweł Kuciński, Białystok – Rapperswil 2014-2015

XIV. *Kraszewski i nowożytność*, idea i układ Jarosław Ławski, red. Anna Janicka, Krzysztof Czajkowski, Łukasz Zabielski, Białystok 2014-2015

XV. *Piękno Juliusza Słowackiego*, tom III: *Metemorphosis*, red. Jarosław Ławski, Anna Janicka, Łukasz Zabielski, Białystok 2015

XVI. Jarosław Ławski, *Miłosz: „Kroniki” istnienia. Sylwy*, Białystok 2014.

XVII. Gabriela Zapolska, *Kwiat śmierci. Powieść kryminalna ze stosunków krakowskich dwóch tomach*, red. i wstęp Anna Janicka, opr. i posłowie Paulina Kowalczyk, Białystok 2015

XVIII. Michał Siedlecki, *Myśliwski metafizyczny. Rozważania o „Widnokregu” i „Traktacie o łuskaniu fasoli”*, Białystok 2015

XIX. *Pozytywiści warszawscy: „Przegląd Tygodniowy” 1866-1876, Seria I: Studia, rewizje, konteksty*, red. Anna Janicka, Białystok 2015

XX. Halina Krukowska, *„Pan Tadeusz” jako poezja czysta. Studia o Mickiewiczu*, Białystok 2016

XXI. Wojciech Kalinowski, *Hypnos fiction. Nowelistyka Stefana Grabińskiego*, Białystok 2016

XXII. Wojciech Gruchała, *W brzuchu wieloryba. Obraz Rosji w prozie modernizmu*, Białystok 2016

XXIII. Grażyna Dawidowicz, *Cena życia. Rzecz o Sarze Nomberg-Przytyk*, Białystok 2016

XXIV. Anna Zahorska, *Poezje zebrane*, wstęp i opr. Anna Wydrycka, Białystok 2016

XXV. Alina Kowalczykowska, *Wobec współczesności. Tematy poważne i mniej serio*, T. II: *Pisma rozproszone i zarzucone*, red. i opr. tekstu Anna Janicka i Grzegorz Kowalski, Białystok 2016

UKAŻĄ SIĘ W SERII MIĘDZY INNYMI:

XXVI-XXVII. *Przemiany formuły emancypacji kobiet od XVIII wieku do XX-lecia międzywojennego*, Białystok 2016

[Tytuły zapowiedzianych tomów w wersji roboczej.]

Alina Kowalczykowa, prof. dr hab., historyk literatury polskiej, członkini Towarzystwa Popierania i Krzewienia Nauk, PEN Clubu, KNoL PAN oraz emerytowany profesor IBL PAN. W pracach badawczych zajmuje się głównie zagadnieniami związanymi z literaturą romantyzmu i literaturą XX wieku. Autorka licznych publikacji naukowych, takich jak: *Romantyczni szaleńcy* (Warszawa 1977), *Programy i spory literackie w dwudziestoleciu 1918-1939* (Warszawa 1978), *Słowacki* (Warszawa 1994), *Romantyzm. Nowe spojrzenie* (Warszawa 2008) – i wielu innych. Profesor Alina Kowalczykowa jest również autorką podręczników szkolnych do nauki języka polskiego. Ostatnio wydała *Wokół romantyzmu. Estetyka – polityka – historia* (Białystok, 2014). Założycielka Stowarzyszenia Nauczycieli Humanistów „Prowincja”.

Żadna z przywołanych postaci zamieszkująca „rozproszone” opowieści Aliny Kowalczykowej nie trafiła do książki znikąd, czy też z peryferii zainteresowań autorki *Romantycznych szaleńców* – obszerność i rozmach podejmowanych tematów jest sednem tego pisarstwa. (...) Różnorodność nazwisk i różnorodność problemów „poważnych i mniej serio”, które zostały zgromadzone w tomie, spaja jeden zasadniczy wątek – absolutnie nadrzędny i dominujący ponad wszystkie pozostałe – jest nim nieobojętność. Alina Kowalczykowa opowiada o ludziach i tekstach tylko w taki sposób, w jaki pozostają zaangażowani w rzeczywistość, lecz wysłuchuje ich i czyta w taki sposób, w jaki pozostają integralną i absolutnie nierozzerwalną częścią bardzo konkretnego świata. (...)

Zbiór „tematów poważnych i mniej serio” składa się w kapitalnie konsekwentnie niespójną całość, która nie jest typową monografią, co w żadnym wypadku nie przeszkadza jej być monografią nietypową. Taka opowieść niczego nie musi, a wszystko może – słucha, czyta i... robi co chce.

Z Recenzji dra hab. Macieja Tramera, prof. UŚ
(Uniwersytet Śląski w Katowicach)